

FELIKS W.

# KRES

KRÓL

BEZMIARÓW

KSIĘGA

CAŁOŚCI

TOM 2



# Spis treści

Karta tytułowa

Księga całości

Brudnoszare chmury

CZĘŚĆ PIERWSZA. Demon Walki

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Rozdział 10

Rozdział 11

Rozdział 12

Rozdział 13

Rozdział 14

Rozdział 15

Rozdział 16

Rozdział 17

Rozdział 18

Rozdział 19

Rozdział 20

## CZĘŚĆ DRUGA. Siostry

Rozdział 21

Rozdział 22

Rozdział 23

Rozdział 24

Rozdział 25

Rozdział 26

Rozdział 27

Rozdział 28

Rozdział 29

Rozdział 30

Rozdział 31

Rozdział 32

Rozdział 33

Rozdział 34

Rozdział 35

Rozdział 36

Rozdział 37

Rozdział 38

Rozdział 39

## CZĘŚĆ TRZECIA. Rubin Córki Błyskawic

Rozdział 40

Rozdział 41

Rozdział 42

Rozdział 43

Rozdział 44

Rozdział 45

Rozdział 46

Rozdział 47

Rozdział 48

Rozdział 49

Rozdział 50

Rozdział 51

Rozdział 52

Rozdział 53

Rozdział 54

Rozdział 55

Rozdział 56

Rozdział 57

Rozdział 58

Rozdział 59

Rozdział 60

Rozdział 61

Rozdział 62

Epilog

Mapy

Feliks W. Kres

Karta redakcyjna

Okładka

F E L I K S W.

# K R E S

K R Ó L  
B E Z M I A R Ó W

K S I Ę G A  
C A Ł O Ś C I

T O M 2

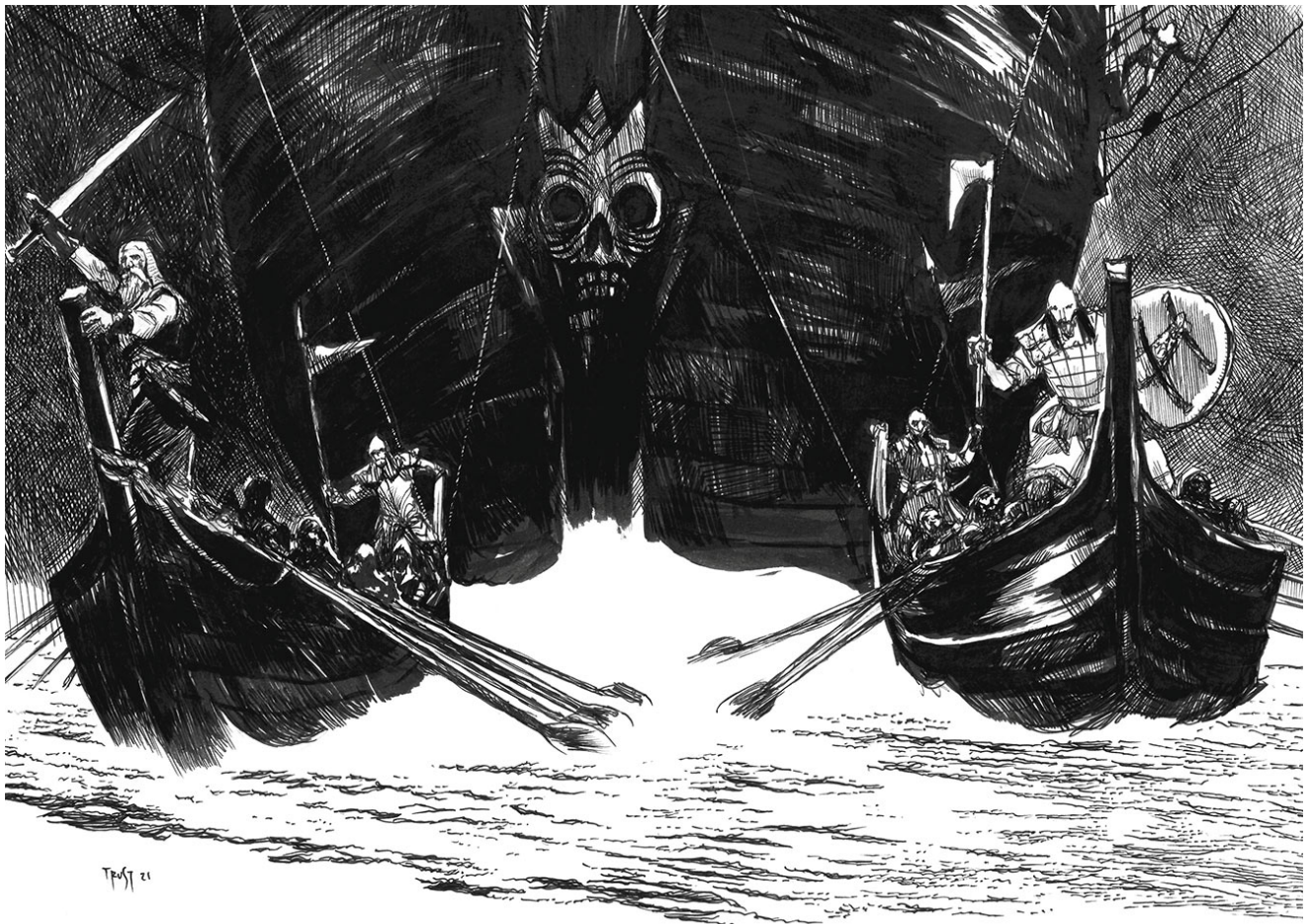
ILUSTRACJE  
PRZEMYSŁAW TRUŚCIŃSKI

**fabryka słów**<sup>®</sup>

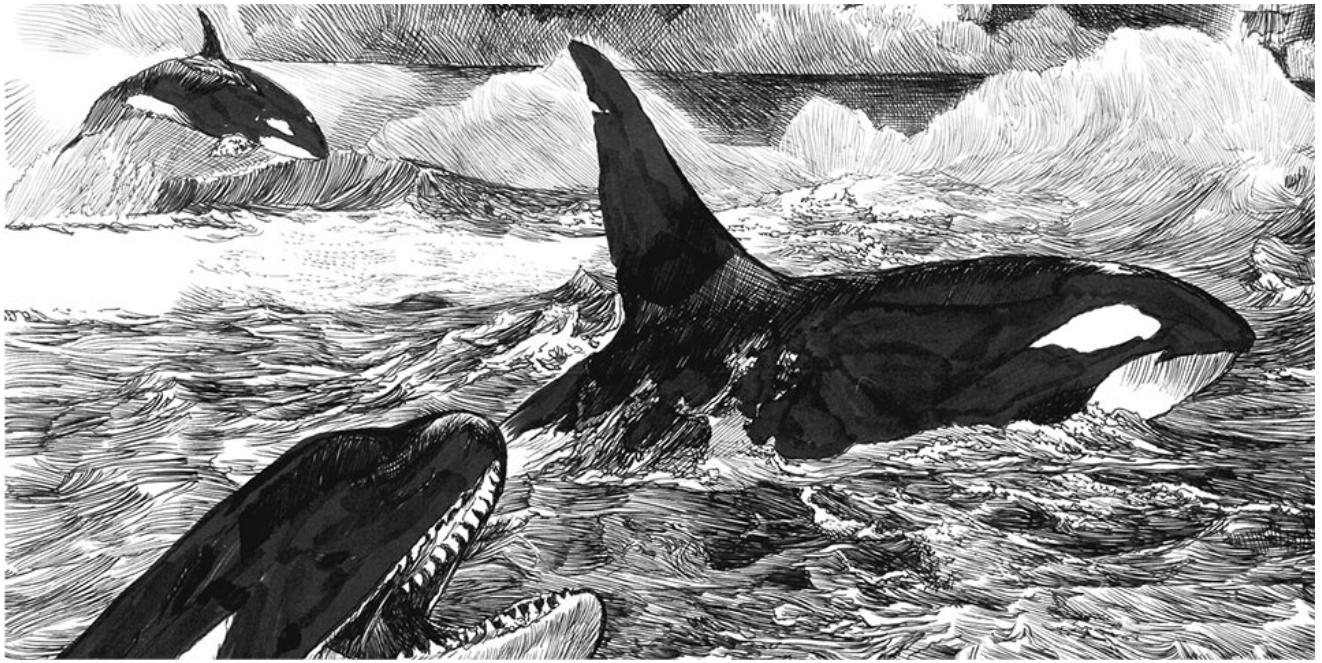
LUBLIN - WARSZAWA

## **KSIĘGA CAŁOŚCI**

1. Północna Granica
2. Król Bezmiarów
3. Grombelardzka legenda
4. Pani Dobrego Znak - księga 1
5. Pani Dobrego Znak - księga 2
6. Porzucone królestwo
7. Żeglarze i jeźdźcy
8. Tarcza Szerni
9. Szerń i Szerer



1891



Brudnoszare chmury nisko wisały nad Ahelą. Wiał zimny wiatr, zrodzony gdzieś w sercu morza; porywisty, zwiastował rychłą burzę, właściwie był jej początkiem. Zamknięto wszystkie okna tawerny, gęsty dym fajkowy kłębił się teraz we wnętrzu zmieszany z zapachem piwa i niedomytych ciał. Na ławach i zydlach wokół stołów siedzieli majtkowie, włóczędzy, paru wielorybników z południowego wybrzeża, kilka hałaśliwych kobiet. Gwar to wzmagął się, to przycichał na krótko; czasem wybijały się zeń ostre głosy kłótni.

Garbaty bajarz w kącie izby nucił coś cicho i trącał struny trzymanego na kolanach dziwnego instrumentu. Zachęcony miedziakiem rozpoczął opowieść, podkreślając niektóre fragmenty brzękiem strun.

Tutaj, na dalekich Agarach, wędrowny grajek-gawędziarz był kimś bardzo niezwykłym. Miejscowi pieśniarze nie trudnili się śpiewaniem dla zarobku, nie znali świata; o czym mieliby mówić, by przyciągnąć uwagę słuchaczy, skąd brać nowe pieśni? Znać ich trzeba setki, by śpiewaniem zarobić na chleb.



Siedzący w tawernie garbus pochodził z kontynentu. Przypłynął na pokładzie kogi, którą wczesnojesienny wiatr południowo-zachodni, słynny Kaszel, zagnał do brzegów Agarów; tkwiła teraz uwięziona w Aheli aż do zimy, nie mogąc wyjść w morze z obawy przed falami i wichrem. Zwykły zatem przypadek rzucił gawędziarza w te strony. Znalazł wielu słuchaczy, bo prawił rzeczy ciekawe i dziwne, nawet dla żołnierzy i majtków, którzy przecież w licznych portach widzieli niejedno.

Ale – była jesień. Zamarł już dawno ruch na kupieckich szlakach; ukryte w portach i bezpiecznych zatokach statki, ze szkieletowymi załogami na pokładach, czekały, aż się zmieni pora roku, bo jesienią odbywano najwyżej krótkotrwałe, a i tak ryzykowne rejsy przybrzeżne, gdy pogoda wyjątkowo dopisała. Załogi uśpionych żaglowców – żołnierze i marynarze – wałęsały się po wszystkich portowych miasteczkach i miastach imperium. Żołnierzy trzymała dyscyplina i żołd wypłacany sumiennie co tydzień; z majtkami rzecz się miała inaczej. Nikt im płacić za bezczynność nie myślał, oszczędności nie mieli, a ci, co mieli, przetracili już dawno. Łazili teraz tam i siam, szukając mniej lub bardziej uczciwego zajęcia, siłowali się na ręce w tawernach, czasem kłuli nożami. Stary grajek, prawiący historie o niezwykłych zdarzeniach i przedziwnych krainach, był jedyną tych ludzi rozrywką; chętnie dali ostatniego miedziaka, za którego ni napić się, ni nasycić nie mogli, by spędzić czas na słuchaniu, zabić dzień albo dwa, o krok przybliżyć zimę, a z nią nowy zaciąg na statki.

Teraz garbus snuł kolejną opowieść. Gwar przycichał stopniowo, coraz wyraźniej słyhać było powolny głos grajka. Opowiadał niezwykłą historię, bez początku i końca, o morzu, o sztormach, o statkach, o potworach z głębin i piratach... O największym piracie, o Demonie Walki.

Struny ucichły.

– Żaglowce wyspiarskie zniszczyły okręt pana i władcy mórz – rzekł starzec pół w przestrzeń, trochę do słuchaczy, a trochę do siebie. Zamilkł na krótko, potem powiódł wzrokiem po otaczających go twarzach, na których malowało się zdziwienie, bo to nie była

zwykła opowieść, nie taka jak inne. Garbus używał rzadkich słów i odnosił się wprost do słuchaczy. – Wasze żaglowce, Agarczycy.

Struny zabrzęczały ponuro, zgrzytliwie, niespodziewanie fałszywie.

– Okryliście się sławą...

Uroczysty ton znów przemienił się w przykre zgrzytanie.

– Posłuchajcie zatem, co powiem. Oto wasi synowie spalili okręt Demona, okręt noszący imię Pana Wód i będący pod jego specjalną opieką. Macie wielki dług wobec Bezmiarów i nikt nie zapyta, czy gotowi jesteście go spłacić. Wojna stoi u waszych drzwi. To tutaj, na zapomnianych przez Szerer Agarach, wybuchnąć ma płomień najbardziej niezwykłych zdarzeń. W wielkiej księdze, o której nawet nie słyszeliście, zapisano prawa dotyczące Szerni i jej świata. Niektóre z nich wkrótce poznacie.



CZĘŚĆ PIERWSZA

# Demon Walki

# ROZDZIAŁ 1



**W**szyscy na pokład. Już. Spokojne, niegłośno wypowiedziane słowa utknęły w gwarze licznych rozmów i zrazu nie przyniosły żadnego efektu. Jednakże już po chwili ich sens dotarł do jakiegoś marynarza – i człowiek ten zamilkł, zamilkli też jego najbliżsi towarzysze, potem następni, zdziwieni nagłą ciszą tu i tam... Minęło niewiele czasu, a w dziobówce słychać było tylko poskrzypywanie poszycia okrętu.

– Wszyscy na pokład. Wołać mi tu bosmana.

Majtkowie na łeb na szyję wyskakiwali z hamaków, odrzucali wilgotne pledy, gubili kości do gry. Kapitan K.D.Rapis, dowódca największego żaglowca na Bezmiarach, usunął się z drogi pędzącego tłumu. Rzadko bywał w dziobówce; jego widok prawdziwie przeraził marynarzy. Kłębili się teraz na wąskich stopniach, przepychali, próbując jak najszybciej wypełnić – osobiście wydany przez kapitana! – rozkaz. Wkrótce Rapis był sam.

Niespiesznie zlustrował pomieszczenie załogi. Panował smród nie do wytrzymania. Jakieś zbutwiałe szmaty, przeпоcone pledy, wyziewy ciał, cuchnący dym tytoniowy... Kilka latarń słabiutko chwiała się na hakach w rytm uderzeń martwej fali napierającej na kadłub żaglowca. W kącie płonęły podłe łojowe świece.

Załomotały bosc pięty bosmana.

– Tak, panie!

Kapitan odwrócił się niespiesznie.

– Słuchaj, Dorol, co to jest? Co ja tutaj widzę? Myślisz, że jak pływamy razem od paru lat, to co, to już nie musisz nic robić? Co, wszystko masz w dupie? Chcesz zarazy na statku? Ja nie chcę. Jeśli nie potrafisz wytłumaczyć tej zbieraniny, gdzie chodzi się za

potrzebą, toś kiepski bosman, a taki mi na nic. Jeszcze dziś mają być wywietrzone pledy i hamaki. Przegniłe za burtę.

Bosman potakiwał gorliwie.

– Nie słyszałem, żeby na okręcie brakowało latarni – dorzucił Rapis. – Ci tutaj postawili sobie świece. Kilka następnych każę wytopić z twojego własnego brzucha, jeśli jeszcze raz zobaczę na okręcie otwarty ogień. A to jest broń. – Kopnął leżący na podłodze nóż. – Nie powinna być zardzewiała, Dorol. Wierzysz mi? Zabierz tę bandę z pokładu i zrób tutaj porządek. Wynocha.

Bosman znikł.

Rapis pogasił świece i wyszedł na pokład. Zaczepnął świeżego powietrza. Przez chwilę słuchał ryków Dorola, potem ruszył ku rufie. Uciekający przed rozwścieczonym bosmanem majtkowie omijali go dużymi łukami. Jeden zagapił się i wpadł wprost na kapitana. Ujrawszy, kogo staranował, marynarz chciał się cofnąć, ale dowódca pochwycił go za koszulę, drugą ręką za hajdawery, rozkołysał i wyrzucił za burtę. Winowajca darł się i wiosłował w powietrzu łapami, zanim chlupnął. Znowu darł się – to znaczyło, że potrafi pływać.

– Wyłowić, jak trochę ochłonie.

Pyszny żart kapitana przypadł załodze do serca. Gruchnął śmiech.

Rapis zauważył pilota, nieruchomo stojącego pod masztem. Podszedł doń.

– Co tam, Raladan? – zagadnął.

– W porządku, kapitanie.

Rapis potarł podbródek.

– Co myślisz o tej pogodzie?

Pilot uśmiechnął się.

– Zdaje się, że to samo, co kapitan... Zmieni się. Myślę, że jeszcze dziś.

– Też tak czuję.

Przekłęta cisza trzymała ich w miejscu już sześć dni. Tak na oko nic nie zapowiadało jej końca. Jednakże zarówno Rapis, jak i jego pilot mieli przeczucie, że kłopoty dobiegają kresu. Żaden z nich nie potrafił powiedzieć, skąd to przekonanie.

– Gdyby coś się zmieniło, daj mi znać.

– Tak, kapitanie. – Pilot nawet nie mrugnął, choć rzecz była oczywista.

Kapitan postął jeszcze trochę i odszedł. Po chwili był w kajucie na rufie. Uniósł brwi, ujrawszy swego zastępcę. Ehaden siedział na stole, postukując palcami w deski blatu.

– Czekam na ciebie – wyjaśnił.

– Nie trzeba było posłać kogoś?

– Mówiono mi, że poszedłeś do dziobówki – rzekł Ehaden. – Nie wiem, po co, ale widać miałeś jakąś sprawę.

– Ty chyba też masz sprawę – zauważył kapitan.

– Niezbyt pilną.

Rapis skinął głową. Oparł ramiona o stół i pochyłony badał wzrokiem mapę Zachodniego Bezmiaru, na której siedział oficer.

– Powiedz mi, co za żeglarze pływali po tych wodach, skoro wyspy jak ta, którą mamy na lewym trawersie, nie są zaznaczone na mapach? – zagadnął po długiej chwili.

– Dziwi cię to? A ilu żeglarzy wypływa tak daleko na południowy zachód od Garry?

– Jednak jacyś wypłynęli, skoro są mapy, choćby i niedokładne.

Ehaden wzruszył ramionami.

Rapis w zamyśleniu kręcił głową.

– Ta pogoda doprowadzi mnie do szału. Raladan mówi, że dostaniemy wiatr, i ja też tak myślę. Czas najwyższy, tkwimy tu już tydzień. Słyszałeś o czymś takim na Bezmiarach?

– Bezmiary są duże...

– Nie wiadomo, jakie są – przerwał Rapis. – Pytam: słyszałeś kiedy o takiej pogodzie? Tydzień ciszy o tej porze roku?

– Nie słyszałem o wielu rzeczach. Na przykład o ptakach wielkich jak okręt – przypomniał skrzydlate olbrzymy, widziane przed trzema dniami.

Rapis w milczeniu obserwował twarz swego zastępcy.

– Ostatnio jakoś nie możemy się dogadać – skonstatował wreszcie. – Co mnie obchodzą wielkie ptaki, Ehaden? Jak nasra taki do morza, to będzie wielki plusk. Mówię o pogodzie. Mówię, że zmieni się

dzisiaj. Tak uważam, tak myślę, a skoro potwierdza to Raladan, możemy być pewni. Będzie wiatr. Bierzemy jakiś kurs. Jaki to będzie kurs? Powrotny? – pytał, nie kryjąc złości. – Teraz dobrze? Takich pytań ci trzeba, żebyś pojął, co chcę od ciebie wyciągnąć, mówiąc o pogodzie?

– Chcesz wracać?

– Chcę wracać.

– Chyba jeszcze za wcześnie. Cesarskie eskadry na pewno wciąż kręcą się po morzu.

– Albo sterczą w miejscu, jak my – przytwierdził Rapis. – No i może dzięki temu spotkamy parę holców. Wspaniałych holców straży morskiej, z żółtymi albo i niebieskimi żaglami...

– Oszalałeś?

– Nie. Nie oszalałem.

Ehaden otworzył usta, lecz kapitan ostrzegawczo uniósł rękę.

– Ani słowa, Ehaden. Wystarczy. Jak długo jeszcze będziemy uciekać? Co się z nami stało? Cesarskie okręty, pomyśl, przecież to śmieszne! Dawniej, zamiast uciekać, spalilibyśmy jeden albo dwa, prześlizgnęli się między pozostałymi po to tylko, żeby znów doskoczyć z boku. Bywało tak przecież, bywało! Pamiętasz, jak pływaliśmy na „Mewie”? Ściagała nas Flota Dartańska, i co? Spaliliśmy dwa holki, a potem portową dzielnicę w La. Jaka sława, Ehaden, jakie łupy! A dziś? Nie siedzimy już na starej „Mewie”. Ależ! Siedzimy na „Wężu Morskim”, pływającej fortecy, większej od czegokolwiek, co pływa po morzach Szereru. Ale ujrzelśmy armektańskie szniki, olbrzymie szniki, tak wielkie, że mogliśmy przejechać po nich bez obawy o całość dziobnicy! – Rapis złościł się coraz bardziej. – Robimy zwrot i zamiast na północ płyniemy na południowy zachód. I to jak! Gdyby nie ta przeklęta flauta, bylibyśmy już nie wiadomo gdzie!

– Uspokój się, Rap.

– Uspokój? Ależ człowieku, jestem tak spokojny, że mógłbym niańczyć cesarskich wojaków! Mówisz „uspokój się”?

– Uspokój się. Może rzeczywiście staliśmy się zbyt ostrożni. Ale nie tym razem. Nie uciekaliśmy przed armektańskimi sznikami, dobrze

wiesz. To nie były okręty kurierskie, bo takie pływają samotnie. To była eskadra rozpoznawcza albo i pościgowa. Dobrze wiesz, że nie mogliśmy po nich przejechać, bo są na to za szybkie, mogliśmy co najwyżej czekać, aż się rozdziela i zawezwą ciężkie eskadry. Za tymi sznikami stały armektańskie holki, to obława. Nie wiesz czy zapomniałeś?

Rapis westchnął.

– No, i to właśnie próbuję ci wytłumaczyć. Pływamy na okręcie, który może i powinien stawić czoło obławie. Powinniśmy topić strażników, zamiast uciekać przed nimi. Wszystkiego mamy za dużo. Za dużo prochu, za dużo strzał, a zwłaszcza za dużo ludzi. Mamy tylu ludzi, ilu siedzi na dwóch holkach. Połowa to świeży zaciąg, marzyli o stosach złota i klejnotów, o walce, słyszysz? Walce pod kapitanem Rapisem, legendarnym Demonem, który wziął ich na „Węza Morskiego”. A kapitan uciekł, jak tylko dojrzał cesarski okręt.

Potrząsnął głową.

– Jak tylko dostaniemy trochę wiatru, wracamy. Kurs na Garrę. Na Garrę, słyszysz? Choćby przyszło halsować bez końca.

– Na Garrę? Z tym, co mamy w ładowni?

– A co my tam mamy, Ehaden? Rano żyło czterdziestu paru. Jeśli teraz popłyniemy do Bany, to ilu tam dowieziemy? I w jakim będą stanie? Musimy nałapać nowego towaru.

– Niewolnik się nie opłaca. Nigdy się nie opłacał.

– A ty wciąż swoje. I tak musimy płynąć do Bany. Lepiej chyba z pełną ładownią?

Ehaden myślał.

Z kapitanem ostatnio trudno było się dogadać. Mieli gonić i tłuc strażników morza czy porywać i sprzedawać chłopów z wiosek?

Inna sprawa, że naprawdę powinni płynąć do Bany. Rapis miał tam swoich wywiadowców, zbierających wieści o wszystkim, co działo się w zachodnim i środkowym Armekcie.

– Dobrze, w końcu to ty dowodzisz okrętem. – Zsunął się ze stołu. – Jakie rozkazy?

– Na razie każ wydać dodatkowe pół kubka wódki na głowę. Wyjmij z ładowni kobiety, kilka się jeszcze rusza. Daj je załodze, bo



i tak pójdą na straty. Niech ludzie pobawią się wieczorem, skorzystają. Miałeś jakąś sprawę? – przypomniał.

– Już nie – odparł oficer. – Myślałem o górnym biegu tego prądu, który w zeszłym roku pociągnął nas pod Akarę. Łączył się z Prądem Zachodnim, ale tylko łączył, to nie był górny Zachodni – przypomniał. – To może być gdzieś tutaj, dziś rano zdawało mi się, że niedaleko tej wyspy woda ma inny kolor i łamie się, wiesz jak. Ale skoro płyniemy na Garrę...

Rapis skinął głową.

– Sprawdzimy, czy to ten prąd. Pogadaj z Raladanem, on spojrzy i będzie wiedział, jeśli do tej pory jeszcze nie zobaczył... ale pewno zobaczył, bo on takie rzeczy widzi bez wychodzenia na pokład. Wszystko jedno, dokąd płyniemy, warto wiedzieć, czy jest tu coś takiego.

Ehaden skinął głową i wyszedł. Ale wrócił prawie natychmiast. Towarzyszył mu wachtowy.

– Co tam? – zapytał Rapis, choć już wiedział.

Skrzypiały wiązania kadłuba. Inaczej niż od martwej fali.

– Wiatr, panie! – rzekł szczęśliwy marynarz. – Z południowego zachodu!

## ROZDZIAŁ 2



**N**a Morzu Garyjskim spotkali okręt widmo. W ciszy marynarze tłoczyli się wzdłuż bakburty. Zimny już, doszczętnie wypalony wrak powoli dryfował z wiatrem na północny wschód. Na wytrawionej ogniem rufie nie dało się odczytać nazwy żaglowca, ale wszyscy dobrze ją znali: „Północ”. Widzieli oto resztki wielkiej hogi Alagery. Ona sama (poznano ją po szkarłatnej odzieży i furkoczących na wietrze złotych włosach), powieszona za nogi, kołysała się na zachowanym od ognia bukszprycie.

– Obława – skwitował Ehaden. – Mieliśmy rację, uciekając, Rap. Złapała ją silna eskadra, to nie był jeden holc. Jeśli Brorrok tak samo, to...

– Starego Brorroka nie złapią wszyscy cesarscy razem więci – orzekł Rapis. – Co innego ta tutaj. – Pokazał powieszoną kobietę. – To był okręt? Burdel i tyle.

– Ale dobry.

– Burdel czy okręt?

Wielkie trzymasztowe kogi, jak „Północ”, nazywano w tych stronach hogami – bo więcej miały wspólnego z chodzącym na wiatr holkiem niżli wychodzącą z użycia pływającą ładownią, czyli wczesną kogą. Alagera miała całkiem dobry okręt.

– Nie uwierzysz: nigdy mi nie dała – rzekł Ehaden. – Chociaż widzieliśmy się aż cztery razy.

– No, to jesteś jedynym żeglarzem na świecie, który widział ją aż cztery razy i nie wlażł z kopytami do środka – skonstatował Rapis. – I pewnie tak już zostanie. Chyba że chcesz teraz? Możemy podpłynąć

bliżej. Daj rozkaz przy działach – dorzucił z całkiem innej beczki. – Wypada puścić ją na dno.

Zapędzono kanonierów do dział. Nie minęło wiele czasu, a powietrze rozdarł szereg potężnych, prawie jednoczesnych grzmotów. Kamienne kule, posłane z najmniejszej odległości, z łoskotem uderzyły w popalony kadłub, który cudem utrzymywał się na wodzie. Zrobili zgrabny zwrot – po tygodniu beczynności trochę ćwiczeń przy żaglach nie mogło załodze zaszkodzić – i poprawili drugą pełnoburtową salwą. Kanonierzy Rapisa mogli mierzyć spokojnie, to nie była bitwa...

Wkrótce „Wąż Morski” wolno odchodził na zachód. Załoga spoglądała na tonący okręt do chwili, aż skrył się pod falami.

– Morze wzięło – rzekł Rapis. – Chodź, Ehaden, pomyślimy, co dalej. Zmienimy trochę plany. Nie lubiłem tej zdziry, ale cesarskim nic do tego. Mam pomysł, jak nałapać towaru, a zarazem wyrównać rachunek Alagery.

Udali się na rufę.

o o o

Następnego dnia wieczorem stojący na oku marynarz obwołał ziemię. To była Garra, a raczej jedna z przyległych wysepek.

Rapis dobrze znał ten kawałek lądu. Był tu niewielki port, w którym – oprócz łajb rybackich – stacjonowały dwa lub trzy małe okręciki straży morskiej. Dla pirackiej karaki nie były one żadnym zagrożeniem; cóż mogły poradzić trzy stare jak świat szniki przeciw największemu okrętowi Bezmiarów? Dlatego Rapis już parokrotnie zawijał do przystani, by uzupełnić zapasy żywności i słodkiej wody. Mógł pozwolić sobie na beczelność; gdy przyplýwał, strażnicy zwykle siedzieli zupełnie cicho, udając, że ich w ogóle nie ma. Prawdę rzekłszy, nic lepszego do roboty nie mieli. Przeważnie „Wąż Morski” stał na redzie, czekając na powrót wysłanych po zaopatrzenie łodzi. Jednakże tym razem kapitan miał inne plany. Port był wystarczająco głęboki, by przyjąć jego karakę.

Panowała głucha noc, gdy okręt wpływał do przystani holowany przez własne łodzie. W niedalekiej wartowni zabłysło wątle światelko; z brzegu dobiegł okrzyk:

– Ktoś ty?!

Cisza. Olbrzymia bryła okrętu, skrzypiąc, naparła na belki pomostu. Marynarze rzucili cumy.

– Ktoś ty?!

Rzucono trap. Po obu jego stronach majtkowie postawili maźnice z płonąca smoła. Trap rozjęczał się pod uderzeniami marynarskich nóg. Każdy z zabijaków niósł pochodnię, którą zanurzał w maźnicy. Wkrótce dwie setki ruchomych ogni rozświetliły port. Natarczywy głos z wybrzeża ucichł, w leżącej nieopodal wiosce zaśniły migocące światelka w oknach. Chwilę potem z pokładu zabrzmiał silny, wyraźny głos:

– Wieśniaków żywcem, ale tylko wieśniaków! Naprzód!

Gromada marynarzy runęła w stronę wartowni.

Żołnierze postanowili drogo sprzedać swe życie. Nigdy nie zaczepiali załogi pirackiego żaglowca, bo byłoby to zwykłe szaleństwo. Zresztą nigdy dotąd nie zdarzyło się nic, co zmusiłoby ich do działania. Poczynania morskich rozbójników były bezczelne i zuchwałe, lecz poza tym... właściwie zgodne z prawem. Owszem, „Wąż Morski” uzupełniał zapasy, jednak płacono za nie miejscowemu oberżyscie (choć prawda, że była to zapłata raczej umiarkowana...); pirackiemu kapitanowi z oczywistych powodów nie zależało na puszczeniu karczmarza z torbami. Teraz jednak, w obliczu ataku dzikiej bandy, cesarscy żołnierze nieoczekiwanie wykazali swą sprawność. Nadzieje Rapisa na zaskoczenie małego garnizonu zawiodły. Jego ludzie ujrzeli nagle w półmroku zwarty szyk wyćwiczonej piechoty, stanowiącej uzupełnienie załóg stojących w porcie okrętów. Większość wyrwana ze snu, bez zbroi, niektórzy półnago – przecież prezentowali się groźnie. Od strony przystani doleciał potężny huk: to „Wąż Morski” zluzował cumy i ogniem swych dział rozstrzeliwał bezbronne cesarskie okręciki. W tej samej chwili, jakby na umówiony sygnał, pierwszy szereg żołnierzy przykleknął, celując z kusz, żołnierze

w drugim szeregu unieśli napięte łuki. Świsnęły pociski, grupa piratów zatrzymała się nagle, padali zabici i ranni. Przez jęki i wrzaski przebił się głos Rapisa:

– Dalej! Alagera i „Północ”!

– Alagera! – podchwycili z bojową wściekłością inni.

Żołnierze dalej strzelali z łuków, lecz kusze, broń bardziej śmiercionośna, były już bezużyteczne. Dzika zgraja, wywrzaskując hasło zemsty, runęła na wroga. Szczęknęły krzyżowane miecze, gdzieś gdzieś zaśnił w migotliwym blasku deptanych pochodni grot włóczni bądź szerokie żeleźce topora. Kusznicy, chwyciwszy za miecze, próbowali osłonić wciąż strzelających łuczników, ale wobec liczebnej przewagi przeciwnika udawało się to tylko przez chwilę. Linia strażników pękła, rozpadła się na dwie osobne grupy, które natychmiast otoczono. W poblasku ostatnich gasnących iskier żołnierze toczyli beznadziejną walkę. Bili się zawzięcie, w milczeniu – każdy na własną rękę, ale sprawnie, tak sprawnie, że trup po stronie piratów ścielił się gęsto. Wkrótce stłoczono ich jednak, przemieszano. Walka zmieniła się w masakrę.

Tymczasem druga setka zbójów pustoszyła wieś. Tu dowodził Ehaden. Gdy Rapis dorzynał żołnierzy, płonęły już niepewnie pierwsze domy. Grupy zbirów wpadały do chałup, skąd natychmiast dobiegały wycia, płacz i krzyki rybaków. Rozhukani majtkowie rzucali się pośród domów jak wściekli, ujadały psy, z ogarniętego pożarem kurnika wysypały się otumanione dymem kaczkę i kury, powiększając jeszcze zamieszanie. Tam gdzie wieśniacy stawili rozpaczliwy opór – zabijano bez cienia litości. Krew płynęła obficie, mordercy Ehadena rąbali mieczami i toporami wysunięte w obronnym geście ręce, dźgali pozbawione osłon brzuchy, rozbijali głowy. Jęki gwałconych kobiet ginęły w przeraźliwym płaczu dzieci, które jako nieprzydatne do transportu siłą odrywano od matek. Strzechy chałup płonęły coraz jaśniej, trzask gorejących krokwi mieszał się z dobiegającym od strony portu zwycięskim grzmotem dział „Węza Morskiego”.

Ehaden nie brał udziału w rzezi. Stał pośrodku wioski z mieczem pod pachą i ze zwykłym spokojem wydawał polecenia

podbiegającym piratom. Baczył, by nikt z mieszkańców wioski nie zdołał zbiec do pobliskiego lasu, czasem w milczeniu wskazywał cel trzem najlepszym łucznikom z załogi, których trzymał przy sobie. Tak zastał go Rapis, nadciągający na czele zziajanych, pokrwawionych i rozradowanych wojowników.

– Za dużo trupów! – powiedział ostro kapitan. – Mamy prawie puste ładownie.

– To ludna wioska – mruknął oficer, wskazując wyłaniającą się spomiędzy chałup kolumnę kilkudziesięciu powiązanych wieśniaków. Połowę stanowiły kobiety. Jeńców popychano brutalnie, ale z umiarem. Eskorta dbała o towar.

Z pobliskiej chaty wytoczył się rybak z krwią na twarzy. Trzymał gruby drąg. Rapis przymierzył się, zakręcił toporem nad głową i trafił wieśniaka prosto w łeb. Miał krzepę. Rozbrzmiały pochwalne okrzyki łuczników Ehadena i paru innych piratów. Marynarze cieszyli się, że mają kapitana, który umie im zaimponować! Ktoś podbiegł do zabitego, przydepnąwszy go, wyrwał topór i odniósł dowódcy.

– Wyślij ludzi do oberży – powiedział Rapis, ocierając ostrze. – Cesarscy niewiele mają na składzie. Słyszysz, Ehaden?

Oficer skinął głową.

– Raladan się tym zajął. Załadunek żarcia i słodkiej wody zakończymy przed świtem. Ale na razie były tylko trzy salwy. – Machnął ręką w stronę przystani. – Dwie burtowe i jedna z pościgowych albo rejteradowych. Za mało na trzy szniki. Jak się nie pospieszą i nie staną zaraz u nabrzeża... – Urwał, bo właśnie dało się słyszeć grzmot kolejnej salwy burtowej, a zaraz potem słabszej, z dziobu albo rufy. – No, jeszcze ze dwie i wystarczy.

– Trzeba to było spalić i tyle.

– A po co? Niech poćwiczą przy działach. Zostawimy trzy piękne pływające trupy zdemolowane tak, że cesarscy narobią w portki, gdy pomyślą o ciężarze naszej salwy.

Przechodzący obok zziajany marynarz cisnął pochodnię na dach pobliskiego domu. Buchnęły płomienie.

Powoli milkły ostatnie wrzaski mordowanych. Rozwrzeszczane dotąd bezładnie głosy zaczęły się łączyć w starą, ponurą morską pieśń:

*Podmorskie fale zielonym echem  
podwodnej trawy przynoszą szmer.  
Przegniłe dłonie martwego szypra  
na dnie otchłani trzymają ster.*

Rapis przytknął do ust gliniany gwizdek. Głosy umilkły, w ciągu kilku chwil miał przed sobą całą załogę.

Płomienie huczały. Z trzaskiem zawalił się dach jednej z chat.

– Wracamy na przystań – powiedział kapitan. – Bosman, do mnie.

Grube chłopisko natychmiast wysunęło się z tłumu.

– Weź dwudziestu ludzi pod strażnicę i pozbierajcie wszystko, co może się przydać, zwłaszcza niezbyt poszarpane zbroje. Kto nie ma, może wybrać dla siebie. To samo miecze, kusze i reszta. Sprawdź, Dorol, graty płatnika, to mały garnizon, ale mogą mieć trochę srebra. Pozostali na okręt!

Szli zwartą gromadą, otaczając grupę zawodzących jeńców. Jakiś gruby, chropawy głos podjął:

*A nad powierzchnią niebo się chmurzy,  
z mocami sztormu siądźmy do gry.  
Śpiewa wiatr w wantach, śpiewa o burzy,  
więc zaśpiewajmy i my.*

*Podmorskie fale zielonym echem...*

Rapis nie ruszył z innymi. Patrzył za oddalającą się grupą, potem powiódł spojrzeniem dokoła. Miał tu jeszcze coś do zrobienia... ale zapomniał co.

Huk pożarów narastał, płonęły już nie tylko strzechy, ale i ściany chałup; z trzaskiem i łomotem spadały jakieś zwęglone belki

i żerdzie. W kłębach wszechobecnego dymu majaczyły, coraz bardziej rozmazane, wielkie plamy ognia. Gdzieś rozległ się krzyk – krótki, urywany.

Rapis stał i spoglądał dokoła.

Tak płonęły żaglowce. We mgle. Skazane na zagładę żaglowce...

Wielki holk, gnany wiatrem, niosąc w takielunku burzę szybkich płomieni, podchodził od nawietrznej – i zderzenie było nieuniknione. Rapis ujrzał nagle całe swoje nieudane życie, które miało oto dobiec kresu w kłębach ognia lub pośród słonej morskiej wody. Płonący holk zbliżał się niczym przeznaczenie, wreszcie z łoskotem i trzaskiem uderzył w burzę „Węża” – a wtedy potworny wstrząs wyrzucił kapitana do morza. Poczul zimne uderzenie fali.

– Zasnąłeś?

Chałupy płonęły. Gęsty dym utrudniał oddychanie.

– Zasnąłeś? – powtórzył Ehaden. – Wróciłem po ciebie, bo...

Rapis rzucił mu szybkie spojrzenie i głośno przełknął ślinę.

– Nie, nie zasnąłem... – rzekł powoli. – Przywidziało mi się tylko. Zapatrzyłem się na ogień. Ten płonący holk, co nas wtedy staranował, pamiętasz. Ile to? Dwa, trzy lata temu?...

Odwrócił się i ruszył ku przystani.

Płonący holk.

Ehaden stał zamyślony, spoglądając za odchodzącym.

– Nigdy nic nas nie staranowało, Rapis – rzekł pół do siebie, pół w przestrzeń. – Żaden płonący holk.

Kapitan zniknął za kotarą dymu. Oficer zaniósł się kaszlem i ruszył śladem dowódcy, kryjąc twarz w zgięciu łokcia. Oczy zaczęły mu łzawić.

Skojarzenia. Płonące domy, płonące okręty... Dziwne skojarzenia uznawane za rzeczywistość. Sny na jawie. To nie po raz pierwszy.

Ehaden był szczerze zaniepokojony. Bał się o przyjaciela.

Powiew wiatru zepchnął na bok kłęby dymu. Wieś stała się jednym wielkim morzem ognia.



## ROZDZIAŁ 3



Szcześliwa gwiazda znów się do niego uśmiechała. Znał małą, dziką zatoczkę w okolicach Bany. Tam ukrył „Węza Morskiego”, sam zaś, wraz z paroma pewnymi ludźmi, dowiózł szalupami na ląd prawie setkę niewolników i niewolnic. Musieli obrócić kilka razy, było już ciemno, gdy skończyli wyładunek. „Wąż Morski” natychmiast odszedł na zachód, gdzie wtopiony w tło górzystego, porośniętego lasem akarskiego pazura mógł być niewidoczny; wrócić miał dopiero za dwa dni. Rapis wiedział, że ostrożność popłaca; miejsce było odludne, jednak zbyt wiele statków pływało pobliskim szlakiem. Nie chciał narażać swego cennego żaglowca bardziej niż to konieczne.

Jeszcze przed świtem starannie ukryli łodzie, po czym stado więźniów, eskortowane przez marynarzy, zostało poprowadzone w głąb pobliskiego lasu. Rapis, mając przy sobie tylko pilota Raladana, przesiedział do świtu na plaży. O brzasku ruszyli w stronę niedalekiej wioski. Kapitan trzymał tam dwa konie, u bogatego chłopa. Wieśniak mógł ich używać do woli, w zamian miał tylko dbać o zwierzęta i... milczeć. Chętnie czynił jedno i drugie; wielki pirat upominał się o wierzchowce raz, czasem dwa razy do roku. I bywało – potrafił być hojny.

Wkrótce Raladan i Rapis kłusowali gościńcem w stronę Bany, największego miasta w południowo-zachodnim Armeckie.

Bana była miastem młodym, czy też może lepiej: odmłodzonym i świeżo rozkwitłym. Po zajęciu Dartanu, a potem Garry i Wysp wielki port na zachodnim wybrzeżu Armektu okazał się bardzo potrzebny. Po zjednoczeniu Szereru w granicach Wiecznego

Cesarstwa Armekt częściowo przejął dartańskie rynki zbożowe, a największym rynkiem zbytu dla zboża była właśnie Garra.

Bana, małe portowe miasteczko, zaczęła rozrastać się gwałtownie w okresie armektańskich podbojów. Trzy Porty nad Zatoką Królewską były zbyt oddalone od obszaru działań; potrzebny okazał się wielki port wojenny, położony bliżej południowych rubieży kontynentu. Nie mógł spełnić tej funkcji Tarwelar, usytuowany nad morzem, które nie bez powodu nazwano kiedyś Zamkniętym. Osłonięta zakrzywionym jak pazur półwyspem Zatoka Akara, nad którą leżała Bana, zapewniała doskonałe warunki.

Miasto bogaciło się, piękniało i rosło. Dartańska architektura, od chwili przyłączenia Dartanu do imperium święcąca istne triumfy w całym Wiecznym Cesarstwie, zaanektowała Banę bez reszty, czyniąc z niej Lłapmę Zachodu – bo istotnie uderzało podobieństwo między młodym wielkim portem a stolicą dartańskich Zachodnich Wybrzeży, uznawaną za drugie miasto świata. Strzeliste, bielone budowle niewiele miały wspólnego z oszczędnym armektańskim stylem; ktoś, kto zbliżał się ku nim, łatwo mógł odnieść wrażenie, że oto za sprawą jakichś czarów przeniesiono go do Złotej Prowincji.

Jednakże, jeśli nawet Rapis i Raladan dostrzegli piękno wyłaniającego się przed nimi miasta, to nie dali tego poznać po sobie. Obaj miejscowi wywiadowcy Rapisa byli karczmarzami – spotkanie z nimi nie dało okazji do podziwiania Bany. Także i później, przemierzając przestronne ulice, kapitan i szyper wykazywali zupełną obojętność dla uroków dartańskiej architektury. Gdy wreszcie zatrzymali się przed jednym z domów-pałacyków, bynajmniej nie uczynili tego po to, by podziwiać świetne kształty i proporcje budowli. Stali u celu podróży.

Zarówno kapitan pirackiego żaglowca, jak i jego pilot zupełnie nie przypominali morskich rozbójników. Odziani byli inaczej niż na pokładzie „Węża Morskiego”, nosili proste w kroju i wygodne, ale bynajmniej nie siermiężne, armektańskie stroje podrózne. Także końskie rzędy wydawały się świadectwem dyskretnej zamożności obu jeźdźców. W oczach postronnego obserwatora ci mężczyźni mogli uchodzić zarówno za kupców, jak też właścicieli niedużych,

lecz zapewniających dostatek dóbr ziemskich. Doskonale, trochę dłuższe od wojskowych miecze mogły wprawdzie zaświadczać o Czystej Krwi płynącej w żyłach jeźdźców – takiej broni nie nosił byle mieszczuch – z drugiej jednak strony w Armeckie każdy wolny człowiek miał prawo nosić miecz i nikogo nie pytano, co z nim robi i ile zań zapłacił.

Na niewielkim dziedzińcu przed domem podróżni zsiadli z koni i powierzyli je służbie. Zaraz potem, poprzedzani przez niewolnika, weszli do wnętrza pałacyku. Podali imiona, pod którymi byli znani gospodarzowi.

Nie musieli długo czekać.

Pod nieobecność właściciela hodowli, odbywającego podróż w interesach, przyjęła ich Perła Domu. Rapis znał tę niewolnicę i wiedział, że zupełnie otwarcie może z nią omówić wszystkie sprawy. Żona właściciela hodowli nie mieszała się do interesów męża; Perła Domu przeciwnie – miała wszelkie pełnomocnictwa i była pełnoprawną zastępczynią właściciela. Na pierwszy rzut oka niewolnica warta była osiemset sztuk złota, jednak kapitan „Węza Morskiego” miał świadomość, że to niemożliwe; właściciele hodowli nie byli aż tak rozrzutni. Nie zauważył, by kiedykolwiek chodziła brzemienna, nie była więc przeznaczona do rozplodu. Oznaczało to, że musiała mieć jakieś ukryte wady, drastycznie zbijające cenę – był to najczęstszy powód, dla którego takie kobiety zatrzymywano na stałe w przedsiębiorstwach hodowlanych. Być może nawet nie miała certyfikatu Perły.

Zazwyczaj uzyskiwały go dopiero piętnastoletnie, a więc już dorosłe dziewczyny. Rzadko, bo rzadko – zdarzało się jednak, że w ciągu kilku następnych lat Perła głupiała albo brzydła, zmieniało się jej usposobienie i należałoby właściwie certyfikat odebrać. Jednakże wystawiany był dożywotnio, bo tak chciało prawo.

Niewolnica, ubrana w świetnie skrojoną domową suknię, powitała przybyłych i przez chwilę prowadziła lekką, żartobliwą rozmowę, ze względu na Raladana posługując się kinenem – uproszczoną wersją armecktańskiego. Zręcznie zmieniała tok rozmowy, omal niepostrzeżenie przechodząc do interesów. Rapis,

najwyraźniej czujący się w tym domu równie dobrze jak na pokładzie okrętu, gładko i rzeczowo, bez żadnych niedomówień, przedstawił swoją ofertę, podał liczbę i szacunkową wartość towaru.

– Widzisz więc, pani – zakończył (niewolnicy o statusie Perły Domu, reprezentującej właściciela, przysługiwał tytuł jak kobiecie Czystej Krwi) – że sprawa jest nieco poważniejsza niż zwykle.

Kobieta zmarszczyła lekko brwi, rozważając coś w myślach.

– Tak – odparła krótko. – Poważniejsza, ale i bardziej kłopotliwa – dorzuciła po chwili. – Przecież zdajesz sobie sprawę, wasza godność, że towar czwartego sortu znajdzie nabywcę natychmiast, bo siła robocza w kopalniach i kamieniołomach jest bardzo potrzebna. Obojętne jest mi zatem, czy nabędę partię stu, czy dwustu sztuk; owszem, im więcej, tym lepiej. Nikogo nie interesuje tak naprawdę, skąd biorą się niewolni robotnicy w kopalniach. Zwłaszcza jeśli są Wyspiarzami albo Garyjczykami. – Uśmiechnęła się z lekką ironią. – Tu akurat nic się nie zmieniło.

Rapis skinął głową. To prawda, surowe prawo imperium, regulujące zasady handlu żywym towarem, w niektórych wypadkach było dziwnie bezsilne. W Kirlanie pewnych rzeczy nie dostrzegano. Rybackie wioski na Wyspach leżały tak daleko – a tutaj był Armekt, gdzie w kopalniach stale brakowało rąk do pracy. Nawet jeśli niektóre z tych kopalń znajdowały się w rękach prywatnych, zapewniały niemałe dochody z podatków. Wobec braku wojen niewolników pozyskiwano wyłącznie z hodowli, będących raczej przedsiębiorstwami „kupno-sprzedaż”. Utrzymujący się w rozsądnych granicach nielegalny handel był zjawiskiem po prostu pożądanym. Oczywiście okręt piracki, przychwycony z ładownią pełną jeńców, nie mógł liczyć na żadne względy. Z drugiej strony jednak prywatne kopalnie i kamieniołomy kontrolowane były przez cesarskich urzędników zdumiewająco pobieżnie...

– Obawiam się jednak, wasza godność – podjęła Perła Domu – że wyjątkowo duża, jak zapewniasz, liczba młodych i ładnych kobiet przyniesie ci zamiast spodziewanego zysku tylko kłopot. Nie kupię, panie – rzekła prosto z mostu. – Popyt – wyjaśniła zwięźle, widząc zdziwione spojrzenie kapitana. – Nie ma popytu. Domy publiczne są

przepełnione, niewolnice-prostytutki nie mają w tym roku prawie żadnej wartości. Nieurodzaj – znów wytłumaczyła zwięźle i krótko. – Czyżbyś nic, panie, nie wiedział? Jak to możliwe?

– Słyszałem. Ale nie sądziłem, że aż tak.

– Klęska – podsumowała Perła. – Klęska nieurodzaju. Wiele rodzin znalazło się na skraju nędzy. Codziennie pojawia się tutaj jakaś dziewczyna, a czasem kilka dziewczyn. Jeszcze tydzień temu kupiłam dwie, ale rzeczywiście było co kupować. Pozostałe odprawiłam i, o ile wiem, nie kupuje ich także nikt inny. Żywy towar, wasza godność, jest właśnie żywym towarem i jeżeli w krótkim czasie nie znajdzie nabywcy, to zacznie przejadać spodziewane zyski. Można przez lat kilkanaście wychowywać, uczyć i szlifować dziewczynę ze starannie dobranej pary rozplodowej, żeby potem sprzedać jako Perłę za siedemset albo więcej sztuk złota. Przecież, jeśli nawet nie uzyska certyfikatu Perły, to i tak będzie niewolnicą pierwszego sortu i przynajmniej nie przyniesie strat. Ale materiał na tanią prostytutkę albo posługaczkę? Koniunktura poprawi się najprędzej za rok, a kto wie czy nie za dwa lata. Te kobiety trzeba doprowadzić do porządku, potem je utrzymywać. Przez rok albo kilka lat?... Dzisiaj, wasza godność, musiałyś mi dopłacić, żebym zgodziła się wziąć te Wyspiarki. Mężczyźni to co innego, zawsze ich brakuje i brakować będzie. Dobrowolnie żaden nie sprzeda się do hodowli, choćby przymierał głodem. To puste prawo, z którego prawie nikt nie korzysta, wasza godność, przecież wiesz. Taki mężczyzna może mieć pewność, że trafi do kamieniołomu.

Rapis, otrząsnąwszy się z zamyślenia, uniósł rękę. Perła chciała złagodzić odmowę albo się po prostu nudziła, bo nie zamykały się jej usta.

– Dobrze, pani – uciał trochę zniecierpliwiony. – Wiem, jak działa rynek. Zapomnijmy o kobietach. Kupisz więc tylko mężczyzn?

– Kilka kobiet... może. Jeśli silne i niezbyt ładne. Naprawdę silne i naprawdę nieładne – podkreśliła. – Kobiety przy pracy w kopalniach niezbyt się opłacają i zbyt mało zwracają uwagę. Trzeba

je przebierać za mężczyzn. Mogę wziąć kilka, panie, ale, prawdę mówiąc, raczej dla podtrzymania dobrych stosunków handlowych.

Przez chwilę liczyła coś w myślach, po czym wymieniła sumę.

– To przybliżona oferta, oczywiście – uściśliła. – Jak zwykle otrzymasz, panie, kogoś, kto oceni towar na miejscu. Liczę, że przystaniesz na ostateczną cenę? Nie leży w moim interesie obłupienie cię ze skóry, wasza godność – zmarszczyła lekko nos i zaśmiała się – bo następnym razem pójdziesz do konkurencji! Zapewniam, że jak zawsze, tak i teraz ostateczna cena będzie miała odbicie w rzeczywistej wartości towaru. Czy tak?

Rapis skinął głową. Nigdy nie żałował kontaktów z tą hodowlą; miał pewność, że nie pożałuje i tym razem. Spadek koniunktury nie był przecież winą przedsiębiorstwa. Perła w imieniu swego właściciela prowadziła z nim uczciwą grę. Wymieniona przez nią orientacyjna suma była zupełnie rozsądna.

o o o

Przenocowali w niezłym zajeździe i wyruszyli w drogę powrotną następnego dnia rano, gdy tylko pojawili się zapowiedziani przez Perłę Domu ludzie. Jednego z nich Rapis znał; mężczyzna ten już dwa razy towarzyszył mu, by obejrzeć i wycenić przywieziony towar.

Do lasu dotarli jeszcze przed zmierzchem. Dwaj marynarze natychmiast wyłonili się spośród drzew. Jeden zabrał konie Rapisa i Raladana, by odprowadzić do wioski; drugi powiódł przybyłych ku miejscu, gdzie trzymani byli niewolnicy. Kapitan upewnił się, że pod jego nieobecność nie zaszło nic godnego uwagi. Wystawione warty tylko raz przepłoszyły jakichś grzybiarzy. Mało kto zapuszczał się na podobne odludzie.

Po przybyciu na miejsce przedstawiciel hodowli szybko i z wielką znajomością rzeczy dokonał przeglądu towaru. Mężczyźni, choć zabiedzeni (Rapis nie przekarmił ich na „Wężu”), na ogół prezentowali się niezłe – rzecz zrozumiała, bo cherlaków i starców

nie brano, zaś chorzy i ranni prawie wszyscy poszli za burtę w trakcie morskiej podróży. Dodatkowo, zgodnie ze złożoną przez Perłę obietnicą, zakupiono kilka silnych, zdrowych kobiet, co prawda za cenę bardzo niewygórowaną. Jednakże Rapis był zadowolony, bo udało mu się jeszcze sprzedać trzy ładne, dwunasto-, trzynastoletnie dziewczyny; uzyskał za nie nawet całkiem przyzwoitą cenę, szczególnie za najmłodszą, która była dziewicą. Dobiwszy targu, wysłannik hodowli pożegnał się bez zwłoki i nie bacząc na gęstniejący mrok, zabrał całą nabytą grupę pod eskortą własnych, przyprowadzonych z Bany ludzi. Rapis wiedział, że gdzieś tam, w umówionym miejscu na gościńcu, prawdopodobnie czeka na towar karawana wozów... Ale to już nie był jego kłopot i nie jego interes. Złoto miał. Nie tyle, ile się spodziewał, lądując z towarem na wybrzeżu; z drugiej strony jednak wcale niewiele mniej, niż uzyskiwał zwykle. Przywiózł po prostu wyjątkowo dużą partię.

Pozostała przy nim grupa blisko czterdziestu kobiet. Ponadto było dwóch niespełniających wymagań mężczyzn. Kapitan nakazał marsz ku plaży, gdzie miał ukryte łodzie; „Wąż Morski” prawdopodobnie już kotwiczył niedaleko brzegu. Niosąc spory, brzęczący złotem i srebrem worek, Rapis trzymał się końca oddziału. Gdy zbliżyli się do skraju lasu, przywołał Raladana.

– Radź – zażądał krótko. – Nie możemy zostawić tutaj czterdziestu trupów, prędzej czy później ktoś to znajdzie. A chcę, żeby to miejsce było czyste. Radź, Raladan. Kamień do szyi? Dwa, a niechby i cztery topielce, nawet jak wypłyną, to nic się nie stanie...

Pilot zaklął w ciemnościach smagnięty w twarz jakąś gałęzią. Nocny marsz przez las nie należał do przyjemności.

– Dużo zarobiliśmy? – zapytał.

– Tak sobie – niechętnie odrzekł Rapis i pilot uśmiechnął się lekko; kapitan bywał szczodry, ale czasem, dla odmiany, wręcz skąpy. – Dla ciebie wystarczy, Raladanie.

– Nie martwię się, myślę o czymś innym. Jeśli przywieziemy towar z powrotem na pokład, załoga zobaczy, że interes poszedł kiepsko. Nie zdziwią się, gdy niewiele wypadnie na głowę. Nikt nie wie, ile naprawdę jest w tym worku, kapitanie.

– Nie, Raladan. Nawet gdyby mi się chciało targać całe to stado z powrotem na „Węza”, to załoga musi zarobić swoje. Chcesz buntu? Ja nie chcę.

– Jest na to lekarstwo. Masz czterdzieści kobiet, kapitanie. Trzeba było oszczędzać towar, ale teraz to już nie towar. To kłopot. Albo prezent dla załogi, prezent może nawet miłszy niż srebro. Dostaną mniej niż zwykle, ale za to będą kobiety. Całkiem darmo.

Dotarli do plaży. Rozmowa, prowadzona dość cicho, by majtkowie nie mogli nic usłyszeć, zakończyła się śmiechem Rapisy.

– Dobry pomysł, pilocie, naprawdę dobry pomysł. Tak zrobimy.

Niedaleko od brzegu co jakiś czas błyskało wątłe światło. Żaglowiec już na nich czekał.

Łodzie dotarły do „Węza Morskiego”, po czym zawróciły. Nawet mocno przeciążone nie mogły zabrać na raz wioślarzy i czterdziestu kobiet.

Rapis nie popłynął z pierwszą partią, czekał na plaży. Zakotwiczony ćwierć mili od brzegu żaglowiec od wielu lat był jego domem, jednak nawet do domu nie zawsze chce się wracać. Kapitan zdziwiłby się pewnie, gdyby mu powiedziano, że został, bo urzekła go ciepła, gwiazdzista noc. Prawie już zapomniał, co to znaczy być urzeczonym; na pokładzie pirackiego okrętu nie było miejsca dla takich uczuć ani nawet dla takich słów. A jednak to właśnie granatowa, roziskrzona kopuła nad głową, miękki piasek plaży i szmer fal liżących płaski brzeg kazały mu zwlekać z powrotem na pokład karaki.

Nieopodal majaczyło kilkanaście ciemnych, nieruchomych sylwetek. Dwaj marynarze pilnowali kobiet. Wycieńczone i zastraszone bały się głośno oddychać. Milcząca obecność „towaru” stała się nagle Rapisowi przykra; powstał i rzuciwszy swoim ludziom krótkie „czekać!”, powoli ruszył wzdłuż plaży. Wkrótce kalające piasek cienie roztopiły się w mroku i kapitan uświadomił sobie nagle, że jest sam. Inaczej niż w kajucie na „Węzu”. Sam. Mógł iść dokądkolwiek, przed siebie, tak długo, jak tylko chciał.

Fale cicho szemrały na piasku.



Idąc, przypomniał sobie taką samą noc i taką samą plażę przed laty. I zateśknił do tego wszystkiego, co wtedy, na plaży, raz na zawsze zostawił za sobą. Zateśknił do młodego oficera Straży Morskiej Armektu, którym był, i do pięknej, szlachetnie urodzonej Garyjki, która go oszukała.

Zawrócił. Wydało mu się nagle, że jeśli pójdzie jeszcze trochę dalej, to dojdzie do miejsca, gdzie odnajdzie całe swoje dawne, zdradzone życie. Ależ tak, był zupełnie pewien, że ona... ona tam czeka.

Zabiłby ją. Nie chciał tego.

Wracał coraz szybciej, jakby się bał, że majtkowie i kobiety znikną z plaży. Cicha noc armektańska wydała mu się nagle wroga i nieprzyjazna. Miał swój okręt, swoich marynarzy, swoją morską legendę – i nie chciał tego tracić. Nawet na chwilę. Ten okręt i ci marynarze...

Skrzywił usta. Mocno wątpił, by ktokolwiek z załogi rozmyślał nad sensem istnienia, ba, oceniał swoje własne życie. W pewien sposób kochał ich wszystkich. Może właśnie za to? Oni zaś kochali swego kapitana. Żaden nie potrafił powiedzieć dlaczego. Ale czy to miało jakieś znaczenie? Ważne było zupełnie co innego: to mianowicie, że krwawy przywódca morderców, Demon Walki, jak go nazywano, mógł być kochany przez ćwierć tysiąca ludzi – którzy nigdy go nie zdradzili. Przez ludzi. Wszystko jedno jakich. Dość, że według wszelkiego prawdopodobieństwa mało który z zacnych moralistów, tak chętnie dzielących świat na zło i dobro, mógł się poszczycić miłością choć dziesięciu osób, cóż dopiero mówić o setkach. Rapis miał świadomość, że gdy wreszcie odejdzie, pozostawi po sobie dobrą pamięć w sercach marynarzy pływających pod jego banderą. Zależało mu na tym.

I dlatego nie lubił wspomnień z odległej przeszłości. Starał się ich nie przywoływać. Kawał życia miał jeszcze przed sobą – ale już żałował roztrwonionych za młodu lat. Wyjęty spod prawa, przeklęty przez setki, a może i tysiące ludzi znalazł swoje dobro. Swoje miejsce.

Wrócił w chwili gdy pierwsza łódź zaszurała dnem o piasek. Zaraz pojawiła się druga. Majtkowie bez komendy rozpoczęli załadunek niewolnic. Kapitan stał i patrzył bez słowa.

Kobiety niezgrabnie gramoliły się przez burty łodzi. Miały nogi spętane w sposób umożliwiający stawianie małych kroków, oprócz tego związane były wspólnym sznurem, tworzącym pętlę na szyi każdej. Teraz sznur porozcinano, by rozmieścić ładunek w szalupach.

Na stratowanym piasku pozostały tylko jakieś szmaty, widoczne w półmroku jasnej nocy. Marynarze, oglądając się na kapitana, zaczęli już spychać łodzie na wodę. Rapis pochylił się i podniósł z plaży brudny gałgan. Nie chciał zostawiać żadnych zbędnych śladów w tym miejscu. Może był to zbytek ostrożności, ale... Zrobił parę kroków w stronę drugiej szmaty – i nastąpił na żywe, zagrzebane w piasku ciało.

Powoli cofnął się o pół kroku. Odkrył uciekinierkę.

Marynarze, stojąc po pas w wodzie, z trudem przytrzymywali kołyszące się ciężko szalupy. Rapis przysiadł na piętach, oparł łokcie na udach i splótł dłonie, z bliska przyglądając się temu, co znalazł. Rozejrzał się dokoła, próbując zrozumieć. Tak, to było na samym obrzeżu stłoczonego stada niewolnic, za plecami pilnujących towaru marynarzy. Nie miał pojęcia, w jaki sposób ta kobieta zdołała bez zwrócenia uwagi strażników zwlec z siebie postrzępione gałgany i częściowo zagrzebać się w piasku. Bardzo niedokładnie; spod szarych ziarenek w wielu miejscach przebijała naga skóra. Jednakże w mroku nocy ciało i plaża miały tę samą barwę.

Jak uwolniła się od sznura? Poczul mimowolny podziw dla sprytu i zimnej krwi uciekinierki. Zastanawiał się przez chwilę, czy to dygoczące ze strachu stworzenie wie już, że zostało odkryte. Musiała poczuć nacisk jego nogi. Ale nie wiedziała, czy ją znaleziono, czy też może tylko nadepnięto przypadkiem.

Obejrzał się na majtków przy łodziach. Nie mogli mieć pojęcia o tym, co odkrył. Wezbrał mu w piersi szczery śmiech; przez chwilę walczył z pokusą poklepania spryciary po gołej łydce – i zostawienia tak. Zacisnął dłoń na szczupłej, zaskakująco rasowej pęcinie

i wyprostował się, a potem ruszył przed siebie, wlokąc bezwolną kobietę po plaży. Wydała z siebie coś, co brzmiało jak krótki szloch, a potem już nic więcej, choć szorstki piach, kamienie i odłamki muszli musiały drapać skórę. Usłyszał zdumione okrzyki marynarzy. Wskoczyli mu na spotkanie. Zostawił znalezisko w miejscu, do którego sięgały pierwsze fale, wszedł do wody i wkrótce znalazł się w łodzi. Dopiero wtedy spojrzął za siebie. Marynarze wlekli kobietę w kierunku drugiej szalupy.

– Na „Wężu” – powiedział głośno – przyprowadzić mi ją do kajuty. Pilnować! Bo gotowa wymyślić jakiś nowy żart.

– Tak, panie!

W głosie marynarza brzmiała ulga. Był jednym z pilnujących towaru na plaży. Chyba ominęła go kara.

## ROZDZIAŁ 4



**K**obiety spędzono do ładowni. Nikt na „Wężu Morskim” nie wiedział jeszcze, co z nimi będzie. Rapis nie spieszył się z przekazaniem prezentu załodze. Zatoczka u wybrzeża Armektu nie była dobrym miejscem do zabawy. Należało jeszcze z bryzą nocną odejść jak najdalej od brzegu, zyskać swobodę szybkości i manewru, zadbać, by niepowołane oczy na brzegu nie zdołały dostrzec karaki.

Przekazawszy Ehadenowi rozkazy dotyczące kursu, kapitan poszedł do siebie. W kajucie odpiął pas z mieczem, zrzucił kaftan i koszulę. Było niezwykle parno. Usiadł na wielkiej skrzyni pod ścianą i przeciągnął się. Zdążył już zapomnieć o wygrzebanej z piasku niewolnicy i aż uniósł brwi ze zdziwienia, gdy do drzwi kajuty załomotał Tares. Oficer zaciskał dłoń na karku zgiętej w pół nagiej kobiety.

– Podobno...

Rapis machnął ręką, bo głupota tego człowieka czasem go zdumiewała. Tares był drugim jego zastępcą, oficerem sumiennym, dokładnym i posłusznym aż do... bezmyślności.

– Dobrze, daj ją tutaj – polecił, mimowolnie czyniąc gest ku środkowi kajuty... i aż westchnął, bo Tares jeszcze mocniej zacisnął dłoń na karku jęczącej z bólu branki i pchnął z całej siły, aż wylądowała na podłodze, dokładnie we wskazanym miejscu. – Dobrze – powtórzył kapitan.

Tares odszedł, zamykając drzwi.

Skulona na podłodze kobieta nie poruszyła się. Rapis przechylił się na swojej skrzyni i ujął ją pod brodę. Ujrzał twarz, częściowo przysłoniętą przez potargane włosy. Cofnął się odruchowo;

dziewczyna nie miała oka. Ohydny, świeżo zablizniony oczodół mógł poruszyć każdego. Przypomnił ją sobie od razu. Straciła oko podczas napadu na wioskę, poza tym jednak była młoda, zdrowa, miała znakomitą figurę i nieprzeciętną urodę. Nosiła opaskę z jakiejś szmaty i z tą opaską nie była odrażająca. Sortując towar w ładowni, poszedł za radą Ehadena i podjął decyzję o zostawieniu jej. Mogła znaleźć nabywcę; wtedy jeszcze nie wiedział, że w Armeckie wcale nie ma popytu na kobiety. Prawdę rzekłszy, gdyby nie ta fatalna rana, byłaby najdroższą sztuką ze wszystkich, jakie wiózł. Aż dziwne. Takich kobiet nie widywało się w rybackich wioskach.

– Jak się nazywasz?

Milczała skulona na podłodze, tak jak cisnął ją Tares.

– Nie rozumiesz kinenu?

Chyba istotnie nie rozumiała. Nic nadzwyczajnego. Garyjczycy nie lubili tego wspólnego dla całego imperium języka, będącego szkieletem mowy armeckańskiej. Nie lubili go, jak i zresztą wszystkich innych rzeczy narzuconych przez Kirlan. Prawdę mówiąc, Rapis, choć sam był Armeckańczykiem, wcale się temu nie dziwił. Ale teraz miał do zgryzienia twardy orzech. Znakomicie rozumiał garyjski, lecz z mówieniem szło gorzej. Akcent był dla niego istną magią. Komendy sobie przyswoił, ale reszta... Zdawał sobie sprawę, jak niezrozumiale i prostacko brzmią w jego ustach garyjskie słowa.

– Jak się nazywasz? – spróbował.

Drgnęła i uniosła lekko głowę, ale nie spojrzała na niego.

– Ridarethe – powiedziała ochryple po chwili.

– Ridareta – poprawił, wymawiając imię w armeckańskim brzmieniu. – Ridareta... – powtórzył. – No, no.

Dumne imię. Rzadkie. Zupełnie niewieśniacze. W zasiedlonej przez półniewolników prywatnej wiosce garyjskiej można było cienko zaśpiewać za nadanie córce takiego imienia. Wieś, na którą napadł, zamożna, wyglądała na imperialną.

Zamyślony bębnił palcami w wieko skrzyni, na której siedział. Coś uwierało go w gardle. Przełknął ślinę. Nagle o czymś sobie przypomniał. Wstał.

– Podnieś się – rozkazał.

Spełniła rozkaz. Głowę wciąż miała pochyloną, ale poza tym stała wyprostowana, nie garbiła się, nie zwieszała rąk. Tylko patrzeć, a ujmie się pod boki... Z coraz głębszą zadumą spoglądał na duże, twarde piersi, ocenił płaski brzuch i linię nóg.

– Odwróć się.

Z tyłu wyglądała równie dobrze; pośladki i plecy miały świetny kształt.

Trzymał na statku kufer pełen kobiecych strojów. Siedział na nim przed chwilą. Suknie i spódnice były bardzo kosztowne, często haftowane srebrem, nawet złotem, niektóre zdobione perłami. Łup z kupieckiej kogi. Chciał to wszystko sprzedać przy jakiejś okazji, ale nie zdarzyła się dotąd.

– W tej skrzyni – powiedział – są suknie. Wybierz sobie, co ci się podoba.

Nie zareagowała.

– Usłyszałaś? Włóż coś na siebie. – Otworzył wieko skrzyni, przez chwilę grzebał w środku, po czym wyciągnął jakiś czarny aksamit. – Podrzyj to i zrób sobie opaskę, ta dziura zamiast oka to zły pomysł. Czekaj. Najpierw się umyj i uczesz. – Popchnął ją ku niewielkim drzwiom w kącie kajuty. – Tam jest dzban z wodą, jest też lustro i grzebień. Wiem, że to mało dla damy – uśmiechnął się nagle – ale to już wszystko, co mogę waszej godności ofiarować.

Mówił powoli, starannie. Miał nadzieję, że można go zrozumieć. Wrzasnąć po garyjsku „za mną!” albo „refować grot, ster prawo!” naprawdę nie było trudną sztuką. Co innego rozmawiać o lustrach i strojach.

Dziewczyna zniknęła za wskazanymi drzwiami. Rapis otworzył sąsiednie, wiodące do sypialni. Odziedziczył te apartamenty po dowódcy gwardyjskiej eskadry. Bardzo niewiele okrętów zapewniało swoim kapitanom podobne luksusy. Ogarnął wzrokiem rozbebeszoną pościel, porozrzucane odzienie, broń i wszelkie kłamoty. Dziewczyna mogła się przydać.

Zresztą nie tylko do sprzątnia... Nie tolerował kobiet w załodze, wiedział, czym to się kończy. Jak u Alagery. Jej mieszana banda

więcej gziła się pod pokładem, niż myślała o stawianiu żagli. Alagera była kapitanem tylko z tytułu, tak naprawdę nikt jej nie słuchał. W takich warunkach każdy zwrot okrętu, każde ostrzenie urastało do rangi wielkiego manewru. Na kobiety był czas w tawernach, na ładzie. Ale teraz... Skoro czynił odstępstwa od zasad, dając załodze prezent, mógł pofolgować i sobie. Chodziło o dzień, może dwa.

Usiadł na posłaniu i przetarł twarz dłońmi. Coś go niepokoiło i chyba wiedział co. Twarz tej dziewczyny była przerażająca. Nigdy dotąd nie sądził, że widok jakiegokolwiek rany wyzwoli w nim taki... lęk. Naprawdę lęk. Miał ochotę uderzyć tę kobietę, sprawić jakoś, żeby jej nie było. Pusty, wstrętny oczodół... Ale przecież widywał daleko gorsze okaleczenia. Dlaczego właśnie ta rana tak bardzo go poruszyła? Prawie... zaboląła.

Uciekając od niewygodnych myśli, zaczął snuć plany. Nie miał pojęcia, dokąd skierować „Węża Morskiego”. Co za fatalny rok... Zwykle miał dokładne, sprawdzone wieści o cennych ładunkach i okazjach wszelkiego rodzaju, które mogły dać pieniądze. Jeśli mu czegoś brakowało, to najwyżej czasu, by wykorzystać je wszystkie. Nie pamiętał już, kiedy ostatnio musiał szukać zajęcia dla swojego żaglowca. Pechowy rok, naprawdę.

Nadciągała jesień, pora burz. Była zbyt blisko, by przedsięwziąć jakąś poważniejszą wyprawę – i zbyt daleko, by nic nie robić do jej nadejścia. Kręcić się po Morzu Zwartym, licząc na szczęśliwy traf? Odwykł już od takich polowań.

Potarł dłonią podbródek. A może do Bezimiennego Obszaru? Po Porzucone Przedmioty? W Obszarze czas płynął inaczej, to nie było zwykle miejsce. Mógłby tam przeczekać porę burz. Ryzykowne, no ale... Nie musiał tam tkwić przez całą jesień, najgorszy był początek. Pod koniec tej wrednej pory roku już dało się pływać, przynajmniej na takim okręcie jak „Wąż Morski”.

Był już kiedyś w Obszarze. Nie bez kozery zwano to miejsce Złym Krajem. Stracił trzy czwarte załogi. Ale ci, co przeżyli, mogli sobie wieszować. Za Porzucone Przedmioty płacono już nie srebrem, a złotem. Marynarze, przepełnieni zabobonnym lękiem, na wyścigi wyzbywali się drogocennej, „magicznej” zdobyczy. Pierwotnie on

także zamierzał jak najszybciej przehandlować swój łup. Po namyśle jednak zostawił sobie Rubin Córki Błyskawic, Geerkoto, potężny Ciemny Przedmiot. Nigdy nie żałował tej decyzji. Nie potrafił w pełni wykorzystać drzemających w Rubinie sił, ale samo jego posiadanie potęgowało odporność na zmęczenie i ból, czyniło właściciela zdrowszym, silniejszym i zręczniejszym.

Odegnął pokusę. Nie mógł ponownie płynąć do Obszaru. Za daleko, a poza tym – ludzie. Jego ludzie byli niepewni, nowi. Gdyby miał na „Wężu” starą, wypróbowaną załogę, na której czele zdobył swój wojenny przydomek...

Uśmiechnął się do wspomnień.

Parę lat minęło od czasu, gdy wyrznął do nogi maleńki garnizon straży morskiej na jednej z wysepek Morza Garyjskiego. Nic tam nie było, tylko resztki starej rybackiej przystani i parę chylących się ku upadkowi domów. W kilku z nich siedzieli żołnierze – nie wiadomo po co, doprawdy. Chodziły słuchy, że dowództwo Straży Morskiej Garry i Wysp nosi się z zamiarem odbudowania przystani i wzniesienia kwater dla załóg dwóch, trzech małych okrętów Floty Rezerwowej. Krótko mówiąc, na porzuconej wysepce miał powstać niewielki port wojenny. Rapis słyszał o tym od zawsze. Mijały lata, a plany strażników wciąż były tylko planami. „Wąż Morski” zawinął kiedyś do przystani, a gdy odpływał, nad wyspą powiewała wojenna, purpurowo-zielona bandera Rapisa.

Minęły ze dwa miesiące, nim do brzegów wysepki przybił okręt straży morskiej wiozący zaopatrzenie; wyszło na jaw, że po żołnierzach na wyspie nie został nawet ślad. Po pewnym czasie osadzono tam nowy garnizon i czysty przypadek sprawił, że „Wąż Morski” ponownie zawitał do starej przystani. Tym razem żołnierze uszli z życiem – zasilając załogę Rapisa. Nic dziwnego; nie byli to ludzie poczciwi... Do służby w takim miejscu jak zapomniana przez cały świat wysepka posyłano żołnierzy za karę; wszyscy, łącznie z dowódcą, dopuścili się różnych wykroczeń. Rapis po raz drugi wywiesił swoją banderę i wrócił po kilku miesiącach, by sprawdzić, czy wisi nadal.



Nie wisiała. Załoga „Węza” musiała tym razem stoczyć regularną bitwę ze wzmocnionym garnizonem, liczącym kilkudziesięciu dobrze uzbrojonych i wyposażonych ludzi. Po raz trzeci purpurowo-zielona bandera załopotała nad wyspą. Kapitan pirackiej karaki wydał otwartą wojnę Wiecznemu Cesarstwu.

W komendanturze Straży Morskiej Garry i Wysp nikt nie potrafił zrozumieć, o co w ogóle chodzi. Bezludna wysepka nie miała żadnej wartości, mógł tam powstać mały port wojenny, ale już naprawdę nic więcej. Trudno podejrzewać, by załoga tajemniczego pirackiego żaglowca zamierzała osiedlić się na takim lądzie. Nie miało to wcale sensu. Dokładnie zbadano wyspę. Zgodnie z oczekiwaniami nie było tam nic, zupełnie nic. Mimo to wyzwanie rzucone przez morskich bandytów zostało podjęte. Plaga piractwa dotkliwie dawała się imperium we znaki; oto nadarzała się okazja do zniszczenia zuchwałego żaglowca. Otrzymawszy pomoc wojsk lądowych, straż morską wysadziła na nieszczęsnej skale pełny półlegion: przeszło trzystu ludzi Legii Garyjskiej. Po morzu krążyły dwie eskadry wchodzące w skład Floty Rezerwowej.

Rapis, wszędzie mający swoich szpiegów, wiedział o tych wszystkich posunięciach; rozmach przedsięwzięcia uniemożliwił zachowanie pełnej tajemnicy. Wygrał wojnę. Legendy o skarbach, jakie zebrał, znalazły nagle zaskakujące potwierdzenie: kapitan „Węza Morskiego” kupił sobie pomoc, i to pomoc nie byle jaką... Ataku na wyspę (nazwano ją później Barirra – Dziwna) dokonały cztery duże i dwa mniejsze okręty, a ponadto kilkanaście śmigłych łodzi szakali morza – rybaków-piratów, dobijających i grabiących zwabione na mielizny statki. Wydano bitwę cesarskim eskadrom, dwa holki puszczono na dno, dwa inne zostały zmuszone do ucieczki. Kosztem niemałych strat trzystu uwięzionych na wyspie legionistów wyrżnięto co do jednego.

Straż morską desperacko tuszowała sprawę, dowództwo wojsk lądowych żądało wyjaśnień w związku z masakrą swych oddziałów. Trybunał Imperialny wszczął dochodzenie; było jasne, że wódz piratów miał w dowództwie straży swych donosicieli.

Bardzo szybko się okazało, że cesarstwa nie stać na prowadzenie niezwykle kosztownych, a zarazem przynoszących same klęski operacji w obronie bezwartościowej, sterczącej z wody skały. Uczyniono wszystko, by przegraną przemienić w zwycięstwo: wszem wobec trąbiono o ogromnych stratach piratów, o potopionych żaglowcach, o szubienicach... Udało się ocalić prestiż wojsk imperialnych – ale kosztem wyspy. Demon Walki, jak tu i ówdzie zaczęto nazywać kapitana pirackiej karaki (bez wątpienia wymyślili ów przydomek Dartańczycy, zakochani w kwiecistym gadulstwie), zdobył swoją Barirrę. Zrezygnowano z utrzymywania garnizonu. Czasem tylko ostrożnie przybijały do wyspy patrolowe szniki straży morskiej. Zawsze znajdowały łopoczącą zwycięsko czerwono-zieloną banderę i... nic więcej. Widać było, że piracki żaglowiec zawija czasem do przystani; banderę zmieniano, zabierano podartą przez wichry i wywieszano nową. Poza tym jednak wyspa trwała porzucona, zapomniana. Demon Walki nie potrzebował jej. Chciał tylko coś udowodnić.

Siedzący w kajucie, pośród rozgrzebanej pościeli Rapis przesunął dłonią po twarzy. Zdał sobie sprawę, jak często (o wiele za często!) nawiedzają go ostatnio wspomnienia. Zaczynał się zastanawiać, czy nie jest to oznaka starości. Coraz chętniej zajmował się przeszłością, a coraz rzadziej przyszłością.

Wstał i wyjrzał z sypialni. Dziewczyna – już ubrana – poprawiała fałdy bajecznie bogatej, chociaż nieco zakurzonej i wymiętej sukni.

Przyglądał się w milczeniu. Wiedział już, że ma w kajucie... kłopot. Pierwsze wrażenie nie zawiodło go. To naprawdę nie była wieśniaczka. Córka rybaka z wyspiarskiej osady nie umiałaby nawet zasnuować stanika tej szaty. Jednookie, przekreślone czernią opaski spojrzenie kryło w sobie jakąś mroczną zagadkę, ale przede wszystkim – wyzwanie.

– Jestem kapitanem pirackiego żaglowca, ale i mężczyzną Czystej Krwi, pani – powiedział. – Nie porywam szlachetnie urodzonych kobiet, żeby sprzedać do hodowli. Mógłbym może wziąć okup. Zaszła pomyłka. Ridareta, tak? A oprócz tego?

Z wysiłkiem składał gardłowe dźwięki w wyrazy, a te z kolei w zdania. W sumie jednak oczekiwał, że będzie gorzej.

Milczała.

– Twoje nazwisko, pani – zażądał bardziej stanowczo. – Kaleczę język, ale wiem, że można mnie zrozumieć. Proszę o całe nazwisko lub inicjały twoich imion rodowych. To nie prośba, to polecenie. Nazwisko.

– Nie mam nazwiska.

Armekt próbował kiedyś rzeczy niemożliwej – przeszczepienia rodowych monogramów na garyjski grunt. Imiona rodowe istniały od zawsze w Dartanie, stamtąd przejęli je Armektańscy. Były jednak najzupełniej obce garyjskiej obyczajowości i tradycji. Przyjęły się tylko gdzieś na Wyspach; ich mieszkańcy, niemający własnej arystokracji, przede wszystkim zaś nienawidzący Garry bardziej niż kontynentu, łaskawszym okiem spoglądali na imperialne nowinki.

Ale to tutaj niezwykle dziewczę, zabrane z wysepki, z której dałoby się przeskoczyć na Garrę, na pewno nie było Wyspiarką, lecz Garyjką. Wolną, a może nawet szlachetnego rodu.

– Bez nazwiska. Z imieniem Ridareta?

Dziewczyna przygryzła usta.

– Tak, tylko Ridareta – odparła po długiej chwili.

Milczenie przedłużało się. Patrzył jej prosto w twarz; odpowiadała dziwnie upartym, niepokornym spojrzeniem. Kim była, do pioruna?

– Możesz być zakładniczką – powiedział – albo niewolnicą, jak dotąd. Wybieraj. Zakładniczkę mogę wymienić na złoto. Niewolnice już próbowałem, nic z tego. Wszystkie kobiety dostaną się jutro marynarzom. Ale to jest okręt wojenny, nie dom uciech w Banie, i marynarskie zabawy potrwają najwyżej dobę. Potem niewolnice za burzę.

Po raz pierwszy dostrzegł na jej twarzy cień strachu. I zgrozy.

Usiadł w swoim wygodnym fotelu i wyciągnął nogi na środek kajuty.

Cesarscy oficerowie nie mieli takich foteli. Kazał go przywlec z tej samej kogi, z której pochodziły kobiece stroje w skrzyni.

– Nie mam cierpliwości, pani, może nawet szlachetna, bawić się z tobą w pytania bez odpowiedzi – rzekł uprzejmie. – Chcę usłyszeć twoje nazwisko. Pytam po raz ostatni.

Zacisnęła usta.

Czekał.

Za drzwiami rozbrzmiały kroki. Ehaden wszedł do kajuty jak zwykle bez zapowiedzi.

– Słyszałem... – zaczął i urwał, bo osłupiał.

Rapis uczynił ruch dłonią, prezentując swemu zastępcy dziewczynę w świetnej sukni.

– Córka rybojada – przedstawił. – Nazywa się Ridareta. I nic więcej. Przejdź się – rozkazał dziewczynie. – Tam i z powrotem, no już.

Spełniła polecenie. Nawet nie próbowała udawać... Ehaden doszedł do siebie. Cofnął się i ze zdumieniem patrzył na spokojny krok i proste plecy branki. Stopy stawiała równolegle do siebie, nie plątała się w sukni, wiedziała, co robić z rękami.

– Skąd się wzięłaś, pani, w tej wiosce? Dlaczego nie powiedziałaś... – zaczął oficer.

Rapis roześmiał się.

– No, proszę – rzekł. – Zawołaj jeszcze Taresa, a okaże się, że wszyscy oficerowie, jacy są na „Wężu”, pytają szlachetną o to samo. Chociaż Tares jest za głupi. Ale Raladan na pewno by zapytał. Nieźle otrzaskał się w świecie.

Wzruszył ramionami.

– Weź ją sobie – rzucił nieoczekiwanie. – Ja do tego nie mam cierpliwości. Nasza dama – ciągnął po armektańsku – powiedziała po garyjsku trzy słowa, ale za to z taką dykcją, jakiej mieć nie będę, choćbym żył sto lat. Nawet nie próbuje ukrywać, że świetnie się czuje w tej sukni, jednak pełnego nazwiska ci nie poda, choćbyś groził śmiercią. Nie mam do tego cierpliwości – powtórzył. – Weź ją sobie i dowiedz się, kto to jest, pogwarzycie sobie po garyjsku. Ja już mam szczerze dosyć tego twojego parszywego języka. Niewolnice daj jutro marynarzom, interes źle poszedł – zmrużył oko – i dostaną kobiety zamiast srebra. A z tą tutaj dojdź do jakiegoś ładu. Tylko

zabierz mi ją sprzed oczu, bo po tym, co zaraz jej zrobię, będzie miała taką samą wartość jak Alagera, kiedy ją ostatnio widzieliśmy.

## ROZDZIAŁ 5



**W**iało od zachodu. „Wąż Morski” szparko płynął półwiatrem na południe. Minęli Wyspy Okrągłe, wyostrzyli i poszli dalej, przez Morze Zwarte.

Podobno najpierw było to Morze Zawarte, czyli zamknięte, nazwane tak z powodu otaczających je archipelagów. Rzeczywiście, szczególnie od wschodu zamykał je łańcuch Wysp Barrierowych. Wyłaniał się zza horyzontu niczym lity mur, tak naprawdę złożony z kilku dużych i dziesiątek, może setek bardzo małych wysp. Nazwa morza nie przyjęła się jednak; dziwaczna, z czasem uległa zniekształceniu. I w ogóle już przestała znaczyć cokolwiek.

Nastroje wśród załogi „Węża” były niezłe, choć po niewolnicach darowanych przez Rapisa zostały najwyżej wspomnienia. I to wspomnienia bardzo skrzętnie skrywane... Kapitan wpadł we wściekłość, kiedy wyszło na jaw, jak mądre były jego zasady – i jak głupio zrobił, odstępując od nich. Kobiet było zaledwie czterdzieści; najmłodsze i najładniejsze stały się przyczyną bójek. Poszło na noże, kilkunastu marynarzy było rannych, jeden zmarł. Bosman i przyboczni gwardziści Rapisa, wywodzący się jeszcze ze starej załogi, musieli użyć pałek i batów, by przywrócić porządek. Niewolnice wyrzucono za burtę z poderżniętymi gardłami. Tak skończyły się marynarskie figle.

Rozdrażniony Rapis z wielką niechęcią uległ namowom Ehadena, by zatrzymać jeszcze przez jakiś czas tajemniczą jednooką brankę. W końcu dał się przekonać, ale zapowiedział, że gdy tylko ujrzy dziewczynę „gdziekolwiek na okręcie”, każe ją z miejsca wyrzucić do morza.

„Pamiętaj!” – przykazał. „Trzymaj ją na smyczy, u siebie, nie chcę więcej nic słyszeć o żadnym zwierzęciu na pokładzie!”

I na tym stanęło.

o o o

Zapadła noc. Ehaden sprawdził pokładowe wachty i wrócił do kajuty, przekazawszy wpieryw komendę Taresowi. To była zaledwie komórka w porównaniu z mieszkaniem Rapisa, oficer jednak nie narzekał; przeciwnie. Każdy, kto kiedykolwiek pływał na żaglowcu, mógł mu najwyżej zazdrościć. W jakiej flocie zastępca kapitana miał kajutę na własność? A przecież była jeszcze jedna taka, zajmowana przez Taresa i Raladana.

Ridareta obudziła się. W słabym świetle rozkołysanej latarni patrzyła, jak mężczyzna odpina pas, zdejmując kaftan, a potem zzuwa buty i ściąga hajdawery. Został w samej koszuli.

– Nie śpię – powiedziała.

– Widzę.

Przysiadł obok niej na posłaniu i przez długą chwilę trwał w zamyśleniu.

– Wkrótce jesień – rzekł. – Pora postanowić, co dalej.

– Co będzie jesienią? Ach, sztormy...

– Sztormy – potwierdził. – Pora burz. Nikt nie pływa jesienią. „Wąż Morski” ma kilka kryjówek. Załoga zejdzie na ląd, będzie wydawać zarobione srebro. Na pokładzie zostanie kilku majtków i ktoś jeszcze. Może ja, może Tares. Ale ty nie zostaniesz na pewno. Wymyśl coś. Musi być ktoś, kto zapłaci za ciebie. Nie mogę cię dłużej chronić.

– Ucieknijmy – podsunęła.

Pokręcił głową.

– Zdaje się, że już próbowałaś? – zapytał z ponurą ironią. – Straciłem fortunę, płacąc temu marynarzowi tylko za to, żeby nie pilnował cię za bardzo. I co? W lesie nie było okazji, a na plaży...

– Wtedy, na plaży, prawie mi się udało – zaoponowała.

– Prawie.

– Boisz się go – zauważyła.

– Nie znam nikogo, kto by się go nie bał. Demon Walki. To nie jest zwykły wojenny przydomek. Ten człowiek jest... stał się demonem. Już prawie nie potrafię z nim rozmawiać. Z każdym miesiącem, z każdym tygodniem jest gorzej. Może to ten klejnot Geerkoto. Nie wiem. Nie poznał cię. – Rozłożył ręce i bezradnie pokręcił głową. – Nie poznał cię – powtórzył.

– Straciłam oko – przypomniała niegłośno.

Wciąż kręcił głową.

– Ridareto, on cię nie poznał. Nie poznał twarzy jedynej kobiety, którą kochał w całym swoim życiu. Rozumiesz? Popatrz – wskazał własną twarz – jestem do niej podobny, nawet dziś, po tylu latach. Tak czy nie? I ty jesteś do mnie podobna, bardzo podobna. On tego nie zauważył.

– Matka opowiadała...

Nie słuchał.

– Ubrał cię w suknię, kazał chodzić... A wcześniej oglądał cię nagą. Masz jej wzrost, jej figurę, takie same włosy – mówił jakby do siebie. – Wyglądasz dokładnie tak, jak ona wyglądała przed parunastu laty. Przecież oglądałem ją od dziecka, zawsze razem, kiedy miała lat dziesięć... i szesnaście, jak ty teraz. Nie kłóć się ze mną – dorzucił, choć dziewczyna milczała. – Jeśli czyjąkolwiek twarz pamięta się przez całe życie, to twarz własnej siostry... Co ty możesz o tym wiedzieć! – zreflektował się, machając ręką.

Ridareta milczała.

– A po nim masz podbródek i usta – dorzucił. – Tego też nie zauważył.

– Powiedz mu – zażądała cicho, lecz stanowczo.

– Nie! – zaprotestował gwałtownie. – Nie wiesz, co mówisz, próbowałem ci to już... On cię po prostu zabije! On nie panuje nad sobą, zrozum to! On naprawdę kocha swoich marynarzy, i co? Jeszcze raz mam ci opowiedzieć, co wczoraj kazał zrobić z tym przygłupim majtkiem?



Potrząsnęła głową. Marynarza przeciągnięto pod kilem. Za drobne zaniedbanie, na pewno niewarte takiej kary. Umarł.

– Zabije cię – powtórzył Ehaden. – To Armektańczyk. Był nim, jest i pozostanie. Nie uwierzy! Od szesnastu lat jest przekonany, że Agenea zdradziła go, uciekła, zostawiła. To Armektańczyk! – rzekł raz jeszcze. – Nie uwierzy, że szlachetnie urodzona Garyjka, brzemienna z armektańskim oficerem straży, tylko z tego powodu mogła być więziona w domu własnego ojca przez dwanaście lat! A tym bardziej nie uwierzy, że po jej śmierci wypędzono cię na ulicę jak psa. To nie po armektańsku, rozumiesz? Na wszystkie Pasma, jak ja tego nienawidziłem! – rzekł z gniewem. – „Świętej sprawy niepodległości Garry”! Świętej, stuletniej nienawiści do Armektu i Armektańczyków! Tak, zostaliśmy podbici. Tak, była kiedyś wojna. Ale na tej przeklętej wyspie po prostu nie da się żyć, a to z winy takich starych pomyleńców jak mój ojciec. Twój dziadek! – wybuchnął. – Który przeklął mnie i wydziedziczył tylko za to, że chciałem pływać na cesarskim żaglowcu, że znalazłem prawdziwego przyjaciela w armektańskim żołnierzu. A ja ci mówię, Ridareto, że gdybym jutro miał umrzeć, to ta przyjaźń była warta więcej niż cokolwiek innego w moim życiu. Agenea to rozumiała. Jakże się cieszę – zawołał – że ten stary zwyrodnialec wreszcie umarł! A takich jak ja i Rapis nazywa się bandytami!

– Przestań – powiedziała cicho. – Krzyczysz.

Przełknął ślinę. Przetarł dłońmi twarz.

– Rapis cię zabije – rzekł raz jeszcze. – A mnie razem z tobą. Nie uwierzy, nawet nie spróbuje zrozumieć. Nie poznał cię, rozumiesz? Uznał, że został zdradzony przez kobietę, i wbijał to sobie do głowy przez kilkanaście lat. Nie poznał cię. Zrobił wszystko, żeby zapomnieć o tej zdradzie, i udało mu się. Zapomniał.

– Przecież zna twoją historię, więc może...

– Tak, zna moją historię, ale w nią nie wierzy – przerwał. – A może nawet wierzy, tylko że.. – Uniósł ręce w bezradnym geście. – Wiesz o istnieniu Pasm Szerni, każdy wie. I co z tego? Rozumiesz, o co w tym chodzi? Wiesz, na czym polega Szerń? Tutaj jest tak samo. Rapis zna moją historię, ale nic z tego nie rozumie. Pójdiesz teraz

do niego i co powiesz? Że podróżowałaś z tym kupcem, że trafiłaś na wyspę akurat wtedy, gdy my... A wcześniej o powstaniu i o tym, że Agenea... – Bezradnie rozłożył ręce. – Słyszysz, jak to brzmi? Jakaś bajka. Co z tego, że taka jest prawda?

Zamilkli.

– Śpij – zarządził po pewnym czasie.

Posłała mu smutny uśmiech.

Położył się obok dziewczyny i odwrócił plecami do niej. Ale nie potrafił zasnąć aż do rana. Po raz kolejny zdał sobie sprawę, jak wielki wpływ na losy pojedynczych ludzi mają zamierchłe, historyczne wydarzenia. Życie Ridarety, życie Rapisa czy, na koniec, jego własne życie... Wszystko zostało rozstrzygnięte jeszcze wtedy, gdy żadne z nich nie istniało na świecie.

Garre podbito nie bez powodu. Władca Królestwa Armektu mógł znosić uciążliwe napady piratów z Wysp na południowoarmektańskie wsie; jednak po zajęciu Dartanu król Armektu stał się władcą Wiecznego Cesarstwa i nie mógł tolerować spustoszeń w nowo zyskanych, najbogatszych okręgach imperium.

Archipelagi Morza Zwartego ciężko było zająć, jeszcze trudniej kontrolować i utrzymać. Z odległej o setki mil stolicy, Kirlanu, Wyspy jawiły się lądami na końcu świata, choć wcale nie leżały dalej niż północne krańce Grombelardu lub południowo-wschodnie Dartanu. Jednakże w Grombelardzie i Dartanie trzymano imperialne legie, władzę zaś sprawowali cesarscy Książęta Przedstawiciele. Tymczasem spośród setek i tysięcy wysp Morza Zwartego żadna nie nadawała się na ośrodek kontroli nad tak dużym morskim obszarem. Jedynym miejscem, z którego taką kontrolę dało się sprawować, była Garra.

Trzeba przyznać, że pierwszym krokiem cesarstwa była próba zawarcia zbrojnego przymierza z zamorskim królestwem; awanturnicze ludy, zamieszkałe na wyspach, dokuczały przecież tak samo Armektańczykom jak Garyjczykom. Przymierza jednak nie zawarto.

Żadna wojna nie była dla Armektu tak krwawa.

Pierwsze ostrzeżenie przyszło wraz z podbojem Morza Zwartego. Wysepki rybaków-piratów, przy samych brzegach kontynentu, opanowano dość łatwo. Dalej jednak rozciągał się przestwór Morza Zwartego, ujęty w kleszcze licznych archipelagów, tworzących dwa olbrzymie ramiona. Okręty piratów z Wysp puszczały na dno jeden cesarski żaglowiec po drugim. Ostatecznie odniesiono zwycięstwo, ale tylko dlatego, że morscy zbóje nie umieli zawrzeć żadnego sojuszu; zostali wygniecenii po kolei. Trwało to wiele lat.

A potem przyszła wojna z Garrą. Bitwy morskie imperium przegrało... wszystkie. Przez kilka lat odtwarzano unicestwioną niemal flotę, tracąc w tym czasie połowę ciężko zdobytych wysp. Przebrojono morskie siły cesarstwa, podstawowym okrętem stał się holk, zbudowany na wzór okrętu garyjskiego; szeroka, głęboko zanurzona i mało zwrotna koga nie nadawała się zupełnie do wojennych działań na otaczających Garrę najbardziej zdradliwych wodach świata.

Pod osłoną potężnej armady statki wiozące kontyngent wojsk lądowych raz jeszcze wyruszyły na podbój zamorskiego kraju. Żaglowce Garyjczyków w największej morskiej bitwie wszystkich czasów urządziły nowym holkom imperialnym prawdziwą masakrę. Jednakże większość statków transportowych dotarła na Garrę. Siły lądowe wyspy były słabe i źle dowodzone. Cesarscy legionieści, działając w niebywale trudnych warunkach, na obcym terytorium, pozbawieni posiłków i zaopatrzenia, zdołali jednak zająć wielkie miasta portowe. Morskie siły Garyjczyków, skazane na działanie w oparciu o przypadkowe przystanie, nieprzystosowane do przyjmowania okrętów wojennych, przestały się liczyć jako decydująca siła.

Rozwścieczeni ogromem strat Armekańczycy, zwykle bardzo łagodni wobec podbitych ludów, Garyjczyków potraktowali tak surowo, że trudno było znaleźć rodzinę, gdzie nie oplakiwano męża, syna lub brata. Wyspę przemieniono w gigantyczny plac kaźni, bezwzględnie tłumiono nawet najmniejsze przejawy niechęci, a cóż dopiero wrogości, wobec nowej władzy. Doggel, stolicę i największy port Garry, bratnie miasto starej Dorony, dosłownie zrównano

z ziemią, podpalając wciąż na nowo nie do końca strawione przez płomień zgliszcz.

Efekty tych poczynań nie kazały długo czekać na siebie. Odwieczna niechęć Garyjczyków do wszystkiego co kontynentalne przemieniła się w istną nienawiść. Być prawdziwym Garyjczykiem oznaczało: nie tolerować niczego co armektańskie. Morska Prowincja stała się wiecznym siedliskiem niepokoju. Dawno już poumierali ludzie pamiętający niepodległe Królestwo Garry. Ale wciąż dla wielu garyjskich rodów Garyjka wiążąca się z Armektańczykiem zasługiwała tylko na pogardę.

Agenea, Rapis i ich córka byli ofiarami zakończonej przed półtorawiekiem wojny.

On – Ehaden, też.

Wstawał dzień, gdy z pokładu dobiegło stłumione wołanie stojącego na oku majtka. Wkrótce potem dało się słyszeć zmieszany gwar marynarskich głosów. Ehaden, znużony i niewyspany, odrzucił okrycie. W tej samej chwili gdzieś blisko trzasnęły drzwi.

– Wachtowy!

Ehaden poznał głos Rapisa. Usłyszał kroki. Jakiś marynarz zaczął mówić szybko i ze strachem:

– Panie, ja chciałem...

– Kazałem się budzić przed świtem! Kazałem?

– ...

– No to jak?!

Huknęło coś, marynarz zawył, jakby obdzierano go ze skóry. Zaraz potem z hałasem otwarły się drzwi i Rapis wtargnął do kajuty Ehadena. Oficer poderwał się na równe nogi.

– Ty z dziwką?! – ryknął kapitan. – Gdzie ja jestem, co to za okręt?!

Po nocy wypełnionej gorzkimi myślami Ehaden wybuchnął gniewem.

– Nie mów na nią dziwka! – zawołał.

– Wiesz, co się dzieje?! Siedzimy w samym środku konwoju! Miałeś komendę tej nocy!

– Nie mów na nią dziwka!

– Dziwka i dziwka! Na wszystkie morza świata, co z tobą? Mówię: konwój!

Pchnął oficera w pierś. Ehaden poleciał na ścianę. Chwycił miecz. Milcząca dotąd dziewczyna krzyknęła. Roztrzęsiony Ehaden zamierzył się na nią, niespodziewanie dla samego siebie.

– Dosyć! – krzyknął.

Umilkła.

W kajucie zaległa cisza. Przez chwilę wszyscy troje trwali nieruchomo. Pierwszy oprzytomniał kapitan.

– Ehaden, jesteśmy w środku konwoju – powiedział z wysiłonym spokojem. – Na pokład.

Odwrócił się i wyszedł z izdebki. Ehaden bez słowa, tak jak stał, w samej koszuli i z mieczem ruszył za nim.

Na pokładzie była cała załoga. Przybiegł bosman.

– Dwa kupce i żołnierz z prawej burty, kapitanie!

Rapis rozepchnął tłum majtków i stanął przy nadburciu. W szarym świetle świtu, pośród mgły, majaczyły, nie dalej jak pół mili na skos od dziobu, trzy maszty i rozpięte na nich niebieskie żagle. To był duży holc. Nieco dalej płynęły dwie niezgrabne kogi kupieckie.

Rapis i Ehaden porozumieli się wzrokiem. Oficer wspiął się na pokład rufowy.

– Baterie burtowe!

Zakotłowało się na pokładzie. Kanonierzy biegli do dział.

– Grupy abordażowe!

Marynarze pod wodzą Taresa pognali do okrętowych zbrojowni.

Rapis spokojnie przyglądał się płynącemu z południowego wschodu holcowi. Pełził powoli półwiatrem, dostosowując prędkość do głęboko osadzonych w wodzie kog. Mgła opadała; na strażniku dostrzeżono już piracką karakę, trwały tam gorączkowe przygotowania do walki i wyteżona praca przy żaglach. Jeszcze chwila – i cesarscy zrobili zwrot. Holc płynął teraz pełnym wiatrem wprost na przecięcie kursu „Węza Morskiego”. Coraz wyraźniej było widać srebrzyste kapaliny stłoczonych na kasztelach łuczników. Dziób żaglowca okrył się dymem; pośród huku dwie działowe kule

wzbiły wysokie fontanny wody. Strażnik próbował donośności swoich dział pościgowych, jednak odległość była jeszcze zbyt duża. Rapis nie mógł się nadziwić podobnemu marnowaniu prochu. Cesarscy uważali działa za coś w rodzaju hałaśliwych łuków – i używali tak samo. Straż morską nie wypracowała dotąd żadnej rozsądnej koncepcji użycia tej – w początkowej fazie bitwy bardzo skutecznej – broni.

– Poprowadzę abordaż! – zawołał do Ehadena.

Oficer skinął głową. Rapis przywołał bosmana, który natychmiast wręczył mu topór o szerokim żeleźcu. Majtkowie zaczęli skupiać się wokół kapitana. Z rufowego pokładu sypały się komendy na żagle i ster.



TRUST 21

– Raladan, ster prawo! – wrzeszczał Ehaden. – Bezana szot wybierać! Lewy grota szot...!

Zamieszanie na „Wężu” narastało, żagle wpadały w łopot. Był to jednak chaos pozorny – bo oto karaka położyła się w głębokim przechyle...

– Raladan, tak trzymać! Ster tak trzymać!

Oba okręty płynęły teraz ku sobie. Gdy do przebycia pozostało może sto kroków, na pokład „Węża” spadły pierwsze strzały wysłane z dziobowego kasztelu holka. Łomotnęły o deski padające ciała, rozległy się krzyki bólu i przekleństwa. Holk próbował wykonać zwrot, ale w połowie manewru ktoś tam najwyraźniej się rozmyślił... Rapis wzruszył ramionami, gdy cesarski okręt po raz drugi okrył się chmurą dymu. Kule poszły w morze.

Kapitan „Węża Morskiego” wiedział, skąd to całe zamieszanie. Cesarscy wiecznie brali cięgi od pirackich tłumów, bo przez dziesiątki lat nie zdołali ustalić różnic między walką lądową a morską. Imperialne wojska, tak legie, jak i straż morska, działały według świętej armektańskiej zasady, która nakazywała rozdzielenie żołnierzy od wszelkiego zaplecza i służb. Żołnierskie rzemiosło było zawodem uświęconym przez tradycję; obsługa taborów na lądzie, a marynarze na wodzie nie byli żołnierzami. Jednakże na armektańskich równinach nie prowadzono taborowych wozów w pierwszej linii – gdy na morzu trudno było wysadzić marynarzy przed bitwą... Na zbliżającym się holku kto inny dowodził wojskiem, a kto inny kierował okrętem. Kapitan, nominalnie dowodzący żaglowcem, faktycznie był tylko komendantem pokładowych żołnierzy, niemającym pojęcia, czym różnią się sztagi od wantów. Skazany był na działanie poprzez swego zastępcę-żeglarza (który naturalnie nie mógł być żołnierzem), co w bitewnej gorączce przynosiło opłakane rezultaty. Armektańczycy jednak, z godnym lepszej sprawy uporem, oddawali swe żaglowce pod komendę świetnych, zasłużonych wojowników w ogóle nieznających się na morzu.

Rapis sam był Armektańczykiem; znał i cenił tradycje swego kraju. Przytomnie jednak uważał, że tutaj, na Bezmiarach, nie ma



dla nich miejsca.

Odległość między wrogimi okrętami malała, strzały coraz groźniej sypały się na pokład karaki. Piracka załoga nie pozostawała dłużna, lecz strażnicy strzelali celniej. Wielki, barczysty Rapis cofnął się o pół kroku – i z prawdziwym zdumieniem spojrzął na tkwiącą tuż pod obojczykiem strzałę. Otaczający go marynarze wrzasnęli przerażeni. Kapitan spokojnie zacisnął dłoń na drzewcu i wyszarpnął grot z ciała, oglądając go z rosnącym zdziwieniem. Nie czuł najmniejszego bólu... Dawno nie odniósł żadnej rany i nie zdawał sobie sprawy z tego, jak bardzo mu sprzyja Porzucony Przedmiot.

Bo była to sprawka Geerkoto, bez dwóch zdań. Kapitan już dawno zauważył, że stał się zupełnie niewrażliwy na takie głupstwa jak drobne oparzenia, skaleczenia, kontuzje. Nie pamiętał, kiedy bolało go cokolwiek – głowa po przepiciu lub żołądek po nadpsutym mięsie (nic niezwykłego na morzu). Miało to dobre i złe strony; przecież ból był ważnym sygnałem, że dzieje się coś niedobrego.

Ale strzała pod obojczykiem?... Tego już trochę za wiele.

Marynarze, widząc pogardę, z jaką ich dowódca odrzucił wyrwany z ciała pocisk, zaczęli wiwatować i wznosić triumfalne okrzyki. Wokół padali zabici i ranni, okręty spotkały się, zeszyły niemal równo burta w burtę – i dopiero wtedy, z najmniejszej odległości, przemówiły działa „Węza Morskiego”. Karaka drgnęła i przechyliła się ciężko, kłęby cuchnącego dymu prochowego spowiły cały okręt, ale przez krótką chwilę dało się dostrzec poszczerbione nadburcie holka, zdemolowany kasztel dziobowy i spustoszenie poczynione w takielunku; nie doceniono tam liczby i wagomiaru dział „Węza Morskiego”, nie oczekiwano takiej siły ognia. Żaglowce minęły się i rozeszły w dwie strony świata. Jednakże na „Węzu Morskim” padały już rozkazy do zwrotu, gdy raniony holk przewalał się z fali na fale, utrzymując poprzedni kurs, niezdolny do podjęcia sprawnych manewrów. Piraci bez przeszkód mogli ruszyć śladem przeciwnika, dogonić go i zdemolować do reszty przy użyciu prawoburtowych baterii. Zważywszy na czas potrzebny do nabicia dział, zatopienie wojennego okrętu za pomocą

samej artylerii było właściwie nierealne. Ale też na „Węzu Morskim” nikt nie zamierzał bawić się w ten sposób. Chodziło o spowodowanie jak największych zniszczeń, a potem przeprowadzenie abordażu.

Marynarze sprawnie nabijali działa; inni, gotowi jak najprędzej przetoczyć je znów ku nadburciom, już czekali przy taliach.

Ścigany holk próbował ostrzeliwać się z baterii rejteradowej, ale skutek był taki jak poprzednio. „Wąż Morski” bez trudu doszedł go od nawietrznej. Okręty zrównały się, pirat refował żagle. Załoga strażnika rozpaczliwie próbowała uwolnić żaglowiec od uciążliwego balastu, jakim stał się zwalony fokmaszt; żołnierze i marynarze desperacko plątali się w pozrywanym olinowaniu. Idąca bok w bok z holkiem karaka udaremniła te poczynania pełnoburtową salwą. Kule działowe nie zabijały, bo rzadko trafiały w żywy cel; zabijało lub raniło zdruzgotane, wyrwane z konstrukcji drewno. Nie bacząc na strzały sypiące się z kaszteli strażnika, marynarze Rapisa z wprawą rzucili kotwice abordażowe, spięli okręty linami, zderzyli burtami, zaczepili bosaki. Dziki ryk wydarty z dwóch setek piersi zagłuszył komendy cesarskich oficerów. Ogromna masa ludzi i broni runęła na pokład mniejszego okrętu. Majtkowie skakali przez nadburcia, zawisali na wantach, spadali wprost na kasztele, prowadzeni przez kilkunastu najbardziej doświadczonych rzemieślników – resztki starej załogi Rapisa. Zgnieciono żołnierzy samą liczbą; zorganizowany opór stłumiono po paru chwilach, porozrywano bitwę na mniejsze potyczki i starcia. To były zajadłe walki, ale gasły jedna po drugiej. Zaczęła się mordercza gonitwa: rozbójnicy chwyтали uciekających żołnierzy i marynarzy, po czym dobijali lub bez ceremonii wyrzucali za burte.

Bitwa zamierała. Na znak swego kapitana piraci sprawnie podłożyli ogień pod kasztel rufowy i dziobowy. Gdy tylko deski zostały ogarnięte przez płomień, Rapis dał sygnał do odwrotu. Nie brano łupów – były przecież jeszcze dwie wielkie, wyładowane towarem kogi; zajmowanie się rabunkiem na strażniku pozwoliłoby im na ucieczkę. Przecięto liny spinające żaglowce, odrzucono bosaki. Uczepieni burty majtkowie Rapisa z hałaśliwą wesołością oglądali miotających się bezradnie wśród płomieni żołnierzy i marynarzy.

Ogień rozprzestrzenił się szybko, zapłonęły żagle, olinowanie i drzewca masztów. „Wąż Morski” odszedł na odległość najwyżej czterystu kroków od gorejącego jak pochodnia okrętu, gdy dojrzano wyskakujące w panice do morza figurki załogi. Zaraz potem wyleciały w powietrze rufowe prochownie. Statek przechylił się gwałtownie, krzyki i wrzaski doleciały aż na pokład pirackiej karaki. Potem eksplodowały zapasy prochu na kasztelu dziobowym. Załoga „Węza” wiwatowała.

Rapis z uśmiechem oglądał widowisko. Potem odwrócił się i zmierzył wzrokiem odległość dzielącą „Węza Morskiego” od uciekających kupców. Kogi rozdzieliły się; niegłupie posunięcie. Mógł zdobyć tylko jedną. Trzy mile, nie więcej. Wezwał pilota i rozmawiał z nim przez krótką chwilę. Potem zbliżył się do Ehadena.

– Raladan twierdzi, że trochę to potrwa. Też tak sędzę. Idziemy za tamtą. – Wskazał palcem.

Ehaden przytaknął i wrzasnął na załogę. Przywołani do porządku marynarze z wielkim żalem odeszli od nadburcia i zaczęli uwijać się przy żaglach.

– Możemy klócić się dalej – powiedział Rapis bez uśmiechu, gdy oficer zarządził, co trzeba. – Tylko nie wiem, czy warto.

Ehaden pokręcił głową.

– Zdaje się, że jesteś ranny? Opatrz to.

Rapis odruchowo uniósł dłoń do obojczyka.

– Zapomniałem... – powiedział ze szczerym zdziwieniem i niedowierzaniem. – Nic nie czuję.

– Zaimponowałeś załodze – stwierdził Ehaden z lekko drwiącym uznaniem. – To nigdy nie zaszkodzi.

Rapis popatrzył uważniej.

– Nie rozumiesz – rzekł z lekkim naciskiem. – To nie bolało, Ehaden. Słyszysz mnie? Mam gdzieś uznanie załogi, nie chciałem robić dobrego wrażenia, po prostu nic nie poczułem. Jest... niedobrze – zakończył niejasno.

Przez chwilę patrzyli na majtków, wciąż zajętych przy żaglach i sprzątających pokład. Inni oglądali płonący wrak holka, jeszcze

inni prowadzili dokądś rannych. Ehaden marszczył brwi.

– Czy to ten klejnot? – zapytał, unikając spojrzenia kapitana. – Ten Rubin?

Rapis z wahaniem skinął głową.

– Chyba tak.

Po czym dodał stłumionym głosem, choć pośród wrzasków załogi i tak nie mógł go dosłyszeć nikt postronny:

– Boję się tego, Ehaden. Słyszysz mnie? Nie wiedziałem, że to aż tak.

Zamilkł.

„Boję się”. Ehaden wciąż unikał spojrzenia dowódcy. Rapis przyznający się do strachu był... przerażający.

– Pogadajmy. Ubiorę się – pokazał koszulę stanowiącą cały jego strój – i pogadamy. U ciebie? – pół zaproponował, pół zapytał.

Kapitan pokręcił głową.

– Nie chcę rozmawiać, Ehaden, nie teraz. Chcę się bić. Spalę tego kupca, potem przyjdę gadać. Chcę sprawdzić... Powiedz, czy zauważyłeś, żebym jakoś się... zmienił?

Ehaden poczuł ucisk w gardle.

– Na wszystkie moce świata, człowieku – powiedział niewyraźnie po chwili. – Sto razy mówiłem, żebyś wyrzucił to świństwo do morza. Zrób to wreszcie. Nikt z nas tutaj nie ma pojęcia, co to właściwie jest i do czego służy. Wyrzuć to.

– Zmieniłem się? – nalegał Rapis.

Oficer ruszył w stronę rufy. Zrobił dwa kroki, przystanął i odwrócił się. Przytknął palec do czoła.

– Tutaj – rzekł. – Wszystko ci się poprzestawiało, od pół roku niepodobna dogadać się z tobą. Uciekasz przed jednym okrętem, potem wołasz, żeby atakować wszystkie floty imperium. Mordujesz marynarzy, którzy nic złego nie zrobili. Opowiadasz o rzeczach, których nigdy nie było. Nie poznajesz... – Urwał i odetchnął głęboko.

– Wyrzuć ten kamień. Najlepiej teraz, już! Ty mnie pytasz, czy się zmieniłeś? Ja, przyjacielu, mam tylko nadzieję, że to wszystko z winy tego Geerkoto. Wyrzuć to!

Ruszył do swojej kajuty, zostawiając kapitana stojącego samotnie na kasztelu.

## ROZDZIAŁ 6



Nieuzbrojoną kogę zdemolowano tak samo, jak wcześniej holk straży morskiej. Gdyby to był inny statek, Rapis pomyślałby może o zdobyciu go i obsadzeniu załogą przyzową, ale teraz nie miało to sensu – powolna, stara trumna wlokłaby się za „Wężem” jak kula u nogi. Przeładunek towarów, jeśli były tego warte, wydawał się mniej kłopotliwy niż takie towarzystwo.

Wstrząs towarzyszący zetknięciu burt obu żaglowców omal nie zbił kapitana z nóg. Garstka zbrojnych eskortujących ładunek skupiła się wokół masztu. Wyrznięto ich w mgnieniu oka, chociaż złożyli broń; potem majtkowie rozbiegli się po wszystkich zakamarkach statku w poszukiwaniu łupów.

Gdy Rapis dotarł na rufę, byli tam już jego marynarze. Szturmowano drzwi wiodące do pomieszczenia pod kasztelelem.

Wsparty na swoim toporze kapitan cierpliwie czekał, aż puszczą zawiasy. Doczekał się; horda majtków wtargnęła do środka. Ruszył w ich ślady. W kącie dość dużego kwadratowego pomieszczenia mordowano właśnie jakiegoś mężczyznę, obok dwaj marynarze trzymali za włosy niestarą jeszcze, skowyczącą kobietę. Rozjuszeni, zaczęli tłuc jej głową o ścianę, aż zaprzestała oporu. Trzasnęła zrywana suknia. Rapis dmuchnął w swoją świstawkę.

– Wynocha. Zabrać trupa. I to zwierzę też.

Marynarzy wymiotło. Gdy pochwycona kobieta została wywleczona z kajuty, wrzaski na pokładzie przybrały na sile. Rapis zaczął przeszukiwać pomieszczenie. Majtkowie mieli cały okręt, ale pokój dowódcy kogi należał tylko do niego. Znalazłszy mapy, kapitan przejrzał je pobieżnie, kilka odrzucił, inne zwinął w rulon

i wepchnął za koszulę na piersi. Potem pozbierał wszystkie przedmioty, które można było wymienić na złoto. Włożył je do dużej, stojącej w kącie skrzynki i zajął się plądrowaniem kufrów. W jednym znalazł sporą szkatułkę. Otworzył. Złoto i srebro. Z aprobatą skinąwszy głową, wrzucił szkatułkę do swojej skrzyni, zabrał jeszcze kilka drobnych przedmiotów, na koniec zerwał osłaniającą łóżko kotarę z wyśmienitego aksamitu. Potrzebował takiej. Wziął skrzynkę na ramię i wyszedł.

Ujrzał swoich majtków płasających wokół otwartej wielkiej beczki, w której utopiono zdobytą kobietę; wystawały tylko gołe nogi i wypięty tyłek, masowany i klepany ku powszechnej uciechu. Ktoś wymierzył tęgiego kopniaka, dając przykład innym. Trup podrygiwał w beczce. Ryczący ze szczęścia marynarze raczyli się czerwonym napojem.

Rapis zrozumiał w jednej chwili: statek szedł z ładunkiem win.

– Precz! – krzyknął. – Wynocha od beczki!

Podbiegł, wyrwał jednemu z majtków napełniony trunkiem hełm i sam spróbował. Wino było przednie, a co za tym idzie – drogie. Już kiedyś w taki sam sposób zdobył majątek. Odrzucił hełm i odepchnął wielkiego draba, chłepczącego pyszny napój prosto z beczki wypełnionej, jak się zdawało, głównie kłębami pływających w winie jasnych kobiecych włosów.

– Wynocha! – powtórzył.

Przywołał Taresa.

– Zajmij się przeładunkiem – zarządził. – Trudno wyobrazić sobie coś, co łatwiej sprzedać. Tylko piorunem.

– Tak, kapitanie!

Targając swoją skrzynkę, przelazł z powrotem na „Węza Morskiego”. Za plecami usłyszał wesołe przyśpiewki marynarzy:

*Wiatr morski, żeglarze, tę prawdę wam powie,  
hej, ha! hejże ha!  
Radujcie się bracia, gdy giną wrogowie,  
hej, heja-ho!*

*Bo gruby grubego grubasa jest trup,  
hej, ha! hejże ha!  
Radujmy się bracia i zgarniajmy łup!  
Hej, heja-ho!*

Ehaden tkwił na swoim miejscu na pokładzie rufowym. Rapis zbliżył się doń.

– Stoisz? – zapytał wesoło. – No to stój. Dopilnuj przeładunku, mają dobre wina. Kazałem Taresowi, ale Tares... wiesz.

Ehaden skinął głową, nie mówiąc ani słowa.

Chwilę później Rapis stanął przed drzwiami swojej kajuty. Zawahał się, ale po krótkim namyśle wszedł do środka i postawił skrzynkę na podłodze. Ostrożnie wyjął mapy i dopiero wtedy, bez troski i z hałasem, przeciągnął skrzynię w kąt. Wyjął szkatułkę, przez chwilę ważył ją w dłoni, po czym poszedł do kajuty Ehadena, uchylił drzwi i wrzucił pudełko do środka. Prezent dla przyjaciela.

O jednookiej przypomniał sobie dopiero wtedy, gdy poderwała się przestraszona hałasem, jakiego narobiły spadające na podłogę złote monety. Przez chwilę spoglądali po sobie.

– Czy pani niewolnica ma już jakieś nazwisko? – zapytał kpiąco, ale bez żadnej złej myśli; był w nie najgorszym humorze.

– Wyjdź stąd! – zawołała gwałtownie, ciągle przestraszona... i natychmiast pożałowała tej wynikłej z lęku gwałtowności.

Kapitan zeszywniał.

– Chodź no tutaj – powiedział. – Nikt na tym okręcie nie będzie tak do mnie mówił. Dostałaś ode mnie w prezencie starą szmatę i wydało ci się, że kim tutaj jesteś?

Cofnęła się. Wszedł do kajuty, uczynił trzy szybkie kroki, po czym chwycił dziewczynę za twarz i uderzył jej głową o ścianę, dokładnie tak samo, jak zrobili to majtkowie z kobietą na kupieckiej kodze. Krzyknęła boleśnie; ucapił ją dłonią za kark, okręcił i pchnął ku drzwiom. Runęła na podłogę tuż przy progu, uderzając głową w ościeżnicę. Poczęstował leżące ciało kopniakiem, potem pełną garścią chwycił gęste, ciemne włosy i wywlókł dziewczynę



z powrotem na środek kajuty. Stękając, gramoliła się za nim na czworakach.

– Zrobiłem burdel z okrętu... i żałuję... – mówił urywanie, z narastającą wściekłością. – Pora przywrócić porządek...

Pochyliwszy się, chwycił ją za gardło, bez wysiłku poderwał na nogi i cisnął plecami na ścianę. Jęknęła głucho. Puścił ją, cofnął się i wyciągnął miecz. Poczuli... niezwykłą ulgę. Jakby naprawiał poważne zaniedbanie.

– Przestań! – powiedziała niewyraźnie, ze szlochem, oszołomiona uderzeniem i bólem. – Przestań, proszę...

Nieoczekiwanie – wrócił ten dziwny lęk, który dopadł go wtedy, w kajucie, gdy rozmawiał z nią po raz pierwszy. Ale teraz nie było już wstrętnego pustego oczodołu, rozburzone włosy zakrywały nawet opaskę na oku... i ta twarz była normalną twarzą kobiety. A jednak bał się tym bardziej i rozpaczliwie zapragnął zetrzeć te rysy, strącić w niebyt, może w przeszłość... Między stare, pogrzebane wspomnienia, bo tam chyba było ich miejsce. W przeszłości... Tak, w przeszłości.

Dotknął sztychem szyi, po czym uniósł nieco nadgarstek, zamierzając pchnąć pod kątem, w dół. Przeliykał ślinę, szybko, raz za razem. Wyglądał okropnie.

Dziewczyna chwyciła się za włosy przy skroniach.

– Przestań! – krzyknęła z płaczem. – Nie poznajesz mnie?! Ja przecież... Nie poznajesz mnie? Nie poznajesz? – pytała z nowymi łzami; może chciała powiedzieć „ojcze”... ale nigdy dotąd nie wypowiadała tego słowa i teraz nie przeszło jej przez gardło. – Nie poznajesz mnie, Rapis?... Popatrz na mnie, proszę... Proszę cię. Ja wierzę, że ty mnie poznasz...

Łzy spływały po okaleczonej twarzy, zaczynały kapać na podłogę. Kapitan cofnął się o pół kroku i wolno opuścił ostrze. Nagle upuścił miecz, uniósł dłonie i zaczął przecierać nimi twarz. Dziewczyna osunęła się wzdłuż ściany i skuliła na podłodze, nie przestając płakać. Rapis stał nieruchomo, wciąż z rękami przy twarzy; odjął je wreszcie, pokazując błyszczące, szeroko otwarte oczy pomyleńca.

– Niepotrzebnie tu przyszłaś, Ageneo – powiedział niewyraźnie i ochryple. Znowu przełknął ślinę. – Szukałem cię tyle lat, chciałem... Ale potem bałem się, że znajdę – bełkotał. – Że cię znajdę i że będę musiał zabić, Ageneo... Niepotrzebnie tu przyszłaś. Odeszłaś... i nie trzeba było wracać, bo już było dobrze... Ja myślałem o tobie na tej plaży, tam gdzie niewolnice... Myślałem o tobie, wiesz?

Dziewczyna prostowała się powoli, z narastającym strachem. Mocno przywierając do ściany, wsparta o nią plecami i dłońmi, uczyniła słaby krok w kierunku wyjścia. Potem drugi. Zaczęła dygotać.

– Niepotrzebnie... – mamrotał kapitan, kręcąc głową. – Niepotrzebnie, Ageneo. Niepotrzebnie.

Wyciągnął ramiona i ująwszy jej twarz w obie dłonie, delikatnie musnął kciukami drżące wargi. Potem opuścił ręce niżej i zacisnął palce na gardle jedynej kobiety, którą kochał, a która odpłaciła mu zdradą.

Przełknął ślinę.

o o o

Morze było spokojne i Ehaden sądził, że z przeładunkiem nie będzie kłopotów. Mocniej spięto dzioby żaglowców, uwolniono zaś części rufowe, by odsłonić furtę ładunkową kogi. Był to zabieg dość ryzykowny, albowiem kadłuby okrętów mogły zetknąć się z powrotem na całej długości, miażdżąc wszystkich, którzy znaleźliby się między nimi. Jednakże Ehaden, naradziwszy się z cieślami, Raladanem i Taresem, uznał, że przy tak leniwej fali i wietrze warto spróbować. Wyciąganie wielkich beczek wyłącznie przez luki pokładowe wydawało się przedsięwzięciem bardziej czasochłonnym, chociaż mniej niebezpiecznym.

Obsadzono obie łodzie „Węza Morskiego” i powiązano je z rufami obu żaglowców; czuwający przy wiosłach marynarze mieli baczyć, by kadłuby nie zbliżały się do siebie bardziej, niż jest to potrzebne. Na kasztelach postawiono majtków z bosakami. Ehaden, nie

namyślając się wiele, kazał wybić dziurę w nadburciu karaki, na wprost furty ładunkowej kogi. Dla pokładowych cieśli usunięcie szkód po zakończeniu przeładunku nie było żadnym problemem. Wyszukano odpowiednio grube i długie belki (przydatne były wsporniki dziobowego kasztelu kogi), po czym połączono żaglowce dość solidnym, a zarazem kołyszącym się w rytm chwiejby kadłubów pomostem. Wkrótce przetoczono pierwszą beczkę. Za pomocą dość skomplikowanego systemu lin i wielokrążków spuszczone ją do ładowni „Węza”. Mniejsze baryłki wędrowały drogą powietrzną z jednego pokładu na drugi.

Ehaden miał powody do zadowolenia. Przekazał Taresowi komendę nad przeładunkiem, Raladanowi zaś opiekę nad okrętem, po czym udał się na rufę, by powiedzieć kapitanowi, że wszystko idzie jak z płatka. Najpierw jednak zaszedł do swojej kajuty, chcąc się pozbyć niepotrzebnej już kolczugi, a także miecza, będącego tylko zawadą przy pracy. Otworzył drzwi... i uczynił tylko jeden słaby krok.

Dziewczyna, w poszarpanej sukni, półnaga, leżała na podłodze, nie przejawiając żadnych oznak życia. Uda miała szeroko rozłożone. Rapis siedział na podwiniętych nogach między jej kolanami. Krztusząc się z przerażenia, Ehaden krok za krokiem obszedł go tak dużym łukiem, jak to było w ciasnej kajucie możliwe. Kurczowo chwytając powietrze, patrzył na twarz przyjaciela, to znów na pozlepiane kleistą cieczą łonowe włosy dziewczyny. Czoło miał zroszone potem.

– Na wszystkie Pasma Szerni – rzekł ochryple. – Coś ty zrobił, Rapis?... Coś ty zrobił?

Siedzący uniósł przygaszone spojrzenie. Kołysał się monotonnie – w przód i w tył.

– Niepotrzebnie wróciła – powiedział. – Po co ją sprowadziłeś? – spytał z żalem.

Powoli sięgnął w zanadrze i wydobył wielki czerwony klejnot. Rubin Córki Błyskawic, Geerkoto.

– Chciałem go dzisiaj wyrzucić. Niepotrzebnie. Przedmioty są wierne, zdradzają tylko ludzie. Twoja siostra... – Urwał nagle. –

Twoja siostra – powtórzył ze zdziwieniem. – Prawda. Wiesz, że prawie zapomniałem. Zapomniałem, że ona była twoją siostrą. Agenea.

Półprzytomny Ehaden wyjął miecz.

– Już nie będziemy pływać razem – powiedział. – Nie próbuj zbliżyć się do mnie. Jesteś... pomyłony. Czy ty wiesz, kogo zabiłeś? Wiesz, z kim... komu... – Oddychał nierówno. – Ona była... – Wyciągnął broń przed siebie. – Już po tobie, Rapis. Już po tobie... Nic ci nie zostało, zupełnie. Zabij mnie teraz, bo inaczej ja zabiję ciebie.

Zgaszone spojrzenie szaleńca rozbłysło. Rapis zerwał się i pochwycił człowieka grożącego mu mieczem. Runęli na podłogę. Tarzali się przez chwilę, lecz olbrzymi kapitan „Węża Morskiego” bardzo szybko wziął górę. Wyrwał miecz z ręki oficera, przydusił kolanem wijące się ciało – i uderzył sztychem, od góry. Kolczuga puściła. Ehaden targnął się i znieruchomiał.

Rapis wstał powoli.

– Sami zdrajcy – powiedział, ciężko oddychając. – Niepotrzebnie mi to zrobiłeś. Nie trzeba było sprowadzać jej tutaj. Zdrada, wszędzie zdrada. Sprowadziłeś ją!

Twarz konającego była blada, prawie biała. Palce krwawiły, trzymając tkwiące w piersi ostrze.

– Skąd ją... sprowadziłem? – zapytał słabo. – Z przeszłości?

Kapitan odetchnął głęboko.

Ehaden słabo rozkaszał się krwią.

– Durniu – wykrztusił. – Popatrz na nią. No... popatrz. Czy to może być Agenea? Zgwałciłeś... zabi...łeś jej córkę. Waszą córkę, twoją. Usłyszałeś?... Córkę.

Rapis przekrzywił głowę i poruszył wargami: cór-kę.

Ehaden umarł.

Kapitan stał nad ciałem.

Po pewnym czasie spojrział na upuszczony Rubin. Przeniósł wzrok na twarz leżącej nieruchomo dziewczyny, potem znowu patrzył na Rubin, na Ehadena, na Rubin, na dziewczynę... Oparł plecy o ścianę i westchnął cicho, ciężko – jak dziecko. Wolno przykucnął przy leżącej, wziął ją na ręce i położył na łóżku Ehadena. Poprawił

strzępy sukni. Dziewczyna drgnęła lekko i znowu znieruchomiała. Oddychała płytko, nierówno.

– Nie zabiłem jej, Ehaden. Chciałem... i nie mogłem. Nie umiałem.

Poczuł zawrót głowy. Jeszcze raz pochylił się nad leżącą, ale nieoczekiwanie stracił równowagę i znalazł się na podłodze. Chciał się podeprzeć, by wstać – wtedy włożył rękę między skrwawione, pocięte ostrzem wnętrzości, które wysunęły się spod kaftana i koszuli. Patrzył, ale nie rozumiał, co widzi. Nie czuł bólu.

Nic nie czuł.

Ehaden jednak potrafił trzymać miecz. I nie oddał go tak po prostu.

Kapitan przymknął oczy. Potem ciężko przetoczył się na plecy i podparł na łokciu. Spoglądał na skrzywdzoną dziewczynę.

– Co ty mówiłeś, Ehaden? Że kto... że to jest kto?... Powtórz mi, Ehaden.

Zapłakał nagle. I powiedział:

– Córka. Moja córka. Tylko że już jest za późno, Ehaden... Co myśmy zrobili z naszym życiem, Ehaden? A może ktoś nam to zrobił? Powiedz mi, przyjacielu.

Ukląkł z wysiłkiem, wyciągnął wielką dłoń i ostrożnie, drżącymi palcami musnął policzek dziewczyny.

– Ridareta – powiedział, wciąż płacząc. – Moja córka ma na imię Ridareta. Mała garyjska księżniczka.

Powstał z wielkim trudem i przytrzymując się ścian, chwiejnie opuścił kajutę. Przez jakiś czas stał w cieniu kasztelu, zamglonymi oczyma obserwując przeładunek win z kupieckiej kogi. Długo coś rozważał, wreszcie krzyknął, czy też raczej chciał krzyknąć, a powiedział:

– Raladan!

Dosłyszał go jakiś marynarz.

– Tak, panie kapitanie! – zawołał gorliwie. – Pilot do kapitana!

Rapis odwrócił się i poszedł do swojej kajuty. Słabnącymi dłońmi przytrzymał miękką, gorącą tobołek skryty pod kaftanem i koszulą. Po drodze raz jeszcze zajrzał do izdebki Ehadena. Musnął wzrokiem twarz przyjaciela, pochwycił błysk Rubinu, wreszcie

długo spoglądał na wciąż nieruchomą Ridaretę. Ruszył dalej, wzdłuż ściany. Otworzył drzwi do swojej kajuty, uczynił dwa chwiejne kroki – i przewrócił się.

– Szybciej, Raladan – rzekł cicho. – Szybko, Raladan. Przyjdź tutaj.

Powieki zaczynały mu ciążyć. Wciąż nie czuł żadnego bólu.

– Przychodź, Raladan. Szybciej...

## ROZDZIAŁ 7



Świtało. Morze było gładkie, wiał bardzo lekki wiatr z północnego zachodu. Pokład ogromnego, tnącego powierzchnię morza okrętu bez flagi na maszcie był pusty, jeśli nie liczyć śpiącego wśród lin na rufowym kasztelu majtką, paru innych drzemiących na dziobowym pokładzie i tkwiącego nieruchomo pod masztem pilota. Pilot oczy miał lekko zmrużone, a spojrzenie wbite gdzieś pod linię horyzontu.

Okręt włókł się donikąd pod bezanem i zrefowanymi marslami.

Oprócz niemrawego poskrzypywania takielunku i bulgotu wody za rufą nie było słyhać na pokładzie żadnych innych dźwięków. Ale oto gdzieś, w głębi statku, rozległ się łomot, właściwie trzask, jakby zamykanych z rozmachem drzwi.

Pilot nie drgnął

Jeszcze raz coś stuknęło i z luku na pokładzie wynurzyła się najpierw głowa, a potem cała zwalista sylwetka starego bosmana. Stanął na deskach i powiódł wzrokiem dokoła.

– Raladan – powiedział ochryple – co jest?

Pytanie było niejasne, ale pilot zrozumiał je widać, bo pokręcił głową i – wciąż śledząc horyzont – odparł krótko:

– Bez Rapisa nic z tym bydłem nie zrobisz. Ledwie zatrzymałem tych przy rumplu, bo chcieli zablokować ster i iść.

Bosman jeszcze raz obejrzał niewyszorowany pokład, po którym walały się jakieś szmaty i kawałek zardzewiałego żelastwa, zerknął na niedbale postawione żagle i zacisnął pięści.

– Sukinsyny – wymamrotał. – Jedna doba... Nawet wachty, to sukinsyny! Ja ich, sukinsynów, nauczę.

Jakby w odpowiedzi na słowa bosmana spod pokładu doleciały odgłosy awantury: ktoś krzyczał, drugi usiłował go przekrzyknąć. W tle tego rozbrzmiał pijacki śpiew.

– Oni są jeszcze pijani, Dorol – rzekł pilot. – Pili całą noc. A ty z nimi. Ale tyś przestał, a oni nie przestaną, aż zabraknie wódki. Wtedy wyrzucą nas za burtę.

– Nie wyrzucą. Nie wyrzucą, Raladan.

Dorol zlął pod pokład. Jeszcze chwila – i śpiewy umilkły. Potem kilka głosów zaczęło ryczeć wściekle, brzmiała w nich groźba. Ktoś zaskowyczał przeraźliwie, łomotnęło coś potężnie, potem jeszcze raz, hałas przybliżał się do luku, wreszcie na pokład wyskoczył wielki, chudy drab w samych portkach. W ślad za nim ukazało się grube cielsko bosmana. Drab doskoczył z wyciem, uderzając pięścią w wielki brzuch. Dorol sapnął i walnął na odlew. Pirat nakrył się nogami.

W ślad za ową dwójką wyłazić na pokład zaczęła reszta załogi. Niektórzy wymachiwali nożami, a jeden trzymał topór. Pod adresem bosmana posypały się wściekle, obelżywe słowa.

Chudzielec powstał i znów zaatakował. Dorol pchnął go w pierś, przewracając po raz drugi. Potem odwrócił się ku reszcie i szedł nieustraszenie sam przeciwko dwudziestu.

Pijackie wrzaski przybrały na sile, wreszcie trzech rzuciło się z nożami. Dorol chwycił dwóch za gardła i z rozmachem zderzył głowami, odrzucając – krwawiących – jak szmaciane kukły. Wyciągnął przed siebie rozharataną nożem pięść i czekał na trzeciego.

Ten zlął się. Ale po krótkiej chwili wycia rozbrzmiały ze zdwojoną mocą i wszyscy naraz postąpili do przodu.

Wtem ktoś potknął się i upadł z charkotem. W szyi tkwiło mu ostrze noża.

Zapadła głęboka cisza. Ciało zastygło na deskach. Pijacy odstąpili na boki, patrząc z nagłym strachem.

Stojący pod masztem Raladan wzrok miał utkwiony w morzu, ale prawe jego ramię poruszało się rytmicznie. Dwa noże migotały w powietrzu, kreśląc krótkie łuki i pewnie wracając do dłoni.



Bosman nie był sam.

W ciszy, przeklinając tylko z rzadka i zerkając spode łba na trupa, zbiry zlazły z powrotem pod pokład, przepychając się i tłocząc w ciasnym otworze. Jako ostatni zwlekli się pobici. Dorol podniósł trupa z desek i wyrzucił za burtę, wyrywając wcześniej z jego szyi nóż, bo był tam już niepotrzebny.

– Morze wzięło – powiedział i splunął.

Raladan skinął lekko głową i – wciąż patrząc pod horyzont – schwytał noże i wraz z trzecim, przyniesionym przez Dorola, utknął za pasem i cholewą. Dorol usiadł na zwoju lin pod masztem, zerwał z szyi chustkę i okręcił nią rękę. Pogapił się na pokładową klepsydrę, której nikt nie obrócił. Nie wybito półwachtę ani wachtę.

– Rozwalił żem dwie beczki – powiedział. – Gdzie Tares i nasi?

Pilot skinął ku rufie.

– Tares z Jednooką. A reszta też zachlęła.

Bosman rąbnął pięścią w maszt i splunął po raz drugi, krzywiąc się boleśnie.

– Opętała Ehadena, teraz tego – rzekł ze złością. Znów splunął przesadnie. – Do pioruna, żeby tak choć Ehaden! Tego też się bali. Nie to, co kapitana, ale przecie. A Tares za słaby. Ludzie go lubią, a nikt się nie boi. Żeby ciut się bali, ale nie, nikt się nie boi.

– Zna mapy i przyrzędy. I czytać potrafi.

– To co, że zna mapy? Ty też znasz mapy, a i bez map dasz se rady. Sam żem widział, jak żeś wiódł okręt w sztormie, a on szedł między rafy, jakby sam miał oczy. A ty to nie znasz literów?

Raladan milczał.

– Ze starej załogi mało kto został – gadał Dorol – a ci nowi to nie żaden marynarz. Rapis mógł mieć z nich załogę, bo się bali i był przez to posłuch. Ale Tares to nie Rapis. I nawet nie Ehaden.

Wstał ociężale.

– Trza go zbudzić.

Szerokim, okrętowym krokiem poszedł ku nadbudówce rufowej. W korytarzyku natknął się na dziewczynę. Na jego widok cofnęła się szybko do kajuty zajmowanej dotąd przez Ehadena. Ten przestrach

dziwnie ułagodził szorstkiego żeglarza. Zamiast zabawiającą się z Taresem zastał ją wylęknioną i kryjącą się po kątach.

– Nie bój się, mała. – Łagodny ton nie pasował do schrypniętego basu i słowa, wbrew intencjom, zabrzmiały szyderczo. – Ja nie rekin...

Ale ona już zamknęła drzwi. Poszedł dalej i zapukał do kajuty kapitana. Przez chwilę chciał wierzyć, że usłyszy dobiegający z wnętrza mocny głos Demona...

Ale nie.

Wszedł do środka. Tares pólleżał na stole, pochrapując cicho. Dorol chrząknął, potem potrząsnął go za ramię.

– Ranek, panie.

Oficer obudził się natychmiast i spojrzał prawie przytomnie.

– Co?

– Ranek, panie – powtórzył bosman.

– Ranek... – Tares potrząsnął głową i przetarł twarz.

Bosman stał dalej.

– Co tam, Dorol?

– Źle, panie. Pijaństwo. Nikogo na wachcie, nikogo na oku. Tylko Raladan pilnuje. Przy rumplu dwóch, zesrają się, zanim wyłożą ster na burtę. Burdel się zrobił, nie okręt.

Tares zmarszczył czoło.

– Dobrze, Dorol, weźmiemy się za to – powiedział. – Wracaj na pokład.

– Tak, panie.

Bosman wyszedł, uśmiechając się gorzko. „Weźmiemy się”...

Nie było żadnych rozkazów.

Tares pogłodził rękojeść leżącego na blacie miecza. Pojmował sytuację, w jakiej się znalazł. Pojmował lepiej, niż Dorol mógł się domyślać.

Wiść o śmierci dowódcy i pierwszego oficera lotem błyskawicy obiegła cały okręt. Sam przyczynił się do tego, niechcący. Pojawiły się kłopoty z przeładunkiem, posłał więc po Ehadena. Majtek znalazł w kajucie trupa we krwi, pobiegł z tą wieścią do kapitana –

i zobaczył drugiego trupa, któremu Raladan właśnie zamykał palcami powieki.

Nie minęło wiele czasu, a w załodze wybuchła panika. Co najmniej połowa zuchów przedostała się na zdobytą kogę z zamiarem obrania kursu w stronę najbliższego brzegu, w każdym razie byle dalej od przekłętego pirackiego żaglowca. Głupota tego pomysłu była porażająca, niemniej trudno było zatrzymać tchórzysię. Do wieczora nieudolnie prowadzony przyz oddalił się na znaczną odległość, potem całkowicie zniknął w mroku nocy.

Ci, którzy zostali, zaczęli pić na umór.

Tares wiedział, że nie zdoła utrzymać ich w ryzach. Mógł wyjść na pokład i wydać komendy o stawianiu żagli. Mógł podać kurs i zaprowadzić jaki taki ład. Był u Rapisy drugim oficerem i załoga przywykła słuchać jego poleceń.

Jednakże kapitan to nie tylko dowódca. To także sędzia. Miał nagradzać i karać. I wiedział, że tego od niego nie przyjmą. Tylko Rapis miał prawo karać. Tylko kary wymierzone przez Rapisę były słuszne. Tylko nagrody rozdzielane przez Rapisę były sprawiedliwe.

A teraz miał karać, musiał karać. Za nieporządek, za bałagan na statku, za samowolę, pijaństwo... Jeśli puści im to płazem, będzie musiał już zawsze i na wszystko przymykać oczy – pierwszy krok w stronę rozprężenia i upadku dyscypliny. Potem nie posłuchają już nawet komend o stawianiu żagli. Będą bezmyślnie grabili wszystko, co da się zagrabić, aż skończą na rejach jakiegoś strażnika. A wcześniej dzielenie łupów odbywać się będzie pośród bijatyk i zabójstw, dowódca nie będzie miał nic do powiedzenia.

Gdybyż zdołał od razu ująć załogę w karby, zapobiec rozłamowi... Ale nie zapobiegł. Teraz miał drugą i już ostatnią szansę: musiał wymierzyć kary, uratować swój autorytet. Był jednak tylko drugim zastępcą kapitana i wiedział, że pozostanie nim do końca, bez względu na to, jak go będą tytułować. Człowiekiem, który dba o zaopatrzenie w żywność, broń i słodką wodę. Nikim więcej.

Czas płynął.

Tares siedział zatopiony w myślach, nieruchomy. Drgnął dopiero, gdy cicho skrzypnęły drzwi.

Stanął w nich Raladan.

o o o

Gdy Dorol poszedł budzić Taresa, pilot odszukał dziewczynę. Tak jak się spodziewał, była w kajucie Ehadena. Siedziała na dużej skrzyni pod ścianą; gdy wszedł, spojrzała z mieszaniną wrogości i obawy.

Zamknął za sobą drzwi.

– Wiem, kim jesteś, pani – powiedział bez wstępów.

Wstała powoli. Teraz w jej oczach ujrział tajony strach i zdumienie.

– Jakim... cudem? – zapytała z chrypką. – Kto ci powiedział?

Wskazał niski taboret.

– Czy mogę usiąść, pani?

Machinalnie skinęła głową.

Pilot usiadł i splótł dłonie, opierając łokcie na udach. Spoglądając jej w twarz, powiedział:

– Jestem przyjacielem i chciałbym, żebyś mi zaufała. Tak, wiem, pirat i bandyta – zdawał się śledzić jej myśli – ale przede wszystkim człowiek, któremu twój ojciec dwukrotnie uratował życie... Nie zdążyłem spłacić tego długu.

Zamilkł na chwilę.

– Twój ojciec, pani, zostawił jednak testament. I ja jestem jego wykonawcą. Rozmawiałem z kapitanem, zanim... umarł.

Znów usiadła na swojej skrzyni.

– Nie obchodzi mnie to – rzekła cicho.

Skinęła głową.

– Niech będzie. Ale to mnie nie zwalnia z zobowiązań wobec kapitana.

Milczała.

– Wiem, a raczej domyślam się, co zaszło – powiedział z wahaniem, szukając jej wzroku. Dziewczyna pobladła gwałtownie.

– Wiem też, że twój ojciec nie do końca był sobą, dostał się we władzę pewnego... pewnych sił. Myślę, że powinnaś o tym wiedzieć.

Opuściła głowę.

– Nie obchodzi mnie to – powiedziała jeszcze ciszej niż poprzednio.

– Dobrze, pani. Ale bez względu na to, co cię obchodzi, a co nie, musisz wiedzieć, że twój ojciec przed śmiercią zlecił mi opiekę nad tobą. To jego ostatnia wola.

Uniosła głowę i przez długą chwilę mierzyli się spojrzeniami.

– Nie chcę żadnej opieki.

Pilot rozłożył ręce.

– Nie obchodzi mnie to – powiedział, naśladując jej słowa.

Cisza przedłużała się.

– Możliwe, że jest to pierwsza i ostatnia nasza rozmowa, bo widzę, że bardzo chcesz mi utrudnić zadanie. Ale ja nie wyjdę stąd, dopóki nie powiem wszystkiego. Krzywda, jaką wyrządził ci kapitan, jest wielka. Rozumiem. Nie namawiam, byś wybaczyła mu wszystko, pokochała jego samego i życie, jakie wiódł. Wolno ci czuć nienawiść, pogardę... Co tylko chcesz. Ale są ludzie, którym kapitan wyświadczył w ciągu jednej chwili więcej dobra, niż ty go uczyniłaś przez całe swoje życie. Powinnaś to uszanować.

Zauważył, jak drgnęły jej mięśnie szczęk, i odgadł, że poruszył właściwą strunę.

Odczekał chwilę. Nie poprosiła, by mówił – ale także nie zażądała, by wyszedł. Zrozumiał, że jest to przyzwolenie. Starannie dobrał słowa.

– Jesteś na okręcie pirackim – powiedział. – Czy chcesz tego, czy nie, pozostaniesz na nim, przynajmniej tak długo, aż przybijemy do jakiegoś lądu. A teraz zdaj sobie sprawę z tego, kim jesteś, pani, co ci wolno, a co ci grozi. Tares nigdy nie będzie kapitanem tego okrętu – ciągnął po krótkiej przerwie. – A jeżeli nawet tak go nazwą, to niczego nie zmieni. „Wąż Morski” jest skazany, pójdzie na dno prędzej, niż sądzi ktokolwiek z jego załogi. To nie jest okręt, którym może dowodzić ktokolwiek. Ci, co uciekli jak szczury, dobrze wiedzieli, co robią. A właściwie nie, nie wiedzieli – poprawił się zaraz. – Zaufali szczurczemu instynktowi.

Wzruszyła ramionami.

– Nic mnie to...

Urwała i nagle uśmiechnęła się blado.

– Tak, ale tym razem naprawdę nic mnie to nie obchodzi – dokończyła po chwili.

Potrząsnął głową.

– Mnie także – zapewnił. – Niech idzie na dno. Ale może tak... bez nas?

Zmarszczyła brwi.

– Słusznie.

Milczał przez chwilę, ważąc słowa.

– Musisz objąć dowództwo, pani – rzekł wreszcie bez ogródek.

Spojrzała zdumiona.

– To żart?

Pokręcił głową.

– Jesteś córką Demona. To wystarczy, żeby się bali. Od strachu do posłuszeństwa krótka droga.

Patrzyła mu w oczy, nic nie mówiąc, wciąż z tym samym zdumieniem.

Wreszcie lekko przygryzła usta.

– Rozumiem. Tyś oszalał albo kpisz sobie ze mnie. Mam być przewodniczką bandytów?

– Są w tej załodze tacy, co nie posłuchają nikogo, jeśli nie będą się bać. Takich jest najwięcej. Tchórzliwi uciekli, zostali popaprańcy.

– I co z tego?

Wstała.

– Czego ty chcesz ode mnie? – zapytała. Jej zdumienie nie malało, wprost przeciwnie, rosło coraz bardziej, w miarę jak uświadamiała sobie, co właściwie znaczy propozycja pilota. – Czego ty chcesz ode mnie? – powtórzyła. – Żebym prowadziła morderców do rzezi, żebym porywała ludzi z wiosek, tak jak mnie porwano? Żebym zabijała i kazała zabijać? Żebym wzbudzała strach w gromadzie zbydlęconych majtków? Tego żądasz? Mam zawiązać sobie szmatę na głowie i wpiąć kolczyk w nos? – Parsknęła szyderczo i gniewnie.

Pilot zachował niezmacony spokój.

– Nie, pani. Nie żądam żadnej z tych rzeczy, oprócz dwóch ostatnich.

– Dwóch... ostatnich?

– Tak. Jest tu dość odpowiednich strojów, by cię przebrać za królową piratów. No i jeszcze trzeba, byś istotnie wzbudzała strach, duży strach i szacunek.

Zaczęła coś pojmować. Usiadła na powrót.

– Mów dalej.

– Pomyśl, pani: dziewczyna, kobieta na okręcie. Jedyna. Jedna jedyna. Kim może na nim być, jeśli nie będzie kapitanem?

Pokiwał głową.

– No więc właśnie – podjął po chwili. – Nie przetrwasz nawet dwóch dni, jak tylko sobie przypomną, że tu jesteś. Dlatego trzeba, byś objęła dowództwo. Załoga musi się dowiedzieć, kim jesteś. A gdy raz zaczną słuchać, dalej wszystko pójdzie gładko. Nie trzeba żadnych rzezi, bitew czy rabunków. Tylko do najbliższego brzegu, pani. Kilka dni, które jednak trzeba jakoś przeżyć.

Słuchała, przygryzając wargę.

– To, co mówisz, wydaje się mądre. Ale ja nie umiem. Nie potrafię. Co mam robić, co mówić? Jak wyglądać?

– Czeka cię trudne zadanie, pani – przyznał. – Ale myślę, że dasz sobie radę. Spróbuję pomóc. A ty, przede wszystkim, spróbuj mi nie przeszkadzać.

Wstał.

– Najpierw porozmawiam z Taresem.

## ROZDZIAŁ 8



Ocenili ją wzrokiem.

– Nie, nie tak – rzekł oficer.

Opanowany, prawie nigdy nietracący zimnej krwi Raladan klęczał teraz pod ścianą, niecierpliwie grzebiąc w kufrze.

– Ta dziewczyna jest zbyt ładna – orzekł niemal ze złością, gdy wyszła, by przymierzyć kolejną suknię. – Jednooka i wciąż zbyt ładna. A czas płynie.

Spojrzeli po sobie. Było już południe, przed chwilą ktoś wyrznął w gong. Pewnie Dorol.

Żaden z nich nie miał pojęcia o kobiecych strojach, a sprawa nie była tak prosta, jak zrazu się wydawało. Większość sukni sznurowano z tyłu; żadna taka nie wchodziła w rachubę, jeśli nie mieli się przemienić w dziewczuchy garderobiane. Eh, gdybyż tylko raz! Ale codziennie?

Wzrok pilota spoczął na ciśniętej w kąt pokoju czarnej atłasowej szacie. Chyba armektańska, na pewno nie garyjska, bo bardzo porozcinana (obaj zdążyli już pobrać elementarne nauki), spinana była po bokach ozdobnymi kłamrami.

– To będzie to – mruknął. – A jak nie to, to już nic.

Załomotał w drzwi wiodące do kapitańskiej sypialni i od razu wszedł.

Stała oparta o ścianę, z nieruchomym wzrokiem wbitym w kąt pomieszczenia. Chyba zdążyła zapomnieć, że nic na sobie nie ma. Trzymała w rękach suknię, którą miała włożyć.

– Nie – powiedziała beznamiętnie. – Cały ten pomysł to bzdura.

Oderwała plecy od ściany i chciała go minąć, ale stanął na drodze.



– Dokąd? Gdzie? – Wyciągnął rękę z czarną suknią. – Czas ucieka, pani. Tak czy owak, jakiś strój chyba będzie potrzebny, nie wyniesiesz się na pokład tak jak teraz. To już ostatnia przymiarka, obiecuję.

Patrzyła mu w twarz.

– Nie zrobisz ze mnie pirata, tylko pośmiewisko. Czy o to chodzi?

Wciąż trzymał suknię w wyciągniętej ręce.

– Ostatnia suknia, pani.

Wzięła ją.

Czekali w milczeniu. Tares krążył po pokoju. Raladan stał oparty o ścianę. Wreszcie skrzypnęły drzwi.

Czerń sukni odmieniła ją bardzo: wywyższyła, dodała surowości i powagi, postarzyła. Wyglądała prawie tak, jak chcieli, by wyglądała.

– Jest za ciasna – powiedziała. – Na długość dobra, ale tut...

– Klejnoty – powiedział Raladan.

Minęła chwila, nim Tares pojął, co pilot ma na myśli. Mieszkali razem; Raladan wiedział, co jest schowane pod łóżkiem. Oficer zmarszczył brwi i chciał coś powiedzieć, ale odwrócił się tylko i wyszedł. Po chwili był w swojej kajucie. Wywłókł na środek pomieszczenia dość dużą, ciężką skrzynkę i otworzył wieko. Błysnęły złoto i drogie kamienie.

Zadrżały mu ręce, gdy przerzucał to bogactwo. Wybrał najpiękniejsze bransolety i pierścienie, a także przebogaty naszyjnik. Po namyśle odsunął go jednak i zastąpił innym. Podobnie wymienił część bransolet. Wymieniał pierścień po pierścieniu, klejnot po klejnocie na mniej lśniące, mniej bogate, wreszcie leżał przed nim stos tanich ozdóbek, bardzo niewiele wartych... Nie mógł przecież zanieść jej tego.

Z mimowolnym westchnieniem zaczął grzebać znowu. Ale najpiękniejszych nie tykał, nie potrafił rozstać się z tymi cacuszkami. Wybrał w końcu tylko zimne srebra, ale za to najprzedniejszej roboty, małe arcydzieła. Dodał naszyjnik z brylantem. Zawinął to wszystko w kawał kolorowej szmaty, a resztę schował szybko do skrzynki, tę zaś – z ulgą – ukrył pod łóżkiem.

Wrócił do kapitańskiego pokoju.

– To dla ciebie, pani – powiedział, wysypując precjoza na stół. Srebro zaśpiewało czystym, wysokim tonem. – Pożyczam tylko – zastrzegł.

Uśmiechnęła się mimo woli.

Raladan przyniósł zwierciadło. Trzymał je przed sobą, gdy przymierzała srebra. Wraz z Taresem przyglądali się uważnie, z ową wciąż narastającą fascynacją, właściwą mężczyznom, którzy oglądają strojącą się kobietę. Poważny Raladan, marszcząc brwi, usiłował reagować na każdy gest dziewczyny dotyczący ustawienia lustra. Wyżej... niżej... przechył... Skończyła i parsknęła krótkim śmiechem, ujrawszy nieprawdopodobnie skupione miny obu mężczyzn. Pomimo niedawnych przejść młoda dziewczęca natura chwilami brała w niej górę.

– Co teraz?

Wyglądała naprawdę dobrze.

– Nie wiem – powiedział Tares. – Co miała Alagera?

– Bat – odrzekł Raladan. – Ale nikt się go nie bał.

– Bat? – spytała zdumiona.

– Bat. Nosila go stale.

Przez krótką chwilę milczeli.

– Zawiąż coś na włosach, pani. Chustkę. Wyglądasz nieprzystępnie, i to dobrze, ale muszą w tobie widzieć także coś swojskiego. Bata nie będzie – zawyrokował pilot.

Wyraźnie przejął komendę.

– Znajdź Dorola, panie – zwrócił się do Taresa. – Niech przyśle dwóch ludzi z pałkami. Naszych, ze starej załogi. Powiedz mu, kto od dzisiaj dowodzi okrętem, ale tak, żeby wieść się rozeszła. Kapitan – rzekł do Ridarety – lubił stać na pokładzie rufowym, skąd widać cały okręt, to w ogóle jest miejsce trzymającego wachtę oficera. Pójdziemy tam. Oprzesz się wygodnie o reling, będziesz stać i patrzeć, nic więcej. My weźmiemy załogę do galopu. Będą biegać po pokładzie i wytrzeszczać gały na ciebie. Masz zachowywać się tak, jakby na „Wężu” nie było nikogo oprócz ciebie. Zrozumiałaś, pani?

Machinalnie skinęła głową; jej dobry nastrój ulatniał się szybko.

– Idź, panie – rzekł Raladan do oficera.

Tares kiwnął głową i wyszedł.

– Oni jeszcze nie wiedzą, że okręt jest bez dowódcy – mówił dalej Raladan, kołysząc się na obcasach. – Wczoraj oddali morzu kapitana i pierwszego zastępcę, ale teraz pili całą noc i nie dociera do nich, co się stało. Gdyby Demon zmartwychwstał i pojawił się tutaj, nawet by się nie zdziwili... Zamiast niego pojawisz się ty, pani. Oswoją się z twoją obecnością w miejscu, gdzie zawsze widzieli kapitana. Rozejdzie się wieść, że jesteś jego córką. A potem zaczną padać rozkazy, zwykle zrozumiałe rozkazy, takie jak zawsze. Zupełnie jakby nic się nie zmieniło, jakby Demon zszedł na ląd w jakiejś sprawie i przekazał komendę córce. Uda się – zapewnił z głęboką wiarą.

Wystraszona pokręciła głową.

– Uda się – powtórzył. – Znam tych ludzi, wiem, jak myślą i co czują. Wyglądasz bardzo dobrze i jeśli nie zemdlejesz, nie wyskoczysz za burtę lub nie zaczniesz krzyczeć, to po prostu nie może się nie udać. Słyszysz, pani?

Łagodnie, lecz stanowczo ujął ją pod ramię.

– No, maszeruj na pokład... kapitanie. Nie zapłacz się w sukni, to nie jest strój do biegania po żaglowcu. Alagera miała hajdawery, tylko że Alagery nikt nie słuchał... No, już!

Prawie siłą wywłócił ją z kajuty. Znaleźli się na pokładzie.

– Tutaj. – Wskazał miejsce. – Zaraz wrócę! – obiecał, widząc jej przerażone spojrzenie. – Zostawiłem paru pewnych ludzi przy sterze, ale muszę ich sprawdzić. Stań tam! – ponaglił niecierpliwie.

Kilku majtków grało w kości na samym środku głównego pokładu. Z luku za ich plecami wyłoniło się dwóch tęgich osiłków, a zaraz potem paru innych marynarzy. Raladan wezwał pierwszą dwójkę i kciukiem wskazał Ridaretę stojącą na rufowym kasztelu. Przez długą chwilę klarował im coś pochylony. Potwierdziwszy rozpuszczone przez Taresa i bosmana wieści, dorzucił:

– Pilnować mi jej. Jeśli ktokolwiek źle spojrzy na jej godność, to od razu macie dać mu po pysku. Demon zlecił wam opiekę nad swoją córką. Ma być przy was bezpieczna! – podkreślił. – Zrozumiano?

Starzy gwardziści Rapisa bez namysłu skinęli głowami.

Raladan poszedł do steru.

Niezwykła wieść wywołała poruszenie w załodze. Coraz więcej majtków wyłaziło na główny pokład. Skupieni w grupki włączyli się tam i siam, co rusz obrzucając niepewnymi spojrzeniami samotną, czarną postać na pokładzie rufowym. Wsparta ramionami o solidną, drewnianą barierkę nie poświęcała im najmniejszej uwagi. Gdy tylko Raladan i Tares na powrót znaleźli się przy niej, natychmiast zwróciła ku nim pytające spojrzenie. Była trochę blada, ale panowała nad sobą.



TRUST 21

– No i...? – zapytała.

– Przełknęli to – ocenił spokojnie Raladan. – Widzę, że przełknęli. Dorol zbierze ich zaraz do kupy.

Tares twierdząco skinął głową.

Jakby na umówione hasło rozbrzmiały wrzaski bosmana. Kilku „starych” pod jego komendą skupiało majtków w wielkie stado na pokładzie rufowym.

Tak, stado... Zwykle bydło, nic więcej; Ridareta widziała to zupełnie wyraźnie. Przybladła jeszcze bardziej.

– I ja mam... teraz... – zaczęła urywanie.

– Masz stać, pani – rzekł z krzywym uśmiechem Raladan. – Tylko stać i nic więcej. Na razie ani słowa.

Tłum poniżej uspokajał się z wolna, majtkowie popatrywali bezmyślnie. Ktoś chrząknął i chciał chyba splunąć, ale powstrzymał się w porę. Inny obejrzał się na towarzyszy.

Fale rytmicznie łomotały o burty, wiatr jęczał w takielunku.

Była córką kapitana...

Niektórzy nigdy dotąd jej nie widzieli, choć wszyscy słyszeli o kobiecie na okręcie. Ale tak, były w tej twarzy rysy Demona. Jego mocno zarysowane usta. Kształt podbródka. Bez żadnej wątpliwości – to musiała być córka kapitana...

Stali i gapili się, milcząc.

Stojący tuż obok dziewczyny Raladan pochylił ku niej głowę.

– Powiedz coś, pani – rzekł niegłośnie. – Do mnie, dwa słowa.

– Ale co? – zapytała w ten sam sposób; stał tak blisko, że widział, jak drżą jej kolana. – Do... ciebie?

– Cokolwiek, i tak nie usłyszą. A może zostaniesz prawdziwym kapitanem? Spalimy jakąś wioskę, tylko pomyśl.

Spojrzała, marszcząc brwi.

– Świetnie, potrzebowałam właśnie trochę złości... Dorol!

Załoga z napięciem śledziła cichą wymianę zdań. Raladan wiedział, co robi, odwoływał się do skojarzeń. Tak właśnie Demon rozmawiał ze swoimi oficerami, gdy nie chciało mu się ryczeć do załogi.

Bosman wyszedł przed szereg.

– Odnajdziesz winnych nieporządku – rzekł Raladan. – Po dziesięć batów, Dorol.

Ponownie zwrócił się do Ridarety:

– Rozumiesz, pani?

Skinęła głową.

– Cała woda za burtę! – znów przekrzyczał szum morza. – Natychmiast!

Zarówno on, jak i Tares wiedzieli już, że wygrali. Uszczęśliwiony Dorol, który, jak każdy bosman, miał największe powody, by obawiać się upadku dyscypliny w załodze, pogroził załodze pałką.

– Jazda! – ryknął. – Co jest, ścierwa?!

Tłum majtków ożył. Raladan ze skrywaną satysfakcją patrzył to na nich, to na Ridaretę.

– Oto i całe twoje dowodzenie – powiedział. – Przedstawienie, pani. Jak widzisz, wcale nie trzeba, żebyś rozkazywała. Wystarczy, że oni tak będą myśleli.

Przez chwilę obserwowali krzątanicę załogi.

– Co dalej? – zapytała, nie kryjąc ogromnej ulgi.

– Co rozkażesz, kapitanie.

Niepewnie spojrzała na Taresa. Również wyglądał na zadowolonego.

– Myślę, że pora obrać jakiś rozsądny kurs – powiedział. – Nie możemy kręcić się w kółko. W każdym razie nie na tych wodach.

– Prawda – potwierdził Raladan. – Kajuty kapitańskie należą odtąd do ciebie, pani. Idź tam. Nie możesz stać tutaj i patrzeć tak, jakbyś nie była pewna, czy twoje rozkazy zostaną wykonane. A ty, panie – zwrócił się z kolei do Taresa – przeprowadź się do kajuty zastępcy. Dopilnuję tu teraz wszystkiego, a potem przyjdę do ciebie z mapami i przyrządami.

Przez chwilę patrzył za odchodzącą parą, potem przywołał Dorola. Wydał kilka poleceń.

Ridareta i Tares zniknęli w swoich kajutach.

„Wąż Morski” płynął półwiatrem na południowy wschód, wprost ku brzegom Garry. Już wkrótce mieli ujrzeć otaczające ją wyspy, ale tylko z daleka. Nie mogli przybić do żadnej, te od strony kontynentu były zbyt gęsto zaludnione i zwykle stacjonowały na nich garnizony Straży Morskiej Garry i Wysp, a czasem i Legii Garyjskiej. Należało raczej opłynąć Garrę i wylądować na południowej stronie. Było tam trochę małych przystani i portów rybackich, słabo obsadzonych przez wojsko, a często zapomnianych w ogóle; ostatecznie można by znaleźć jakąś dziką zatokę. Musieli się spieszyć, bo nadchodziła jesień, pora burz. Jesienią zamierał ruch na Bezmiarach; morze kaprysiło tak bardzo, że trudno było nawet myśleć o żegludze. Wściekle sztormy strzaskać mogły każdy statek. Nawet tak wielki, wytrzymały i sprawny jak „Wąż Morski”.

Zwykle z początkiem jesieni Rapis rozpuszczał załogę, a sam z niewielką grupką najbardziej zaufanych odprowadzał okręt do jakiejś kryjówki. Czynił potem wyprawy na ląd, zbierając wieści od dobrze opłacanych szpiegów. Gdy z początkiem zimy załoga zbierała się znowu, dysponował już wiadomościami o statkach, które wieść miały szczególnie cenne towary: hodowlanych niewolników, drogie tkaniny, znamienitą osobę, za którą można było wziąć okup...

Tares wiedział, że dziewczyna i pilot nie zamierzają naśladować Demona. Raladan pragnął doprowadzić okręt do miejsca, gdzie mogliby zejść na ląd – i to wszystko. Dalsze losy „Węża Morskiego” i jego załogi były mu chyba obojętne. Pierwotnie Tares popierał te plany; nie wierzył, by udało się zaprowadzić trwałą ład na okręcie. Teraz jednak widział rzecz inaczej.

Dokonało się coś nieprawdopodobnego: dyscyplina okrzepła, była nie gorsza od tej, jaką utrzymywał Rapis. Majtkowie chcieli być rządzeni! Oczywiście nie przez byle kogo. Jednakże pamięć o Demonie Walki była bardzo świeża; jego legenda, wielka już za życia, teraz utrwaliła się i wzbogaciła. Jego córka czerpała siłę z nazwiska i tejsze legendy, rządziła niejako w jego imieniu – tak to odczuwano.

I posłuch był zupełny. Bez szemrania wzięto baty, pogodzone się też z wylaniem wódki za burtę. Szorowano pokład z zaciekleścią



zgoła niezwykłą, jakby próbując odrobić zaniedbania. Praca przy żaglach szła jak z płatka, każde polecenie spełniano w mig. Dzień po dniu pełniono wachty z sumiennością, którą pochwaliliby nawet Rapis. A w dniu, w którym Raladan zezwolił w imieniu Ridarety naruszyć przejęty z kupieckiej kogi zapas win, wybuchł prawdziwy entuzjazm: do późnej nocy majtkowie pili zdrowie Jednookiej. Tares pomyślał wtedy, że gdyby dało się przez dłuższy czas rządzić w jej imieniu, „Wąż Morski” znów mógłby być najgroźniejszym żaglowcem na Bezmiarach.

Wiedział jednak, że dziewczyna przekonać się nie da. Może mógłby pomóc Raladan, którego Jednooka – jako jedyne – obdarzała pewnym zaufaniem.

Ale Raladan nie dbał o „Węża”. Nie dbał o nic. Obchodziła go, jak się zdawało, tylko dziewczyna.

Raladan był na okręcie kimś naprawdę ważnym. Mocno się go bano, nie tylko dla jego noża. Był najlepszym szyprem-pilotem, jakiego Tares znał i o jakim słyszał, czyli po prostu najlepszym na Bezmiarach. Jego umiejętności kojarzono wręcz z magią. Umiał wieść okręt na każdych wodach i w każdą pogodę; całe eskadry ścigających „Węża Morskiego” żaglowców, mniejszych przeważnie i nie tak głęboko zanurzonych, rozbijały się na rafach, wśród których wiedziona przez Raladana karaka przepływała nienaruszona. Między otaczającymi Garre wyspami nie lawirowały tak wielkie okręty, używano tylko dobrze znanych szlaków. „Wąż Morski” był wyjątkiem. Trąc poszyciem o skały, trzeszcząc i skrzypiąc, wpływał do ukrytych zatoczek, które podczas odpływu stawały się niemal małymi jeziorami. Majtkowie powiadali, że jeśli w rafach jest przejście szersze od okrętu o łokieć, to Raladan przez nie przepłynie, jeśli tylko znajdzie na palec wody pod kilem.

Nawet Rapis bardzo liczył się z Raladanem. Wiele razy słyszano, jak zasięgał rady u pilota. Może jeszcze tylko Ehaden cieszył się podobnymi względami. Tares musiał sobie powiedzieć, że choć pełnił funkcję drugiego zastępcy kapitana, w rzeczywistości Raladan był na „Wężu” ważniejszy.

Tares świetnie rozumiał, że wobec legendy, której dziewczyna była żywą kontynuacją, i wobec popularności, jaką się cieszył Raladan, jego wpływy w załodze są właściwie żadne. Nie był w stanie zmusić tej pary do pozostania na okręcie, tym bardziej zaś nie potrafił sprawić, by dziewczyna udawała kapitana wbrew swej woli.

Strapiony oficer nie wiedział (zresztą wiedzieć nie mógł), że Raladan i Ridareta stają właśnie przed problemami znacznie poważniejszymi niż kwestia dowodzenia żaglowcem...

## ROZDZIAŁ 9



**S**kamieniałe fale miały ołowianoszarą barwę; nawet korony pian na ich grzbietach nie lśniły zwykłą bielą. Brudnoszare niebo, nieruchome tak samo jak woda, pozbawione było chmur. Nie istniała linia horyzontu. Gdzieś tam – hen! – w oddali kamienne morze stapiało się ze stalową kopułą w jedną całość, ale nie było niczego, co można by nazwać granicą styku obu ogromów. Raladan stał na pokładzie nieruchomego okrętu i patrzył. Martwe niebo, po którym nie przemykały chmury, było mu obojętne. Ale widok zastygłego w bezruchu morza sprawiał ból. Bezmiary, symbol wiecznego życia i trwania po wiek wieków, na przekór wszystkim potęgom, nie mogły być skamieniałe.

Pilot zamknął oczy, a gdy je otworzył na powrót, ujrzał Ridaretę. Pośród głuchej ciszy biegła po falach w stronę brzegu, a za nią toczyła się ciemność. Jedyny ruch na pustyni bezruchu – mroczna, czarna nawała, przywodząca na myśl chmurę, a może kłęb dymu. Raladan podbiegł do burty, chciał pomóc dziewczynie, ale w jakiś sposób był pewien, że nie wolno mu dotknąć stopami twardych fal – bo skamienieje jak one.

Drapieżna ciemność kłębiła się coraz bliżej uciekającej resztkami sił dziewczyny.

o o o

Ridareta nie widziała stalowego nieba ani morza z granitu. Nie widziała posępnej chmury pędzącej jej śladem. Uwięziona w olbrzymiej sali-jaskini, nie potrafiła ocenić, w którym miejscu brunatne ściany przechodzą w posadzkę... Nie było uchwytniej granicy. Słyszała monotony chrobot narastający nad głową; brzmiało to tak, jakby ciężki blok kamienny przesuwano po innym. Zadzierając głowę, próbowała dojrzeć strop

niesamowitej komnaty, lecz spojrzenie ugrzęzło w zimnym mroku. Chrobot narastał, potężniał – i dziewczyna zrozumiała nagle, że to właśnie sklepienie powoli osuwa się ku niej. Wiedziała na pewno. I poczuła lęk, bo zatrzymanie tej monumentalnej płyty przekraczało możliwości człowieka. Była zdana na łaskę mechanizmu, który mógł się zatrzymać – albo nie.

Chroboczące sklepienie, wciąż skryte w ciemności, coraz szybciej osuwało się w dół.

o o o

Przerażony Raladan miał pewność, że potworny kłęb ścigający dziewczynę to śmierć. Nie mógł pomóc, nie umiał! Był ostatnią żywą częścią Bezmiarów i wiedział z całą pewnością, że gdy tylko ruszy po falach, skamienieje na ich podobieństwo. Dziewczyna miała skonać pośród wszechobecnej ciszy, ogarnięta przez złowrogą ciemność. W jaki sposób mógł udzielić pomocy? Jak miał walczyć z tym, co ją ścigało?

Daleko, na granicy, poza którą nie sięgał wzrok, widział czarny punkcik, tak maleńki, że zupełnie bezkształtny, zaklęty w postaci ciemnej kropki... Raladan w nagłym olśnieniu zyskał pewność, że to jest ratunek. I w tej samej chwili, jakby niezbędne było właśnie odkrycie owej tajemnicy, cisza pękła! Dziwny punkt na horyzoncie nie był już nieruchomy; drgał teraz, jakby szarpiąc niewidzialne więzy. Pośród huku wstrząsnęło morzem i niebem imię:

**RALADAN!**

Przybył wicher. Dziewczyna była blisko brzegu, ale już nie biegła. Leżała na grzbiecie nieruchomej fali, zasłaniając głowę przed nadciągającą czernią. Ten sam głos, który Raladan znał tak dobrze, walczył z wichrem:

**RALADAN! RALADAN, MUSISZ MNIE WEZWAĆ! TO PRZEKLĘTA WOJNA I PRZEKLĘTE PRZYMIERZE! WEZWIJ MNIE! MUSZĄ MNIE WEZWAĆ BEZMIARY!**

Pilot wyciągnął ręce ku czarnej kropce w dali. Nie mógł wydobyć głosu, ale sam ten gest wystarczył za wezwanie, którego żądał Demon...

Niewidzialne więzy puściły! Czarny punkt pomknął ku mrocznej nawale, powiększał się, był plamą, wielką bryłą roztrzaskującą skamieniałe

fale, rozmazanym przez pęd kształtem. Nagle Bezmiary ożyły! Zwarte kłęby ciemności niosące śmierć Ridarecie spowolniły swój ruch – ale pozostały bez wpływu na szybkość mknącego cienia. Raladan pochwycił krzyk tonącej w morzu dziewczyny i rzucił się między fale. Gdy wynurzył z topieli głowę i ramiona, ujrzał, jak mknące widmo uderza w ścianę mroku.

o o o

Jęcząc z przerażenia, Ridareta klęczała na twardej posadzce, spoglądając na widoczne już sklepienie, wolno, lecz nieubłaganie zbliżające się ku niej. Ogłuszający chrobot nie ustawał, gigantyczna płyta była niemal w zasięgu jej ręki, gdyby tylko wstała... Zaczęła krzyczeć, ale pośród nieopisanego hałasu jej głos był zupełnie niczym. Ogłuszona, skulona na posadzce, była pewna, że nadciąga koniec. Poderwała się nagle, w desperackim, beznadziejnym odruchu wydając walkę nieuniknionemu. Gotowa była podtrzymać opadający strop.

**NIE WSTAWAJ!**

Pomoc przybyła znikąd. W dziwnym krwawym błysku półmrok wypełniający przestrzeń między posadzką a sklepieniem zgęstniał nagle, zawirował, skupiając się w zwarty kształt. Znajomy głos huczał potężniej niż osuwająca się płyta:

**NIE WSTAWAJ! TO PRZYSZŁO PO CIEBIE!**

Upadła na kolana, obejmując głowę rękami. Nie chciała nic widzieć, ale wciąż słyszała grzmiący, przepełniony gniewem rozkazujący głos:

**NIE WSTAWAJ, RIDARETO! MASZ NIE WSTAWAĆ!**

Otuliło ją coś jak kula rubinowego światła. Potężne uderzenia wstrząsały opadającym sklepieniem. Z hukiem i łoskotem spadały wszędzie wokół pokruszone bryły gruzu, omijając czerwoną kulę, ześlizgując się po jej powierzchni, zaścielając posadzkę tysiącami okruchów. Jęczała, z całej siły przyciskając przedramiona do skroni. Na krótką chwilę rozwarła powieki – i ujrzała cień olbrzymiego mężczyzny, zgiętego pod ciężarem stropu. Wielka pięść z siłą setki młotów tłukła popękana płytę.

**NIE WSTAWAJ, RIDARETO! NIE WSTAWAJ.**

Raladan odrzucił z krzykiem pled, zerwał się, zatoczył, uderzając głową o ścianę. Ból przywrócił przytomność, ale nie zabrał strachu; z rozsadzającym pierś sercem pobiegł do Ridarety, niemal wyważając z rozpędu drzwi. Stał w progu kapitańskiej sypialni, oddychając ciężko. Zawieszona u sufitu za jego plecami latarnia wrzucała do izby rozchwianą smugę szarego światła; dość go było, by wyłowić z ciemności leżącą w skłębionej pościeli dziewczynę. Twarz miała mokrą od potu, pierś jednak poruszała się spokojnie i miarowo. Na chwilę uległ złudzeniu, że wokół śpiącej roztacza się w powietrzu delikatna czerwona aureola. Ale nie... Nawet jeśli coś takiego było, to zniknęło.

Oparł drżące ramię o ścianę.

Stał tak przez jakiś czas, wreszcie wyprostował się i już miał wyjść, gdy wzrok jego spoczął na leżącym w kącie pokoju brunatnoczerwonym klejnocie. Zdumienie zabłysło w oczach pilota, ale w tej samej chwili załomotano do drzwi. Wyszedł z sypialni i otworzył. W półmroku bieleły twarze majtków z nocnej wachty.

– Panie...

Ze znużeniem pokręcił głową.

– Wszystko w porządku. Trzymać wachkę.

Odeszli.

Zamknął drzwi i stał jeszcze przez chwilę bez ruchu. Za jego plecami rubin rozgorzał na moment czerwonym światłem.

o o o

Klejnot leżał na stole: wielki, czerwony, martwy. Nie działało się z nim nic niezwykłego.

– To tylko sny... – zaczęła, ale zaraz urwała.

– Nie, nie tylko – zaprzeczył Raladan, wskazując klejnot. – Nigdy dotąd nie śniłem podobnego koszmaru – dorzucił po chwili. – Dwa koszmary tej samej nocy... o podobnej treści... To coś znaczy, pani.

Zdażył już opowiedzieć jej wszystko, przemilczał tylko swoją rolę w walce z czarną nawałą, bo brzmiałoby to jak samochwalstwo.

– Dlaczego to zatrzymałaś? Mówiło się... – Zamilkł na chwilę. – To coś opętało kapitana. Niby tylko takie gadanie, marynarskie bajdy, ale twój ojciec naprawdę stał się dziwny. Ostatnio.

– No to precz z tym! – syknęła, strącając rubin ze stołu.

W złości jej twarz stawała się brzydka; opaska na oku, do której już przywykł, jawiła się niespodziewanie wyraźnie, na zupełnie nowym tle.

Schylił się i z wahaniem, ostrożnie podniósł kamień.

– Myślę, że to nierozważne, pani. Ten rubin to Geerkoto, Ciemny Przedmiot. Lepiej nim nie rzucać.

Uniósł wzrok.

– Może powinnaś go... mieć. Z twojego snu wynikało, że uratował ci życie. Ta czerwona poświata...

Potrząsnęła tylko głową, zaciskając usta.

– Więc co z tym zrobić? Myślę, że Demon...

Znów potrząsnęła głową.

– Przestań, nie chcę już słyszeć tego wstrętnego miana! Może dlatego, że jest takie prawdziwe. Na Szerń, czy ten człowiek nawet po śmierci musi walczyć, niszczyć...

– Bronił ciebie, pani.

– I co z tego? Nie prosiłam o pomoc, nie jego... A walka jest walką.

Pilot wstał, splótł ręce na piersi i zrobił kilka kroków. Przystanął pod ścianą. Zamyślony kołysał się na obcasach. Nosił buty, jako jeden z nielicznych. Nawet Dorol biegał na bosaka. Ale Raladan nie musiał skakać po wantach.

– Dlaczego tak uparcie potępiasz go za wszystko, pani? – zapytał. – Wysłuchaj, proszę... Nic na świecie nie jest zupełnie białe, ale też nic nie jest całkiem czarne. Już raz próbowałam ci to wytłumaczyć. Rapis umarł, ale z jakichś przyczyn nie został przyjęty przez Szerń, tak to wygląda. Był niezwykłym człowiekiem i chyba pozostał takim po śmierci. Myślę, że on pragnie jakoś... odkupić swe winy, jeśli nawet nie wszystkie, to te względem ciebie. Może grozi ci jakieś niebezpieczeństwo, przed którym on próbuje cię ustrzec...

– To wszystko jest zbyt wydumane. Co ty wiesz o Szerni, jesteś jakimś Przyjętym czy jak oni tam się nazywają? Będziesz teraz

chodził i wyjaśniał sny? Nawet gdyby miały jakieś znaczenie, to wątpię, byśmy umieli je odgadnąć.

Pokręcił głową.

– Ale kapitan... tuż przed śmiercią naprawdę stał się jakiś inny, ledwie go poznałem. Inaczej wyglądał, zupełnie inaczej mówił. Powiedz: czy gdyby żył i zapragnął stać się inny, próbowałabyś mu w tym przeszkodzić?

Zamyślona siedziała na brzegu stołu, bezwiednie muskając dłonią jego krawędź.

– To nie on stał się inny. On chce, żebym ja stała się inna.

Cisza.

– Dziwny z ciebie pirat, dziwny człowiek. Co sprawiło, że trafiłeś na pokład takiego okrętu? Kim ty właściwie jesteś?

Nie odpowiedział. Uniosła wzrok.

– Gdyby ten człowiek ożył – oznajmiła – nie chciałabym mieć z nim nic do czynienia.

– Nawet gdyby przez to miał pozostać piratem?

Długo nie odpowiadała. Na jej twarzy pojawiło się znużenie.

– Nie wiem... Nie wiem, nie męcz mnie.

Znowu długo milczeli.

– To jest Rubin Córki Błyskawic, tak go nazywają, prawda?

– Tak, pani.

– Dziwna nazwa... Słyszałam, że jest silny, prawie tak silny jak Srebrne Pióra. Ale bardziej tajemniczy i więcej w nim zła. Podobno zabija, gdy jego posiadacz czyni zbyt wiele dobra. Czy to prawda?

– Nie wiem, pani. Masz rację, nie jestem Przyjętym. Nikt nie zna Rubinów do końca, krążą o nich różne historie. Jest dartańska legenda o Trzech Siostrach, które Szerń zesłała do walki ze złem. Słyszałem ją kiedyś w tawernie; bo to raz? Delara, najmłodsza z siostr, stanęła na kontynencie Szereru, gdy szalała bardzo silna burza, dlatego nazwano ją Córką Błyskawic. Miała walczyć ze złym magiem, którego taki rubin opętał. Ponoć dwa Ciemne Pasma zostały kiedyś przez Szerń odrzucone. Może były złe? Rubin należy właśnie do tych Pasm.

Pokiwała głową.



– I ty każesz mi wierzyć, że istota, którą ten klejnot przywołuje, przybywa w imię dobra?

Raladan zmarszczył brwi.

– Przecież to tylko legenda.

Z zewnątrz, od śródkręcia, dobiegł jakiś hałas. Wymienili spojrzenia, po czym pilot ruszył ku drzwiom. W tej samej chwili ktoś zaczął się do nich dobijać.

– Wejść! Co tam?

– Żagiel na horyzoncie – rzekł majtek, kłaniając się niezgrabnie, ni w pięć, ni w dziewięć, na widok Ridarety.

Raladan obejrzał się.

– Pójdziemy, pani?

Skinęła głową.

Po chwili stali obok opartego o nadburcie Taresa.

– Gdzie?

Oficer wskazał palcem. Osłonili oczy dłońmi.

– To Dartańczyk – rzekł Tares. – Chyba sam.

– Jak poznajesz? – zapytała.

– Ma czerwony żagiel.

– Chyba szary?

– Tylko z tej odległości. Taka szarość jak ta to jest czerwień. Czerwony żagiel. Na pewno nie biały, kupiecki. Ani żółty straży garyjskiej.

Raladan w skupieniu przepatrywał widnokrąg. Wrócił spojrzeniem do plamki.

– Czerwono-szary – rzekł po chwili. – Pół na pół.

Tares spojrział mu w oczy i bez słowa pobiegł do masztu. Po chwili laźł w górę po wantach.

– Dartan ma tutaj tylko kilka eskadr. – Raladan mówił w przestrzeń, ni to do siebie, ni do niej. – Żagle okrętów są takie jak tuniki żołnierzy. Czerwone. To zwyczajne okręty, straż morską. Ale ten ma żagiel czerwono-szary. To nie strażnik, tylko gwardzista. Gwardia Morska, pani. Jeżeli jakikolwiek Dartańczyk godzien jest, by go nazwać żołnierzem, to na pewno płynie pod tym żaglem.

Spojrzała pytająco.

– Dartańczycy to kiepscy wojacy – wyjaśnił. – Tak legie, jak i straż morską. Ale jest kilka doborowych oddziałów, złożonych zresztą w dużej mierze z Armekańczyków. Choćby przyboczni Księcia Przedstawiciela. No i ci. – Wskazał horyzont. – Są dwie wielkie karaki, obsadzone nie przez strażników, lecz gwardzistów. Wielkie jak „Wąż Morski”. Dartan to bogata prowincja, pani. Te okręty eskortują lub przewożą ładunki o największej wartości.

Zamilkł i znów osłonił oczy ręką.

– Bardzo gęsto się zrobiło na morzu. Najpierw jedna obława, teraz druga?

– Sam! – zawołał z masztu Tares. – Hej, na dole! Sa-am!

Raladan skrzywił usta w niejasnym grymasie.

– Płynie sam, pani. Nie osłania kupca. I o tej porze roku, tuż przed jesiennymi sztormami, raczej nie wiezie cennego ładunku. Płynie sam. To obława.

– Obława?

Pilot spojrział w niebo.

– Do nocy sporo czasu – rzekł pozornie bez związku. – „Wąż Morski” zatopił wiele statków, pani. A są jeszcze inne żaglowce takie jak nasz. Jest ich dużo. Więcej, niż myślisz. Ostatnio kupcy podnieśli raban, zaczęli zestawiać statki w konwoje pod eskortą, ale to jest niewygodne i drogie. Strażnicy zaczęli robić obławy. Armekt, najbardziej Garra, czasem nawet Dartan. Tworzą lotne eskadry, zamykają Morze Zwarte i wyłapują okręty pirackie. W tym roku to już drugi raz.

– Przecież to jeden statek, nie eskadra.

Raladan kiwnął głową.

– Takich żaglowców imperium ma może osiem. Jeden Demon mógłby się porwać na taką fortecę. To olbrzymia karaka, podobna do naszej. A na niej dwustu żołnierzy. I dwadzieścia dział na kasztelach. Nie boi się pływać samotnie. Twój ojciec... – zaczął i urwał.

Gdy cisza przedłużała się, ponagliła:

– Co mój ojciec?

– Zapomniałem się, pani. Wiem, że nie masz ochoty słuchać opowieści o zbójeckich wyczynach.

Skinęła głową. Tym bardziej zaskoczyło go niegłosne:

– Opowiedz.

Zdziwił się.

– Dobrze, pani. Pływaliśmy jeszcze na „Mewie”, starej, pękatej kodze handlowej, ledwie co uzbrojonej. Twój ojciec zaatakował jedną z tych karak, „Dumę Imperium”. Największą i najmocniejszą ze wszystkich.

– Zatopił ją?

– Nie, pani. „Duma Imperium” dzisiaj nazywa się „Wąż Morski”.

Stanął za nimi Tares.

– Już nas widzą – powiedział. – To obława.

Na pokładzie od dawna była cała załoga, albo raczej to, co z niej zostało. Majtkowie stali przy burcie, wisieli na wantach, patrząc pod horyzont. Widniały tam, wyraźnie już widoczne, szaro-czerwone żagle.

– Musimy uciekać.

Tares odszedł pod grotmaszt.

– Do żagli! – wrzasnął. – Jazda, chłopcy! Zobaczymy, kto ma więcej wiatru!

Posypały się komendy.

– Chodźmy, pani – rzekł pilot. – Muszę zająć się sterem, odprowadzę cię do kajuty.

Poszli.

Dartańczyk zmierzał na przecięcie ich kursu. Tares sprawnie wydał komendy do zwrotu, szli teraz baksztagiem – przy ożaglowaniu rejowym był to najszybszy kurs, bo żagle grotmasztu nie odbierały wiatru żaglom przednim. Mając wolną chwilę, przyglądał się strażnikowi. Miał sokoli wzrok, widział błyski na okutym posrebrzaną blachą dziobie. Zagryzł usta. Uciekali przed bogactwem. Jeden okręt dartański bardziej wart był zdobycia niż dwa inne. Dartańczycy kochali się w przepychu – i byli bogaci. Dowódcą tego żaglowca został zapewne mężczyzna dość zamożny,

by kupić sobie patent kapitana gwardyjskiej karaki. Okup za takiego jeńca...

Ponadto dartańscy żołnierze – a już gwardziści! – bardzo często mieli nieregulaminową broń. To nie było armektańskie żelastwo, solidne, ale tanie. Oficerowie niemal wszyscy bez wyjątku nosili świetne dartańskie miecze, ubierali się w zdobione zbroje.

Z gniewem odwrócił się plecami i patrzył na załogę. Krzątała się sprawnie. Majtkowie niepotrzebni przy żaglach ruszyli bez komendy do dział, nabijali je z wielką starannością. Grupy abordażowe wyłaziły na pokład w pełnym uzbrojeniu, rzucono topory na deski. Na kasztelach łucznicy wbijali strzały w drewno, by mieć je pod ręką. Kilku starych pod komendą Dorola szykowało liny z hakami, ktoś przyniósł bosaki.

Okręt, pewną ręką pilota ustawiony do wiatru, pruł wodę coraz szybciej, niemal ślizgając się z fali na falę. Na razie nic nie wskazywało na to, by rychło oderwał się od pościgu. Tares jednak wiedział, że na pewno nie pozwoli się dogonić. „Wąż Morski” miał ogromną powierzchnię płótna. Strażnik, trochę mniejszy, ożaglowany był tak samo, brakowało tylko marsła na fokmaszcie. Przy takich warunkach pogodowych, przy braku szkwałów i nagłych porywów wiatru dwie takie same karaki mogły gonić się i uciekać w nieskończoność.

Spojrzał w niebo, jak wcześniej Raladan. Musieli czekać do nocy. W nocy mogli zmienić kurs i ująć pogoni.

Od strony rufy doleciał podwójny, przytłumiony huk. Nie obejrzał się. Wiedział, że działa tamtego nie doniosą; gwardzista straszył, i tyle. Ale huk był dość silny. Znaczyło to, że Dartańczyk ma na dziobie ciężkie działa.

Nowinka.

Postęp w uzbrajaniu okrętów był szybki. Tares świetnie pamiętał czasy, gdy na kasztelach woziło się po dwie, trzy kiepskie bombardy. „Węza Morskiego” należałoby dozbroić. Nie było to jednak takie proste. Przeniesienie zdobytych dział z pokładu opanowanego okrętu na pełnym morzu nastroczało niemałych trudności. No i trzeba było znaleźć miejsce na te działa; okręt to nie twierdza

ładowa, której mury wytrzymają wszystko... Stabilność i rozmieszczenie ładunku miały pierwszorzędne znaczenie. A jeszcze takiego ładunku! Przy każdej salwie trzeszczały wiązania. Nieprzemyślane a znaczące powiększanie ciężaru ognia mogło naruszyć konstrukcję kadłuba.

Na pokładzie zakończono przygotowania do walki, teraz pozostawało tylko czekać. Marynarze uczepili się nadburcia i stłoczyli na kasztelu rufowym. Tares pomyślał, że będą tak stać i patrzeć na goniący ich okręt, aż zapadnie ciemność. Będą żałować niedosiężnych bogactw, przeklinając wszystko i wszystkich.

Ruszył do kajuty kapitańskiej; chciał rozmówić się z Ridaretą. Ale nieoczekiwanie zobaczył Raladana zmierzającego w tym samym kierunku. Wiedziony dziwnym impulsem ukrył się przed wzrokiem pilota.

Gdy Raladan wszedł do kapitańskiej kajuty, zastał Ridaretę niespokojnie krążącą wzdłuż ścian. Obrzuciła go spojrzeniem i gdy tylko zamknął drzwi, powiedziała:

– Uciekamy.

Zaskoczyła go. Nim odpowiedział cokolwiek, podjęła:

– Holujemy za rufą dwie łodzie. W nocy przejdziemy do jednej. Ten żaglowiec nas wyłowi. Podamy się za jeńców, którym udało się zbiec. Uwierzą?

Szybko pozbierał myśli.

– Kto wie – mruknął. – Nie wyglądamy na jeńców, ale parę niegroźnych zadrapań, trochę poszarpane odzienie... To duże ryzyko, pani. Znacznie większe, niż myślisz.

Chciała coś powiedzieć, ale uniósł rękę.

– Poczekaj, pani. Nie mówię, że tego nie zrobimy. Ale rozważmy wszystko dokładnie i bez pośpiechu. Do nocy jeszcze daleko.

Po namyśle skinęła głową.

– Zbliża się jesień – rzekł pilot. – Jeśli nie wyłowi nas ten gwardzista, to nieprędko możemy ujrzeć inny statek. Różnie bywa.

– Jest obława...

– Co z tego?

Podszedł do skrzyni. Wyjął mapę Garry i Wysp, obejmującą także część Morza Zwartego.

– Spójrz, pani. To Morze Zwarte, to Garra... My jesteśmy tutaj. Ale teraz, gdybyś dowodziła obławą, gdzie posłałabyś swoje eskadry, żeby zamknęły pułapkę?

Zastanowiła się i wskazała palcem.

– Właśnie. Wzdłuż wysp otaczających Morze Zwarte. Te tutaj nazywają się zresztą Barrierowe. To naturalny kocioł. Okręty krążące po tych liniach to myśliwi. Karaka za nami to nagonka. Sądzę, że niewiele okrętów przeczesuje Morze Zwarte. Większość tworzy łańcuch na obrzeżach.

Marszcząc brwi, patrzyła na mapę.

– Czy nie zdołalibyśmy, w najgorszym wypadku, o własnych siłach dopłynąć do najbliższego lądu?

– Jeśli wiatr się nie zmieni... A musimy mieć wiatr, bo we dwoje wiosłami nic nie zwojujemy. Zważywszy, że na tej dartańskiej karace raczej nam nie uwierzą... myślę, że rozsądniej byłoby trzymać się pierwotnego planu.

Spojrzała mu prosto w oczy.

– Raladan – po raz pierwszy powiedziała jego imię – a jeśli nas dogonią? Ta karaka albo inne cesarskie okręty? Wszyscy zawisną na rejach, i my także. Nie, Raladan. Uciekajmy dziś w nocy. Podejmę każde ryzyko.

Pomyślał, że dziewczyna może mieć rację.

– A Tares?

– Tares...

Pokręciła głową.

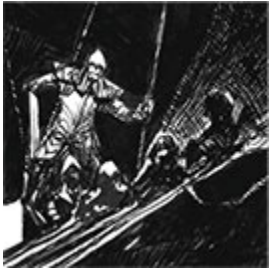
Na ustach opartego o drzwi kapitańskiej kajuty oficera pojawił się blady uśmiech. Nie sądził, by coś jeszcze było do usłyszenia. Oddalił się ostrożnie i cicho.

Obecność dziewczyny i pilota na okręcie była teraz bardziej nieodzowna niż kiedykolwiek. Myślał o tym, wracając na swoje miejsce pod masztem. W obliczu obławy i niedalekich sztormów zniknięcie tej dwójki musiało odbić się niekorzystnie na dyscyplinie

i morale załogi. Musiał pokrzyżować plany spiskowców. Zresztą – znów uśmiechnął się ponuro – nie pozostawili mu wyboru...

Wróciwszy na pokład, rozkazał podjąć z wody obie łodzie.

## ROZDZIAŁ 10



O bie łodzie wróciły na pokład – rzekł niedługo potem Raladan, zamykając za sobą drzwi kajuty. Patrzyła pytająco. Pilot był spokojny jak zwykle, ale w kąciку ust dostrzegła grymas, którego dotąd nie znała.

– Kto rozkazał...? Tares?

– A kto inny?

Tknęła ją nagła myśl.

– Czy to aby... nie twoja robota?

Położył na stole przygotowany worek z prowiantem.

– Za kogo mnie masz? – zapytał takim tonem, że natychmiast, prawie odruchowo, zrobiła przepraszący ruch ręką.

– Czyli Tares nas podsłuchiwał?

– Może tak, może nie. Mamy pościg na karku, holowanie za rufą dwóch dużych łodzi to nie jest w takiej sytuacji dobry pomysł. Nie będę ci teraz tłumaczył, jak to wpływa na zachowanie okrętu. No, chyba że bardzo chcesz – zakpił lekko, ale wyraźnie.

Machnęła ręką.

– Podniósł łodzie, ja bym kazał zrobić to samo, gdyby nie nasza rozmowa.

– A ja myślę – powiedziała po chwili – że on wie. Słyszał nas.

– Jeśli nawet? Tares nie jest twoim wrogiem, pani. Gdybyś tylko wyrzekła się myśli o opuszczeniu „Węża”, byłby wiernym i oddanym oficerem.

– Więc ty też pragniesz zrobić ze mnie prawdziwą królową piratów?

Żachnął się.



– Pragnę tylko twojego bezpieczeństwa i niczego więcej. Mówię po prostu, jak widzą rzecz inni. Jestem dość dobrym szyprem, by nie umrzeć z głodu, mogę pływać pod banderą piracką równie dobrze, jak i pod cesarską, nie ciąży nade mną żaden wyrok. Ale postaw się w sytuacji Taresa. Jego świat zaczyna się i kończy tu, na tym pokładzie. Jest winien wzniecenia buntu na cesarskim okręcie, wyznaczono nagrodę za jego głowę.

– Nagraził dość, by wyjechać gdzieś daleko, choćby do Grombelardu, i zacząć zwyczajne życie – powiedziała ostro. – Mam dość słuchania o biednym Taresie. Pomieszał nam szyki.

– Mam go zabić?

– Nie! Ja nie o tym... – Przestraszyła się.

– Więc trzymajmy się pierwotnego planu. W końcu dotrzemy do brzegu. Wtedy nas nie zatrzyma.

– Nie jestem tego taka pewna.

Pokręcił głową.

– Czego ty w końcu chcesz, pani? Oczekujesz cudu ode mnie? Mam może w nocy po cichutku odwrócić uwagę pokładowej wachty i spuścić te łodzie z powrotem?

Zaległo milczenie.

– Myślę, że powinnaś się położyć. Pośpij trochę. Miniona noc nie należała do przyjemnych.

Zadrżała.

– Nie zasnę.

– Posiedzieć tu z tobą do rana?

– Licząc na co?

Lekko uniósł brwi.

– Już kilka razy powinienem cię uderzyć, panienko.

– Przepraszam – powiedziała.

Milczeli przez jakiś czas.

– To dziwne, ale... już to mówiłam... różnisz się od reszty. Gdybym nie wiedziała, nigdy bym nie pomyślała, że jesteś...

Urwała.

– Złoczyńcą – dokończył za nią, siadając przy stole. – I mordercą, a jakże. Morskim zbójem.

Znów zaległo milczenie.

– Może to nawet dobrze – powiedział – że możemy spokojnie porozmawiać. Już dawno chciałem ci wyjaśnić kilka spraw, ale zawsze byłaś taka... – Zawahał się. – Nieprzystępna.

– Nieprzystępna?

Pokiwał głową.

– Widzisz, pani – podjął po chwili – czasem zazdrozczę tej prostoty, z jaką patrzysz na wszystko. Piraci są źli, a żołnierze dobrzy, chociaż zabijają jedni i drudzy. Kupiec zakopany po uszy we własnych oszustwach to człowiek porządny, ale rzezimieszek kradnący mu sakiewkę to podły złodziej. Załoga tego statku, Tares, Dorol i cała reszta, to po prostu piraci. A czy pomyślałaś, skąd się biorą piraci?

Patrzyła pytająco.

– Jak to skąd?

– Czy wiesz, pani, jak wygląda służba na cesarskim okręcie? Albo kupieckiej kodze? Na żywności wszyscy robią złote interesy: dostawca, bo sprzedaje dawno popsute mięso; kapitan, bo przymyka na to oczy. A marynarz to żre. Najpierw wyławia z kotła robaki, a potem siorbie ciepłe pomyje, które kucharz celowo gotował tak długo, aż rozgotowało się wszystko. Nikt nie pozna, że to, co najlepsze czy choćby tylko jadalne, zostawił dla siebie. A może wiesz, pani, jakie kary grożą na cesarskim żaglowcu? Bardzo łagodne: zwykłą karą za lekkie przewinienie jest pięć kijów. To naprawdę niewiele. Wymyślono więc sposób, który marynarze nazywają „oficerską legendą”. Dam ci przykład: majtek spóźnia się na wachtę. Pięć kijów za spóźnienie. Ale jeszcze pięć za lekceważenie oficera, bo spóźniony objął wachtę, zamiast iść się usprawiedliwić. Ale jeszcze pięć, bo daje zły przykład załodze. Ale jeszcze pięć, bo bezczelnie ukrywa wszystkie swoje winy, wymieniając tylko jedną: spóźnienie. To jest właśnie „oficerska legenda”.

Przekrzywiła głowę.

– Nie patrz, pani, tak, jakbym kłamał – rzekł sucho. – Spróbuj zrozumieć, że mało który z nich ma coś do stracenia. Praca na

żaglowcu pirackim jest równie ciężka, jak na każdym innym. Szorstkie liny zdzierają skórę tak samo, wieczna wilgoć też jest ta sama. Ale żarcie nie zawsze śmierdzi, nie ma oficerskiej legendy, a w sakiewkach brzęczą nie nędzne miedziaki, lecz srebro, a nawet złoto. Oto cała różnica.

– Wszyscy byli skrzywdzeni i uciekli na okręt piracki, bo na innym już nie mogli wytrzymać – powiedziała z powątpiewaniem.

– Otóż, pani, w wielu przypadkach właśnie tak. Rzecz jasna, są też wśród nich bandyci od dziecka. Ale większość to prości ludzie, dla których wieczne odróżnianie dobra od zła nie ma żadnego sensu. Chcą po prostu żyć, jeść, czasem móc się zabawić. Mordują, rzecz jasna, zmuszano ich do tego i na cesarskich okrętach. Podczas ostatniej garyjskiej rebelii, czy wiesz, ile załóg się zbuntowało? Większa część tych marynarzy skończyła potem w twierdzeniach więziennych, o ile nie zawisała od razu na rejach. Ci ludzie gotowi byli konwojować kupców i walczyć z piratami, lecz nie chcieli palić własnych wiosek.

– Ci zaś, których nie powieszono, mordują teraz takich samych biedaków, jakimi kiedyś byli, tyle że na kogach kupieckich. Nie palili wiosek w interesie imperium, no to palą teraz dla zdobycia niewolników – rzekła, nie kryjąc znużenia. – Sama nie wiem, co gorsze. Myślę, że nie zdołasz mnie przekonać, choć pewnie jest trochę racji w tym, co mówisz. Do czego właściwie zmierzasz?

– Chcę ci pokazać, że ta gromada morderców składa się ze zwykłych ludzi, pani. Ludzi, których losy ułożyły się tak, a nie inaczej. Bo wytłumacz mi, jak to właściwie jest, że wystarczy poznać bliżej kogoś, a zaraz okazuje się „inny”? Mam tu na myśli siebie, ale przede wszystkim Ehadena.

Dziewczyna pobladła.

– Nie mów o Ehadenie – powiedziała. – Nie o nim.

– Czemu nie, pani? Był piratem, i to jakim! Zdziwiłabyś się, gdybym ci opowiedział. I jak to się stało, że ten pirat, morderca...

– Ehaden był bratem mojej matki – powiedziała z chrypką. – Nie mówmy o tym.

– Wiem, kim był. Ale mimo wszystko...

Wstała gwałtownie.

– Zostaw to, Raladan! – wykrztusiła. – Ja już nie chcę tego wszystkiego, nie chcę o tym mówić i nie chcę o tym słyszeć! Zostaw to wszystko! Nareszcie... nareszcie jestem sama. Rozumiesz to? Nie mam żadnej rodziny, nikogo, i to jest najpiękniejsze, co dotąd spotkało mnie w życiu! Nawet matce potrzebna byłam tylko do tego, żeby miała komu opowiadać o swoim cudownym Rapisie. Ja wiem, że byłoby inaczej... Ja kochałam matkę... – Rozgorączkowana mówiła coraz bardziej chaotycznie. – Ale nie chcę już, słyszysz? Chcę po prostu zejść z tego przekłętego okrętu i zacząć normalnie żyć. Naprawdę, Raladan, ja... ja gotowa jestem zabijać, żeby to osiągnąć. To dobrze, że Rapis... że mój... ojciec... – po raz pierwszy, z wysiłkiem, użyła tego słowa – że on umarł. Bo inaczej zabiłabym go!

Przeniknął ją dreszcz.

– Nie jestem znów takim niewiniątkiem. Nie opowiem ci, gdzie i jak zarabiałam na chleb. A nawet nie musiałam, chciałam, tak! Myślisz, że niczego w życiu nie ukradłam? – zapytała szyderczo i gniewnie. – O, jak ja dobrze rozumiałam, co mi mówił Ehaden! O wielkiej wyspie, gdzie mieszkają sami obłąkani. Dziadka... swojego ojca nazwał zwyrodnialcem i taka jest prawda, Raladan! Tutaj, na tym statku, potraktowano mnie lepiej, niż byłam traktowana w domu matki, ale tu byłam niewolnicą wartą sztukę złota, a tam... tylko odpadkiem, armektańskim pomiotem – mówiła, nie kryjąc bólu. – Po śmierci matki otwarto drzwi i wyrzucono mnie na ulicę, właśnie tak, jak wyrzuca się odpadki, więc postanowiłam zostać tym właśnie, za co mnie uważano. Nie jestem taka głupia, jak sądzisz. Wiem, że nie ma prostego podziału na dobro i zło. – Powoli wróciła do stołu i usiadła. – Ale kochałam w życiu... kochałam dwie osoby. Matkę i... jego. Kochałam go, wcale nie znając, bo kochała go ona. Opowiadała o najwspanialszym człowieku na świecie. Złapał niewolników i sprzedał... dobrze, to dla zysku. Ale potem zamordował czterdzieści kobiet i kazał je wyrzucić za burtę, niektóre jeszcze żyły... Jak to usprawiedliwisz? Ja na niego czekałam, na mojego ojca – dorzuciła zdławionym głosem. – Najlepszego człowieka na świecie... który miał mnie odnaleźć i...

Rozpłakała się i nie dokończyła.

o o o

Rano okazało się, że horyzont wokół jest pusty. Zmienili kurs i znów popłynęli na południowy wschód.

Do wieczora nic się nie zdarzyło. Morze wciąż było puste, ale Raladan i Tares wiedzieli, że to nie koniec kłopotów. Zdawali sobie z tego sprawę nawet majtkowie. Po Morzu Zwartym krążyć mogło więcej żaglowców, niż sądził pilot, no i z całą pewnością nie minęli jeszcze linii patroli na jego obrzeżu. Dowodzący obławą nie byli głupcami. Późne lato, czy też raczej początek jesieni – była to pora niemal gwarantująca sukces. Piracki żaglowiec, jeśli zdołał nawet uciec na Bezmiary, narażony był na poważne niebezpieczeństwo ze strony wczesnojesiennych sztormów; jeśli nie zdołał na czas zawinąć do jakiejś bezpiecznej kryjówki, zwykle kończył na dnie oceanu lub gnany wiatrem przepadał na zawsze w niekończącym się wodnym pustkowiu.

Teraz byli w takiej właśnie sytuacji: cesarskie okręty lub sztormy.

Raladan liczył na to, że uda się wypłynąć na Bezmiar Bliski, a potem, jeśli żagle złapią dobry wiatr, zdążyć przed burzami do południowych wybrzeży Garry. Tam nie powinno być cesarskich okrętów, nie przebiegały tamtędy żadne ważne szlaki handlowe i rozciąganie obławy aż po ów koniec świata mijałoby się z celem.

Tymczasem wciąż płynęli półwiatrem na południowy wschód. Marynarze, rozumiejąc doskonale powagę sytuacji, prawie nie schodzili z pokładu. Śledzono pilnie widnokrąg. Jednak dzień przeminął i tylko dwa razy mignął w oddali jakiś żagiel, by wkrótce zniknąć za linią horyzontu. Wiatr był dość silny i stały, bardzo dobry dla rejowych płócien; wyglądało na to, że zdołają w nocy przerwać blokadę i wypłynąć na Wschodnie Bezmiary.

Wachtowy obudził Taresa przed świtem i oficer poszedł zmienić Raladana. Zmęczony pilot zdał mu komendę w dwóch słowach. Tares doglądając majtków z pokładowej wachty, pokręcił się,

wreszcie poszedł na kasztel dziobowy i tam, czując na twarzy bryzgi fal, pograżył się w rozmyślaniach.

Chyba wydostali się z matni. I co dalej? Mieli wkrótce przybić do brzegu, a to oznaczało odejście Ridarety i pilota. Nie mógł temu przeszkodzić równie łatwo jak ucieczce łodzią. Nie miał żadnego planu.

A więc... pozostawało tylko jedno: porzucić okręt i uciec z nimi.

Porzucić okręt? Porzucić „Węża Morskiego”, najwspanialszy żaglowiec wszystkich mórz?

Drugi zastępca Demona całe swoje życie związał z morzem, jednak dopiero piracka karaka stała się jego prawdziwym domem. Walczył o ten dom i zdobył go. Stara „Mewa”, z której pokładu dokonali nocnego abordażu, wyglądała niczym marna łupina wobec tego gigantycznego żaglowca, mającego symbolizować potęgę armektańskiego imperium. Nikt będący przy zdrowych zmysłach nie porwałby się w pojedynkę na ten okręt – tyle tylko, że wówczas kapitan K.D.Rapis szukał śmierci.

Gwardia Cesarska, stojąca w stołecznym Kirlanie, była formacją lądową; polityczne względy zadecydowały o wyodrębnieniu z niej Cesarskiej Gwardii Morskiej. Najlepsi żołnierze świata, będący elitą elit, mieli wejść na pokłady trzech największych żaglowców Szereru – zbudowanych bodaj tylko po to, by w portach wszystkich prowincji ujrzano potęgę Wiecznego Cesarstwa. Jednakże złośliwy dla Armektu los sprawił, że dziewiczy rejs „Dumy Imperium”, podjęty dla zbadania dzielności morskiej okrętu, był ostatnim rejsem karaki pod cesarską banderą. Bezmiary nie chciały, by naród jeźdźców przebiegających Wielkie Równiny rozpanoszył się na wodach Szereru.

Pokład flagowego okrętu cesarstwa stał się areną niesłychanej, upiornej wręcz rzezi. Dwie załogi mordowały się nawzajem z rozpaczliwą wściekłością, fanatycznie, do końca. Nieliczni żołnierze przydani załodze na czas morskich prób z desperacją szaleńców walczyli o swój ukochany, najpiękniejszy żaglowiec świata; z drugiej strony dzicy marynarze, dla których włóczęga po Bezmiarach była wszystkim, zdobywali morskie cudo wyjęte wprost

z żeglarskich snów i marzeń. Nie męstwo i nie sprawność wojenna przesądziły o wyniku tej bitwy, która bezlitośnie pożarła prawie wszystkich walczących. Ślepy los albo przypadek. Okręt widmo, bezwładnie dryfujący z wiatrem, niósł na swoich pokładach stu zabitych i drugie tyle rannych. Kilku mężczyzn spowitych w przesiąknięte krwią szmaty rozpaczliwie próbowało zapanować nad żaglami i sterem. Wykrwawiali się, by ocalić zdobyty okręt, doprowadzić go do bezpiecznej kryjówki. Nikt nie zrzucił trupów do morza, nie miał kto nieść pomocy rannym w bitwie towarzyszom. Cuchnący śmiercią, rozbrzmiewający jękami konających okręt pozwolił przeżyć nielicznym. A potem stał się ich domem.

Zdobycie tego domu Tares przypieczętował własną krwią. A teraz nie chciał i nie umiał go porzucić.

Dzień wstawał chłodny i mglisty. Zamyślane, nieobecne spojrzenie oficera przesunęło się pośród szarobiałych tumanów i nagle – nagle okazało się, że tajemne moce Bezmiarów nie śpią; nie wolno przywoływać ich bezkarnie słowem ani nawet wspomnieniem. Nieruchomy Tares tępo gapił się tam, gdzie wśród pasm mgły majaczyły, nie dalej jak ćwierć mili od sterburty, dwie wielkie, ciemne sylwety.

Na pokładzie ktoś krzyknął, zewsząd wyroili się marynarze. Słyszał było przekleństwa i złorzeczenia.

Nad okrętem naprawdę musiała wisieć klątwa.

Trzecia plama zaczęła majaczyć we mgle, tym razem na prawym trawersie.

Stali wszyscy jak zaczarowani, wbijając wzrok w wyłaniające się z mgły żaglowce. Zbliżały się szybko. Coraz wyraźniej widać było szczegóły ich konstrukcji, maszty z jasnożółtymi żaglami... Wyspiarze.

Te okręty zwano Małą Flotą Wysp, choć wcale nie była mała, a tylko rozdrobniona. Żaglowce podlegały dowódcom flot garyjskich, ale Wyspiarze zawsze zaznaczali swą odrębność, choć Garra i Wyspy tworzyły jedną prowincję. Żagle Garyjczyków były ciemnożółte, żagle Wyspiarzy – jaśniejsze.

Na ucieczkę brakło już czasu. Weszli w środek wrogiej eskadry i nie mogło być mowy o wymanewrowaniu wszystkich wyspiarskich żaglowców. Tym bardziej że najbliższy okręt – średniej wielkości karawela z ożaglowaniem skośnym – przewyższał „Węża Morskiego” szybkością i zwrotnością.

W pojedynkę nie mogła go pokonać, lecz na pewno mogła zatrzymać.

Ośłupienie na „Wężu Morskim” wciąż trwało. Średni holc, karawela i stara jak świat koga miały zatopić największą karakę Bezmiarów!

Na pokładzie pojawił się Raladan, a chwilę po nim Ridareta. Pilot przyjrzał się zamglonemu okrętowi, ogarnął wzrokiem tłum majtków, a na koniec człapiącego ku rufie Taresa, który był już najwyraźniej pogodzony z losem.

– Poumierali jeszcze przed bitwą? – zapytała Ridareta, ruchem głowy wskazując marynarzy.

Zaskoczony Raladan przyjrzał się jej badawczo. Nie zobaczył strachu; zamiast niego zimne szyderstwo walczyło o lepsze z rezygnacją.

– Na Szerń – rzekł – choć raz bądź prawdziwym kapitanem. Trzeba ruszyć z miejsca to bydło. Inaczej wszyscy wisimy.

– Właśnie widzę.

Spojrzała mu w oczy, potem na niesamowicie bliskie okręty, na ogłupiałe gromady i nagle swym niskim, matowym głosem krzyknęła:

– Hej, chłopcy!

Marynarze drgnęli. Nigdy dotąd nie zwracała się wprost do nich.

– Do dział!

Majtkowie jak odczarowani rozbiegli się po okręcie. Grupy abordażowe chwyciły za broń, obsługi dział zajęły stanowiska.

Holc dał ognia z baterii pościgowej, samotna kula wzbiła przed dziobem „Węża Morskiego” gejzer wody. Była to uprzejma prośba o zrzućenie żagli i postawienie okrętu w dryf. Gdy tego nie zrobiono, wróg ponownie otworzył ogień i to już nie było ostrzeżenie. Z dziobowego kasztelu karaki posypały się strzaskane deski.



Karawela mocno odpadła od wiatru, zamierzając przepłynąć za rufą pirata, by potem podejść od sterburty – głupi pomysł, skoro z tej strony abordażować miał holk. Ktoś na karaweli zaraz to zrozumiał, bo padły komendy do kolejnego zwrotu. Smukły okręt płynnie przeciął martwy kąt, mając prędkość więcej niż wystarczającą do dokończenia manewru. Po chwili żaglowce szły kursami równoległymi; na karaweli wyraźnie czekano z podejściem, aż „Wąż Morski” da ognia z bakburty – lepiej było nie przyjmować takiej salwy z odległości trzydziestu łokci. Sporo dalej wyspiarska koga refowała żagiel i wytracała prędkość, na razie nie zamierzając włączać się do boju; to nie był okręt do wojny manewrowej.

Teraz strzelano już zewsząd, nad pokładami kłębił się szary dym prochowy. Na „Wężu” z hukiem runęła fokreja z żaglem, fruwały w powietrzu strzaskane fragmenty nadburcia. Cesarskie okręty rozbrzmiały od wiwatów; zaraz potem zwycięsko zaryczeli piraci, gdy na holku poszły drzazgi z kasztelu rufowego. Oddziały żółtych żołnierzy w kapalinach sposobiły się do ataku, kolorowo ubrani, bosonodzy majtkowie ściskali w dłoniach bosaki. Pośród zgrzytu i łomotu burta holka zetknęła się z burtą karaki.

## ROZDZIAŁ 11



**W**ładowni, gdzie ciśnięto ją jak worek pomiędzy jakieś skrzynie, było ciemno, mokro i śmierdziało stęchlizną. Jęczała cicho, nawet o tym nie wiedząc. Pocięte batem plecy paliły, jeszcze bardziej bolała rana w boku. Niemal równie nieznośny był ból w rękach i nogach, które skrepowano tak mocno, że szorstki sznur werznął się w ciało. Leżała z twarzą wciśniętą w mokre wióry i nogami zadartymi na kanciastą skrzynkę, tak jak ją rzucono; każda próba zmiany pozycji kosztowała nowy kęs cierpienia, najdrobniejszy ruch ramion owocował miazdzącym bólem związanych nadgarstków.

Okretem kołysało dość mocno, w rytm przechyłów nogi zsuwały się powoli wzdłuż krawędzi skrzyni, wreszcie, przy wtórze głuchego stęknięcia dziewczyny, spadły. Leżała bez ruchu, oddychając ciężko poprzez zimne wióry.

W gęstej, spleśniałej ciemności zamarł czas, skonalo przemijanie. Rozchwiana, wstrząsana przez fale ciemność splotła się z bólem i chłodem w twór z innego świata, gdzie mrok stał się czasem, a ból namiastką myślenia.

Przesuwały się przed nią w ciemności oderwane obrazy, jak zły sen: zgiełkliwy tłum walczących, szczipione w śmiertelnym uścisku dwa płonące żaglowce, przyszpilony włócznią do masztu Tares. Znow płonące, wstrząsane wybuchami prochu okręty, dalej Raladan, z dziką zawziętością wyrzynający własnych kamratów, palący się ludzie, z wyciem skaczący do morza... Zapadając w wypełniony męką półsen, ujrzała ciasny pokój, w którym krążyło jedno tylko pytanie, roztopione w świszczącym głosie bata: „Gdzie ukryłaś skarb, gdzie skarb, gdzie skarb...?”.

Podduszona, zapadła w głębokie omdlenie. W migotliwym świetle trzymanej przez dowódcę okrętu latarni wyglądała jak martwa. Wysoki, szczupły mężczyzna w jasnożółtej tunice z oznaczeniami setnika imperium zawiesił latarnię na przerdzewiałym haku i pochylił się nad poranionym ciałem. Wydobyty z pochwy mieczem ostrożnie przeciął więzy na nadgarstkach i przetoczył dziewczynę na plecy. Okaleczona twarz z czeluścią martwego oczodołu, pokryta zgniłymi wiórami, była odrażająca. Wzdrygnął się, ale ukląkł i przyłożył ucho do piersi leżącej, potem odszukał tętniące krwią miejsce na szyi. Wstał, zabrał lampę i opuścił ładownię.

Znalazłszy się na pokładzie, zawiesił latarnię na kolumnie masztu, po czym stał przez chwilę zamyślony, głęboko oddychając zimnym powietrzem.

Wiatr, nie zmieniając kierunku, przybrał na sile, stał się porywisty. Każdy żeglarz doskonale wiedział, co to znaczy. Gdy południowo-zachodni wiatr zaczynał szarpać żaglami w ten sposób (Garyjczycy nazywali go Kaszlem), należało w ciągu najbliższych dni spodziewać się krótkotrwałej ciszy, a potem pierwszego jesiennego sztormu.

Mozolnie płynęli półwiatrem ku Agarom. Z pozoru wszystko szło dobrze, łatwo dało się obliczyć, że nawet przy tak małej prędkości zdążą przed burzami. Późnoletni wiatr południowo-zachodni, zwany często Ostatnim, nigdy nie zmieniał kierunku. Przechodził w Kaszel, potem w ciszę. A jednak...

Nikt nie pamiętał, by kiedykolwiek Kaszel pojawił się tak wcześniej. Budziło to niepokój, bo na Bezmiarach Kaszel zrodzony z Ostatniego był dotąd jedyną pewną i niezmienną rzeczą. Teraz powiał wcześniej. A jeśli, co dotąd nie zdarzyło się nigdy, zmieni nagle kierunek?

Koga nie mogła żeglować na wiatr. Gdyby przed dotarciem do Agarów zaczęło wiać z dziobowej półsfery, statek najprawdopodobniej czekała zagłada.

Raladan stał na dziobowym kasztelu, obejmując ramieniem bukszpryt i – marszcząc brwi – obserwował rozkołysane morze.

Czasem unosił głowę, badając wzrokiem niebo, przepatrywał horyzont i znów, zadumany, powracał do śledzenia fal. Obejrzał się, słysząc kroki.

– Czego wypatrujesz w tej przeklętej wodzie?

Wzruszył ramionami.

– To Bezmiar Bliski, kapitanie. Ale gdybym nie wiedział, rzekłbym, że wciąż Morze Zwarte.

Wskazał ręką.

– Ta woda jest zielona. Czy Bezmiary są zielone, kapitanie?

Dowódca cesarskiego żaglowca popatrzył mu w oczy. Obejmując bukszpryt, wychylił się nieco. Znów obrzucił pilota spojrzeniem.

– Racja, nie – mruknął zdziwiony. – Ale wczoraj taka nie była.

– Zatoczyliśmy kółko? Przecież nie jesteśmy na Zwartym.

– A mamy zieloną wodę – powiedział z namysłem setnik.

– Kaszel pospieszył się o tydzień – rzekł Raładan. – Bywało, że przychodził dwa dni wcześniej lub później. Ale tydzień? I teraz ta zielona woda. Nie bardzo wiem, co to znaczy. Wydaj rozkazy, panie, żeby wachty meldowały o wszystkim. O wszystkim – powtórzył z naciskiem.

Żołnierz zamyślił się.

– Może być ważny kształt chmury, przelotny deszcz i nie wiem, co jeszcze – ciągnął pilot. – Jak zobaczę, to się zastanowię. Kaszel jest właściwie zachodnio-południowo-zachodni i tylko dlatego pełzniemy.

– Co mi jeszcze powiesz, czego nie wiem?

– Że jeśli nie zdążymy przed sztormem, to bez obrazy, kapitanie Vard, ta łajba rozleci się, zanim zdążymy westchnąć. Kto wam zestawia eskadry w ten sposób? Jakim cudem do tej karaweli i holka przydzielono...

– To tylko statek handlowy – uciął kapitan. – Miał wracać na Agary prawie pusty, więc straż morska czasowo wcieliła go do mojej eskadry. To był zresztą bardziej konwój niż eskadra... Niczego ci nie muszę tłumaczyć, zresztą po co? Głuchy ani ślepy nie jesteś. Agary wystawiły eskadrę, na jaką je stać. I już jej nie ma.

Pilot zamilkł, bo rzeczywiście zdołał co nieco zobaczyć i usłyszeć, a resztę sobie dopowiedział. Pusta koga wracająca na Agary miała tylko przewieźć zaopatrzenie i kilku żołnierzy uzupełnień dla tamtejszego garnizonu. Przydzielono ją do eskadry Varda, która też właśnie wracała do macierzystego portu.

– Tak... Agary wystawiły eskadrę, na jaką je stać. I już jej nie ma – powtórzył setnik, nie kryjąc wcale smutku.

Znów popatrzył na zielonkawą wodę.

– Może los mi cię zesłał – powiedział Raladan, zmieniając temat. – Zły albo dobry... Co z dziewczyną?

Kapitan skrzywił usta.

– Racja. Właśnie. Szukałem cię, bo chcę znowu zapytać: czyś pewien, że ona wie o tym skarbie?

– Wie.

– No to jest twardsza, niżby można przypuszczać.

– Czyli jednak...

– Posłuchaj mnie, Raladanie: uzyskałeś już, że nie gnije w morzu, jak inni. Czego chcesz jeszcze? Znasz prawo: decydując się na wzięcie jeńca, odpowiadam za jego życie aż do chwili, gdy przejmie go Trybunał. Za życie. I za nic więcej. Mam tu łobuza, który jest od wyciągania z ludzi zeznań. Chętnie wyrzuciłbym tego sukinsyna za burtę i mówię ci to prywatnie. Ale jestem tylko dowódcą cesarskiego okrętu, który zresztą dopiero co straciłem, i jeśli będę się wtrącał w poczynania cesarskich urzędników, to szybko przestanę dowodzić czymkolwiek.

Pilot milczał ponuro.

– I jeszcze jedno ci powiem. – Vard zniżył głos tak, że ledwie przebijał przez szum fal. – Wierzę, a przynajmniej chcę wierzyć we wszystko, co mi powiedziałaś. W to, że cię zmusili do służby na swym okręcie, i w to, że dziewczyna wie, gdzie Demon ukrył skarb. Ale nie zapominaj, że jesteś jeńcem, Raladanie. Twoje życie jest w rękach Trybunału, poręczyłem za ciebie ze względu na starą znajomość (o czym zresztą lepiej, żeby nikt nie wiedział) i dlatego, że potrzebny mi taki pilot. Ale strzeż się. Bo bez względu na wszystko, jeśli odkryję, że kłamiesz... oddam cię w ich ręce, Raladanie.

Ujął pilota za ramię i uściśnął znacząco, po czym odwrócił się i zszedł z kasztelu. Ruszył na rufę. Wkrótce stanął przed wąskimi drzwiami jedynej kajuty, którą dzielił z niewojskowym kapitanem żaglowca i urzędnikiem Trybunału. Otworzył je i bez żadnej zapowiedzi wszedł do środka.

– Kiedy przesłuchanie, panie Albar? – zapytał, niespiesznie zmierzając w stronę wolnego krzesła. Usiadł i dopiero wtedy spojrzał na rozmówcę.

Niewysoki, ale harmonijnie zbudowany mężczyzna, nieco może zbyt szczupły, pięćdziesięcioletni lub trochę starszy, uniósł lekko brwi.

– Dopiero co się odbyło, kapitanie.

– A następne?

– Może jutro. Tak, chyba jutro, jutro zapewne, jutro... Czemu zawdzięczam zainteresowanie?...

Vard siedział, kiwając lekko głową. W zamyśleniu spoglądał na ogniowy zegar płonący w lichtarzu na stole. Urzędnik bardzo skrupulatnie śledził upływ czasu, kiedyś starannie obracał klepsydry. Na tej kodze ich nie miał, była tylko jedna dla pokładowej wachty, więc pilnował ogniowych zegarów. Wolno płonąca świeca sporządzona ze sproszkowanej kory magnolii z domieszką smoły dopalała się; zostały tylko dwie kreski.

Po armektańsku: dwie pory.

Nie wiadomo dlaczego Vardowi wydało się nagle, że mierzenie upływu czasu jest zajęciem niebezpiecznym. A w każdym razie ponurym.

– Więc nie powiedziała? – zapytał.

Jego godność N.Albar odchylił się na oparcie krzesła i wygładził jedwabną, ale skromnie skrojoną szatę.

Pojedynczy inicjał przed imieniem nosiło niewielu. Najczęściej upamiętniał tak znakomitego przodka, że byłoby niestosowne dodanie pamiątki po drugim, o nieporównanie mniejszych zasługach. Kto takiego wielkiego przodka nie miał, ten gorączkowo szukał następnego, próbując liczbą zastąpić niedostatek jakości...

Ale już na Wyspach wyglądało to inaczej. Prawie nikt nie dobierał dodatkowych monogramów. Była tylko jedna litera, od której zaczynało się imię założyciela nowej linii Czystej Krwi.

Zresztą we wszystkich prowincjach imperium w dziedzinie nadawania i dobierania rodowych monogramów panował całkowity chaos. Objawiała się prawda zawarta w przysłowiu, że co kraj, to obyczaj.

Vard przez krótką chwilę zastanawiał się, kim był wielki przodek Albara. Czy znamienitym katem potrafiącym powiesić na jednej pętli trzech skazanych?

Wysokiemu urzędnikowi imperium przysługiwał tytuł dostojności. Niskiemu niekoniecznie. Na szczęście, bo Vardowi nawet „wasza godność” z trudem przechodziło przez gardło.

– Niecierpliwy, otóż to, niecierpliwy człowiek ten kapitan Vard – rzekł urzędnik jakby do siebie, szukając czegoś wzrokiem na styku sufitu i ściany. – Kapitanie, dobry z pana żołnierz, ale niecierpliwy, nie-cier-pli-wy...

Vard uprzejmym gestem poprosił jego godność o milczenie.

– Panie Albar – powiedział spokojnie, ale w głosie kryło się coś dziwnego – ta dziewczyna nie jest żylastym osiłkiem. Zalecam umiar w badaniu.

– Niecierpliwy i wrażliwy – podjął urzędnik, przenosząc z kolei spojrzenie na sufit. – Wrażliwy, wrażliwy... – zawodził cichutko, kołysząc się na krześle.

Vard pomyślał nagle, że chętnie pchnąłby tę jedwabną pierś i zobaczył przewracające się krzesło.

– Panie Albar! – powiedział ostro. – Widziałem ją przed chwilą.

Szary człowiek oderwał wzrok od sufitu, ale najwyraźniej umiejętność zatrzymywania go na twarzy tego, z kim rozmawiał, była mu obca. Patrzył teraz pod blat stołu.

– Wrażliwy i nieufny, nieufny i skryty, nieufny i skryty... – pohukiwał z namysłem.

– Racja. Nie będzie już badania – powiedział łagodnie Vard. – Ta dziewczyna tego nie przeżyje, a ja muszę oddać ją żywą w ręce

Trybunału. Zdaje się, panie, że to ty powinienes mnie o tym pouczyć, a nie ja ciebie.

Pohukiwanie umilkło. Urzędnik drążył spojrzeniem drzwi pokoju.

– Jest niemal zakatowana – ciągnął Vard, podnosząc się niespiesznie. – Jeśli umrze, dopilnuję, by właściwi ludzie usłyszeli, że była córką największego pirata Bezmiarów, dopilnuję też, by dowiedziano się, kto sprawił, że nie odpowie już na żadne ze stu pytań, które można i należałoby jej zadać.

Podszedł do drzwi i już wychodząc, zanucił nieoczekiwanie:

– I cierpliwy pan Albar straci pracę, otóż to, straci pracę, straci, straci...



## ROZDZIAŁ 12



**C**o tam? – Vard przetarł oczy.  
Była noc.

– Wiatr się wzmaca, panie kapitanie.

Oficer usiadł na łóżku.

– Dobrze, już idę.

Marynarz wyszedł. Vard ubrał się szybko. Po chwili był na pokładzie. Zamienił dwa słowa z oficerem kogi, po czym oparł się o wspornik kasztelu, pozwalając, by wiatr smagał go po twarzy.

Po chwili ruszył do dziobówki.

Pilotowi wyznaczono miejsce w pomieszczeniu żołnierzy; po bitwie panował tam ścisk, bo przejęto sporo ludzi z utraconych żaglowców. Kapitan z trudem odnalazł jego hamak. Po pewnym czasie obaj wyszli na pokład.

– To nie Kaszel – rzekł pilot. – Nie wiem, co to jest. Nie będzie ciszy. Będzie burza.

Vard skinął głową.

– Racja. Myślmy to samo.

Bez dalszej zwłoki wezwał wachtowego.

– Budzić całą załogę – rozkazał. – Niech mocują wszystko, co ruchome. Sztormowe płótno na maszt, i to szybko. Będzie burza.

Chciał polecić, by zbudzono kapitana, ale się rozmyślił. Nie miało żadnego sensu stawianie na nogi schorowanego dziadka, który i tak rządził wyłącznie poprzez swoich oficerów.

Majtek odszedł pospiesznie.

Raladan milczał wychylony za burtę. Wysoka fala przykrywała wystające na zewnątrz poszycia pokładniki, rozbijając się z sykiem.

Działo się coś, czego nie mógł zrozumieć. Pływał długo po słonych przestworach, znał je dobrze, najlepiej chyba z żyjących. Znał prądy

i wiatry, znał pory, kiedy można im było zawierzyć. Kaszel nigdy nie zmieniał kierunku. Teraz zmienił, choć bardzo nieznacznie. Gwiazd nie było, ale pilot wiedział, że to nie okręt zszedł z kursu. Kaszel zmienił kierunek. I to nie był już Kaszel.

Miało nie być kilkudniowej ciszy. Zamiast ciszy miała być burza, i to silna. Silna burza. Raladanowi nie mieściło się to w głowie.

Kaszel, zwany w Armekcie Wiatrem Rocznym, był stały jak... sam Szerer. Tak stały, że pierwszy dzień ciszy po Kaszlu uznawano za początek roku garyjskiego i roku imperialnego; kalendarz stanowił jedną z nielicznych rzeczy, jakie Armekt przejął od Garry, a dlatego, że był kalendarzem niemal doskonałym. Zapewniał podział roku na trzynaście równych dwudziestoośmiodniowych miesięcy, a możliwe odchylenia sięgały najwyżej dwóch, wyjątkowo trzech dni – o tyle dłuższy lub krótszy mógł być ostatni miesiąc roku.

Teraz nagle świat przewrócił się do góry nogami. Pilot zupełnie nie wiedział, co robi się z rokiem, który nie ma początku; prawdopodobnie zresztą nie wiedział tego nikt w całym Szererze.

Wszystkie te myśli gościły w głowie Raladana tylko przez krótką chwilę. Przepadły zaraz bez śladu; kalendarz nie miał teraz żadnego znaczenia. Nadciągała burza, silna burza.

Co należało przedsięwziąć?

– Może być, że zdążymy – rzekł Vard, jakby czytając w myślach. – Powinniśmy ujrzeć Agary wieczorem. Jeśli wiatr się nie zmieni.

– Zmieni się. Ale na korzyść. Już wieje bardziej od zachodu. Pytanie tylko, kiedy ten wiatr przerodzi się w huragan.

Na całym okręcie, w świetle licznych, kołyszących się latarni, trwała już gorączkowa krzątanina. Co jakiś czas ktoś podchodził do dowódcy po rozkazy. Majtkowie biegali po pokładzie, umocowując wszystko, co dało się umocować.

Czas mijał powoli. Niebo nieznacznie pojaśniało na wschodzie, gdy wiatr, wiejący teraz niemal prosto z zachodu, przybrał jeszcze na sile, stał się porywisty, gwałtowny. Ociężała koga niechętnie brała go w płótno. Ale szła coraz szybciej. Ku Agarom.

– Radź sobie – powiedział Vard, wiedząc, że dwóch dowódców pokładowych to za dużo. – Powiem tamtym, że zdałem ci komendę.

Ja będę u siebie. Gdybym był potrzebny, pošlij kogoś. Albo sam przyjdę, jak tylko się zacie, i zlużuję cię.

Ścisnął ramię pilota i poszedł na rufę. Po chwili siedział w kajucie, kreśląc palcem na stole jakiś zawiły wzór. Kopcąca latarnia tańczyła mu nad głową, wyłaniając z półmroku śpiącego kapitana i Albara.

Musiał spokojnie pomyśleć.

Los postawił go w niełatwej sytuacji. Przede wszystkim był sam. Krwawa bitwa z piracką załogą kosztowała niejedno życie. Zginęli wszyscy oficerowie, tylko on ocalał. Prawda, że odniósł wielki sukces: płonący jak żagiew najgroźniejszy okręt Beźmiarów to godziwa nagroda za lata ciężkiej służby. Wiedział, że okrzykną go bohaterem, tym bardziej że nie było nikogo, z kim musiałby dzielić sukces...

Jednakże dziwny lęk pojawił się w chwili, gdy rozpoznał atakowany żaglowiec. Ogarnęło go wtedy przecucie niepowodzeń i nieszczęść.

I rzeczywiście: od chwili owego niezwykłego spotkania wisiała nad dowodzonymi przez niego żaglowcami jakaś klątwa. Ledwie uszedł z życiem z „Beliany”, śmigłej karaweli, z którą zdążył się zżyć. Oba okręty eskadry spłonęły splecione w śmiertelnym uścisku z trupem pirackiego żaglowca, na którym musiało być więcej prochu, niż wozila cała armektańska flota... Ostatni łut szczęścia, bo od tej chwili złośliwe moce już go nie opuściły. Objąwszy komendę nad starą kogą, nie zdołał odnaleźć żadnej cesarskiej eskadry, chociaż wiedział, gdzie szukać. Nie przekazał więc jeńców ani uratowanych ludzi, których miał teraz na statku dwa razy za dużo. Potem zaczęła płać figle pogoda. Na koniec, niemal u wejścia do macierzystej przystani, czekała ich walka z burzą.

W tej niełatwej sytuacji nie miał na pokładzie nikogo, komu mógłby zaufać. Jego zastępcy, starzy towarzysze – zginęli. Z holka dowódcy eskadry uratował się śliski Albar, raczej kat niż urzędnik, a już żaden marynarz czy żołnierz, człowiek niecierpiany przez wszystkich.

Na szczęście – lub na nieszczęście – pojawił się Raladan.

Vard zmarszczył lekko brwi. Znał pilota z czasów, gdy ten wodził cesarskie eskadry. Wiele lat minęło od chwili, gdy widzieli się po raz ostatni. Kim właściwie był teraz ten człowiek? Historia o niewoli na pokładzie pirackiego żaglowca wyglądała mocno podejrzanie. Ale z drugiej strony na własne oczy widział rzeź, jaką pilot sprawił swym domniemanym kamratom...

Vard wyskoczył za burzę, to samo zrobił Raladan. Obaj dotarli do kogi podejmującej z wody rozbitków. Pilot z wysiłkiem włókł półutopioną, ciężko ranną dziewczynę – tak dostał się do niewoli.

No właśnie, ta dziwna dziewczyna. Dowodziła piracką załogą, wszyscy to widzieli. Był zdumiony, bo rozpoznał piracki okręt i sądził, że ujrzy jego kapitana, ponurą legendę Bezmiarów. Potem od pilota i kilku innych jeńców usłyszał, że Demon Walki nie żyje, a dziewczyna jest jego córką.

Znów wyszedł na pokład.

Był już dzień. Ponury, szary i groźny. Po niebie przemykały granatowe chmury, nad nimi wisiały inne – czarny strop. Fale sięgały bryzgami pokładu. Wysłużony statek walczył ciężko, przewalając się z burty na burzę.

Ujrzał Raladana, stojącego w szerokim rozkroku, z rękami zatkniętymi za pas. Wokół marynarze niemal pełzali, przytrzymując się wszystkiego, co dawało oparcie. Pilot stał, jakby stopy przybito mu do pokładu.

Vard wziął latarnię i zszedł do ładowni.

Nie wiedział, co go tam ciągnie. Obecność dziewczyny na statku budziła dziwny niepokój. Była rzekomo córką największego pirata wszystkich czasów... Czegóż trzeba więcej?

Leżała na boku, plecami do miski z zimnym, ohydny zarcie. Wydało mu się, że drgnęła lekko, ujrawszy błysk latarni. Nogi wciąż miała związane. Nie dziwił się. Tak mocno zaciśniętych węzłów nie da się rozsypać gołymi palcami. Zresztą chyba nawet nie próbowała.

Pomyślał, że jeśli okręt zatonie, co wydawało się wobec nadciągającej burzy całkiem możliwe, dziewczyna będzie szamotać się w więzach w zalanej ładowni. Co prawda gdyby istotnie szli na

dno, wszystkich ich czekała zagłada, ale wizja śmierci z pętami na nogach wydała mu się jakoś niezwykle okropna. Dobył miecza i ujął dziewczynę za ramię.

– Usiądź.

Próbowała wykonać polecenie, ale było to tak nieporadne, że nie mogło się udać bez pomocy. Znów wstrząsnął nim widok półprzytomnej, rozpalonej gorączką twarzy, a w niej pustego czerwonego oczodołu, obwiedzonego nierównymi fałdami blizn. Widział już wiele ran, ale teraz pomyślał, że tak oszpecona kobieta nie powinna chodzić po ziemi.

Z pewnym trudem utrzymując równowagę, sztychem miecza odsunął do góry skraj czarnej szmaty, która kiedyś była spódnicą bogatej sukni, i przeciął pęta. Spuchnięte stopy wydawały się martwe, był pewien, że nieprędko nimi poruszy.

Jej oddech zabrzmiał chrapliwie, powrót krwi do naczyń musiał sprawić ból, który przebił się przez omdlenie. Ciałem wstrząsnęły jakieś dziwne drgawki. Usiadł na skrzyni i w migotliwym świetle skaczącej na haku latarni patrzył, milcząc. Pokryte krwią ciało wciąż przeszywały dreszcze, przez żalosne strzępy odzienia widział posiniałe z zimna ramiona i piersi. Zdjęty nagłą litością zdjął swój wojskowy płaszcz i rzucił go na leżącą. Próbował uświadomić sobie, że ta skatowana, zziębnięta istota niewątpliwie popełniła w życiu czyny, o których lepiej nie myśleć. Ale rozum mówił jedno, a oczy zaprzeczały. Widział tylko obolałą, bezbronną dziewczynę, w której życie ledwie migotało. Teraz, gdy cień skrył lewą część jej twarzy, nie miała w sobie nic demonicznego. Brudny, chory dzieciak. Ile miała lat? Kilkanaście.

Wstał, myśląc, że ci wszyscy, którzy byli przeciwni powierzeniu mu dowództwa okrętu, wiedzieli, co mówią. Był łagodny. Pod pozorem zewnętrznej szorstkości był łagodny... A kapitan żaglowca straży morskiej nie powinien grzeszyć łagodnością. Ani też nadmiarem skrupułów.

U wejścia do ponurej ładowni rozbłysło światło drugiej latarni. Vard przechylił nieco głowę i ściągnął twarz, rozpoznając przybysza. Urzędnik uniósł wyżej latarnię i z udanym zdumieniem zawołał:

– Kapitan Vard! Naprawdę, otóż i kapitan, naprawdę myśli o wszystkim, niezawodny, otóż to, niezawodny, zawsze niezawodny! Vard milczał.

Albar podszedł bliżej i spojrział na okrytą płaszczem dziewczynę. Musiał przytrzymać się wręgi; kołysało.

– Otulona, troskliwie otulona – skonstatował. – Kapitanie, czy zdążymy przed burzą? Chyba nie.

Usiadł na skrzyni, z której Vard wstał przed chwilą, i błędząc wzrokiem gdzieś w mroku ładowni, rzekł niespodziewanie rzeczowo:

– Panie Vard, nie jestem żeglarzem, ale myślę, że nie uciekniemy przed burzą. Mam rację?

Nie doczekawszy się odpowiedzi, ciągnął:

– Panie Vard, masz mnie, wiem o tym, za bydłę. Niech tak będzie. Ale teraz nie pora na wzajemne niechęci, nie pora, otóż to. Ta piratka burzy nie przeżyje. Przyznaję, badałem ją nieostrożnie. Harce statku zabiją ją na pewno, nawet jeśli nie zatoniemy.

Vard otworzył usta.

– Chcesz ją wypytać, zanim umrze?

– Czy to źle?

Kogą kołysało coraz mocniej. Fale z łoskotem uderzały o burty.

– Złota, które ukrył ojciec tej panny, nie pożądam dla siebie – rzekł urzędnik. – Znasz prawo, Vard. Odebrane rozbójnikom łupy, jeśli nie znajdą swych pierwotnych właścicieli, przeznaczają się na pomoc dla rodzin poległych żołnierzy. Czy podoba ci się, czy nie, mój bat może sprawić wiele dobra.

Kapitan zacisnął wargi. Bez względu na to, jakim człowiekiem był Albar, słuszność tym razem była przy nim.

– Racja.

Albar trącił nogą nieruchome ciało, płaszcz zsunął się na bok. Pochylili się nagle obaj, patrząc na tańczącą w rytm przechyłów głowę. Vard przykucnął i pospiesznie dotknął twarzy dziewczyny. Uniósł wzrok.

– Racja. Ale ona właśnie umarła, panie Albar.

Nad nimi, na pokładzie, rozbrzmiał silniejszy od huku fal mnogi, przerażający wrzask. Rzucili się ku wyjściu.

o o o

Stojący na rozkołysanym pokładzie Raladan ogarnął spojrzeniem niskie niebo i morze wokół statku. Przykuł jego uwagę czarny punkt na północnym zachodzie. Zmarszczył brwi i wyteżył wzrok.

Potężny wiatr szarpał żaglem.

Majtkowie, nie bacząc na bryzgi słonej wody, zaczęli zbierać się przy bakburcie. Wreszcie wszyscy porzucili zajęcia i w skupieniu śledzili czarną plamkę. Bo nie była już punktem, zbliżała się szybko. Zbyt szybko, jak na okręt, zbyt szybko, jak na morskie zwierzę, o wiele, wiele za szybko...

Raladan rozepchnął marynarzy i przypadł do nadburcia. Plecami targnęły dreszcze. Znał ten widok. Na wszystkie morza świata... Znał ten widok!

Nie wiadomo, kto z załogi poznał pierwszy, ale krzyknął, a po chwili ten krzyk powtórzyli wszyscy. Zakotłowało się na śródkręciu. Pośród przepychań, wobec mocnej chwiejby pokładu ktoś wyleciał za burtę. Uciekano pod pokład, jakby wewnątrz statku mogło ochronić przed mknącym jak huragan czarnym, wypalonym wrakiem. Pędził, za nic mając wiatr, szybko jak ptak, jakby sam był wiatrem, rozerwany dziób roztrącał fale w dwie ogromne fałdy wzdłuż kadłuba. Niemal położony na burcie, z osmalonymi kikutami masztów, mknął wprost na spotkanie krępej nogi.

Pokład opustoszał. Pozostał tylko uczepiony burty Raladan. Jego usta poruszały się, wypowiadając unoszone przez wiatr słowa:

– Zrobiłem wszystko, co mogłem. Wszystko, co mogłem, kapitanie...

Mignął pod grotmasztem na spalonym pokładzie jakiś ogromny cień, potem potworny huk i wstrząs targnęły koga, trzask łamanych desek, darte go poszycia zmieszał się z przeraźliwym wyciem, które z głębi statku doleciało na pokład. Wrak karaki rozbił rufę, jakby

sporządzona była ze słomy, obrócił nieszczęsny żaglowiec wokół osi i położył na burcie, po czym pomknął dalej, znacząc ślad spienioną białą wstęgą. Jeszcze krwawy, dziwny błysk, jak sztylet, uderzył w rozbity statek i zniknął gdzieś w jego wnętrzu.

o o o

Było późne popołudnie, ale czarne chmury sprawiły, że wokół zalegały ciemności. Głęboko zanurzony kaleki kadłub starej kogi, pozbawionej steru, ze strzaskaną rufą i zwalonym masztem, cudem utrzymując się na wodzie, mknął w ramionach wiatru na wschód. Na pokładzie nie było nikogo. Jeśli żył ktoś jeszcze na tym statku, krył się głęboko w jego wnętrzu, poszukując złudzenia bezpieczeństwa w jakimś ciemnym kącie, może w drżącym, jak i jego, ramieniu towarzysza. Nikt nie kontrolował biegu kogi, nie było na to sposobu, nikt zresztą nie ośmieliłby się wyjść na pokład i spojrzeć na morze; wszyscy bali się śmierci, ale stokroć bardziej widoku czarnego, potwornego widma. Sama myśl o tym, że wrak spalonej karaki mógłby wrócić, by dokończyć dzieła, była przerażająca.

Nadciągnął wieczór, potem noc.

Wicher wył potępieńczo, masy wody łomotały o deski kadłuba. Czarne fale unosiły okręt na grzbietach, by z łoskotem zrzucić w dół, między opasłe cielska. Tam go chciały zgnieść, przywalić grobowym ciężarem, ale jeszcze, i jeszcze, wydobywał się z otchłani. Wreszcie przeciągły zgrzyt obwieścił nowego, naprawdę śmiertelnego już wroga: rafy. Kadłub trzeszczał i łomotał o skały; w strugach deszczu, który spadł w świetle błyskawic, pełzali po pokładzie jacyś ludzie. Wicher wepchnął statek na grzbiet nowej fali, ta podniosła go jak dziecinną tratwę z patyków, przerzuciła ponad wieńcem groźnych skał i cisnęła na inne – ogromne, zębate. Nadwątlony kadłub rozleciał się w drzazgi. Wicher huczał i fale huczały, pośród tego huku krzyk człowieka był niczym, ale zawarł się w łoskocie pękających desek, w grzmocie szczątków bijących o szorstkie bary



skał. Potem już tylko gromy przewalały się po niebie, białe błyskawice oświeślały tkwiący między skałami, jak w kleszczach, dziób okrętu z resztkami kasztelu.

Tak było do rana.

Z nadejściem dnia burza ustała, wicher huczał jeszcze i zawodził, fale biły zajadle czarne brzegi skalistego lądu, ale już błyskawic, deszczu i grzmotów nie było. Nędzne światło, wytłumione przez chmury, ledwo czyniło dzień ciemnoszarym.

Kamienista plaża zasłana była szczątkami rozbitego żaglowca. Wały się deski, jakieś beczki i skrzynie, oplątane linami, pokryte kępami wodorostów. Fale bawiły się nimi, tocząc w górę plaży – i z powrotem po oślizgłych kamieniach. U stóp brudnych wydm, spod których przebierała naga skała, był wąski pas kamieni i szarego piachu, gdzie nie docierała już woda. Tam morze złożyło kilka ciemnych sylwetek.

## ROZDZIAŁ 13



Czuła chłód. Zaraz potem dotarło do niej, że leży na czymś twardym i nieruchomym, drapieźnie wbiła w piach paznokcie, kalecząc palce o muszle i kamienie. Zemdliło ją; rzygała morską wodą, kaszląc głośno. Przetoczyła się na plecy i leżała bez ruchu, oddychając ciężko, wyczerpana.

Brunatnoszare, skłębione chmury przewalały się po niskim niebie, napływając znad morza. Mokry wiatr orzeźwiał. Przemknęły jej przez myśl wydarzenia ostatnich dni, gwałtownie uniosła się na łokciu, spoglądając wokół. Potem, marszcząc brwi, dotknęła twarzy, spojrzenie pobiegło ku nadgarstkom, na których widniały ledwie widoczne blizny – ślady sznura, który tak niedawno wżerał się w ciało. Coraz bardziej zdumiona obejrzała z lękiem kostki nóg, dotknęła boku i pleców...

Wszystkie rany były zabliznione.

Zerwała się z ziemi, jeszcze raz obrzucając spojrzeniem dziką okolicę. Po chwili usiadła znowu, nic nie rozumiejąc. Zanurzyła dłonie w szorstkim piachu.

Nagle go ujrzała.

Leżał do połowy zagrzebany w piasku, niemal tak szary jak inne kamienie. Cofnęła się mimowolnie, patrząc z nowym lękiem i zdumieniem.

Był. Był tutaj... Ale jakim cudem?

Wyciągnęła rękę. Wygrzebała go z piachu i podniosła na otwartej dłoni.

Rubin był szary i martwy. Kruchy... Zacisnęła leciutko palce, a wtedy klejnot popękał – i oto wiatr rozwiewał na jej dłoni kupkę szarego popiołu. Ze ściśniętym gardłem patrzyła, jak resztki potężnego kamienia przeciekają między palcami.

Oprzytomniała nagle i zdała sobie sprawę, że śniła na jawie. Patrzyła na dłoń zaciśniętą na najzwyczajszym kamieniu, jakich pełno było dokoła; kamieniu, który nie myślał pękać ani zmieniać się w szary proszek. I nawet nie był podobny wielkością do Rubinu Córki Błyskawic.

Zagryzając wargi, odwróciła wzrok w stronę morza.

A jednak zaszło coś niezwykłego. Być może groźnego, niedobrego. Okręt został rzucony na skały. Ale wcześniej...

Pamiętała tylko zimną ładownię.

Wstała i ruszyła przed siebie.

Szła powoli wzdłuż brzegu, obojętnie spoglądając dokoła. Niegościnna plaża i wydmy, dalej szczyty drzew...

Wspięła się na wydmę.

Na lewo od miejsca, w którym przystanąła, była niewielka zatoka. Nad wodą dostrzegła jakiś ruch; kilku ludzi siedziało na piasku, nieco dalej spoczywało pięć lub sześć nieruchomych ciał. Przykucnęła wśród żółtych traw i patrzyła zachłannie, przestraszona.

Trzej mężczyźni. Jeden wstał właśnie i ruszył ku morzu. Wszedł w wodę po kolana i atakowany przez fale zaczął coś krzyczeć. Nie rozróżniała słów.

Zauważyła naraz, kilkaset kroków od brzegu, tkwiący między skałami dziób statku. Wyteżyła wzrok i dostrzegła tam poruszenia człowieka. Wróciła wzrokiem do mężczyzny w wodzie. Miał na sobie żółtą narzutę. Żołnierz.

Mężczyzna wrócił na brzeg, rozebrał się do naga, powtórnie wszedł do wody i zaczął płynąć. Zrazu szło mu dobrze – w osłoniętej od wiatru zatoczce fale były nie takie duże. Mimo woli podziwiała odwagę pływaka. Fale podrzucały go jak patyk, często ginął pod nimi i kilka razy już była pewna, że utonął. Ale zawsze po jakimś czasie znowu widziała głowę i pracujące ramiona. Zmierzyła wzrokiem dzielącą go od wraku odległość. Przebył niespełna pół drogi.

Zakleszczony między skałami dziób żaglowca drgnął i osunął się trochę. Zrozumiała: zaczynał się przypyw.

Niewielka figurka na statku zaczęła miotać się gorączkowo. Niezręczne to były poruszenia. Pomyślała, że ten człowiek może być ranny. Mocniej wychyliła głowę z trawy. Na wraku było kilka osób! Widziała teraz nerwową, nieporadną krzątanicę. Znowu schowała się w trawie. Nie powinni jej dostrzec. Zacisnęła zęby na samą myśl o ponownej niewoli. Na Szerń, nie po raz pierwszy pomyślała, że ci ludzie niewiele różnią się od piratów, którymi tak gardziła...

Rację miał Raladan.

Mimo wszystko płynący kolegom na ratunek żołnierz był bohaterem. Walczył z falami, wiatrem i przypiływem. Przybór wody, choć jeszcze nieznaczny, spychał śmiałka z powrotem w stronę brzegu. Przebywszy trzy czwarte drogi, mężczyzna dotarł do sterczącej z wody skały i wgramolił się na nią. Przywarł całym ciałem. Poznała, że jest bardzo zmęczony.

Ale czasu do stracenia nie było, bo oto dziób kogi drgnął po raz drugi. Zgrzyt szorujących o kamienie desek dotarł aż do jej uszu. Żołnierz znowu rzucił się w wodę. Zrozumiała, że postanowił dotrzeć za każdą cenę, młócił fale ramionami wściekle, z zawziętością. Pojęła, że jeśli zawiodą go siły, jeśli osłabnie – utonie nieuchronnie między wrakiem okrętu a brzegiem. Nie mógł już zawrócić.

Odległość była duża, teraz już bardzo rzadko dostrzegała pływaka. Czasem tylko migają pośród fal jego ramiona, ale nie miała pewności, czy to nie złudzenie.

Fala przypiwwu coraz dalej sięgała w głąb plaży. Dziób statku drgnął po raz trzeci, znieruchomiał, ale tylko na chwilę. Stojący na brzegu rozbitkowie zaczęli krzyczeć i wymachiwać rękami. Wrak opadał w wodę. Szczątki przechyliły się nagle i legły na fali. Nie widziała już na nich nikogo. Morze igrało przez chwilę resztkami żaglowca, wyglądającymi teraz jak kupa przypadkowo połączonych desek. Resztki owe obróciły się raz i drugi w miejscu, po czym zostały zgniecione o skały, między którymi wcześniej tkwiły.

Wypatrywała płynącego żołnierza, wstała nieświadomie. Ale morze było puste. Między rozhuśtanymi falami nigdzie nie pojawiła się głowa czy ramiona.

Utonął.

Skonstatowała ów fakt z dziwną obojętnością. Usiadła na piasku, by po kilku chwilach wstać i ruszyć w głąb lądu. Nie wiedziała, dokąd idzie i po co. Chciała być jak najdalej od ludzi na brzegu. Nic więcej.

o o o

Żołnierz nie utonął. Ciężko walcząc z morzem, dotarł do skał, wokół których unosiły się szczątki żaglowca. Usłyszał wołanie o pomoc i natychmiast skierował się w stronę, skąd dobiegało. Pośród połamanych desek pływali ludzie, chwytając kurczowo wszystko, co mogło być pomocne w walce z topielą.

Dziwnym trafem sporo osób przeżyło katastrofę. Widmowy okręt Demona rozbił rufę kogi; kto żyw szukał schronienia w dziobowej części kadłuba, a właśnie dziób przetrwał najdłużej. Teraz garstka ludzi, których nie porwały w nocy fale, desperacko walczyła o życie. Było ich pięciu: Albar, dwaj majtkowie, nieprzytomny Vard i łucznik ze złamaną nogą.

Żołnierz, który przyплыł z pomocą, cieszył się opinią świętego pływaka. Dzięki jego poświęceniu zaistniała możliwość ocalenia rannych. Albar, nad podziw dobrze radzący sobie w wodzie, z niezwykłą odwagą wypłynął mu na spotkanie. Razem zaczęli holować belkę tworzącą niegdyś dziobnicę statku. Była długa i gruba.

Między wystającymi z wody skałami telepał się kawałek bukszprytu, oplątany linami. Goniący resztkami sił żołnierz przyciągnął i przymocował go do belki. Pomogli dotrzeć do owej pokracznej tratwy rannemu łucznikowi, którego złamana noga cierpiała straszliwie przy uderzeniu każdej kolejnej fali. Urzędnik, z bladą twarzą wykrzywioną jakimś ponuro pogardliwym grymasem, przywiązał go do „tratwy ratunkowej” i pospieszył z pomocą majtkom, z wysiłkiem utrzymującym na powierzchni wciąż nieprzytomnego kapitana. Tego także przywiązali do belki.

Teraz wszyscy odpoczywali, dysząc ciężko, raz po raz zalewani przez fale, lecz już jako tako bezpieczni. Po kilku chwilach zaczęli pracować nogami, pomagał im przypływ, niosąc w stronę brzegu. W połowie drogi było jasne, że są ocaleni. Wkrótce dopomogli im czekający na brzegu towarzysze.

Długo odpoczywali. Potem przeszli nieco dalej w głąb lądu.

Siła wiatru nie malała; trochę osłaniały odeń wydmy, za którymi siedzieli, ale ziąb dawał się mocno we znaki. Mokra odzież była raczej krępującym ruchy ciężarem niżli osłoną przed zimnem. Nie mieli co jeść, nie mogli rozpalić ognia.

Wiedzieli, gdzie się znajdują: zachodni wiatr zepchnął ich z obranego kursu, bezwolny żaglowiec minął od północy Wielką Agarę i roztrzaskał się u brzegu leżącej na północny wschód od niej Małej Agary. Zresztą jeden z majtków stąd właśnie pochodził, znał każdą piędź ziemi, wiedział, któredy iść do najbliższej rybackiej osady. Wkrótce też, zebrawszy nieco sił, ruszył, by sprowadzić pomoc. Ktoś inny poszedł w przeciwnym kierunku z zamiarem przeszukania plaży. Ale już nikt więcej nie ocalał z katastrofy.

Ranni leżeli na ziemi. Złamaną nogę łuczника ujęto między dwa kije i obwiązano kawałkiem sznura. Vardowi opatrzono ranę na głowie. Gdy odzyskał przytomność, pokrótce zapoznano go z ostatnimi wydarzeniami; teraz leżał, rozważając w myślach sytuację. Głowa wciąż nieznośnie bolała i było mu niedobrze, choć wyrzygał już morską wodę. Słyszał kiedyś medyków mówiących o „wstrząśnieniu mózgu”. Nie wiedział, czy od tego można umrzeć.

Dotarcie do rybackiej osady było rzeczą pierwszorzędnej wagi. Należało wynająć łódź i dotrzeć na Wielką Agarę. Burza przeminęła, ale Vard wiedział, że niewiele mają czasu. Wkrótce rozpęta się nowa i być może potrwa wiele dni. Wizja uwięzienia na tej wyspie jawiła się ponuro. Stolica Agarów, Ahela, leżała nie na Małej, lecz na Wielkiej Agarze. W Aheli był port macierzysty ich nieistniejącej już eskadry. W Aheli był garnizon straży morskiej. W Aheli był dom Varda.

Tu, na Małej Agarze, mogli liczyć najwyżej na gościnność agarskich rybaków, mających dość problemów i bez nieproszonych

gości. Ci twardzi ludzie przez blisko trzy miesiące nie mogli korzystać z darów morza. Żyli dzięki zgromadzonym w ciągu roku zapasom suszonych i solonych ryb, które stanowiły niemal jedyne ich pożywienie. Mała Agara była tylko pokrytą piaskiem i twardymi trawami skałą; niewiele dało się uprawiać na tym gruncie. Nadmorska trawa stanowiła kiepską paszę dla zwierząt. Na całej wyspie trzymano zaledwie kilka krów, trochę kóz. Powszechnie hodowano tylko drób.

Była ciemna noc, gdy wysłany do rybackiej osady marynarz powrócił, prowadząc ojca, stryja i kilku innych rybaków, obarczonych naprędce skleconymi noszami, żywnością i bukłakiem zawierającym straszliwie palący napój, dumnie nazywany tutaj wódką.

o o o

Ridareta weszła pomiędzy rachityczne sosny. Nie zastanawiała się dotąd, gdzie jest, co ma robić. Nie wiedziała, czy ląd, na którym się znajduje, jest duży, czy też mały. Fragment brzegu, który widziała, świadczył o tym, że wyspa była raczej rozległa.

Zresztą – czy wyspa? Równie dobrze mogła się znajdować na kontynencie Szereru.

Samotność nastroczała niepożądane myśli. Odsuwała je na bok. Nie chciała nic wiedzieć, niczego rozumieć... Ale obraz przemienionego w pył Geerkoto wciąż pojawiał się w zmęczonym umyśle. Czowała się sobą, była sobą. Ale w jakim stopniu? Co właściwie zaszło? Nagłe zniknięcie wszystkich ran bardziej ją przerażało, niż cieszyło.

Prześladował ją obraz umierającego Rubinu, nawet jeśli był tylko wizją, majakiem. Przestraszona starała się ze wszystkich sił nie dostrzegać upiornego związku między agonią potężnego klejnotu a swoim nagłym ozdrowieniem. Czy to też była wizja? Przecież nie.

Pomyślała o Raladanie. Raladan... Dotąd nie zdawała sobie sprawy, jak bardzo był jej potrzebny. Wszystkim kierował, myślał za

oboje. Teraz, gdy została naprawdę sama...

Wiedziała, że strażnicy chcieli ją powiesić. Wiedziała, że pilot w jakiś sposób do tego nie dopuścił. Który to już raz zawdzięczała mu życie?

Ujrzała wąły strumyk u swych stóp. Uklękła. Dziwne, ale nie czuła dotąd głodu ani pragnienia.

Napiła się jednak.

Jeśli ląd był wyspą, szczególnie wyspą niedużą, gdzieś w dolnym biegu tej strugi powinna znajdować się wioska. Ridareta знаła wyspy u wybrzeży Garry i wiedziała, że słodka woda była czymś, czego się nie marnowało. Gdziekolwiek ta wyspa leżała, wątpliwe, by cierpiano tu od nadmiaru wody pitnej.

Siedziała zamyślona.

Tak czy inaczej, musiała w końcu odszukać jakieś ludzkie siedlisko. Nie mogła przecież żywić się powietrzem, nie mogła też nocować pod gołym niebem, okryta tylko strzępami, które już nawet nie udawały sukni. Ale bała się, że w wiosce, leżącej blisko miejsca katastrofy, trafi na rozbitków. Co by z tego wynikło – wiedziała.

Jednakże równie dobrze wiedziała, że wkrótce opadnie z sił. Pomyślała, że wcale nie musi prosić o gościnę, może po prostu zdoła ukraść coś do jedzenia i do okrycia. Zdecydowanie wolała, by nikt nie wiedział o jej istnieniu. Przynajmniej na razie.

Poszła wzdłuż strumienia.

Krajobraz był dość niezwykły, nigdzie dotąd nie widziała podobnych okolic. Piaskowe wydmy sąsiadowały tu z nagimi, szarymi skałami, dalej plaża uciekała pod wodę, brzeg stawał się wysoki, stromy, porośnięty trawami i karłowatymi drzewami. Dalej, w głębi lądu, czernił się rzadki sosnowy bór. Miałaby ochotę zapuścić się weń; od kilku miesięcy nie chodziła po lesie, kiedyś bardzo lubiła długie, samotne spacerki. Kiedyś...

Szła jeszcze dość długo. Nadciągał wieczór, gdy ujrzała dymy wioski. Wdrapała się pospiesznie na pobliskie wzniesienie. Niedaleko leżała rybacka osada.

Serce zabiło jej mocno, bo ujrzała widok dziwnie znajomy. Niemal tak samo wyglądały rybackie wioski garyjskie. Tak samo suszyły się



sieci na wbitych w ziemię palach, tak samo leżały, dnem do góry, wyciągnięte na brzeg łodzie. Wiele takich wioszek widziała, towarzysząc wędrownemu handlarzowi pocziwinie, który zlitował się kiedyś nad bezdomną dziewczyną i skonał z poderżniętym przez piratów gardłem.

Wspomnienie zabolalo. Odsunęła je i zbiegła z pagórka.

Domostwa stały w sporej odległości od plaży, pomyślała, że – podobnie jak gdzie indziej – było to spowodowane znaczną wysokością przypływu. Była już blisko pierwszych domów, gdy zdała sobie sprawę, że popełnia wielką nieostrożność. Ale było za późno, bo oto usłyszała szczekanie psów, przybliżało się szybko... Nim zdążyła pomyśleć, co należy robić, obkoczyły ją zajadłe kundliska. W poprzek pożółklej łączki biegł chłopak. Zawahał się na jej widok, ale zaraz jeszcze przyspieszył kroku. Zawołał psy i zagwizdał.

Kundle zostawiły ją w spokoju. Chłopiec, mógł mieć może dwanaście lat, zatrzymał się w odległości kilku kroków. Patrzył badawczo, z nieufnością i odrobiną lęku. Pomyślała o szmatach, stanowiących jej odzienie, zdała też sobie sprawę, że nie ma opaski na wybitym oku, a potargane, brudne włosy w połączeniu z całą resztą tworzą obraz jakiejś wiedźmy.

– Jesteś z naszego statku? – zapytał chłopak. Używał gwary obco brzmiącej w jej uszach, rozumiała go jednak doskonale.

Skinęła głową, gorączkowo myśląc, że skoro we wsi wiedzą już o zatonięciu żaglowca, oznaczać to może tylko jedno...

– Gdzie jestem? – zapytała. – Czy to... wyspa?

Nieufność chłopca wyraźnie wzrosła.

– To Mała Agara – odparł. – A ty skąd jesteś?

Zrozumiała, że pyta nie o to, skąd wzięła się na wyspie, ale – skąd pochodzi.

– Z Wysp Przybrzeżnych – odparła.

Nie wspomniała o swym garyjskim rodowodzie; Wyspiarze nie znosili Garyjczyków, z wzajemnością zresztą.

Skinął głową, choć wątpiła, by wiedział, gdzie to jest.

– Chodźmy do wsi. Mój ojciec cię wypyta. Jest starszym wioski – dodał z niedbałą dumą.

Nisko urodzeni nigdy nie byli delikatni w słowach, ale zdziwiła ją wyraźna obcesowość w jego głosie. Słyszała wprawdzie, że Agary, odrzucone dość daleko od Garry, a jeszcze dalej od kontynentu, były nieledwie księstwem samym w sobie; ludzie żyli na nich z daleka od świata, ledwie uważali się za poddanych cesarza, a już w ogóle nie chylili czoła przed Czystą Krwią Dartanu i Armektu. Tutaj, w rybackich wioskach i osadach wolnych górników przy kopalniach na Wielkiej Agarze, wszyscy byli sobie równi. Nawet żołnierze legii i strażnicy morskiej służący na Agarach wywodzili się zwykle spośród miejscowych.

Pozbierała myśli. Wiedziała już, że grozi jej wielkie niebezpieczeństwo. Tak czy inaczej, najgorsze się stało; rozbitkowie niewątpliwie dowiedzą się, że nie zginęła. Czy jednak miała wchodzić wilkowi prosto w paszczę? Pomyślała o ucieczce, nawet strzeliła jej do głowy głupia myśl, że powinna udusić chłopaka, ale... były psy.

– Czy... inni już do was przyszli? – zapytała ostrożnie.

– Przyszędł... – Chłopiec wymienił jakieś imię, którego nie dosłyszała. – On jest z naszej wsi. I wszyscy poszli nad zatokę z jedzeniem.

– To znaczy, że teraz nie ma u was rozbitków?

– Nie. – Chłopak zaczął się niecierpliwić. – Ale przyjdą. Chodź już.

Pomyślała, że to istotnie najlepsze, co może zrobić. Zje coś, może dadzą jej jakieś odzienie. Potem znajdzie pretekst, by zniknąć na chwilę z oczu rybakom. I ucieknie, zanim tamci przyjdą.

– Dawno poszli? – dopytywała się, idąc za chłopcem.

– Niedawno.

Dotarli do pierwszych domostw wioski. Było już całkiem ciemno.

## ROZDZIAŁ 14



**S**ŁUCHAJ I ZAPAMIĘTAJ, BO WIĘCEJ NIE...  
MOGLI ROZMAWIAĆ. RUBIN ZGASŁ,  
RALAD... TUTAJ... WOJNA... ODRZUCONYCH  
PASM SZERNI. NIE ZNAM CELÓW... MI WPŁYWAĆ  
NA LOSY RIDARETY... DOŚĆ, BO CZAS PŁYNIĘ  
I NIEWIELE GO POZOSTAŁO. BYĆ MOŻE  
ZOBACZYSZ MNIE JESZCZE, ALE JUŻ... ROZMAWIAĆ. PRAWA  
...EZMIARÓW. TERAZ TO JUŻ NIE GEERKOTO, TYLKO PASMA.

Głos, choć silny, rwał się i uciekał. Nagle rozbrzmiał wyraźniej i Raladan zdołał zrozumieć kilka zdań, być może tych najważniejszych:

WYSPIARSKI OKRĘT... SZTORM... GO NA MAŁĄ AGARĘ.  
RIDARETA JEST BRZEMIENNA, RALADAN. PRZEKLEŃSTWO  
CIAŻĄCE NADE MNĄ ZA ŻYCIA ŚCIGA MNIE NAWET... CHROŃ  
JĄ. I PAMIĘTAJ, ŻE ONA, PIERWSZA MOJA CÓRKA, ZAWSZE  
BĘDZIE MIAŁA SŁUSZNOŚĆ. COKOLWIEK POWIE... COKOLWIEK  
UCZYNI... PROSZĘ ZAOPIEKUJ... DZIAŁANIA, CHCĘ... STAŁO SIĘ  
TO, CO ONA... TYLKO ONA... ZA NAJLEPSZE...

Słowa znowu brzmiały niewyraźnie, poczęły ginąć i cichnąć.

JEST... DZIWNY STARZEC... POWIE CI ...ĘCEJ. ŻEGNAJ  
...LADAN... OPIEKUJ.

Raladan podniósł się z ziemi, zatoczył i zaraz upadł, macając wokół rękami jak ślepiec. Ale ciemna zasłona, którą dotąd miał przed oczyma, zaczęła szarzeć, po chwili widział już jak przez mgłę szeroką, równą plażę, usłyszał łomot fal i zawodzenie wichru. Pośród spienionych bałwanów ujrzał jeszcze czarny, olbrzymi

kadłub; i to było wszystko, bo chwilę później znieruchomiał na ziemi, zapadając w głębokie omdlenie.

Gdy się ocknął, burza szalała z całą siłą; spostrzegł, że wciąż leży na wydmie, a niżej, tam gdzie była plaża, przelewa się wściekła kipiela. Drżąc z zimna w przemoczonym odzieniu, wstał szybko i – choć czuł słabość w całym ciele – chwiejnym krokiem ruszył w głąb ładu. Kilkaset kroków od wybrzeża natknął się na kiepsko utrzymaną drogę. W szarówce pochmurnego dnia zauważył całkiem niedaleko wątle światła.

Odpoczywał, nabierał sił. Potem, walcząc z wichrem, zgięty niemal w pół, ruszył w stronę dostrzeżonych ogników. Gdy minął przedmieście i dotarł do murów miejskich, wiedział już, gdzie jest. Ahela, stolica Agarów.

Nie próbował zrozumieć, co właściwie zaszło. Wciąż jeszcze brzmiały mu w uszach słowa kapitana; jeśli nie były majakiem, to znaczyło, że rządzące światem potęgi uczyniły sobie z jego życia zabawę. Ale teraz sprawą najpilniejszą było znaleźć schronienie, zaspokoić głód. Potem mógł rozmyślać nad wrakami, które taranują okręty, szukać sensu w słowach Demona... Potem, wszystko potem.

Ahelę znał nieźle; przemykając pustymi ulicami, zmierzał w stronę portu. Miasto nie było duże, choć tu, na Agarach, uchodziło za wielkie. Wkrótce odszukał znaną sobie uliczkę, a przy uliczce tawernę.

Był u celu.

Wielka izba rozbrzmiewała gwarem. Ławy ustawione wzdłuż trzech długich stołów obsiedli najróżniejsi ludzie: majtkowie, mieszczanie, trochę dziwek, jakieś podejrzané typy, których wszędzie pełno. Byli też trzej żołnierze powściągliwie sączący piwo. Z boku, objęci ramionami, marynarze tańczyli ber-hera, otaczała ich grupa widzów klaszczących w rytm wyrykiwanej podпитыmi głosami piosenki. Raladan stał przez chwilę, próbując się odnaleźć w tym zwyczajnym świecie, gdzie nie było czarnych wraków i Rubinów Geerkoto. Potem przepchnął się do kąta, w którym za stołem królował oberżysta. We wnęce za jego plecami miotał się jakiś wyrostek, napełniający kolejne dzbany piwem.

– Nie mam grosza – rzekł pilot.

Szynkarz burknął coś gniewnie. Cofnął rękę, w której już trzymał podany przez pacholka dzban. Raladan złapał go za ramię i pokazał zawiązany na szyi fular.

– Przyjmiesz to? – zapytał i pochylił się.

Piwo stało na stole. Gospodarz popatrzył uważnie i ujął wilgotną chustę w dwa palce. Dartański jedwab haftowany był srebrnymi nićmi.

– Chcę zjeść, wypić. I jakiś kąt na noc – rzekł Raladan, wiedząc, że fular wart jest kilka razy tyle.

Zdjął go z szyi i podał karczmarzowi.

– Bez usługi – mruknął ten, nie patrząc na gościa.

Raladan skinął głową. Wziął piwo, do którego kazał dolać trochę wódki, i odszedł kilka kroków, po czym stanął przy ścianie oparty o nią plecami. Niespiesznie przełykał gorzki płyn, przesuwając wzrokiem po hałaśliwym tłumie. W rogu izby, przy małym stole, jacyś ludzie grali w kości. Pomyślał, że to może być sposób na zdobycie niewielkiej ilości srebra. Potrzebował go dużo więcej, niż mogły dać kości – i była na to rada. Ale mała sumka na początek znakomicie ułatwiłaby zadanie.

Służebna doniosła piwo na środkowy stół. Rozstawiała dzbany, pochylając się nad blatem. Pod rozchyloną koszulą duże piersi kołysały się w rytm ruchów. Najbliżej siedzący podchmielony drab sięgnął łapą i wydobyl je na wierzch ku zgiełkliwej uciechu kompanów. Służebna chichotała, rozstawiając ostatnie dzbany, obwisłe cycki niemal leżały na stole. Ktoś poklepał okrągły zad dziewczyny, ale puszczono ją, bo dobiegające z miejsca, gdzie siedzieli żołnierze, trzy głucho, mocne tupnięcia były znanym sygnałem zalecającym umiar. Dziwek w tawernie nie brakło, za pół sztuki srebra każdy mógł dostać, co chciał. Służebna zaś miała nosić piwo. Nic więcej.

Chłopak oberżysty trącił pilota w łokieć, ten odwrócił się, wziął misę z gorącą koźliną, w której więcej było wprawdzie kości niż mięsa, i wymienił próżny dzban na pełen.

– Po schodach i pierwsze drzwi, wielka izba.

Raladan ruszył ku schodom i wspiął się na piętro. Po prawej stronie ciemnego i brudnego korytarza widniało troje drzwi, z drugiej strony tylko jedno, tuż przy schodach. Pchnął kolaniem. Pod powalą wisiał krzyżak, do którego przylepiono pojedynczą świecę. Jacyś ludzie spali tu i tam na sieczce, bo tyle zostało ze słomy. Wynalazłszy sobie wolny kąt, usiadł, postawił dzban i miskę na podłodze. W następnej chwili łamał zębami kości, obgryzając je i wysysając szpik. Gdy skończył, ściągnął z siebie część przyodziewku, szczególnie mokre buty. Ułożył się na podłodze, ujął dzban z piwem.

Teraz mógł myśleć.

Obudził się po nieźle przespanej nocy, z gotowym planem działania. Odzienie nie wyszło, ale przynajmniej nikt go nie ukradł, co mogło się zdarzyć, mimo że odgradzał je od izby własną piracką osobą. Skrzywiony, z trudem wzuł buty i naciągnął kaftan. Przez okno wyjrzał w blady świt. Burza odchodziła.

Tu, w Aheli, miał swobodę działania. Demon wiedział, co robi, przenosząc go w jakiś sposób do brzegów Wielkiej Agary. Ponury wrak spalonego okrętu był z pozoru jak żywioł, ale za jego działaniem nie kryła się ślepa furia, lecz rozum. Po raz pierwszy pilot pomyślał, jak straszną potęgą jest to widmo, pojawiające się we właściwym czasie i miejscu nie tylko po to, by niszczyć, ale także, by przeprowadzić określony plan.

Zbiegł na dół. W wielkiej izbie nie było tak ciasno i gwarno jak wieczorem, ale jednak siedziało sporo ludzi. Za stołem w kącie stało grube babsko, zapewne żona właściciela tawerny. Raladan podszedł i oparł się o blat.

– Masz kości? – zapytał.

Bez słowa dała mu brudny, wyślizgany komplet. Odszedł w przeciwny kąt, rozsiadł się i zaturkotał po blacie.

– Chcesz se pograć?

Skinął głową, nie podnosząc wzroku. Odpiął szeroki, nabijany łuskami pas.

– Nie mam srebra, ani nawet złamanego grosza – powiedział. – Mam ten pas i buty – wysunął nogę ku środkowi izby – jakich

pewnie nigdy nie widziałeś. Dartański łoś dał na nie skórę.

Buty nie były bardzo zniszczone, a pas na targu musiał kosztować ze trzy sztuki srebra. Po chwili wahania dwaj mężczyźni przysiedli się do niego. Wyższy rozwiązał lnianą szmatkę i wysypał blisko połowę zawartości. Wśród licznych miedziaków połyskiwało srebro. Drugi wyjął półtalara, kilka dużych i garść małych groszy, mocny, żeglarski nóż, na koniec dołożył srebrny kolczyk – zwykłe kółko, warte tyle co kruszec, z którego je wykonano.

– Fant za fant – powiedział.

Raladan kiwnął głową.

Nie był do końca pewien, czy postępuje dobrze. Kości to kości; łatwo mógł stracić pas i buty, nic nie zyskując w zamian. Pomyślał jednak, że spróbuje szczęścia.

Zaczęli grę. Szybko przegrał pas do mężczyzny z nożem i kolczykiem, ale wygrał co nieco od jego towarzysza. Temu wyraźnie szczęście nie sprzyjało. Kupka pieniędzy szybko stopniała.

– Jeszcze trzy kolejki – rzekł Raladan.

Właściciel wysychającego trzosika zmarszczył brwi.

– Nie tak szybko, brachu.

Opróżnił chustkę do końca, układając pieniądze na stole.

Grali.

Raladan pozostał przy butach, sztuce srebra i garści miedziaków. Najbardziej wygrany był towarzysz wysokiego. Pilot pomyślał, że tylko dzięki temu gra nie kończy się bójką, jak to często bywało. Wstał od stołu i oddał kości szynkarce, dorzucając podwójny grosz. Zastanawiał się chwilę, po czym schował srebro i najgrubsze miedziaki, a za resztę kupił piwo i wrócił do stołu. Rozeźlony drażal obrzucił go niechętnym spojrzeniem. I on, i ten drugi wyglądali na ludzi niebojących się byle czego, choć nie na rzezimieszków. Wielorybnicy? Pilot wiedział, że tacy będą mu wkrótce potrzebni.

Postawił przed nimi po dzbanie, siadając. Patrzyli nieco zdziwieni.

– Wkrótce będę miał srebro. Sporo srebra – powiedział. – Także dzięki temu. – Pokazał swoją wygraną. – Potrzebowałem na początek.

Milczeli wyczekująco.

– Wrócę tu wieczorem. Będę szukał ludzi. Dam zarobić, ale mówię, że to nie jest robota dla chłopców.

– Czym śmierdzi? Trupem?

Pokręcił głową.

– Nie.

Wstał.

– Potrzebuję jeszcze czterech. Wieczorem powiem więcej. Jeśli pomyślicie, że warto, czekajcie tu na mnie.

Wyszedł z tawerny i ruszył szarą ulicą w stronę wschodniej rogatki Aheli. Rok temu z okładem, gdy bawił na Agarach – jeszcze z Rapisem – tuż za miejskim murem, przy wschodniej bramie, mieszkał człowiek zajmujący się między innymi wypożyczaniem wozów i koni wierzchowych. Na Agarach zwierzę to było prawdziwą rzadkością, posiadano kilkanaście w cesarskich kopalniach miedzi i do użytku legii, ale prywatnie mało kto miał wierzchowca. Utrzymanie kosztowało sporo, a jeździć, prawdę powiedziawszy, nie bardzo było dokąd. Na Wielkiej Agarze znajdowały się tylko dwa miasta: Ahela i Arba – to drugie w głębi wyspy, podła dziura, składająca się kilkunastu domów zamieszkanymi przez wolnych górników, oraz nędznych chałup dla więźniów i niewolników, pracujących w kopalniach. Nie było tam czego szukać. Jeśli jednak już ktoś wybierał się do Arby, mógł skorzystać z wozów, którymi przewożono urobek do składów w Aheli. Wozy te wracały puste i za niewielką opłatą woźnice zabierali pasażerów. Nie brali tylko ładunków; oszczędzano cenne siły cesarskich wołów.

Jednakże jesienią, ze względu na fatalną pogodę, wozy nie jeździły regularnie. Poza tym Raladanowi zależało na czasie; choć nie był dobrym jeźdźcem, wolał wynająć konia, niż wlec się cały dzień wozem.

Właściciel czterech szkap, z których dwie były pociągowe, a z dwóch pozostałych tylko jedną dało się nazwać aż wierzchowcem, marudził i narzekał, widząc sztukę srebra i dwa półtalary. W końcu jednak zrozumiał, że przybysz więcej mu nie da, bo nie ma, pozwolił się więc udobruchać dodatkową garstką miedziaków. Niedługo potem Raladan trząsał się na grzbiecie



zdumiewająco kościstego rumaka, którego wiek wskazywał niedwuznacznie, że jest przodkiem wszystkich koni Szereru. Straszliwa ta chabeta pożerała drogę w tempie dwa razy szybszym od kiepskiego piechura, a choć Raladan słabo znał się na koniach, to przecież dość, by mieć pojęcie, że jej krok nie jest kłusem ni galopem, tylko zadziwiającym jakimś połączeniem jednego z drugim. Gdy stanął wreszcie w Arbie, pierwszym jego odruchem było przegnać zwierzę na cztery wiatry. Powstrzymał się jednak, choć widział wyraźnie, że koń padnie w drodze powrotnej.

Czas naglił; pilot szybko zapomniał o koniu. Pośród brudnych, błotnistych uliczek odnalazł tę, przy której stał jeden z największych, jeśli nie zgoła największy dom miasta. Raladan wszedł po ciemnych schodach na piętro i – unikając starannie spotkania ze służbą – znalazł się wkrótce w obszernym, dość zamożnie urządzonej pokoju. Stamtąd przeszedł do niewielkiej izby wyglądającej na kantor kupiecki.

Była pusta. Postał chwilę, po czym usiadł na czerwonej skrzyni pod ścianą. Zaświtała mu ponura myśl, że jeśli każdy może zakraść się tutaj równie łatwo jak on – to znaczy, że przyszedł na próżno. Czeką go bowiem spotkanie z dziesięciokrotnie obrabowanym nieszczęśnikiem.

Po jakimś czasie usłyszał głosy. Przybliżały się, wreszcie do kantoru wkroczył sześćdziesięcioletni, suchy i kościsty, odziany na czarno mężczyzna w towarzystwie dość bogato ubranego młodzieńca. Rozmawiali żywo. Raladan na swej skrzyni, oparty o ścianę, cierpliwie czekał, kiedy wreszcie go zauważą.

– Sprawdź to, panie – rzekł kościsty, obchodząc stół i otwierając solidną księgę zajmującą chyba pół blatu. – Dostawa dla waszej godności wpłynęła... – Uniósł wzrok i zastygł w bezruchu.

Raladan mierzył go spokojnym spojrzeniem. Młody człowiek, widząc osłupienie na twarzy kupca, odwrócił się szybko i znieruchomiał jak gospodarz.

– Kim jesteś, człowieku? – zapytał wreszcie, robiąc krok naprzód.

Chciał jeszcze coś dodać, ale właściciel kantoru przerwał mu:

– Ja go znam, wasza godność. Wasza godność wybaczy... ale... muszę z nim pomówić.

– Zakończ rozmowę, Balbon – odezwał się Raladan. – Jeszcze chwilę mogę poczekać.

Młody człowiek spojrział ze zdumieniem, po czym zwrócił się do kupca, ale ten rozpaczliwie zamachał rękami.

– Tak... tak będzie najlepiej, wasza godność, chyba tak! Otóż... otóż dostawa...

Nie pozwalając dojść do słowa, drżącym nieco głosem wyjaśnił wszystko młodemu mężczyźnie, po czym pożegnał go pospiesznie. Gdy tylko zostali sami, kupiec, wciąż przestraszony, zaczął mówić:

– Panie! Tak nie można! To nieostrożność, to niebezpieczne dla mnie, niebezpieczne dla was...

Raladan wstał ze skrzyni.

– Przestań mówić, Balbon – rzekł spokojnie.

Kupiec zamilkł. Pilot wyciągnął dłoń.

– Pieniądze, Balbon.

Człowiek w czerni przybladł. Raladan zrobił dwa kroki, chwycił kupca za szatę na piersi i jednym ruchem rzucił plecami na stół. Pochylił się i zapytał:

– Co to? Myślałeś, że nie przypląniemy? Słyszałeś o obławie, tak? Myślałeś, że nas złapią, a jeśli nawet nie, to przez jesień będziesz miał spokój? Słuchaj no, skąpcze! Pożyczyliśmy ci czterysta sztuk złota. Sam wyznaczyłeś procent. Przychodzę po pieniądze i otrzymam je. Teraz.

Puścił czarną szatę i pozwolił, by Balbon, drżący i siny, zsunął się ze stołu. Kupiec bez zbędnych słów pobiegł do drzwi i – czyniąc nerwowe, uspokajające ruchy ręką – zniknął za nimi.

Raladan podszedł do okna. Spoglądał na zewnątrz, lekko kołysząc się na obcasach.

– Oto... oto dług, panie – usłyszał głos za plecami.

Raladan podszedł do stołu i zważył worek w dłoniach.

– Złoto i srebro?

– Trzysta potrójnych sztuk srebra, reszta w złocie, pojedyncze i trochę potrójnych. Razem czterysta. Jeśli zechcesz przeliczyć,

panie...

– Bez odsetek?

Kupiec pobladł, o ile to możliwe, jeszcze bardziej.

– Nie mam tutaj, panie... Ale oddam, oddam! Oddam jutro... nie! Pojutrze.

Raladan odłożył worek i wyciągnął dłoń.

– Daj mi ten pierścień, Balbon. Ten, który masz na palcu. Szybciej. Teraz słuchaj. Jesteś winien Demonowi sto sztuk złota. Sto dukatów, gdybyś nie zrozumiał. Przyjdę po nie pojutrze albo kiedykolwiek. Moneta ma być srebrna, małe i duże, zresztą jakiegokolwiek sztuki srebra, rozumiesz? Ostatecznie trochę złota, ale większość w srebrze. Teraz słuchaj dalej. Może być, że zamiast mnie pojawi się ktoś inny. Niech cię nie obchodzi, czy będzie to dziecko, czy starzec, kobieta czy mężczyzna. Odda ci ten pierścień, wtedy ty dasz srebro. Pojąłeś?

Wziął worek i ruszył ku drzwiom.

– Nie jesteście krwiożerczy, Balbon – dorzucił na odchodnym. – Ale na przyszłość unikaj zwłoki w spłacie długu. I możesz się cieszyć, że przyszedłem ja, nie Demon... Wątpię, byś wymigał się tak tanim kosztem.

Znacząco pokazał pierścień i wyszedł.

o o o

Kanciaste podrygi nieszczęsnej szkapiny mniej go teraz interesowały, zamyślony bowiem ledwie postrzegał upływ czasu. Zniknął pierwszy kłopot: miał już środki. Uzyskał je łatwiej, niż sądził; swego czasu był w duchu mocno przeciwny tej lichwiarskiej awanturze, Rapis jednak nie pytał go o zdanie. Na szczęście.

Rapis często pożyczał na wysoki procent, i to sumy znacznie poważniejsze. Zazwyczaj jednak dłużnikami byli ludzie, których mocno trzymał w garści, przeważnie znając tło jakichś ciemnych sprawek. Na Balbona nic takiego nie mieli. Raladan pomyślał, że na miejscu kupca wzięłyby te czterysta sztuk złota i żył wygodnie gdzieś

w Sar Soa, w samym środku Armektu, jak najdalej od morza. Rapis jednak lepiej znał się na ludziach. Z jakichś przyczyn Balbon nie uciekł. Może był po prostu za stary? Myślał zapewne bardziej o swych dzieciach, a tym kilkaset sztuk złota nie na długo by starczyło; lepiej, gdyby zostawił im kwitnący interes. Nie uciekł w każdym razie i – co więcej – nie zbankrutował. Sądząc z różnych szczegółów tudzież z natychmiastowej wypłacalności, dobrze spożytkował pieniądze. Prowadzona przezeń rozmowa z młodym człowiekiem dała Raladanowi pojęcie, że kościsty kupiec trzęsie całą Arbą, będąc chyba wyłącznym dostawcą wszystkiego, czego potrzebować mogły cesarskie kopalnie.

Procentowało zaufanie, jakim obdarzał pilota Demon. Delikatne sprawy załatwiał kapitan tak, jak na to zasługiwały. Nie prowadził ze sobą hałaśliwej zgrai, nie polegał na porywczym Ehadenie, któremu skądinąd wierzył całkowicie. Opanowany, zimny Raladan widział mu się najwłaściwszym pomocnikiem; niezawodna pamięć, spostrzegawczość, wreszcie żelazne mięśnie i niechybny nóż – oto były cechy, których potrzebował.

Suma, którą pilot teraz dysponował, była naprawdę znaczna.

Przeznaczeniem wyspiarskiej kogi było rozbić się u brzegów Małej Agary. Raladan nie zadał sobie trudu, by dociekać, skąd potężny cień ma pewność, że dziewczyna przeżyła katastrofę. Uznawał, że tak właśnie jest. Rodziło się tylko pytanie, czy oprócz niej ktoś wyniósł cało głowę. Niezależnie od wszystkiego należało przedostać się na Małą. Złoto ułatwiało sprawę.

Raladan był człowiekiem twardo stąpającym po ziemi i wcale nieskłonny do przesądów (przynajmniej w porównaniu z większością żeglarzy). Nie zwykł dawać wiary wszystkiemu, co nosiło pozory prawdy. Jeszcze jakiś czas temu nie zapłaciłby miedziaka za opowieść o złośliwych rubinach Geerkoto, statkach widmach i przeklętych przez Szerń kapitanach, niemogących odejść ze świata żywych. Teraz jednak było inaczej. Ufał własnym zmysłom, bo nie słyszał o niczym, czemu warto by ufać bardziej. Poniechał snucia domysłów. Nie chodziło wcale o to, że nie lubił myśleć... Po prostu: znalazł się w konkretnej sytuacji wymagającej

działania. Działął zatem, na później odkładając pytania w rodzaju „po co” i „dlaczego”.

W Aheli zwrócił umęczone zwierzę właścicielowi i poszedł do portowej dzielnicy, uważając, by worek zbytnio mu nie brzęczał. Mimo dość późnej pory – bo nadciągał już wczesny jesienny zmierzch – zdołał poczynić zakupy: nabył nowe odzienie, odpowiednie do pory roku, kilka sakw różnej wielkości, wreszcie trzy dobre, mocne noże – broń, bez której czuł się jak nagi.

Pozostawał jeszcze jeden kłopot: należało ukryć gdzieś całe to srebro i złoto. Dźwiganie wszędzie ciężkiego, brzęczącego trzosa było niepodobieństwem. Odłożył problem na później, tymczasem wrzucił pieniądze do sakwy z żaglowego płótna, owinął ciasno drugą, podobną, i obie razem wepchnął do najmniejszej, skórzanej, przewieszanej przez pierś.

Nieco bliżej portu była w Aheli inna tawerna, trochę lepsza i droższa niż ta, w której spędził noc. Wynajął osobną izbę, płacąc za kilka dni z góry. Nie chciał pokazywać pieniędzy tam, gdzie jeszcze poprzedniego dnia płacił za posiłek zdjętym z szyi fularem i grał o buty przeciwko trzem sztukom srebra.

W najętej izbie – prawdę mówiąc, dosyć porządnej – podzielił pieniądze. Trochę schował do kieszeni, żeby mieć pod ręką, a resztę z powrotem ukrył w sakwie. Wychodząc, oczywiście zabrał ją ze sobą.

Wrócił do pierwszej tawerny.

Poczuł się tak, jakby wcale nie wychodził. Wokół stołów widział jeśli nie te same, to podobne gęby, gwar był ten sam i dym fajkowy snuł się równie gęsto. Rozglądając się uważnie, dostrzegł przy małym stole w kącie dwie znajome twarze. Ruszył ku nim. Usiadł i przez długą chwilę wszyscy trzej milczeli. Pilot skinął na cycatą szynkareczkę. Wkrótce raczyli się piwem, zaprawionym potężną porcją wódki.

– Mam srebro – rzekł pilot. – Tak jak powiedziałem.

Skinęli głowami.

– Jaka robota?

– Trzeba popłynąć na Małą.

Patrzyli w milczeniu.

– Można tego dokonać. O ile wiatr nie będzie wiał w sam nos, sześciu dobrych wioślarzy przepłynie w jeden dzień. Nawet przy jesiennej fali. Jeden pogodny dzień wystarczy.

Krzywili się wyraźnie.

– Nie pływa się jesienią na Małą. Przecie, brachu, musisz jeszcze wrócić. O pogodny dzień nietrudno, ale, brachu, drugi taki może być za tydzień. A i za dwa.

– Zapłacę za każdy dzień.

– Takiś bogaty?

Raladan pociągnął duży łyk.

– Zapłacę za każdy dzień – powtórzył.

– Co ty tam masz?

Pilot zastanowił się.

– Kogoś, kogo trzeba tu przywieźć.

Wyglądali coraz bardziej ponuro.

– Śmierdzi mi coś tutaj. Czemu sam nie przypłynie? Nie mają łodzi na Małej, co?

Raladan popatrzył wysokiemu w oczy.

– Słuchaj, przyjacielu. Jest robota. Tak? To ją bierz albo nie bierz. Chętnych znajdę wielu, takich dobrych jak wy, a może mniej ciekawych.

Odsunął piwo i wstał.

– Bez obrazy, brachu. Pogadajmy.

Pilot stał niezdecydowany.

– Nie lubię podpytywać.

– Bez obrazy. Możemy popłynąć. Ale najpierw daj poznać, czy warto.

Raladan usiadł na powrót.

– Ile chcecie?

Spojrzeli po sobie.

– Dziesięć – zaryzykował wysoki. – Piętnaście – poprawił się zaraz.  
– I pięć małych od dnia.

Pilot uniósł brwi.

– Płyniemy na Małą, nie na Garrę.

Małomówny towarzysz wysokiego wzruszył ramionami.

– Słyszałeś. Piętnaście na głowę i pięć od dnia.

Piętnaście sztuk srebra dla wielorybnika to było dużo pieniędzy. Ale nie chcieli tego za wiosłowanie – latem ucieszyliby się, gdyby dał im trzy razy mniej za taką przejażdżkę łódką po morzu.

Była jesień, a ciszy po Kaszlu ani śladu.

– Trzy od dnia, po powrocie. Na tamto zgoda.

– Pięć.

– Nie, człowieku. Siedziałbym z wami na Małej do końca życia. Trzy. Ale jak pójdzie szybko i dobrze, dorzucę jeszcze dziesięć dużych talarów, do podziału. Na wszystkich.

– Potrójnych? – upewnił się draęal.

– Potrójnych. Dziesięć potrójnych sztuk srebra.

Wysoki wstał i podszedł do jednego z długich stołów. Kilka głów uniosło się ku niemu. Żywo podkreślana gestami rozmowa przeciągała się. Po długiej chwili wysoki wrócił.

– Cztery i zgoda.

– Trzy.

Twarz draęala wykrzywił uśmiech.

– Upartyś, brachu. Niechaj ci.

o o o

Następny dzień spędził Raładan niezwykle pracowicie. Najpierw szukał łodzi. W Aheli było o to trudno, należało raczej starać się w którejś z wiosek rybackich. Myślał o wielorybnikach, ludziach nawykłych do hazardu, i nawet chciał zapytać, ale wielorybnicy mieli swe osady na południowym wybrzeżu, musiałyby zatem, wynajawszy łódź, opłynąć wyspę i dopiero później kierować się ku Małej. Co najmniej trzy dni. Zbyt długo. Trzy dni dobrej pogody – jesienią.

Na północnym wybrzeżu, z którego mógłby wprost płynąć na Małą Agarę, było sporo wiosek rybackich. Ale rybacy, ludzie ostrożni i spokojni – to nie wielorybnicy. Pilot podejrzewał, że żaden nie

będzie chciał wynająć łodzi; teraz, jesienią, ryzyko jej utracenia było duże.

Obawy szybko znalazły potwierdzenie. Odwiedził dwie wioski (tym razem na grzbiecie lepszego już konia) i zrozumiał, że jeśli chce mieć łódź, musi po prostu ją kupić. W obu wioskach były tylko trzy łajby dość duże, jak na jego potrzeby. Jedna wyglądała na stuletnią, druga stanowiła wspólny i jedyny majątek trzech rodzin, które słyszeć nie chciały o oddaniu jej za złoto, choć Raladan nie skąpił. Kupił trzecią, za sumę wręcz przerażającą, musiał jednak przystać, bo wiedział, że pieszo na Małą Agarę nie dotrze.

Pozostawił nabytek pod opieką byłego właściciela i wrócił do Aheli. Zajął się niezbędnym ekwipunkiem – kupił beczkę na wodę i drugą solonego mięsa, worek sucharów, kilka ciepłych pledów, dwa ciesielskie topory, wreszcie zwój liny i nieco żaglowego płótna. Wielorybnicy mieli całkowitą słuszność – dwudniowa podróż tam i z powrotem bardzo łatwo mogła się przerodzić w dwutygodniową awanturę. Tylko od kapryśnej jesiennej pogody zależało, czy nie utkną na sąsiedniej wyspie na dobre.

Szedł do swojej tawerny obarczony ciężką liną i zwojem płótna. Wczesna jesienna noc od jakiegoś już czasu zalegała ulice. Tuż przed tawerną wyminął dwóch pijanych majtków, którzy właśnie stamtąd wracali. Twarz jednego wydała mu się znajoma, przystanął na chwilę i obejrzał się, ale tamci już byli poza zasięgiem światła bijącego z półotwartych okien.

Po chwili znalazł się w swojej izbie. Rzucił linę i płótno na stos zgromadzonego dobra i usiadł na łóżku, prostując ścierpnięte, najpierw od siodła, a potem od długiego chodzenia, nogi. Siedział krótko. Poderwał się nagle i wypadł z izby, nie zamykając jej nawet. Po chwili był przed gospodą, pobiegł ulicą, w której zniknęli pijacy. Szukał długo, ale daremnie.

Twarz, którą rozpoznał, była twarzą majtka z kogi Varda.



## ROZDZIAŁ 15



**D**ni stawały się coraz zimniejsze. W Dartanie i Armekcie jesień bywała słoneczna i piękna, ale tu, na Agarach, przypominała raczej ociekającą deszczem jesień grombelardzką. Korowody ciemnych chmur nieprzerwanie sunęły po niebie: dzień po dniu, dzień po dniu... Wokół ciśniętych na Bezmiary okruchów lądu przewalały się wściekłe burze. Groźne wichry biły skrzydłami, sypiąc piaskiem wydm, przyginając smutne, szare sosny.

W czas sztormów życie na Agarach zamierało, jak wszędzie zresztą, gdzie docierały srogie wiatry zrodzone w głębi Wschodniego lub Zachodniego Bezmiaru. Ludzie starannie zamykali okna i drzwi, czekając na moment przejaśnienia, by zgromadzić nowy zapas drewna na opał, załatać ciekący dach, naprawić wszelkie szkody poczynione przez deszcze i wiatr.

Był wszakże na Małej Agarze człowiek niedbający o wicher, o przenikliwy chłód i wczesny zmierzch. Każdego dnia rano, ku niesłabnącemu zdumieniu rybaków, człowiek ów owijał się kapotą, brał skromną rację żywności i wyruszał w głąb wyspy, by wrócić późnym wieczorem. Zнали cel jego wypraw, ale – gdy odchodził – znacząco kreślili kółka na czole; oczywiście, że dziewczyna, kimkolwiek była, dawno już umarła z zimna i głodu. Na wyspie nie było żadnych jaskiń, a czyż szalas, choćby najsolidniejszy, mógł oprzeć się wichrom? Wątle lasy nie obfitowały w zwierzyinę, tylko ptaki śmigały wśród drzew. Jak długo można żyć bez jedzenia, bez ognia i dachu nad głową?

Przez trzy tygodnie Albar uparcie prowadził poszukiwania. Przemierzył wyspę wzdłuż i wszerz, krążył, czatował... Wszystko na nic.

Zmienił się bardzo. Błada twarz, wysmagana przez wichry, była teraz ogorzała, zadbane niegdyś paznokcie straciły wszelki ślad urody. W rybackich chałupach oblaży go wszy – drapał brudne, rozczochrane włosy niemal bez przerwy. Szczęki i policzki pokryła broda.

Czasem przychodziła mu na myśl rozmowa, jaką odbył z Vardem, jeszcze zanim ten odpłynął wraz z marynarzami na Wielką Agarę.

„Myśłże rozsądnie, człowieku” – przekonywał Vard. „Ta wyspa to pułapka. Przecież ja także nie zamierzam darować tej małej piratce wolności. Ale tkwić tu przez trzy miesiące? Nie, panie Albar. Jutro odpływamy do Aheli. Wrócimy tu z końcem jesieni, z żołnierzami, i znajdziemy ją, choćby trzeba było podnieść każdy kamień i obejść każde drzewo. Przecież nam nie ucieknie. Ci rybacy już wiedzą, kim jest, powiadomią inne wioski. Nikt nie da jej łodzi. Co zrobi? Ukradnie jakąś, sama zepchnie na wodę i sama powiosłuje na Wielką? A może od razu na Garrę?”

Odpowiedział wtedy:

„Śliczne dyby, kapitanie Vard, śliczne dyby. Ci ludzie tutaj sporządzą śliczne dyby. I kiedy wrócisz z tym całym wojskiem, ona będzie na was czekała. W ślicznych dybach, Vard. W ślicznych dybach”.

Teraz zastanawiał się czasem, czy dotrzyma tej obietnicy. Ale przecież gdzieś być musiała. Żywa albo martwa. Czy możliwe, by znalazła jakiś sposób na wydostanie się z wyspy? Ta ostatnia myśl napełniała go prawdziwym przerażeniem. Z tym większą zaciekleścią prowadził dalsze poszukiwania. Wyruszał jeszcze przed świtem. Wracał w nocy.

Pewnego dnia przyszło mu na myśl, że szuka nie tam, gdzie powinien. Znał każdą piędź wnętrza wyspy, ale do tej pory nie przeszukał wybrzeża.

Jednakże wybrzeże... Wystawione na furię wiatru, zalewane przez burzowe fale, nie było miejscem, gdzie pozbawiony wszystkiego człowiek mógłby przeżyć trzy tygodnie.

Wbrew rozumowi postanowił jednak, że okrąży wyspę. Od czasu gdy Vard odpłynął, burza następowała po burzy; liczył na to, że

może wreszcie pogoda poprawi się, choćby na krótko. Poczekał kilka dni, nie zarczając jednak wypraw w głąb lądu, i rzeczywiście, po kolejnym sztormie wypogodziło się nieco. Wziął większy niż zwykle zapas żywności i ruszył na poszukiwania.

Zimny wiatr wciąż dął potężnie, choć w porównaniu z niedawnym huraganem był jak przyjazny zefirek. Zasłana pękami wodorostów kamienista plaża wyglądała ponuro i niechlujnie. Kilkakrotnie już chciał zawrócić, bo pomyślał, że ktoś mógłby ukrywać się w takiej okolicy, wyglądał naprawdę niepoważnie. Szedł jednak. Wiedział, że świadomość niewykorzystania wszystkich możliwości spędzałaby mu sen z powiek przez resztę życia.

Jego godność N.Albar, szary urzędnik Trybunału Imperialnego, nie był człowiekiem złym... Rzadko zastanawiał się nad sobą – i to może była największa jego wada. Zresztą czy na pewno wada? Trybunał potrzebował takich ludzi. Pracowitych, wytrwałych i wiernych, a nawet trochę bezmyślnych. Takich, którym do serca można było włożyć Księgę Praw, do głowy zaś Kodeks Przewinień. Był Albar machiną, uczynioną podobnie jak kusza, do jednej tylko rzeczy; gdy zadaniem kuszy było strzelać, zadaniem Albara – ścigać. I tak jak kusza nie jest zła ani dobra, tak i Albar nie był zły ani dobry. Co najwyżej: przydatny. Setki, tysiące takich rzetelnych, przydatnych ludzi krążyły po świecie; ludzi, których natura, raz ukształtowana, pozostawała czymś twardszym niż granit. Odpowiedzialność za ich czyny spadała na głowy tych, którzy w imię różnych celów gotowi byli konstruować maszyny. Z odpowiedniego drewna, z odpowiednich gatunków stali czy na koniec – z tego często spotykanego rodzaju ludzkich dusz, które dały się łatwo kształtować, po czym już na zawsze zastygały w raz nadanej formie.

Czy jego godność N.Albar, gończy urzędnik Trybunału, wiedział, że jest maszyną?

Brunatne chmury napływały znad morza, przemykając nad głową z ociężałym pośpiechem. Garbate, pokryte liszajami zwiędłych traw wydmy były jak obraz z sennego koszmaru: wrogie i ponure. Chciał zawrócić – ale tego nie zrobił. I odebrał swoją nagrodę.

Ujrzał ją u stóp takiej właśnie wydmy. Leżała na wznak, półnaga, z odrzuconym na bok lewym ramieniem i nogami zagrzebanymi w piasku... Wiatr opluwał jej twarz słonymi bryzgami, szarpał włosy.

Albar stał nieruchomo, ze ściągniętymi brwiami, pozornie spokojny jak zawsze, ale z sercem bijącym mocno i nierówno. Oto była. Jak długo już leżała pod tą wydumą, czekając, aż ją znajdzie? Przemknęły mu przed oczami nieznośne trudy, jakich zaznał w ciągu minionych dni, i pożałował nagle, że to wszystko na próżno. Nie postawi jej przed sędziami Trybunału. Tanim, zbyt tanim kosztem wyłgała się od kary... Pośród narastającej złości podszedł blisko i spojrzał w oszpeconą twarz leżącej. Ohydny oczodół jakby szydził z jego prostej kapoty, skołunionych włosów i niechlujnej brody.

Spojrzenie cesarskiego urzędnika, zwykle rozbiegane, teraz było nieruchome i ostre jak sztylet. Nie wiedział dotąd, co znaczy nienawiść. Był ponad to. Tym razem... po raz pierwszy w życiu... chyba pragnął nie kary, lecz zemsty.

Na zemstę było jednak za późno.

Gdy tak stał i patrzył, zaciskając zęby, dostrzegł kilka... dziwnych szczegółów. Dziewczyna nie była wychudzona. Nie było widać śladów rozkładu. Pochylił się nagle i dotknął ramienia, które było ciepłe! Dostrzegł ruch piersi, która oddychała... i w tej samej chwili uderzyło go w twarz pełne grozy jednookie spojrzenie.

To, co wziął za śmierć, było snem.

Odskoczył do tyłu, w tej samej chwili zerwała się i ona. Stali bez ruchu; przez głowę Albara przemykało sto myśli. Jakim cudem, na Szerń?! Kim była ta istota śpiąca głęboko w ramionach zimnej wichury, zagrzebana w mokrym piachu, półnaga? Jakim cudem żyła?

Skoczył ku niej, ale była szybsza, wdrapywała się na wydumą. Parł jej śladem, zdołał pochwycić nogę, wokół której trzepotały oblepione piaskiem strzępy mokrych łachmanów. Stoczyli się na plażę. Walczyła z nim jak dzikie zwierzę, odpierał i zadawał ciosy zgrabiętymi z zimna dłońmi, czując pod sobą, to znów na sobie jej gorące, zupełnie niewrażliwe na chłód ciało. Szamotali się długo,

oboje przerażeni i pełni nienawiści, wreszcie złapał ją za szyję i dusił, aż przestała się ruszać. Wstał z ziemi zlany zimnym potem, ale zaraz znowu opadł na kolana. Ciężko dysząc, patrzył na pokonaną istotę, która nie była, nie mogła być człowiekiem! Pokonał ją, ale teraz bał się zbliżyć, bał się dotknąć bezwładnego ciała, z przerażeniem myśląc, że znów poczuje jego szydercze ciepło.

Pokonał wreszcie strach, wydobył zza pazuchy sznur, który zawsze nosił przy sobie. Dygoczącymi dłońmi skrępował jej ręce i spętał nogi w sposób pozwalający na stawianie drobnych kroków. Wreszcie zarzucił pętlę na szyję, a drugi koniec sznura oplątał wokół nadgarstka. Usiadł w kucki i czekał, uważnie obserwując swoją zdobycz.

o o o

Ścisłe dotrzymał słowa. Dyby zrobiono. Zakutą przywiązano jeszcze łańcuchem do jednego z pali, na których rozwieszano sieci. Najpierw chciał ją trzymać w chałupie, tam gdzie mieszkał, ale po dwóch dniach przeszła mu ochota. Branka stękała i skowyczała po nocach jak zwierzę, ponadto trzeba było po niej sprzątać, i choć nie czynił tego osobiście, to obrzydły mu narzekania i kłótnie rybaków. Ci ludzie, obarczeni piątką cuchnących jak wszystko wokół dzieci, dość mieli już nawet jego samego. Poważnie zaczął się obawiać, że pewnego dnia ukradkiem uwolnią jego „zdobycz”, byle tylko pozbyć się kłopotu.

Trzymał więc brankę na zewnątrz. Pokazała już, że świetnie znosi wilgoć i zimno. Mogła robić to nadal.

Nawet nie próbował jej dotąd przesłuchać. Miał czas. Miał czas, otóż to właśnie, miał czas, miał, miał...

Teraz, gdy cel pobytu na wyspie został osiągnięty, Albar bardzo dotkliwie odczuł prymitywne warunki, w których przyszło mu bytować. A miał przed sobą jeszcze dwa miesiące wygnania. I chcąc nie chcąc, znów zaczął wspominać trzeźwe i rozsądne słowa Varda. Ilekroć spojrzał na schwytaną piratkę, odczuwał wielkie

zadowolenie i świadomość, że postąpił właściwie. Ale... Zapewne kajuta na cesarskim okręcie niewiele miała wspólnego z pałacem. Panował tam jednak porządek. Byli oficerowie. Mógł ich nie lubić; do takiego Varda czuł niechęć graniczącą z wrogością. Ale byli mu równi. Nawet prości żołnierze, należący w końcu do JEGO świata, byli sto razy lepsi od rybackiej hołoty.

Już po kilku dniach od schwytania dziewczyny bezczynne tkwienie w zapluskwionej norze dało mu się we znaki tak bardzo, że zaczął przemyśliwać nad możliwością opuszczenia wyspy.

Niestety, pomysł był nierealny. Vard otrzymał od wieśniaków łódź, to prawda, ale jeden z majtków był synem tutejszego rybaka, po drugie zaś, Vard jako oficer straży morskiej zarekwirował łódź i wystawił kwit, z nadwyżką wyrównujący poniesioną przez wieśniaka stratę. Kasa garnizonu w Aheli obowiązana była honorować takie kwity – rybacy o tym wiedzieli. Gdy tymczasem on, urzędnik Cesarskiego Trybunału Imperialnego, miał niezwykle szerokie uprawnienia, ale egzekwować je mógł tylko poprzez dowódcę okrętu, na którego pokładzie pływał. O tym także rybacy wiedzieli.

Vard potrzebował tylko łodzi, a on ponadto załogi. Wolni rybacy, jakimi byli Agarczycy, podlegali cesarzowi, czyli z jego woli dowódcy miejscowego garnizonu, który też niewiele mógł im kazać. Byli nietykalni, jak wszyscy wolni ludzie Szereru. Dostarczali rybę imperialnym poborcom, tak jak chłopci ziarno, wielorybnicy tłuszcz i fiszbin, a myśliwi zwierzynę – na tym kończyły się ich powinności. Trybunał, a więc i jego przedstawiciel, nie miał nad cuchnącym agarskim rybojadem żadnej władzy, przynajmniej tak długo, jak długo nie zostało naruszone prawo. A i wówczas do ujęcia wskazanego złoczyńcy niezbędni byli żołnierze; tak to wymyślono.

Mógł poprosić, ale nie rozkazać.

Albar jednak spróbował. Już po kilku słowach zamienionych ze starszym wioski uzyskał przykrą świadomość, że nic z tego. Miejscowi dość go mieli serdecznie, to prawda, uszczuplał bowiem ich skromne zapasy, był dziwaczny i go nie lubili. Jednakże awanturować się po morzu nikt nie miał ochoty.

Pozostało tylko czekać. Do zimy...

## ROZDZIAŁ 16



Część załogi żaglowca wyszła z burzy cało. Raladan wiedział już, że oprócz Varda przeżyło sześciu ludzi. I urzędnik na Małej Agarze.

Z tych sześciu żyło jeszcze czterech. Pierwszą dwójkę odnalazł w jednej z tawern.

Polowanie – bo trudno o lepsze słowo – zabierało mnóstwo czasu. Ahela nie była wielka, dość duża jednak, by szukanie pojedynczych ludzi, których imiona nic mu nie mówiły, było kwestią szczęśliwych przypadków. Miał pewność, że prędzej czy później odnajdzie i pozabija ich wszystkich. Ale czas – czas był cenny. Ci ludzie chodzili, gdzie im się podobało, i opowiadali, co tylko chcieli. O walkach z piratami, o upiornym wraku, o córce Demona Walki...

Wcześniej Raladan miał nadzieję, że nie ocalał nikt prócz Ridarety. Dalej myślał, że jeśli owe rachuby zawiodą, zdoła pozbyć się rozbitków jeszcze na Małej Agarze, może zresztą nie byłoby takiej potrzeby. Stało się jednak najgorsze: ludzie, którzy znali ją, którzy znali jego – żyli i znajdowali się tutaj, w Aheli. Jak, na wszystkie morza, miał zapewnić dziewczynie bezpieczeństwo na wyspie, gdzie każdy pies wyszczeniwał opowieści o niej? Jak miał działać, skoro wokół krążyli ludzie znający go jako pilota pirackiego żaglowca? Rozumiał świetnie, że skoro wieść o córce Demona raz dotarła na Wielką Agarę, każdy ją tu natychmiast rozpozna. Ileż, na Szerń, jest na Agarach młodych jednookich kobiet? Dopóty jednak, dopóki sam uchodził za martwego, sprawa nie była beznadziejna. Musiał jednak pozbyć się ludzi, którzy mogliby go rozpoznać. Należało działać szybko; przecież na Małej Agarze również trwało polowanie...



Potrzebował najemników. Ale nie takich jak wielorybnicy, których najął – gruboskórnych, twardych, lecz w gruncie rzeczy uczciwych. Potrzebował łajdaków, gotowych za złoto zrobić wszystko. Morderców. I to zręcznych morderców.

Nic prostszego. Wiedział, jak szukać.

Zagadnięty oberżysta ze zrozumieniem kiwnął głową.

– Po prostu posiedź tu trochę, przyjacielu – poradził. – Posiedź i poczekaj. Zwykle jest ich tu pełno.

– Chodzi mi o kobietę, nie jakieś cuchnące pomyjami zwierzę.

– Na to trzeba pieniędzy.

– Mam trochę.

Karczmarz pstryknął palcami. Raladan rzucił mu całą sztukę srebra.

– Bądź wieczorem w swojej izbie, przyjacielu. Przyślę ci kogoś, kto załatwi wszystko.

– Płacę, ale wymagam.

– Będziesz zadowolony.

Wieczorem odwiedził go człowiek wyglądający jak poczciwy, spokojny mieszczuch. Najprawdopodobniej był zresztą poczciwym, spokojnym mieszczuchem. Obrzucił Raladana uważnym spojrzeniem i zapytał:

– Szukasz godziwej rozrywki?

Pilot potwierdził.

– Jaka to ma być kobieta? – Mieszczanin był konkretnym człowiekiem.

– Najdroższa.

– To kobieta szlachetnego rodu. Wyglądasz na byłego żołnierza...

– Co to ma do rzeczy?

– Cena. Cena jest różna. Nisko urodzony musi zapłacić więcej. Ale ty wyglądasz na żołnierza: nie cuchniesz i znać po tobie pewną ogładę.

Raladan skinął głową; ten człowiek był spostrzegawczy.

– Byłem dziesiętnikiem straży morskiej – powiedział.

– Już nie jesteś?

– Urlop przedkontraktowy.

Imperialne wojska pozwalały zasłużonym weteranom na czasowe odejście ze służby. Wypłacano niewielką zaliczkę na poczet przyszłego żołdu, pod warunkiem powrotu w określone miejsce po upływie jakiegoś czasu – zwykle był to rok lub półtora.

– Czy to ma być cała noc?

– Nie.

– A zatem dwie sztuki złota.

Pilot skinął głową.

– Więc chodźmy.

Dom, w którym znaleźli się wkrótce, był jednym z najbogatszych w Aheli. Raladan został sam w ładnie urządzonej, choć trącącym nieco prowincją pokoju. Nie czekał długo. Człowiek, który go przywiódł, pojawił się wkrótce znowu.

– Tędy.

Raladan położył złoto na wyciągniętej dłoni i ruszył we wskazanym kierunku.

Pokój, do którego go doprowadzono, był niewielki. Ciężkie kotary w kolorze ciemnej czerwieni i łoże z baldachimem o tej samej barwie musiały pochodzić z innego, znacznie większego pomieszczenia. W rozłożystym kandelabrze stojącym w kącie płonęły tylko trzy świece. Na łożu, z głową opartą o stos poduszek, leżała jasnowłosa, ładna kobieta. Mogła mieć lat trzydzieści trzy. Raladan zamknął drzwi i stał przy nich wyczekująco.

Kobieta obserwowała go w milczeniu, wreszcie uśmiechnęła się lekko.

– Powiedziano mi prawdę, widzę, że istotnie nie jesteś prostakiem. Wejdź dalej, proszę.

Raladan skłonił lekko głowę i podszedł bliżej łoża.

– Jestem Ramon, pani – powiedział. – Czy mogę zapytać, ile klejnotów i złota kosztować mnie będzie ten wieczór?

Zmarszczyła pytająco brwi i uniosła się na łokciu. Lekka tunika odsłoniła drobną, ostro zakończoną pierś.

– Jak to? Czy przy wejściu nie zażądano od ciebie...?

– Te dwie sztuki złota to zapłata dla twojego odźwiernego, pani. Jeśli moje oczy mówią prawdę, to sama rozmowa z waszą godnością

powinna kosztować znacznie więcej.

Otworzyła usta, ale zamknęła je zaraz. Nagle roześmiała się głośno. Usiadła na łożu i zawołała:

– O nie, panie, jeśli ty jesteś zwykłym żołnierzem, to ja jestem pasterką kóz! Jedyne komplementy, jakie tu słyszę, to te, które mówię swojemu odbiciu w zwierciadle. Na tej wyspie jest może dziesięciu ludzi, którzy umieliby tak dobrać słowa i wypowiedzieć je tak czysto. Ale oni, niestety, u mnie nie bywają.

– Jestem żołnierzem, pani.

– A ja jestem dziwką, panie, ale mam rozum, choć niektórzy uważają, że to bardzo niezwykle. Jeśli nawet jesteś żołnierzem, to na pewno nie dziesiętnikiem. Ramon, czy tak? A pełne nazwisko...?

– Czy pytam o twoje, pani?

– Wszyscy je tu znają, jestem Erra Alida. Nigdy nie nagabuję moich gości, ty jednak jesteś człowiekiem wyjątkowym. Wybacz, panie, kobiecą ciekawość. Nie zapytam już o nic.

Wstała i podeszła do mężczyzny. Była niska, ale ładnie zbudowana.

Raladan nie przyszedł, by się zabawić. Teraz jednak odczuł pożądanie; już nawet nie pamiętał, kiedy ostatni raz był z kobietą...

Bardzo rzadko tracił kontrolę nad sobą. Opanował się i teraz. Delikatnie odsunął dłonie, które położyła mu na piersi.

– Przyszedłem... w pewnej sprawie, pani.

– O, czyżby?...

– Ale nie w takiej. W innej.

Spojrzała mu w oczy i nagle zacisnęła usta. Wróciła do łoża, uśmiechając się ze złością.

– Oczywiście, obsługuję ludzi, na widok których robi mi się niedobrze. Ale gdy... Nie załatwiam żadnych „innych” spraw, panie.

Raladan zatknął kciuki za pas.

– Nawet za osiemdziesiąt sztuk złota, pani?

Złość powoli ustąpiła z jej twarzy.

– Powiedziałaś: osiemdziesiąt?

– Za usunięcie czterech ludzi. Myślę, że znalazłbym chętnych za sumę dwa, a może trzy razy mniejszą.

Siedziała na łóżku, opierając plecy o poduszki.

– Więc dlaczego proponujesz osiemdziesiąt?

– Bo powiesz „sto”, a wtedy stanie na dziewięćdziesięciu.

Zaśmiała się. Ale nadal spoglądała pytająco.

Raladan kołysał się lekko na obcasach.

– Potrzebuję ludzi sprawnych, pewnych i szybko działających – powiedział. – Pijany opryszek z tawerny nie spełnia tych wymagań.

– Skąd wiesz, że znam takich ludzi?

Nawet nie mrugnął.

– Kobieta taka jak ty zna wszystkich. Nawet jeśli sama nie zlecasz takich zadań, wskażesz mi człowieka, który to robi.

– Myślę, że w Aheli jest wiele osób, do których mógłbyś się zwrócić.

– Naprawdę, pani?... Mam chodzić po Aheli i wypytywać o płatnych zabójców?

Skinęła głową.

– No dobrze. Cóż to za ludzie, których trzeba się pozbyć?

– Dobiliśmy targu?

– Nie wiem. Co to za ludzie, których trzeba się pozbyć? – powtórzyła.

Raladan wyjaśnił.

o o o

Vardem postanowił zająć się sam.

Najpierw jednak wypłacił swoim wielorybnikom zaliczkę. Chciał być pewien, że nie zrezygnują. Wiedział, jaką siłę ma pieniądz. Przehulają srebro w kilka dni, a potem tym dotkliwiej odczuwają, jak niedobrze jest go nie mieć...

Pogoda była fatalna. Nie zanosilo się na poprawę. Oto wyrzucał pieniądze garściami, by przyspieszyć bieg wypadków... i chyba niepotrzebnie. Wyglądało na to, że czasu mu nie braknie. Być może mógł zaoszczędzić te kilkadziesiąt sztuk złota.

Z drugiej jednak strony wołał krótko załatwić sprawę.

Alida była właściwym człowiekiem, miał niemal pewność, że robota zostanie wykonana szybko. Ponadto... chyba skutecznie zacierał za sobą ślady. W jej oczach był jakimś tajemniczym, szlachetnie urodzonym Garyjczykiem, w tawernie uchodził za bosmana ze statku bogatego kupca. Wielorybnicy mieli go chyba za lekko pomyłonego obieżyświata szukającego mocnych wrażeń... Dzięki temu istniała nadzieja, że nawet gdyby coś nie wyszło, nikt nie zdoła powiązać owych nitek w jeden kłębek. Przynajmniej nie od razu.

Ale gdzieś w głębi duszy tkwiła zadra. Czy popełnił jakiś poważny błąd? Jeśli tak, nie potrafił go dostrzec. Tylko to niejasne przeczucie...

Łatwo odnalazł dom Varda. Kapitan mieszkał z matką, a całą służbę stanowiła jedna dziewczyna. Dom był zaniedbany; Raladan łatwo odgadł, że żołąd dowódcy agarskiego okrętu nie był szczególnie wysoki. Zapewne – Vard nie żył w nędzy. Ale utrzymanie dość obszernego w końcu domostwa wymagało dochodów większych niż te, które były udziałem oficera Straży Morskiej Garry i Wysp na Agarach.

Vard nocował na terenie garnizonu straży morskiej. W domu bywał rzadko i zawsze za dnia, okoliczność dla pilota bardzo niepomysłna. W garnizonie kapitan był nieosiągalny; na ulicy, w biały dzień – również.

Raladan postanowił czekać.

## ROZDZIAŁ 17



Vard nie znał pragnień Raladana, mimo to częściowo je podzielał. Miał dosyć wojska, chciał już wrócić do domu. Uważał, że należy mu się urlop.

Ale w komendanturze straży morskiej pragnienia Varda nikogo nie obchodziły. Podczas jednej wyprawy Agary straciły całą swą flotę wojenną, będącą dumą obu wysp. Te okruchy ziemi pośród słonych przestworów, zaanektowane przez armektańskich władców, oddające dalekiemu cesarstwu swoją miedź, oddające za bezcen tłuszcz wielorybi i fiszbin, nie miały już teraz nawet swej reprezentacji w imperialnych siłach morskich. Wojskowi dowódcy na Agarach, przeważnie Armektańczycy, mogli nie podzielać głębokiego sentymentu, jaki miejscowi żywili do „swojej” eskadry. Ale liczyć się z nastrojami ludności, spośród której wywodziła się znaczna część żołnierzy – musieli.

Vard był jedynym oficerem, który powrócił z wyprawy. Opisać musiał – bardzo szczegółowo – wszystkie wydarzenia, jakie nastąpiły podczas rejsu. Młodzi, ambitni oficerowie, których ubiegł w drodze do awansu, próbowali obarczyć go winą za utratę okrętu, choć wykonywał tylko rozkazy dowódcy eskadry. Uratowani majtkowie i żołnierze świadczyli na jego korzyść. Jednakże niewiele umieli powiedzieć, byli prostymi wojakami i majtkami, niemającymi pojęcia o decyzjach swoich dowódców. Poza tym nie przesłuchano wszystkich. Jednego z żołnierzy, owego dzielnego pływaka, któremu cała reszta zawdzięczała życie, znaleziono martwego. Ponadto przepadł bez wieści marynarz. Ktoś za plecami Varda rzucił domysł, że pozbyto się ich, bo wiedzieli coś na temat okoliczności

związanych z zagładą eskadry. Odrzucono pomówienie jako bezpodstawne. Ale plotka, raz puszczone, krążyła.

Vard składał coraz bardziej szczegółowe raporty z rosnącym gniewem. Oto wrócił ze zwycięskiej wyprawy. Zwycięskiej! Był Agarczykiem i – jak wszyscy – ciężko bolał nad utratą eskadry. Ale ta eskadra zniszczyła okręt, na który od lat polowały wszystkie floty imperium, największy i najsilniejszy żaglowiec Bezmiarów. I oto zamiast zasłużonej nagrody spotykały go ohydne pomówienia. Czuł gorycz i gniew.

Równolegle zajęto się roztrząsaniem sprawy Albara i piratki. Tu jednak kapitan postawił się twardo. Jego obowiązkiem i prawem było po zakończeniu obławy (a zatem z początkiem jesieni) doprowadzić okręt, a wobec jego utraty załogę do portu macierzystego. Zrobił to. Urzędnik pozostał na Małej Agarze, bo miał do tego prawo, Vard natomiast nie mógł go zmusić do poniesienia zamiaru. Poparł stanowisko kapitana sam komendant straży morskiej w Aheli, uznając podjęte działania za właściwe, rozsądne i słuszne. Potępił przy tym decyzję Albara, nazywając ją nadgorliwą i nieprzemyślaną. Trybunał ujął się za swoim człowiekiem, doszło do jawnego zatargu, ale Varda zostawiono w spokoju.

Wciąż jednak otwarta była kwestia utraty dwóch żaglowców. O potężnym wybuchu pirackich prochowni zaświadczały wszyscy ocaleni; wyglądało to prawdopodobnie. Większy od innych, bardzo silnie uzbrojony okręt wiózł na pewno znaczny zapas prochu. Ale już opowieść o spalonym, siejącym zagładę wraku, który zatopił starą kogę, przywodziła na myśl raczej żeglarską legendę niż rzeczowy raport o utracie wcielonego do eskadry żaglowca. I tu jednak, ku niezadowoleniu osób badających sprawę, zarówno zeznania majtków, jak i żołnierzy czy wreszcie samego Varda, pokrywały się w pełni. Brakowało Albara; świadectwo gończego urzędnika Trybunału miałoby swoją moc. W komendanturze nie wiedziano, co z tym począć. Zatem na wszelki wypadek raz jeszcze zarzucono Vardowi nieudolność.

Tego dnia po raz kolejny miało odbyć się przesłuchanie ocalałych uczestników wyprawy. Około południa Vard udał się do budynku

komendantury. Niósł mapy, starannie osłonięte przed deszczem, na których po raz dziesiąty wykreślił wszystkie kursy eskadry, a potem samotnej kogi, zaznaczył miejsce bitwy i miejsce spotkania z czarnym wrakiem, które określić mógł tylko w przybliżeniu; ponadto miejsce rozbicia statku u brzegów Małej Agary i wiele innych szczegółów.

Zameldował się u komendanta.

Ik Berr był człowiekiem niezbyt błyskotliwym, służbistą, cieszącym się jednakże opinią dobrego żołnierza i, co Vard cenił bardziej, człowieka uczciwego. Nie pochodził z Agarów, był Garyjczykiem – rzecz zupełnie wyjątkowa w wojskach imperialnych. Ale cechy, które podobały się Vardowi, niezbyt ceniono w Doronie, stolicy prowincji – i Berr wylądował w Aheli, na jednym z najmniej popularnych stanowisk w tej części cesarstwa. Z perspektywy Dorony dalekie Agary były miejscem zesłania. I poniekąd tak to wyglądało w istocie. Tym bardziej że garyjski mężczyzna szlachetnego rodu nie mógł liczyć na popularność na żadnej z wysp, a już chyba najmniej na Agarach.

A jednak człowiek bardziej ambitny i sprytniejszy niż Berr mógł sobie bardzo chwalić to zesłanie. Trudno było o okręg, w którym komendant wojskowy cieszyłby się większą samodzielnością i władzą niemal nieograniczoną. Formalnie funkcję zastępcy Berra pełnił komendant wojsk lądowych. Legionistów jednak na całych Agarach było coś dwudziestu, strażników zaś dwustu. Ponadto straż morską obsadzała, podobnie jak się działo w całym imperium, wszystkie miasta portowe. W przypadku Agarów sprowadzało się to do Aheli i osady wielorybników na południu, gdzie istniało coś w rodzaju dużej przystani. Ahela jednakże była stolicą okręgu. Legioniści siedzieli w Arbie, pilnując więźniów i niewolników zatrudnionych w kopalniach. Człowiek sprytny...

Berr nie był sprytny. Faktycznie władał Agarami niemal niepodzielnie, ale tylko w stopniu, w jakim owa władza wynikała z sytuacji, w jakiej się znalazł. Nie dążył do rozszerzenia swych wpływów. Nawet się nie bogacił. Chociaż mógł.



Stojąc pośrodku pokoju, z rękami założonymi do tyłu, Ik Berr myślał niemal o tym samym co Vard. Miał powody, by się lękać – nie o władzę, ale o możliwość pełnienia w stopniu zadowalającym obowiązków komendanta straży morskiej.

Miniona wyprawa kosztowała go przeszło połowę żołnierzy i wielu oficerów. Kłopotami, jakie się pojawiają, gdy zamelduje o tym przełożonym w Doronie, na razie nie zaprzętał sobie głowy. Ale wdał się jeszcze dodatkowo w tę wojnę z Trybunałem. Zawsze sądził, że Trybunał ma stanowczo zbyt duży wpływ na wojsko, był temu zdecydowanie przeciwny i chętnie korzystał z każdej okazji, by utrzyć nosa szarym urzędnikom. No i wreszcie ten konflikt między Vardem, niezbyt lubianym z racji swego tubylczego pochodzenia, a częścią jego kadry. Mógł ukręcić łeb sprawie; miał do tego prawo, a był głęboko przekonany, że kapitan należycie wywiązał się ze swoich obowiązków.

Niestety, opowieść o czarnym widmie taranującym okręty zupełnie nie trzymała się kupy. Co oni tam właściwie widzieli? Częściowo spalony, ale zdolny do żeglugi okręt, rozmazaną w szkwale sylwetę żaglowca?... Berr słyszał o zbiorowych przywidzeniach, a na morzu majtkowie dostrzegali nie takie rzeczy.

Pozwolił na powołanie świadków, bo sądził, że nie ma innego wyjścia. Wtedy wynikła sprawa zabójstwa i zniknięcia dwóch ludzi. Mimo wszystko wezwał teraz Varda, by go powiadomić o odsunięciu zarzutów.

Nie zdążył; złe wieści były szybsze.

Wysłuchał regulaminowego meldunku, po czym, nie ruszając się z miejsca, powiedział otwarcie i krótko:

– Setniku Vard, twoi ludzie zniknęli. Wszyscy. Poszukiwani są od rana, jest już niemal pewne, że w mieście ich nie ma.

Vard stał osłupiały, nie wiedząc, co powiedzieć.

– Zostaw te mapy, wasza godność – rzekł komendant – i wracaj do swojej kwatery. Siedź tam. To nie jest areszt – zastrzegł szybko. – Jestem całkowicie przekonany, że nie masz z tymi zniknięciami nic wspólnego. Chodzi mi o twoje bezpieczeństwo.

Vard odwrócił się i wyszedł bez słowa zupełnie zdruzgotany.

Całodzienne poszukiwania były bezowocne.

Siedząc w swej garnizonowej kwaterze, kapitan zachodził w głowę, co też mogło się stać. Majtkowie zwalniani byli ze służby z nastaniem jesieni, zatrzymywano zwykle tylko czterech albo pięciu, by dbali o stojący w porcie okręt. Pozostali mogli robić, co im się podobało. Teraz jednak, ze względu na toczące się śledztwo, marynarzy pozostawiono w służbie, mieli zakaz opuszczania Aheli, ponadto obowiązkiem ich było meldować się każdego ranka w garnizonie. Żołnierzy służba obowiązywała stale, poza okresem urlopu. Oprócz zamordowanego pływaka tylko jeden żołnierz powrócił do Aheli; ten jednak nie mógł się oddalić nigdzie, nawet na krok – odjęto mu nogę, złamaną jeszcze w czasie sztormu. Wracał do zdrowia w domu oddalonym od portu o dwie ulice, pielęgnowany przez żonę i brata, znanego szewca. Właśnie jutro miano wypłacić mu półroczną rentę. Niewysoki, lecz stały zasilek miał dostawać do końca życia, bo był żołnierzem imperium.

Vard zaklął. Komu mogło zależeć na śmierci – bo czuł, że jego ludzie nie żyją – kalekiego żołnierza i trzech majtków? Komu?

Po raz pierwszy spojrział na sprawę z innej strony. Dotąd rozważał owe zabójstwa, czy też zniknięcia, tylko na tle niedorzecznego śledztwa. Ale było przecież coś jeszcze, co łączyło tych ludzi: udział w zatopieniu pirackiego okrętu.

Oparł się o ścianę. Nie, to niedorzeczne, nikt nie mógł ocaleć z „Węża Morskiego”. Nikt, o kim wiedział. Wyratowawszy się, przez cały dzień krążył wokół płonących wraków, podejmując z wody rozbitków, było wśród nich tylko kilku piratów. Przesłuchani, wkrótce zawiśli na rejach. Zresztą w jaki sposób ktokolwiek z pirackiej załogi mógłby dotrzeć tutaj, do Aheli?

Pozostawali Raladan i dziewczyna. Piratka była na Małej i na pewno nie mogła stamtąd uciec. Raladan?...

Setnik mógłby przysiąc, że widział pilota wpadającego do morza, gdy uderzył w nich czarny wrak. Czyżby przeżył i wrócił na kogę?

Byłby to cud.

Niemniej taki człowiek... ten człowiek mógłby uciec z Małej Agary. Jeśli wylądował tam z nimi i się ukrył...

Vard zagryzł usta.

A może to po prostu zwykła zemsta? Wieść o zagładzie okrętu Demona rozeszła się głośnym echem. Powiadano, że ten pirat nad piratami miał swoich zbirów wszędzie. Może byli tu, w Aheli, jacyś ludzie, którzy kiedyś pod nim służyli? W takim razie jemu, Vardowi, też groziło niebezpieczeństwo. Czyżby komendant Berr naprawdę wiedział, co mówi?

Poczuł ciarki. Nie był tchórzem. Owa domniemana zemsta zza grobu wydała mu się jednak niesłychanie ponura. Nagle teren garnizonu okazał się miejscem jeśli nie przyjemnym, to przynajmniej bezpiecznym.

W tej samej chwili pomyślał o matce. Jeśli domysły były słuszne, to ona – ona znajdowała się w niebezpieczeństwie! Jakże łatwo było ugodzić go przez nią!...

Przypasał broń i wyszedł na dziedziniec. Przywołał oficera służbowego.

– Dwóch ludzi w pełnym uzbrojeniu.

– Tak, panie.

Postanowił sprowadzić ją tutaj. Na tak długo, aż sprawa się wyjaśni.

Ruszył do budynku komendantury.

Berr wysłuchał go uważnie.

– Boję się, że możesz mieć rację. Oczywiście, sprowadź tu matkę. Ale może wystarczy, jeśli wyślesz ludzi?

– Nie, panie. Trudno, żebym żył tu jak w klatce, nie wiadomo jak długo. Jeśli dwaj uzbrojeni żołnierze i własny miecz nie zapewnią mi ochrony, to już nie wiem, co mi ją zapewni. Zresztą przecież to tylko mój domysł z tą... zemstą.

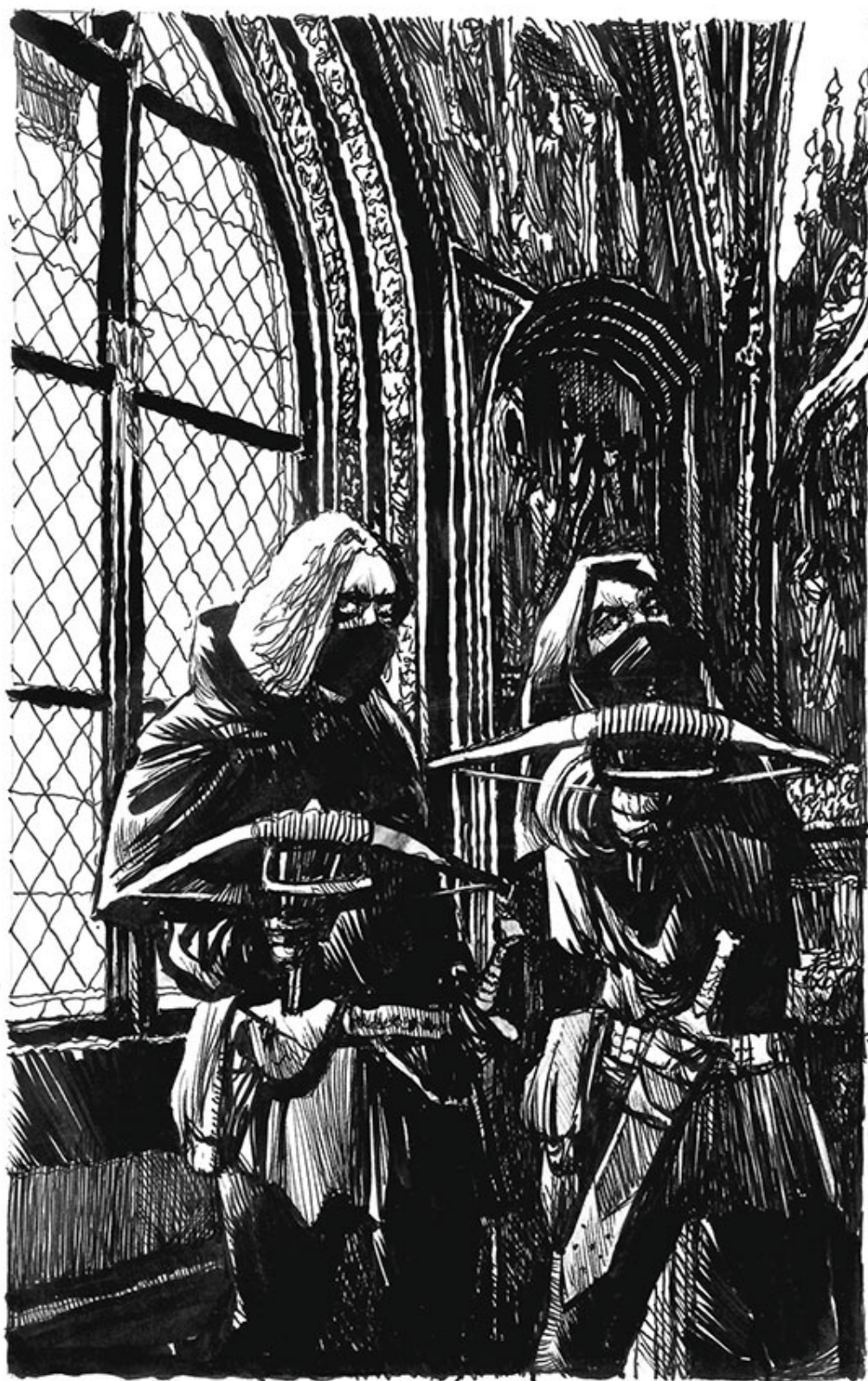
– Domysł bardzo prawdopodobny. Ale daję ci wolną rękę, Vard. Ufam ci. Chcę, żebyś o tym wiedział.

– Dziękuję, komendancie.

W asyście uzbrojonych jak na wojnę żołnierzy – przy mieczach, z włóczniami i tarczami – przedzierając się przez deszcz i wicher, kapitan dotarł do swojego domu. Zostawił żołnierzy przy drzwiach i wbiegł na piętro. Poprzedzany przez niosącą świecę służącą dotarł do drzwi pokoju matki. Zapukał lekko. Potem mocniej. Spojrzał na dziewczynę.

– Pani śpi?

Służąca patrzyła na schody, ujrzał przerażenie w jej oczach. Zdał sobie nagle sprawę, że dziewczyna była dziwnie milcząca i nieswoja, chociaż na pytanie, czy wszystko w porządku, odpowiedziała twierdząco... Uświadomiwszy to sobie w błysku krótkim jak okamgnienie, sięgnął po broń, jednocześnie biegnąc wzrokiem za spojrzeniem służącej. Znieruchomiał z dłonią na mieczu. Dwaj zamaskowani mężczyźni stali na schodach, mierząc z kusz. Jeden z nich, nie spuszczając oczu z Varda, wyciągnął rękę i łagodnie odebrał świecę z rąk przerażonej dziewczyny.



TRUST 21

– Rozsądku, kapitanie – zaapelował spokojnie. – Twoja matka żyje, a czy stanie jej się coś złego, to zależy tylko od ciebie. Teraz odpraw swoich żołnierzy.

## ROZDZIAŁ 18



Pośród wścieklej ulewy i wiatru ponowna wyprawa do Arby była prawdziwym koszmarem. Raladan musiał jednak odebrać resztę srebra od Balbona; wieści rozchodzą się szybko, zwłaszcza na takim skrawku lądu. Kupiec na pewno już usłyszał o zatopieniu „Węża Morskiego”.

Pilot obawiał się kłopotów.

Jednakże Balbon wypłacił należność bez chwili zwłoki. Spostrzegawczy Raladan zauważył, że istotnie wieść o rozgromieniu piratów dotarła już do Arby. Niemniej sprytny kupiec prosperował w sercu wyspy zbyt dobrze, by kusić się o sprawdzenie, ile w opowieści jest prawdy i na ile (jeśli jest jej dużo) pilot pirackiego żaglowca zdoła zastąpić kapitana w dziele wyprucia jego, kupca Balbona, wnętrzości.

Rozliczenie trwało krótką chwilę.

Raladan – przemoczony i zziębnięty, ale rad, że wszystko poszło gładko – wrócił do Aheli. Ukrył srebro. Był tego spory worek; srebro mniej zwracało uwagę niż złoto, ale musiał się solidnie nadźwigać.

Niedawno znalazł świetną kryjówkę na starym cmentarzu za wschodnim murem miasta. Miejsce cieszyło się złą sławą, gadano coś o upiorach. Monety, gdyby rozsypał je o zmierzchu, leżałyby nietknięte do rana. Mógł w nocy grzebać w zapadniętym grobowcu bez świadków.

W swojej tawernie przebrał się w suchą odzież. Panowała już hucząca wiatrem noc, gdy stanął przed znanym sobie domem. Był umówiony z Alidą.

Nie musiał czekać. Wystarczyło lekkie stuknięcie i natychmiast wpuszczono go do środka. Po kilku chwilach stał, z ciężką od wilgoci

peleryną przerzuconą przez ramię, w purpurowej sypialni.

Znów uderzyły go rozmiary ciężkich kotar niepasujących do niewielkiego wnętrza. Były prowincjonalne – podobnie jak baldachim, podobnie jak wszystkie pokoje w tym domu. Widywał wnętrza pałaców magnackich, kantorów kupieckich i domów publicznych w całym imperium. Każdej jesieni, gdy „Wąż Morski” stał bezpiecznie ukryty, wraz z Rapisem szukał w takich miejscach strachu, który dało się przekuć na złoto, albo też, cenniejszych czasem od strachu i złota, poufnych wiadomości.

Ale takich kotar, wielkich, pokrywających dwie ściany pokoju, i równie ciężkiego baldachimu nie widział nigdy dotąd. To musiał być jakiś agarski wynalazek. Owszem, purpura była modna w Armeckie. Dawno temu.

Powiesił płaszcz na jednym z wielkich ramion kandelabru w rogu pokoju i stał cierpliwie, zatknąwszy kciuki za pas.

Nie czekał długo.

– Witaj, tajemniczy zleceniodawco – powiedziała, wchodząc do pokoju. – Mam dobre nowiny.

Zamknęła za sobą drzwi. Ubrana była w błękitną suknię o dziwnie nieśmiałym, dziewczęcym kroju. Na plecy opadał zwykły warkocz przepleciony wstążką. Spojrzał na jej twarz i pomyślał, że właściwie trudno ocenić wiek tej kobiety. Mogła mieć lat trzydzieści parę, jak najpierw sądził, ale może też dwadzieścia osiem. Teraz wyglądała na jeszcze młodszą, ale w to już nie wierzył.

– Dlaczego tak patrzysz, panie?

Prawdę mówiąc, gapił się, nie patrzył.

– Wybacz, pani. Chyba zachowuję się jak prostak. Ale czy pozwolisz, żebym jeszcze przez chwilę prostakiem pozostał?

Przechyliła nieco głowę, lecz w spojrzeniu mężczyzny było tylko szczerze potwierdzenie komplementu, nic więcej.

– Mężczyzna, który tak potrafi spojrzeć na kobietę, nie wie, co to prostactwo – powiedziała niegłośnie. – Jestem zupełnie pewna.

Po paśmie niepowodzeń, pośród piętrzących się kłopotów i trudności, wreszcie dwie sprawy naraz poszły po jego myśli. Kupiec oddał pieniądze. Zleczone zadanie wykonano. Był rozluźniony



i w dobrym, bardzo dobrym nastroju. Znajdował dziwną przyjemność w rozmowie z tą kobietą; może dlatego, że język tych rozmów tak bardzo różnił się od tego, z jakim miał do czynienia na co dzień od tyłu, tyłu lat?

Była naprawdę rozumna... Wiedział, że wielu bywalców wielkiego świata nie potrafi złożyć najprostszego komplementu, by nie trącił on natychmiast niezgrabnym pochlebstwem. Tu nie wystarczało wychowanie. Potrzebny był jeszcze rozum. A ona go miała. W tym prowincjonalnym domu, w pokoju z baldachimem wielkim jak Bezmiary, ona prowincjonalna nie była. Ladacznica z wyspiarskiego miasteczka.

Poczuł uczucie niepokoju. Skłonił się lekko, wyrażając jej zarówno podziękowanie, jak i uznanie, ale ciepło dobrego, niemal beztroskiego nastroju uleciało bez śladu.

Znowu spojrzął na nią i spotkał jej wzrok. Pojął nagle, że ich myśli biegną tą samą drogą.

Jeszcze trochę milczeli.

– Bawimy się – powiedziała wreszcie.

Skinął głową. Zatknął dłonie za pas.

– Czasem nie wiem, czy wolę cię jako tajemniczego mężczyznę szlacheckiego rodu, czy też jako... Pieniądze.

Wyjął brzęczący trzos. Razem z tym, jaki dał jej poprzednio – równe dziewięćdziesiąt sztuk złota.

Rzuciła woreczek na łożo. Spojrzął na złoty warkocz i przeklął się w duchu. Na wszystkie morza świata, która ze znanych mu prowincjuszek odważyłaby się nosić warkocz jak jakaś chłopka? Sto fryzur, modnych i nie, pomysłowych i nie, dobranych i nie... Ale nigdy warkocz! To było uczesanie pospólstwa.

Albo pewnej siebie kobiety, która mogła dyktować mody, zamiast im ulegać. Mieszkanki wielkiego miasta, na przykład stolicy prowincji – nie jakiejś agarskiej dziury.

Był mężczyzną, niełatwo dostrzegał takie rzeczy. Potrzebował czasu, niestety.

– Kim naprawdę jesteś, Alido? – zapytał, choć nie powinien.

Podeszła do kandelabru, dotknęła mokrej peleryny.

– Jeśli powiem... zrobisz to samo?

Pokręcił głową.

Powtórzyła gest.

– No to w takim razie jestem tylko dziwką, Raladanie.

Znała jego prawdziwe imię. Ale już był przygotowany.

– No cóż, nie jesteś taki mądry, jak ci się wydaje... piracie. Mimo to porozmawiajmy. Kim naprawdę jest ta dziewczyna? I co z tym całym skarbem? Prawda czy bajka? Nie podchodź do mnie – ostrzegła. – Zginiesz, zanim zdążysz to pojąć. Ten pokój kryje niespodzianki, Raladanie.

Spojrzał za siebie.

– Właśnie, kotary – potwierdziła spokojnie.

– Co za nimi? Czterech? To może być za mało – zauważył drwiąco.

– Rzeczywiście? Wystarczyłby jeden z kuszą. Bądź rozsądny.

– Skąd wiesz? O skarbie i o dziewczynie.

– Nie domyślasz się? Naprawdę, miałam cię za rozumniejszego! Dobrą rzeczą jest zabić za dziewięćdziesiąt sztuk złota, ale jeszcze lepszą dowiedzieć się, za co tyle zapłacono. Ci ludzie żyją, Raladanie. Ale mam ich wszystkich. Wszystkich – podkreśliła.

Zapytał spojrzeniem, więc skinęła głową.

– Tak, kapitana też.

Milczał wyczekująco.

– Pomyśl, co się stanie, jeśli ci ludzie odzyskają wolność, wiedząc o tobie. Tu są Agary, tu nie ma gdzie się schować. I nie ma jak stąd uciec. Myślisz, że straż morska pozwoli ci zimą wsiąść na statek i odpłynąć?

Pokręcił lekko głową.

– Oto kobieta, którą warto mieć. Dlaczego cię poprzednio nie wziąłem? Zapłaciłem uczciwie. I na wszystkie morza, miałem ochotę.

– Trzeba było. Skoro miałeś ochotę.

Patrzyli.

– Bo teraz już nie masz, hm?

– Na potwora? Nie. Ubijmy interes.

Wiatr wył za oknem.

– Lubię złoto – powiedziała zmęczona. – Ten skarb naprawdę istnieje?

– Nie. No skądże? Szlachetna Alido, przecież Demon był krawcem, zwykłym krawcem. Ot, schował sobie parę miedziaków, ale zaraz skarb?

Ze śmiechem uderzyła go w pierś.

– Kpisz, naprawdę, ty umiesz żartować, morski ogierze!

– Posiadam wiele umiejętności.

– Mhm... poznałam niektóre.

Powoli wodziła palcem wzdłuż jego ramienia.

– Jak kamień – szepnęła w zadumie. – Widziałam wielu nagich mężczyzn. Większych, potężniejszych... Ale ty nie jesteś wysoki, a twoje ramiona... brzuch... Jak kamienie. Jakim cudem nie zostałam zmiądzona?

– Ten cud jest za kotarą. Właśnie, czy on ciągle tam stoi?

Zaśmiała się.

– On nie myśli. To pies, kochanie. Zabójca. Rozerwałby cię na strzępy.

– Duży?

Uniosła się na łokciu.

– Zabójca – powtórzyła. – Nie słyszałeś? Niemożliwe, żebyś nie słyszał.

Coś tam słyszał.

– Basog? Pies-niedźwiedź?

Pokręciła głową.

– Nie, basogi są z Czarnego Wybrzeża, tylko Przyjęci je trzymają. To zabójca, aha! urodzony w Złym Kraju, tak jak basog. Naprawdę nie słyszałeś? Pies bez duszy, stworzony, żeby słuchać. Jeśli każesz mu leżeć, będzie leżał. Do śmierci. Pozwoli spalić się żywcem. Podobno te psy to są żywe Porzucone Przedmioty.

– Zagryzł już kogoś?

– Po co pytasz?

Spojrzała z rozbudzoną nieufnością.

Pokręcił głową.

– Pewnego dnia – powiedział – za dwie sztuki złota jakaś pijana kreatura udusi cię poduszką. Tu, w tym łóżku. Pod nosem twojego ahała.

o o o

Nie wierzył jej oczywiście.

Co właściwie kryło się za tą niezwykłą umową? Przecież wiedziała doskonale, że może go trzymać w garści do końca jesieni, nie dłużej. Potem niechby nawet całe Agary rozbrzmiewały wieścią, że pilot Raladan żyje. Gdy wypłyną, straci nad nim kontrolę.

„Czyli będzie musiała mnie zabić” – myślał Raladan. „Ale przecież ona wie, że ja to wiem... Co się za tym kryje?”

Niestety, był marnym intrygantem. Umiał czasem posłużyć się podstępem i kłamstwem. Ale kłamstwo to jeszcze nie intryga.

Deszcz i wiatr znów przybrały na sile, pilot szczelniej otulił się płaszczem. Spojrzał w niebo. Cóż, wyglądało na to, że będzie miał sporo czasu na wyjaśnienie zagadki... Ta przekłeta pogoda!

Dręczyła go bezsilność. Tam, na wyspie, której brzegi w pogodny dzień łatwo by ujrzał z północnego wybrzeża, ginęła z zimna i głodu dziewczyna, za której los był odpowiedzialny. Z zimna i głodu, a może od tortur. Nie mógł nic zrobić. Umiał walczyć z ludźmi, ale choć kaprysy powietrza i wody znał pewnie lepiej niż ktokolwiek inny, nie miał wpływu na żywioł. Sztorm był sztormem. Podczas pogodnego jesiennego dnia podróż między wyspami agarskiego archipelagu była ryzykowna. Ale przeprawa podczas burzy nie mogła się udać. Takie morze nie dawało szansy. Najmniejszej.

Mógł tylko czekać.

Pomyślał nagle, że gdyby nie piętrzące się wokół trudności, które nie pozwalały siedzieć z założonymi rękami, chybaby oszalał.

Bezczywność, wróg oczekujących, pchnęłaby go może do czynów niemających nic wspólnego ze zdrowym rozsądkiem.

Skręcił w boczną uliczkę, ostrożnie spoglądając na drogę, którą przebył. Wśród nielicznych, przemykających wzdłuż murów, owiniętych w płaszcze postaci jedna zwróciła jego uwagę. Poszedł dalej i znów skręcił. Przystanął przy ścianie narożnego domu i czekał.

Po niedługiej chwili zza węgła wychyliła się głowa osłonięta kapturem. Pilot pochwycił ten kaptur i przyciągnął mężczyznę do siebie. Złapał za odzienie na piersi.

– Człowieku – rzekł – powiedz swojej pani, że... Słuchasz? Że nie zabijam psów, ale mogę zmienić zwyczaje.

Tamten chciał odsunąć trzymającą go rękę, lecz nie zdołał. Otrząsnąwszy się z zaskoczenia, zmarszczył brwi i otworzył usta, by coś powiedzieć. W tej samej chwili Raladan uniósł drugą rękę i wetknął mu w usta trzonek noża. Popchnął aż do gardła i trzymał krztuszącego się człowieka tak długo, aż ten zaczął wymiotować.

– Następnym razem użyję drugiej strony. Ale wtedy porzygasz się krwią.

Wytarł nóż o płaszcz skulonego mężczyzny, kopnął go i poszedł.

Znów powrócił myślą do Alidy i dziwnej umowy. Wspólnie mieli wydobyć z córki Demona całą prawdę o skarbie. Później mieli go razem poszukać. Na Szerń, przecież chyba nie spodziewała się, że jej uwierzy?

Uśmiechnął się krzywo.

Skarb, skarb Demona Walki, o którym wiedziała jego córka... Wymyślił to kłamstwo, by nie zabili jej strażnicy. Miało długi żywot. Może dlatego, że było kłamstwem najlepszego gatunku, mianowicie kłamstwem prawdziwym.

O skarbach Króla Bezmiarów opowiadano od lat w każdym porcie, w każdej tawernie cesarstwa. Pirat musiał mieć skarby, a już człowiek, którego zwano Demonem Walki albo Królem Mórz...

Raladan jeszcze raz uśmiechnął się do swych myśli.

Oczywiście, że Rapis miał skarby. Ale to nie Ridareta wiedziała, gdzie ich szukać.

Testament Demona miał dwa punkty.

o o o

Oczywiście, że nie było żadnego ahala. Och, gdyby mogła sobie pozwolić na psa kosztującego tyle co trzy albo cztery niewolnice, nie siedziałaby w takiej dziurze jak Ahela i nie musiała zajmować się parszywą robotą. Za kotarą była wnęka prowadząca do schodów. Te z kolei wiodły do drzwi na tyłach domu. Niektórzy jej goście nie życzyli sobie wchodzić czy wychodzić frontowymi drzwiami.

A że czasem ktoś stał z kuszą za kotarą, to rzecz inna.

Leżała pod ogromnym baldachimem, rozmyślając.

Nie uwierzył jej oczywiście. No i dobrze. Właśnie o to chodziło. Prawda jest najlepszym kłamstwem, odkryła to dawno temu. Inna sprawa, że nie zawsze trzeba odsłonić ją całą.

Nie zamierzała go zabijać; nie, po co? Był żeglarzem, zdaje się, że dobrze znał morza. Potrzebowała takiego człowieka. Przecież nie kupi okrętu i nie będzie sama pływać po Bezmiarach w poszukiwaniu jakiejś wysepki. Oczywiście nie mogła wypuścić Raladana z Agarów bez zapewnienia sobie gwarancji jego powrotu. Ale będzie miała najlepsze gwarancje: będzie miała JA!

Znała mężczyzn; o, na wszystkie moce, znała ich na wylot... Z tego, co powiedzieli porwani majtkowie, z tego, co powiedział sam Raladan, wynikało dla niej tylko jedno: skarb był ważny, lecz ważniejsza była dziewczyna.

Alida uniosła brwi. Jednooka?

Wzruszyła ramionami z lekkim niedowierzaniem. Wszystko jedno. Najpierw musiała mieć oboje tutaj.

Była pewna, że Raladan traktuje groźbę serio. Agary rzeczywiście były małe. Jak długo zdołaliby się ukryć poszukiwany mężczyzna i jednooka kobieta? Ucieczka? Jak? Straż morską przeszuka każdy żaglowiec odpływający z Aheli, wyznaczy nagrody za ich wskazanie. Żaden kapitan nie weźmie na pokład takiej pary.

Śmieszyło ją trochę, że żołnierze są w jej ręku narzędziem. Mimo że porwała jednego z nich, i to oficera! Nie lubiła wojska, wojskowi byli tacy niezręczni. I jeszcze teraz ta wojna, którą toczył ten głupiec Berr z Trybunałem! O kogo?

O tępego Albara.

Wróciła do swoich rozważań: pirat i dziewczyna muszą do niej przyjść.

Wiedziała, że Raladan będzie chciał ją zabić. Ale przecież to nie takie proste. Poza tym on ciągle błądzi po omacku, nie wierzy w ich umowę i szuka nie wiadomo czego.

Ależ potraktował jej szpicla!

Roześmiała się cicho i zaraz zacisnęła usta.

A był moment, gdy naprawdę chciała powiedzieć mu wszystko. Potrzebowała kogoś, kto pomógłby jej wyrwać się z tej przeklętej wyspy. Tutaj nie było przyszłości. Ani dla prostytutki, ani dla... nikogo.

O, zdąży jeszcze dopiąć swego! Raladan będzie prosił tę małą, żeby powiedziała o skarbie. A potem popłynie. Cóż za spółka, dziwka i pirat!

Tylko... Ta mała jednooka jędza! O co tu chodziło? Gdzieś pod sercem zakiełkowało przykre, niewygodne uczucie i Alida rozpoznała je. Zawsze umiała mówić sobie prawdę.

Zazdrość.

To nie miało sensu. Widziała tego człowieka zaledwie dwa razy w życiu.

– Więc co z tego? – zapytała się głośno.

Widziała w życiu niejedno. Widywała mężczyzn, którzy w ciągu jednego wieczoru potrafili zakochać się w dziwce. Było dla niej jasne – chociaż niewygodne! – że to może działać w dwie strony.

Roześmiała się kwaśno.

– Przejdzie ci, Alido – obiecała sobie. – Śmieszne zadurzenie, nic więcej. To się czasem zdarza każdemu.

Leżała, patrząc na ciężki ciemnoczerwony baldachim.

## ROZDZIAŁ 19



**N**ie wiem, brachu. – Potężny Bedan wzruszył ramionami. – Nie wiem.

Raladan w zamyśleniu mierzył wzrokiem okazałą postać wielorybnika.

– Co ci znowu? Nie płyniemy już na Małą, co, brachu?

– Płyniemy.

Bedan zamilkł. Nagle poruszył ramionami.

– Ty, brachu, a na Przekłętym?

– Jakim Przekłętym?

– No, Przekłętym... Zaraz za murem, no przecie, cmentarz taki. Nie wiesz? Może tam?

Raladana olśniło. W nagłym odruchu sięgnął do sakiewki przy pasie. Wstał.

– Tam – powiedział i położył na stole kilka monet. – Tam, przyjacielu. Pij i jedz. Jeśli naprawdę tam, dostaniesz drugie tyle.

Twarz Bedana się rozjaśniła.

– Uczciwyś, brachu!

Raladan skinął ręką i prawie biegiem opuścił tawernę. Dopiero na ulicy opanował się. Powinien działać spokojnie.

Oczywiście miejsce było wymarzone. Cmentarz. Mógł tam schować kruszec – można tam było trzymać i jeńców. Widział wiele okazałych grobowców. Nawet wołanie o pomoc niewiele mogło pomóc uwięzionemu; ahelczycy omijali to miejsce z powodu jakiejś bajdy, cóż dopiero, gdyby z grobowców zaczęły dolatywać wołania... Znakomite miejsce. Rzecz jasna, niejedynie, mógł jeszcze srodze się zawieść. Wątpił jednak, by pięciu mężczyzn, w tym setnika straży morskiej, trzymano w jakimś domu. Cóż by się stało,



gdyby zdołali odzyskać swobodę? Dom natychmiast zajęliby żołnierze, a urzędnicy Trybunału przesłuchali wszystkich. Po nitce do kłębka... Mało prawdopodobne, by Alida nie liczyła się i z taką ewentualnością.

Najpierw poszedł do siebie, jak już zwykł był myśleć o wynajętej izbie. Zamówił suty posiłek, zjadł, popił. Potem wyspał się solidnie. Był środek nocy, gdy opuścił tawernę. Przez plecy, zakryty płaszczem, przewieszony miał zwój liny, tak na wszelki wypadek.

Trochę trwało, nim dotarł na stary cmentarz. Wszędzie pleniło się zielsko, mnóstwo zielska. Znał tylko fragment cmentarza, ten akurat, gdzie było go najmniej. Tutaj, w środkowej części, przedzierał się zanurzony w chwastach po pachy. Deptał pagóreczki, które kiedyś były mogiłami, czasem potykał się o wrosnięte w ziemię kamienne płyty. Tu i ówdzie majaczyły ciemniejsze od nocy bryły na pół rozwalonych grobowców.

Przestało padać. Ale wiatr zawodził upiornie i Raladan pomyślał, że miejsce to, w ciemności, pośród wichru, istotnie jest niesamowite. Przeklęty, dobra nazwa. Nie lękał się ludzi. Ale poznał już niektóre kaprysy Szerni; świat nie był taki grzeczny, jak się wydawało. Kiedyś wzruszyłyby ramionami. Teraz pomyślał, że być może działały się na tym cmentarzu jakieś dziwne rzeczy.

Jednakże czarne wraki na pewno tu nie pływały.

Szukał światła. Choćby wątłego, malutkiego ogieńka. Wiedział oczywiście, że ludzie Alidy nie będą palić ogniska. Ale, na wszystkie sztormy, nie wyobrażał sobie człowieka, obojętne jak odważnego, który siedziałby w którymś z tych grobowców po ciemku. Pośród zawodzenia wichury i setek innych dźwięków, kojarzących się a to z ciężkimi krokami, a to ze zgrzytaniem kamieni nagrobnych... Teraz... teraz naprawdę słyszał głosy...

Przystanął. Tych głosów nie wydawały ludzkie gardła, brzmiało to jak rozmowa, bardzo niewyraźna, a przecież przebijająca jakoś spod szumu wiatru. Wydawało się, że słowa dochodzą zewsząd...

„Wiatr. Wiatr w szczelinach między kamieniami” – rzekł sobie.

Stał i słuchał. To istotnie musiał być wiatr. Wyobraźnia, tu w tym miejscu, była groźnym wrogiem.

Miał już dosyć szukania. Ruszył jednak dalej. Rozmiękła ziemia chwytiała stopy, czasem zapadał się wraz z nią w dół, niemal czując, jak gdzieś tam pod nim pęka przegniłe wieko trumny, a ciężar ziemi i jego samego rozgniata coś, co kiedyś było człowiekiem. To znów chwytął ręką mokry, zimny i omszały kamień nagrobny, utrzymując równowagę po zaplątaniu się w coś, co było zapewne chwastem, ale mogło być, na dobrą sprawę, czymkolwiek.

Ujrzał światło. Tak mizerne, tak delikatne, że tylko przypadek mógł mu je ukazać. Zrobił krok – i światło zniknęło. Wrócił. Dwadzieścia, może trzydzieści kroków dalej, między wysokimi drzewami, był grobowiec. Nie potrafił ocenić kształtu ani rozmiarów, nawet jego sobie oczy niewiele mogły zdziałać w bezksiężycowej nocy. Światło sączyło się przez jakieś szczeliny między kamieniami, wąskie i nierówne. Wbił spojrzenie w owe wysokie drzewa i – potykając się – poszedł. Znow stracił z oczu wątki poblask, ale już wiedział, że trafi.

Grobowiec był olbrzymi. Teraz, w obliczu żywego i zapewne groźnego przeciwnika, zawodzący wicher stał się sprzymierzeńcem. Raladan bez większych środków ostrożności obszedł grobowiec, szukając wejścia. Znalazł. Okute drzwi, choć pokryte mchem i nasiąknięte wodą, wydawały się solidne. Odnalazł dotykiem duży metalowy pierścień i pociągnął. Nie drgnęły.

Czy było jakieś hasło?

Nie miał wyjścia. Uniósł pięść i załomotał energicznie.

– Hej! Może łyczek gorzałki?! – wrzasnął tubalnie.

Czekał w napięciu. Udowodnił już chyba, że nie jest upiorem... ale czy udowodnił, że jest tym, kogo można wpuścić?

Drzwi skrzypnęły. Ze środka padło jakieś imię i rozległ się śmiech. Raladan pochylił zakapturzoną głowę i wszedł.

– Jużem myślał...

Raladan uderzył. Mężczyzna stęknął i zrobił krok do tyłu, gruby pled zsunął mu się z ramion. Przycisnął rękę do brzucha, w którym ziała rana od noża, i się przewrócił.

W migotliwym blasku starannie osłoniętego kaganka pilot ujrzał jeszcze jednego człowieka, odrzucającego gruby płaszcz. Pośród

steku przekleństw mężczyzna ów chwycił krótki, wojskowy miecz. Nie skoczył od razu, patrzył czujnie. Raladan poznał, że ten człowiek potrafi zabijać. Wyzwolił się z peleryny i niespodziewanie cisnął nóż szybkim ruchem od dołu. Tamten uchylił się zręcznie. Nadal mamrotał swoje przekleństwa, ale także... uśmiechał się.

Pirat wydobył dwa noże zza cholew. Czekał.

Przeciwnik zaatakował niezwykle szybko, bo sztychem, Raladan jednak był przygotowany. Odskoczył w bok i pchnął nożem, lecz przebił powietrze. Poszedł za ciosem, okręcając się wokół osi – i znów przeciął powietrze. Tamten, odskakując, zostawił trochę miejsca i Raladan nie czekał: ryzykując, że nadzieje się prosto na miecz, skoczył na przeciwnika i zdołał go pochwycić. Wbił nóż w plecy, ale w tej samej chwili odczuł siłę ciosu zadanego, z braku miejsca, rękojeścią miecza. Na chwilę stracił przytomność; gdy znów przejrzał na oczy, siedział pod ścianą. Czuł miazdzący ból kości policzkowej. Odruchowo sięgnął ręką i poczuł krew.

Tamten leżał bez ruchu, ale zaraz drgnął słabo i wyciągnął rękę. Rozbił głowę o kamienną ścianę, gdy upadał. Raladan podniósł się i przyklęknął.

– Będziesz żył – mruknął niewyraźnie, bo twarz miał jak z ołowiu. Krew kapiała na plecy pokonanego. – Przynajmniej... jeszcze parę dni...

Wyrwał nóż tkwiący bardziej w boku niż w plecach. Tamten jęknął i zemdlał. Raladan jako tako opatrzył ranę, po czym lekko skrępował ręce i nogi leżącego. Otarł krew z twarzy i ostrożnie obmacał kość. Była cała.

Zamknął drzwi na solidną, przymocowaną chyba niedawno zasuwę. Potem się rozejrzał. Słabiutkie światło wylaniało z ciemności tylko ogólne zarysy dużej krypty z ciężkim sarkofagiem pośrodku. Ostatnio jego płyta służyła za stół: leżały tam kiełbasa i pół bochenka chleba. Obok komplet kości do gry.

Po prawej i lewej stronie niezbyt szerokie łukowate otwory prowadziły do bocznych, chyba mniejszych pomieszczeń. Raladan wziął kaganek i osłaniając go ręką, wszedł do lewego. Trzy pary oczu patrzyły z przerażeniem i zdumieniem. Poznali go, podobnie jak on

ich – byli to ludzie z kogi Varda. Czwartego człowieka dostrzegł po chwili. Leżał nieruchomo, związany jak pozostali. Pilot pochylił się i dostrzegł, że brak mu jednej nogi.

Tak czy inaczej, był martwy.

Poświecił dokoła, ale nie znalazł już nic godnego uwagi, poza kłębkami szmat, którymi za dnia zapewne kneblowano więźniów.

– Nie przyszedłem, żeby was zabić – powiedział.

Zauważył ich ulgę.

Nie kłamał. Zabijanie ludzi, którzy wiedzieli, kim jest, straciło sens. Musiałby wyrznąć pół Aheli, zaczynając od szlachetnej Erry Alidy i jej szpicli.

Przeszedł do prawej krypty. Była pusta. Obszedł ją. Pośrodku stał sarkofag, większy niż ten, który widział najpierw.

I nic więcej.

Gdzie był Vard?...

Już wychodził, by zapytać tamtych. Nagle przystanął i odwrócił się powoli... Kamienna, pęknięta w poprzek płyta leżała nierówno. Zaświtała mu okropna myśl.

Postawił kaganek na sarkofagu i pchnął mniejszą część nagrobnej płyty. Ustąpiła ze zgrzytem i spadła z hukiem. Głos uwiązał pilotowi w gardle. Cofnął się o krok, ale w następnej chwili porwał nóż i po omacku, nie mogąc oderwać wzroku od szalonych oczu tamtego, przeciął więzy i wyrwał knebel. Nieludzki krzyk uderzył w sklepienie grobowca.

Raladan wywlókł Varda i zgrzytając z przerażenia zębami, przytrzymał w ramionach oszalałego z trwogi mężczyznę, którego znał jako dzielnego żołnierza.

Znał tę chorobę. Chorobę ciasnych pomieszczeń.

o o o

Siedzieli na zewnątrz grobowca, oparci o zimną kamienną ścianę, chłostani mokrym wiatrem. Raladan przemarzł solidnie, ale dla

tamtego ten upiorny cmentarz, ta ponura noc i lodowaty wichur były życiem. Wolnością.

– Czas płynie – powiedział wreszcie pilot, skrzywiony, bo policzek drętwiał mu z bólu. Poklepał się po udzie płazem trzymanego na kolanach miecza. – Pora porozmawiać.

Nie widział twarzy oficera, ale głos, choć słaby, nie był już głosem szaleńca:

– Zawdzięczam ci życie, Raladan. Chcę, żebyś...

– Znam to uczucie. Oszalałbym, gdyby mnie tak zamknięto. Nie mów o tym. Ode mnie nikt się nie dowie.

Wiatr porywał słowa.

– Czas płynie – powtórzył pirat. – Bez względu na to, co dotąd zaszło, teraz słuchaj mnie uważnie. Bardzo wiele zależy od tego, czy się dzisiaj zgodzimy...

Urwał.

– Mam dość zabijania – ciągnął. – Nie dlatego, że stałem się naraz poczciwym człowiekiem. Jestem, jaki jestem. Przyczyna jest inna, bardzo prosta: to wszystko prowadzi donikąd. Chcę znaleźć sposób na wyjście z pułapki. Oto cała prawda, kapitanie Vard: nigdy nie byłem jeńcem na „Wężu”. Jestem piratem, a trupów, które zostawiłem za sobą, nawet nie ma co liczyć. Ale jest coś jeszcze, co dotyczy nas obu... Tak, Ridareta jest córką Demona Walki. Mimo to nigdy nie zrobiła nikomu nic złego. Jest niewinna. I nic nie wie o żadnym skarbie, wymyśliłem to, żebyście dziewczyny nie powiesili na rei. Jej ojciec przed śmiercią zlecił mi nad nią opiekę. Spłacam dług wdzięczności wobec umarłaka, pośmiej się. Jak dotąd kiepsko go spłacam. Niemniej, jeśli kiedykolwiek w życiu służyłem jakiejś sprawie, którą miałbyś za dobrą i słuszną, w twoim rozumieniu, to teraz.

Vard milczał.

– Zabiłem dwóch twoich ludzi, zleciłem zamordowanie tych czterech. Chciałem zabić ciebie. Wszystko po to, by wydostać ją z tej przeklętej wyspy, na której została z tym psem gończym, zabrać tutaj i ukryć, a z nastaniem zimy wywieźć z Aheli. To wszystko.

Deszcz wracał powoli.

– Czego oczekujesz? Dlaczego mam ci wierzyć?

– Czy to może być kłamstwo? Pomyśl, Vard: czy to, co powiedziałem, ma jakikolwiek sens jako kłamstwo?

Pochylił się.

– Vard. Od czasu gdy pływałem w straży morskiej, wiele się zmieniło. Ty wierzysz w jakąś uczciwość, sprawiedliwość... Więc odwołuję się do tego. Chcę ocalić niewinną dziewczynę, prawie dziecko. W zamian daję ci prawdziwą morderczynię, mieszkającą tu w Aheli, tę, dzięki której ty i twoi ludzie znaleźliście się tutaj. Dam ci dowody, świadków. Jeden leży związany, ranny, ale chyba wyżyje. I dam ci coś jeszcze, Vard. Dam ci życie twoje i tamtych. Jeśli nie dojdziemy do porozumienia, zginiecie. Mam broń, a ty nie. Cztery życia za jedno. Ponadto sprawiedliwość, jeśli tak nazywa się loch dla tej kobiety. Czego oczekuję? Niczego. Nie chcę pomocy. Obiecuj tylko, że mi nie przeszkodzisz.

Zamilkł. Po krótkiej chwili podjął:

– Byłem jeńcem na pirackim żaglowcu, tego się trzymajmy. Przeżyłem sztorm, ucepiony belki wylądowałem tutaj. Złapano mnie tak jak was, siedziałem w tej krypcie co ty, uwolniłem się, zabiłem strażników i uwolniłem ciebie. Taka historia. Gdzieś uciekłem, bo boję się zemsty porywaczy. Tyle wiesz. Zniknę z tej wyspy, zanim się obejrzysz.

– W jaki sposób?

– Brzęczący i złoty.

Nie kłamał. Mając czterysta sztuk złota, mógł przemieszkać miesiąc z Ridaretą na wynajętym małym żaglowcu, kotwiczącym w bezpiecznej zatoczce u brzegów Wielkiej bądź Małej Agary. Dzięki kotwicowisko zamiast portu – za czterysta sztuk złota to by była dla kapitana drobna niedogodność. Z końcem sztormów rejs na Garrę, do Dartanu... Gdziekolwiek.

Z nieba spadały istne potoki wody.

Vard milczał.

– Wahasz się, kapitanie? Więc słuchaj uważnie, opowiem ci wszystko dokładnie, a najbardziej historię Ridarety. Choć przyznaję,

że przez całe życie nie mówiłem chyba tyle, co dzisiaj. Ale Vard, gdy skończę, musisz mi powiedzieć „tak” lub „nie”.

– I jeśli powiem „tak”, uwierzysz? Że odejdę stąd i dotrzymam słowa?

– Na Szerń, Vard... uwierzę. Że odejdiesz i dotrzymasz słowa. Tak, uwierzę. Raz w życiu spróbuję i tego. Teraz słuchaj, bo nie będę opowiadał dwa razy.

## ROZDZIAŁ 20



Leżeli na wydmie, bacznie obserwując wioskę. Dzień był dość pogodny i jasny, wyraźnie mogli widzieć mimo sporej odległości krzątanicę rybaków.

– Dziwny ten ruch – mruknął Raladan.

Leżący obok Bedan wzruszył ramionami.

– Jaki tam dziwny... Zaraz widać, brachu, żeś nietutejszy. Jesień przecie. Wiater zawsze napsuje. Tu, brachu, jak burza przechodzi, każdy ma roboty, że huk.

Znów umilkli. Wcześniej podeszli bliżej, prawie pod samą wioskę, ale wkrótce musieli się cofnąć, bo dzieciarnia biegała wszędzie, korzystając z pogody. Zobaczyli jednak dziewczynę i dyby.

Raladan zacisnął zęby na samo wspomnienie.

– Idzie wieczór. Ale trza jeszcze poczekać.

Pilot skinął głową. Widział, że wielorybnik, podobnie jak on sam, siłą narzuca sobie spokój. Chcieli już tam iść.

Wtedy, na widok wielkich belek zamkniętych nad bosymi stopami i wokół nadgarstków dziewczyny, na widok łańcucha, Bedan przytrzymał pilota za ramię. Nie mogli oderwać wzroku od skulonej, okrytej łachmanami sylwetki, opuszczonej głowy, potarganych, pozlepianych w strąki włosów.

– Ile toto ma lat? – zapytał drągal. – Toć to dzieciak... Ile, brachu?

– Coś szesnaście... – odrzekł Raladan. Odchrząknął.

Bedan mocniej uściśnął mu ramię.

– Tyle co moja najstarsza. Będzie tyle samo.

Po pewnym czasie zobaczyli Albara. Raladan z wielkim trudem rozpoznał urzędnika. Niechlujna kapota, dzika broda... Sprawdziwszy dyby, Albar pytał o coś dziewczynę, wreszcie lekko trącił ją nogą i odszedł. Skrył się w najbliższej chałupie.



– Ten to kto? Gadaj mi, brachu! – twardo domagał się Bedan.

– Pies gończy – odrzekł krótko Raladan.

Już nic więcej wtedy do siebie nie mówili.

Teraz leżeli daleko, na wydmie. Nadszedł wieczór, potem noc. Czekali przemarznięci, sztywni.

– Idź po tamtych.

– Jeszcze trza...

– Idź po tamtych.

Bedan podniósł się i – odruchowo schylony – spiesznie odszedł.

Wiatr wzmógł się cokolwiek. Raladan ukląkł i rozruszał ramiona, robiąc silne wymachy. Kręcąc głową, rozluźnił obolałe mięśnie szyi. Po jakimś czasie Bedan wrócił. Prowadził jeszcze dwóch.

Wkrótce byli przy palu. Dziewczyna uniosła głowę i wtedy twarda, zimna dłoń zakryła jej usta. Ujrzała w czerni nocy zarys sylwetki pochylonego nad nią, niewysokiego człowieka, a obok kilka innych cieni, odwiązujących łańcuch i tnących nożami liny, którymi obwiązano belki. Rozpłakała się.

Raladan poczuł drzenie podbródka i ust, których dotykał wnętrzem dłoni, a kiedy spłynęła mu na palec pierwsza gorąca kropla, coś go ścisnęło za gardło. Musnął mokry policzek dziewczyny, a gdy wielorybnicy uporali się ze sznurami, otworzył belki, wziął ją na ręce i przytulił.

Tamci trzej patrzyli w milczeniu.

– Weźcie ją.

Najbliżej stojący wyciągnął ręce. Raladan podał mu dziewczynę.

– Do łodzi.

– A ty, brachu?

– Ja tu jeszcze mam... sprawę.

– Rano wszystkie rybaki... Wiater duży, jak nie damy rady odpłynąć, to wszystkie rybaki rano...

– Przestań, Bedan. A ty zanieś ją do łodzi, tak jak powiedziałem.

Odeszli.

Bedan został.

– Idź z nimi, Bedan.

– Nie, brachu.

Raladan ujął ramię wielorybnika, ale ten odsunął rękę.

Stali przez chwilę, potem Raladan skinął głową i rzekł:

– Schowaj się.

Bedan odszedł parę kroków i płasko legł na ziemi. Raladan usiadł dokładnie tak, jak wcześniej Ridareta, opierając nogi na dybach, plecy zaś o słup. Potrząsnął łańcuchem i dzwonił coraz głośniejszymi, wreszcie wyrzucił ogniwami w ziemię, potem jeszcze raz. Pomimo zawrota głowy hałas musiał przeniknąć do wnętrza pobliskiej chałupy, bo drzwi otwarły się nagle i ciemna, skulona sylwetka, złorzecząc, podbiegła do drewnianego pala. Raladan z ogromnym spokojem przyjął kopnięcie w bok. Zaraz potem wstał powoli i osłupiały urzędnik zrozumiał swą pomyłkę.

Bez jednego słowa pirat chwycił go za kaptę. Albar wyrwał się i odskoczył, wydając zduszony okrzyk. Chciał uciekać, lecz wpadł na Bedana. Olbrzymi wielorybnik chwycił go wpół i zdusił tak, że zamiast krzyku rozbrzmiał w mroku tylko wysilony charkot. Raladan z żeglarską sprawnością wiązał kawałki sznura, który wcześniej opasywał dyby. Na koniec sporządził pętlę. Przerzucił sznur przez tkwiący w palu hak, na którym zwykle zawieszano sieci. Bedan zbliżył się, niosąc w ramionach podduszonego, wierzgającego urzędnika. Raladan zarzucił pętlę, zacisnął. Podciągnęli miotające się ciało, pilot oplątał sznur wokół dolnego haka.

– Nogi. Przytrzymaj mu nogi – powiedział.

Urzędnik charczał i tłukł piętami o pal, zaciskając ręce na sznurze opasującym szyję. Bedan od tyłu chwycił go za kostki, przytrzymując nogi po obu stronach słupa. Albar wił się i miotał oszalały z przerażenia. Raladan podszedł z przodu i z całej siły kopnął powieszony w krocze. Rozbrzmiał chrapliwy skrzek.

– Wiesz, za co? Wiesz? Za to... że nie wiesz... kiedy przestać... – cedził, kopiąc wygięte, wyprężone ciało raz za razem.

Zaśmierdziało; urzędnik robił pod siebie.

Odsunęli się wreszcie i patrzyli na trupa.

– Strasznyś, brachu – rzekł wielorybnik. – Ale... niechaj ci.

– Trzeba było wracać do łodzi. Jazda, posprzątam to wszystko. Dyby, łańcuch i ścierwo. Lepiej, żeby rybacy nie wiedzieli, co tutaj...

Pracowali w ciszy. Świtało już, gdy dołączyli do grupki na południowym brzegu wyspy.

Milcząc, spoglądali na leżącą w łodzi, okrytą pledami dziewczynę. Spała z dłonią przy policzku i otwartymi ustami.

Wysoki wielorybnik skinął głową, widząc zabliznioną ranę w miejscu oka.

– Córka pirata – powiedział. – Tak żem właśnie myślał. Gadali w knajpie.

Pozostali patrzyli to na niego, to na Raladana.

– Kto jej to...? – Bedan uniósł palec do oka.

– Piraci.

– Piraci?

Raladan zwrócił się do wielorybników.

– Ona...

Bedan podniósł rękę.

– Przecie widzę. Jak ona jest pirat, to ja chyba wieloryb.

Położył dłoń na ramieniu pilota.

– Tego roku – rzekł po chwili – wieloryby szybko odpłynęły... Dziwny rok, brachu. Czujesz? Tera wieje od północy. Dziwny ten rok, brachu. Idzie zima.

Raladan uniósł głowę. Istotnie, nie wiało już od północnego zachodu. Wiało od północy. Jesień... kończyła się.

– Coś, brachu, ukradło dwa miesiące jesieni. Idzie zima. Jak mówisz, na wiosnę wieloryby przypłyną? Bo ten to był dziwny rok.

Pilot pomyślał o burzowej fali przy bezwietrznej pogodzie, której się dziwili z Rapisem, potem o Kaszlu, zielonych wodach Bezmiarów i o tych wielorybach Bedana. Wreszcie o końcu jesieni na dwa miesiące przed czasem.

Dziwny rok. Cokolwiek to miało oznaczać.

– Dziwny, Bedan. Bardzo dziwny rok. A na wiosnę wieloryby przypłyną. Jakoś... jakoś wiem.

Pogrzebał w zanadrzu i wydobyl pogniecioną, czarną opaskę na oko. Schylił się i ostrożnie złożył ją przy policzku dziewczyny. Nie obudziła się.



CZĘŚĆ DRUGA

# Siostry

## ROZDZIAŁ 21



**B**ył parny letni wieczór. Brzegiem morza (plaża w tym miejscu była bardzo wąska), nie bacząc na fale liżące nogi, szli dwaj mężczyźni, prowadzący, a właściwie wlokący trzeciego – dość wysokiego, tęgiego chłopaka o porozbijanej mocno twarzy, na której krew dopiero co obeschła. Młodzieniec ręce miał wykręcone do tyłu i związane; tamci dwaj trzymali go pod łokcie, nie szczędząc uderzeń, gdy zataczał się albo zwalniał.

Opodal leżała Dorona, najstarsze miasto Garry, jej stolica. Ludzie ci musieli iść chyba z Dorony.

Plaża odstąpiła od morza. Grupka się zatrzymała.

– Już blisko, przyjacielu – rzekł jeden z mężczyzn do związanego.

Ten splunął. Odpowiedzią był cios pięścią.

Podjęli marsz.

Panowały już zupełne ciemności, gdy wyłoniły się przed nimi szczątki zabudowań rybackiej wioski. Zalegała wśród nich cisza. Było to miejsce opuszczone od dawna, wymarłe. Dziwny obłęd ogarnął kiedyś mieszkańców, powiesili się wszyscy – jednej nocy. Zwano tę wieś Brzegiem Wisielców. Nikt nie odważył się osiedlić w pustych domach. Popadały w ruinę.

W środku wsi stała duża chałupa, różniąca się znacznie od innych, bo prawie niezniszczona. Jeden z mężczyzn pozostał przy jeńcu, drugi skierował się wprost ku owemu domowi. Zza węgła wyszedł mu ktoś na spotkanie. Po chwili, już we trójkę, doprowadzili skrepowanego młodzieńca do drzwi. Otwarły się i stanęła w nich ciemna postać. Ustąpiła na bok, wpuszczając przybyłych, po czym drzwi zostały starannie zaryglowane. Jeniec, pchnięty potężnie,

upadł na podłogę. Leżał przez chwilę, potem niezgrabnie podniósł się na nogi.

Izba była duża, dobrze oświetlona. Na kwadratowym stole stał drewniany kandelabr dźwigający świece. Dbano jednak, by ich blask nie uciekł na zewnątrz, małe okienka przysłonięto starannie grubą czarną materią.

Przy stole siedziała młoda kobieta. Blask świec pełgał po jej twarzy i ramionach. Była niezwykle piękna, ale w podłużnych, czarnych oczach kryło się coś... odstręczającego.

Kobieta wyprostowała się, odgarnęła z czoła pukiel ciemnych włosów, po czym zapytała niskim, przyjemnie brzmiącym głosem:

– Warto było?

Młodzieniec postąpił krok naprzód i powiedział bez strachu:

– Byłaś suką, jesteś nią i będziesz. Zawsze warto odwlekać chwilę spotkania z czymś takim.

Uniosła lekko brwi.

– O? – powiedziała ze śmiechem.

Jeniec, pchnięty w plecy przez jednego ze stojących z tyłu mężczyzn, upadł na kolana. Chciał wstać, ale przytrzymano go mocno.

– Podoba mi się twoja odwaga – powiedziała. – Ale nie mam dość czasu, by się nią delectować. Szkoda.

Wstała i przeszła się po izbie.

– Posłuchaj, chłopcze. Zginiesz dziś bez względu na wszystko, wiemy o tym oboje. Ale może to być śmierć człowieka mężnego, śmierć z mieczem w dłoni, bo pozwolę ci walczyć z moimi ludźmi, albo śmierć rozgniatanego robaka. W obu przypadkach ja swój cel osiągnę. Mogłabym zatem powiedzieć, że jest mi obojętne, co wybierzesz. Ale to nieprawda. Puście go! – syknęła.

Trzymający młodzieńca ludzie cofnęli się pospiesznie. Wstał.

– Ale to nieprawda – podjęła. – Ze wszystkich cech najbardziej chyba cenię odwagę, a pogardzam głupotą. No to: odwaga czy głupota?

– To tylko słowa, nic więcej – padła odpowiedź. – Nie jesteś zdolna, by docenić cokolwiek!

Patrzyła w milczeniu. Podeszła do stołu i podniosła zeń kawałek kredy.

– Narysuj mi tę mapę.

Splunął pogardliwie.

– Mogłaś ją mieć, chciwa dziwko. Ojciec służył ci wiernie... i ja też.

– To prawda, twój ojciec był najlepszym z moich ludzi. Szkoda, że syn okazał się zdrajcą i złodziejem.

Pojmany stracił swój spokój.

– A czego oczekiwałaś?! – zawołał. – Że będę dalej służył morderczyni swego ojca?!

W izbie zaległa cisza.

– Tyś chyba oszalał – powiedziała po chwili zdumiona.

Nie odpowiedział.

Usiadła przy stole, nie spuszczać go z oczu.

– Więc uważasz, że to ja go zabiłam? Twojego ojca? To dlatego zatrzymałeś dla siebie wiadomość o skarbie, dlatego uciekłeś! Ale... to głupie, dlaczego miałabym zabijać własnych ludzi?

Podszedł do samego stołu.

– Miałem cię za wściekłą sukę – rzekł przez zęby – ale teraz widzę coś bardziej wartego pogardy.

Zrobił jeszcze krok, przytrzymał go.

Potrząsnęła głową, wstała i nagle, w natchnieniu, wycelowała w niego palec.

– Widziałeś mnie! Widziałeś mnie na żaglowcu, który...

Złapała się za głowę.

– Nie, to niemożliwe. Wyjść! Wszyscy wyjść, jazda!

Mężczyźni wymienili spojrzenia.

– Jazda! – wrzasnęła raz jeszcze.

Pospiesznie umykający z izby ludzie przez chwilę tłoczyli się w drzwiach, zanim zniknęli za nimi. Drzwi zamknięto.

– Nie zabiłam go – zwróciła się do jeńca. – Ja go nie zabiłam, a twoja zdrada... wynikała z niewiedzy. To nie zmienia faktu, że muszę dziś dowiedzieć się wszystkiego o skarbie. Twój upór jest wodą na młyn prawdziwej zabójczynie. – Znów potrząsnęła głową. – Szkoda – dorzuciła niejasno.

– Do czego zmierza ta gra? – gniewnie zapytał Jeniec.

Odwróciła się i stała przez chwilę z pochyloną głową.

– Mam siostrę – powiedziała. – Naprawdę bardzo podobną. To nie mnie wtedy widziałeś.



## ROZDZIAŁ 22



Niespełna cztery dni później niedaleko za portowym Dranem, miastem nie tak starym jak Dorona, ale za to cieszącym się wątpliwą sławą największego zbiorowiska mętów i szumowin w całym Wiecznym Cesarstwie, niewysoki mężczyzna pukał do drzwi samotnego domu pod lasem. Otwarły się wkrótce i stanęła w nich bujnowłosa, odziana w prostą szarozieloną sukienkę jednooka kobieta.

– Raladan, nareszcie!

Weszli do izby.

Pilot stał i najpierw tylko patrzył. Nie dbała o siebie; włosy i dłonie miała po prostu brudne, sukienkę poplamioną.

Miała niespełna dwadzieścia pięć lat, ale wyglądała na więcej.

Zrozumiała spojrzenie i odwróciła wzrok.

– Byłam kiedyś ładna – powiedziała gorzko.

– Nadal jesteś – odparł poważnie. – Po prostu zbyt wiele rozmyślasz o sprawach, które należy zostawić innym. I chyba... – Zawahał się, jeszcze raz ogarnął wzrokiem brudną suknię, potargane włosy i cienie na twarzy. – Chyba brak ci mężczyzny.

Spojrzała mu w oczy i zagryzła usta, czerwieniejąc.

– To nie twoja sprawa.

Podszedł do ławy pod ścianą i usiadł.

– Przynoszę złe wieści – oznajmił.

Postąpiła krok ku niemu.

– Co to znaczy?

– Odnaleziono skarb.

Zrobiła jeszcze krok, ale uniósł rękę.

– Ci ludzie byli na JEJ usługach. To pewne.

Ridareta uniosła dłoń do czoła. Usiadła obok.

– A więc... jednak stało się najgorsze.

– Nie wiem. Może jeszcze nie. Zabiłem człowieka, który kierował wyprawą. Ale nie umiem powiedzieć, czy tylko on jeden znał tajemnicę. Na pewno nie zdradził jej przed swoją załogą, bo tylko szalenciec mógłby zaufać setce ludzi. Ale miał syna. Syn uciekł i nie wiem, gdzie jest.

Pokręciła głową.

Pilot rozłożył ręce.

– Obawiam się, pani, że mamy za mało czasu, bym mógł opowiedzieć ci wszystko dokładnie.

– Nie o to chodzi. Znowu ktoś zginął, Raladanie. Ten człowiek, twój kapitan, nie żyje od ośmiu lat, a wciąż wszystko, czego dotknął za życia, sprowadza śmierć na innych.

„Zginął... ktoś?” – pomyślał Raladan. „Cała załoga. Co najwyżej mały Berer wyniósł głowę, o ile jest dobrym pływakiem”.

– Posłuchaj, pani, tym razem to nie wina Demona, lecz twoja – orzekł sucho. – Mówiłem, że trzeba skarb wydobyć. Choćby po to, by wrzucić potem do morza. Dopóty, dopóki to złoto istnieje, ludzie będą ginąć. Ale ty nie chcesz mieć nic wspólnego z Demonem i jego spuścizną...

Przerwała mu.

– Dość, Raladan. Mówiliśmy na ten temat sto razy.

– Owszem. Ale jeszcze nigdy twoja bierność nie była tak szkodliwa jak teraz. Pomyśl, co się stanie, jeśli skarb wydobędzie właśnie ona...

Wstał z ławy.

– Muszę wracać na okręt.

– Co to za okręt?

– Pirat, pod rozkazami Pięknej Lereny. Tak ją zwą.

Dłoń, odgarniająca z czoła włosy, zastygła.

– Wszystko ci wyjaśnię, pani, ale nie teraz. Jeśli w całej tej historii kryje się jakieś niebezpieczeństwo, to płynie ono z tego, że tu jestem. Dlatego zaraz muszę odejść. Posłuchaj uważnie: jest w Dranie przyzwoita gospoda, którą nazywają U Szypra.

– Tak.

– Wynająłem tam izbę. Przyjdź wieczorem, gospodarzowi powiedz, że przysłaś do Ehadena. Podałem imię twego wuja, bo na pewno nie zapomnisz. Czekać w izbie, ja zjawię się o zmierzchu. Wtedy porozmawiamy spokojnie.

Pożegnali się krótko.

Długo stała na progu, patrząc za odchodzącym. Nie obejrzał się.

Powoli wróciła do izby.

o o o

Było już ciemno, gdy Raladan dotarł do bardzo dużej hogi przycumowanej u nabrzeża portu. Grające w kości przy trapie zbiry uniosły głowy na widok nadchodzącego człowieka, ale poznawszy pilota w świetle smolnej maźnicy, na powrót zajęły się grą. Raladan minął ich, wszedł na pokład i podążył na rufę, do oficerskich pomieszczeń zajmujących część przestrzeni pod kasztem.

Na pokładzie spali pokotem majtkowie, z jakiegoś kąta dobiegały stękania którejs z okrętowych dziwek. Ogólnie jednak panował spokój – rzecz rzadka, ale łatwo zrozumiała, jako że większość załogi bawiła się tej nocy na lądzie. Idąc prawie po omacku, Raladan ugrzązł w stercie jakichś szmat, lin i wszelkich śmieci. Zwykle skrywał uczucia, ale tym razem nikt go nie widział i twarz wykrzywił mu gniew. Gdybyż Rapis mógł to zobaczyć! Taki okręt! Dziesięciu zawisłoby na rei, a reszta pazurami skrobałaby brud z pokładu.

Osiem lat już minęło od śmierci Demona; a przecież wciąż go wspominał.

Uwolnił nogę z pułapki i ruszył dalej, przekraczając i omijając śpiących.

Uderzyło go – nie po raz pierwszy zresztą – jak brudne i niechlujne są okręty dowodzone przez kobiety. Znał hogę Szkarłatnej Alagery z czasów, gdy pływał jeszcze na „Wężu”. Widział statek kupiecki, którym komenderowała podobno córka właściciela. Słyszał na koniec o niedużym holku straży morskiej, dowodzonym,

bardzo krótko zresztą, przez protegowaną jakiejś wysoko postawionej osoby (w Armekcie służyło w wojsku wiele kobiet, inaczej niż w innych krainach imperium, gdzie kobieta-żołnierz była zjawiskiem rzadko spotykanym).

No i teraz znów oglądał, od roku z okładem, okręt dowodzony przez kobietę. Brać żeglarska uwielbiała Lerenę, kociooką szatynkę z fularem, wprost jak z bajki o piratach, ale też była Lereną dla załogi raczej pieskiem czy kawką przynoszącą szczęście, raczej okrętową zabawką niżli kapitanem. Z marsowymi minami prężono się przed nią, na podobieństwo dobrych stryjków słuchających malca, który właśnie udaje setnika gwardii morskiej. Ale gdy odchodziła, podśmiewano się dobrodusznie, nawet nie myśląc o rozkazach, które wydała.

„To cud – pomyślał pilot – że ten okręt w ogóle jeszcze pływa. Że nie poszedł na dno w trakcie burzy, że nie rozwały go skały albo nie spaliła straż morska. Cud”.

Prawdą jest, że cud ten miał wiele imion, ale najczęściej nazywał się Raladan.

Spod drzwi kajuty Lereny sączyło się wątle światło. Usłyszał jakieś niewyraźne głosy. Zastukał.

Głosy umilkły.

– Nie ma mnie! – krzyknęła po chwili przez drzwi.

Zaraz potem nastąpił wybuch śmiechu.

– Tu Raladan, pani – rzekł pilot, pukając ponownie.

Po chwili ciszy znów usłyszał niewyraźne głosy i jakieś szurania. Kiedy indziej byłby cierpliwy, ale dziś widział się z Ridaretą. To przywiodło mu na myśl Demona, a znów wspomnienia o nim tak bardzo nie pasowały do okrętu Lereny, że pilot stał jak na rozżarzonych węglach.

Wreszcie uchylono drzwi i przez szparę wymknęło się dwóch roślących majtków. Drugi podciągał hajdawery i na widok tego w Raladanie wszystko zawrzało; uczynił coś całkiem obcego swej chłodnej naturze: odwrócił się nagle i kopnął marynarza w tyłek z taką siłą, że ten zaplątał się bezradnie w hajdawery, wpadł na kamrata i obaj runęli z hałasem na pokład.

Raladan wszedł do kajuty. Lerena siedziała na stole, poprawiając włosy. Brudna, podarta koszula ledwie osłaniała duże piersi.

– Co to za hałas? – zapytała.

– Kopnąłem w zadek twojego ogiera – rzekł ze złością. – Na litość, kiedy wreszcie przestaniesz być dziwką, a staniesz się kapitanem?

Wytrzeszczyła oczy. Przestała mocować się z potarganymi, skłębionymi włosami.

Odetchnął głęboko.

Jej spojrzenie zmieniło się nagle; widywał podobne błyski w oczach Demona, jej ojca. Była lalką i zabawką załogi, to prawda, ale w takich chwilach nikt nie ważył się jej przeciwstawić. Raladan poczuł, że przeholował.

– Co ty powiedziałeś?

Zeskoczyła ze stołu i chwyciła pas leżący na skotłowanym barłogu. Pilot uchylił się przed pierwszym smagnięciem, ale drugie trafiło go w twarz. Gdyby miała pod ręką miecz, musiałby także dobyć broni. Lub dać się zarębać. Osłonił głowę przedramieniem.

Machnęła ręką i uśmiechnęła się lekko.

– Kiedyś cię zabiję – mruknęła.

Dotknął dłonią czerwonej pręgi na twarzy.

Na powrót usiadła na stole i patrząc mu prosto w oczy, zawiązała fular na włosach.

– Na razie jednak jesteś mi potrzebny. Ale nie mów na mnie dziwka. Nigdy! – wrzasnęła.

Uchylił się; lichtarz z płonąca świecą huknął w ścianę tuż obok. Gorący wosk prysnął na policzek. Była nieobliczalna; znał ją od dziecka, a wciąż nie potrafił pojąć szybkości, z jaką zmieniały się jej nastroje.

– Więc co tam? – zapytała.

Podniósł lichtarz, obrócił w dłoniach i postawił na stole. Upuścił na podłogę resztki zmiażdżonej świecy.

– Byłem u niej – powiedział.

– To wiem. No i co?

Zaczeplił ręce o pas i stał, kołysząc się lekko.

– Myślę, że wszystko w porządku, pani. Wciąż myśli, że jej służyć.

Milczeli.

Lerena zmarszczyła brwi.

– Wiesz, Raladan – rzekła w zamyśleniu – czasem myślę, że taka właśnie jest prawda.

– Że służę Ridarecie?

Pokręciła głową.

– Nie wiem. Ale wciąż pamiętam, że zabiłeś tego Berera. Wbrew rozkazom, wbrew rozsądkowi.

– Bronilem się. Poza tym mamy mapę.

– Tak, mapę wyspy. Jakiejś.

Patrzyła uważnie.

– No dobrze. Mów dalej.

– Jutro o zmierzchu spotkam się z nią U Szypra. Ma to być sekretne spotkanie. Udaję, że działam za twoimi plecami.

– Jutro o zmierzchu – powtórzyła z namysłem. – A więc wypłyniemy dopiero pojutrze rano. Nie spieszysz się zbyt, jak widzę. Czyżbyś nie wiedział, że komendant tutejszego portu nie widzi pirackiego okrętu tylko dlatego, że oczy zasłaniam mu srebrem? Każdy dzień postoju kosztuje mnie worek pieniędzy! – przypomniała ze złością.

Skinął głową.

– Czy to rzeczywiście pewne, że ona nie wie, gdzie jest skarb? – zapytała.

– Nie wie. Nadal sądzi, że na tej wyspie, o której ci mówiłem. I nadal sądzi, że oprócz niej tylko ja wiem, gdzie to jest. Powiedziałem jej o Bererze. Ale to oczywiście nie był jej człowiek.

Wzruszyła ramionami.

– Wolałam się upewnić.

Powoli chodziła wokół stołu.

– Po co te wszystkie kręactwa?

Skrzywił się.

– Już tłumaczyłem. Dopóki twoja matka wierzy, że nikt nie zna miejsca ukrycia skarbu, nie będzie próbowała go wydobyć. Obawialiśmy się tego.

– Ty się obawiałeś – sprostowała. – I, prawdę mówiąc, wciąż nie wiem dlaczego. Gdyby go tam nie znalazła, to, mówisz, zaczęłaby szukać na własną rękę. Myślałam o tym ostatnio. Przecież ona nie ma żadnych możliwości prowadzenia takich poszukiwań?

– Ależ ma, pani, i to bardzo duże. Wiesz dobrze.

Wzruszyła ramionami. Piersi podskoczyły sprężysto. Jej kształty, jej pusta, wyzywająca uroda – to usypiało czujność. Była tak głupio ładna, że nie mogła być mądra.

A, nieprawda.

– Demon Walki – powiedział. – On wciąż istnieje, pani. I to nie ty jesteś pod jego opieką, potężną opieką, tylko ona.

Ze skrywaną przyjemnością obserwował gorzką złość na jej twarzy.

## ROZDZIAŁ 23



**B**ył śledzony – dokładnie tak, jak przewidywał. Śledzono go, gdy szedł na pierwsze spotkanie z Ridaretą, śledzono i teraz, w drodze do gospody. Pomyślał, że szpiegów ma Larena wyjątkowo niezręcznych.

Ale głupia, niestety, nie była. Próżna, ale na pewno nie głupia. Wiedział, był głęboko przekonany, że sama we własnej osobie przyjdzie podsłuchiwać jego rozmowę z Ridaretą. Z przyległej izby zapewne; nie wątpił, że potrafi ją zwolnić, jeśli będzie przez kogoś wynajęta... Zeszła na ląd jeszcze przed nim. I nie wierzył, by istotnie w celu uzyskania wiadomości o ładunkach zabieranych z Dranu przez kupieckie okręty.

Nie ufała mu, widział to wyraźnie. Ale nie dziwił się. Sam na jej miejscu miałby wątpliwości. I nie ufałby nikomu, a najmniej ludziom podającym się za przyjaciół.

Wkrótce był w gospodzie. Poszedł do opłaconej przez siebie izby i zapukał.

– Tu Raladan – rzekł niegłośnie, a gdy otworzyła, wszedł i zaraz zasunął prymitywny skobel.

– Nie wiem, czy to dobre miejsce na rozmowę – powiedziała.

– Jedyne, pani – odparł. – Blisko stąd do portu, a moja nieobecność na pokładzie nie może potrwać długo.

– Znowu się spieszysz.

– Niestety. Dlatego od razu do rzeczy. Powiem ci w kilku słowach, jak dostałem się pod rozkazy twojej córki i co zamierzam zrobić.

Usiedli na chwiejących się zydlach przy koślawym stole. Gospoda uchodziła za przyzwoitą, ale to oznaczało, że w ogóle w izbach były



jakieś sprzęty. Wąty kaganek ledwie oświetlał ich twarze. Raladan odwiedził w swym życiu wiele takich komnat.

– Pamiętasz, pani, jak dzieliłem się z tobą obawami, gdy po trzymiesięcznej ciąży wydałaś na świat swoje córki? Nie słuchałaś, podobnie i później zlekceważyłaś wszystko, co mówiłem, nie chciałaś widzieć, że twoje dzieci są inne, że w jakiś sposób... Imię twojej córki...

– Przyszedłeś, żeby mi to wypomnieć? – przerwała. – Podobno czas nagli?

Pokręcił głową.

– Wciąż tego nie pojmuję – rzekł jakby do siebie. I głośniejszym głosem: – Nie, nie wypominam. Przypominam, żebyś łatwiej zrozumiała pewne...

– Co mam zrozumieć? – przerwała mu znowu. – Że jestem matką potworów? Już rozumiem. Zostaw to, Raladan!

Wstał nagle i przeszedł się po ciemnej izdebce. Zatknął ręce za pas. Nie za bardzo przejmował się jej gniewem.

– Pamiętasz ten dzień, gdy uciekły. Wtedy... to ja wszystko zorganizowałem.

o o o

Lerena podsłuchiwała. Raladan trafnie odgadł, że towary wywożone z Dranu mało ją obchodzą. Siedziała w sąsiedniej izbie, a właściwie leżała wsparta na łokciu. Jej głowa znajdowała się blisko dość szerokiej szpary, którą uczyniono w ścianie w taki sposób, by z pomieszczenia obok nie była widoczna. Zasłaniała ją prycza.

Rzeczywiście nie miała kłopotu z opróżnieniem izdebki. Sztuka złota błyskawicznie załatwiła sprawę – najemca zniknął i miał wrócić najwcześniej o północy. Nie sądziła, by rozmowa trwała dłużej.

Raladan nie był głupcem, był sprytny. A jednak mu nie zaufała. Nawet wtedy, gdy w myśl zawartego wcześniej układu przybył na „Gwiazdę Zachodu”, by służyć pod jej rozkazami. Uważała jednak, że lepiej będzie przyjąć go na pokład i udawać wiarę w lojalność, niż

robić sobie jawnego wroga – odległego, którego działań nie zdoła kontrolować. Oczywiście mogła po prostu go zabić. Ale potrzebowała takiego pilota. A poza tym... no cóż, przede wszystkim zależało jej na nim.

Był czas, gdy niemal mu uwierzyła. Wtedy mianowicie, gdy przyniósł wiadomość o wyprawie tego Berera, kapitana Berera. Wiadomość była prawdziwa i Berer niemal doprowadził ich do skarbu.

Właśnie: niemal.

Spóźnili się, Berer już wracał. W nocy przychwycili jego okręt, ale kapitan zginął w walce. Zdobyli wprawdzie mapę wyspy, na której ukryto skarb, jednak takich wysp było na Bezmiarach mnóstwo: dziesiątki, a może setki. I choć obszar wchodzący w rachubę był właściwie w morskiej skali niewielki, oznaczało to, tak czy inaczej, szukanie po omacku.

Wtedy pojęła, że właśnie o to chodziło. Stała się narzędziem w ręku Raladana. Spóźnili się wcale nie przypadkiem. Po prostu Raladan, nawet jeśli rzeczywiście nie znał miejsca ukrycia skarbu, nie zamierzał pozwolić, by tajemnicę odkrył ktoś inny.

W pierwszym porywie chciała zmusić pilota do wyjawienia prawdy: komu służy? Czy wie, gdzie jest skarb? Zaniechała tego. Znała Raladana dość długo i dość dobrze, by wiedzieć, że prędzej skona w mękach, niż coś wyzna.

Popłynęli do Dranu, bo chciała sprawdzić, czy Ridareta nie realizuje jakichś własnych planów. Bała się tej kobiety. Bała się tym bardziej, im bardziej temu zaprzeczała.

Gdy poszedł do niej, kazała go śledzić. Zauważył to. Odtąd grali oboje coraz ryzykowniej, starając się przechytryć jedno drugie. Wreszcie zrozumiała, że pilot chce, by podsłuchiwała jego rozmowę z Ridaretą. Tak, chce! Życzył sobie, żeby coś usłyszała. Dlaczego jednak nie mógł po prostu tego powiedzieć?

Nie umiała zgadnąć. Teraz leżała z głową przy szparze w ścianie i uważnie słuchała.

Ridareta zmarszczyła brwi.

– Nie rozumiem – powiedziała bardzo cicho. – Ty zorganizowałeś... ich ucieczkę?

– Zawarłem układ z twoimi córkami, pani – wyjaśnił. – Tamtej nocy, gdy Lerena i... TAMTA uciekły, ocaliłem ci życie. Wspominam o tym, bo kiedyś musiałaś się dowiedzieć. I właśnie nadeszła pora. Twoje córki chciały cię zabić. Przekonałem je, że cień Rapisa cię pomści. Ostrzegłem, że twoja śmierć będzie oznaczać utratę jakichkolwiek nadziei na wydobywanie skarbu, wobec obecności Czarnego Wraku na morzu. Zresztą myślę, że nie rozminąłem się z prawdą.

Milczała oszołomiona.

– Zaoferowałem im swoje usługi na przyszłość. Pomogłem TAMTEJ zdobyć... pewne wpływy w Doronie. A rok temu oddałem się pod rozkazy Lereny.

Wciąż milczała.

– Dziwne... straszne to wszystko – szepnęła wreszcie. – Wierzę ci, bo wiem, jakie są. Ale... dlaczego mówisz mi o tym dopiero teraz? Co to znaczy, że pora nadeszła?

– Wydobądź wreszcie ten przeklęty skarb. Nie mogę pilnować kilku spraw jednocześnie. Twoje córki mają coraz większe możliwości. Dorastały trzy razy szybciej i trzy razy szybciej się uczyły, to nie są zwykłe kobiety! Sama wiesz, kim i czym są.

Rozłożył ręce.

– Nie upilnuję cię – rzekł po prostu. – Choćbym leżał pod twymi drzwiami i nie odchodził na krok, skrzywdzą cię, jeżeli będą chciały.

– Dlaczego miałyby chcieć?

– Bo czegoś się domyślają.

– Czego?

– Moich ciemnych sprawek z przeszłości. Tych na Agarach.

– Nie nazywaj tego sprawkami.

– A jak mam to nazwać? Znasz moją przeszłość, piracką i bandycką. – Popatrzył z ponurym szyderstwem. – Zabiłem wielu ludzi. W walce. Ale tylko raz w życiu bawiłem się w skrytobójcę. Lerena na morzu i w knajpach słyszy trochę za dużo marynarskich bająn – dorzucił. – Tylko czekam, aż połączy niektóre i wyjdzie jej, że nie wszystkie są bajkami.

o o o

W sąsiedniej izbie Lerena marszczyła czoło. Nie rozumiała... Sądziła dotąd, że w przeszłości tych dwojga nie ma żadnych tajemnic. Po raz pierwszy przyszło jej na myśl, że to może wcale nie było tak prosto. Że pomiędzy śmiercią ojca a przybyciem jej matki i pilota na Garre mogło być coś więcej niż tylko podróż szalupą. Ale przecież Raladan wie, że ona to słyszy! Czemu teraz powiadamia ją o tym?...

Przestawała rozumieć cokolwiek.

o o o

– Skarb trzeba wydobyć, i to jak najszybciej – rzekł Raladan. – Przestał być bezpieczny tam, gdzie jest. Potrzebny będzie statek, pani. Statek, który później pójdzie na dno z całym złotem, jakie Demon Walki zdołał zebrać.

– Wiesz dobrze, że nie mam okrętu.

– No, trzeba go kupić. Albo zdobyć. Może uda mi się pożyczyć pieniądze, wystarczy byle jaka łajba. Dług zwrócę, gdy wydobęde skarb, a reszta pójdzie na dno, jeśli tak zdecydowałaś.

– Skoro tak dobrze wiesz, co trzeba zrobić – powiedziała z goryczą – to po co ci moja zgoda?

– Nie jestem złodziejem. Piratem, ale to nie to samo. Skarb jest twoją własnością, pani. To scheda po twym ojcu – powiedział z naciskiem, trochę głośniej i dobitniej niż dotąd. – Bo Demon Walki, kapitan K.D.Rapis był twym ojcem, czy tego chcesz, czy nie.

o o o

Oczy leżącej w sąsiednim pokoju dziewczyny rozwarły się szeroko.  
Oparła czoło o ścianę. Już wiedziała.  
Ale nie mogła uwierzyć.

## ROZDZIAŁ 24



Przycumowana do nabrzeża hoga kołysała się słabo. Czasem słychać było niegłośnie skrzypienie lin.

Pili we dwoje.

– Porozmawiajmy szczerze, Raladanie – powiedziała Lerena.

Uniosła kubek i przełknęła połowę zawartości. Pilot również pociągnął tęgi łyk. Wódka spłynęła do żołądka.

– Znudziła mnie ta dziwna zabawa – podjęła. – Przyznaję, spodziewałam się, że wasza rozmowa U Szypra będzie miała inny przebieg. Bo wiesz oczywiście, że ją słyszałam?

Skinął głową.

– Chciałem tego.

– Wiem. Raladanie – zapytała cicho – czy to prawda?

Patrzyła mu w oczy.

– Czy to prawda, że mój oj... że Demon... jest jej ojcem? – wykrztusiła. – Czy to prawda?

– Tak, pani.

Uderzyła dłonią w stół. Wstała gwałtownie i przez długą chwilę stała nieruchomo ze wzrokiem wbitym w ścianę.

– Czekam na wyjaśnienia, Raladan – powiedziała spokojnie, ale zimno. – Jeśli mnie nie zadowolą...

Wyjęła miecz. Wiedział, że potrafi się nim posługiwać. Talent po... wujku Ehadenie? Bo jej ojciec nie lubił miecza, wolał topór.

– Będę cierpliwa – dodała jeszcze z tym samym groźnym spokojem. – Po kolei, Raladan.

Szukał czegoś na dnie kubka.

– Słyszałaś, co jej zaproponowałem. Wydobyć skarbu i zatopienie go.

– A więc wiesz, gdzie naprawdę jest skarb?

Pokręcił głową.

– Tak mi się wydawało. Kiedyś. Myliłem się.

– Ja mam w to wierzyć?

– Posłuchaj, pani: gdybym naprawdę wiedział, gdzie jest skarb, wydobyłbym go już dawno. Kapitanowi nie chciało się w tym grzebać, więc jest tam sześć skrzyń wypełnionych bez ładu i składu każdą monetą, od miedzianego grosza poczynając, na potrójnej sztuce złota kończąc, klejnotami, srebrnymi nakryciami, lichtarzami. Jest cały ładunek grombelardzkich kolczug, hełmów i mieczy, który szedł morzem do armektańskiej Rapy. Broni jest zresztą więcej, bo nie każda zdobycz nadawała się dla marynarzy, weźmy tarcze i zbroje ciężkiej piechoty, zdobyte w walkach o Barirre... Miecze łatwo sprzedać, ale tarcze i kirysy?

Lerena przybladła.

– Od jak dawna wiesz to wszystko?

– Od zawsze. Są dartańskie wazy, nie wiem, ile warte, ale podobno sporo. Całe bele jedwabiu. Dartańskie zbroje turniejowe i wysadzana klejnotami broń; sam to kiedyś wynosiłem z magnackich pałacyków, po tym jak puściliśmy z dymem port w La. Strażnicy gasili, a myśmy plądrowali – dorzucił z lekkim uśmiechem.

Mierzyli się spojrzeniami.

– I nie wiesz, gdzie to jest? Co to znaczy, że się pomyliłeś?

– Bo tam byłem. Kryjówka jest pusta, twój ojciec opróżnił ją.

– Czyli chciałeś...

– Nie, nie chciałem go ukraść. Chciałem wydać na potrzeby Ridarety, bo są bardzo kosztowne. Nie ufam tobie i nie ufam twojej siostrze, nie w tej sprawie. Już raz chciałyście ją zabić. – Uniósł dłoń, bo zamierzała coś powiedzieć. – Potrzebni są ludzie, którzy będą ją chronić, potrzebny jest porządny dom... To kosztuje. Utrzymanie też.

Przełknęła ślinę.

– Dlaczego ty tak ją...

– Chronię?

Nie, nie to miała na myśli. Ale napił się wódki i nie zauważył.

– Przed śmiercią Demon zlecił mi opiekę nad nią... nad swą córką. Tak, ona też jest jego córką, a poza tym, niestety, waszą matką.

– A zarazem siostrą...

– Przyrodnią.

– Ohydne – wyszeptała.

– Miałyście wiedzieć... odwrotnie. – Czasem nie potrafił wytłumaczyć. – Nie chcieliśmy wam mówić, kto jest waszym ojcem, ale niestety, miałyście za długie uszy, a my za długie języki. Byłyście za duże i za mądre, żeby się udało „zakryć” to, co raz odkryłyście. Że legenda Bezmiarów to wasz ojciec. A teraz już tylko czekałem, aż usłyszysz jakąś śpiewkę o córce Demona Walki i zaczniesz mnie wypytywać, dlaczego nie dziewczyna, nie żona... tylko córka. Dziwnym trafem jednooka, tak jak twoja matka.

Milczała.

– Po śmierci kapitana wiele się wydarzyło – ciągnął pilot. – To kłamstwo, że uciekliśmy łodzią z „Węza” i dotarliśmy na Garrę. Chciała, żebyście tak myślały. W rzeczywistości byliśmy na „Węzu Morskim” do chwili, gdy spalili go Wyspiarze. Ridareta dowodziła nim.

– Ona... dowodziła „Wężem Morskim”?

– Owszem. Bardzo krótko i przymuszona sytuacją, niemniej dowodziła. Potem znaleźliśmy się na Agarach. Zabiłem tam wielu ludzi, by ocalić twą matkę.

– I siostrę – dorzuciła znowu, ponuro. – Nie, nie wierzę ci. To wszystko jest... – Urwała, przełykając ślinę.

– Spodziewałem się, że nie uwierzysz. Właśnie dlatego chciałem, żebyś podsłuchiwała rozmowę U Szypra. Czy Ridareta protestowała, gdy rozmawialiśmy o jej ojcu?

Milczenie.

– Coś ci powiem, Lereno. – Odkąd przestały być dziećmi, nigdy nie zwracał się do nich po imieniu. – Gdyby to ode mnie zależało... „Matka rodzi i odchodzi” – przytoczył armektańskie powiedzonko. – Radziłem jej, żeby was porzuciła, a nie mrugnąłbym okiem, gdyby utopiła jak ślepy miot szczeniąt. Ale to nie Armektanka, to Garyjka.



Uparła się, że wychowa swoje córki, choć nienawidziła waszego ojca. Chyba chciała was kochać.

Jeśli chciał wywrzeć jakiegokolwiek wrażenie, to nie wywarł.

– Miałem dług wobec Demona. Spłaciłem go uczciwie – ocenił. – A teraz zamierzam odnaleźć i wydobyć skarb, skoro Ridareta go nie chce. Byłbym złodziejem, biorąc go dla siebie, ale... ty też jesteś córką Demona i jego spadkobierczynią. Podzielisz się ze mną? – zapytał z głupia frant, dolewając wódki do kubków. – Nie mamy wiele czasu. Berer nas wyprzedził. Zabiłem go, bo gdyby zaczął mówić, ty miałabyś skarb, a ja nie miałbym nic.

– Dlaczego nie powiedziałaś mi wcześniej wszystkiego?

– Przed chwilą sama mówiłaś: „Nie wierzę!”. Wiedziałem, że nie uwierzysz. Ale przypłynęliśmy tutaj, a tutaj jest twoja matka. Czy ta rozmowa U Szypra nie jest dowodem? – zapytał znowu. – Twoi ludzie bądź ty sama słyszeliście każde słowo, jakie z nią zamieniłem od chwili przypłynięcia do Dranu. Wiesz dobrze, że to wszystko nie mogło zostać ułożone. Chciałem, żebyś na własne uszy słyszała, jak Ridareta potwierdza moje słowa. Tak się stało. Odkryłem przed tobą jej największe tajemnice. A teraz chcę, żeby uwierzyła, że skarbu już nie ma. Lepiej niech w to naprawdę uwierzy. Ona nie chce pomocy Demona, ale jeśli jednak kiedyś jej zażąda, to... Widziałem wrak „Węza Morskiego”, pani. I nie chcę zobaczyć go znowu.

– Nie zrobiłby mi krzywdy. To mój ojciec.

– Tylko Ridaretę uznaje za córkę – odpowiedział z chłodnym okrucieństwem.

Chodząc po kajucie, bezwiednie bawiła się mieczem, przerzucając go z ręki do ręki. Przystanęła. Broń obróciła się w powietrzu i wróciła do dłoni.

– Połączmy siły, pani. Potrzebujesz pilota, a lepszego nie znajdziesz.

Oszczędnym ruchem rzuciła miecz. Utkwił w ścianie.

– Niestety. Też tak uważam.

Wzięła kubek i opróżniła go do sucha.

– Dlaczego jej nie zabijemy, Raladanie?

– Obiecałem, że będę ją chronił, i z tego nie zrezygnuję. Nie próbuj zrobić jej krzywdy. A jeżeli spróbujesz, to najpierw mnie zabij, bo inaczej ja zabiję ciebie.

Cisnęła wściekle kubkiem o podłogę, ale zaraz się pohamowała. Prawdę mówiąc, przez całą rozmowę była wyjątkowo spokojna. Jakimś cudem nie doszło do bójki.

A był na to przygotowany.

– Opowiedz mi teraz wszystko – zażądała. – Jeszcze raz. Bardzo dokładnie.

o o o

Wielka hoga ciężko siedziała na wodzie. Wychylony za burłę Raladan patrzył na fale tłukące o pękate burty. To nie był dobry okręt. Żaglowiec piracki winien być szybki i zwrotny; dobrze, jeśli jest duży, ale nie kosztem chyżości.

Martwy kąt „Gwiazdy” był taki, że już większy po prostu być nie mógł.

„Wąż Morski”... Znów wspomniał Demona i jego karakę. Oto okręt! Olbrzymi i szybki. Ile płótna na masztach! Prawdziwy okręt wojenny, nie jakaś tam „Gwiazda Zachodu”, gdzie tylko ładownia budziła najwyższe uznanie i podziw.

Raz im się udało: w nocy, ze statkiem Berera. A tak... Całe ich piratowanie było dotąd chwytniem niewolników. „Gwiazda Zachodu” nie rzucała się na inne żaglowce z tej prostej przyczyny, że nie mogła żadnego dogonić. A całą obroną była nie szybka ucieczka i manewr, nocna zmiana kursu, jak to zwykł czynić Rapis, ale tępa siła drzemiąca w liczbie załogi. Już trzy razy zdybały ich cesarskie okręty. Raz holc, którego załogę zduszono samą liczbą. Potem niewielka karawela, która nawet nie podjęła walki, widząc rozmiary żaglowca. Jednakże płynęła trop w trop za nimi, nie zdołali się oderwać mimo licznych prób. Dopiero krótka, lecz gwałtowna burza rozdzieliła okręty; mieli szczęście. A potem znowu był holc. Raladan zatopił go, wprowadzając „Gwiazdę” w labirynt podwodnych skał

i mielizn. Wołowata hoga Lereny wyszła z tego cało. Strażnik przepadł.

Na razie dawali sobie radę.

„Do czasu” – pomyślał ponuro Raladan. „Do czasu aż natkniemy się na eskadrę, przeciw której półtorej setki ludzi nie wystarczy. Albo do najbliższej obławy”.

Zerknął na niedbale postawione żagle i zaklął w duchu. Potem przeniósł wzrok na rufowy kasztel. Dwudziestu lub więcej ludzi piło tam i śpiewało.

Ktoś stanął za nim. Obejrzał się i zobaczył Lerenę.

– Co tam, pilocie?

Wzruszył ramionami.

– Popatrz, pani. Śpiewają, ale upiją się bardziej, będzie bójka i znowu ktoś zginie. Wracam do sprawy, którą poruszałem już sto razy. Ale nigdy dotąd nie odpowiedziałaś, dlaczego na to pozwalasz. Może dzisiaj odpowiesz?

– Twoje zuchwalstwo rośnie, Raladanie.

– Moje zuchwalstwo? Moje zuchwalstwo, pani kapitano? Więc w takim razie, może będę mniej zuchwały, chlejąc, może rozpętam jakąś bójkę i zadżgam kogoś nożem? Spójrz na tych ludzi. Czy nie jest zuchwalstwem to, czemu się oddają na oczach kapitana okrętu?

Kiwnęła głową i oparła się o nadburcie tuż przy nim.

– Dobrze, dzisiaj ci odpowiem. Ci ludzie byli bici batem na wszystkich statkach, na jakich służyli. W imię zachowania dyscypliny. Jedli podłe żarcie, a za picie chłostano do nieprzytomności. Przyszli do mnie, bo tu jest inaczej.

– Ależ jest, jest inaczej! – Szyderczo wskazał szmatę na grotmaszcie. – To jest żagiel? Tracimy pół wiatru, nie mówiąc o sterowności. Ale ci pijacy zapomnieli nawet, jak się wiąże węzły. Na innych statkach, pani, służyli za psi grosz. Tutaj służą za srebro, a trafi się i złoto. To wystarczy, byś zawsze miała chętnych do załogi.

– Pewnie tak. Ale nie chcę, by służyli mi tylko dla złota. Patrz, Raladan. Ci chłopcy piją moje zdrowie.

Istotnie, dostrzeżono ją z kasztelu i ktoś ryknął: „Niech żyje!”. Kilku pijaków podjęło okrzyk; podjęliby zresztą każdy inny. Reszta

wyła pieśń o portowej dziwce, ktoś domagał się głosu, ktoś wódki. Ale ona słyszała tylko to, co chciała słyszeć, i Raladan pojął, że jego uwagi zdadzą się na nic. Podjął jeszcze jedną próbę:

– Twój ojciec, pani... – rzekł, wiedząc, jak bardzo chce dorównać mu w sławie.

Przerwała:

– Mój ojciec był królem wszystkich mórz. Ale jestem jego córką, krew z krwi. I nie muszę go naśladować. Sama wiem, co mam robić, by zdobyć własną sławę. I nie przeszkadzaj, jeśli nie potrafisz pomóc.

Skinął głową.

– Masz jednak siostrę, pani. Także krew z krwi Demona. O ile wiem, naśladuje go w wielu sprawach.

Zmarszczyła brwi, ale zaraz wzruszyła ramionami.

– Riolata? – rzekła z uśmiechem.

Pilota przeszył dreszcz. To imię sprowadzało nieszczęście, a przynajmniej chorobę na każdego, kto je wymówił. Bezkarne mogła to robić tylko Lerena.

I Ridareta.

– Riolata... – powtórzyła z namysłem. – Kocham ją, Raladanie, czuję jej radości i smutki. Ale tylko jedna z nas jest naprawdę podobna do ojca. Jeśli Riolata popełnia błędy... cóż, krótsza będzie rywalizacja. Bo wiesz, że zawsze rywalizujemy?

Pilot nie odpowiedział. Wychował obie panny i wiedział o wszystkim. Nawet o tym, o czym one nie wiedziały.

– Dokąd płyniemy, pani? – zapytał po długiej chwili. – Przed siebie? Zapytałbym pierwszego lub drugiego oficera, ale oni są tacy, jakby ich nie było, i chyba właśnie piją. – Pozwolił sobie na jeszcze jeden przytyk. – Dobrze, że jest chociaż kucharz.

Roześmiała się głośno.

– I pilot, nieprawdaż? Mam dzisiaj dobry dzień, naprawdę! I tylko dlatego puszczam mimo uszu wszystkie te złośliwości. Ale ta niech będzie ostatnia. Płyniemy do Dorony, Raladanie. Muszę wiedzieć, czy Berer był jedynym ogarem Riolaty.

## ROZDZIAŁ 25



Chyba za wcześnie, bym ci odkryła wszystkie moje plany. – Riolata zaśmiała się. Spoważniała zaraz, patrząc z zadumą. – Chociaż... pozostał tylko rok...

Milczała przez chwilę.

– Dobrze, Askarze! – powiedziała wreszcie. – Może warto mieć do kogoś pełne zaufanie?

– Nie zawiodę cię – zapewnił żarliwie.

– Oczywiście, że nie zawiedziesz.

Ale zaraz spojrziała z tą zimną wzgardą, której tak nie znosił.

– Zresztą, choćbyś zawiodł... przeszkodzić mi nie zdołasz.

– Nie zawiodę – powtórzył z goryczą. – Nie musisz mnie straszyć.

– Dobrze, więc posłuchaj. Albo raczej popatrz.

Podeszła do wielkiej, stojącej pod ścianą skrzyni i podniosła wieko. Wyjęła podłużny, ciężki pakunek i położyła na stole. Rozwinęła naoliwione szmaty.

– Czy wiesz, co to jest?

Askar patrzył zdziwiony.

– Broń?

– Broń – potwierdziła z zadowoleniem. – Broń ognista, podobnie jak działo. Ale niewielka, jak widzisz.

Skinął głową.

– Wiem już. Słyszałem, że czyniono próby posłużenia się czymś takim. Chyba w Armekcie... Chyba w samym Kirlanie?...

– To prawda. Uznano, że do niczego się nie przyda. Oprócz pocisków potrzebuje jeszcze prochu, może zawieść podczas deszczu... Potrzebny jest rozżarzony pręt albo lont, a broń huczy i błyska w ciemnościach, zdradzając pozycję strzelca.

Przesunął dłonią po żelazie. Lubił broń. Jego legionieści zawsze o nią dbali. Dzięki tej dbałości, a także dyscyplinie i świetnemu wyszkoleniu, jego garnizon uznano niedawno za najlepszy w całej prowincji.

– Tak właśnie było – potwierdził. – Obawiam się...

– Nie obawiaj się, Askarze. Zobacz. – Wskazała palcem. – To jest hak. Tamta broń go nie miała. Banda głupców niechętnych wszelkim nowinkom odrzuciła pomysł, zamiast go dopracować...

Słuchał coraz bardziej zaintrygowany.

– A tymczasem pocisk wystrzelony z tej broni przebija wszystkie zbroje i tarcze. Widziałeś kiedyś tarcze cesarskiej ciężkiej piechoty? – zażartowała.

Uśmiechnął się. Nosiła je połowa jego ludzi.

– Bełt z kuszy też je przebija – ciągnęła. – Ale grzęźnie i dalej już nie leci. Natomiast pocisk z tej hakownicy, i owszem. Tak, ta broń ma wady, jak każda. Ale są i zalety. Myślę, że większe od wad.

– Jak, kiedy i przeciwko komu lub czemu zamierzasz tego użyć?

Ujrzała błyski w jego oczach i uśmiechnęła się znowu.

– Po kolei. – Jeszcze raz podeszła do skrzyni. – Najpierw: hak.

Wyciągnęła coś, co wyglądało jak deska z wycięciem na górze. Ustawiła deskę na podłodze, podpierając dwiema mocnymi żerdziami.

– To jest kozioł, o który zaczepia się hak. – Wskazała hakownicę. – Podobny do pawęży, dziś już nieużywanej. Złagodzony zostaje w ten sposób ciężar broni, strzał jest celniejszy, no i strzelec może ustać na nogach po oddaniu go. W polu trzeba dwóch ludzi: jeden dźwiga dwie hakownice, drugi kozioł. W łatwym terenie broń można transportować na wozach. W twierdzy kozioł nie jest potrzebny, wystarczą blanki murów. Pomyśl teraz, co można by zrobić, mając dwieście hakownic do użycia w polu i dalszych dwieście do obrony twierdzy?

Kręcił głową.

– Musiałbym to wypróbować. Ale jeśli jest tak, jak mówisz, to daj mi paręnaście sztuk tej broni, a wyszkolę ci dwie setki ludzi w trzy miesiące.

– Właśnie na to liczę.

– Tylko skąd chcesz wziąć tyle broni? – zapytał. – Kilkanaście sztuk wystarczy do szkolenia, ale do niczego więcej.

– Jest człowiek, który zrobi mi ich pięćset, oczywiście za odpowiednią opłatą. Prawdę mówiąc, sto już mam. Nim rok minie, otrzymam drugie tyle. A dwieście następnych, większych i cięższych, do obrony murów, to sprawa mniej pilna.

Wziął hakownicę i obracał ją w rękach. Przymierzył do kozła.

– Robiłaś z tym doświadczenia?

– No... tak. Ale znam tylko siłę pocisku i zasięg. Celność. Jeśli pytasz, czy biegałam z tym po polach, no to nie, nie biegałam. Dowiedziałam się trochę o prochu, są jakieś wolno płonące lonty... Liczę na ciebie. Że pomyślisz o wszystkim, o czym zapomniałam.

– Kozioł powinien być bardziej nachylony – mruknął. – I szerszy, trochę szerszy, żeby spełniał dodatkowo rolę... no, właśnie pawęży i osłaniał przed strzałami wroga. Będzie ciężki. Ale dać można szeroki pas skórzany, przybity o, tutaj i tutaj, do noszenia na plecach. Albo dwa krótkie, do noszenia na ramionach.

Obserwowała go uważnie.

– Dostaniesz dwadzieścia hakownic i trzystu ludzi. Wybierz dwustu, a z tych dwustu jeszcze stu najlepszych i zrób z nich strzelców. Druga setka wystarczy, jeśli będzie obeznana jako tako, najważniejsze, żeby były to chłopcy mogące biegać z tą podporą. Zresztą masz wolną rękę. Wiem, że w całej prowincji nikt mi nie wyszkoli tych ludzi tak jak ty.

Odłożył broń.

– Dobrze. Muszę znaleźć odpowiednie miejsce. Szkolenie takiej liczby ludzi, takie szkolenie, hałaśliwe i niezwykle, będzie zwracać uwagę.

– Czy otrzymasz urlop? Trzy miesiące, bo tyle ci trzeba, tak?

– Tak. Jesienią. Wrócą wszystkie okręty, legia zostanie wzmocniona przez straż morską. Chyba nie będę niezbędny w garnizonie.

– Bardzo dobrze. Więc masz całą jesień. Miejsce już jest.

– Jakaś wyspa?

– Właśnie. Wkrótce przygotuję tam kwatery, budulec już zwiozłam.

Schowała hakownicę i kozioł.

– A jeżeli nic z tego nie wyjdzie? – zapytał. – Trudno polegać na niesprawdzonej broni, to naprawdę może się okazać do niczego.

– W polowych bitwach, tak. Wtedy hakownice trafią na pokłady okrętów. Nie trzeba będzie ich nosić, nie będzie kłopotu z ogniem. Hak wystarczy zaczepić o nadburcie, kozły okażą się zbędne. Skoro na okrętach sprawdzają się działa...

– Planujesz wojnę morską? – zapytał, odbierając z jej rąk puchar z winem. – No właśnie, bo miałem usłyszeć jeszcze...

– Kiedy i przeciw komu. Już mówię. Za rok. Przeciw cesarskim żołnierzom. Będzie powstanie.

Omali nie upuścił pucharu. Odetchnął głęboko.

– Niemożliwe... Skąd wiesz, na Szerń? Skąd możesz o tym wiedzieć?

Nie odpowiedziała.

Powstanie! Ależ było, było to możliwe... Nawet bardzo prawdopodobne.

Patrzył bez słowa.

Ze wszystkich krajów podbitych przez Armekt najtrudniej było utrzymać właśnie Garrę i Wyspy. Z prostej przyczyny: podbite wcześniej Dartan i Grombelard graniczyły z Armektem. Tutaj zaś było morze. I to morze niespokojne, każdej jesieni będące przeszkodą nie do pokonania. Co roku przez dwa, trzy miesiące Morska Prowincja, jak ją czasem zwano, odcięta była od kontynentu.

W przeciwieństwie do Dartańczyków, którzy przyłączeni do Armektu więcej zyskali, niż stracili, i półdzikich ludów grombelardzkich, Garyjczycy, mający kiedyś własne, dobrze rozwinięte państwo, bardzo dotkliwie odczuwali niewolę. O wiele mniej kłopotów przysparzały ludy osiadłe na wyspach. Wyspiarze w ogóle nie lubili nikogo; tradycyjnie trudnili się rybołówstwem bądź piractwem – to drugie zajęcie dało się kiedyś tak Garyjczykom, jak i Armektańczykom solidnie we znaki. Był czas, gdy na południowych wybrzeżach Armektu osiedlało się tylko morskie



ptactwo... Jednakże po przyłączeniu Wysp do imperium plaga piractwa – choć wciąż dokuczliwa – nie była problemem politycznym.

Zadbano, by taki problem powstał: oto nieznoszące się ludy wsadzono do jednego wora, tworząc Morską Prowincję, wspólny kraj Wyspiarzy i Garyjczyków. Wbrew pozorom nie była to sprawa błaża. Dla Garyjczyka, który bladł, gdy nazwano go wyspiarzem; dla Garyjczyka, który święcie wierzył, że Garra jest częścią kontynentu, oderwaną niegdyś przez Szerń w celu uwolnienia wybranych swych synów od wszelkich plugastw tego świata; dla Garyjczyka, który miał mieszkańców wysp za zwierzęta, a Armektańczyków za półludzi – nie była to sprawa błaża. Tym bardziej że okazało się wkrótce, iż Wyspiarze bardzo dobrze czują się pod „opieką” imperium, które potrzebowało takich marynarzy. I żołnierzy, wywodzących się z miejscowej ludności, znających język i lokalne stosunki. Wbity został ostatni gwóźdź do trumny: wyspiarskie „dzikusy” w żółtych tunikach i pod żółtymi żaglami stały na straży interesów Kirlanu, pilnując Garyjczyków. Użyto więc oliwy do gaszenia ognia.

Jak dotąd tylko dwa powstania garyjskie były naprawdę groźne, resztę stanowiły pojedyncze, odosobnione bunty, gasnące natychmiast w zetknięciu z karnymi siłami imperium. Ale w dalekim Kirlanie powoli zaczęto zdawać sobie sprawę, że nie tędy droga. Garra była zbyt dużym krajem, by bez końca pilnować go z mieczem w dłoni.

Askar doskonale wiedział o tym wszystkim. Zmarszczył brwi i spokojnie już zapytał:

– Gdzie i kiedy? Czy to pewna wiadomość?

Przyglądała mu się uważnie.

– Za rok – powiedziała – późnym latem oczywiście. Cała Garra tym razem, nie tylko Dran czy Dorona. Oczywiście, że to pewne, od dwóch lat przygotowuję tę wojnę, i przecież nie sama. Bo to będzie wojna, Askarze, prawdziwa wojna, starannie przygotowana i właściwie prowadzona. Nie jakiś tam bunt trzech szlachetnych rodów, pięciu wiosek i dwóch garnizonów.

Patrzył w osłupieniu, z prawdziwym przestraczem.

– Na Szerń... wysoko mierzysz! Wiesz, że zrobię dla ciebie wszystko... ale to szaleństwo! Wojna czy powstanie... Nie zdajesz sobie sprawy z potęgi cesarstwa! To nie może się udać, cesarz nigdy nie pozwoli, by u boku imperium wyrosło mu nagle wielkie, morskie państwo. I to państwo nieprzyjazne, wrogie! Jesień będzie wasza, ale zimą przyplynie tu z kontynentu wszystko, na czym zmieści się choć jeden żołnierz. Przegracie.

– Przegracie? Dlaczego: przegracie?

Uświadomił sobie, że zupełnie odruchowo postawił się w pozycji cesarskiego oficera. No i, przede wszystkim...

– Jestem Armektańczykiem – powiedział cicho, ale z odcieniem pewnej (starannie skrywanej) dumy.

Podeszła bardzo blisko.

– Będziesz musiał wybrać między mną a Armektem.

Wybrał już dawno. Wiedziała o tym świetnie. Nie wiedział o bliskim wybuchu powstania, ale już od dawna działał na szkodę Wiecznego Cesarstwa. Dla niej.

– Przegramy – powiedział po prostu.

– Ależ wiem.

Spojrzał z nowym zdumieniem.

– Więc po co?...

– Bo to nie tak – powiedziała niemal wesoło. – Nie „przegracie” i nie „przegramy”. Oni przegrają, Askarze.

Bawiła się wyrazem jego twarzy.

– Nie chodzi mi o wolność Garry. Chodzi mi o wyspy. Nie wszystkie przecież. O dwie wyspy.

Przekrzywiła głowę.

– Nie rozumiesz? – zapytała po chwili. – Chcę mieć Agary.

Przyniosła wielką mapę. Była na niej Garra, Wyspy, południowy Armek i Dartan.

– Chcę mieć własne księstwo. Samodzielne i niezawisłe. I silne.

Patrzył na mapę.

– Nie jestem żeglarzem...

Pokazała palcem.

– Ale o Agarach słyszałeś na pewno. Jeśli nie o kopalniach, to chociaż o wielorybach.

– To tam?

– Tam.

Milczał.

– Gdyby powiedział to ktoś inny, uznałbym go za szaleńca – mruknął wreszcie. – Ale skoro mówisz to ty... znaczy, że wiesz, co mówisz. Choć przyznam...

– Agary nie są wcale takie małe. Wielka Agara to ładny kawałek lądu. Są tam dwa miasta i dobry port, sporo wiosek. Na Wielkiej Agarze są kopalnie miedzi, a przy jej południowych brzegach łowi się wieloryby. Te wyspy powinny opływać w dostatki, ale wszystko zabiera imperium.

– I sądzisz, że cesarz...

– Cesarz będzie miał na głowie garyjskie powstanie – przerwała. – Nim je stłumi, będzie wiosna, pewnie późna wiosna. Teraz popatrz, gdzie leżą Agary. To samotne wyspy na końcu świata. Wieści stamtąd długo będą biegły do Kirlanu.

Pokiwał głową.

– Okręty straży morskiej – ciągnęła – zwalczają będą żaglowce Garyjczyków i konwojują transporty wojska na Garę. Wątpię, by wysłano choć jeden statek do agarskiej Aheli, miedź może poczekać, a statki potrzebne będą tutaj.

– Ale pływają tam przecież jacyś kupcy.

– Dość rzadko, a już w czasie wojny... Ale oczywiście masz rację. Pamiętaj jednak, że kupcy to ludzie interesu. Daj im zarobić i zamów następną dostawę, a dotrzymają każdej tajemnicy. Zresztą statek kupiecki można po prostu zatrzymać.

– No dobrze, ale przecież to nie może trwać wiecznie. Powstanie w końcu upadnie i ktoś przypłynie po miedź.

– Oczywiście. Te statki również zatrzymamy. Mogły rozbić się, zatonać, mogli je spalić piraci... Nieprędko w Kirlanie stanie się jasne, o co chodzi. A i wtedy... No, jesteś żołnierzem. Mów, co byś zrobił.

– Wysłałbym wojenną eskadrę.

– Która przypadnie. Jej los też nieprędko stanie się jasny, taka wyprawa musi przecież potrwać. Potem znów nastanie jesień i jesienne burze... Policz, ile czasu zyskujemy.

– Ale w końcu jesień się skończy i przypłyną następne okręty.

– Ile?

– A któż to może wiedzieć?

– Ale ile? Sto?

Żachnął się.

– Cztery. Pięć.

– Te także przypadną. Co dalej?

Żachnął się znowu.

– Rozumiem, że będziesz tam miała swoich ludzi i statek... czy może kilka statków. Ze cztery? Może zdobędziesz i obsadysz jakieś kogi kupieckie. Ale czy zdajesz sobie sprawę, ile wojska jest na holku straży morskiej? Mówisz o cesarskich żaglowcach jak o łódkach z kory, które można połamać kopniakiem.

Uśmiechnęła się, lekko mrużąc podłużne oczy.

– Będę miała nie jeden statek i nie cztery. Będę miała dziesięć wojennych okrętów. Dziesięć dużych żaglowców. Z setkami morderców na pokładach.

– Skąd je weźmiesz? Skąd chcesz...

Zrozumiał nagle.

– Piraci?

– Właśnie. To tylko kwestia złota. Złota i wspólnych celów. Złoto już prawie mam. A to drugie... Któryż to pirat nie chciałby mieć stałej, bezpiecznej przystani, gdzie zawsze może zawinąć i czuć się jak u siebie?

Pomyślał, że kto wie?... Niemniej jednak plany dziewczyny onieśmiały rozmachem.

– W końcu przypłynie tam tyle żaglowców...

– Ile, Askarze? Ile żaglowców warte są Agary?

Potrząsnął głową.

– Nie – powiedział. Wziął wdech. – Nie. Nie o tym mowa. Chcesz naprawdę poznać opinię żołnierza? Nie wiem, ile żaglowców warte są Agary. Wiem natomiast, że jeśli bronić ich będzie dziesięć statków

pirackich, to wkrótce przybędą tam wszystkie floty imperium, z grombelardzką włącznie. Tyle warte jest dla cesarstwa pozbycie się dziesięciu żaglowców pirackich. To mówi żołnierz. A teraz polityk, bo pomyśl o skutkach politycznych. Jeśli byle Agary mogą sobie wywalczyć niepodległość, to co z innymi krainami Szereru? Imperium nie może pozwolić, by wszystkie podbite prowincje ujrzały jego słabość. Przybędzie tam tyle okrętów, ile będzie trzeba.

Ku jego zdumieniu znów się uśmiechnęła.

– Nie wierzę w to.

Oparła łokcie na mapie, a podbródek na dłoniach.

– Bez względu na polityczny wydźwięk Agary nie są warte takiej awantury – oceniła. – Tak jak kiedyś nie była warta Barirra. Wysepka, zdobyta przez Demona Walki. Wysoki stopniem wojskowy powinien coś o tym wiedzieć?

Zmarszczył czoło. Coś słyszał.

– Sądzę, że Kirlan raczej zatuszuje sprawę – ciągnęła – lub poszuka rozwiązania na drodze dyplomatycznej. Policzyłam, ile z grubsza kosztowałaby taka wojna. Morska wojna, toczona w odległości tysiąca mil od Kirlanu. Gdyby miała potrwać tylko rok, co wobec wchodzących w grę odległości nie jest czasem długim... – Zaczęła pisać palcem po mapie. – Tyle. Przynajmniej tyle.

Uniósł zdumiony wzrok.

– I komu ja to tłumaczę? – zapytała z sarkazmem. – Ale widać to prawda, że o kosztach wojennych kampanii najwyżsi rangą dowódcy nie chcą sobie nic wiedzieć. Askarze, nie można tak po prostu zabrać okrętów ze wszystkich mórz Szereru. Przecież są tam potrzebne, bo zbędnych nikt by nie trzymał. Uspokojenie całej zbuntowanej prowincji warte jest każdej ceny, ale odbicie Agarów? Nikt, nawet sam cesarz, nie przeforsuje wyłożenia takiej sumy! Po wojnie z Garrą imperialna szkatuła i tak będzie świecić pustkami, będzie brakować okrętów i żołnierzy, wszystkiego.

– Nie wiem, czy twoje obliczenia są wiarygodne – próbował protestować.

Uniosła brwi.

– Prowadzę przedsiębiorstwo handlowe – przypomniała – i nieźle znam się na cyfrach. Pomagam organizować armię powstańczą, planuję też powołanie własnej, prywatnej armii. Wiem, ile co kosztuje.

– Uważasz więc, że w ogóle nie dojdzie do wojny o te wyspy? Żadnej poważnej próby odzyskania ich?

– Na małą skalę, może...

– Jak małą? Trzy okręty? Wystarczy byle drobiazg, by zawiodły wszelkie rachuby, a wtedy strażnicy morza spalą te twoje Agary.

– Moje Agary? – podchwyciła drwiąco. – To są cesarskie Agary. Cesarskie okręty spalą więc cesarskie Agary? A zresztą niech spalą. Tam nie ma co palić. Wypalą może miedź w ziemi? Czy też przepłoszą wieloryby? Ważny jest tylko port.

– Zajmą go. Jeśli nie spalą, to zajmą. Twoja flota straci zaplecze.

– To jedyna rzecz, która mnie niepokoi – przyznała. – Dlatego tam musi stanąć twierdza, Askarze.

Nie wierzył własnym uszom.

– Na tej wyspie? Chcesz zbudować twierdzę przez rok?

– Stary kamieniołom jest obok Aheli.

– To śmieszne – powiedział krótko.

Zmarszczyła brwi.

– Co jest śmieszne?

– Nie zbudujesz twierdzy przez rok. Ani przez dwa lata. Podziwiam twą znajomość tematów wojskowych, ale tu widać... pewne braki. Nikt nie potrafi wznieść liczącej się fortecy w tak krótkim czasie. Zresztą tak świetnie policzyłaś wydatki cesarza, policz i swoje! Jak chcesz zdobyć pieniądze? Skarb Demona? Nie każ mi powtarzać: to śmieszne. Wystarczy go może na zakup twoich hakownic i opłacenie piratów, pewnie nawet trochę zostanie. Ale twierdza? Warownia? Czy wiesz, ile kosztuje warownia?

Spoglądała na niego z góry.

– Czy wysłuchałeś do końca? – zapytała łagodnie. – Więc wysłuchaj, bo dostanę furii! – wrzasnęła.

Przykryła dłonią policzek mężczyzny.

– I zrobię coś, czego potem będę żałowała.

## ROZDZIAŁ 26



Oczywiście, pani. – Raladan rozłożył ręce. – Oczywiście, że każdy wpłynąłby najpierw na Morze Zwarte.

– Każdy, tylko nie ty – powiedziała ze szczerym podziwem. – Ale jak...?

Znów pochyłili się nad mapą.

– Tutaj nie ma przejścia. A tu znów mielizny... Ten przesmyk? Raladan, tam nie wpłynie nikt, kto ma rozum i pływa czymś większym od czółna. Nie ma przejścia!

– Jest. „Gwiazda” przeszłaby tędy nawet z pełną ładownią. – Puknął palcem w mapę. – A teraz mamy pustą. Ale oczywiście wejdź śmiało w ten przesmyk, a zobaczysz skały tam, gdzie powinien być kil. Trzeba trzymać się prawej strony. Niezła zabawa, bo wysoki brzeg daje brzydkie odbicia wiatru. Ale teraz powinniśmy przepłynąć. Cały czas prawą stroną, a gdy z dziobu zobaczysz znowu morze, ku środkowi. Pływaliśmy tamtędy parokrotnie. Na „Wężu”.

– Był zwrotniejszy i ostrzej chodził na wiatr.

– Wszystko chodzi ostrzej na wiatr. Był też większy i głębiej zanurzony. Tam i tak nie ma gdzie lawirować, idziesz prosto na wylot albo toniesz. Dwa zwroty, tutaj... i tu. Wiatr mamy naprawdę dobry i raczej nie zmieni się jutro. Gdyby wiało z północy, to powiedziałbym: nie przejdziemy.

Patrzyła na wąski przesmyk na mapie. Wciąż z niedowierzaniem.

– To jest spacer po lądzie. A bryza? Przecież tam musi wiać we wszystkich kierunkach, co chwila z innej strony.

– Nie przy tym wietrze, jaki mamy.

Pokręciła głową.

– Skąd ty to wszystko wiesz, Raladan? Znasz każdą cieśninę, każdy przesmyk, każdą rafę i każdą mieliznę...

– Tylko wokół Garry, gdzie indziej jest gorzej. Jeszcze Morze Zwarte z Wyspami Przybrzeżnymi, Bezmiar Bliski i wybrzeża Dartanu... Czyli wody południowe. Bo na Zachodnim Bezmiarze byłem tylko raz. Z twoim ojcem, pani.

Znów spojrzała na mapę.

– To nam skróci podróż o dwa dni – skonstatowała.

– I pozwoli ominąć szlak, którym wszyscy płyną.

– To prawda.

– Jeszcze jedno...

Zawahał się. Ponagliła go gestem.

– Przejdziemy tą drogą, ale żagle muszą wisieć porządnie, a ta banda nie może pić. Muszę mieć mądrego chłopaka z ołowianką i paru bystrych na oku. W tej cieśninie w ogóle potrzebny jest sprawny okręt i przyzwoita załoga.

– Podobno zapomnieli, jak się wiąże węzły?...

– Nie. Wielu z nich to dobrzy żeglarze, byle tylko nie pili.

Popatrzyła uważnie.

– Niech ci będzie.

Poprawiła fular i wyszła. Stał w otwartych drzwiach, wystawiając twarz do słońca. Pogoda była piękna; przy umiarkowanym, nieporywistym wietrze to słońce wcale nie męczyło. Zresztą było już późne lato, największe upały minęły.

– Hej, chłopcy! – zawołała.

Raladan popatrzył na pokład.

Załoga złaziła się powoli, zgiełkliwe i z uciechą.

– Nie ma picia, chłopcy!

Ujęła się pod boki, słysząc głosy protestu.

– Nie ma picia! Od teraz ani kubka!

– Mamuśka! – zawył krępy, pryszczaty drab. – My dla cię... my wszystko!...

Zatoczył się cokolwiek. Ktoś go podtrzymał solidarnie.

– Wszystko! – ozwały się głosy. – Wszystko!

Pilotowi zachciało się rzygać. Odwrócił się i zatrzaskał drzwi.



Wiedział, że wieczorem hołota będzie piła tylko zdrowie „mamuśki”.

Lerena wróciła po chwili.

– Wydałam rozkazy – powiedziała.

Skinął głową. Ostatecznie mógł rozbić jej okręt gdziekolwiek. Trochę mu to wprawdzie krzyżowało plany.

Gdy tak stała, pochylona nad mapą, uległ złudzeniu, że widzi Ridaretę. Nie po raz pierwszy odniósł takie wrażenie. Były do siebie zdumiewająco podobne: Lerena i jej siostra jak dwie krople wody, a obie znów do Ridarety. Ten sam wzrost, te same sylwetki, te same włosy, podbródki, usta i oczy... Gdyby teraz Lerena zdjęła fular i zawiązała czarną opaskę, mógłby się pomylić nawet w pełnym świetle.

Były w tym samym wieku...

Fenomen, którego nie pojmował. Wszelkie próby wyjaśnienia zawiodły. Ridareta była brzemienna, gdy odnalazł ją na Małej Agarze. Wiedział, od kogo ta ciąża pochodzi, Ridareta zresztą tego nie tajiła. W każdym razie nie przed nim.

Ale ciąża trwała trzy miesiące. Potem także nic nie działo się normalnie. Córki Ridarety rosły, dojrzewały i doroślały – wszystko to trzy razy szybciej, niż wymagały prawa natury.

Co było przyczyną, nie wiedział.

Ridareta także nie wiedziała. Chociaż z drugiej strony... czuł, że dziewczyna ma jakąś tajemnicę.

Teraz, mając po osiem lat, córki Ridarety i Rapisa były z wyglądu, zachowania i rozumu dwudziestoczteroletnimi kobietami.

Niespełna dwadzieścia pięć lat miała ich matka.

Najdziwniejsze, że u bliźniaczek nie było znać braku doświadczenia. Czas – to bardzo ważny nauczyciel. Wiedzę można szybko przyswoić, ale pewne rzeczy trzeba jednak przeżyć. Odczuć na własnej skórze. Odbyć ileś rozmów, pozyskać i stracić przyjaciół, przeżyć radości i rozczarowania... Córki Ridarety jeszcze nie zdążyły. Odnosił niekiedy wrażenie, że przejęły doświadczenia wprost od matki. W bardzo dużej mierze... po prostu były nią. Jakimś cudem.

Lerena czasem mówiła o życiu tak, jakby sama została wygnana z rodzinnego domu, kradła, sprzedawała się za jedzenie... Jakby tego wszystkiego doświadczyła.

To musiało w jakiś sposób wiązać się z Rubinem. Ale przecież kontakt Ridarety z tym przeklętym Geerkoto był taki krótki!

Lerena wciąż patrzyła na mapę.

– Raladanie – powiedziała, a gdy podszedł, wskazała ręką na wschód i zachód od Szereru. – Co jest... tam?

– Bezmiary, pani.

– Bezmiary...

Uniosła głowę i już wiedział, o co zapyta.

– A dalej?

– Myślę, że nikt tego nie wie.

– Nie znamy żadnych lądów poza Szererem – mówiła jakby do siebie – ale czy to znaczy, że ich nie ma?

– Może są. Prawie na pewno. Niektórzy mówią, że jest wiele takich lądów jak Szerer. Ponoć każdy ma swoją, żyjącą nad nim potęgę, taką jak nasza Szerń.

– Czemu nikt ich nie szuka? Tych lądów?

– Wielu szukało, pani. Ale nigdy nie wrócił żaden statek z tych, które zapuściły się daleko na Bezmiar Wschodni lub Zachodni.

– Żaden?

– Była raz wyprawa na Bezmiar Północny... – Pilot się zamyślił.

– Co z nią?

– Ta historia jest tak stara, że połowa z niej to chyba legenda. Był raz żeglarz, którego imienia nikt już nie pamięta, nazwano go po prostu Żeglarzem Północnym. Wypłynął daleko na północ. Nikt nie wie, ile dni czy miesięcy trwała ta wyprawa. Słyszałem kiedyś w jakiejś tawernie śpiewkę o niej. Było tam, że „żeglował rok, potem drugi i trzeci”. To oczywiście bzdura, ale myślę, że to naprawdę mogło trwać kilka miesięcy. Podobno robiło się coraz zimniej, aż wreszcie na morzu pojawiła się kra, choć było lato. A potem już nie dało się płynąć, bo całe Bezmiary skuwał gruby lód. W ogóle nie zapadał zmierzch, był wieczny dzień...

– Chyba w to nie wierzysz?

– Chyba nie – przyznał. – Ale z drugiej strony tam musi coś być, na Bezmiarach. Coś, co sprawia, że statki nie wracają. Nie wiem czemu, ale zdaje mi się, że jest jakiś ląd... wielki ląd na wschodzie. Może nawet większy niż Szerer. Nie, nie wyjaśnię ci tego, pani – uprzedził pytanie. – Nie wiem, skąd to dziwne przeświadczenie. Czasem śnię mi się jakieś morza i wybrzeża, których na pewno nigdy nie widziałem. Albo trafiam w jakieś nowe miejsce i nagle przypomina mi się wszystko. A co do Żeglarza Północnego, to myślę, że gdyby cała ta historia była zmyślona od początku do końca, to byłyby w niej daleko większe dziwy niż tylko gruby lód.

– Potwory – podsunęła.

Skinął głową.

– Czy istnieją naprawdę? – pytała.

Znowu skinął głową.

– Ptaki, olbrzymie ptaki. Widział je także twój ojciec. Przemknęły nad nami i tyle je widzieliśmy.

– A inne? Opowiedz!

Była zaintrygowana jak dziecko.

Inne... Widział. Ale nie chciał o tym mówić.

– Nie teraz, pani. Nie na morzu.

– Powiedz tylko, jakie widziałeś – nalegała.

– Nie na morzu – powtórzył. – Opowiem ci, jak zejdziemy na ląd.

– Więc chociaż jak często je widziałeś?

– Tylko raz.

– Tylko raz? – była zawiedziona.

– Tylko raz. I mam nadzieję, że więcej nie zobaczę.

Zmarszczył brwi, bo owo wydarzenie znów stanęło mu przed oczami. Zawsze gdy je wspominał, gdzieś pod sercem wzbierał dziwny ból. Pamiętał tamten dzień najlepiej ze wszystkich, jakie przeżył. Nie tylko z racji tego, co wówczas zobaczył.

Był to pierwszy dzień, jaki pamiętał.

Trzydzieści bez mała lat minęło od tego czasu...

Nie wiedział, skąd pochodzi, kim jest, kim byli jego rodzice. Wyciągnięto go z morza, pierwsze twarze, jakie pamiętał, były twarzami załogi kupieckiego statku. Powiedziano mu potem, że

dojrzano go nagiego pośród fal, trzymającego kurczowo jakąś potrzaskaną deskę. Od jak dawna był w wodzie? Na jakim statku płynął i dokąd? Nie pamiętał.

Znał tylko język garyjski. I nie mówił jak prostak. Pytany nie umiał udzielić żadnych odpowiedzi. Dopiero gdy zapytano o imię, odparł z namysłem: Raladan.

Ale to wszystko nastąpiło później.

Wyciągnięto go na pokład. Półprzytomny widział pochylone twarze, które przybliżały się, to znów jakby odpływały. Wreszcie wróciła ostrość widzenia i zaraz potem usłyszał krzyk, mnogi i przejmujący. Zostawiono go na pokładzie, widział, jak wokół biegają ludzie, potem spadła na pokład kaskada wody, okręt niemal położył się na burcie, przewalił ciężko na drugą i wtedy on, Raladan, ujrzał, jak pod falami coś się miota, przewala, wreszcie morze pęka i pośród bryzgów piany i wodnego pyłu wynurza się – to COŚ...

Uznano potem, że żaglowiec którym płynął, został rozbity w drzazgi. I nikt już się nie dziwił, że jedyny rozbitek z tego statku, kilkunastoletni chłopak, stracił pamięć.

## ROZDZIAŁ 27



Wskazywał palcem widoczne już wejście do przesmyku. Patrzyła uważnie.

– Lepiej będzie, jeśli sam zajmę się sterem – powiedział. – Postaw, pani, kogoś pewnego na dziobie. Najlepiej stań sama. Daj chłopaka na ławę wantową.

Hałas pod kasztelem zagłuszył ostatnie słowa. Ktoś zaczął ryczeć tak przeraźliwie, jakby obdzierano go ze skóry. Jeden z majtków tarzał się u nadburcia, przyciskając dłoń do ucha, a raczej miejsca, w którym kiedyś było. Spod dłoni ciekła krew. Inny, chowając nóż, trzymał owo ucho w palcach, pokazując rechoczącym do utraty tchu kompanom. Zwabieni wybuchami śmiechu złązili się inni, zbiegowisko rosło.

– Pani... – zaczął Raladan.

Spojrzał na nią i zamilkł.

Usta miała rozchylone. Na dolnej wardze zawisła kropla śliny.

Nie potrafił powiedzieć, kiedy znalazła się na dole. Lewą ręką chwyciła trzymającego ucho osiłka za gardło, a prawą, zaciśniętą w pięść, uderzyła w zęby.

Śmiechy zgasły.

Podcięła majtkowi nogi i powaliła z siłą, jakiej nikt by się po niej nie spodziewał. Przerażony rzucił się pod nią i przetoczył na brzuch, ale znowu trzymała za gardło, przedramieniem, drugą ręką szarpnęła głowę w bok, chłopisko walnęło ramionami o deski i skonało ze skrzyconym karkiem. Tłukła głową trupa o pokład tak długo, aż twarz przemieniła się w miazgę, wtedy wyciągnęła miecz i przebiła ciało na wylot. Wstała, jednym szarpnięciem oddarła skraj koszuli i wytarła rękę. Pokrwawioną szmatę cisnęła za burtę.

Tłum majtków cofał się krok po kroku.

Raladan stał na kasztelu, spoglądając na plecy dziewczyny. Rozdarta koszula odsłaniała ogromny, wielobarwny tatuaż przedstawiający smoka. Potwór poruszył się, gdy piratka uniosła ramię, wskazując morze.

– Jeszcze jeden łyk wody i wszyscy wyskoczą za burtę – powiedziała.

W ciszy, przerywanej tylko stukiem krótkiej fali i skrzypieniem okrętu, usłyszano ją aż nadto wyraźnie.

Wciąż pokazując palcem wodę, wyciągnęła drugą rękę.

– Ty będziesz bosmanem. – Wyznaczony drągał otworzył usta i zamknął je zaraz, przełykając ślinę. – Jeśli zdarzy się jeszcze jedna bójka, lepiej skacz od razu do morza. Wtedy wyznaczę innego bosmana. Pilot do mnie!

Zszedł z kasztelu.

– W przesmyku ty dowodzisz.

– Tak, pani.

Rozstąpiono się pospiesznie, gdy poszła ku rufie. Raladan pozostał sam naprzeciw cichej, spokorniałej gromady.

– Tak, pani – powtórzył w przestrzeń, skrywając zadowolenie.

Skrywał też rozbawienie...

Wieczorem, gdy mieli już przed sobą czyste morze i mógł wreszcie zameldować się u kapitanowej, przypomniał sobie powód tamtej wesołości. Załomotał w drzwi kajuty.

– Tu Raladan – powiedział z uśmiechem.

Swoim zwyczajem siedziała na blacie stołu, mając skrzyżowanymi w kostkach nogami. Ujrzawszy pilota, odchyliła się do tyłu, opierając ramiona za plecami. Nie zaświtała jej w głowie myśl o zmianie koszuli; wypięte cycki, wyzierające spod żalonych strzępów, celowały mu sutkami prosto w nos. Lubiała obnosić się z nimi, to pewne.

– No, co tam? – zagadnęła.

– Przeszliśmy, pani – powiedział.

Odgarnęła włosy.

– Coś jeszcze?

Stał niezdecydowany, choć wiedział, że złość już jej przeszła. Trochę szkoda, bo w przeciwieństwie do załogi wielce cenił te wybuchy furii. No, chyba że dotyczyły jego.

– Mówże wreszcie! – zniecierpliwiła się.

– Czy wiesz, pani, kogo mianowałaś bosmanem?

Zmarszczyła brwi.

– Kogo?

– Niemowę, pani.

Patrzyła w milczeniu. Wyprostowała się i nagle przyłożyła dłoń do czoła.

– Jak ja mam teraz... to odwołać...? – zapytała, krztusząc się ze śmiechu.

– Nie wiem, pani – odparł, przygryzając usta.

Śmiali się do bólu mięśni brzucha.

## ROZDZIAŁ 28



**M**imo mroku okrywającego Brzeg Wisielców Lerena bez trudu odszukała właściwy dom, choć był równie ciemny i martwy jak inne. Jednakże nawet w nocy dało się zauważyć, iż ktoś dba, by nie popadł w ruinę.

Pomyślała, że to nieostrożne.

Pchnęła drzwi i zanurzyła się w mroczną czeluść. Spozobiegła smugę szarego światła i namacała kolejne drzwi. Otworzyła je. Z zewnątrz widziała, że okiennice są zamknięte. Teraz okazało się, że dodatkowo okna zasłonięto od środka.

Riolata wstała i wyszła jej naprzeciw. Jednocześnie wyciągnęły ręce, objęły się i pocałowały.

– Zbyt długo to trwało – powiedziały.

Roześmiały się. Riolata odsunęła nieco siostrę.

– Powiedz, szybko, powiedz...

– Rio-la-ta.

– Na Szerń, jak dobrze znowu usłyszeć swoje imię, prawdziwe imię... Nigdy go nie słyszę.

Jeszcze raz się objęły.

Usiadły przy stole twarzą w twarz. Patrzyły zachłannie.

– Wypiękniałam – powiedziała Lerena.

– Wypiękniałam – powtórzyła jak echo tamta.

Poprzez stół ujęły się za ręce.

– Omal nie pokrzyżowałaś mi planów – powiedziała Riolata. – Zabiłaś Berera.

– Omal nie pokrzyżowałam? Co znaczy: omal?

– Wydobyłam skarb ojca. Mam go. Syn Berera narysował mi mapę.



Lerena zacisnęła dłoń.

– Nie wierzę.

Riolata położyła na stole skórzaną sakwę.

– To dla ciebie.

Lerena sięgnęła do środka i wydobyła garść klejnotów. Przybladła.

– To... jałmużna? – zapytała przez zaciśnięte zęby.

Riolata sposepniała.

– Dlaczego tak to rozumiesz? Wykorzystałam skarb do swoich celów, jest już rozdysponowany. Oto, co zostało. Dotąd nie sprawiłam sobie nawet nowej kiecki. Może teraz bym mogła, ale chcę, żebyś ty to wzięła.

Lerena rzuciła klejnoty na podłogę.

– Kpisz, dziwko? – wysyczała.

Riolata parsknęła śmiechem.

– Pewnie, że kpię – powiedziała. – Na Szerń, siostrzyczko, przecież muszę się nacieszyć widokiem twojej zawiedzionej buzi.

Lerena się uspokoiła.

– Chcę wiedzieć, gdzie był – zażądała. – I jaki był. To mi się należy.

– Niedaleko od miejsca, gdzie puściłaś na dno statek Berera.

– Tyle to sama się domyślam.

– Barirra. Wyspa Demona Walki. Własność ojca.

Lerena zastygła.

– Prawda, jakie to proste? – Riolata się śmiała.

– Żarty. Setka ludzi już na to wpadła i setka ludzi tam była.

– Źle szukali.

– A ty szukałaś dobrze.

Riolata skinęła głową.

– Pocieszę cię: mniej, niż sądziłyśmy. Trzy skrzynie. Co prawda duże skrzynie.

Oczy Lereny przygasły.

– Dziwka – powtórzyła po chwili. – Głupia dziwka. Czemu zawsze tobie się wszystko udaje? Nie wierzę, że straciłaś już cały skarb. Pilnij tej reszty, bo przejdę samą siebie, żeby ci ją wydrzeć.

Riolata pochyliła się nagle.

– Nie przeholuj – powiedziała cicho. – Nawet przywiązanie do siostry ma swoje granice, Lereo.

Piratka powolutku naplula na stół.

Milczały.

Riolata cofnęła się z uśmiechem.

– A twój luby? – zapytała lekko.

Lerena od razu się wściekła.

– Z daleka! Od niego z daleka. Jest mój.

– Ależ jest, jest twój, nie chcę go! Jest twój... o ile, rzecz jasna, twoim może być człowiek naszej mamy.

– Na wszystkie morza świata – powiedziała Lerena, spoglądając dokoła – co ja robię w towarzystwie kurwy?

Zerwała się, przeszła dwa kroki i podniosła z podłogi wisiołek na srebrnym łańcuszku. Zaśmiała się fałszywie, zresztą ten śmiech przerodził się zaraz w zgrzytnięcie zębami. Uniosła klejnot do oczu, po czym cisnęła nagle, trafiając tamtą w twarz. Przyskoczyła z pazurami.

Żadna nie wydała krzyku czy jęku, słyhać było tylko stęknienia i ciężkie oddechy. Toczyły się po podłodze. Lerena przygniotła siostrę i zamierzyła się. Riolata ściągnęła ją za włosy w dół, po czym poderwała ciało, uderzając głową. Zerwały się i stały twarzą w twarz. Teraz tłukły po męsku pięściami, na zmianę, nie unikając i nie parując ciosów. Wymieniły ich po kilka.

Stały pokrwawione, z rozbitymi ustami, zmierzwionymi włosami i drżącymi, pościeranymi dłońmi, zaciśniętymi do nowych razów. Dyszały.

– Wystarczy – powiedziały.

Uśmiechnęły się krzywo, objęły i zataczając się, wyszły przed budynek.

– Ten dom... wygląda jak nowy... – rzekła urywanie Lerena. – Zmień to.

Oparła czoło o czoło siostry. Stały tak jakiś czas, potem poszły umyć się w morzu.

– Chodź – rzekła wreszcie Lerena. – Ja też mam dla ciebie niespodziankę. Nie wiesz jeszcze, że mamy starszą siostrę. O tak,

dobrze usłyszałaś.

Wróciły do izby.

o o o

Raladan stał jak wryty na progu kajuty.

– No, no – powiedział tylko.

Siedziała na posłaniu, przykładając mokrą szmatę do ramienia. Gdy odrywała rękę, widział obtartą aż do łokcia skórę. Uniosła głowę, pokazując olbrzymi siniak pod lewym okiem i drugi wokół prawego. Trzeci zdobił podbródek. Uśmiechnęła się niewyraźnie opuchniętymi wargami.

– No, no – powtórzył.

Wyszedł i po chwili wrócił z kubkiem wódki. Posłusznie uniosła ramię. Było spuchnięte. Polał obtarcia gorzałą; Lerena zasyczała.

– To żołnierski sposób – wyjaśnił – zapamiętaj go. Wódka wypala ranę, nie powinna się jątrzyć. Takim głupstwem jak to obtarcie nie warto się przejmować, chciałem cię tylko pomęczyć. Powiniennem wygarbować ci tyłek. Bo pobiłaś się z siostrzyczką, niech zgadnę? O zabawkę?

Potrząsnęła głową.

– Nic mi nie będzie – rzuciła niecierpliwie. – Siadaj. Czekał. Pomóż mi włożyć koszulę, wszystko mnie boli... Żadna z tobą rozmowa, kiedy zamiast myśleć, gapisz się na moje gołe cycki.

Zerknął z ukosa... ale mówiła poważnie.

Powtórzyła mu rozmowę z Riolatą.

– Teraz nie wiem, komu mam wierzyć: tobie czy jej? Trzy skrzynie czy sześć, a na nich jakieś inne graty?

Skinęła głową, uprzedzając odpowiedź.

– Nie, Raladanie, wiem dobrze... Skarb jest tam, gdzie był, a ona nie tylko, że go nie ma, ale nawet nie wie, gdzie szukać. Chciała zyskać na czasie.

Siedział zamyślony.

– Jutro wypływa w morze jej żaglowiec – powiedział.

– Mówiła mi. Do Armektu po zboże. Moja siostra to kupiec całą gębą. A w ogóle to przybrała sobie imię Semena. Zupełnie jak to miasto w Dartanie.

– Wierzysz w to, pani?

– Że jest kupcem? No, interes prowadzi ktoś inny...

– Wierzysz w to, że ten statek idzie do Armektu? To piękna, szybka karawela. Takich statków nie używa się do wożenia zboża.

– Używa tego, co ma. O co chodzi?

– Uważasz swoją siostrę za głupią, pani?

Patrzyła pytająco.

– Boję się, że ona jednak wie, gdzie jest skarb – wyjaśnił. – Myślisz, że dałaby się złapać w tak głupi sposób, jak wyliczanie skrzyń ze złotem? Wiedziała dobrze, że jej nie uwierzysz, bardzo się o to starała.

– O czym ty mówisz, Raladan?

– O tym, że ta karawela płynie po skarb, pani. Twoja siostra musiała wiedzieć, że ten statek wzbudzi podejrzenia, chciała je odsunąć. Więc zrobiła wszystko, co mogła, by ci udowodnić, że nie wie, gdzie szukać skarbu.

Lerena milczała. Wstała i delikatnie muskając palcami obolałe ramię, zrobiła dwa powolne kroki. Smok z jej pleców patrzył na pilota trójkątnymi ślepiami poprzez dziury w podartej koszuli. Prawdziwy mistrz wykonał ten tatuaż, to nie były prymitywne marynarskie nacięcia zabarwione na sino, bardziej będące bliznami niż rysunkiem. Takie tatuaże, wielobarwne, doskonałe, robiono w Dartanie. Pięciu, a może dziesięciu ludzi parało się jeszcze tą niezwykłą sztuką, umierającą powoli, lecz nieuchronnie. Cena jednego rysunku była przerażająca.

– Masz rację. Ty masz rację, a ja jestem... Dałam się oszukać. Oczywiście. Gdyby naprawdę miała skarb, nie powiedziałaby mi o tym. Wiedziała, że to mnie zdziwi, wiedziała, że nie uwierzę.

Odwróciła się twarzą ku niemu.

– Ty masz rację – powtórzyła raz jeszcze. – Podnosimy kotwicę, Raladan. Wkrótce świt. Musimy wpłynąć do portu w Doronie, bez względu na ryzyko.

– Ryzyko? Nie poznaję cię, pani. Opanuj się, Dorona to nie Dran. Nie możemy tam zawinąć, bo już nie wypłyniemy. Zresztą nie mamy tam nic do roboty.

– Trzeba jej przeszkodzić.

– Jak? I po co? Może lepiej niech doprowadzi nas do skarbu.

– Wiesz równie dobrze jak ja, że „Gwiazda Zachodu” nie dogoni tej karaweli.

– Posłuchaj, pani: wiem, co można i co trzeba zrobić. Ale jeśli będziesz przerywać mi po każdym słowie, to twoja siostra wróci ze skarbem, a my wciąż będziemy tu stali.

Nieoczekiwanie olśniła go szerokim, choć porozbijanym uśmiechem.

– Dobrze, kapitanie Raladan. Słucham pilnie.

Krótko przedstawił plan.

## ROZDZIAŁ 29



**D**ran, podobnie jak Dorona i wiele innych miast Garry, był pierwotnie miastem obronnym. Mury, teraz już mocno zaniedbane, obejmowały port i zabudowania nazwane później Starą Dzielnicą.

Dran zawsze był ważnym portem, lecz poza tym miastem niedużym. Gwałtowny jego rozrost zaczął się wraz z włączeniem Garry do Wiecznego Cesarstwa. Jako najbardziej na północ wysunięte, a zatem leżące najbliżej wybrzeży Dartanu i Armektu miasto Garry, szybko stał się ważnym ośrodkiem handlowym, tym bardziej że szeroko rozlany, leniwie toczący swe wody Bahar, będący największą rzeką wyspy, umożliwiał szybki i tani przewóz towarów w głąb lądu. Miasto urosło, ale po niedługim okresie świetności podupadło. Może powodem było właśnie, o ironio, położenie na zbiegu najważniejszych morskich szlaków imperium. Dość, że stało się ulubionym siedliskiem wszelkich szumowin: wyrzuconych ze statków marynarzy, szukających okazji do nowego zaciągu; zwolnionych ze służby za różne sprawki żołnierzy, oferujących kupcom swe miecze wraz z obietnicami opieki nad towarem; różnych włóczęgów i rzezimieszków, liczących na łatwy łup w portowym tłumie; żebraków, będących tu istną plagą; wszelkiego rodzaju oszustów i naciągaczy, a wreszcie – rzecz naturalna w dużym portowym mieście – całych zastępów kurew w każdym wieku: od lat dziesięciu do osiemdziesięciu.

Rozbrzmiewały w Dranie wszystkie języki Szereru. Dźwięczny, brzęczący jak srebro armektański splatał się z gardłowym brzmieniem garyjskiego, zniekształcanego na tyle sposobów, ile było wysp. W tle tego melodyjnie płynęły dartańskie samogłoski. Czasem nawet dało się usłyszeć twardy akcent Grombelardczyka, przybysza

z najodleglejszej krainy imperium. Nad tym wszystkim górował kinen, obficie przetykany słówkami z innych języków.

Wojskowy garnizon Dranu był największy w całej prowincji. Lecz cóż z tego? Do służby w tak podłym miejscu „zsyłano” niejako za karę... W efekcie był tu najgorszy element żołnierski, jaki można sobie wyobrazić. Oficerowie robili wszystko, by wydostać się z tego śmietnika, komendantem zaś zostawał zwykle jakiś uczciwy człowiek, któremu nie starczyło sił i sprytu, by kupić lub zdobyć dla siebie miłe, ciepłe stanowisko z nadzieją na szybki awans. Nieszczęśnik ów robił, co w ludzkiej mocy, ale lumpy, którymi dowodził, raczej popełniały przestępstwa, niż im zapobiegały. Dezercja szerzyła się straszliwie – rzecz w innych krainach Szereru niebywała. Prędzej czy później każdy wojskowy komendant Dranu bądź rezygnował z kariery wojskowej, bądź stosował się do starego przysłowia: „Jeśli wejdiesz między wrony...”.

Była jednak w Dranie Stara Dzielnica. Miasto w mieście.

W Starej Dzielnicy mieściło się wielkie gmazysko Trybunału Imperialnego. Było kilka pałaców (dość siermiężnych, zaiste po garyjsku), będących własnością starych miejscowych rodów. Była też twierdza więzienna, największa i najcięższa na wyspie. W Starej Dzielnicy stacjonowała kolumna – stu ludzi – żołnierzy Gwardii Garyjskiej, podległych nie komendantowi legii w Dranie, lecz bezpośrednio Księciu Przedstawicielowi Cesarza w Doronie, a faktycznie jego namiestnikowi. Byli to najlepsi żołnierze w tej części imperium.

W Starej Dzielnicy obowiązywały szczególne prawa. Włóczęstwo i żebractwo ścigano i karano z całą surowością. W nocy i za dnia po ulicach krążyły silne patrole. Marzeniem każdego kupca było mieć swój kantor w Starej Dzielnicy, marzeniem każdego rzemieślnika było mieć tam swój warsztat. Jednakże, nawet jeśli jakiś dom szedł na sprzedaż, jego cena przekraczała cenę pałacu gdzie indziej.

Tego samego dnia, kiedy „Gwiazda Zachodu” opuściła Dran, kierując się w stronę Dorony, przed gmachem Trybunału pojawił się

jakiś człowiek okryty obszerną peleryną z kapturem. Zamienił kilka cichych słów z gwardzistami przy wejściu. Przepuszczono go.

Kilkakrotnie jeszcze zakapturzona postać mijała warty przy drzwiach. Ostatni posterunek stał przy dość szerokich schodach, wiodących łagodnym łukiem w dół. U podnóża owych schodów zaczynał się korytarz, bardzo surowy, oświetlony kagankami w niszach ściennych. Z korytarza liczne drzwi prowadziły do sal.

Człowiek w pelerynie, poprzedzany przez gwardzistę, zniknął za jednymi z tych drzwi.

Po chwili żołnierz wrócił na wartę.

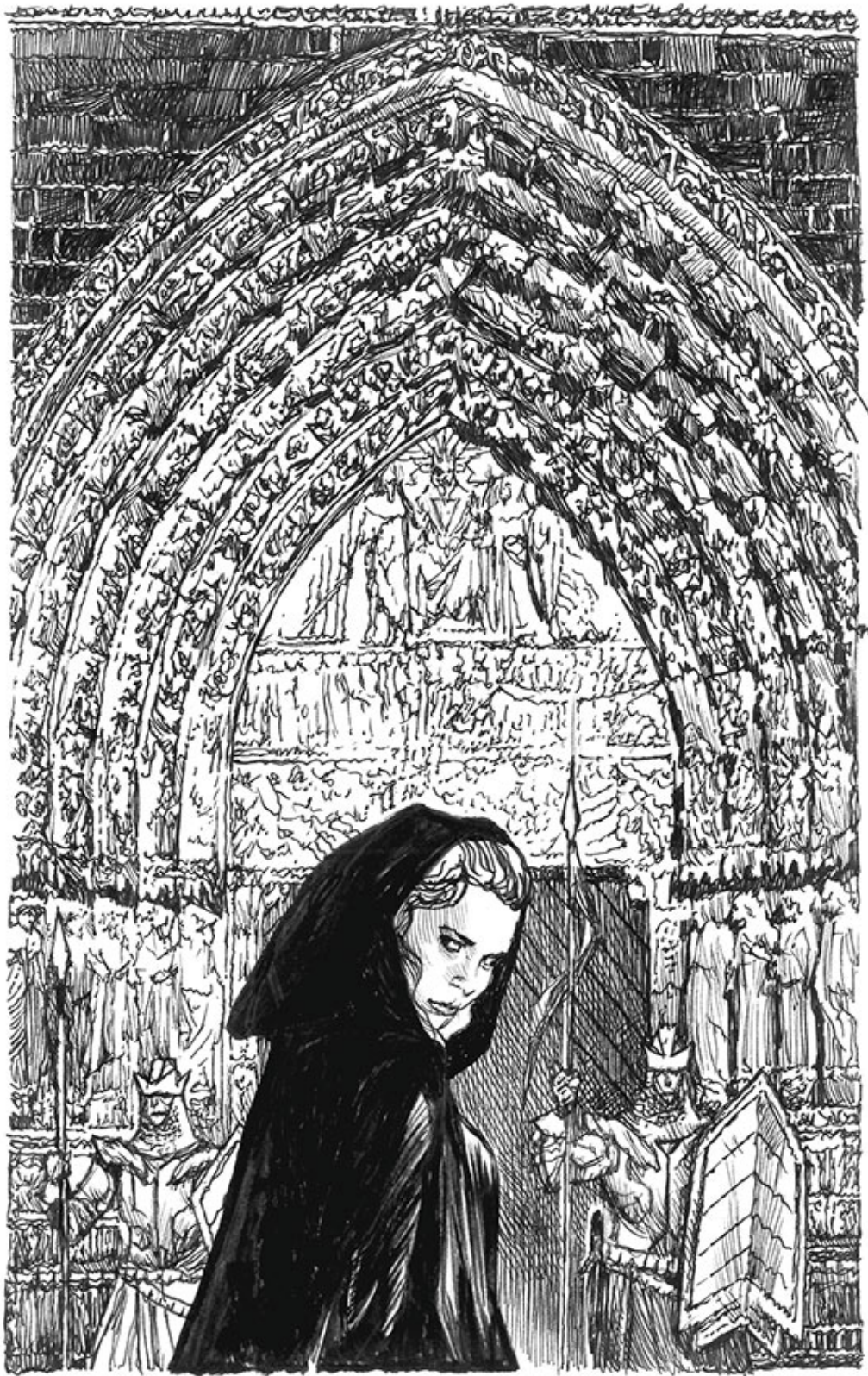
Sala była urządzona z przepychem zgoła zdumiewającym wobec ubóstwa korytarza. Przepyszny dartański kobierzec pokrywał część kamiennej posadzki (nie pasując zresztą do niej wcale), wzdłuż wszystkich ścian stały posągi wyobrażające kilkunastu największych władców Armektu i Wiecznego Cesarstwa. Ściany i sufit obito aksamitem. Pośrodku komnaty znajdował się wielki stół z czerwonego drewna bukowego. Wokół stołu stały liczne krzesła, bardzo bogato rzeźbione. W srebrnych kandelabrach płonęło niewiele świec, ale to dlatego, że ich blask uzupełniały dwie Latarnie w ozdobnych stojakach – Porzucone Przedmioty, nie tak często spotykane jak Listki Szczęścia, ale równie użyteczne. Każda z tych wielkich chropowatych „szyszek” mogła zastąpić światło wielu świec.

Trzy krzesła były zajęte, siedzieli na nich dwaj mężczyźni, jeden w wieku lat pięćdziesięciu kilku, drugi znacznie młodszy, i czterdziestoletnia kobieta. Stroje mężczyzn były raczej skromne, za to suknia kobiety kosztować musiała fortunę. Niewiele miała wspólnego z armektańskim umiłowaniem prostoty. Także i sala urządzona była nie po armektańsku; właścicielka królewskiego stroju bez dwóch zdań musiała mieć wpływ na urządzenie tego wnętrza.

Człowiek w pelerynie podszedł do stołu i zsunął kaptur, ukazując kobiecą, jasnowłosą głowę.

Siedzący patrzyli przez chwilę w milczeniu.





– Piękna buzia – rzekł wreszcie młodszy z mężczyzn.

– Nieoszacowane zdolności – podkreślił drugi, karcąc tamtego wzrokiem. Mówił po armektańsku. – Prosiłem cię, pani, byś przyszła, bo tym razem ja mam dla ciebie wiadomość.

Kobieta zdziwiła się.

– Nie ma w tym nic szczególnego, że dbam o ludzi zdolnych – wyjaśnił mężczyzna. – Może zainteresuje waszą godność fakt, że człowiek o nazwisku M.Vard, setnik i były kapitan żaglowca straży morskiej, przybył przedwczoraj do Dranu na pokładzie statku płynącego z Agarów.

– Myślę, Alido, że on szuka ciebie – uzupełniła obsypana klejnotami kobieta przy stole. – Oczywiście może to zwykły przypadek. – Mówiła z bardzo słabym, prawie nieuchwytnym akcentem dartańskim.

– Nie wierzę w to – powiedziała przybyła. – Nie wierzę w takie przypadki.

– Co zamierzasz, pani? – zapytał młody człowiek. – Najlepiej chyba byłoby go pojmać.

Spojrzała dziwnie, kręcąc głową.

– Nie, panie. Niech działa. To ciekawe, skąd wiedział, gdzie mnie szukać. Tak długo, jak długo jest wolny...

– Uważasz, pani, że coś więcej może się w tym kryć? – przerwał tamten.

Przez krótką chwilę milczała.

– Nie przerywaj mi, panie, gdy mówię.

Młody człowiek spojrzał zdumiony na swych towarzyszy. Mężczyzna miał twarz jak z kamienia, kobieta stłumiła śmiech.

– Chcę trzech ludzi, którzy go odnajdą i nie spuszczą z oka – powiedziała Alida.

– Masz moją zgodę. – Starszy mężczyzna skinął głową. – Sama ich wybierz, pani. Zalecam ostrożność. Nie chcę cię stracić.

– Ten człowiek nie jest zbyt groźny.

– No... nie wiem. Przez kilka miesięcy pracował w kopalni na Agarach. Z własnej woli, po siedmiu latach niewolniczej pracy w tym miejscu. Taki człowiek może bardzo wiele.

– Będę ostrożna.

Gdy wyszła, młody mężczyzna uniósł ręce.

– Kim ona jest, na Szerń?

– To kobieta szlchetnego rodu, Nalwez. Na tej wyspie to dużo znaczy. W Armekcie wszystkich wolnych ludzi uważamy za równych, przynajmniej nominalnie. Tutaj tak nie jest. Jeszcze się nie nauczyłeś?

– Garyjka?

– Półkrwi Armektanka. Zachowałeś się nieodpowiednio.

– Jej ton...

– Bardzo mi się podobał. I jak ją znam, użyłaby go wobec każdego. Czasem zapominasz, gdzie jesteś, i nie umiesz poznać, z kim rozmawiasz. Strofuję cię z racji wieku i nabytego tutaj doświadczenia, więc mi przebacz.

– Mówiłeś, panie, że jest prostytutką? Teraz ja zauważę, że Garra to nie Armekt. Tutaj ta profesja nie cieszy się poważaniem.

– Owszem, jest prostytutką. Jest też najbardziej niebezpiecznym człowiekiem, jakiego znam. To królowa intrygi i podstępu, a musisz jeszcze wiedzieć, że nigdy i niczego nie zapomina. I pomyśleć, że mój poprzednik wysłał ją na takie Agary, gdzie marnowała się przez tyle lat! – dorzucił.

Przez chwilę panowało milczenie.

– Jak trafiła tutaj? I kim jest ten... kapitan?

– Jemu właśnie zawdzięczamy odkrycie jej – odpowiedziała kobieta. – Była drogą kurwą na Agarach – swobodnie użyła wulgarnego słowa – tylko kilka osób znało jej prawdziwą twarz. Przeprowadzała pewien plan, kiedy ten głupiec... ten kapitan, pojmał ją i posłał do więzienia. Zdaje się, że przekupili go piraci. W każdym razie wojsko działało wyjątkowo zręcznie, rzecz rzadka. – Znów się uśmiechnęła. – Trochę potrwało, nim sprawę wyjaśniono. Była cała wojna między tamtejszym komendantem a Trybunałem, komendant stracił stanowisko, tego Varda zaś... Alida posłała do kopalń. Trochę to okrutne, ale głupców jednak należy usuwać.

Vard nie był już głupcem. Siedem lat w kopalniach nauczyło go patrzeć na życie inaczej. Było w tym spojrzeniu wiele goryczy. Był też gniew.

Gdy Ik Berr stracił stanowisko komendanta straży morskiej, na Agarach natychmiast odżyły pomówienia o nieudolne dowodzenie okrętem. Następcą Berra, protegowany Trybunału, uznał zasadność oskarżeń. Varda zwolniono ze służby. Tym samym nie był już dla Trybunału człowiekiem nietykalnym. Oskarżony kolejno o udzielenie pomocy członkowi załogi pirackiego okrętu, dopomożenie w ucieczce piratki z Małej Agary i później z Agarów w ogóle, o przyczynienie się do zaginięcia cesarskiego urzędnika, wreszcie o nieuzasadnione zatrzymanie powszechnie szanowanej mieszkanki Aheli, szlachetnej Erry Alidy, został skazany i niezwłocznie zesłany do kopalń.

Dzień wcześniej Alida osobiście odwiedziła go w celi. Wiedział już wtedy, kim jest ta kobieta.

„Głupio zrobiłeś, panie, mieszając się w sprawy, które cię przerastają” – powiedziała. „Byłam jedynym użytecznym instrumentem Trybunału na Agarach, bo ci starcy, których wszyscy znają, mogą sądzić, ale nie wykrywać zbrodnie. Teraz moja misja skończona. Nikt już nie przyjdzie do najdroższej dziwki w Aheli ze zleceniem usunięcia człowieka”.

„Ile takich zleceń wykonałaś?” – zapytał.

„Trochę” – odparła lekceważąco. „Ale usunięto ludzi bez żadnego znaczenia. Przyjęcie tych zleceń nie zagrażało interesom imperium. Bywali jednak u mnie ludzie żądający... o, niezwykłych rzeczy. Domyślasz się zapewne, co spotkało owych zleceńodawców. Agary są małe. Ale ludzie tu żyjący mają czasem wielkie plany”.

Ujrzał ironiczny uśmiech na jej ustach.

„Umrzesz w kopalniach” – powiedziała krótko.

Z dłońmi wiszącymi na przymocowanych do ściany łańcuchach stał, pomimo omdlewających nóg, wyprostowany.

„Wyrok już zapadł” – wyjaśniła. „Jutro go usłyszysz. Może jednak... mogłabym go złagodzić. Potrafię bardzo wiele”.

Czekała, ale się nie odezwał.

„Dokąd popłynęli?” – zapytała.

Nie wiedział. Ale nawet gdyby wiedział, nie usłyszałyby nic na ten temat.

Milczał.

„Dotąd nie przesłuchano cię, panie... Albo raczej przesłuchano tylko na niby. Są tu miejsca, gdzie łamie się najtwardszych”.

Skrzywił usta.

„Nie strasz. Jestem mężczyzną Czystej Krwi. Nawet wy nie możecie torturować mnie bezkarnie. Wiadomość o miejscu, do którego uciekli jakiś mały pirat i dziewczyna, nie jest warta wytoczenia Czystej Krwi na sali tortur”.

„Czyżby?”

„Może w Doronie. Może tam są ludzie postawieni dość wysoko, by pozwolić sobie na podobne bezprawie. Ale tu nikogo takiego nie widzę. Tu są Agary, Czysta Krew na Agarach jest w cenie. Dobrze wiesz, bo płacono ci za nazwisko. Przecież chyba nie za urodę, szlachetna?”

Podeszła szybko i napluła mu w twarz.

Od tej pory już jej nie widział. Miesiąc później trafił do kopalń.

Wokół umierali ludzie. Wolni górnicy, pracujący ciężko, opłacani byli jednak przyzwoicie. Inaczej niewolnicy, ci otrzymywali tylko jadło i odzienie. Dbano o nich jednak: po każdym sześciu dniach pracy siódmy był dniem odpoczynku. Byli własnością cesarza. Oszczędzano ich; straszliwe opowieści o morderczej pracy niewolników tylko częściowo pokrywały się z prawdą – człowiek, którego zamęczono na śmierć, był już przecież tylko bezwartościowym trupem. Obarczanie niewolnika pracą ponad siły po prostu się nie opłacało.

Co innego więźniowie. Ich pobyt w kopalni należało wyzyskać do ostatniej kropli potu i krwi, pracowali więc dzień po dniu, tydzień po tygodniu, miesiąc po miesiącu. Umierali, ściągając na współtowarzyszy dodatkową pracę przy pochówku.

Vard wiedział od zawsze o więźniach w kopalni. Nigdy jednak nie zastanawiał się, jacy właściwie ludzie tam trafiają. Nigdy o to nie pytał. Był żołnierzem, ścigał przestępców, schwytanych oddawał w ręce urzędników Trybunału Imperialnego. Nic więcej go nie obchodziło.

Potem sam został przestępcą.

Mordercy do kopalń nie trafiali. Morderców wieszano. Także wszelkich rozbójników, piratów – choćby nawet ręce mieli niepobrudzone krwią, bo nikt tego nie sprawdzał, wystarczyła sama przynależność do załogi pirackiego żaglowca. Razem z Vardem pracowali ludzie, którzy na sumieniu mieli kradzieże, bezprawne polowanie na cesarską zwierzynę, bezprawne łowienie cesarskich ryb, próbę oszukania cesarskiego poborcy. Raczej krętacze niż bandyci; prędzej naciągacze niż rabusie. Przez rok najbliższym towarzyszem Varda był niesolidny kupiec. Przeżył. Odpokutował swoje i opuścił kopalnie.

Inni tyle szczęścia nie mieli. Młodzi chłopcy i ludzie wątli bądź starsi umierali zwykle po kilku miesiącach. Zdrowi, silni mężczyźni dogasali powoli. Jeśli nie zabiły ich choroby, pracowali mozolnie, dzień po dniu... Byle do jesieni. Jesienią tempo pracy malało. Statki nie przyływały, a składy w Aheli nie były duże. Jesień przynosiła nieco ulgi.

Spośród ludzi, których Vard poznał, stając po raz pierwszy do pracy, po tych siedmiu latach żyło jeszcze trzech. Kilku innych zwolniono po odbyciu kary.

W imperialnych kopalniach i kamieniołomach zawsze brakowało rąk do pracy. Surowe prawo przyszło z pomocą. Za kradzież kury dostawało się baty, lecz poważniejsze przestępstwa winowajca musiał odpracować.

Vard był mężczyzną Czystej Krwi. Temu tylko zawdzięczał, że skazano go na lat siedem, nie dziesięć. Traktowano go też lepiej, daleko lepiej niż innych. Komendant legii znał go dobrze jako kolegę oficera, żołnierze i nadzorcy również widzieli w Vardzie byłego dowódcę imperialnego żaglowca. Przydzielano go do prac lekkich, posyłano z wozami do Aheli, gdzie brał udział w rozładunku.

Gdy został zwolniony z kopalń, komendant legii, stale siedzący w Arbie, wezwał go do siebie. Był to ten sam, posunięty już mocno w latach człowiek, który dzielił władzę na wyspach jeszcze z Berrem.

– Kapitanie – powiedział – do straży morskiej nie możesz już wrócić, nie zostaniesz też przyjęty do legii. Ale mogę cię polecić kapitanom statków zawijających do Aheli. Stary już jestem i obojętne mi zdanie Trybunału na ten temat. Wprawdzie oficcerskie stanowisko na żaglowcu wożącym miedź nie jest czymś szczególnie wartym pożądania, niemniej jednak...

Vard milczał.

– Tak myślałem – podjął tamten z westchnieniem. – Jestem tu kimś w rodzaju więziennego dozorca. Nie żyw urazy, że spełniłem swój obowiązek.

Vard potrząsnął głową.

Komendant westchnął raz jeszcze.

– Co mogę dla ciebie zrobić, synu? Pieniądzy przecież nie przyjmiesz, zresztą cóż ja ci mógłbym dać? Uwierz jednak, że jestem ci życzliwy. Trybunał...

Zamilkł. Ciągnął po chwili:

– Uznałbyś moje słowa za prowokację. Lepiej ich nie wypowiem. Co mogę zrobić dla waszej godności?

– Dwie rzeczy, komendancie.

Starzec natychmiast pochylił się ku niemu; Vard widział, że ten człowiek naprawdę nie życzy mu źle.

– Muszę teraz pójść do Aheli, zobaczyć grób matki. Ale potem wrócę. Mój majątek przepadł. Chcę pracować w kopalni, panie. Czy otrzymam poręczenie waszej godności?

Żołnierz patrzył zaskoczony.

– Młodzińcze... Czy wiesz, co mówisz?

Vard milczał wyczekująco.

– Mężczyzna czystej Krwi... w kopalni miedzi?

– Czy otrzymam pracę jako wolny górnik?

– Co mówisz, panie... Oczywiście, natychmiast. Ale naprawdę nie wiem...

Vard podziękował skinieniem.

– A drugie życzenie?

Były więzień odwrócił wzrok.

– Prośba, komendancie. Czy mógłbyś, panie, zdobyć dla mnie wiadomość o miejscu pobytu... tej kobiety?

Zaległa cisza.

– Żołnierz tego nie słyszał – rzekł komendant. Trochę uroczyście zdjął mundurową tunikę, złożył ją starannie i schował. Dopiero wtedy znów spojrzał na Varda. – Dobrze, kapitanie.



## ROZDZIAŁ 30



„Seila”, lekka i zwrotna karawela, nazwana tak od imienia jednej z legendarnych córek Szerni, zesłanych do walki ze złem, płynęła półwiatrem na południe. Dartańskie legendy mówiły, że najpiękniejszą córą Szerni była Rollayna, starsza siostra Seili. Być może. Trudno jednak zaprzeczyć, że „Seila” była jednym z najzgrabniejszych statków, jakie kiedykolwiek widziano na tych wodach. Na trzech masztach niosła trzy skośne żagle typu llapmańskiego. Wszystkie żagle miały barwę białą, właściwą dla statków handlowych, pośrodku każdego widniał jasnozielony znak I. Żagle skośne, mniej przydatne do dalekich rejsów, zwłaszcza w okresie stałych, zimowych wiatrów, wymagały jednak mniej pracy niż żagle rejowe. Toteż całą załogę karaweli, wraz ze zbrojną eskortą, stanowiło trzydziestu ludzi, więcej nie było trzeba. Tym bardziej że statek poza jednym małym działkiem na dziobie nie dźwigał uzbrojenia; najlepszą jego obroną była szybkość.

„Seila”, pochylona mocno na prawą burtę, gładko cięła fale spokojnego morza, zostawiając za rufą spienioną białą wstęgę. Kilka mil przed dziobem, od nawietrznej, wyłaniały się z porannej mgły przysadziste kształty jakichś lądów. Statek lekko wyostrzył i poszedł prosto w ich stronę. Na lewym trawersie miał samotną kamienistą wysepkę. Skrzętnie zaznaczano ją na wszystkich mapach, otoczona była bowiem wieńcem groźnych podwodnych skał.

Wiele okrętów poszło tutaj na dno.

W cieniu owej posępnej wysepki, wtopiona w ciemne tło urwistego brzegu, stała na kotwicy duża hoga z nagimi masztami. Wyżej, na szczycie klifu, dwoje ludzi pilnie śledziło śmigłą karawelę.

– Podziwiam cię – powiedziała Lerena. – Jeszcze raz zapytam: skąd wiedziałeś?

Pilot wzruszył ramionami.

– Nie wiedziałem. Domyślałem się tylko. A ty nie, pani? Berer musiał płynąć tym szlakiem, chyba że wracał z Zachodniego Bezmiaru. Nie bardzo w to wierzyłem. Jeśli więc płynął od Wysp Południowych, musiał płynąć tym szlakiem, bo to najkrótsza droga do Dorony.

– Nie najkrótsza... – zauważyła.

– Najkrótsza znana droga – zgodził się. – Nikt nie pływa wzdłuż zachodnich brzegów Garry. Gdyby wydobyć na powierzchnię wszystkie wraki, jakie tam leżą, można by po ich pokładach suchą nogą dojść tutaj.

Podziwiali gładki bieg statku z białymi żaglami.

– Ale to oznacza, że od dawna już domyślasz się, gdzie może być skarb.

– Nie udawaj, pani, że ty się nie domyślasz.

Skinęła głową.

– Jednak Archipelag Południowy to kilkaset wysp i wysepek.

– Właśnie.

– Może to rzeczywiście Barirra?

– Wątpię, pani. Nie, pani. To byłoby zbyt proste. A ponadto...

– Mój ojciec nie był głupcem, Raładanie. Wiedział, że każdy powie: to zbyt proste.

– Zapominasz, że znałem twojego ojca, pani. To na pewno nie Barirra.

Patrzyła mu w twarz długo, z coraz większą nieufnością.

– Dlaczego tak usilnie próbujesz wybić mi ten pomysł z głowy?

Znów wzruszył ramionami.

– Jeśli chcesz, możemy sprawdzić. Ale znam Barirrę. Nasza mapa pokazuje wnętrze innej wyspy, chyba zresztą mniejszej. I powtarzam: znałem twego ojca. Zdobył Barirrę, walcząc ze wszystkimi wojskami Garry. Potem zawijaliśmy tam parę razy, żeby wywiesić nową banderę, ale kapitan nawet nie schodził z pokładu. Bawiła go myśl, że całą tę wojnę rozpętał i wygrał ot, tak sobie, dla

kaprysu. Nie schowałyby na tej wyspie nawet pary starych butów, bo musiałyby sam sobie powiedzieć, że walczył... no, po coś. Nie dla zachcianki. To by odebrało zwycięstwu cały smak.

Patrzyła jeszcze przez chwilę, potem skinęła głową.

– Co teraz?

Znów spojrzeli na tnącą toń morza karawelę.

– Piękny okręt.

– Statek.

– Ma działo.

– No, to już okręt.

Milczeli.

– Tak jak ustaliliśmy: gdy zniknie nam z oczu, popłyniemy i my.

– Jeśli wiatr się nie zmieni, mogą być kłopoty.

– Zobaczymy. Wyspy Południowe tworzą trzy mniejsze archipelagi... Myślę, że chodzi o Grupę Wschodnią.

Przyznała mu rację.

– Słusznie. W Środkowej jest Sara, na Sarze siedzą strażnicy i silna eskadra. Wątpliwe, by tam był skarb. A Grupa Zachodnia...

– ...to same skały, tyle skał, że tylko szaleniec mógłby tam pływać czymś większym od szalupy.

– Kto wie... – Zamyśliła się.

– Nie, pani. Nawet Demon nie zapuściłby się tam bez dobrego pilota. Zresztą popatrz: ta karawela na pewno nie płynie do Grupy Zachodniej.

– Może miał dobrego pilota. – Znów w jej głosie zabrzmiała podejrzliwość. – A Riolata... może kluczy celowo. Jest sprytna, Raladanie.

– Czy ty mnie słuchasz, pani?

Tłumaczył spokojnie:

– Zawsze u schyłku lata odprowadzaliśmy okręt do jakiejś kryjówki. Na pokładzie zostawał Tares, czasem Ehaden, czasem ja. Poza tym kilku majtków. Parę razy został twój ojciec. Reszta wcześniej schodziła na ląd. U Wysp Południowych kotwiczyliśmy jesienią dokładnie pięć razy: dwukrotnie w Grupie Zachodniej i trzykrotnie we Wschodniej. W każdym z tych miejsc kapitan

przynajmniej raz był sam, z tymi czterema czy pięcioma majtkami. Nie pamiętam, bym widział jeszcze kiedyś którego z tych marynarzy...

Spojrzała pytająco.

– Zwykle, choć nie zawsze, zostawali ci, którzy nie chcieli już pływać. Załoga była pewna, że z końcem jesieni zeszli na ląd i poszli sobie.

– A naprawdę?

– Różnie bywało. Niektórych zjadły ryby. Z dobrych kryjówek korzystało się wielokrotnie, nikt nie mógł wiedzieć, gdzie są. Z początkiem zimy załoga zbierała się znowu w określonym miejscu. „Wąż Morski” przypląwał tam, w nocy niepotrzebni majtkowie szli za burtę, a rano szalupa płynęła po tych na brzegu. Tak to mniej więcej wyglądało.

– Nigdy dotąd nie mówiłeś mi o tym.

– Nigdy dotąd nie pytałaś, pani.

Mierzyli się wzrokiem. Porozbijana twarz dziewczyny wyglądała okropnie: siniaki nabrały pełnej barwy.

– Którejś jesieni – podjął pilot – twój ojciec zaryzykował, skorzystał z poprawy pogody i ukrył skarb na wyspie, przy której kotwiczył „Wąż Morski”, albo na którejś z leżących w pobliżu. Pomogli mu ci majtkowie tworzący szkieletową załogę.

– To bardzo ogranicza pole poszukiwań.

– Tak i nie. We Wschodniej Grupie ja kotwiczylem tylko raz, przy wyspie... o, takiej akurat jak ta, na której się znajdujemy. Nie wszędzie można przeczekać jesienne sztormy. – Uśmiechnął się, bo zrobiła taką minę, jakby nigdy nie przyszło jej to na myśl. – I nie wszędzie można przybić do brzegu. Tutaj przybiliśmy i ledwie nam się udało wdrapać na to urwisko. Zdobyłabyś tę ścianę, wlokąc jakieś skrzynie? Trzeba by pływać dookoła wyspy, szukać miejsca... Demon chciał przecież skarb ukryć, nie utopić. To musiała być inna wyspa, nie tamta, przy której mieliśmy kotwicowisko.

– A w Grupie Zachodniej?

– Do Grupy Zachodniej zawsze ja prowadziłem okręt. Raz sam, raz z kapitanem i całą załogą. Po prostu uciekaliśmy przed cesarską

eskadrą, to było późnym latem. Jeden holk rozbił się na skałach, drugi zdobyliśmy. Demon został z kilkoma pewnymi chłopcami w kryjówce, a Ehaden, Tares, ja i cała reszta pożeglowaliśmy na tamtym. Kupił go Brorrok. Już nigdy więcej nie ukryliśmy „Węża” w tych skałach. Zimą, gdy kapitan przyплыł po nas na Garę, pomyślałem, że to prawdziwy cud.

– Dlaczego?

– Zostawiłem mu mapy, sam je jeszcze uzupełniłem. Ale co tam mapy... Poszycie było nadwerężone w tylu miejscach, że przez dwa tygodnie cała załoga je łątała. W zęzach było wody o, tyle. Gdyby to był inny okręt, zbudowany mniej solidnie... Myślisz, pani, że twój ojciec ukryłby skarb w miejscu, do którego nie jest w stanie sam dotrzeć? To tyle na temat „czy miał dobrego pilota”.

W duchu przyznała mu rację.

– Chyba pora, Raladanie – powiedziała po chwili.

Ostrożnie zaczęli schodzić do miejsca, gdzie czekała na nich szalupa. Potem przedostali się na okręt.

Plan był prosty: mieli się upewnić, czy Riolata rzeczywiście płynie do Wysp Południowych, po czym zasadzić się na nią, gdy będzie wracała. Pierwszą część planu zrealizowali, co do drugiej Lerena miała poważne wątpliwości. Raladan jednak przekonywał, że powinno się udać. Zresztą nie mieli wyboru.

Jeśli rzeczywiście chodziło o wschodnią grupę wysp i jeśli Riolata wracałaby tą samą drogą (co przecież nie było takie pewne, bo nie znali jej dalszych planów), mieli zagrozić jej drogę w miejscu wskazanym przez pilota. Karawela łatwo mogła uchylić się od walki, dlatego osaczyć ją miały szybkie łodzie szakali morza, jak zwano miejscowych piratów przybrzeżnych. Raladan radził wynająć sześć lub siedem takich łodzi, z czym nie powinno być kłopotów, i obsadzić je częścią załogi „Gwiazdy”. Na tych płytkich, pełnych raf i mielizn, najbardziej zdradliwych wodach Szereru nawet zgrabna karawela Riolaty nie mogła się równać z solidnymi czółnami, poruszanymi siłą kilkunastu wiosł każde.

Ale owych „jeśli” było tak dużo, że Lerena bała się oceniać, jakie właściwie szanse ma ich, czy też raczej Raladana, plan.

Nie miała jednak lepszego pomysłu.

Raladan... Czy mu teraz ufała? Cóż, chyba bardziej niż kiedykolwiek, ale jednak nie do końca. Nikomu nie ufała do końca.

Ale jemu bardzo chciałyby ufać.

Zdumiewający człowiek. Dziecko morza. Teraz, przed spotkaniem z Riolatą na Brzegu Wisielców, opowiedział jej swą historię. Potwory z głębin zdały jej się nagle nieciekawe, tajemnicze pochodzenie Raladana zafascynowało ją o wiele bardziej. Kim był ten najlepszy pilot wszystkich mórz? Synem kupca, a może dowódcy okrętu? Mężczyzną szlacheckiego rodu? Umiał przecież występować jako każdy. Kim, kim był? Dałaby chyba pół życia, żeby to wiedzieć.

Pół życia... Niedużo.

Starannie skrywany ból, niemal graniczący z rozpaczą, był w niej stale. Jako dziecko bardzo się cieszyła, że tak szybko dorasta. Podobnie Riolata. Cieszyły się jednak tylko do chwili, gdy zaczęły rozumieć, co to właściwie oznacza. Zostały zwyczajnie oszukane.

Czasem z przerażeniem myślała, że już za kilka lat będzie sporo starsza od swej matki. Nie знаła przyczyny tej tragedii, nikt nie potrafił jej pomóc w znalezieniu odpowiedzi na najważniejsze pytanie. Ostatnio zaczęła myśleć o dalekim Grombelardzie i tajemniczym Złym Kraju. Może mędrcy z Czarnego Wybrzeża? O ich wiedzy i potędze opowiadano legendy.

Może tam?

o o o

Oparta o nadburcie na dziobie statku, na wysokości kluzy, Riolata myślała o tym samym co Lerena. Już dawno zauważyły, że ich myśli są często niezwykle podobne, ponadto, jeśli rozważaniom którejś towarzyszą silne emocje – to druga niemal zawsze je odbiera.

Tak było i tym razem. Riolata czuła smutek zmieszany z gorzką zawziętością, ale te uczucia płynęły z zewnątrz – poznawała to nieomylnie. Kładły się w tle jej własnych uczuć, ale swą obecnością wyzwalały myśli o podobnym zabarwieniu.

Riolata myślała o starości. Niedalekiej już starości.

Potem pomyślała, że bardzo chce mieć syna. Silnego, prawdziwego mężczyznę, który podejmie jej dzieło, a którego syn będzie królem Bezmiarów, potężnym władcą, zdolnym ogniem zepchnąć armektańskie i dartańskie miasta w głąb lądu, a może nawet ponieść miecz do samego serca imperium – do Kirlanu. Oczyma wyobraźni widziała płonące miasta, potężną łunę od horyzontu po horyzont, na jej tle zaś sylwetkę władcy-wojownika dowodzącego tysiącami piechoty ścierającej z mapy Szereru wszystko, co wrogie lub niechętne nowemu panowaniu. Z pogardą myślała o obecnym cesarstwie, będącym dziwnym i niechlujnym zlepkiem różnych krajów i ludów. Pożalowano wysiłku, by uczynić z nich jeden wielki naród, jeden kraj. A tymczasem ludzie, rządzeni przez jednego człowieka, nie mogą być różni, nie mogą używać wielu języków... Wszystko należy wymieszać i stopić, wywieźć garyjskie dziewczyny na kontynent, a te z kontynentu na Garrę. Jasnowłose Grombelardki muszą stać się żonami czarnookich Armektańczyków, Dartanki dostać za mężów Wyspiarzy. To niełatwe, ale jedynie słuszne rozwiązanie.

No i jeszcze: problem innych rozumnych. Nigdy nie widziała żywego kota lub sępa, oglądała tylko ryciny. Tu, pośród mórz, kotów i sępów nie spotykało się wcale, mało było ludzi, którzy mogliby się pochwalić, że widzieli któreś z tych stworzeń. Najprędzej marynarze. Wśród majtków ze statków kupieckich słyszało się często, że dość zawinąć do grombelardzkiego Londu, by kotów ujrzeć dziesiątki; były też w armektańskiej Kanazie i Rapie. Podobno jednak najbardziej lubiły małe miasta położone w sercu Armektu i Dartanu.

Nie rozumiała tego. Nie pojmowała, jak stworzenie chodzące na czterech łapach niczym pies można zrównać z człowiekiem. Cóż dopiero mówić o sępach.

Słyszała o Kocie Wojnie, zwycięskim powstaniu, kiedy to zwierzęta, cóż z tego, że rozumne, wywalczyły sobie ludzkie przywileje. Historia tego zrywu zajęła ją tak bardzo, że zebrała możliwie dużo wiadomości na ten temat. Wiedziała już jednak, że

w czterech źródłach zawsze znajdzie przynajmniej trzy opinie... Historycy byli dziwnymi ludźmi, a kronikarze łgarzami.

– Pani.

Obejrzała się wyrwana z zadumy. Dowódca „Seili”, człowiek już starszy wiekiem, ale zawołany żeglarz, pochylił głowę w lekkim ukłonie. Był jednym z tych nielicznych, którzy wiedzieli, kto naprawdę kieruje dwoma poważnymi przedsiębiorstwami kupieckimi w Doronie; wiedział też, że handel z Armektem i Dartanem to tylko przykrywka dla całkiem innej działalności. Nawiasem mówiąc, interesy prowadziła niezwykle pewną ręką, w ciągu zaledwie dwóch lat dorobiła się niemałych pieniędzy i wpływów. Prawda, że drogę uTORował jej Raladan, wykorzystując jakieś stosunki i powiązania jeszcze z czasów, gdy jej ojciec mocno trzymał w garści wielu dorońskich bogaczy.

– Co tam, kapitanie?

– Nie jestem kapitanem, pani, gdy stoisz na tym pokładzie.

Uśmiechnęła się lekko.

– Zostaw te grzeczności, Wantadzie, nie jesteśmy w pałacu. Co się stało?

– Prosiłem, byś nie pokazywała się załodze, pani, tak długo, jak to możliwe. Ludzie są zaniepokojeni. Co mam im powiedzieć?

– Och, naprawdę... – jęknęła, odruchowo unosząc dłoń do twarzy, na której siniaki przybrały żółte, fioletowe i zielone barwy. – Zapomniałam! Dlaczego nie masz lustra? Wantadzie, przyjacielu, powiedz im cokolwiek, że spadłam ze schodów... no, nie wiem?

Stary kapitan uniósł nieco brwi, spoglądając na krzątających się majtków.

– Hm, ze schodów... No dobrze, coś wymyślę.

Odszedł zafrasowany. Jeszcze raz dotknęła twarzy i znów oparła ręce o nadburcie, uśmiechając się w duchu. Stary Wantad był niezastąpiony. Niewielu ludzi obdarzała takim zaufaniem. Może jeszcze Askara. I chyba nikogo więcej.

Zresztą wszyscy ludzie na tym statku byli warci zaufania, choć oczywiście w granicach rozsądku. Dobierali ich – Wantad i ona – bardzo starannie. Dwudziestu marynarzy, ludzi świetnie



obeznanych ze swym fachem, zapewniało „Seili” właściwą obsługę; dbała, by mieli dobrą strawę, godziwą zapłatę i, nie mogąc narzekać na brak zajęć, nie byli też obarczeni pracą ponad siły. Oprócz marynarzy w skład załogi wchodziło dziesięciu żołnierzy – w duchu zwała ich swą gwardią. Byli jej całkowicie oddani i wyszkoleni tak dobrze, jak to tylko możliwe. Płaciła im za ćwiczenia, hojnie nagradzała najlepszych strzelców i najtęższych rębajłów. Toteż między żołnierzami trwała nieustanna rywalizacja. Dowódcą oddziału był ponury dziesiętnik ze złamanym nosem, człowiek polecony jej przez Askara. Rekomendując podwładnego, Askar powiedział jej:

„To złodziej. Jest chory, gdy nie kradnie. Nie mogę go trzymać w garnizonie, bo żaden z moich oficerów nie chce odpowiadać za niego. Kiedyś ukradł lichtarz z pałacu Przedstawiciela... Ale poza tym to człowiek, który żyje wojskiem. Pozwól mu ukraść czasem jakiś drobiazg, a zrobi ci z powierzonych ludzi maszyny do zabijania”.

Tak było. Nosacz, bo taki był przydomek dziesiętnika, znalazł jej najemników – ludzi kochających złoto, kobiety i oręż. Oceniała ich i pochwaliła wybór. Dała tyle, ile zażądali. Gdy nie byli na służbie, mogli robić, co chcieli. W zamian mieli słuchać i milczeć. Dwaj pijacy, którzy milczeć nie umieli, zostali zabici na oczach pozostałych. Trzeci, który nie chciał słuchać, niemal zdechł pod pręgierzem. Od tej pory nie miała kłopotów.

Sama ułożyła tryb szkolenia. Nosacz był zdumiony jej znajomością rzeczy. Oficjalny właściciel „Seili” (jej kukiełka) zgłosił oddział jako eskortę ładunków. Komendant garnizonu w Doronie – czyli Askar – wydał zezwolenie na noszenie mieczy; w Morskiej Prowincji był to przywilej szlachetnie urodzonych i żołnierzy. Oprócz mieczy mieli jeszcze kusze, strój ochronny zaś stanowiły zamknięte hełmy typu łebka, z silnie wyciągniętym do tyłu nakarczkiem, oraz kolczugi i kirysy, okryte białymi tunikami z tym samym zielonym znakiem co na żaglach „Seili”. Wzory czerpała po trosze z Grombelardu, ojczyzny kuszy, po trosze zaś z Armektu, kirys był bowiem strojem

ochronnym ciężkozbrojnej armektańskiej piechoty. W Armekcie jednak kirys łączono z toporem i tarczą – odrzuciła jedno i drugie.

Lubiła broń – podobnie jak Askar. Może i dzięki temu tak łatwo znajdowali wspólny język.

Największe zaufanie żywiła do broni rażących na odległość. Zapoznając się z przepisami o uzbrojeniu i umundurowaniu legii i straży morskich, które dostarczył jej Askar, zastanawiała się, jak trudnym przeciwnikiem są armektańskie wojska na lądzie. Oto Armekt, kraj łuku, otoczonego tam niemal kultem. Najskuteczniejsza broń w walce z każdym przeciwnikiem. Zdumiewające, jak starannie przemyślane było współdziałanie łuczników z topornikami. W obronie łucznicy dezorganizowali atak przeciwnika, osłaniani przez ciężkozbrojnych. W natarciu role się odwracały: topornicy stanowili trzon ataku, zadaniem łuczników natomiast było zmieszać strzałami szyk przeciwnika, w razie kontrataku strzec ciężkozbrojnych przed oskrzydleniem i otoczeniem, zaś w decydującej fazie wesprzeć ich z mieczem w dłoni bądź też w przypadku porażki – osłonić odwrót.

Zdawać by się mogło, że łuk jest bronią pomocniczą. Nie był nią. W obronie miał znaczenie pierwszorzędne, a w natarciu takie jak topór. Armektańczycy wiedzieli o tym dobrze; znając łuk, bali się go tak bardzo, że zrobili wszystko, by się przed nim zabezpieczyć: temu przede wszystkim służyły kirysy i tarcze toporników, skutecznie chroniące od strzał.

Inna rzecz, że w krajach zdobywanych przez Armekt nikt właściwie łuku nie używał. W Dartanie rycerskie hufce żywiły pogardę dla plebejskiej broni, Grombelardczycy zaś kochali się w kuszy, a dla tej kirys nie był przeszkodą, nawet z odległości stu pięćdziesięciu kroków. Gdyby gór broniły regularne wojska, nie zaś najemne bandy na usługach rozbójników-rycerzy, grombelardzka kusza mogłaby sprawić Armektowi przykrą niespodziankę...

Z łukiem używanym inaczej niż tylko jako broń myśliwska zetknęli się najeźdźcy dopiero za morzem – ale jakim łukiem! Łuk garyjski oparty o ziemię sięgał wzrostu człowieka, strzały zaś miały podobną siłę jak bełt z kuszy. Garyjskim dowódcom brakło jednak

koncepcji użycia tej broni. W efekcie karne, świetnie dowodzone zastępy Armektu miały do czynienia z bitnym, ale źle zorganizowanym wojskiem, podzielonym na nierówne oddziały, zbrojne w oręż wszelkiego rodzaju: od halabardy i gizarmy aż po łuki i proce, nie mówiąc nawet o maczugach, toporach i mieczach...

Myślała o wyposażeniu swoich ludzi w długie łuki garyjskie, ale z kilku powodów zarzuciła ten pomysł. Po pierwsze, długi łuk był bronią od lat zakazaną przez Kirlan, a chciała, by jej oddział był całkiem legalny. Po drugie, na pokładach statków, zwykle podczas bitwy zatłoczonych, pośród olinowania i żagli, łuk tej wielkości sprawiałby, prawdę rzekłszy, same kłopoty – tymczasem jej „gwardia” miała działać wszędzie i w każdych warunkach. Wybrała kuszę, broń droższą, cięższą i mniej szybkostrzelną, za to łatwą w transporcie i o niezwykłej sile rażenia.

Uśmiechnęła się lekko. O, szykowała dla armektańskiej piechoty parę niespodzianek...

Ocknęła się nagle i zdziwiła, zauważywszy, jak daleko zabrnęła w rozważaniach. Jeszcze raz spojrzała na morze, odwróciła się i poszła ku długiej, płaskiej nadbudówce rufowej, pochylając nieco głowę, by nie pokazywać siniaków pokładowej wachcie.

Pomieszczenia na „Seili”, choć nieco zbyt ciemne, były jednak w miarę przestronne. Miała tu swoją kajutę, oddzieloną przepierzeniem od kapitańskiej. Rzadko wyruszała na morze, ale izdebkę zawsze na wszelki wypadek utrzymywano w gotowości.

Nie poszła jednak do siebie. Zastukała do drzwi kajuty kapitańskiej. Wantad siedział przy stole w towarzystwie swego zastępcy. Wstali na jej widok. Oficer skłonił się i zaraz wyszedł.

– Kiedy będziemy na miejscu?

– Jutro wieczorem, pani. Tak liczę. Nie znasz tych wód, już wkrótce będziemy musieli bardzo mieć się na baczności...

– Nie znam tych wód tak, jak nie znam żadnych innych. – Zaśmiała się. – Kiepski ze mnie żeglarz, kapitanie.

– Widywałem gorszych.

– Sądzę, że nie widywałeś... No, dobrze. Wantadzie, mam pewne obawy.

– Jakie?

Ważyla słowa.

– Jestem pewna tej załogi, wiem, że wszyscy zasługują na zaufanie. Ale płyniemy po największy skarb, jaki kiedykolwiek widziały Bezmiary.

Skinął głową.

– Ręczę, pani, za twoją załogę. Ci ludzie mają tu warunki, o jakich marynarz nie śmie nawet śnić. Wiedzą, że nigdzie nie będzie im lepiej. A z drugiej strony... Sam nie wiem dlaczego, ale boją się ciebie bardziej niż kogokolwiek na świecie. Nie, pani. Nawet gdyby któremuś złoto zaćmiło rozum, co w grupie ludzi zawsze może się zdarzyć, pozostali wyrzucą go za burtę na samą wzmiankę o buncie. Zbyt wiele mają do stracenia.

– Mam nadzieję.

Po chwili milczenia kapitan zauważył:

– Coś jeszcze cię trapi, pani. Nie nalegam, ale może stary Wantad zdoła jakoś pomóc?

Położyła mu dłoń na ramieniu.

– To wszystko idzie za dobrze, zbyt gładko. Chłopak Berera najpierw był bardzo wojowniczy, a potem mówił tak szybko, jak tylko potrafił. Teraz udało mi się wyprowadzić w pole Lerenę. Tak przynajmniej sądziłam dotąd. – Zamyśliła się. – Wiesz przecież, Wantadzie, że mam siostrę? Ale nie wiesz, że jesteśmy takie same.

Uniósł brwi.

– Nie rozumiem...?

– Mam bliźniaczą siostrę.

Był zdziwiony.

– Nie wiedziałem... skąd mogłem...

– No właśnie, skąd mogłeś wiedzieć. Trzymamy to w tajemnicy, Wantadzie, zachowaj ją i ty. Nigdy nie wiadomo, do czego może się przydać nasze podobieństwo.

Pokiwała głową.

– Nie wie o nim nawet Askar. A mówię ci to teraz, bo czuję, że ona jest w pobliżu.

Słuchał uważnie, widząc, że to jeszcze nie koniec.

– Jest niebezpieczna – podjęła po chwili. – Jest bardziej niebezpieczna, niż sądzi ktokolwiek. Niż sądzi ona sama. Ale na razie nie wie, czego chce. Wiesz, Wantadzie, czasem czuję się starsza od niej, mam młodszą siostrę bliźniaczkę. – Uśmiechnęła się kpiąco. – Mam swoje cele, do czegoś dążę. Ona nie. Myśli, że zostanie królową piratów, ale... no właśnie, sam się uśmiechasz. Pewnego dnia Lereña się odnajdzie, i to będzie jak uderzenie pioruna. Nic jej nie zatrzyma, nic się nie oprze jej działaniu. Boję się tego dnia.

Przygryzła wargę

– Boję się tego dnia... – powtórzyła niegłęboko.

Po chwili uniosła wzrok i zaśmiała się, widząc zmarszczone brwi starego kapitana.

– No, nie bierz sobie tego do serca – powiedziała pozornie lekko, ujmując jego rękę w swoje dłonie. – Z takim mężczyzną przy boku nie obawiam się nikogo i niczego.

Sprawiła mu wyraźną przyjemność.

– Idę spać – oznajmiła.

– Dobrze, pani. Obudzę cię, gdy dotrzemy do celu.

– Mhm.

Po chwili była we własnej kajucie. Pogrzebała w swoich rzeczach i znalazła to, czego szukała. Podeszła do światła. Małe zwierciadło bezlitośnie odbiło wszystkie siniaki na twarzy. Oglądała je skrzywiona, przysięgając sobie, że nie wyjdzie na pokład przed nastaniem zmierzchu. Potem położyła się do łóżka.

Spała dobrze. Obudził ją Wantad.

– Dopłynęliśmy, pani.

Oprzytomniała w okamgnieniu.

– Już wychodzę! – rzuciła pospiesznie.

Ubrała się szybko i wybiegła na pokład.

Nadciągał zmierzch. Odszukała spojrzeniem kapitana i zbliżyła się doń. Przez chwilę stali w milczeniu.

– Zdążymy? – zapytała, nie spuszczając wzroku z masywnej sylwety wyspy. – Przybijemy dzisiaj?

– No cóż, pani, wolałbym zakotwiczyć tu do rana. – Wantad spojrział z wahaniem. – Te wody naprawdę są pełne pułapek.

Musimy sondować dno.

- Czy bez tego jest jakaś szansa?
- Zawsze jest.
- Nie będę czekać całą noc ledwie milę od celu.
- Ryzykujemy utratę „Seili”.
- Trudno.

Była podniecona jak nigdy. Bliskość celu poruszała i jego, ale starał się zachować rozsądek. Zresztą w jego wieku ryzyko i przygoda nie miały już takiego smaku jak kiedyś.

– Za pozwoleniem, pani – zaczął ostrożnie – myślę, że mam lepszy pomysł.

Spojrzała niecierpliwie.

– Tak?

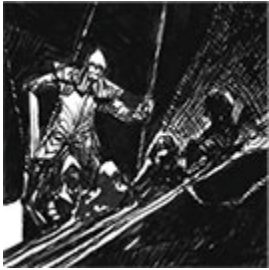
– Wolałbym jednak nie narażać „Seili”. Dam ci, pani, łódź i sześciu sprawnych wioślarzy. Wylądujecie na wyspie, a ja rano podejde bliżej brzegu. Z odpły...

Urwał w pół słowa, bo go uściskała.

– Jesteś wspaniały, ojczulku! Tak zrobimy. Spiesz się!

Po chwili majtkowie krzatali się żywo przy umieszczonej na średnim pokładzie łodzi. Wantad wyznaczył sześciu ludzi do wiosła i sternika, ale dwóch odprawiała, biorąc na ich miejsce Nosacza i jednego z żołnierzy. Wkrótce odbili od burty żaglowca. Siedziała na dziobie, co chwilę oglądając się na wyspę, której kontury powoli zacierał zmierzch.

## ROZDZIAŁ 31



Znasz nazwę tej wyspy? – zapytała. – No, tej, na której chcesz wynająć łodzie?

Raladan pokręcił głową.

– Nie, pani. Nie pamiętam. Kiedyś pewnie ją słyszałem, ale wysepek takich jak ta są wokół Garry setki. Nie wymagaj, bym znał nazwę każdej.

Zwłaszcza że czasem nazw jest kilka.

– Nie wymagam. Ale myślałam, że skoro zamieszkują ją szakale morza...

– Szakale siedzą na wielu z tych wysp, pani. To rybacy, po prostu rybacy. I naprawdę łowią ryby. Inna rzecz, że samotny statek nie jest tu bezpieczny, a już jeśli wejdzie na mieliznę lub rozbije się na skałach... rzadko ktoś wynosi głowę z takiej przygody. Ci dzielni ludzie wyrzynają rozbitków do ostatniego, a wrak oczyszczają jak mrówki kość.

– To znaczy, że gdybyśmy weszli na skały...

– Mamy szansę, bo załoga jest liczna, a na kasztelach sporo dział, ale lepiej nie wchodźmy na skały. Dopóki płyniemy, raczej nic nam nie grozi. Właśnie dlatego chciałem, żebyśmy postawili czarne żagle, nie tylko z tego powodu, że trudniej je wypatrzeć.

– Rozumiem. – Uśmiechnęła się. – Tutaj lepiej uchodzić za pirata niż za kupca.

– Właśnie. Ta pływająca ładownia – wskazał pokład – to łakomy kąsek. Lepiej, żeby nasi rybacy wiedzieli, że siedzą w niej złośliwe draby, gotowe posłać na dno wszystko, co podpłynie zbyt blisko. Ale martwię się trochę o twą siostrę, pani. „Seila” to szybki statek, ale na tych wodach nie ma to większego znaczenia. Boję się, żeby ktoś nie ukradł nam pomysłu.

– Nie martw się o Riolatę – powiedziała i wydało mu się, że powietrze drgnęło, jak zawsze, gdy wymieniała to imię. – Martw się lepiej o nas.

Spojrzał na nią, w tej samej chwili rozdarł się chłopak na oku i dobiegły go okrzyki majtków. Wskazała wzrokiem. Obejrzał się. Od nawietrznej, zza skalistego cypla, wysuwał się powoli średniej wielkości holc. Niósł czerwone żagle.

– Dartański strażnik? Na tych wodach? – Raladan zrobił kilka kroków i patrzył z nieskrywanym zdziwieniem.

– Czemu nie?

– O tej porze roku? I przede wszystkim, pani, holc? Flota Dartańska nie pływa na holkach, mają chyba dwa, ale...

Skrzywił się i przeszedł na drugą burtę. Podążyła za nim. Rozepchnął majtków i jeszcze raz popatrzył uważnie.

– Ale to na pewno nie jest żaden z nich.

Uśmiechnął się, co czynił rzadko. Holc przebrasował reje, zmienił kurs, szedł teraz prosto na nich.

– Masz przed sobą żywą historię Bezmiarów, pani. To okręt Brorroka. Stary Brorrok był stary, jeszcze zanim twój ojciec pierwszy raz ujrzał morze na oczy.

– Znasz go?

– Ba! Pływaliśmy rok razem, od niego przeszedłem do Demona. Co nie znaczy, pani, że twoi ludzie mają stać z otwartymi gębami, aż kule działowe wybiją im zęby.

Rozejrzała się wokół.

– Hej! – wrzasnęła.

Majtkowie ruszyli się. Kopnęła jedną z okrętowych dziwek i wydała parę rozkazów.

Znów wróciła do pilota.

– Co robimy?

– To zależy. Wątpię, by wziął nas za kupca... Ja bym zwinął żagle i położył się w dryf.

Podawała komendy załodze.

Patrzyli, jak holc manewruje sprawnie, także wytracając szybkość. Wkrótce dryfowali niemal burta w burtę, w odległości



najwyżej stu kroków od siebie.

– Hej! – dobiegł głos z pokładu tamtego; był tak donośny, że jeśli właściciel był go godzien, należał chyba do olbrzymów. – Hej! Co za statek?!

Raladan wzruszył ramionami, ale Lerena powiedziała:

– Odpowiedz im, na pewno o mnie słyszeli.

Pomyślał, że to wcale nie jest takie pewne. Żeglarska sława Lereny rozciągała się głównie w jej własnej wyobraźni. Choć z drugiej strony, „Gwiazda Zachodu” nie była statkiem zupełnie nieznanym. Swego czasu dość głośno było o buncie załogi na hodze, wiozącej partię niewolników hodowlanych do dartańskiej Llapmy.

Lerena niewolników sprzedała, a okręt i zbuntowana załoga służyły jej dobrze już dwa lata.

Z holka okrzyknięto ich raz jeszcze, ostro i ponagląco. Raladan miałby ochotę odpowiedzieć w tym samym tonie, ale Lerena uniosła dłoń.

– Odpowiedz im – rzekła z naciskiem. – Słucham twoich rad, ale to wciąż ja jestem tu kapitanem.

Skinął głową.

– Heej! – wrzasnął. – „Gwiazda Zachodu” pod komendą Pięknej Lereny! A kto pyta?!

Po chwili padła odpowiedź:

– Pozdrowienia dla Pięknej! Tu „Kaszalot” kapitana Brorroka!

Okręty, leniwie kołysząc się na fali, odrobinę zbliżyły się do siebie. Odsunęła Raladana i zawołała swym niskim, matowym głosem:

– Piękna zaprasza kapitana Brorroka!

Na holku powstał jakiś spór. Po pewnym czasie odkrzyknięto krótko:

– Płyniemy!

Brorrok rzucił kotwicę; podobnie zrobiono na „Gwieździe”. Skupiona na pokładzie i kasztelach załoga Lereny patrzyła, jak z „Kaszalota” spuszcza ją na wodę łódź i rzucają sznurową drabinę. Wkrótce wioząca kilka osób szalupa szybko zaczęła się posuwać w stronę hogi.

Najpierw na pokład wspiął się dość wysoki, rudy jak lis męczyzna o twarzy poznaczonej wielkimi piegami. Wyciągnął rękę i pomógł niedużemu, suchemu jak wiórek starcowi. Za nimi pojawiło się jeszcze paru ludzi.

Starzec zrobił kilka kroków, powłócząc nieco lewą nogą. Spojrzał dokoła, po czym pochylił się nagle i mrużąc wyblakłe oczy, patrzył na rzecz na pokładzie. Wyciągnął rękę i zdartym głosem zapytał:

– Do stu kurew, Rudy... Co to?

Piegowaty rudzielec spojrział pod nogi.

– Gówno, kapitanie – odpowiedział zwięźle.

Starzec wyprostował się.

– Gówno – rzekł i znów rozejrzał się wokół. – A gdzie to kapitanowa?

Raladan, obserwujący scenę zza pleców marynarzy, pokręcił głową. Powiadano, że Brorrok, zanim trafił na morze, był ogrodnikiem u garyjskiego bogacza. Czy to stąd, czy skądinąd, wyniósł rzadkie zamiłowanie do piękna i porządku. Wszystkie okręty, jakimi w życiu dowodził, lśniły czystością, jakiej nie wymagał nawet surowy, kochający dyscyplinę Rapis. Plama na żaglu, brudny pokład, ba! nawet zwykła drzazga, doprowadzały zrzędlivego starca do wściekłości. Jego piraci byli tłumem elegantów, przymuszanych siłą do brania kąpieli i prania odzienia. Pilot był pewien, że brudny, śmierdzący moczem, odchodami, rzygowinami i wodą okręt Lereny, na dobitkę z czarnymi, dziegciowanymi żaglami, nie będzie się Brorrokowi podobał.

Spojrzenie starego pirata objęło stojącą nieco z boku Lerene, przesunęło się po posiniaczonej twarzy i postrzępionej, niegdyś białej koszuli.

– Gdzie kapitanowa? – powtórzył. – To ty jesteś, córuchna? Możesz ty i piękna, ale ja tam tego nie widzę.

– Myślałam, że odwiedzi mnie kapitan Brorrok, a nie jakiś pierdliwy dziadek – powiedziała spokojnie, zakładając ręce do tyłu. – Ale trudno. Czego chcecie, ojczulku? Wsparcia?

Zaległa cisza.

– O, do stu kurew – rzekł Brorrok.

Odwrócił się do swoich.

– Hola, kapitanie!

Pilot rozsunął majtków i postąpił naprzód. Starzec spojrzał na niego i zmarszczył brwi, zaskoczony.

– O, do stu... Ślepy Raladan, niech mnie powiesz! Co robisz w tym śmietniku, gadaj? Sprzątasz?

Raladan stanął przy Lerenie.

– Nie, kapitanie. Służę pod rozkazami córki, tak jak służyłem pod rozkazami ojca. I wiem, co robię. Dziwne, żeście nie słyszeli, kim jest dowodząca tym okrętem.

– Coś słyszałem. Ale dziś wierzę mniej niż kiedykolwiek.

– I niesłusznie.

Staruch obejrzał się na swoich ludzi, jakby pytając o radę. Raladan jednak wiedział, że to niemożliwe; zrzęda znany był z tego, że nikogo o radę nie pytał.

– Kapitanie Brorrok – odezwała się Lereña – może porozmawiamy?

Wkrótce potem siedzieli we czwórce w jej kajucie. Brorrok, robiąc różne miny, przypatrywał się Lerenie. Rudy mierzył wzrokiem Raladana. Nie znali się osobiście, ale widzieli raz i drugi przelotnie. Swego czasu – bywało – ich dowódców łączyły wspólne interesy.

– Co robicie na tych parszywych wodach? – zagaił stary. – Niedługo będzie tu pewno gorąco.

– Dlaczego? – zapytała.

Brorrok podrapał się po nosie.

– Bo widzisz, córcia, goniłem za strażnikiem. I uciekł mi, do stu kurew... – Klął jeszcze długo.

Raladan i Lereña wymienili spojrzenia.

– Uciekł pewno na Sarę. – Brorrok znów podrapał się po nosie i kichnął. – Popsuło mi się mięso w beczkach. Coś dwadzieścia chłopów mi się od tego przekreśliło. – Popatrzył ponuro w kąt. – Znalazłem nowych, ale gołych, wiadomo. No, tom myślał, że ten strażnik da mi trochę dobrej broni i kolczug. Ale uciekł, do stu kurew. Jak znam cesarskich, to eskadra z Sary już wypływa. Ale nie złapią starego Brorroka.

– To szukanie po omacku. – Pilot pokręcił głową. – Nie wiadomo nawet, czy rzeczywiście wypłyną.

– Wypłyną, wypłyną... Stary Brorrok wart jest, by spróbować szczęścia.

– Tamci wiedzieli, kto ich goni?

– Ano, Ślepy, pewno wiedzieli. Wyglądam na Dartańca? Bo jak nie Dartaniec, to kto inny ma czerwone żagle? Ja tam lubię, kiedy mnie poznają.

Pilot znacząco popatrzył na Lerenę.

– Dlaczego ślepy? – spytała zaciekawiona.

– Stare miano... Tak mnie zwali, jak pływaliśmy razem.

– He, zawiązywali mu oczy, a on rzucał nożami! – Brorrok zarechotał. – Zawsze trafił w maszt, skubany! – dodał z podziwem. – No, to i został Ślepy.

– Byłem młody – mruknął Raladan.

– Ale popisać to żeś się lubiał... E, sam, gdy byłem młody...

Popatrzył na Lerenę.

– No, córcia. A wy?

– Myślałam, że nałapię tu trochę niewolników. – Rozłożyła ręce. – Dobre miejsce, spokojne. Ale widzę, że przestało być takie.

– Ano przestało. Niewolnik się opłaca?

– Zależy. Teraz bardziej. Mam w ładowni miejsce na dobrą setkę. Weszłoby i półtorej, ale wtedy więcej padnie i trudno ich wyżywić.

Brorrok gwizdnął.

– No, jak setka, to może i warto. Sprzedajecie w Banie?

– Teraz nie. Rok temu wiatr poniszczył zboża w Armekcie i Dartańczycy porobili majątki na swoim. Ciągle najlepiej sprzedawać w Nin Aye. Jeszcze lepiej byłoby w Lida, ale Morze Zamknięte to złe miejsce...

Brorrok przytaknął.

– Nie wożę niewolnika – powiedział. – Wiozłem raz i później cały okręt mi śmierdział. Nie wożę.

– Dla mnie lepiej – zauważyła.

– To co, ładownie macie puste?

– Puste. – Uśmiechnęła się z lekką ironią. – A nawet gdyby coś w nich było, to nie radziłabym zaglądać.

Brorrok zarechotał. Rudy też się uśmiechnął.

– Niegłupia jesteś – pochwalił starzec. – Ale nie, do stu kurew, nie ruszyłbym statku jego córki. Chłop był z kośćcami, urwis okropny, niech mnie zarzną, ale porządny chłopak. Młodo umarł.

Nie tak znów bardzo młodo... Ale dla Brorroka każdy, kto nie miał chociaż sześciu krzyżyków, był gówniarzem i szczyłem.

Stary z namysłem mierzył dziewczynę wzrokiem.

– Nie mogłabyś uprać koszuli, co, córcia? – Machnął ręką. – Tak tylko... Nie słuchaj starego. A może tak byśmy... – Ułożył wargi w zwiotczały ryjek; popatrzył na rudzielca, na nią, na pilota i znów na Lerenę. – Może tak byśmy razem dali łupnia cesarskim? Co?

Lerena uniosła brwi.

– Mam zbroje. Więcej mi nie trzeba, a sprzedać coś takiego nie jest łatwo, trzeba by do Grombelardu. Inne łupy... – Wzruszyła ramionami.

– Prawda, łupy żadne – przyznał Brorrok. – Ale sława, jaka sława, córcia – kuśił.

Potrząsnęła głową, chociaż z żalem; Raladan był pewien, że kiedy indziej chętnie by przystała.

– Szkoda czasu – powiedziała. – Lato się kończy, a muszę sprzedać jeszcze partię żywego towaru. Tu przy płynęłam na próżno, muszę płynąć gdzie indziej.

– Szkoda. – Stary pirat zaklął po swojemu.

– A oprócz tego trzeba jakiej pomocy, kapitanie? – zapytała uprzejmie.

– Patrzaj, jaka miła dla starego... Mapy, córcia. Macie może więcej, niż trzeba?

– Tych wód?

– No.

Raladan skinął głową.

– Trochę stare – powiedział. – Ale uzupełnię ci je, kapitanie.

– Niedrogo policzę – dorzuciła Lerena.

Brorrok wysunął szczękę.

– Kuta na cztery nogi – skonstatował. – Niech mnie utopia, nie poznałem się najpierw. Tylko, córcia, troszkę tu śmierdzi (nie słuchaj starego)... Szanowny ojczulek, gdyby żył, dałby ci klapsy, oj, dał... Nie słuchaj. Nic mi do tego.

– Właśnie – potwierdziła. – Raladan, przynieś te mapy. Może kubek wódki, kapitanie?

– O, córcia, co to, to nie. W moim wieku trunek szkodzi. Ja piję mleko.

– Skąd mleko na morzu? – zapytała nieco ubawiona.

– Zawsze mam mleczne bydlątko. Jest i mleko.

Nie wiedziała, czy to żart. Potem dopiero Raladan powiedział jej, że nie.

Wkrótce Brorrok płynął z powrotem na swój holk.

Odprawiali łódź wzrokiem.

– Dziwny – oceniła. – Trochę śmieszny.

– To pozory. To najbardziej chytry, bezlitosny i okrutny człowiek, jakiego widziałas w życiu, pani. Przy tym zawołany żeglarz. Twój ojciec go prześcignął, bo miał okręt, z którym nic na Bezmiarach nie mogło się równać. I mnie – dorzucił bez pychy, ale i bez obłudnej skromności.

Popatrzyła krótko, ale nic nie powiedziała. Gdy łódź dobiła do burty holka, odwróciła się.

– Wybierać kotwicę! Uwaga na bezanie! Oko?!

– Horyzont czysty!

– Uwaga na sterze!

Brorrok i jego ludzie wspięli się na pokład. Na holku wzniesiono pożegnalny okrzyk. Załoga „Gwiazdy” odpowiedziała. Okręty rozeszły się powoli w dwie przeciwne strony.

## ROZDZIAŁ 32



Świtało, gdy zmęczona, ale szczęśliwa Riolata wróciła do swych ludzi przy szalupie.

Znalazła.

Trudno było nie znaleźć. Wyspa była bezludną skałą, stanowiącą siedlisko olbrzymich chmar ptactwa. Rosło na niej kilka marnych drzew i ze dwadzieścia krzewów; cała ta roślinność zgrupowana była w sercu łądu, mierzącego może ćwierć mili szerokości i tyle samo długości. Na północ od owego „lasu” leżało „wzgórze” – rumowisko skał upstrzonych białą ptasich sylwetek. Przy świetle pochodni, mając w ręku mapkę narysowaną przez syna Berera, z niejakim trudem wobec gęstniejących ciemności, odnalazła pośród owego rumowiska wejście do jaskini.

Stojąc wewnątrz legendarnego skarbcza, gdy minęło pierwsze uniesienie, pomyślała, że zaiste trudno było o lepszą kryjówkę. Większe łądy były z reguły zamieszkane, prędzej czy później przypadek odkryłby tajemnicę. Zakopanie podobnej ilości cennych, czasem delikatnych rzeczy, nie wchodziło w rachubę.

A ten łąd – niegościnnie, omijany przez ludzi (kto wie kiedy dotknęła go ludzka stopa, może ze sto lat przed przybyciem Demona, a może nigdy...) był wymarzoną kryjówką. Któż mógłby tu zawitać? Chyba jakiś rozbitek. Ale szansa, że zaistnieje podobny przypadek, jawiła się tak mizerna, iż trudno było brać ją pod uwagę.

Zresztą przed pojedynczym nieproszonym gościem jej ojciec się zabezpieczył. Zaraz za wejściem do groty był wilczy dół najeżony ostrzami. Człowiek towarzyszący Bererowi znalazł w nim szybką śmierć. Zapewne przykrywające ów dół żaglowe płótno, ciemne jak

skały wokół, w końcu musiało zbutwieć. Ale nie było jego przeznaczeniem leżeć wiecznie.

Jej powrót na plażę obudził żołnierzy i majtków. Stawali teraz na nogi, przeciągając się i ziewając.

Ranek wstawał trochę chłodny, ale za to bez mgieł. Widziała, jak na oddalonej niespełna milę od brzegu „Seili” podnoszą kotwicę.

Obrzuciła wzrokiem morze wokół i lekki uśmiech goszczący dotąd na jej ustach zgasł nagle. Trzy żaglowce szły bejdewindem z południowego wschodu. Rozpoznała natychmiast holki Floty Głównej – ciemnożółte żagle były doskonale widoczne. Archipelag Południowy, podobnie jak Dalonory, był uważany za część Garry; nie należał do Wysp.

Jej ludzie wymieniali uwagi, tłumiąc głosy tak, jakby tamci mogli usłyszeć.

Spojrzała na swój okręt. Na „Seili” także dostrzeżono eskadrę. Zastanawiała się, jaką decyzję podejmie Wantad. „Seila” była statkiem całkowicie legalnym, a obecność na tych wodach dałoby się od biedy wytłumaczyć; mogli płynąć do południowogaryjskiej Bagby, choćby po wódkę, mocniejszą, lepszą i tańszą od dorońskiej. Co prawda kupiecki statek płynący do Bagby obrałby raczej szlak pomiędzy Grupą Wschodnią a Środkową. Ale przecież mogli omyłkowo zejść z kursu. Jednakże w tej okolicy bardzo wystrzegano się podobnych pomyłek.

Zresztą Wantad właściwie nie miał wyboru. Strażnicy musieli już dostrzec karawelę, barwę żagli i znak na nich. Wobec plagi piractwa każdy właściciel statku obowiązany był oznaczyć go według zaleceń miejscowego komendanta straży. Prowadzone były specjalne rejestry. Ucieczka „Seili” mogłaby przysporzyć bardzo poważnych kłopotów.

W napięciu patrzyła, jak garyjska eskadra rozdziela się: dwa okręty pozostały na kursie, ostatni zaś w szyku odpadł od wiatru i pożeglował wprost ku „Seili”. Zbliżał się powoli, ale dla niej stanowczo za szybko.

– Schowajcie się – rzuciła; białe tuniki jej żołnierzy łatwo było dostrzec na tle ciemnych skał.



Po pewnym czasie okręty znalazły się blisko siebie. Nie mogła słyszeć rozmowy ich dowódców, ale patrzyła, wytyżając wzrok niemal do bólu. Ze zdumieniem i prawdziwym przerażeniem ujrzała, że Wantad robi zwrot i odchodzi od wyspy, kładąc „Seilę” w ślad holka.

Riolata chwyciła się za głowę.

Wantad tymczasem po prostu nie miał wyboru. Z napięciem nie mniejszym niż Riolata patrzył, jak holk refuje żagle, zmniejszając prędkość przed spotkaniem. Wkrótce dobiegło pytanie ze strażnika. Odpowiedział bez zwłoki.

– Co tu robicie? – indagowano dalej.

– Płynę do Bagby! – odkrzyknął. – Wczoraj musiałem uzupełnić na Mahu zapas wody!

Holk zrównał się z karawelą, po czym zaczął mijać ją powoli, w odległości niespełna pięćdziesięciu kroków.

– Jest pirat na tych wodach! – powiadomiono Wantada.

Oficerowie na kasztelu odbyli jakąś krótką naradę, po czym padło:

– Statek przechodzi pod moją komendę! Płyńcie za nami!

– Mam interesy w Bagbie!

– Nie znasz prawa, człowieku?! – zapytano surowo. – W imieniu cesarza nakazuję ci płynąć za mną! Twój statek wzmacnia siły eskadry Floty Głównej Garry i Wysp!

Wantad, rad nie rad, zaczął wydawać rozkazy.

W samej rzeczy takie było prawo imperium. Dowódca cesarskiego żaglowca mógł podporządkować sobie każdy napotkany statek. Musiał mieć ku temu powody, ale ocena, czy takowe były, należała do jego przełożonych. Kupiec miał prawo do skargi, którą rozpatrywano zwykle starannie, bądź też, jeśli poniósł finansową stratę, mógł żądać jej zrekompensowania. Nigdy jednak nie wolno mu było odmówić udzielenia pomocy.

Ścigano pirata. Wantad musiał przyznać w duchu, że dowódca holka nie nadużył swej władzy. Każdy marynarz natychmiast musiał docenić zalety „Seili”, więc przede wszystkim szybkość. Gdy miało się taki statek do pomocy, szanse pochwycenia pirata, gdyby udało się go zobaczyć, wzrastały niepomniernie.

Stary dowódca wspomniał przecucie dziewczyny. Czy to o statek jej siostry chodziło?

Odwrócił się i patrzył na pozostającą za rufą wysepkę.

## ROZDZIAŁ 33



Pogoda pogorszyła się nieco i był to znak, że szczęście im sprzyja. Gdyby świeciło słońce, zapewne zostaliby dostrzeżeni. Jednakże zachmurzone niebo i to, że znajdowali się pomiędzy nadciągającą eskadrą a wyspą, na której ciemnym tle ich czarne żagle były słabo widoczne, przesądziło sprawę. Raladan bez zwłoki zarządził zmianę kursu, poszli w stronę brzegu, pragnąc wtopić się weń jak najdokładniej. Ryzykowali mocno; pilot znał wiele przejść i przesmyków, lecz nawet on nie mógł przecież określić położenia każdej podwodnej skały w każdym morzu Szereru.

Ale udało się. Podeszli tak blisko, że w innej sytuacji mogliby śmiało uchodzić za szaleńców. Zwinęli żagle i stanęli na kotwicy. Kto żyw, tkwił na pokładzie, obserwując idące w odległości dobrych kilku mil statki.

– Poznajesz, pani? – zagadnął Raladan. – Wygląda na to, że twoja siostra bierze udział w obławie na Brorroka.

Oślaniając oczy dłonią, wpatrywała się w dal.

– Chyba masz rację, to rzeczywiście przypomina karawelę Riolaty. Myślisz, że zarekwirowali jej statek?

– Raczej wcielili do eskadry wraz z załogą. I mogli podesłać jej na pokład trochę wojska.

Odwróciła się ku niemu.

– Ale z tej odległości nie da się powiedzieć, czy to na pewno jest „Seila”. Wiem, że masz doskonały wzrok, ale...

– Nie, oczywiście, że nie mam pewności. Ale poczekajmy. Cierpliwości, pani. Płyną niemal prosto na północ, więc przybliżą się trochę. Może wtedy uzyskamy pewność. Ale zdziwiłbym się, gdyby

jednocześnie na tych wodach pływały dwie tak samo ożaglowane karawele o takich samych rozmiarach. Tu w ogóle mało kto pływa.

– Zamierzasz tkwić tu tak długo? Aż się zbliżą?

Przeważnie była mądra. Ale czasem wychodziło z niej dziecko, obrażone na rzeczywistość.

– A co jeszcze możemy zrobić? Jak będą... o, gdzieś tutaj – wskazał palcem – podniesiemy kotwicę i zasłonimy się wyspą. Ale to potrwa.

Znów popatrzyła na żaglowce.

– A jeśli to naprawdę ona? Może wydobyła już skarb?

– Wątpię.

– Ale jeśli? – nie ustępowała. – Jeśli wydobyła, to wszystko przepadło, ale jeśli nie...

Zamyśliła się.

– Chodź – powiedziała.

Ruszył za nią. Gdy znaleźli się w kapitańskiej kajucie, wyciągnęła kilka map i rzuciła na stół.

– Siadaj – poleciła.

Znalazła właściwą mapę.

– Teraz są tu, tak? – Pokazała ostrzem puginału. – A my tu, tak?

Potwierdził.

– Wiemy, kiedy wypłynęli. Wczoraj koło południa, w każdym razie przed wieczorem. Jeśli teraz są tu, to, przy tym wietrze, którędy mogli płynąć?

Zastanowił się, po czym wzruszył ramionami.

– Trudno powiedzieć... Zapewne płynęli w nocy...

– Noc była ciemna. Chmurzyło się już wieczorem.

– Mimo to...

– Noc była ciemna, Raladan! – powtórzyła ostro. – Było ciemno, zupełnie ciemno. My też staliśmy na kotwicy, chociaż na pokładzie jest najlepszy pilot Bezmiarów. Staliśmy, tak czy nie?

– Tak.

– Ile holków mają na Sarze?

– Trzy. Nie słyszałem, żeby coś się zmieniło.

– Dwa pewnie poszły tędy. – Pokazała szlak między Grupą Wschodnią a Środkową. – I te mogły żeglować nocą. A ten popłynął

sprawdzić wschodnie wyspy.

– Wątpię.

Patrzyła w milczeniu.

– Znowu chyba przestaję ci wierzyć...

Zirytował się.

– Po co mieliby posyłać jeden holk? Przecież wiedzą, kogo chcą złapać. Jeden holk może uciekać przed Brorrokiem, a nie go gonić. Myślisz, pani, że tamten uciekał dla zabawy, ledwo dotarł do Sary, i drugi, taki sam, wypłynął, żeby gonić?

Zacisnęła usta.

– Myślę, że przyплыnęli tutaj, do Wschodniej Grupy, całą eskadrą – wyjaśnił już spokojnie. – I dopiero po spotkaniu statku twojej siostry podzielili się na dwa zespoły. Jej karawela może być użyta jako okręt łącznikowy. Ten samotny holk, z którym płynie, pośle „Seilę” po resztę eskadry, jeśli zaoczą Brorroka.

– No, dobrze. To teraz powiedz, którędy płynęli.

Marszcząc czoło, patrzył na mapę.

– Nie wiem... Może tędy? Nie, prędzej tędy. Skoro popłynęli tutaj, a nie na szlak doroński, znaczy myśleli, że Brorrok raczej schowa się gdzieś, niż ucieknie. Ale w takim razie... ja płynąłbym tędy.

Twarz miała ściągniętą.

– Śmieję się, że choć przez chwilę mogłam ci wierzyć. Robisz wszystko, żebym nie znalazła tej wyspy, prawda, Raladanie?

– Posłuchaj, pani...

– To ty mnie posłuchaj, i to uważnie: powoli zaczynam mieć pewność, że próbujesz wywieść mnie w pole. Dobrze, że zaczęłam tę rozmowę. Rozmawiajmy dalej. Jeszcze jedna albo dwie wypowiedzi, a będę wiedziała dość, by z czystym sumieniem uciąć ci ten kłamliwy jęzor.

Kręcił głową w milczeniu.

– Tyś oszalała, moja panno – orzekł z całkowitym spokojem.

– Nie, mój kawalerze. To tyś się zapomniał. Nie jestem szynkarką. Jestem kapitanem okrętu. I co nieco o morzach wiem, choć pewnie nie tyle, co pilot Raladan... Tędy byś płynął, powiadasz? Po lądzie?

Patrzył zaskoczony.

– Jak... po lądzie?

– Widzisz, Raladan, ja już kiedyś byłam w tych stronach. Parę razy. Ostatnio nawet z tobą, jak łapaliśmy Berera, pamiętasz? Ta cieśnina istnieje tylko na mapach, a i to nie na wszystkich. To nie są dwie duże wyspy, tylko jedna, jak dwie kule połączone łańcuchem. Tu nie ma przejścia, każdy odpływ odsłania skały, między którymi można przejść pieszo. Z jednej części wyspy na drugą.

Pokręcił głową.

– Nie wiedziałem... Ale zapamiętam. Na Szerń, pani, nie jestem nieomylny.

– Na twoje nieszczęście w tych sprawach zawsze byłeś.

– Naprawdę nie wiedziałem. Raz i drugi widziałem te wyspy... tę wyspę z daleka.

– Ale jakoś byłeś pewien, że jest między nimi dogodne przejście, z którego mogą skorzystać okręty tak duże jak cesarskie holki – zadrwiła.

Rozłożył ręce.

– Nikt nie zna wszystkich wysp, cieśnin i mielizn Szereru – powiedział. – Mój dar polega na tym, że gdy patrzę na wodę... czy choćby na mapę... jakoś... prawie czuję kształt dna. Ale przecież czasem się mylę. Wprowadziłem raz „Węża” na taką mieliznę, że trzeba było rzucać kotwice. Wszystkie zapasy poszły wtedy za burtę, wszystkie działa, a dwustu chłopów pływało wokół okrętu, byle go odciążyć. Jeszcze trochę, a rąbalibyśmy maszt!

Namyślała się.

– No dobrze – powiedziała nieco łagodniej. – Więc któredyś płynęli, Raladanie?

Myślał krótko.

– W takim razie tędy. Nie od północnego zachodu, bo wtedy lepiej byłoby płynąć szlakiem i teraz mielibyśmy te dwa żaglowce od północy... Weszli we Wschodnią Grupę od południowego zachodu.

– A dalej? Tutaj jest Barirra...

– Właśnie. Chyba raczej zostawili ją z prawej burty. Potem zakotwiczyli na noc. A skoro...

Uniósł wzrok.

– Skoro teraz są tutaj... to znaczy, że płynęli... o, tak. Twoją siostrę spotkali po drodze, najprędzej chyba dziś rano.

Skinęła głową.

– W rachubę wchodzi trzy lub cztery wyspy, pani. Jest ich po drodze więcej, ale na kilku są wioski.

Popatrzył na Lerenę.

– Jeśli nawet nie znajdziemy właściwej...

– To co?

Myślał przez chwilę.

– Jeśli twoja siostra wydobyła skarb, to istotnie wszystko przepadło. Ale jeśli nie, to przecież wróci po niego. Domyślamy się już, gdzie mniej więcej mogli ją spotkać cesarscy. Wystarczy przycząć się po drodze i patrzeć, dokąd płynie.

– I tak właśnie zrobimy, najdroższy.

Nie wiadomo dlaczego to kpiące „najdroższy” sprawiło, że się uśmiechnął. Chyba nigdy żadna kobieta nie zwróciła się do niego w ten sposób.

## ROZDZIAŁ 34



Praca Varda w kopalni, choć pewnie nie tak wyniszczająca jak praca innych więźniów, przecież była ciężka. Jednakże kapitan pozostał czymś więcej aniżeli ludzkim wrakiem. Schudł nieco i wydawał się starszy, niż był w istocie, ale dusza została ta sama – dusza żołnierza z krwi i kości, przed którym stoi zadanie.

Kto wie czy nie zachował tej duszy dzięki Alidzie?

A ciało miał sprawne.

Odkąd podjął pracę w kopalni jako człowiek wolny, płacono mu wcale uczciwie. Rodziny nie miał, mógł zadbać o siebie, jadł więc dużo i dobrze, sypiał długo, odział się niebogato, ale znowu nie nędznie. Przed opuszczeniem Agarów otrzymał w darze od starego komendanta legii prosty, ale niezawodny miecz, wykonany na podobieństwo gwardyjskiego, choć, rzecz jasna, bez cechy jakościowej legii. Podarunek przyjął.

Nigdy i nigdzie nie zdarzyło się chyba, by mężczyzna odmówił przyjęcia broni darowanej szczerze przez innego mężczyznę.

Grombelardzkim zwyczajem nosił miecz na plecach. Żołnierzom nie wolno było nosić broni w ten sposób. Nie był już jednak żołnierzem i czuł potrzebę podkreślenia tego. Nie pozwolił sobie na żaden inny gest. Choć miał wiele możliwości i okazji.

Ktoś inny na jego miejscu poszedłby pewno do siedziby Trybunału, posłuchał, jak urzędnicy mówią mu „wasza godność”, po czym kazał pocałować się w dupę.

Odplynął pierwszym statkiem, jaki zdążył na Garrę. I właśnie do Dranu, co akurat nie musiało dziwić.



Wylądował szczęśliwie i znalazł tanią gospodę. Opłacił noclegi we wspólnej izbie – miał gdzie spać przez tydzień.

Vard nie był przebiegły i nigdy się za takiego nie uważał. Ale nie był też głupi. Dowiedział się, że Alida najprawdopodobniej jest w Dranie. Był pewien, że agarski Trybunał w ten czy inny sposób powiadomi ją o tym, że człowiek, któremu zabrała siedem lat życia, ma się dobrze i dziwnym trafem – odzyskawszy wolność, płynie do miejsca, gdzie można ją znaleźć.

Dlatego nie pytał, nie szukał, nie czatował. Po prostu czekał, aż tamtych znudzi jego bierność. Włóczył się po porcie, po rynku, po wszystkich dzielnicach miasta, oglądał towary wystawione na sprzedaż, gawędził z marynarzami w tawernach i z gwardzistami w Starej Dzielnicy. Z każdym łatwo znajdował wspólny język; nie na darmo w kopalni otarł się o tyłu i tak różnych ludzi. Martwił go tylko ubytek grosza w kieszeni. Miał jeszcze trzy sztuki srebra. I trochę miedziaków.

Można było za to znośnie przeżyć dziesięć dni. A bardzo oszczędnie przetrwać trzy tygodnie – jeśli kupowało się wyłącznie jedzenie.

Ostatnio zauważył, że kręcą się wokół niego podejrzani ludzie. Jego bierność najwyraźniej podziałała komuś na nerwy, szpicle stali się niemal natarczywi. Gdy przystawał, by pogawędzić z przekupniem, natychmiast pojawiał się jak spod ziemi niepozorny, szary człeczyna o nijakiej twarzy. Człowieczek wyłaził ze skóry, byle usłyszeć choć jedno słowo z prowadzonej rozmowy. Vard zastanawiał się, czy potem podsłuchane treści idą wyżej.

„Tu nie wolno straganów?” – pytał przekupnia.

„Oj, wasza godność, ojoj” – narzekał tamten. „Nie wolno. Oj, nie wolno. Wszędzie, coby tylko nie tutaj. A kiedy tu, wasza godność, najlepiej idzie!”

„I cóż? Wszystko na grzbiecie?”

„Ano, wasza godność, oj, na grzbiecie. Noszę tak i noszę, czasem dobry człek co kupi. Wasza godność, przecie grzyby jak złoto!” Sięgał do wielkiego kosza na plecach, wyciągając brunatne wianki.

Takie to były rozmowy.

Vard z sarkazmem, nabytym w agarskiej kopalni, zastanawiał się, jak długo wytrzyma człowiek słuchający dzień po dniu sprawozdań z takich rozmów.

Wytrzymał krócej, niż Vard myślał.

Pewnego dnia, gdy jak zwykle krążył po ulicach Dranu, zatrzymał go niegłośny okrzyk:

– Kapitanie Vard!

Zatrzymał się i obejrzał.

– Nie jestem kapitanem – powiedział. – Ale rzeczywiście nazywam się Vard.

Mężczyzna skłonił się lekko, ale nie przedstawił.

– Mam przekazać waszej godności zaproszenie – powiedział.

– Na dzisiaj?

– Tak, na... teraz.

Vard skinął głową. Mężczyzna najwyraźniej był zdziwiony brakiem jakichkolwiek pytań; nie wiedział, czy wyjaśniać sytuację, czy też nie.

– Idziemy, panie, czy tak? – zapytał Vard.

– Tak... kapitanie.

– Nie jestem kapitanem. Już mówiłem. Nie tytułuj mnie, panie, w ten sposób. Którędy?

Mężczyzna wskazał drogę. Potem szedł w milczeniu, spoglądając tylko od czasu do czasu z ukosa na dziwnego człowieka, który nie był ciekaw, dokąd go prowadzą.

Tak doszli do Starej Dzielnicy.

Dom, przed którym się zatrzymali, nie był większy ani zamożniejszy od innych. Nie wyróżniał się niczym szczególnym.

– To tutaj, wasza godność.

Przewodnik chciał powiedzieć coś jeszcze, ale zrezygnował. Wprowadził Varda do budynku i pożegnał. Vard został sam w obszernym, raczej skromnie urządzonej pokoju na parterze.

Nie czekał długo. Wkrótce otworzyły się drzwi wiodące do innych pomieszczeń, przepuszczając pięćdziesięcioletniego mężczyznę o niezwykle poważnej, nawet surowej twarzy.

– Kapitanie Vard – rzekł grzecznie – proszę darować owo niezwykle zaproszenie. Proszę też darować, że nie wymienię swego nazwiska, ale lepiej, bym tego nie czynił.

– Nie jestem kapitanem – rzekł po raz trzeci tego dnia Vard. – Nie dowodzę żadnym okrętem. To niemożliwe, byś o tym nie wiedział, wasza godność.

Mężczyzna milczał przez krótką chwilę, potem wyciągnął rękę, wskazując miejsca przy stole.

– Usiądźmy.

Przez chwilę trwała cisza.

– A zatem, panie – rzekł gospodarz – nie jesteś kapitanem. Wielka szkoda. Czy myślałeś kiedyś o ponownym objęciu takiej funkcji? Na holku Floty Głównej, przypuśćmy?

– To niemożliwe – odrzekł Vard – gdyby zaś nawet było możliwe, to niezgodne z prawem. Nie, panie, nie myślę o tym. Wasza godność, chcesz pomyśleć za mnie?

Owo rzucone z głupia frant pytanie nieco stropiło gospodarza. Sięgnął po stojący na stole wielki dzban i rozlał wino do dwóch srebrnych, ale prostej roboty kubków.

Vard naprawdę nie był człowiekiem przebiegłym ani sprytnym. Był natomiast spostrzegawczy. Dawno już rozważył, co robić, gdyby zaistniała podobna sytuacja (przewidział wiele różnych). Nie wdawał się w gierki słowne, słuchał natomiast uważnie i obserwował.

– Dlaczego prowadzisz ze mną grę, panie? – zapytał wprost. – Ktoś cię przekonał, że tak będzie najlepiej? Nie wierz temu. Po prostu porozmawiajmy.

Zobaczył, że ugodził celnie, ale nie domyślał się nawet, jak bardzo.

„Ten człowiek widzi na wylot” – przemknęło przez głowę gospodarza. „Nalwez, jesteś głupcem, a ja tym większym, że posłuchałem cię dzisiaj”.

– Widzę, kapitanie... wybac, PANIE Vard, że oceniłem waszą godność właściwie. Cieszę się z tego. A zatem: najlepiej, jak mówisz, po prostu porozmawiajmy. Jestem wysokim urzędnikiem Trybunału Imperialnego, panie. Jeszcze raz proszę, byś mi wybaczył, ale

nazwiska naprawdę wolę nie wymieniać... bez wyraźnej potrzeby. Czy jest taka potrzeba?

Vard skinął głową.

– Racja. Nie.

– Ubolewam – ciągnął tamten – nad losem, który tak pokierował życiem twoim, panie, i... pewnej kobiety. Chcę zapytać: czy to z jej powodu jesteś tutaj, w Dranie?

– Dlaczego tak sądzisz, wasza dostojność? – Vard, zorientowany już nieco, kim jest jego rozmówca, użył tytułu przysługującego wysokiemu urzędnikowi cesarstwa.

– No cóż, mogłoby zdawać ci się, panie, że masz powód do zemsty – padła otwarta odpowiedź.

Vard docenił to.

– Myślę, że chciałbym z nią porozmawiać – powiedział, zastanowiwszy się krótko. – Ostatnio, gdyśmy się widzieli, wisiałem na łańcuchach i nie mogłem obetrzeć jej śliny ze swej twarzy. Teraz ręce mam wolne, mógłbym zatem to robić.

Mężczyzna lekko ściągnął brwi i przygryzł usta.

– Obawiam się, że takie spotkanie nie jest możliwe – rzekł po chwili.

Vard wskazał drzwi, którymi urzędnik wszedł do pokoju.

– Dlaczego? – zapytał. – Przez drzwi mało co słyhać, nawet jeśli są uchylone. Myślę, że mogłaby usłyszeć więcej i lepiej, siedząc z nami przy stole.

Także i to pchnięcie, choć ryzykowne, bo zadane zupełnie po omacku, sięgnęło celu. Rozmówca Varda najwyraźniej nie potrafił kontrolować tak dziwnej wymiany zdań. Vard z prawdziwą satysfakcją patrzył, jak ten rozumny człowiek gubi się i wyraźnie traci grunt pod nogami. Jego taktyka okazywała się nadspodziewanie skuteczna.

– Nie szukam zemsty, wasza dostojność – rzekł po chwili. – Szukam sprawiedliwości. Może bawi to urzędnika Trybunału, ale kiedyś w nią wierzyłem. Przed ośmiu laty skazano mnie za czyny, których nie popełniłem. Chcę wiedzieć, dlaczego tak się stało. Czy usunięto mnie w imię interesów cesarstwa, co może mógłbym

zrozumieć, czy też... ktoś po prostu nadużył swej władzy. Czy masz pewność, panie, że nie zaszła ta druga możliwość?

Urzędnik patrzył w milczeniu.

– Nie przywykłem do takich rozmów – rzekł wreszcie. – Uświadomiłeś mi, panie, niezwykłą rzecz: to mianowicie, że dawno już nie spotkałem człowieka mówiącego bez ogródek i szczerze. Chcę bowiem wierzyć i wierzę, że tak właśnie jest. Dziękuję za to.

Wstał.

– Myślę, że pożegnamy się teraz. Mam jednak pytanie: czy przyjmiesz, wasza godność, moje następne zaproszenie? Chciałbym pomówić w miejscu, gdzie nie będzie żadnych drzwi, zamkniętych czy otwartych... Gdzie będziemy, panie, w oczywisty sposób całkiem sami, co pozwoli ci powiedzieć wszystko, cokolwiek. Bez świadków, a więc bez obaw.

o o o

Tego samego dnia wieczorem w gmachu Trybunału, przy wielkim stole w bogatej sali zasiadły trzy osoby – te same i tak samo jak kilka dni wcześniej. Zmieniła się tylko suknia kobiety. To nie znaczy, że była skromniejsza.

– Jesteś głupcem, Nalwez – rzekł starszy mężczyzna, odpowiadając na słowa tamtego. – Miałem cię dotąd za zbyt porywczego, młodego człowieka. Ale teraz widzę, że to nie młodość. To głupota.

Nalwez poczerwieniał.

– Wasza dostojność... stanowisko, jakie zajmujesz, nie upoważnia cię...

– Najwyższym Sędzią Trybunału zostałem z woli samego cesarza, Nalwez. Z tobą zaś rzecz ma się inaczej. Nie obchodzi mnie, kto cię protegował na to stanowisko, choć domyślasz się chyba, że nietrudno dociec. Zapewniam jednak, że owo poparcie nie wystarczy, jeśli zdecyduję, że masz odejść. Jeśli ktoś szkodzi interesom Trybunału, mam prawo odwołać się do samego Kirlanu.

Nalwez spojrział w bok, ale właścicielka bogatej sukni pokazała gestem, że zgadza się z tym, co powiedziano.

Przez chwilę panowała cisza.

– A zatem – podjął starszy mężczyzna – spotkanie dojdzie do skutku. To nie jest jakiś dureń, który wplątał się w nie swoje sprawy. Będę potrzebował twojej pomocy, pani – zwrócił się do kobiety. – W archiwach Floty Głównej z pewnością mają jakieś raporty z Aheli sprzed ośmiu lat. Tylko ty możesz sprawić, bym nie musiał czekać na nie latami. Chcę zestawić te raporty z tym, co wysmażył dla nas ahelski Trybunał.

Z lekkim uśmiechem skinęła głową.

– Może warto by też udać się na te Agary. Nalwez – powiedział tknięty nagłą myślą – ty tam popłyniesz. To nie jest żadne zesłanie – zastrzegł. – Raczej próba, czy potrafisz jednak zrobić cokolwiek. Pojutrze będę mógł ponownie zobaczyć się z tym człowiekiem. Jest szczerzy, ale ostrożny i wcale mu się nie dziwię. Wyzna wszystko, jeśli będzie miał pewność, że nie zostanie zaraz oskarżony o pomówienie lub podobną zbrodnię. Dlatego chcę z nim mówić bez świadków. Jeśli moje podejrzenia znajdą potwierdzenie, wystawię ci wszelkie pełnomocnictwa. Zbadasz sprawę u korzeni, Nalwez.

– Czy nie podejmujemy zbyt szerokich działań na podstawie zbyt kruchych przesłanek? – zapytała kobieta.

– Też się zastanawiam. Ale ten kapitan to niezwykle rzadki rodzaj człowieka. Jest uczciwy. Na wskroś uczciwy. I naprawdę wcale niegłupi. Nie wierzę, by istotnie pomagał piratom. Natomiast...

Zawahał się.

I długo o czymś rozmyślał. Nie przeszkadzano mu.

– Zamykam posiedzenie – rzekł niespodziewanie, unosząc głowę.

Nalwez spojrział zdziwiony, ale wstał po chwili i skłonił się lekko. Tamtych dwoje siedziało nadal. Pojął nagle, w czym rzecz, i po raz drugi tego wieczoru krew napłynęła mu do twarzy. Szybkim krokiem opuścił komnatę.

– Nie ufasz mu – skostatowała kobieta. – Ale po co obrażasz?

– Raczej... nie považam – odparł; drugiej części jej wypowiedzi chyba nie usłyszał. – To pierwszy powód, dla którego zamknąłem

posiedzenie.

– A drugi?

– To, co chcę powiedzieć, ma charakter nieoficjalny.

– Tak myślałam. Jesteś zawsze sobą, drogi kuzynie. Dobrze, rozmawiajmy prywatnie.

– Pani Erra Alida to chyba najlepszy człowiek, jakiego mamy – rzekł po namyśle. – Bez dwóch zdań, wolałbym mieć przy boku ją niż takiego Nalweza. Wiesz przecież, że w rocznym sprawozdaniu dla Kirlanu proponuję utworzenie tajnego stanowiska Trzeciego Przedstawiciela. Widziałem na tym miejscu właśnie panią Alidę i wymieniłem jej nazwisko w raporcie. Ale... Eleno, ty ją znasz lepiej. Powiedz, dlaczego ta kobieta pracuje dla Trybunału?

– Dla pieniędzy – odparła. – To najważniejszy powód. Pobory z kasy imperialnej wcale nie są małe. A jeszcze ciągnie naprawdę duże zyski ze swej profesji, która niby jest tylko przykrywką... Czy pomyślałeś kiedyś, że w równym stopniu ona służy nam, jak my jej?

Zmarszczył czoło.

– To Trybunał oddał jej dom w Starej Dzielnicy – wyjaśniła. – Trybunał dba o jej bezpieczeństwo. Trybunał płaci za jej przyjęcia, na których co prawda ciągnie gości za języki. Powiedz, kuzynie, która ladacznica w Dranie ma tak dobrze?

– A zatem złoto i inne korzyści...

– I władza. Ma ją wcale niemałą. Dodatkowo sama stoi ponad prawem.

– Niezupełnie.

– Ale jednak. Trochę?

Skinął głową.

– Zatem potwierdzasz mój osąd. Pani Alida dla pieniędzy i władzy zrobi... jeśli nawet nie wszystko, to w każdym razie bardzo wiele. Jest niezwykle cenna dla Trybunału, ale jeśli okaże się, że osiem lat temu nadużyła swych uprawnień, prowadząc jakąś własną grę, to nie ma żadnych dowodów, iż nie zrobi tego ponownie. A może być niebezpieczna. Dla nas, dla Trybunału, a może i dla Wiecznego Cesarstwa.

– O czym myślisz?

– O powstaniu. Z całą pewnością wybuchnie w przyszłym roku. Nie możemy mieć ludzi, którzy lubią prowadzić własne gierki. Zwłaszcza wtedy.

Zamilkł.

– Skąd te zastrzeżenia? – zapytał po chwili. – To przecież ty chciałaś, by ludzie śledzący kapitana Varda składali nam raporty?

– Owszem. Niemniej...

Kobieta pokręciła głową.

– Chyba za daleko idziesz w swoich podejrzeniach. Możliwe, że w Aheli Alida naruszyła prawo...

Machnął lekko dłonią.

– Nie jestem naiwny, Eleno. Wiem, na czym polega praca dziwki, której dodatkowo można zlecić morderstwo. Jeśli mają przychodzić do niej grube sztuki, to potrzebna jest pewna reputacja. Nie obchodzi mnie, ilu małych intrygantów pozabijało się nawzajem za jej pośrednictwem. Powiadają, że gdzie drwa rąbią, tam i wióry lecą. Praca urzędników Trybunału to pasmo małych przestępstw i zbrodni, popełnianych w celu zapobieżenia wielkim. Nic na to nie poradzę, bo chyba inaczej się nie da.

– O cóż więc chodzi?

– O to, kuzynko, by nie popełniano owych małych zbrodni więcej, niż jest to konieczne. I nigdy we własnym interesie.



## ROZDZIAŁ 35



**B**yla tak ponura, że majtkowie i żołnierze schodzili jej z oczu, a bali się nawet rozmawiać. Zresztą widok odpływającej „Seili” ich również nie wprowadził w dobry nastrój.

Właściwie nic im na razie nie groziło; mieli dobrą łódź, trochę żywności i słodkiej wody. Ale decyzję należało podjąć jak najszybciej: czy wiosłować zaraz w stronę Garry (jakieś dwadzieścia mil) i później przedostać się, lądem albo morzem, do Bagby, czy też, licząc na szybki powrót „Seili”, czekać.

Mogła się tylko domyślać, co zaszło. Ale wszelkie próby odgadnięcia, kiedy Wantad powróci, były czystą loterią. Mógł wrócić jutro albo za trzy tygodnie. Na dobrą sprawę mógł nie wrócić wcale. Jedna Szerń wiedziała, dokąd płynął ten holc, może i do Grombelardu...

Opanowała się. Oczywiście to niemożliwe, lecz złość podsuwała takie właśnie domysły.

Postanowiła czekać. Wierzyła, że gdyby zanosilo się na dłuższy rejs, Wantad coś wymyśli.

Ale beczynne oczekiwanie było czymś zgoła nieznośnym. Już pierwszy dzień, ciągnący się niemal bez końca, uświadomił jej, na co się porwała.

Żywność i woda prawie się skończyły; było co prawda trochę deszczówki, zebranej w zagłębieniach skalistego gruntu, ale woda smakowała jakoś obrzydliwie. Także nastroje wśród jej ludzi nie były najlepsze. Marynarze wypali się za wszystkie czasy, potem łazili wzdłuż brzegu, płosząc kamieniami ptactwo, lecz gdy nadszedł wieczór, stali się swarliwi i marudni. Ona sama zresztą wpadała w złość z byle powodu.

Może jednak należało płynąć na Garrę?

Noc była chłodna: ci, którzy wyspali się za dnia, teraz usnąć nie mogli. Męczyła się i ona. W końcu paru majtków powlokło się do „lasu”. Rozpalili ognisko, ale niedługo płonęło: nad ranem przeleciał krótki, lecz dość gwałtowny deszcz. Zbyt marny, by zdołali nałapać świeżej wody, wystarczająco jednak silny, by przemoczyć odzież i zgasić płomienie. Pojęła wtedy, czym jest pech, i zdała sobie sprawę, jak drobne z pozoru wydarzenia mogą obrzydzić życie. Pocieszyła się myślą, że rozpalenie ognia nie było wcale rzeczą rozsądną; dziwnie dużo statków kręciło się po tych, omijanych zwykle, wodach. Poza tym nie była pewna, czy dwie sąsiednie wyspy, których zarysy dało się zauważyć, były bezludne. Wątpliwe co prawda, by ktokolwiek dostrzegł stamtąd niewielki ogienek, ale... stawka była wystarczająco wysoka, by każda ostrożność miała uzasadnienie. Ostatnie, czego pragnęła, to spotkanie na tej skale z szakalami morza.

I z kimkolwiek innym.

Rano wzięła płaszcz od Nosacza i powędrowała do skarbcza.

Ani marynarze, ani żołnierze nie wiedzieli dotąd o skarbie. Podejrzewała jednak, że domyślają się czegoś. Rejs nie był zwykłym rejsiem, wyspa zaś, na której się znajdowali, nie obfitowała w rzeczy godne uwagi. Skoro jednak stanowiła cel wyprawy... Była pewna, że gdy tylko nie ma jej w pobliżu, odżywają niezliczone domysły. Któryż to majtek nie słyszał o pirackich skarbach?... O tym skarbie. Legendarnym już skarbie Demona Walki.

Dotarła na miejsce, ale nie zeszła do jaskini. Zamiast tego wdrapała się na szczyt wzgórza. Wypatrywała „Seili”.

Była! Z satysfakcją zacisnęła usta. Czarny kształt nadpływał z północnego zachodu. Wantad wracał!

Radość uleciała szybko. Ten okręt nie niósł białych żagli. Nie potrafiła określić barwy, ale były ciemne, na pewno nie białe.

Patrzyła w napięciu, wzburzona.

Statek przybliżał się powoli; wiedziała, że upłynie dużo czasu, nim znajdzie się u brzegów wyspy.

Potrząsnęła głową. Dlaczego miałyby zmierzać właśnie tutaj? Skarciła się w duchu za bezpodstawne obawy, spojrzała jeszcze raz w dół i chciała zejść ze wzgórza, ale coś przykuło ją do miejsca. Pojawiło się nagle znajome uczucie, wbiła spojrzenie w daleki okręt i powiedziała cicho, z prawdziwą nienawiścią:

– Lerena.

o o o

Raladan stał na kasztelu i patrzył pod horyzont. Poczuł na ramieniu dłoń Lereny.

– Raladan.

Spojrzał na nią. Byli niemal tego samego wzrostu; przysunęła głowę do jego głowy, patrząc w dal.

– Tak, pani?

Poszedł wzrokiem za jej spojrzeniem.

– Co tam jest? – zapytała, marszcząc brwi.

– Wyspa, wysepka – odparł.

– Wysepka – powtórzyła machinalnie.

– Tak, pani. Właściwie stercząca z wody skała, tak mała, że zaznaczono ją na niewielu mapach.

– A na naszych?

– Nie.

– Nie oznaczyłeś jej?

– Nie, pani.

– Dlaczego?

Nie odpowiedział.

– Dlaczego, Raladan? – ponagliła.

Podeszła do bukszprytu.

Powrócił spojrzeniem do owego nieokreślonego bliżej punktu, który wcześniej śledził.

– Słyszałeś?

– Tak, pani.

Odwróciła się, spoglądając mu w twarz.

– Czy to może być... tam?

Wzruszył ramionami, zatykając kciuki za pas.

– Jaki strasznie milczący! – rozzłościła się nagle. – Zwykle masz tyle do powiedzenia!

Pilot odetchnął głęboko.

– Nie wiem, pani, czy to może być tam. Myślę, że nie. Ale milczę, bo ostatnio każda moja wypowiedź nieidąca po twojej myśli jest powodem, by zarzucić mi nielojalność albo zgoła zdradę.

Przez długą chwilę obserwowała go, nic nie mówiąc.

– Dlaczego uważasz, że skarbu tam nie ma? Znasz tę wyspę?

Znowu wzruszył ramionami.

– Właśnie rzecz w tym, że nie. I nie bardzo wiem, jakim sposobem mógłby znać ją twój ojciec. Trudno przypuścić, by przybił do nieznanego brzegu z zamiarem ukrycia skarbu, nie wiedząc nawet, czy da się tam wykopać dziurę.

Wydęła wargi.

– No tak: ląd powszechnie znany: nie, bo żyją na nim ludzie. Ląd nieznan: też nie, bo nie wiadomo, czy spełni oczekiwania... Jaka więc to ma być wyspa, Raladan? Znana mojemu ojcu i tobie, i nikomu innemu? Dużo jest takich?

– No cóż... Pewnie masz rację, pani – przyznał. – Może, prowadząc tak długo daremne poszukiwania, zaczynam teraz szukać nie wiadomo czego.

– Chyba tak, Raladanie. Ale nie martw się, znalazłeś.

Znow odwróciła się ku morzu i wskazała palcem odległą skałę.

– To jest tam.

Skinął głową.

– Niech tak będzie, pani. Ale pozwól, że teraz ja zapytam: skąd ta pewność?

– Nie wiem. Po prostu, to jest tam.

Pokiwał głową, krzywiąc sceptycznie usta. Zbliżyła się i otwartą ręką trzasnęła go w czoło, odrzucając ciosem głowę w tył.

– Nie pozwalaj sobie na takie uśmieszki – upomniała, niemal szczerząc zęby. – Bo ci każę wlepić parę kijów.

Spurpurowiał na twarzy. Cofnęła się niespiesznie o pół kroku.

– No? Spróbujesz? – rzuciła wyczekująco.

Wysunęła język, powolutku przesuwając koniuszkiem wzdłuż wargi.

o o o

Wyspa wyglądała dokładnie tak, jak to określił Raladan: wystająca z wody kupa skał pokrytych tu i ówdzie cienką warstwą gleby. Trzymając w dłoniach pomiętą, niechlujnie wykreśloną mapę, patrzyła to na nią, to na ląd.

– To jest tu! – mówiła gorączkowo. – Patrz, tam widać jakieś wzniesienie, jest zaznaczone na mapie... A tutaj, ten cypel jak wygięte ramię. To mogła być kryjówka „Węża”, nikt nie dostrzeże z morza stojącego za tym cyplem okrętu z nagim masztem! Znaleźliśmy!

Trzasnęła dłońmi o nadburcie.

– Hej! Miecz dla mnie, ośmiu ludzi do łodzi! Raladan!

Pilot stał z boku, patrząc w milczeniu.

– Chcesz im pokazać skarb? – zapytał, ruchem głowy wskazując majtków. – No, to nasze życie niewiele jest warte.

– O to się nie martw – powiedziała. – Zrobią, co im każe.

„Na wszystkie morza” – pomyślał. „Tyś oszalała, dziewczyno”.

Jej wiara we własną władzę nad załogą była tyleż naiwna co zatrwazająca.

– No to co?! – wrzasnęła nagle, jakby widząc jego myśli. – Mam powiedzieć sobie „to tu” i odpłynąć?!

Po chwili łódź kołysała się przy burcie.

– Idziesz? – zapytała przez zęby, przypasując miecz.

Skinął ponuro głową.

Wkrótce byli na brzegu. Wyskoczyła na piasek i natychmiast ruszyła w głąb wyspy. Raladan zagryzł wargi.

– Czekać tu – rzucił do wioślarzy.

Nie sprzeciwiono mu się.

Podążył za dziewczyną.

## ROZDZIAŁ 36



**A**lida już wiedziała, że popełniła błąd. Bardzo poważny błąd. Varda należało zabić.

Oczywiście nie mogła tego zrobić tak po prostu. Bavatar był uczciwy. Najwyższy Sędzia Trybunału Imperialnego Garry i Wysp – był uczciwy.

„Uczciwy” – obracała w myślach dziwne słowo, jedno z tych, które oznaczają tak wiele, że aż nic. Była uczciwość pojęciem względnym, akurat tak samo jak dobro, zło, sprawiedliwość... Można ich było używać, jednak sprawy poważne winny być załatwione w oderwaniu od takich...

Zniecierpliwiona odsunęła na bok filozofię.

– Starzejesz się, kochanie – powiedziała sobie z gniewną kpiną.

Bavatar nie filozofował. Po prostu był uczciwy, i to w bardzo szerokim rozumieniu tego słowa. U Najwyższego Sędziego Trybunału taka krępująca ręce cecha była wadą. Ale z tym nie mogła nic zrobić. W każdym razie nie teraz.

Mogła natomiast, jeszcze przed paroma dniami, dość łatwo pozbyć się Varda. Bez oficjalnej zgody Bavatara oczywiście. Łatwo by uwierzono, że chciał ją zabić i jej ludzie musieli zadziałać.

Pozwoliła jednak, by żył. Gdzieś w głębi duszy miała wątplą nadzieję, że może jednak ten człowiek wie coś... o Raladanie. A teraz było za późno. Nie dość, że dała mu czas, to jeszcze posłużyła się ludźmi Trybunału. Prawda, że tego od niej oczekiwano; gdyby zrobiła inaczej, musiałoby to wyglądać co najmniej dziwnie. Sprawy jednak przybrały jeszcze gorszy obrót, bo szpiedzy, których wybrała, informowali o wszystkim nie tylko ją, ale także Elenę.

Czy tamta coś podejrzewała? To nie był uczciwy Bavatar, Eleny należało się bać.

Może podejrzewała. Dość, że niezwykle spokojne, zagadkowe zachowanie człowieka, któremu przypisywano chęć wywarcia zemsty, zwróciło uwagę Pierwszej Przedstawicielki Sędziego. No i wtedy sprawą zainteresował się Bavatar. Doszło do tego zdumiewającego spotkania i – nie mogła uwierzyć własnym uszom (bo istotnie słyszała rozmowę) – człowiek, którego miała za prostodusznego głupca, zagrał niczym księżę intrygantów, uderzając szczerością tam, gdzie uderzyć należało! Zaintrygowany Bavatar chciał rozmowy w cztery oczy.

Splotła dłonie na karku.

Nie mogła dopuścić do tego spotkania. Prawda, że zabicie Varda ściągnie teraz na nią podejrzenia i zapewne spowoduje dalsze drażnienie sprawy. Ale może lepsze będą podejrzenia niż pewność, którą po rozmowie z Vardem Bavatar niechybnie uzyska.

Nie mogła pozwolić, by ją oskarżono o cokolwiek. Nie teraz.

Kapitan musiał nie tylko umrzeć, ale i zniknąć. Nic prostszego. Uśmiechnęła się lekko, bo znajomości, jakie miała dzięki swojej pracy, procentowały nie po raz pierwszy.

Ale co dalej?

Sprawnie budowała plan. Vard zniknie. Bavatar pomyśli, że ona maczała w tym palce. Co robi? Zacznie grzebać w dokumentach Floty Głównej. Ale tam raczej niewiele będą mieli; wydarzenia na dalekich Agarach doczekały się pewnie kilku nieciekawych wzmianek w raportach. Zresztą te wojskowe sprawozdania... Zatem pośle człowieka na Agary. To już może być bardziej groźne, wciąż tam żyją ludzie, którzy... Tak, należało dotrzeć do człowieka, który tam popłynie.

Rozwścieczyło ją, że teraz, kiedy ma tyle spraw (i to jakich spraw!) na głowie, właśnie teraz musiał przyplątać się ten wojak! Na Szerń, są ludzie stworzeni bodaj tylko do tego, by wyrastać, gdzie ich nie posiano.

A zatem (podsumowała krótko): usunąć Varda i dowiedzieć się, kto z ramienia Trybunału popłynie na Agary.

Po czym iść z nim do łóżka. Na początek.

Vard zjadł solidną wieczerzę. Nie oszczędzał już srebra; był troszeczkę przesądny – pół żołnierz, pół żeglarz – i wierzył, że liczenie się z każdym groszem ściąga na ubogich najprawdziwszą nędzę. Pojadł więc i popił do syta.

Potem opuścił oberżę i skierował się do portu. Już zmierzchało, ale na ulicach było sporo ludzi, znacznie więcej niż zwykle; obchodzono tu właśnie jakieś miejscowe święto. Nigdzie mu się jednak nie spieszyło, więc spokojnie przedzierał się przez tłum.

Daleki gong ogłosił wieczór. Gongi miejskie, na których wybijano trzy główne pory dnia, były wynalazkiem armektańskim, oczywiście nie lubianym w miastach garyjskich. Ale tutaj, w Dranie, istniała przecież Stara Dzielnica, w której panowały wzorowe imperialne porządki...

Vard szedł ku nabrzeżom, bo wciąż kochał żaglowce. I po tylu latach wciąż tkwił w nim żołnierz. W końcu musiał przyznać się do tego sam przed sobą. Nie chciał nosić miecza na plecach.

Najszczęśliwszy był w porcie, obserwując stojący u nabrzeża holk straży morskiej. Patrzył na schodzących z pokładu i wchodzących na pokład żołnierzy. Wprawdzie ich mundurowe tuniki były ciemno-, nie jasnożółte, ale krój ten sam, takie same oznaczenia funkcji i stopni...

Flota Główna Garry i Wysp.

Nie, nie wróciłby do służby nawet, gdyby mu to rzeczywiście umożliwiono. Ten rozdział życia był za nim zamknięty. Raz na zawsze.

Ale wspomnienia pozostały. I część z nich to były naprawdę dobre wspomnienia. Szczególnie te z ostatnich dwóch lat służby. Gdy pływał na własnym okręcie, mając za oficerów wypróbowanych przyjaciół. Potem dopiero była ta przekłeta obława i przekłety piracki żaglowiec, który zabrał wszystko: przyjaciół, okręt, a wreszcie i wolność.

A jednak – nawet i teraz – nie potępiał Raladana.



Prawda, ten człowiek swoim działaniem spowodował wiele zła. Zabił kilku ludzi z jego załogi. I to on wreszcie wciągnął do sprawy tę kobietę. Uczynił to jednak dla dziewczyny, która była niewinna i którą dano mu pod opiekę.

Vard w to wierzył. Nawet nie bardzo rozumiał dlaczego. Ale wierzył.

Może po prostu potrzebował tej wiary. Żeby, we własnych chociaż oczach, nie uchodzić za skończonego już durnia.

– Wasza godność!

Przystanął. Podeszło doń trzech ludzi.

– Przychodzimy od wiadomej ci osoby – rzekł wysoki mężczyzna, przewodzący, zdaje się, pozostałym. – Czy pozwolisz poprowadzić się, panie?

– Wystarczyłby jeden przewodnik – zauważył Vard.

Mężczyzna obejrzał się na towarzyszy.

– To eskorta, panie – wytłumaczył. – Dzisiaj mnóstwo ludzi na ulicach, w tłumie łatwo o złą przygodę. Jest ktoś, kto mógłby chcieć twojej śmierci. Powiedziano mi, że domyślisz się, o kim mowa.

Vard zmarszczył brwi i skinął głową.

– Dobrze. Którędy?

Wskazano kierunek.

Idąc ciemnymi ulicami, dotarli do starych murów miejskich. Bramy były zamknięte, ale głównie z powodu starego obyczaju, bo zaniedbane mury nie stanowiły przeszkody dla nikogo, kto chciał wejść do miasta lub też z niego wyjść. Były zaporą dla kupieckich wozów, ale nie dla zwykłego piechura.

Minęli przedmieścia i ruszyli gościńcem, oddalając się coraz bardziej od Dranu.

– Dokąd idziemy? – zapytał Vard.

Po lewej stronie drogi rósł las, blask księżyca rzucał na drogę jego masywny, trochę groźny cień.

– Najwyższy Sędzia chce pomówić z waszą godnością w miejscu, gdzie nie sięgną niepowołane uszy – padła odpowiedź. – Czy nie wspominał o tym, panie?

„Najwyższy Sędzia” – pomyślał Vard.

Człowiek, który przedstawił mu się jako urzędnik Trybunału, nie podając swego nazwiska, piastował stanowisko Najwyższego Sędziego.

Vard skoczył w las. Uciekał i nim dobrze pojął, dlaczego właściwie to robi, był już dość daleko od drogi. Za plecami słyszał odgłosy pościgu.

Zadziałał instynktownie, kiedy tylko sobie uświadomił, że ci ludzie wiedzieli zbyt wiele. Służąc w straży morskiej, Vard nieźle poznał metody działania Trybunału. Każdy tam wiedział tyle tylko, ile wiedzieć musiał. Podobnie zresztą działo się w wojsku, padał zwięzły rozkaz i tyle.

Ludzie przydzieleni mu jako przewodnicy i eskorta na pewno nie mogli znać treści tamtej rozmowy. Najwyższy Sędzia miałby coś tłumaczyć trzem siepaczom?

Przystanął, nasłuchując. Przedzierano się jego śladem. Odgłosy dochodziły z tyłu i z lewej strony.

Ruszył dalej, starając się sprawiać jak najmniej hałasu. Szedł w prawo i, o ile nie zawiodło go poczucie kierunku, wzdłuż drogi.

Miał księżyc po lewej ręce.

Usłyszał niedaleki okrzyk, po czym zrobiło się cicho. Nie byli głupi. Teraz oni nasłuchiwali.

Stąpał powoli, ostrożnie.

Jakiś ptak załopotał tuż obok, Vard sięgnął po broń. Miecz z jękiem wyszedł z pochwy. Przeklął się zaraz za brak opanowania.

Usłyszeli. Przedzierali się teraz szybko ku niemu.

Znów pobiegł. Po jakimś czasie zahaczył stopą o korzeń i upadł. Po omacku odnalazł miecz, wstał i lekko utykając, pobiegł dalej.

Dotarł nagle do skraju lasu. Otwierała się przed nim obszerna, trawiasta zatoka. Dostrzegł ciemną bryłę domu i natychmiast pospieszył ku niemu. Zdyszany załomotał w drzwi.

Słyszał tamtych. Byli blisko.

Osiem lat temu stawilby czoło trzem ludziom, z których tylko jeden miał miecz, a dwaj co najwyżej noże – i nie byłby bez szans. Ale te osiem lat nie pozostało bez wpływu. Wiedział, że nie trzyma

już broni tak pewnie jak kiedyś. Ostatnią walkę stoczył na pokładzie pirackiego żaglowca. Na pokładzie „Węża Morskiego”.

Drzwi otwarły się. Wpadł do środka, w tej samej chwili księżyc oświetlił ciemne sylwetki wyłaniające się z lasu.

Vard zasunął skobel i odwrócił się.

Stała przed nim kobieta trzymająca w dłoni kaganek. Spojrzał na jej twarz – i znalazł się w środku swej przeszłości.

Poznała go i ona.

Kaganek uderzył o podłogę, pryskając gorącą oliwą.

Ciszę przerwało walenie w drzwi. Vard oparł się o nie ciężko.

– Otwierać! – dobiegło z zewnątrz. – Otwierać!

– To przeznaczenie. – Głos Varda zabrzmiał głucho, jak z innego świata.

Kapitan był już spokojny, tak spokojny, jak może być człowiek, który w jednej chwili olśnienia poznał wszystkie wyroki ciążyące nad swym życiem, jego cel i kres.

Ale tak też było w istocie. Przyplłynął do Dranu, szukając sprawiedliwości – a znalazł wyjaśnienia. Miał oto zginąć, stojąc między kobietą, która dla wielu była symbolem zbrodni, a ludźmi, których utożsamiano ze sprawiedliwością.

– Otwierać! Otwierać, bo dom pójdzie z dymem!

Potężne uderzenia wstrząsnęły drzwiami.

– To sprawiedliwość – rzekł Vard.

– Nie otwieraj! – powiedziała, jakby widząc w ciemności jego plecy już odrywające się od dygoczących pod ciosami drzwi. – Nie otwieraj!

Oto była piracka księżniczka, odziana w znoszoną sukienkę, mieszkająca w ruderze pod lasem... Już wiedział, że kiedyś wybrał dobrze.

Potrząsnął głową w mroku, po czym mimo wszystko zapytał:

– Powiedz mi prawdę, teraz już możesz: czy Raladan kłamał?

– Nie byłam piratką.

– A więc było warto – ocenił.

Odskoczył od drzwi i jednym szarpnięciem zwolnił skobel. Nim zdołała pojąć, co się dzieje, przed progiem domu rozgorzała walka.

Ktoś runął na ziemię, krzyząc, księżyc zapalił ostrze miecza szklanym ogniem, ale ramię, które miecz trzymało, zablokowane mocnymi dłońmi, pękło w łokciu z trzaskiem, którego tłem był jęk bólu. Błysnął nóż, potężne ciosy w korpus powaliły mężczyznę – i wtedy czerwonozłoty, wielki jęzor ognia wystrzelił nagle z drzwi domu, ogarniając wszystkich walczących.

o o o

Ostrożnie, by nie obudzić leżącego obok mężczyzny, Alida wysunęła się z łóżka i na palcach przeszła do drzwi. Jeszcze raz zerknęła na śpiącego, po czym wyszła z pokoju. Pomieszczenie obok było równie skąpo oświetlone jak sypialnia; dwie świece, umieszczone w smukłym kandelabrze, rzuciły na przeciwną ścianę jej powiększony cień. Stała bokiem, obserwując przez chwilę zarys niewielkich, wciąż doskonale okrągłych piersi, po czym skinęła z aprobatą głową i usiadła na bogato rzeźbionym karle, podwijając nogi pod siebie. Wybrała z patery olbrzymią gruszkę i ugryzła ją. Lepki sok pociekł po brodzie, kapnął na zielony, płaski kamyk zawieszony na szyi. Listek Szczęścia z Czarnego Wybrzeża. Bardzo drogi. Chronił przed chorobami.

I pasował do oczu.

Kudłaty piesek, prezent od „przyjaciółki”, leżał w kącie, poszczekując cicho przez sen. Zmarszczyła lekko nos. Nie bardzo lubiła zwierzęta. Może mogłaby mieć ahała, ale ten tu... to nie był ahał.

Za to uwielbiała wszystko, co słodkie.

Znów ugryzła gruszkę.

Niestety, pyszny sok nie mógł pokryć smaku zniecierpliwienia, które w niej narastało. Co zaszło? Co właściwie się stało? Zawiedli? Nieprawdopodobne. Zresztą, jeśli nawet – to cóż, zdarza się! Ludzie tacy jak oni, naprawdę dobrze znający swój fach, nie zawahaliby się stanąć przed nią i powiedzieć otwarcie: „Nie udało się, a dlatego, że to, to i tamto”.

Tymczasem minęła noc, minął dzień, teraz znów była noc, a ona nie miała pojęcia, jak wyglądają sprawy.

Przecież nie zabił ich wszystkich! No nie, nie znała człowieka, który potrafiłby zabić trzech płatnych morderców. Być może najlepszych w mieście, nie jakichś tam oprychów, lecz ludzi, dla których zabijanie było tym, czym szycie butów dla szewca.

A zatem?

Ogryzek rozpadł się jej w dłoni na dwie części, duży kawałek spadł do zbiegu ud. Ujęła odłamek w dwa palce i przez chwilę wypisywała sokiem na skórze jakieś znaki. Łono miała gładko wydepilowane, zgodnie z dartańską modą. Oglądała wilgotne kreski pozostawione na ciele przez gruszkę, aż wyschły i zniknęły. Upuściła resztki owocu na podłogę, potem podniosła się i zajrzała do sypialni.

Nalwez spał twardo. Dobrze, że choć tutaj wszystko poszło gładko.

Od razu pomyślała o tym durniu, bo wydobywanie czegośkolwiek od kuzynostwa było niepodobieństwem. Natomiast Nalwez, traktowany przez tamtych jak półgłówka (był nim), wydał się jej obiecujący. Cóż, trafiła w sedno. Kto by pomyślał, że Bavatar planuje na Ahele inwazję idiotów...

Dla niej lepiej. To jedno miała z głowy.

Ale tamto, tamto!

Chciała zawołać, lecz zrezygnowała, pomyślawszy, że może obudzić Nalweza. Wyszła z pokoju i zbiegła po schodach. Lubiła czuć stopami chłód bijący od stopni. Zwłaszcza gdy było tak duszno i parno jak tej nocy.

– Hej, dzielny strażniku! – zawołała niegłośnie, przechylając się przez poręcz. – Twardo śpisz?

Olbrzymi odźwierny, niosąc lichtarz, pojawił się prawie natychmiast.

– Bardzo czujnie – zapewnił, przecierając twarz. – Tak, szlachetna?

– Nikt nie przyszedł? – zapytała, dobrze wiedząc, że nie.

– Nikt, pani.

Patrzyła nad jego głową, z namysłem marszcząc brwi.

– Co cię martwi, pani? – zagadnął, posepniejąc jak i ona.

Jej stosunki ze służbą były wielce zdumiewające. W obecności osób z zewnątrz wymagała wręcz czołobitności, za to prywatnie, gdy nikt nie widział, stawiała się zupełnie na równi. Cała służba składała się z niewolników. Byłych niewolników, bo wszystkim dała wolność. Tylko raz ktoś odszedł. Ci, co nie odeszli, kochali ją na śmierć i życie. Była wspaniałą panią, najlepszą, jaką służący mógł sobie wyobrazić. Może stała się taka pod wpływem matki Armektanki? Ojciec nie pozwalał w domu na żadne dziwactwa, jak nazywał piękne, stare armektańskie zwyczaje i tradycje, ale matka opowiadała o nich. Surowi Garyjczycy przenigdy nie zdołaliby ich pojąć i zrozumieć – zwłaszcza że pochodziły z Armektu. Zresztą ona sama nie wszystkie potrafiła zaakceptować, lecz ogólna zasada, że niewolnik dobry jest do pracy w polu, ale raczej nie w domu, gdzie służba musi czuć, iż obdarza się ją zaufaniem, znalazła u niej pełne zrozumienie; rozwinęła też ją tak bardzo, jak to tylko możliwe. Dawała odczuć swoim ludziom, że są wyjątkowi, że tylko oni mogą być z nią tak blisko. Pochlebiali im to niezwykle, czuli swą wartość. Sama nie wiedziała, gdzie są granice tej poufałości.

Ale problem tak naprawdę nie istniał. Służba czuła ową granicę o wiele lepiej niż ona. Była pod ich opieką.

Nikt chyba ze znanych jej dobrze urodzonych nie uwierzyłby, że możliwe jest utrzymanie nieuchronnego dystansu współistniejącego z prawdziwą przyjaźnią.

Oczywiście nie bez znaczenia był tu dobór ludzi. Ale na ludziach znała się wybornie. I dobierała starannie.

Stała na drugim stopniu od dołu, a mimo to jej twarz znajdowała się akurat na wysokości twarzy olbrzyma. Trzymając lichtarz tak, by nie spalić jasnych włosów, sięgnął ręką i ostrożnie, wielkim paluchem, zdjął kawałeczek gruszki z kącika jej ust. Uśmiechnęła się.

– Zdołam pomóc, szlachetna?

Pokręciła głową.

– Nie. Ale gdyby ktoś przyszedł, wołaj mnie, gdziekolwiek bym była. Nie chodź, nie szukaj. Zawołaj. Czekam na niezwykle ważną wiadomość.

– Wiem, pani. Dobrze, zawołałam.

Kiwnęła mu ręką i szybko pobiegła na górę, bo jednak bose stopy trochę zmarzły na kamiennym stopniu.

Nie spała przez resztę nocy. Ale dopiero późnym rankiem jeden z jej ludzi przyniósł wiadomość, że przy spalonym domu pod lasem (już słyszała o tym pożarze) znaleziono zwęglone zwłoki kilku ludzi.

Spalony dom? Pod lasem...

Znała to miejsce i budynek. Kiedyś podobno miał tam stanąć tartak. Zbudowano jednak tylko dom, po czym zaniechano dalszych prac – nigdy nie dociekała dlaczego. Co ją obchodził jakiś tartak?

Dom długo stał opuszczony, bo leżał na uboczu i był niedokończony. Niespełna przed rokiem posłyszała przypadkiem, że kogoś tam widywano. Nawet ciekawa była, komu spodobało się mieszkać na odludziu, w opuszczonej ruderze; raz i drugi chciała sprawdzić, ale zawsze wynikły jakieś ważniejsze sprawy.

Ci spaleni ludzie, czy to mogli być oni?

Oczywiście, że tak. Sama nalegała, by wywiedli Varda gdzieś za miasto, podając się za ludzi Bavatara. Był świetny pretekst: Bavatar sugerował, żeby miejscem spotkania było jakieś ustronie.

„Ten człowiek to żołnierz” – rzekła do swoich najemników. „Może się bronić. Możliwe też, że jest pilnowany. Wyprowadźcie go gdzieś na odludzie, gdzie walki nikt nie zobaczy. Łatwiej będzie ocenić, czy jest sam, a potem ukryć ciało, nikt nie ma prawa go znaleźć, czy to jasne?”

Przekląła się w duchu za nadmiar ostrożności.

Ile właściwie trupów znaleziono na pogorzeliisku? Czy możliwe, by w tym domu Vard miał jakichś przyjaciół? Nie. Ale człowiek tam mieszkający mógł mu pomóc. Może było kilku ludzi?

Kto tam mieszkał, na Szerń?

Od kogo uzyskać potrzebne wiadomości? Leśnicy? Może jacyś drwale? Im szybciej się dowie, tym prędzej uzyska odpowiedź, czy kapitan żyje. Jeśli tak, to znaczy, że jest źle. Nie miała czasu, by ciągnąć tę sprawę w nieskończoność. Naprawdę nie miała czasu.

## ROZDZIAŁ 37



Łuczywo – powiedziała z chrypką Lerena.

Łaladan stał i patrzył w ciemny otwór jaskini.

– Słyszałeś? W łodzi są łuczywa. A jeśli nie ma, to płyn po nie na „Gwiazdę”! – cisnęła. – Nie odejdę stąd – zastrzegła groźnie, gdy otworzył usta.

Ruszył z powrotem do łodzi.

– Prędezej! – wrzasnęła z furją.

Gdy wrócił z płonąca pochodnią w jednej, a hubką i krzesiwem w drugiej ręce, stała tak, jak ją zostawił. Wyrwała mu pochodnię i wsunęła się w ciemny otwór. Podążył jej śladem.

– Uwważaj – uprzedziła. – Tu jest szczelina.

Ominął pułapkę.

Zaraz za ciasnym wejściem korytarz rozszerzał się znacznie, grunt uciekał w dół, wkrótce można było stanąć prosto. Przeszli nadspodziewanie długi kawałek drogi, nim Lerena się zatrzymała.

– Nie mogę uwierzyć – powiedziała.

Byli w sporych rozmiarów jaskini. Migotliwy blask pochodni wydobywał z ciemności niektóre jej partie, inne pogrążając w cieniu tym głębszym. Pośrodku piętrzył się nieforemny stos przykryty żaglowym płótnem. Raladan ujrzał oczyma wyobraźni majtków w pocie czoła dźwigających ciężkie kufry, a obok olbrzymiego, ponurego mężczyznę z pochodnią w dłoni, patrzącego posepnie spod zmarszczonych brwi...

Lerena oddała pilotowi pochodnię i zaczęła ściągać okrycie. Zsunęło się, odsłaniając piramidę skrzyń i kufrów najróżniejszej wielkości. Upadła na kolana i odemknęła wieko największej, stojącej osobno u podnóża stosu.

Wewnątrz były kolczugi.



Rzuciła się do innej, niewielkiej, stojącej na szczycie. Przez chwilę zaglądała do środka, po czym wyciągnęła ręce i cofnęła je zaraz, trzymając splecione naszyjniki z pereł, przeplecione jakimiś łańcuszkami. Zerwała się, okręciła w miejscu i triumfalnie wyrzuciła ramiona w górę.

– Raladanie! – zaśpiewała niemal. – Zobacz, Raladanie!

Riolata wyszła z mrocznego kąta jaskini.

– Byłam pierwsza – powiedziała.

Człowiek za nią zrzucił ciemny płaszcz, odsłaniając białą tunikę żołnierza. Pod płaszczem ukryta była kusza.

Drugi mężczyzna pojawił się za plecami Raladana, wyrwał mu pochodnię i zagroził drogę do wyjścia.

Lerena wciąż stała z rękami nad głową, z twarzą stężoną w uśmiechu.

– Trzymaj ręce z daleka od miecza, siostrzo, i stój tam, gdzie stoisz, a ocalisz dwa życia – rzekła Riolata, rzucając pilotowi kawał sznura.

– Usiądź i zwiąż sobie nogi, Raladan. Dokładnie i mocno, będę patrzeć. Nie, żeglarzu – uśmiechnęła się ironicznie – ten węzeł rozwiążesz jednym ruchem... O, teraz dobrze.

Lerena już nie trzymała rąk w górze, ale ciągle stała w miejscu. Dochodziła do siebie.

– Co dalej, siostrzyczko? – zapytała. – Mam tuż obok półtorej setki ludzi.

Żołnierze Rioly wciąż trzymali broń w pogotowiu. W milczącym zdumieniu spoglądali to na jedną kobietę, to na drugą.

Różniły je tylko stroje.

– Półtorej setki? Skąd wiesz, ilu ja mam na tej wyspie?

– A zmieści się tu więcej jak dwóch?

– O! – Riolata uśmiechnęła się lekko. – Skąd ten dobry humor, Lereo?

Pokiwała głową z namysłem.

– Rozbierz się – poleciała.

Lerena uniosła brwi.

– Czy zostanę zgwałcona? – zapytała z sarkazmem. – Co prawda nie jestem dziewicą...

– Nigdy nie byłaś, jeszcze w brzuchu matki wsadziłam ci palec. Zrzuć te szmaty albo każę je z ciebie zwlec.

Piratka spojrzała z pogardą, po czym odpięła pas z mieczem, zdjęła koszulę, buty i szerokie hajdawery.

– Zwiąż ją – rozkazała Riolata, odbierając kuszę z rąk Nosacza. – A ty ręce tamtemu. – Wyciągnęła dłoń po pochodnię.

Żołnierz, trzymając sznur, pochylił się nad pilotem. Ten podał ręce do skrępowania, zerknął w bok, po czym odezwał się po raz pierwszy od chwili, gdy weszli do skarbcza:

– Próbuj, Piękna.

Nim słowa przebrzmiały, pochwycił żołnierza. Lerena odepchnęła Nosacza, rzucając się na siostrę. Ta upadła, wypuszczając kuszę – ale nie łuczywo. W następnej chwili Lerena zawyła. Nosacz zerwał się z ziemi i przytrzymał ją, Riolata w mgnieniu oka znalazła się przy duszącym żołnierza pilocie, wpychając mu płomień pod pachę. Żołnierz ryknął, bo i jemu osmalilo twarz, ale Raladan puścił go, a wtedy z całej siły uderzyła żagwią.

– Wiąż go! – wrzasnęła do poparzonego żołnierza.

Raladan potrząsał głową oszołomiony. We włosach miał iskry, gasnące kolejno.

Lerena szarpała się z Nosaczem; utrzymywał ją z najwyższym trudem.

– Uderz ją! – padł rozkaz. – No, przywal!

Żołnierz odepchnął Lerenę; trzasnęła go w szczękę, ale jego cios w żołądek był silniejszy – otworzyła usta, próbując chwycić powietrze, zgięła się wpół i powoli opadła na kolana. Klęczała przez chwilę z wytrzeszczonymi oczami, skulona, ale powietrza wciąż nie było; zgięła się jeszcze bardziej, chyląc czoło do samej ziemi.

– Bardzo dobrze.

Riolata zatknęła pochodnię w szczelinie w skalnej ścianie, po czym odwróciła się nagle i z wyszczerzonymi wściekle zębami kopnęła leżącą w bok tak silnie, że pękły żebra. Rozległ się cienki szloch, a może raczej pisk.

– Zwiąż ją! – warknęła. – Ale tak, żeby czuła!

Usiadła pod ścianą, pocierając mocno dłonią o dłoń. Uspokajała się powoli.

– Teraz wyjdźcie przed jaskinię. Nie chcę tu żadnych gości.

Wzięła miecz siostry, wskazując żołnierzom kusze. Zabrali je i wyszli.

W jaskini zaległa cisza przerywana tylko mimowolnymi spazmami Lereny, brzmiącymi w połowie jak szloch, w połowie jak urywany oddech. Pęknięte żebra i szorstki sznur, wrzynający się w rozległe oparzenie na nodze, sprawiały ból.

– Raladan. Czy załoga coś zwącha, gdy wrócę na pokład zamiast niej?

Pilot drgnął. Krzywiąc się, uniósł bolącą głowę.

– Strój już mam. – Wskazała ręką. – Choć naprawdę nie wiem, jak to włożyć... – Sztychem miecza uniosła hajdawery. – Czy ona to zdejmuje, zanim odda mocz?

Lerena, mimo bólu, wydała z siebie coś w rodzaju śmiechu.

– Jesteś mi potrzebny, Raladan – powiedziała Riolata. – Wolałabym mieć na statku kogoś, kogo znam.

Piratka parsknęła szyderczo.

– Musimy się spieszyć – ciągnęła tamta niezrażona. – Straciłam statek, a czas wracać do Dorony. Mam ją. Wiesz kogo, Ridarete. Umrze, jeśli wkrótce nie wrócę.

Pilot stracił spokój.

– Kłamiesz – uznał.

– No, chyba nie. Po ostatniej rozmowie z tą tam – wskazała siostrę – pomyślałam, że dość już niespodzianek. Zresztą wiele mogę darować, Raladan, ale ta kobieta, którą nazywałam matką, okłamywała mnie od zawsze, nie dbając o to, co myślę i czuję, przywłaszczyła sobie prawo wyboru tego, co mam wiedzieć, a co nie. Przed wyruszeniem z portu wysłałam po nią ludzi. Bardzo pewnych.

– Kłamiesz – powtórzył.

– Zechcesz sprawdzić?

Lerena z jękiem przetoczyła się na drugi bok, wbijając w pilota spojrzenie.

– Raladan...? – stęknęła.

– On już się poddał – orzekła Riolata. – Nie wiedziałaś? Na Szerń, siostrzyczko, twój pilot beznadziejnie kocha naszą siostrę-matkę. Trzeba być ślepym, by tego nie widzieć. Zrobił wszystko, co w ludzkiej mocy, by uchronić najpierw jej życie, a w drugim rzędzie ten skarb, który uważa za jej własność. Mówiłaś mi o tej rozmowie w tawernie. Rzeczywiście, skarb naszego ojca miał iść na dno razem ze statkiem, bo tak chciała ona. Ale to miał być twój statek, Lereno. Gdybyś tylko zabrała to wszystko, posłałby tę twoją beczkę na dno na pierwszych napotkanych skałach!

Lerena gryzła wargi, czekając uparcie na spojrzenie pilota.

– Raladanie? To... prawda?

Skinął głową.

– Tak jest.

Spojrzał na Riolatę.

– Przystaję, pani.

– Nie – powiedziała z bezradną wściekłością Lerena. – Raladanie... kochasz Ridaretę?

Spojrzał jej prosto w oczy.

– Nie tak, jak to sobie wyobraża twoja siostra. Ale jest dla mnie najważniejsza.

Dziewczyna jakby nagle przestała czuć ból. Dźwignęła się, na ile pozwalały jej więzy, i powiedziała:

– Zbyt wielu paniom chciałbyś służyć. To przyniesie ci zgubę, przysięgam.

Riolata wstała, oparła nogę na piersi siostry i pchnęła mocno. Lerena upadła do tyłu, uderzając głową o skałę. Nie jęknęła.

Ostrze miecza dotknęło więzów Raladana. Cofnęło się zaraz, nie rozcinając ich. Riolata przekrzywiła głowę i zmarszczyła brwi, popadając w krótkie zamyślenie.

– Zaraz cię uwolnię – przyrzekła. – Ale... czy załoga jest pewna?

Spojrzał dziwnie.

– Załoga? Najgorsza, jaką można mieć.

– Straszysz?

Wzruszył ramionami.

– A więc skarb...? – zapytała.

– To szaleństwo.

Skinęła głową.

– Więc na razie niech zostanie tu, gdzie jest.

Wzięła pochodnię i wyszła z jaskini. Żołnierze czuwali. Spojrzała w stronę lasu, gdzie kryła się reszta jej ludzi.

– Wciąż tam są? – zapytała Nosacza.

– Tak, pani.

– Trzeba się ich pozbyć, za wiele wiedzą. Zdołacie sami dowieźć mnie łodzią na Garrę? Od wyspy do wyspy.

Spojrzeli po sobie.

– Chyba tak, pani.

– Chyba?

– Na pewno, pani.

– Więc zabijcie ich. Dacie radę?

– Tak, pani. Mają tylko noże.

– A zatem.

Wróciła do jaskini, wzięła miecz i uwolniła pilota.

– Musimy pozbyć się tych dwóch – powiedziała.

– Żołnierzy?

Potwierdziła.

– Nie masz tu więcej ludzi, pani?

Zawahała się.

– Cóż, trzymamy się w garści... Miałam. Jeszcze przed chwilą.

Zrozumiał.

Schyliła się, podniosła kawał sznura i dała go pilotowi.

– Przyrowadzę tu jednego – powiedziała. – Uduś go. Potem zajmiesz się drugim.

Skinął głową, okręcając końce sznura wokół dłoni.

Riolata wyszła z jaskini. Zaczekała, aż żołnierze wrócili.

– Wszyscy? – zapytała.

– Tak, pani.

– Uważaj na okolicę. Wydawało mi się, że kogoś tam widziałam. – Wskazała ręką na odległe skały. – A ty za mną. – Skinęła na Nosacza.

Raladan zabił dziesiętnika tak sprawnie, że spojrziała z uznaniem. Odciągnął trupa na bok, żeby nie zagradzał wąskiego korytarza.

– Nie ciesz się, pani – rzekł zimno. – Jeśli dzisiaj kłamałaś, czeka cię to samo.

Mierzyli się wzrokiem.

– Jeśli zaś nie kłamałam, to też? – zauważyła z pogardą. – Za mały jesteś, Raladan... Z kim ty chcesz się mierzyć? Za kogo się masz? Powiem ci, kim jesteś: głupim człowieczkiem zmierzającym donikąd. Mógłbyś mieć tak wiele! Ale nie, ty wolisz trzymać się jednookiej wariatki, której istnienia nikt nie zauważa, tak samo, jak nie zauważy jej zniknięcia...

Chwycił ją oburącz za gardło.

Nawet się nie poruszyła.

– No... – wykrztusiła – dalej.

Rozluźnił chwyt i powoli opuścił ręce. Rozcierając szyję, uśmiechała się drwiąco.

– Nie mogę cię zabić – powiedział.

Uśmiechnęła się szerzej.

Powalił ją twarzą do ziemi. Błyskawicznie skrępował ręce resztkami własnych więzów, po czym sięgnął po koszulę Lereny i wepchnął skłębiony skraj szmaty głęboko w usta leżącej.

– Ale kto ci powiedział, że jesteś nietykalna? – zapytał.

Odpiął pas i smagnął nim plecy wierzgającej dziewczyny, po czym solidnie wygarbował zadek – i nie było to karcące, lecz dobrotliwe lanie, jakie sprawiał czasem, gdy była jeszcze dzieckiem. Teraz trzymał mocno, a tłukł zamasyście, chcąc sprawić prawdziwy ból.

– Kto ci to powiedział?

Wstając, pchnął ją nogą tak, że przetoczyła się na plecy.

– Będę czekał przy łodzi – powiedział. – Uwolnij się szybko, bo czekając, mogę zmienić zdanie. Po tym, co dziś usłyszałem i zobaczyłem, zaczynam myśleć, że lepiej nie wypuszczać stąd takiej suki jak ty. Lepiej chyba szukać Ridarety na oślep. O ile w ogóle ją masz... – dorzucił już z korytarza.

Leżąca pod stosem skrzyń Lerena niemal łkała, łapiąc oddech po wybuchach niemożliwego do opanowania śmiechu. Chichotała,

zarazem płacząc z bólu.

Riolata podpełzła do porzuconego miecza, uwolniła ręce i wyrwała knebel, po czym niemal rycząc z bólu i wściekłości, rzuciła się na Lerenę. Zadzierzgnęła na jej szyi kawał sznura.

Powietrze przeszył charkotliwy skowyt. Riolata dociągnęła węzeł i wstała. Lereņa wiała się na ziemi, uderzając głową o kamienie. Oczy wyszły jej na wierzch, twarz nabrzmiała i siniała coraz bardziej. Wygięła się w łuk, mięśnie skrępowanych rąk i nóg drgały w gwałtownych skurczach. Riolata, nie spuszczać z niej oczu, zgarnęła porzucone odzienie, wzięła dogasającą pochodnię, po czym odwróciła się i szybko ruszyła skalnym korytarzem.

## ROZDZIAŁ 38



**A**lida złapała się za głowę.  
– O nie!

Kudłaty szczeniak, poszczekując wojowniczo, wyskoczył spod stołu. Kopnęła go tak, że z urywanym piskiem poleciał pod ścianę.

– Nie! – wrzasnęła raz jeszcze. – To nie może być prawda!

Mężczyzna cofał się wystraszony.

– Tak mi powiedziano... – wymamrotał.

Alida usiadła, zaciskając pięści.

Nie, to nie było możliwe. Na Szerń, młoda kobieta bez oka... Przecież nie tamta jedyna na świecie. Nie, to niemożliwe, żeby tamta mieszkała pod jej bokiem, niemal w zasięgu ręki.

Zagryzając usta, patrzyła na wywiadowcę.

– Co jeszcze? – rzuciła. – Co wiesz jeszcze?

– Nic. To wszystko, pani. Parę razy szły w las polowania z nagonką. Naganiacze ją widzieli, to tyle...

Pokazała ruchem głowy, że jest wolny.

– Stój – rzekła zaraz. – Weź to, nie mogę myśleć.

Psiak znów siedział pod stołem. Mężczyzna podniósł go ostrożnie, wsadził pod kapotę i wyszedł.

Zerwała się, okrążyła stół i zaraz usiadła z powrotem.

„Weź się w garść, kochanie” – pomyślała.

Jeśli to była ona, piratka Raladana – wszystko zaczynało mieć sens. Vard nie uciekał na oślep. Miał jednak kogoś w pobliżu. Nie do wiary. Ale cóż mogła pomóc jedna dziewczyna? Prawda, piratka. Ale może był tam też... ktoś inny? Raladan.

– Nie i nie! – powiedziała.



A jednak miało to sens.

Wszyscy ci ludzie mieli z nią porachunki. Obecność dziewczyny, a więc zapewne i Raladana tutaj, wyjaśniała, skąd Vard mógł uzyskać wiadomość, gdzie jej szukać. O, to wszystko naprawdę dobrze pasowało do siebie!

Czy Vard żył?

Alida nagle poczuła się osaczona. Z jednej strony zagrażał jej ten Wyspiarz (jakże nie doceniła tego niebezpieczeństwa!) i jego przyjaciele. Z drugiej zaś Trybunał. Najgorsze było to, że teraz, przeprowadzając sprawy tak delikatne i ważne, powinna być wolna od wszelkich podejrzeń. Gra szła o zbyt wysoką stawkę! A pojawiły się nowe kłopoty: wynikła ta sprawa z kupowaniem urzędów...

„Oprzytomnij, kochanie” – skarciła się swoim zwyczajem. „Sprawy nie stoją wcale źle. Przecież czekasz na wiadomość, która wiele wyjaśni”.

Jak na zawołanie, pojawił się służący, niosąc rulonik pergaminu.

– Od kogo? – zapytała z nawyku.

– Nie wiem, pani.

– Zatrzymałeś posłańca?

– Nie, pani. Odszedł natychmiast.

Wiedziała już, od kogo.

List nie był pieczętowany. Zawierał krótką wiadomość: *Bądź spokojna. N.*

Powoli uniosła wzrok, pozwalając sobie na uśmiech.

o o o

– Więc? – zapytała jej dostojność Elena.

Nalwez udawał, że go nie ma.

Bavatar siedział posepny. Groźny. Rzadko widywano go takim. Nikt nie ośmielał się wtedy odzywać niepytany. Ona była wyjątkiem.

Znała upór i niezwykłą siłę woli tego mężczyzny. Miał też inne cechy, które w połączeniu z tamtymi kazały przypuszczać, że doprawdy trudno byłoby znaleźć odpowiedniejszego człowieka do

funkcji, którą pełnił. A jednak czasem odnosiła wrażenie, że ów upór i żelazna konsekwencja w działaniu ograniczają go. Nie potrafił skupić się na kilku rzeczach naraz. Wybraną sprawę doprowadzał do końca, zawsze i nieuchronnie, ale kosztem innych.

Cóż, po to w końcu miał ją do pomocy. I Nalweza. Nie licząc mnóstwa pomniejszych urzędników.

Teraz jednak Bavatar uczeplił się rzeczy... naprawdę niezbyt ważnej. Wciąż czekała na rozstrzygnięcie sprawa nieprawdopodobnych nadużyć, jakich dopuścili się najwyżsi rangą oficerowie dwóch stacjonujących w Dranie eskadr Floty Głównej. Kwitł handel urzędami i stanowiskami – oto kolejna rzecz, którą niezwłocznie należało wyjaśnić. I wreszcie zdumiewająca, niemożliwa ucieczka trzech skazańców z najcięższej twierdzy na wyspie, sprawa najświeższa, o której dopiero doniesiono. Raczej nie ulegało wątpliwości, że musieli być w to zamieszani strażnicy, a nawet ktoś z komendantury twierdzy. Uciekinierzy byli znanymi wichrzycielami umysłów – zbyt znanymi i zbyt dobrze urodzonymi niestety, by ich po prostu powiesić. Teraz, na rok niespełna przed przewidywanym wybuchem powstania, ucieczka ta jawiła się w niezwykle groźnym świetle.

Wobec wszystkich tych zdarzeń Najwyższy Sędzia Trybunału Imperialnego Garry i Wysp zajmował się domniemaną nielojalnością – dziwki. I to nielojalnością sprzed ośmiu lat.

A jednak – Elena wiedziała o tym dobrze – właśnie lojalność podległych ludzi była obsesją Bavatara. Uważał niezłomnie, iż przymykanie oczu na jakiegokolwiek nadużycia ze strony urzędników Trybunału jest niedopuszczalne, a grozi osłabieniem siły instytucji. Na pewno miał sporo racji.

Inna rzecz, że nie musiał tego drążyć osobiście.

– Więc? – zapytała raz jeszcze, tym samym tonem co poprzednio. – Nie wiem – dorzuciła po chwili – czy sprawa warta jest większych zabiegów z naszej strony. Myślę, wasza dostojność, że możemy ją po prostu zatrzymać i zmusić do mówienia. Prawda wyjdzie na jaw.

– I ty to mówisz, pani? – zdziwił się chmurnie. – Loch i sala tortur dobre są w Grombelardzie... zresztą wszędzie są nic niewarte. Wiesz

równie dobrze jak ja, że tam każdy mówi wszystko, czego się zażąda. Znam ludzi, którzy łamiąc innych kołem, zyskują niezachwiane przekonanie o własnej nieomyślności. I to jest chyba jedyne, co istotnie można uzyskać.

W milczeniu przyjęła reprimendę.

– Nalwez – rzekł nagle Bavatar – a co ty o tym sądzisz?

Wezwany poruszył się zaskoczony. Kobieta także spojrzała z niejakim zdziwieniem.

– Uważam, wasza dostojność – rzekł Nalwez cokolwiek niepewnie – że mamy niewielkie możliwości działania. Żaden statek nie płynie na Agary, sprawdziłem to. A małe szniki straży morskiej są na morzu. By dotrzeć do Aheli i wrócić przed jesiennymi burzami, musiałbym użyć dużego żaglowca Floty Głównej.

– Sprawa nie jest tego warta – przyznał niechętnie Bavatar.

Popatrzył badawczo. Nalwez mówił do rzeczy; wydarzenie zbyt rzadkie, by go nie docenić.

– Dalej, Nalwez, słuchamy uważnie.

Kobieta potwierdziła skinieniem.

– Nasunęły mi się pewne myśli. Po zniknięciu kapitana Varda – podjął wezwany, już śmieiej – uznaliśmy natychmiast, że stało się to za sprawą szlachetnej Erry Alidy. Ale przecież ta kobieta, jeśli istotnie jest tak sprytna i przebiegła, jak słyszałem, musiała zdawać sobie sprawę, że usunięcie go ściągnie teraz na nią nieuchronne podejrzenia.

– Do czego zmierzasz, panie? – zapytała Elena.

– Do tego, że gdyby ten kapitan naprawdę miał jakieś kompromitujące ją dowody, nie żyłby już w dniu, gdy dowiedziała się o jego przybyciu do Dranu. Wtedy wasza godność nie rozmawiałbyś z nim... i nie byłoby podejrzeń.

Tamtych dwoje wymieniło spojrzenia.

– A czy nie jest niezwykle – ciągnął Nalwez – że kapitan Vard, odczuwszy przecież już raz w życiu siłę tej kobiety, nie dość, że nie powiedział właściwie nic podczas spotkania z tobą, panie, to jeszcze nawet nie poprosił o ochronę? Wynika z tego, że albo jest głupcem, a wasza dostojność twierdzi, że nie; albo pewnym siebie

ryzykantem, a wasza dostojność twierdzi, że nie... Albo człowiekiem, któremu na rękę było rzucić podejrzenie, potem zaś zniknąć, w czym ktoś przydzielony do ochrony tylko by przeszkadzał.

Zaległo milczenie.

– Doprawdy, trudno odmówić temu wywodowi logiki – rzekła wreszcie kobieta, spoglądając z namysłem.

Najwyższy Sędzia siedział pogrążony w zadumie.

– Muszę przyznać, że zadziwiłeś mnie, panie Nalwez. Oceniam, że to najrozsądniejsze ze wszystkiego, co dotąd na ten temat powiedziano. A jednak... w moim odczuciu ten człowiek nie jest zdolny do takiej intrygi.

Elena uniosła lekko brwi.

– Masz rację, pani – odgadł jej myśli. – Moje odczucie to za mało, by z czystym sumieniem podtrzymać podejrzenia przeciw kobiecie, której praca dla Trybunału była, jak dotąd, godna najwyższej pochwały. Ale jednak – wstał z krzesła, dając znak, że narada ma się ku końcowi – życzę sobie, by odszukano kapitana Varda. Podróż do Aheli odwołuję. – Skinął głową w stronę Nalweza. – Pomówimy o niej z końcem jesieni.

Zmarszczył czoło i Elena pomyślała, że choć chwilowo uznał temat za zamknięty, to jednak wcale nie został on wyczerpany.

I rzeczywiście tak było.

Albowiem tego dnia, lecz późno, odbyła się jeszcze jedna rozmowa. Podobnie jak poprzednia, w gmachu Trybunału, lecz nie w Sali Narad, a w apartamentach dostojnej B.L.T.Eleny, Pierwszej Przedstawicielki Najwyższego Sędziego.

Elena była równie pewna odwiedzin Bavatara jak tego, że po dniu nastąpi noc. Znała go zbyt dobrze. Ten twardy, niezłomny człowiek, potrzebował jednak oparcia. Dawała mu je.

Siedząc naprzeciw niej – pozornie był taki sam jak w Sali Narad: poważny, skupiony, surowy. Wiedziała jednak, że czuł się nieporównanie lepiej. Głęboko zakorzenione poczucie odpowiedzialności i niezwykła sumienność sprawiały, że w rozmowach oficjalnych ważył starannie każde słowo, panował nad każdą dyskusją, nie pozwalając sobie na emocje. Zmieniło się to

trochę od czasu, gdy na miejsce Drugiego Przedstawiciela, wakujące od kilku miesięcy, przysłano Nalweza. Ten człowiek wyraźnie wyprowadzał go z równowagi. W świecie pojęć Bavatara na odpowiedzialnych stanowiskach nie było miejsca dla osłów. W machinie zasad Najwyższego Sędziego Nalwez stanowił część niedającą się dopasować.

Tu jednak Nalweza nie było. Co więcej, rozmawiali prywatnie. Elena wiedziała, że rozmowy prywatne w życiu Bavatara zajmują akurat tyle miejsca ile – ona...

– Zadziwił mnie – rzekł, unosząc wzrok. – Ten człowiek zadziwił mnie dzisiaj, Eleno. Podszedł do rzeczy bez emocji, tak wytrawnie i chłodno. Przecież to do niego niepodobne.

– Istotnie, nie jest mędrcom – przyznała. – Dziś jednak okazało się, że potrafi też nie być głupcem. Czy to źle?

Uczynił niejasny gest.

– Ta cała sprawa – rzekł powoli – obfituje w niespodzianki. Muszę ci wyznać, kuzynko, że trudno mi ją ocenić... z właściwego dystansu. Mam uczucie – odwrócił spojrzenie, jakby zawstydzony, że ma coś takiego – jakbym coś przeoczył. Dlaczego w morzu dostarczanych codziennie raportów uderzył mnie właśnie jeden, dotyczący przybycia tego kapitana do Dranu? Związek między jego uwięzieniem a szlachetną Alidą? Oczywiście, lecz przecież...

– Niepotrzebnie każesz dostarczać sobie te wszystkie raporty, meldunki i donosy do wglądu – zauważyła. – Czy nie sądzisz, że twój czas jest na to zbyt cenny? Dawno, podczas Kociego Powstania, jakiś oficer gwardii miał podobno powiedzieć, że naczelny wódz powinien kierować armiami, a od rozsyłania patroli są setnicy. To jedna z tych prawd, zupełnie oczywistych, które wciąż na nowo trzeba sobie uświadamiać.

Milczał, rozważając jej słowa.

– Uważasz więc, że niepotrzebnie doglądam zbyt małych spraw, i to takich, na których się nie znam.

– A czyż nie? Posiadasz wielki dar kierowania ludźmi, natomiast brak ci tego, co mieć musi mały urzędnik w szarej szacie, badający wnikliwie sto nici, nim po jednej dojdzie do kłębka. Zresztą, cóż to?

Czy tego się od ciebie oczekuje? Doprawdy, Bavatarze, czemuż nie zaczniesz śledzić rzezimieszków gdzieś w ciemnych ulicach?

Zmarszczył brwi.

– Drogi kuzynie. – Przechyliła nieco głowę, jakby ustępując upartemu dziecku. – Jeśli ta sprawa nie daje ci spokoju, przekaz ją niżej! Odpowiedni ludzie zajmą się wszystkim, a tym gorliwiej, że biorą za to pieniądze z imperialnej szkatuły.

Uniósł spojrzenie.

– Tak chyba będzie właściwie. Jest coś...

Pokręcił wolno głową.

– Coś mi się nie podoba w dzisiejszej wypowiedzi Nalweza.

– Co takiego?

Zrobił bezradny gest.

– Powiem ci, kuzynie: w wypowiedzi Nalweza nie podoba ci się sam Nalwez. Ten człowiek cię drażni.

Myślał, kiwając lekko głową, po czym wstał, zrobił kilka powolnych kroków i stanąwszy za plecami kobiety, położył ręce na jej ramionach.

– Doprawdy, Eleno – powiedział cicho – dlaczego wtedy nie byliśmy odważniejsi? Nasze pokrewieństwo? Jakże dalekie, a zresztą... Nie takie przeszkody omijano. Tak bardzo cię potrzebuję, Eleno. Dlaczego nie jesteś moją żoną?

Dotknęła policzkiem jego dłoni.

– Ale dzisiaj mogę być... Zostań ze mną – powiedziała niegłośno. – Zostań do rana, proszę. Nikt nie wie, że do mnie przyszedłeś. Potrzebuję cię tak samo, jak ty mnie.

o o o

– Tak więc z tej strony, przynajmniej na razie, nie ma niebezpieczeństwa – zakończyła Alida. – Nie wierzę jednak, by w ogóle zrezygnowano z podejrzeń. To bardzo niebezpieczna gra, szlachetny. Sądzę, że trzeba uprzedzić cios. Dotąd ręce miałam związane przygotowaniem waszej ucieczki...

Chodzący po pokoju tam i z powrotem mężczyzna zatrzymał się, zakładając ręce za plecy. Uniósł twarz – dość mizerną i niezwykle bladą. Taką cerę miewają ludzie, którzy spędzili długi czas w celi.

– Wciąż nie wiem, czy kapitan zginął, czy też nie – wyjaśniła. – Jeśli żyje, należy liczyć się z jego działaniem.

– Czy brak takowego jak dotąd nie świadczy, że jednak zginął?

Słowa wypowiedziano z doskonałym akcentem i tak nienaganną dykcją, iż pochodzenie i pozycja społeczna tego człowieka nie mogły budzić najmniejszych wątpliwości, nawet gdyby Alida nie użyła tytułu. Był to mężczyzna wywodzący się z któregoś ze starych garyjskich rodów, wychowany w surowych zasadach garyjskiego pałacu.

– Być może – odparła. – Ale bez względu na to Trybunał nie poniecha dochodzenia, co najwyżej przejmą je ludzie niżej stojący w hierarchii. To oznacza spowolnienie tempa prowadzenia sprawy, ale tym pewniejsze zakończenie jej w ogóle. Doły tej instytucji są mniej wrażliwe na sugestie niż sam szczyt. – Uśmiechnęła się lekko. – Zwykły urzędnik może nie ma wielkich ambicji, ale właśnie dlatego jest jak pies gończy. Nie porzuca tropu, bo tak go wytresowano.

– Co zatem proponujesz uczynić, pani? Nie wolno ci zniknąć, jesteś absolutnie niezbędna.

– Wiem – powiedziała. – Usuńmy ich.

– Kogo? – Mężczyzna nie zrozumiał.

– Ich godności Bavatara i Elenę.

Mężczyzna milczał.

– Naprawdę, pani – rzekł sucho po długiej chwili – gotów byłbym przypuścić, że żartujesz.

– Naprawdę, panie – odparła tym samym tonem – mogłabym przypuścić, że nie rozumiesz.

Przez krótką chwilę patrzyli na siebie, po czym nagle uśmiechnęła się tym uśmiechem, który nic nie mówił, a musiał się podobać każdemu mężczyźnie.

– Szlachetny, proszę pozwolić, że zapytam: jeśli usunięcie dwojga ludzi przekracza nasze możliwości, to po co w ogóle bawimy się

w jakieś powstanie?

Potrząsnął głową.

– Nie mówię, że to niemożliwe. Mówię, że to trudne. I nie dość, że nie wiem, czy potrzebne, to jeszcze mam wątpliwości, czy aby nie szkodliwe. Tym ludziom od miesiący podsuwana jest fałszywa wiedza o powstaniu i jego zamierzonym przebiegu. Jeśli teraz przyjdzie na ich miejsce ktoś inny, to trudno ocenić, czy jego świeże spojrzenie nie zdemaskuje gry.

– Nie, panie, albowiem będzie to nasz człowiek.

Zamilkł.

– Kogo masz na myśli?

– Siebie.

Nawet nie próbował ukryć zdumienia.

– Nie, doprawdy, pani, obawiam się, że zbyt wysoko mierzysz! To stanowisko jest jednym z najważniejszych w całej prowincji, jeśli nie w całym imperium. Protegowani najwyższych dostojników na próżno dobijają się o nie, i to ludzie tak wysokich rodów... Wybacz mi, pani, ale twoje nazwisko...

– Nazwisko bardzo łatwo można zmienić. Jeśli zechcę, jutro będę żoną pana Kahela Dogonora. Och, to chyba znakomicie się składa, że Dogonor całym sercem i majątkiem popiera politykę Kirlanu? – uprzedziła protest.

Błady mężczyzna usiadł.

– Ależ... – rzekł niegłośnie oszołomiony. – Ten człowiek ma sześćdziesiąt kilka lat!

Uśmiechnęła się filuternie.

– No właśnie.

Wzruszyła ramionami.

– Posłuchaj, panie – uprzedziła kolejne zastrzeżenia – sytuacja niezwykle nam sprzyja. Dopiero co ujawniono skandaliczną historię wykupywania odpowiedzialnych urzędów i stanowisk, są w to zamieszani, jak wiesz, niestety nasi ludzie. Wiemy oboje, że niewiele można im pomóc, czeka ich twierdza, chyba że zbiegną. Ale wtedy ich przydatność będzie żadna. Jest wszakże rzadka możliwość obrócenia porażki w sukces. Chcę wiedzieć, czy ci ludzie gotowi są



poświęcić się dla sprawy? Niewielkie to zresztą poświęcenie, przecież zaraz po wybuchu powstania wszyscy uwięzieni odzyskają wolność.

– Poświęcenie wszystkiego, nawet życia, to święty obowiązek każdego z nas – odparł z pewnym patosem, surowo.

– A zatem – skrzętnie ukryła ironię – trzeba sprokurować dowody i zamieszać w skandal tamtych dwoje. Pytanie tylko: czy na dworze Księcia Przedstawiciela będą gotowi w to uwierzyć?

– O to akurat byłbym spokojny.

– Zdaje się, że twoje wpływy, szlachetny, oczywiście ukryte wpływy, są tam bardzo duże – stwierdziła raczej, niż zapytała.

Uchylił się od odpowiedzi.

– Niezależnie od tego – dorzuciła – Drugi Przedstawiciel Najwyższego Sędziego jest protegowanym księcia.

– Wiem o tym.

– A zatem? Jeśli Bavatar i Elena zmuszeni będą ustąpić...

– Nie, pani. Jego dostojność F.G.Nalwez to człowiek... zbyt miałki, by oddano mu urząd Najwyższego Sędziego. Wreszcie, widzisz przecież tam siebie?

Przechyliła lekko głowę.

– Najwyższego Sędziego nie powołuje się z dnia na dzień – zauważyła. – Musi przyjść zgoda Kirlanu, a tej nie będzie do zimy. Nalwez zatem pozostanie na stanowisku przez kilka miesięcy, korzystając z cichego przyzwolenia i aprobaty swego protektora. Przez ten czas odniesie takie sukcesy, że sam cesarz uzna go za wielce pożytecznego.

Patrzył skonsternowany.

– Nalwez to moja kukielka – wyjaśniła. – Za jego wstawiennictwem łatwo uzyskam tymczasowe stanowisko Drugiej Przedstawicielki. Czegóż można chcieć więcej?

Rozważał, co powiedziała.

– Teraz, czy mam wyjawic, szlachetny, wszelkie korzyści płynące dla powstania z tego, że JA będę kierować Trybunałem? Bo naprawdę, Nalweza możemy pominąć w tych rachubach.

Milczał, próbując znaleźć słabe punkty w jej rozumowaniu.

– Wybacz, pani, że o tym wspominał, ale... twoja przeszłość...  
Roześmiała się głośno.

– Sądzisz, panie, że nikt nie powierzy prostytutce takiego stanowiska? O, naprawdę... Nie jestem portową kurwą wycierającą bruki!

Skrzywił się, słysząc wulgarne słowo.

– Bywają u mnie mężczyźni największych rodów, ludzie piastujący bardzo wysokie urzędy. Oczywiście, że sypiam z nimi. Ale znajdź mi wśród nich, panie, choć jednego, który głośno nazwie mnie ladacznicą! Każdy wie, że taka jest prawda, ale nikt, panie, tego nie przyzna. Jej godność Erra Alida to ogólnie szanowana ozdoba każdego towarzystwa Starej Dzielnicy, kobieta kryształowa i zgoła cnotliwa. Mało tego, trzymam w ręku liściki i fanty, które dość wynieść na światło dzienne, by skompromitować pół Dranu. Kto tutaj, panie, wystąpi przeciw mnie?

Milcząco uznał jej racje.

– A ponadto – dodała – Kirlan, ani nawet Dorona, mam na myśli dwór przedstawicielski, nie żywią żadnych uprzedzeń wobec... mm, jakiegokolwiek zajęcia. Byle zgodnego z prawem.

– Czasem wydaje mi się, pani – zauważył cokolwiek niechętnie – że ty także nie żywisz uprzedzeń.

Wiedziała, że nie może igrać z garyjskim poczuciem przyzwoitości. Armeckańska swoboda obyczajów w oczach Garyjczyka szlachetnego rodu była czymś niezmiernie plugawym. Zdawała sobie sprawę, że w łonie przyszłego dowództwa rebelii jej osoba stanowi przedmiot niejednego sporu. Położywszy nieocenione zasługi na polu przygotowań do powstania, wciąż była postrzegana jako czarna owca.

– Wiesz przecież, szlachetny – zapewniła pospiesznie – że robię to, co robię, tylko i wyłącznie dla sprawy Garry. Po zwycięstwie powstania natychmiast porzucę tę... to poniżające zajęcie.

– Nie wątpię – przypieczętował surowo. – Wierzę w to i dlatego nieustannie bronie cię, pani.

Czasem miała ochotę powiedzieć, co sądzi o tym wszystkim.

„Spokojnie, kochanie, cierpliwości” – zmitygowała się w myślach.

– Zapewniam, że stanowisko Drugiej Przedstawicielki leży najzupełniej w moim zasięgu. Zapominasz, szlachetny, co to za instytucja. Niejeden urzędnik wysokiego szczebla udawał przed laty oficera na pirackim żaglowcu bądź doradzał rzemieślnikom i kupcom, jak uniknąć płacenia podatków do imperialnej szkatuły... Tacy ludzie często zostają Namiestnikami Sędziego w różnych okręgach miejskich. Oczywiście, że nigdy nie uzyskam nominacji na stanowisko tak eksponowane jak Najwyższego Sędziego prowincji, a nawet nie zostanę Pierwszą Przedstawicielką. Ale drugie przedstawicielstwo jest funkcją głównie doradczą. Drugi Przedstawiciel to prawie nikt, bo musi jednocześnie zabraknąć aż dwojga jego zwierzchników, by uzyskać choć odrobinę realnej władzy. Takie rzeczy prawie się nie zdarzają.

Przez chwilę panowało milczenie.

– Nie mogę jednak uwierzyć – spróbował jeszcze – że masz władzę nad tym głupcem Nalwezem. Prawda, to głupiec... – odpowiedział sam sobie. – Od jak dawna?

– Od dwóch dni.

Jego wzrok bezradnie obiegnął pokój.

– Żartujesz sobie, pani?

Roześmiała się znowu.

– Zechciej mi przebaczyć, szlachetny – rzekła, poważniejąc – ale odosobnienie, w jakim przebywałeś tak długo, zmienia spojrzenie na świat. I na ludzi. Trochę zapomniałeś, panie, jacy są. Oczywiście, że Nalwez, choćby był jeszcze dwa razy głupszy, nie dopuści się zdrady stanu dla samych tylko moich pięknych oczu. Ale ma ambicje. Wszędzie i zawsze był tylko tłem dla innych, lekceważony, pomijany... Naraz, w jednej chwili, ktoś ocenił go bardzo wysoko, podsunął myśli, które, mając za własne, powtórzył i zyskał uznanie. Uznanie tych, którzy patrzyli nań dotąd pobłaźliwie. Ależ, szlachetny, czy wiesz, jaka jest siła rozbudzonych nagle, długo tłumionych ambicji, kiedy raz wybuchną?

## ROZDZIAŁ 39



**W**ychodząc z jaskini, Riolata natknęła się na zwłoki żołnierza. Siedział oparty o skałę; chyba osuwał się wzdłuż niej na słabnących nogach, aż umarł. Dłonie, czerwone od krwi, zaciśnięte miał na poderżniętym gardle. Jego broń zniknęła.

Riolata, wciąż jeszcze ze łzami w oczach, powstrzymując chęć masowania pociętych pasem pośladków, zdała sobie sprawę, że o czymś zapomniała. „Kochany wujek Raladan”, którego znała od zawsze i któremu włożyło się na głowę, przez całe niemal życie był.. piratem. Tutaj oto leżały trupy dwóch świetnie uzbrojonych i wyszkolonych żołnierzy, których zabił nieomal mimochodem, i poszedł dalej, jakby wypił dwa kubki wódki. Tego człowieka należało się bać – a ona o tym nie pamiętała.

Zadeptała dymiące łuczywo, starannie osuszyła oczy, po czym przebrała się w rzeczy siostry, krzywiąc się, parszkając i fukając ze wstrętem.

Okrążyła wzgórze i ujrzała okręt Lereny w niewielkiej odległości od brzegu. Dostrzegła też szalupę na piasku i ludzi przy niej. Odetchnęła głęboko i poszła.

Raladan stał oparty o burtę wyciągniętej częściowo na brzeg łodzi. Trzymał kuszę opartą na przedramieniu. Ogarnęła go ową bezbrzeżną pustką, jaka czasem wypływała z jej oczu, i rzekła krótko:

– Na okręt.

Majtowie, znudzeni długim siedzeniem na brzegu, skwapliwie zaczęli spychać łódź. Raladan odszedł na bok, wciąż trzymając uniesioną kuszę. Nie unikał jej wzroku – i naraz pojęła, że ten

człowiek wcale nie straszył... On naprawdę rozważał, czy nie posłać jej pocisku. Za chwilę mogła być martwa jak te skały.

Poczuła coś w rodzaju lęku. Czy aby dobrze oceniła swoje szanse? Jakże głupio mogłoby się skończyć jej życie, jej plany, zamierzenia... Mechanizm spustowy kuszy czekał tylko na nacisk palców Raladana.

Odwróciła się, by nie wyczytał w jej wzroku strachu, nienawiści – i wyroku na siebie.

„Zapłacisz mi za to” – pomyślała. „Przysięgam, że zapłacisz mi za wszystko. Już niedługo”.

Ale klęska spadła z innej strony. To nie Raladan był jej przyczyną. O przegranej miał przesądzić posepny cień mknący pośród złotoczerwonych łusek fal, od strony chyłącego się ku morzu słońca. Nie widzieli go majtkowie brodzący po uda w wodzie wzdłuż burt łodzi. Nie widział go jeszcze Raladan, wciąż pogrążony w ponurych rozważaniach.

– Nie – powiedziała.

Wściekłość, budząca się dziś tyle razy, wybuchła znowu, gorzka tym razem i spleciona z uczuciem bezsilności.

– Idź precz! – wrzasnęła chrapliwie, chwytając się za włosy przy skroniach.

Raladan i majtkowie skierowali wzrok na nią, a potem tam, gdzie ona. Rzuciła się w morze, przewróciła pośród fal, ale zaraz wstała, ociekając wodą.

– Dlaczego?! Powiedz, dlaczego, ty draniu! Jestem twoją córką, słyszysz?! Jestem tak samo twoją córką jak ona!

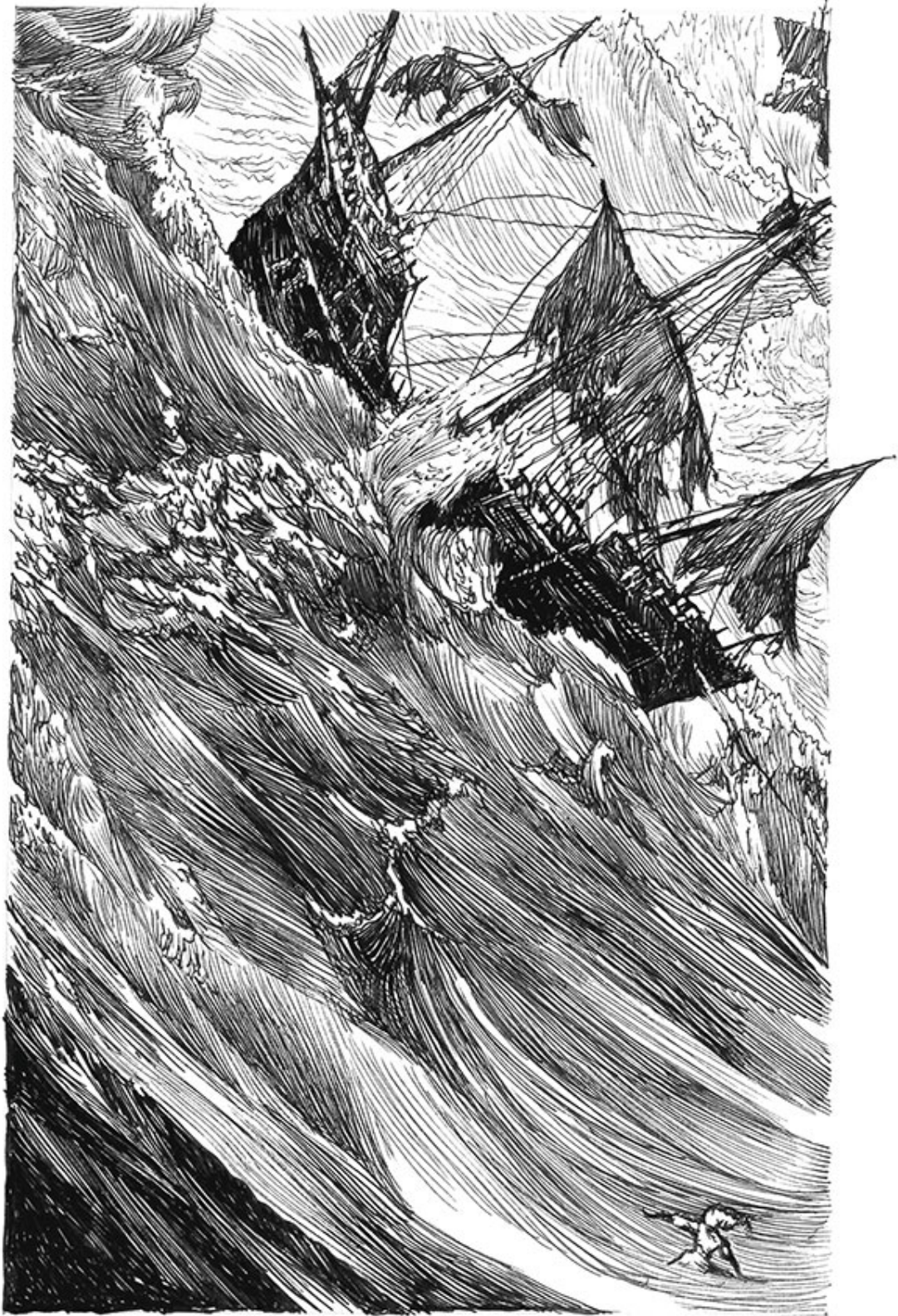
Słońce nad horyzontem przygasało, krwista czerwień przeszła niemal w brąz. Riolata nie słyszała i nie widziała nic poza upiornym kadłubem, nadciągającym nieuchronnie, złowieszczo, z prędkością gnanej wiatrem chmury. Z pokładu okrętu Lereny ludzie rzucali się w fale, zmierzając wpław ku wyspie.

– Zatrzymaj się! – krzyknęła, bijąc pięściami wodę. – Zatrzymaj się!

Opuściła ręce i powiedziała z rozpaczą:

– Ojciec...

Czarny wrak przepadł gdzieś nagle, po czym wyłonił się znikąd – już bliżej. Niewyraźny, zamglony od pędu, otoczony głuchym hukiem pękających fal, jak głaz ciśnięty ręką olbrzyma uderzył w burtę stojącej na kotwicy hogi, wynosząc wielki okręt ku niebu z łoskotem przewyższającym grzmot burzy. Czas jakby zwolnił swój bieg, widziała każdy szczegół – więc grotmaszt pękający w połowie, rozpadające się na wszystkie strony, jakby rozsądzone wybuchem deski burt, rozerwany pokład ukazujący czarną jamę ładowni i figurki ludzi wyrzucone wysoko w powietrze. W tym wszystkim dźwięk skończył nagle, słupy i ściany wodne, łamane własnym ciężarem, opadały bez głosu, roztrzaskany żaglowiec przetoczył się po widmowym kadłubie i runął w wodę stępką do góry; za nim, dalej, straszny wrak przewalał się z burty na burtę, ociekając spienioną kipiela, znów nabierając szybkości, uchodząc.



TRUST 21

Dźwięk wrócił.

– Na wszystkie Pasma Szerni! – zawyła. – Zniszczę cię, czymkolwiek i kimkolwiek jesteś! Klnę się na swoje imię, że cię zniszczę! Na wszystkie Ciemne Pasma, niech cię morze pochłonie!

Niebo pękło, uwalniając szeroki pas srebrzystej czerni. Wzrok mamił; to COŚ, w niemożliwy sposób wygięte jednocześnie w dół i w górę, nie pochodziło z tego świata. Wicher przybył, rycząc; ucichł zaraz przygnieciony cieniem następnego Pasma, wyłaniającego się obok pierwszego. Jakiś łoskot przetoczył się pomiędzy nimi. Coś jak czarny sztych wystrzeliło znikąd, uderzając daleki już wrak. Słup wody wytrysnął ku niebu; jeszcze dało się widzieć przez chwilę zdruzgotany, wypalony kadłub, walczący ciężko z falami, nim, ulegając ich mocy, zniknął w głębi morza.

Stała, aż niebo pochłonęło Pasma, a wtedy opuściła uniesione ramiona, padając twarzą w wodę.

o o o

Raladan raz jeszcze rozejrzał się dokoła, ale w gęstniejących ciemnościach nie dostrzegł nikogo. Chwycił dziewczynę za koszulę na karku i powłókł dalej, ku jaskini. Była jak pijana: zataczała się, chwytając rękami powietrze; gdyby nie trzymał mocno, nie przeszłaby i dwóch kroków.

Ale przed wejściem do jaskini zaczęła stawiać opór.

– Nie... – wystękała. – Nie...

On jednak widział i przeżył tego dnia dosyć, by tracić cierpliwość łatwiej niż kiedykolwiek. Rzucił ją na ziemię i chwycił za włosy, padając obok na kolana. Pochylił się ku jej twarzy.

– Posłuchaj no – rzekł chrapliwie. – Nie obchodzi mnie, czy jesteś człowiekiem, potworem z innego świata, czy demonem... Rób, co każe, bo, na wszystkie moce, zabiję cię. – Wyszarpnął nóż i podsunął jej przed oczy.

– Tam jest... ona – powiedziała z jękiem. – Zabiłam ją... Rozumiesz?



Raladan opuścił broń. Zaraz potem zerwał się i objął głowę dłońmi.

– Na wszystkie morza świata – rzekł z prawdziwą grozą. – Co dla ciebie jest święte?

Przypadł do niej na powrót i chwycił za gardło.

– Tym bardziej, suko... Idź tam!

Oderwał ją od ziemi i pchnął mocno, nie dbając, czy sobie coś połamie. Wpadła między skały. Raladan ujął pod pachy sztywniejące już ciało żołnierza i pocąc się obficie, wciągnął do jaskini. W trakcie tego dojrzał porzuconą przez Riolatę, zdeptaną pochodnię. Wziął ją też.

Pamiętał o dziurze zaraz za wejściem. Poruszając się po omacku, wepchnął do niej trupa, a następnie skłębione resztki żaglowego płótna, które kiedyś maskowało wilczy dół. Odpoczywał przez chwilę.

– Gdzie jesteś? – rzucił.

– Tutaj... – odparła tak cicho, że niemal niesłyszalnie.

Popchnął ją znacząco. Rozbijając się o skały, odpełzli na czworakach dalej w głąb korytarza.

Wydobył zza pazuchy krzesiwo i hubkę. Były suche – cud prawdziwy, bo wyciągając Riolatę z wody, zamoczył się niemal cały. Cóż, kiedy ze zmęczenia i od nadmiaru wrażeń ręce drżały mu tak bardzo, że nie mógł uzyskać ognia. Myśl, że miałby przesiedzieć tak, po ciemku, całą noc z tą kobietą, sprawiła, że mozolnie wgramolił się dalej, odszukał uduszonego liną dziesiętnika i urwał kawał mundurowej tuniki. Zaciskając zęby, krzesał wytrwale, wreszcie rozdmuchał płomyk i zapalił szmatę. Owinął nią upalone łuczywo i wrócił.

Riolata siedziała pod ścianą, bezwładnie oparta, ale po spojrzeniu, którym go obrzuciła, poznał, że dochodzi do siebie. Wyciągnął rękę z pochodnią tak, że płomień niemal smagnął jej twarz. Rzuciła się w tył, uderzając głową o skałę. Gestem rozkazał, by szła w głąb jaskini. Ruszyła posłusznie. Obejrzała się raz i drugi; znów na jej twarzy był lęk.

Wchodząc do skarbca, Raladan nie wiedział, co zobaczy. Gdy usłyszał o śmierci Lereny, poznał nagle, że coś go łączyło z tą dziewczyną. Może był to po prostu czas, jaki wspólnie spędzili; może stary, zakorzeniony nawyk bycia w jakiejś mierze lojalnym wobec kapitana, pod którym służył, bez względu na to, kim ów kapitan był. Nigdy tak naprawdę nie pragnął śmierci Lereny, choć czasem budziła w nim wściekłość graniczącą z nienawiścią. I teraz, na koniec, to nie Lereny, lecz jej siostra, okazała się prawdziwie przerażającą istotą; do tego stopnia, że tamta zdała mu się nagle niemal przyjacielem, a na pewno nie wrogiem.

Nie wiedział, jak zginęła. Poczł nagle, że go to bardzo obchodzi.

Lerena jednak żyła.

Lerena jednak żyła i Raladan, któremu zdawało się może, iż wszystkie niezwykle i koszmarnie zdarzenia tego dnia ma za sobą, cofnął się, omal nie upuszczając pochodni. Równocześnie Riolata wydała jakiś nieludzki dźwięk, rzucając się w tył; odruchowo zagroził jej drogę i przytrzymał, nie mogąc wszakże oderwać wzroku od obrzmiałej, potwornej twarzy, z której patrzyły przekrwione oczy. Jednakże to nie twarz i nie oczy były najstraszniejsze.

Lerena się śmiała.

Z głową opartą o skrzynię i wykręconą w bok, ze związanymi wciąż rękoma i nogami, wreszcie z nieruchomą, pozbawioną tchu pierśią – śmiała się bezgłośnie. Upiornie.

Raladan odepchnął Riolatę i sztywnym krokiem podszedł do jej siostry. Sznur opasujący szyję wżarł się w nią. Pilot zatknął pochodnię w szczelinę między skrzyniami i przeciął węzeł, bo był jedynym dostępnym dla ostrza miejscem. Półzwierzęcy charkot wyrwał się z krtani, pozbawionej tchu od tak dawna; Raladan rozciął jeszcze pęta i powoli odwrócił się ku tamtej. Wziął łuczywo i – nie chowając noża – postąpił dwa kroki.

Wtedy ujrzał, że Riolata się uśmiecha.

– No, dalej – powiedziała, jednym ruchem wstając z ziemi. – Ona żyje, ty głupcze. A to znaczy, że nas nie można zabić. Jesteśmy takie same, Raladan. No? Dalej!

Pilot poczuł nagle, że śni. Tak, to musiał być sen... Długi, koszmaryny sen.



CZEŚĆ TRZECIA

# Rubin Córki Błyskawic

## ROZDZIAŁ 40



**B**ył koniec zimy.

Wredna pogoda – lepszego określenia Raladan znaleźć nie zdołał. Po całych tygodniach ciężkich mrozów i śniegu (zamarzł nawet port w Dranie, rzecz niezwykle rzadka) przyszła odwilż. Śnieg sypał dalej, ale wzmacnił go deszcz; tworzyły razem lepką mieszanę, którą wiatr chlastał po ulicach Bagby niczym mokrą szmatą. Potężne zasy, przez które trudno było się przedrzeć w czas mrozów, teraz stały się przeszkodami zgoła nie do pokonania – niczym skarpy ciężkiego, białego błota. Topniały, zamieniając ulice w bajora spływającej leniwie brei.

Mokry śnieg miał swoje zalety: oto pilot schylił się, uformował w dłoniach masywną kulę i cisnął nią w szczególnie natarczywego psa, próbującego zjeść mu podbitą futrem opończę. Całe tuziny tych stworzeń biegały po mieście, szukając jakiegokolwiek kęsa pożywienia; doszło do tego, że żołnierze z kuszami polowali na nie. Były plagą. Cóż dopiero za miastem, gdzie, jak powiadano, zdiczałe łączyły się w stada, atakując inwentarz w obejściach, a nierzadko ludzi.

Wczesny wieczór wygonił do domów nawet tych, którzy z jakichś powodów musieli wyjść na dwór. Ulica była pusta i Raladan, mając sześć lub siedem psów za plecami, poczuł się nieswojo. Wsunął ręce pod płaszcz, poprawiając pas z mieczem. Prawie nigdy nie nosił tej broni, przeciw ludziom wystarczał mu nóż. Wziął ją z myślą o psach właśnie. Jeśli już miał zostać zjedzony, wolał, by uczyniło to jakieś morskie stworzenie.

Nim dotarł do karczmy, którą mu przed dwoma dniami wskazano, buty miał już całkiem rozmiękłe. Za cholewami tkwiły mokre bryły

śniegu. W izbie było ciepło, niemal gorąco – i bryły szybko popłynęły w dół, po łydkach. Cóż, stawiał w życiu czoło większym przeciwnościom.

Gorące piwo z korzeniami i miodem przyjemnie grzało wnętrzności. Raczył się nim zachłannie, bo też było przednie; chmiel garyjski nie miał sobie równych, a i wodę czerpano wyborną. Wypił kufel, potem drugi, wreszcie uznał, że dosyć.

Powiedziano mu prawdę. Dziwny był ten starzec.

Siedział w kącie izby przykurczony, z garbem na lewej łopatce. Na kolanach trzymał instrument – Raladan nigdy dotąd takiego nie widział. Był jak skrzypce, lecz daleko większy, struny zaś zdawały się niezwykle długie.

Starzec – tak jak wszyscy niemal w tej izbie – sączył piwo. Raladana uderzyło, że dłoń opartą na dzbanie zdobi wielki pierścień, wart na oko fortunę. Zebracy, gawędziarze, wędrowni grajkowie mieli czasem pieniądze – i to więcej, niż na ogół sądzono. Ale nigdy nie pokazywali ich ludziom.

Raladan pochylił się w stronę sąsiada wymachującego rękami przed nosami kumpli, jakby i bez gestów opowieść o rekinie ludojadzie nie była dość barwna.

– Czemu nie śpiewa? – zapytał, pokazując grajka.

Wybity z rytmu opowieści mężczyzna znieruchomiał na chwilę.

– Co? A, ten... Sam go zapytaj, do stu piorunów! Ale jemu tutaj – wskazał czoło – nie dostaje, to lepiej uważaj...

– Takie brednie wyśpiewuje?

– Brednie, mówisz? – Mężczyzna opuścił nagle wciąż gotowe do podjęcia opowieści ręce i zastanowił się. – Nie, nie brednie... Takie dziwy.

Raladan skinął głową.

Dziwy... Cóż człowiek prawiący o wielkim jak okręt rekinie mógł uznać za „dziwy”?

Usłyszał o niezwykłym grajku przedwczoraj. Usłyszał przypadkiem. Powiedziano „dziwny starzec” i Raladan nagle przypomniał sobie ostatnie słowa, jakie wyrzekł doń Demon: „Jest dziwny starzec, Raladan. On powie ci więcej”. Wiele lat minęło, ale

Raladan „dziwnego starca” nie spotkał. Teraz, patrząc na garbusa w łachmanach, z wielkim kamieniem na palcu i niezwykłym instrumentem w ręku, pomyślał, że jeśli ten starzec nie jest dziwny, to znaczy, że dziwnych starców nie ma.

Wstał z ławy.

Zaraz potem wstał i starzec, patrząc wyczekująco.

„Na wszystkie morza” – rzekł sobie pilot. „Niechże to będzie ten. Dziwny starzec”.

Przemknęło mu zaraz przez głowę sto pytań, wartych zadania człowiekowi, którego polecił mu sam Demon. Ruszył ku grajkowi, a ten mocniej ujął swój instrument i wyraźnie czekał. Raladan stanął przed nim i powiedział:

– Starcze, ktoś przed laty polecił mi cię jako źródło niezwykłej wiedzy. Powiedz, czy się nie mylę... co do osoby.

– Ktoś mnie polecił? – Głos grajka był słaby, ale wyraźny. – Kto taki, panie?

Raladan milczał przez chwilę, po czym odparł:

– Wielki pirat... Król Bezmiarów. Demon Walki, starcze.

Garbus wolno przymknął powieki, jakby coś rozważając.

– Mam tu izbę – rzekł niegłośnie. – Chodź ze mną, panie.

Raladan poczuł ucisk w gardle.

Był u celu.

W dalekim grombelardzkim Londzie istniał prastary zwyczaj, w myśl którego każdy zajazd miał izbę, czy też raczej komórkę w jakimś kącie, często na poddaszu, nieodpłatnie oddawaną na nocleg żebrakom i rozmaitym włóczęgom. Obyczaj ten rozprzestrzenił się na niemal wszystkie krainy Szereru – może dlatego, że tanim kosztem pozwalał okazać szczodroliwość i hojność ubogim?... Wkrótce znaleźli się w takiej właśnie izbie na poddaszu.

– Słucham cię, żeglarzu – rzekł starzec, troskliwie opierając instrument o ścianę.

Raladan stał w progu, milcząc.

– Słucham – powtórzył po długiej chwili garbus, siadając na zydelku, jedynym tutaj sprzęcie, stojącym obok kupki wilgotnego

siana. W izdebce było niewiele cieplej niż na zewnątrz. – Mam czas, panie, mam go dużo, znacznie więcej, niż myślisz. Ale ty... czy ty jesteś równie bogaty?

– Nie – odparł pilot. Postawił wątki, przyniesiony z dołu kaganek na gnijącej podłodze i usiadł pod ścianą, wyciągając nogi w czarnych od wilgoci butach. – Tylko trudno mi uwierzyć...

Zamilkł, dotykając czoła.

– Powiedz, panie – przerwał ciszę starzec – czyś naprawdę w życiu tak mało dziwnych rzeczy zobaczył, że nie wierzysz w nasze spotkanie?

Raladan pokiwał głową.

– Masz rację, starcze. Widziałem niejedno. Ale z tego, co widziałem, rozumiem tak mało... Boję się wierzyć, że uzyskam od ciebie wyjaśnienia.

– Spróbuj, panie.

– Przed laty pływałem na okręcie pirackim. Dowodził nim człowiek, o którym mówi się we wszystkich portowych tawernach.

Grajek skinął głową.

– Jest tych historii coraz więcej – powiedział. – I przybywać będą wciąż nowe, tak długo, jak długo cień tego człowieka snuć się będzie po morzach. A nawet i później Demon Walki będzie wieczną, nieśmiertelną legendą.

– Cień Demona już przepadł. Pochłonęło go morze.

Starzec uśmiechnął się lekko.

– Naprawdę?

Raladan wbił spojrzenie w głęboko osadzone oczy.

– Widziałem, starcze.

– Co widziałeś, żeglarzu?

– Wrak „Węza Morskiego”, jak szedł na dno.

– Czy przedziurawiły go skały i do środka nalała się woda? Ależ, panie, czemu ufasz oczom, miast ufać rozumowi?

Raladan marszczył brwi poruszony.

– Czarny Okręt jest własnością wyklętych Pasm Szerni. One pozwalały, by przenikał do światła. I one sprawiły, że zniknął, zdaje się bowiem, że sprzeniewierzył się im. Ach, więc myślisz, że



sprawiła to dziewczyna? Nie, panie. Żaden człowiek nie ma takiej siły, by wyszarpnąć Pasma zza kopuły nieba. To cień Demona je sprowadził swym działaniem, które było, zdaje się, niezgodne z dążeniami Pasm. Ciemne Pasma pojawiły się, by ukarać zdradę Cienia. Cień Demona zapewne pojawi się jeszcze na Bezmiarach, a jeśli tak się nie stanie, to nie z powodu mocy tej dziewczyny. Dziwnym, potężnym człowiekiem musiał być twój kapitan... – Starzec zadumał się. – Skoro nawet po śmierci służy jakimś własnym celom, zdolny przeciwstawiać się mocy, która sprawia, że trwa.

Raladan czuł grudę w gardle.

– Wiesz wszystko...

– Nie, żeglarzu. Wiem akurat tyle, co ty. Wiedza nie oznacza rozumienia, i na odwrót. Ty wiesz. Ja rozumiem.

Raladan chciał odpowiedzieć, lecz garbus uniósł dłoń.

– Nie pytaj. Myśl. Wspominaj. Będę to tłumaczył. A więc imię? Jak? Riolata?

Pilot chciał go powstrzymać. Nie zdążył.

– To imię jest przeklęte. Ściągnąłeś na swą głowę nieszczęście. Moja wina...

– Więc Riolata – powtórzył lekko starzec.

Raladan pojął nagle, że powietrze trwa nieruchomo, cienie są zwykłymi cieniami, a płomień kaganka nawet się nie przygiął.

– Na wszystkie morza, panie. Gdy wymówiłem to imię po raz pierwszy, sparzyło mi gardło niczym wrzątek. Potem zrobiłem to jeszcze raz i ledwie ustałem na nogach.

– To imię nie jest przeklęte. Jest potężne, bo ma moc Formuły odnoszącej się do pewnego Przedmiotu, to wszystko. Zaiste, nie można wymawiać go bezkarnie, nie wiedząc, co oznacza. Zobacz. – Wyciągnął rękę z pierścieniem. – Co widzisz?

– Pierścień... rubin?

– To Geerkoto. Rubin Córki Błyskawic. – Starzec uniósł dłoń; rubin rozgorzał. – Ależ nie, żeglarzu, wcale nie jest mały. Przeciwnie, to duży Rubin. Cóż poradzić, że kapitan K.D.Rapis znalazł największy ze wszystkich? A imię tego Rubinu: Riolata.

– To nie imię Rubinu. To...

Uderzyła go myśl, od której zamarł.

– Nie, nie wierzę – rzekł bladymi wargami.

– Tak, mój synu. Ta dziewczyna to Rubin. I nie ona jedna.

Wszystkie trzy.

Raladan dotknął czoła.

„Moc kamienia, będącego odbiciem dwóch Ciemnych Pasm Szerni, już nie będzie mi służyć” – wspomniał słowa Rapisa. A więc wtedy...

– Niemożliwe – rzekł sam do siebie.

– Możliwe i pewne. Synu, ta dziewczyna umarła. Nie, nie powiem ci kiedy...

– Na cesarskim żaglowcu – powiedział Raladan z drzeniem. – Wkrótce potem Demon mówił ze mną. Zakatowano ją... albo może utonęła.

– Tak, widzę... To być może.

Pilot zerwał się, zrobił kilka kroków, po czym usiadł na powrót.

– Umarła. Miałem jej bronić i aż do dzisiaj myślałem, że mi się udało. Ale nie obroniłem... Dzieciak, który mi ufał, został zakatowany kilka kroków ode mnie. To dlatego wtedy zjawił się wrak „Węża”. Na wszystkie... Mów, mów, panie!

– Uporządkuj zatem ten chaos. Ten, który masz w głowie. Jak mam opowiedzieć o stu rzeczach naraz?

Raladan zacisnął pięści.

– Ta dziewczyna... stała mi się jak córka! – rzucił z chrypką. – Teraz mówisz mi, panie, że jest martwa. Że jest jakimś kamieniem. Ale ona żyje... Oddycha i czuje!

– Tylko czuje, mój synu, a nikt na całym świecie nie powie ci, co i jak czuje.

– Je, śpi... Oddycha.

Ale widział już, że oddychać nie musi. Jej córka nie musiała.

– Nie musi też jeść ani pić, ani spać. Znuży ją bezsenność, zatęskni za snem. Będzie cierpieć z pragnienia i głodu, lecz nie umrze. Choćby nawet nie jadła sto lat.

Prawie nie słuchał.

– Nigdy w życiu – powiedział z wysiłkiem – nie kochałem nikogo i niczego. Oprócz morza. Ale dziś całe Bezmiary... mogą zmienić się

dla mnie w pustynię!

Starzec milczał.

Raladan zerwał się znowu i krążył, nie mogąc przemówić. Nieoczekiwanie huknął pięścią w ścianę. Stare deski zatrzeszczały od ciosu.

– Dalej... dalej, panie – rzekł wreszcie. – Chcę, byś powiedział mi wszystko. Najpierw powiedz, czy jest jakiś sposób...?

Starzec pochylił się lekko na zydelku.

– Nie wiem, synu – powiedział powoli. – Także rad bym dowiedzieć się wszystkiego. Krótkie życie?... Nie słuchałeś widocznie. Rubin jest wieczny, jak Szerń. Nie umiera, jego moc nie jest życiem... Po kolei, synu!

Raladan usiadł i przymknął oczy. Było jasne, że garbus widzi jego myśli, więc powinien je pozbierać. Spróbował.

– Nie słuchałeś wcześniej, więc powtórzę: Rubin jest nieśmiertelny, co nie znaczy, zauważ, niezniszczalny. Moc Rubinu jest dla córek Demona tym, czym życie dla ciebie. Ale moc ta może zmieniać natężenie i zależnie od tego czas dla tych kobiet będzie płynął szybciej albo wolniej. To, że młodsze córki Demona są teraz w wieku matki, oznacza tylko tyle, że moc Rubinu przyspieszyła ich dorastanie. Jutro zaś ta sama moc może powstrzymać starzenie wszystkich trzech na lat dziesięć, sto albo tysiąc.

Uczynił krótką przerwę.

– Czym jest Rubin? – podjął zaraz. – Wiesz przecież. To Geerkoto, Ciemny Porzucony Przedmiot, nic ponadto. Jest potężny, ale są i potężniejsze... Tak, to prawda, właśnie Pióro. Jednakże siła Srebrnych Piór polega na łatwości, z jaką można za ich sprawą dotrzeć do Pasm Szerni. Rubin doprowadza do dwóch zaledwie Pasm, a i to niełatwo. Rubin nie jest bowiem Przedmiotem służebnym, przeciwnie. To on wywiera wpływ na tego, w którym posiadaniu się znajduje, i to wpływ o wiele większy, niż zdołałby wyrzucić jakikolwiek inny Geerkoto. Tak, żeglarzu, widzę, że rozumiesz: to właśnie remora przyczepiona do dna okrętu, lecz remora gigantyczna, zdolna strzaskać ster owego okrętu i sprawić, by wiózł ją tam, gdzie ona zechce.

Garbus zamilkł i długo coś rozważał.

– Pierwsza córka Demona opierała się jego sile, bo ukształtowało ją życie, nie zaś moc kamienia. Tamte dwie nigdy życia nie miały, od początku do końca są dziełem Rubinu. Muszą czynić zło, bo do niczego innego nie są zdolne. Nadal się dziwisz, że ta, którą zwiesz Riolatą, mogła chcieć śmierci siostry? O, może pragnąć rzeczy daleko, daleko gorszych, a tamte dwie, bądź pewien, tak samo. Nie, synu, niech cię nie dziwi, że Riolata, uderzając w siostrę, uderzała w siebie. Rubin nie myśli, jest ślepą siłą, tak jak Szerń, niczym więcej. Jest... jak rzeka, która płynie ku morzu i płynąć musi, drogę wszakże wyznaczają wzniesienia i doliny. Geerkoto zmierza ku złu, lecz na oślep. Ale najkrótszą drogą, jak rzeka. Dlatego córki Demona tak szybko stały się dorosłe. Dziecko wszak ma niewielkie możliwości działania. Nie, synu, nie myśl już tym obrazem. Nie jest przecież Rubin rzeką naprawdę. Oto rzece wszystko jedno, do jakiego morza płynie, dużego czy małego. Rubin zaś wybiera zło największe, jakie się w przyszłości rysuje. Ty go możesz nie dostrzec ani ja, ale skoro Rubin pozwala swoim niewolnicom na takie, a nie inne działanie, to kryje się w nim zarodek zbrodni tak bezmiernej, że nie sposób nawet dociekać jej istoty. Rubin, wyczuwając w przyszłości takie zło, uczyni wszystko, by się doń zbliżyć, uczyni nawet dobro. Ale tylko wtedy, jeśli w końcowym rozrachunku wyniknie z tego zło dość duże, by przeważać szalę.

– Dlaczego Ridareta się zmieniła? – zapytał cicho pilot.

– Już mówiłem. Została pokonana.

– Tak nagle? Przez tyle lat zdołała się oprzeć!

– Właśnie dlatego, synu. Nagłość owej zmiany nie budzi mojego zdumienia, prędzej fakt, że przyszła tak późno.

Raladan pokręcił głową.

– Nie pojmujesz? Dobrze, weźmy zatem łuk. Napinasz cięciwę. Mocno, lecz powoli, coraz mocniej i mocniej... Teraz ramię ci drży, ale ty wciąż napinasz. Ramię drętwieje, boli i słabnie, lecz wciąż trzymasz i ciągniesz. I wytrzymasz pewnie długo, ale wreszcie puścisz. Strzała pomknie. A im mocniej będzie napięta cięciwa, tym groźniejsza stanie się strzała, im gwałtowniej ją puścisz, tym dalej

polecą pocisk. Teraz poszukajmy przyczyny. Ale musisz mi pomóc. Najpierw: kiedy dostrzegłeś tę zmianę?

– Wróciłem na Garrę...

– Oszczędzaj słowa, żeglarzu. Popatrz tutaj.

Przed twarzą Raladana pojawił się migoczący, zawieszony na łańcuszku wisior. Starzec rozkołysał go lekko.

– Patrz tutaj. Patrz tutaj... To będzie podobne do snu... Niczego się nie obawiaj, tylko śnij... Jesteś bardzo, bardzo znużony...

o o o

Płynęli na Garrę.

Siedząc przy sterze łodzi, Raladan miał czas, by rozważyć i ocenić swe działania. Był głupcem, teraz widział wyraźnie.

Bawił się w intrygi, a intrygantem był marnym, kiedyś już to sobie powiedział. Umiał zmierzać do celu podstępem i siłą, ale tutaj uwikłał się w istną pajęczynę kłamstw, oszustw, niedomówień, pozornych działań, uników... Posunął się najdalej jak mógł – bojąc się, że Ridareta nie zdoła lub nie zechce podjąć gry, okłamywał nawet ją samą. Gorzej, bo zdradzał jej tajemnice. I pokpił wszystko.

Czegoż właściwie chciał? Zachować skarb, wierząc uparcie, że kiedyś Ridareta z niego skorzysta. Ochronić ją przed Riolatą i Lereną. Wypełnić wolę Demona, traktując jego słowa „pamiętaj, że pierwsza moja córka zawsze będzie miała rację” jako przykazanie, od którego odstąpić nie sposób. Zbyt wiele chciał osiągnąć. Tymczasem należało wybrać, a wybór podsunąłby najlepsze rozwiązanie. Próbował godzić rzeczy nie do pogodzenia.

Było tak, jak mówiła Riolata: chciał przeszkodzić w wydobyciu skarbu, w ostateczności zaś posłać go na dno wraz z okrętem. Teraz, gdy widział już, że przegrał, mógł spojrzeć na swoje poczynania chłodnym okiem. Gdybyż zdecydował się już w Dranie powiedzieć Lerenie, że wie, gdzie jest skarb! Trzeba było tak zrobić, przecież wiedział już o Bererze, o cudownym, niepojętym zrządzeniu losu, które pozwoliło temu człowiekowi (prawda, że po dwóch latach

pływania od wyspy do wyspy) odnaleźć skarbiec Demona... Gdybyż wtedy powiedział Lerenie o kryjówce! Uprzedziliby Riolatę i dziś skarb leżałby na dnie morza wraz z „Gwiazdą Zachodu”; cóż prostszego, jak wprowadzić okręt na skały!

Ale nie. Nie potrafił zrezygnować, nie leżało to w jego ośle naturze. Miał nadzieję nawet wtedy, gdy ujrzał „Seilę” płynącą za wyspiarskim holkiem. Na co właściwie liczył? Że strażnik, a wraz z nim „Seila”, będzie ścigać Brorroka aż do progu jesieni, a potem burze przeszkodzą w wydobyciu skarbu, dając mu czas? Naprawdę, jak dużą porcję szczęścia musiałyby od losu otrzymać, by spełniły się podobnie karkołomne plany?

Niestety, Riolata miała rację, mówiąc mu, że jest głupcem.

Teraz bitwa o skarb była rozstrzygnięta.

A może nie?... Może to właśnie teraz poddał się za wcześnie? Co jeszcze mógłby uczynić? Jak miał walczyć z istotą targającą Pasmami Szerni tak, jakby to były jedwabne wstążeczki? Z istotą, która posłała na dno okręt widmo, przed którym drżały wszystkie morza Szereru? Z istotą, która była chyba nieśmiertelna?

Wierzył w to. Jak miał nie wierzyć? Widział na własne oczy.

Teraz chciał już tylko ocalić Ridaretę.

Po zniszczeniu „Gwiazdy Zachodu”, wstrząśnięty i przytłoczony ogromem zdarzeń, wyciągnął z morza Riolatę i zawłókł do jaskini. Na wyspie byli rozbitkowie z „Gwiazdy” – ci z łodzi i inni, przybywający wpław do brzegu. Jaskinia stanowiła jedyną kryjówkę, jedyne miejsce, gdzie mógł pozbierać myśli, ułożyć jakiś plan. Ale w jaskini dowiedział się, że nie ma nad strasznymi siostrami żadnej władzy. Czym mógł im grozić? Śmiercią?

Pozostawała jednak Ridareta. Bez względu na to, czy istotnie była w rękach ludzi Riolaty, wiedział, że grozi jej zguba. Prędzej albo później. Musiał działać.

Nie mógł zabić bliźniaczek. Riolata jednak przeliczyła się po raz kolejny. Śmiertelne czy nieśmiertelne, były w jego mocy. Bo widział, że same niewiele wiedzą o siłach, jakie w nich drzemiały.

Pozostawił je w skarbcu – związane, zakneblowane, bezradne i ziejące nienawiścią do wszystkiego, szczególnie zaś do niego i do

siebie nawzajem. Teraz wyrzucał sobie, że tak zrobił. „Seila” musiała wrócić prędzej czy później. A to oznaczało, że wydał bezbronną Lerenę w ręce tamtej. Los piratki był nie do pozazdroszczenia.

Czy mógł zrobić coś innego? Działał w ogromnym pośpiechu; jeśli chciał ocalić Ridaretę, czas miał pierwszorzędne znaczenie.

Byli na wyspie rozbitkowie z „Gwiazdy Zachodu”. Była łódź. Po krótkich poszukiwaniach okazało się, że jest też druga, z „Seili”, a na koniec przywleczono trzecią, uszkodzoną, dryfującą pośród szczątków „Gwiazdy”. To dawało możliwość dostania się na Garrę. Dawało szansę odszukania Ridarety. Wziął ze skarbca tyle złota, ile mógł ukryć przy sobie, po czym zaczął działać.

Przerażonych majtków zdołał nakłonić do ucieczki z wyspy, która wszystkim widziała się przeklętą. Cóż zresztą innego było do zrobienia? Czarny Okręt przepadł, widzieli to wyraźnie. I choć morze przestało nagle być im domem, musieli mu zawierzyć przynajmniej jeszcze raz.

Przepełnione łodzie popłynęły na Garrę. Raladan, licząc każdą chwilę niczym sztukę złota, nie popędzał jednak majtków. Wiosłowali tak zawzięcie, że już szybciej nie mogli. Płynęli od wyspy do wyspy, czyniąc krótkie postoje. Na niektórych z tych lądów była słodka woda.

Po dotarciu do brzegów Garry wyczerpani wiosłowaniem majtkowie marudzili przy łodziach. Zostawił ich. Nie byli już potrzebni, liczył się tylko czas.

Prędzej albo później zaczną się zastanawiać, po co ich okręt zakotwiczył przy bezludnej skale. Będą gadać między sobą i w knajpach... Trudna rada. W żaden sposób nie mógł się pozbyć osiemdziesięciu ludzi, więc przestał zaprzętać sobie głowę skarbem. Opuścił.

Wieczorem dotarł do najbliższego miasteczka obwodowego, kupił konia i tak szybko jak potrafił pognął do stolicy.

Szukał wszędzie.

Zaczął od Dorony; Dran był za daleko, by jechać tam i sprawdzić, czy Ridareta nadal mieszka pod lasem. Dorona leżała po drodze, a musiał uwzględnić najgorszą możliwość, czyli że Riolata nie kłamała.

W Doronie odnalazł ludzi, o których wiedział, że są powiązani z Riolatą. Nie przebierał w środkach, pytał, obiecywał, a najczęściej groził – grozić zaś potrafił. Gdy to nie pomagało, używał siły.

W ciągu zaledwie kilku dni na miasto padł blady strach. Krążyły wieści o szaleńcu mordującym bez opamiętania. Kilku znanych kupców znaleziono martwych w ich własnych domach – najpierw znanego i szanowanego handlarza zbożem, jowialnego Litasa, którego trudno było po śmierci rozpoznać. Jego żonę uduszono, a dwóch służących zamknięto w komórce; siedzieli tam związani z rozbitymi głowami, a żaden nie wiedział, kto go pobił. Potem spłonął dom jego godności E.Zikona, kupca handlującego armektańskim sukniem. Zikon nigdy nie cieszył się dobrą reputacją, jego towar był podłej jakości, wierzyciele zaś stali u drzwi każdego dnia. Jednakże w powiązaniu z innymi zabójstwami śmierć jego rodziny i pożar domu stawały się częścią jakiejś naprawdę cuchnącej sprawy. Bo tej samej nocy, tylko trochę wcześniej, zginął inny drobny kupiec, a niedaleko za miastem znaleziono powieszzonego starca, w którym z trudem poznano zrzedliwego Badarfa, zaopatrującego w trunki większość knajp w Doronie.

Wiadomo było, że Litas i Zikon prowadzili wspólne interesy, co dziwiło wielu, bo solidny kupiec, jakim był Litas, raczej nie miał czego szukać w spółce z oszustem. Zagadką pozostało, jaki związek z tymi dwoma mieli pozostali. Zresztą te zabójstwa, choć najbardziej głośne, nie były jedynymi... W portowych zaułkach Dorony wielokrotnie znajdowano zwłoki będące śladem marynarskich porachunków lub zwykłych burd pijackich. Tym razem jednak mogło się wydawać, że duch śmierci we własnej postaci przebiegł ulicami: w ciągu czterech dni znaleziono tyleż trupów. Zaraz potem wybuchła wojna między bandami typów spod ciemnej gwiazdy.



Komendant stołecznego garnizonu wzmocnił i pomnożył patrole krążące po ulicach w dzień i w nocy. W tawernach i oberżach pojawili się ciekawscy, podpytujący gości.

Morderstwa przestały się mnożyć. Trwała tylko wojna zbirów w portowych uliczkach, ukryta w nocnym mroku, ponura.

Raladan opuścił Doronę.

Miał niemal pewność, że Riolata kłamała. Gdyby było inaczej, ktoś musiałby coś wiedzieć. Zrobił tyle, ile mógł. Dalsze bieganie po Doronie byłoby już tylko stratą czasu.

Teraz jechał do Dranu, żywiąc gorącą nadzieję, że odnajdzie Ridaretę tam, gdzie ją zostawił.

o o o

Obraz pogorzelnika był dla niego ciosem.

Głodny i wymęczony brakiem snu stał, trzymając za uzdę prawie zajeżdżonego, pokrytego pianą wierzchowca. Zaczął krążyć wśród zgłiszcz, szukając czegokolwiek. Odpowiedzi lub podpowiedzi.

Nie znalazł.

Przed zmierzchem dotarł do Dranu. Gonił resztkami sił. Organizm, chociaż żelazny, domagał się odpoczynku – Raladan był otępiały, niemal półprzytomny. W Doronie żył życiem płomienia: szalał bez spoczynku tak długo, aż zabrakło żeru. Gdy musiał, przygasał na krótko, by zaraz wybuchnąć z nową siłą. Potem gnał gościńcem, pragnąc rozwiać obawy, przekonać się, że dziewczyna jest cała i zdrowa.

Teraz nie czuł niczego. Nie czuł niepokoju, żalu czy choćby zawodu. Wiedział tylko, że musi odpocząć. Wziął izbę w zajeździe przy trakcie dorońskim, na przedmieściu. Nawet nic nie jedząc, runął na posłanie i zasnął.

I spał jak zabity. Gdy się wreszcie obudził – a przespał ponad pół doby – poszedł jeść. I jadł tak, jak wcześniej spał, czyli tak potężnie, że oberżysta, donoszący na stół coraz nowe porcje, z prawdziwym

podziwem patrzył na człowieka niebędącego w końcu olbrzymem, który potrafił pochłonąć tyle kaszy, mięsa, sera, chleba i piwa.

Raladan zjadł, zażądał wódki. Zapłacił od ręki i siedział, sącząc trunek.

Oberża była znośna, portowe lumpy rzadko w niej gościły. Klientami byli zazwyczaj kupcy i rozmaici podróżni jadący do Dranu; kto nie zdążył przed zamknięciem bram miasta i musiał czekać do rana, ten zasilał zwykle kiesę obrotnego karczmarza. Noclegi i jadło były drogie, ale niezłe. Wódka też nie smakowała jak woda.

Opróżniwszy kubek do połowy, skinął na właściciela zajazdu. Ten podszedł skwapliwie, bo gość o podobnym apetycie był skarbem, tym bardziej że grosza za bardzo nie liczył. Raladan posunął po blacie podwójny grosz.

„Uczciwie nalewasz” – pochwalił, wskazując kubek. „Widziałem wczoraj spalony dom pod lasem... Kto tam mieszkał?”

Wkrótce o pożarze wiedział to, co karczmarz.

o o o

I znów był w Doronie. Z innym wszakże nastawieniem niż przed paroma dniami. Bezwzględność nie była już potrzebna; mordując dalej zbirów, których czasem najmowała Riolata, mógł najwyżej znowu poszczuć jakąś bandę rzezimieszków przeciw drugiej. I dobrze, gdyby na tym się skończyło. Wcześniej nie dbał o nic, ale dopisało mu szczęście, bo gdyby zbiry się dowiedziały, kto ich zaczepia... Do strachliwych nie należał, ale wiedział świetnie, jak marny byłby jego los, gdyby miejscowe dranie, miast skoczyć sobie wzajem do gardeł, odkryły robotę obcego.

Zresztą teraz nie bardzo wiedział, kogo jeszcze ciągnąć za język. Ci, których pozarzynał w zaułkach, byli dobrze mu znani; sam ich kiedyś polecał Riolacie. Niczego nie wiedzieli, czyli posłużyła się kimś innym.

Kim? Jeśli chciał odkryć prawdę, musiał działać powoli i ostrożnie. Teraz pośpiech był na nic. Jeżeli wszystko, co mówiła Riolata, było prawdą, to Ridareta nie żyła. Ale jeśli tylko ją porwano i trzymano z jakiegoś powodu...

Nie dawała mu spokoju sprawa pożaru pod lasem. Oberżysta zapewniał, że znaleziono tam spalone zwłoki. Czyżby ludzi Riolaty? Co tam właściwie zaszło? Dobrze znał Ridarete, dziewczyna umiała sobie radzić, nie mogła jednak wygrać walki z mordercami, bo przecież Riolata nie posłała tam chłopców.

Kto zatem zabił kilku ludzi (karczmarz nie wiedział, trzech czy czterech)? Kto tam był, kto zginął? Czy ktoś przeżył, uciekł? Jedno pytanie na drugim.

Najbardziej obawiał się tego, że jedno ze spalonych ciał...

Nie wierzył w to. Nie zamierzał uwierzyć.

Odpowiedzi na wszystkie pytania należało szukać w Doronie.

Najpierw poszedł do portu. Dobrze zrobił. „Seila” kotwiczyła na redzie.

Nie był zaskoczony ani zdziwiony. Przeciwnie, spodziewał się jej powrotu nawet wcześniej. Wiedział przecież, jaki cel miała wyprawa strażników. Stary Brorrok uciekł oczywiście. Trudno, by cesarskie holki pływały tam i z powrotem w nieskończoność – tylko dlatego, że tak pragnął pilot Raładan w głębi swego serca. Zawróciły na Sarę, „Seila” zaś popłynęła z powrotem na wyspę Demona. Skarb był więc tu, w Doronie. W rękach tej kobiety. Albo może lepiej: tej istoty.

Skarb już go jednak nie obchodził. Był stracony i tyle.

Natomiast to, że Riolata znowu cieszy się wolnością, miało znaczenie ogromne. Musiała od razu się dowiedzieć, że kupcy, tak dobrze dotąd kryjący wszelką jej działalność, mają się nie najlepiej. Raczej wątpił, by uznała to za przypadek. Musiał przyjąć, że gotowa jest na wszystko i czujna. Zarazem jednak żywił nadzieję, że zaprzątnięta jest teraz mnóstwem spraw. Ot, choćby „Seila”... Oficjalnie przecież była własnością poczciwiny Litasa. Zapewne już zjawili się liczni spadkobiercy.

Najprostszą rzeczą, jaka przyszła mu do głowy, było znaleźć od razu Riolatę i wydusić z niej wszystko. Wyrzucał sobie, że nie zrobił

tego na wyspie. Cóż, był wówczas naprawdę przerażony demonstracją potęgi, jakiej dziewczyna dała pokaz. Ponadto (sumitował się po raz dziesiąty) spieszył się. Nie miał żadnej gwarancji, że usłyszy prawdę, a każdy fałszywy trop, który by podjął, mógł kosztować Ridaretę życie. Tak myślał wówczas.

Może trzeba było jakoś dogadać się z Lereną.

Odpędzał te myśli. Stało się tak, a nie inaczej. Popełnił błędy albo nie. Wszelkie rozważania „co by było, gdyby” prowadziły donikąd.

Teraz jednak strach i owo wrażenie niesamowitości, tak wyraźne i dojmujące na wyspie Demona, minęły. Oczywiście, że należało uderzyć w samo serce, a więc w Riolatę. Tak, naturalnie, dysponowała siłami, o których nie miał pojęcia. Lecz co z tego? Miał uciec gdzieś daleko i zaszyć się w głuchej kniei z obawy, że dziewczyna znowu zacznie wzywać Ciemne Pasma, a wtedy Szerń porazi Garrę piorunem?

Nie do końca wiedział, co zrobi, gdy już będzie miał Riolatę w swej mocy. Rozum podpowiadał mu jednak, że gdy skórę na plecach naciąć nożem, po czym chwycić kleszczami i drzeć powoli w dół, prawda objawia się równie szybko, jak głośno.

Nigdy nie prowadził rozmów w taki sposób, najwyżej przyłożył w szczękę. Ale może kiedyś trzeba zacząć.

o o o

Brzeg Wisielców znał dobrze, swego czasu sam wskazał Riolacie to miejsce. Wiedział, co robi, pomagając córkom Ridarety stawiać pierwsze samodzielne kroki. Co prawda ułatwiał im w ten sposób wdrażanie dalszych planów, których nie znał; z drugiej jednak strony zyskiwał pewną dozę zaufania i co więcej – wiedział, na czym bliźniaczki się opierają. Teraz właśnie znajomość powiązań Riolaty, ludzi, którzy jej służyli, i miejsc, z którymi coś ją łączyło, bardzo się przydawała.

Był już w posępnej wsi przed tygodniem – miejsce zbyt dobre do trzymania jeńców, żeby mógł je pominąć. Wieś jednak świeciła

pustką. Teraz miał nadzieję, że będzie inaczej. Brzeg Wisielców stanowił miejsce wprost wyborne, gdy szło o załatwienie spraw wymagających odosobnienia. Nie było tam nic, co mogłoby posłużyć osobie szczególnie dociekliwej do ustalenia, kim jest kobieta korzystająca z opuszczonej chaty; nic, co mogłoby się przydać w walce przeciw niej. Łatwo też było to miejsce zabezpieczyć i ustrzec przed nieproszonymi gośćmi. Żaden dom czy zaułek w Doronie nie spełniał takich warunków. Dodatkowo niesamowitość i zła sława miejsca działały odpowiednio na każdego, kogo tu zaproszono, czy też przywleczono.

Nie wierzył, że Riolata siedzi na Brzegu Wisielców i czeka tam na wujka Raladana. Liczył jednak, że wróciwszy z wyprawy, córka Ridarety będzie musiała prędzej czy później zająć się i takimi sprawami, do których Brzeg Wisielców nadawał się najlepiej.

Trochę ryzykował, pchając się wilkowi w gardło, ale nie bardzo widział inne wyjście. Dorona była duża, jak miał tam znaleźć Riolatę? Kobieta o takim imieniu dla miasta nie istniała (jakie imię przybrała? Semena?); nie istniała w ogóle pod żadnym imieniem czy postacią. Na pewno byli ludzie, którzy wiedzieli, gdzie jej szukać, jednak pilot Raladan do nich nie należał, ani nawet nie znał tych ludzi. Nie byli nimi kupcy, których używała niczym najemników. I nie zbirzy, którym raz i drugi ktoś od niej zlecił robotę.

Szedł zatem do Brzegu Wisielców.

Zabrał prowiant i płaszcz, na wypadek gdyby przyszło mu długo czekać. Uzbroidł się też jak do bitwy: niósł miecz i tęgą kuszę, z której bełt przebiłby chyba niedźwiedzia. Oko miał celne i rękę pewną, wiedział, że na pięćdziesiąt kroków trafi stojącego człowieka w samą pierś. Gorzej było z celem ruchomym; wytrawny kusznik umiał uwzględnić potrzebną poprawkę, ale Raladan nie był kusznikiem, cóż dopiero wytrawnym. Liczył jednak, że najprędzej strzelać będzie z odległości kilku kroków. Nie wiedział, jak liczna eskorta towarzyszy tu zwykle Riolacie.

Sądził niemniej, że mając kuszę, trzech zaskoczonych ludzi zdoła jakoś pokonać.

Minął dzień, potem noc, potem znowu dzień. Za dnia krył się w niedalekim lesie, w koronie drzewa rosnącego na skraju, uważnie obserwując okolicę. W nocy czatował w jednej z chat. Potrafił nakazać sobie cierpliwość, ale jednak czas, wlokący się niczym ślimak, był wrogiem niezwykle groźnym. Krótkie drzemki, na jakie sobie musiał pozwolić, nie usuwały znużenia i nie bardzo skracały oczekiwanie. Chwile mijaly leniwie, a każda z nich podsuwała myśl, że można było wykorzystać ją lepiej. Należało działać.

Miał jednak dość rozsądku, by powiedzieć sobie, że przecież właśnie działa. Łażenie gdzieś bez celu nie byłoby żadnym działaniem.

Trwał więc na posterunku.

Noc była niezwykle ciepła, bardzo widna. Może ostatnia taka. Uważał, że jutro, a najpóźniej pojutrze, powinien zerwać się Kaszel. Potem wichry, ulewy i jesienne sztormy, a po nich zima. Pomyślał, że zimą wejdą z Ridaretą na pokład pierwszego statku płynącego na kontynent. Zawiezie ją do Armektu, a może do Dartanu. Gdzieś, gdzie żadne złe moce nie będą miały przystępu. Miał nadzieję, że każdej jesieni znajdzie w jej domu kąt dla siebie.

Otrząsnął się i uśmiechnął. Starzał się, tęsknił za domem.

Mnóstwo rzeczy odkrył, siedząc tak i myśląc o głupstwach, na które nigdy nie miał czasu.

Zmarszczył brwi, przez dziurę w rozwalonej ścianie przepatrując mrok.

Ktoś nadchodził.

Wciąż nikogo nie widział... i chyba nie usłyszał. Nie miał pojęcia, skąd pewność, że w martwej wsi jest ktoś oprócz niego. Niespodziewanie wyszło na jaw, że kusza jest bezużyteczna; gdyby zechciał użyć korby do napięcia cięciwy, narobiłby dużo hałasu. Wcześniej o tym, niestety, nie pomyślał.

Podkradł się do drzwi i wyjrzał w noc. Potem wyszedł, przylegając do ciemnej ściany, z mieczem w pogotowiu. Ostrożnie ruszył w głąb

wsi, unikając miejsc zalanych światłem księżyca. Zastygł nagle, dostrzegając między chałupami czarną sylwetkę człowieka. Szybko rozejrzał się dokoła, lecz nie dostrzegł nikogo więcej.

Ciemna postać zrobiła kilka niezdecydowanych kroków, po czym zawróciła z wahaniem. Zatrzymała się i nagle ruszyła wprost ku niemu. Światło księżyca spoczęło na fali ciemnych włosów. Poczuł lęk, bo nie mogła go widzieć, a przecież...

Mocniej ścisnął rękojeść miecza i w tej samej chwili usłyszał ciche: „To ja”.

Broń wypadła mu z ręki. Nie pomyślał nawet przez chwilę, że to może być podstęp, zasadzka. Znalazł ją i już o tym wiedział.

Pobiegli ku sobie. Porwał dziewczynę w ramiona i trzymał, czując łomot jej serca na piersi.

„Skąd wiedziałaś...?” – wykrztusił przez zdławione gardło.

Odepchnęła go nagle i w świetle księżyca ujrzał twarz znaną tak dobrze, a zarazem zupełnie obcą.

„Nie pytaj” – powiedziała i parsknęła śmiechem. „Zawsze coś wiem”.

Pokazała palcem chałupę i śmiała się dalej, aż do utraty tchu. Potem się rozplakała.

Był z wariatką.

o o o

Starzec milczał w zadumie.

– Powiedziała „nie pytaj” – rzekł gorzko Raladan. – To nie była ona, nie ta, którą znałem. Nadal nie wiem, co zaszło tam, pod lasem, chociaż chciałem wiedzieć, bo to mogło być ważne dla jej bezpieczeństwa. Nie wiem, dlaczego dom się spalił; nie wiem, jak mnie znalazła; nie wiem, jak rozpoznała w ciemnościach. Chociaż to, co dziś usłyszałem od ciebie, panie... chyba sporo tłumaczy. To Rubin, prawda? Wciąż jednak rozumiem tylko jedno: że dziewczyna, którą znałem, gdzieś odeszła. Zastąpiła ją inna, śmiejąca się lub płacząca bez powodu, a zazwyczaj wrogo nastawiona do wszystkich,

także do mnie i do samej siebie. Zapewniasz mnie, panie, że nie ma w tym niczego niezwykłego. Może dla ciebie. Ja wciąż nie rozumiem i wciąż pytam: jak do tego doszło? Tak nagle.

Garbus kiwał głową.

– Pamiętaj o tym, co mówiłem o cięciwie łuku. Mogę tylko zgadywać, ale pewnie się nie pomylę, że napaść na jej dom była jak pchnięcie nożem w dłoń trzymającą cięciwę. Coś wyzwoliło nienawiść albo gniew tej dziewczyny, być może coś uczyniła i sama nie wie, co albo jak. Nie wiem, co zaszło w jej duszy... ani głowie.

Raladan znów wykrzywił usta z goryczą, po czym zaczął mówić, najpierw wolno, potem szybciej i głośniej:

– Muszę wierzyć ci, panie. Ale powiedz teraz, co robić? To nie może trwać dłużej. Nie sposób pozostawić ją samą, bo gdy wracam, jest bliska obłędu. Zachowuje się coraz gorzej z dnia na dzień. Widzę, że moja obecność przynosi jej jakąś ulgę, ale w zamian otrzymuję wrogość, rozpacz albo radość wariatki, ale rzadko coś, co ma sens. Kawał życia poświęciłem tej dziewczynie, lecz teraz... Mogę służyć każdej sprawie, złej lub dobrej, choć może to, panie, potępisz. Niechże jednak będzie to sprawa! Teraz od niej tylko uciekam, ale uwierz mi, panie, że za miesiąc zabiję ją... albo siebie! – krzyknął, uderzając pięścią w ścianę.

Starzec milczał. Nie znał Raladana, ale umiał ocenić, do jakiego rodzaju ludzi należy. Człowiek czynu, twardy jak żelazo. Teraz był na granicy wytrzymałości. Zetknął się z czymś, co go przerosło, i czuł swoją bezradność.

– Zrozum, żeglarzu – rzekł po chwili – że to już nie jest człowiek. Wszystko, co czujesz, czujesz do Geerkoto, Rubinu Córki Błyskawic...

– Nie, panie. To nieprawda. Twoja wiedza jest niezmierna, ale teraz się mylisz. Ridareta jest także sobą, to nie tylko Rubin. Gdybyż zawsze była tylko Rubinem! Działałaby wtedy jak jej córki, zmierzała ku jakiemuś celowi, może i podłemu, ale uwierz mi, panie, że nie barwię świata na czarno i biało, chcę JEJ dobra, dobra Ridarety, obojętne, w jakim będzie kolorze. Jednakże to, co pozostało w niej z tamtej szesnastoletniej dziewczyny, porwanej z małej wioski, wciąż żyje. I walczy, i przegrywa. Ja to widzę tuż pod



powierzchnią, jak pod taflą lodu, spod której nie może się wyrwać. Ona męczy się, panie, i popada w coraz większy obłęd. A ja nie potrafię jej pomóc.

Odwrócił nagle głowę.

– Jeśli coś obudziło w niej siły Rubinu, to także coś może je uspić – dokończył stłumionym głosem. – Powiedz, panie, co to takiego, a niczego więcej nie pragnę.

Garbus myślał.

– Kula Ferenu – rzekł krótko.

Pilot zachłannie zwrócił się ku niemu.

– Kula Ferenu – powtórzył grajek. – Najpotężniejszy z Jasnych Porzuconych Przedmiotów. Ale jej działanie... może nie wystarczyć.

Przez krótką chwilę trwała cisza.

– Wszystkie Kule są takie same – podjął starzec – a siła każdej z nich znacznie przewyższa siłę Rubinu. Rubiny jednak są różne, a ten nie jest zwykłym Rubinem: to Riolata, królowa Rubinów. Kula Ferenu przegrać nie może, trudno jednak ocenić, czy wygra. Jednakże, chociaż moc Rubinu jest jedna, to w trzech ciałach. Zdaje się, że młodsze córki Demona zmierzają do jakiegoś celu... czy też jedna z nich zmierza, bo los drugiej nie jest ci znany.

Raladan pochylił głowę.

– To tym bardziej, żeglarzu. Jeśli działa tylko jedna z bliźniaczek, to jej cel jest tym bardziej ważny. Nie wiem, jaki to cel. Przepowiednie Całości mówią o Agarach, ale Przepowiednie Całości są niejasne.

– Nie rozumiem, panie. Czym są Przepowiednie Całości?

– Wynikają z Praw. Prawa Całości są zbiorem reguł. Opisz powiązań między Szernią a światem, albo raczej: między Szernią a Rozumem. Przepowiednie odnoszą się do możliwych zdarzeń, ale tylko możliwych. To, że coś jest możliwe, nie znaczy, że nieuniknione.

– Dobrze. Co z tego dla mnie wynika?

– Masz słusność, rozumienie Szerni nie będzie ci potrzebne... Powiem tylko tyle, że Agary zapewne spłyną krwią, mówi o tym Przepowiednia Całości, a Rubin dąży do jej spełnienia. Co stanie się

później, trudno dociec, jednak Agary są początkiem czegoś. Trzeba, byś pomógł Rubinowi.

Raladan patrzył wyczekująco. Dowiedział się, że można coś zrobić, i od tego momentu obchodziło go tylko jedno: co.

– Trzeba, by niszcząca siła Rubinu znalazła ujście – wytłumaczył garbus. – Im więcej jego mocy użyją tamte dwie... czy też jedna, skoro losu drugiej nie znamy, tym mniej pozostanie w Ridarecie. Wówczas przyniesiesz jej Kulę. Najpierw jednak zrób wszystko, by plany młodszej córki zostały spełnione.

– Muszę więc...

– Powinieneś jej pomóc. Najlepiej jak potrafisz.

– To niemożliwe, panie. Żądasz niemożliwości. Żadna z nich nie przyjmie tej pomocy... a już ONA...

– Mów: Riolata. Odkąd wiesz, co to imię oznacza, nic ci nie grozi. Więc powiedz.

Raladan zawahał się.

– Nie chodzi mi o twoją wygodę, ale o coś ważniejszego – rzekł grajek. – Zyskasz dowód, że mówię ci prawdę.

– Riolata – powiedział Raladan.

I nic się nie stało.

– Teraz słuchaj uważnie – podjął spokojnie starzec. – Możliwe, że Riolata pozbyła się siostry. Zabiła ją, nazwijmy to tak dla lepszego rozumienia. Ależ oczywiście, że jest to możliwe. Ciało to tylko ciało, moc Rubinu będzie je ożywiać, ale tylko tak długo, jak długo to ciało będzie istnieć. A przecież można je zniszczyć zupełnie. Choćby ogniem. Nigdy o tym nie pomyślałeś? Zaraz ci podsunę sto sposobów na pozbycie się kogoś nieśmiertelnego, a choćby i niezniszczalnego: zamurowanie, zalanie ołowiem, wrzucenie do tajemnej studni... Jeśli nie podzielała na zawsze, to w każdym razie na długo – zakończył, nie kryjąc ironii.

Raladan poczuł ciarki. Wyobraził sobie los Lereny.

– Jeśli Riolata zniszczyła swoją siostrę... Pytasz, co z tego wynika? Bardzo wiele! Nie wiemy, ale przyjmijmy na chwilę, że tak jest. Moc Rubinu, podzielona dotąd na trzy części, teraz zamknięta jest w dwóch ciałach. Zatem w każdym z nich jest jej więcej, niż było

dotąd. Trudniej ją pokonać. Zarazem wszelkie działania Riolaty wesprzeć może tylko moc Ridarety. Trzeba umożliwić odpływ mocy z tej ostatniej, odpływ dostatecznie duży, by siła Kuli Ferenu pokonała tę część, która pozostanie, i weszła na jej miejsce, nie zaś spaliła się w walce. Cóż jednak umożliwić może znaczny odpływ mocy Rubinu? Oto stworzenie młodszej córce dość szerokiego pola do działania, by moc zawarta w niej samej już nie wystarczyła. Czy pojmujesz, synu? Jeśli obaj mamy na sobie kilka części zbroi, a ja, ruszając do walki, pożyczę twój ekwipunek, żeby uzupełnić swoją zbroję, to ty pozostaniesz bezbronny.

– Jeśli nawet rozumiem, co mówisz, to powtarzam ci, panie: żadna z córek Ridarety nie przyjmie mojej pomocy!

– A ja ci mówię, synu, że się mylisz. Widzisz tylko to, co na wierzchu, nie starając się dociec istoty rzeczy. Moc Rubinu jest ślepa, jak mówiłem, ale cięży nieuchronnie ku wszystkiemu, co jej sprzyja. A ponadto – rzekł nieco kpiąco starzec – z twych wspomnień jasno wynika, że masz wielką władzę nad tymi kobietami. Jedna z nich durzyła się w tobie, żeglarzu. A nie wiem, czy nie obie.

Raladan patrzył zaskoczony.

– Oto ślepiec – powiedział pół do siebie grajek. – Nie widzi rzeczy wielkich jak Bezmiary.

Pilot wciąż milczał.

– A któż ci powiedział – rzekł widzący chaos jego myśli garbus – że miłość musi być dobra? Doprawdy, żeglarzu, w imię tego uczucia popełniono na świecie więcej zbrodni niż w imię czegokolwiek innego, wyjąwszy może władzę. To najbardziej podstępne i okrutne uczucie, jakie dotknąć może człowieka, wyzwala bowiem inne, zawiść, zazdrość i gniew. Wszystko, co w nim dobre, dotyczy jednej osoby. Pomyśl zatem, synu, nim nazwiesz znów dobrym owo coś, niebędące niczym innym jak kaleką, wynaturzoną, przepoczwarzoną przyjaźnią, która zaiste potrafi być wzniosła. Mówię ci z całą mocą, że bez miłości świat byłby szczęśliwszy, pod warunkiem że pozostałaby na nim przyjaźń.

– Nie – rzekł Raladan, idąc wszakże tropem innych myśli. – Nie uwierzę, że one...

Starzec wstał.

– Wierz, w co chcesz. Powiedziałem, co możesz zrobić. W jaki sposób? To już twoja rzecz.

Raladan pojął, że rozmowa skończona.

– Kim jesteś, panie? Ty, który wiesz wszystko... Czemu kryjesz się pod postacią grajka?

– Kryję się? Ależ jestem grajkiem! – odparł garbus, ujmując instrument. – Zdaje się jednak, że przyniosłeś coś dla mnie, żeglarzu?

Raladan wstał, gorączkowo wyciągając kieskę ze złotem. Starzec przyjął ją bardzo chętnie.

– Darmo jadła nie dają – rzekł spokojnie. – Nawet grajkom. Teraz powiedz mi jeszcze swoje imię.

Pilot podniósł z podłogi płaszcz i z roztargnieniem przełożył go z ręki do ręki.

– Raladan – powiedział po chwili.

Bardzo rzadko pytano go o imię, on zaś jeszcze rzadziej odpowiadał.

– Dziękuję ci, panie. Czy odnajdę cię w jakiś sposób, gdybym jeszcze...

– Wiesz, że nie.

Raladan wyszedł. Starzec został sam.

Długo stał ze spuszczoną głową. Gdy ją wreszcie uniósł, na jego ustach błąkał się dziwny półuśmiech.

– Raladan...

Przymknął powieki.

– Żegnaj, książę – rzekł w przestrzeń. – Wybacz, że cię okłamałem, ale trzeba, byś działał tak, jak powinienes.

Ujął mocniej instrument i opuścił izdebkę.

o o o

Paskudna noc rozbrzmiewała to bliższym, to znów dalszym wyciem psów, pluskiem wody ciekącej z dachów, szumem i gwizdem

wiatru niosącego przetykany deszczem śnieg. Raladan krążył po ulicach, nie znajdując sobie miejsca, ale nie znalazłby go pewnie na całym świecie. Czasem myślał, że warto by odrzucić miecz, usiąść w lepkiej zaspie i czekać na psy. To znów szedł do portu, macając odzienie w poszukiwaniu srebra, które opłaciłoby jego podróż dokądkolwiek. Zresztą zaraz znalazłby pracę na żaglowcu, bo imię, które tak rzadko i niechętnie podawał, było znane kapitanom wielu statków. Oparł się o zimną ścianę domu w zaułku i zamknąwszy oczy, przywoływał w myślach tego, który sprawił, że życie stało mu się klatką.

„Kapitanie, kilkakrotnie ratowałeś mi życie... Czy po to, by je sobie przywłaszczyć? Miałeś swoje, czemuś je oddał? Twoja ostatnia wola to klątwa. Miała rację Ridareta: wszystko, co z tobą związane, niesie zgubę. Powtórzę za inną twoją córką: niech cię morze pochłonie! I uwolnij mnie, bo już nie chcę ci służyć”.

Mokra ściana bez jęku przyjmowała ciosy pięści, gdy uderzał do rytmu swych myśli. Stał skulony, jak bezdomny włóczęga. Jakiś głos, podobny do głosu garbatego starca, odpowiadał:

„Głupcze! Ty nie jemu służysz, tylko jej. Zrobiłeś wszystko, czego Demon zażądał, ale teraz nawet jego rozkaz nie oderwałby cię od tej dziewczyny. Bo to, co czujesz, gdy ją widzisz, to jedyna jasna rzecz w twoim życiu. Nie masz celu i nigdy nie miałeś, poza nią. Jest ci więcej jak córką, wszak jej szczęścia pożądasz nie więzami krwi powodowany. Jest sensem twojego życia i w ogóle wszystkim, co masz, głupcze i po stokroć głupcze nad głupcami”.

Znów ruszył ulicą, szybko, coraz szybciej, pozwalając, by śnieg oblepiał mu twarz.

„Cóż za życie wiodłeś wcześniej? Całe zło, któreś czynił, tak samo jak i dobro, roztopiło się, rozpląnęło, nie służy nikomu i niczemu, nawet tobie. Ty żądasz od Demona, żeby cię uwolnił? Zabiłbyś go, gdyby chciał ci odebrać Ridaretę. Teraz działaj, walcz! Jeśli zrezygnujesz, jeśli się poddasz, to co ci zostanie? Nic!”

– Nic – powtórzył, unosząc twarz ku niebu. – Nie zrezygnuję, bo...

Schylił się, nabrał pełne garście śniegu i zanurzył w nim twarz.

– Bo mam córkę – powiedział.

Pierwszy raz.

## ROZDZIAŁ 41



**M**oc, która łamała jej wolę, chciała być widoczna. W miarę jak dziewczyna przestawała być sobą, rosła jej zajadła wrogość do wszystkiego, malała zaś do samej siebie. Kiedyś siebie nienawidziła; teraz już najwyżej nie lubiła...

Gorzej, że zmiany zachodziły nie tylko wewnątrz, ale i na zewnątrz. Była coraz piękniejsza. Nigdy nie chciał jej ciała, bo istotnie widział w niej córkę, jeszcze zanim to sobie powiedział, niemniej był mężczyzną i nie mógł nie dostrzec kształtów piersi, niemożliwych już do poprawienia, włosów, których bujność urągała sile wyobraźni, skóry gładkiej i bez skazy; przy tym wszystkim bieli zębów, wykroju ust, kształtu twarzy i dłoni, ruchu bioder przy każdym kroku i ramion przy każdym geście...

Trapiło go to, bo zwracała uwagę. Coraz bardziej obawiał się spojrzeń, jakie ściągała na siebie – jednooka piękność z obietnicą w spojrzeniu, pożądaniem uśpionym w kształcie ust i wiedzą o własnej urodzie zaklętą w każdym ruchu, wiedzą zbijającą z tropu najśmielszych.

I to było najgorsze. Bo kwitnąca uroda była nie tylko triumfalnym krzykiem złej mocy. Była także bronią, orężem wyzwalającym próżność, świadomość własnej wyższości, pogardę wobec każdej innej urody, samozachwyty i samouwiełbienie.

Godzinami patrzyła w lustro, potem domagała się sukni, klejnotów... Na wszystkie morza Szereru, skąd miał wziąć te klejnoty? Żądała ich, jednocześnie wpadając we wściekłość, gdy chciał zostawić ją samą. Srebro tymczasem nie leżało na ulicach. Trzeba było je zdobyć, i nie dla klejnotów przecież, lecz dla strawy!

Nie umiał zarabiać pieniędzy; nie na łądzie. Mógłby całkiem uczciwie pracować, ale tylko na jakimś żaglowcu.

Nie, nie trzeba było słów starca, by rozumiał, że dziewczyna jest we władzy jakichś niezwykłych sił. Teraz znał ich naturę. I rozumiał, dlaczego uwolniona moc Rubinu poprawia urodę Ridarety.

Piękna kobieta może więcej. A Rubin miał jakiś cel.

o o o

Cztery dni po spotkaniu z grajkiem Raladan wrócił z podróży do Dorony.

Mieszkali z Ridaretą od tygodnia z okładem w śmierdzącej izbie, jaką najął za grosze w jednym z domów na przedmieściu Bagby. Wiedział jednak, że i tu miejsca nie zagrzeją. Już teraz cała ulica huczała wieścią o przebranej dartańskiej magnatce, która uciekła z kochankiem przed pościgiem męża. Należało się wynosić, i to szybko. Na szczęście teraz nie miało to znaczenia. Plan, przy którego układaniu cierpła mu skóra, lecz bodaj jedyny możliwy, był gotów.

Z obawą przekraczał próg, wiedział bowiem, że czeka go utarczka, w której słowa na pewno nie wystarczą. Będzie musiał walczyć, by go nie chwyciła za gardło – jak owego ranka, gdy wrócił po spotkaniu z garbusem. Bywało tak i wcześniej.

Choć czasami, gdy wracał, witała go serdecznym uściskiem, płacząc tylko i nie mogąc wypowiedzieć słowa. Prawdę mówiąc, chyba wolał bójkę.

Tym razem jednak czekało go coś, czego nie potrafił przewidzieć.

Kaganek, napełniony najpodlejszą oliwą, dopalał się na stole, rzucając krąg mętnego światła. Raladan rozejrzał się, zrobił dwa kroki i... przypadł do leżącego nieruchomo ciała. Serce podskoczyło mu do gardła, lecz w tej samej chwili... poczuł cierpki zapach wina i smród wymiocin.

– Ożeż, do... – powiedział.

Była nieprzytomna, bo pijana jak świnia. Nigdy dotąd nie widział jej takiej. Nie przypuszczał, że kiedyś zobaczy. Wszystko dało się



o niej powiedzieć, ale nie była pijaczką.

– Do pioruna – rzekł z gniewem. – Czekaj no, moja panno.

Chwycił ceber i wybiegł na ulicę. Wrócił po chwili z naczyniem pełnym lodowatej brei. Szarpnął zarzyganą suknię, wywalił wszystko na plecy i głowę leżącej, po czym przetoczył ją na wznak. Tarzał w tę i nazad, a ona się wyrywała, chrypiąc coś i bełkocząc. Przytrzymał za nadgarstki, wtarł garść śniegu w policzki, następną między piersi i w szyję, potem zawlókł ją na posłanie i oparł o ścianę. Patrzyła zamglonymi oczyma, rozpoznając go jednak.

– Ra...ładala-nie...

Odbiło jej się głośno.

Wyszedł znowu przed dom, nabrał drugą porcję lodowatej ciapy i stanął przed podopieczną.

– Cóż to, pani? – zapytał łagodnie.

Uśmiechnęła się krzywo. Ujął ceber za dno i za krawędź, po czym puścił jej w twarz wszystko, co w nim było. Ciężar nasiąkłego wodą śniegu pchnął jej głowę na ścianę, jakby była kopniętym pustym dzbankiem. Wyrznęła potylicą; usłyszał „łup!” i jej ryk. Chwyciła się za głowę, po czym poderwała z pazurami, chcąc wydrapać mu oczy. Tego dnia jednak miara się przebrała, zbyt dużo miał do zrobienia. I nie był w dobrym humorze.

Strzelił ją w twarz z taką siłą, że usiadłby nawet mężczyzna. Po raz drugi runęła na ścianę, chwyciła się za policzek i – już prawie trzeźwa – patrzyła na niego.

Nie powiedziała nawet słowa.

Przytrzymał ją, a kiedyś odepchnął. Ale jeszcze nigdy nie uderzył.

– Cóż to, pani? – powtórzył. – Więc przed tym czujesz respekt? Nie wierzyłaś, że cię uderzę? Niespodzianka za niespodziankę!

– Zabiję cię – powiedziała niewyraźnie. – Na kogo ty podnosisz rękę? Co ty sobie myślisz, sukinsynu? Że kim jestem?

Wyciągnął spod stołu bardzo wygodny zydel, jedyny tutaj sprzęt trzymający się kupy.

– Kim jesteś? Rubinem – powiedział. – Rubinem Córki Błyskawic. Teraz już chyba niczym więcej?...

Zaległa długa, bardzo długa cisza. Dziewczyna spoglądała mu w oczy ze strachem i... czymś jeszcze, czego nie umiał nazwać. Chyba wytrzeźwiała. W każdym razie ogarnęła się.

– Więc wiesz?

Ukrył nagle twarz w dłoniach i zaczął mocno przecierać oczy.

– Na Szerń, dziewczyno – rzekł, opuszczając ręce i biorąc głęboki wdech. – Wiem od kilku dni. Ale dlaczego tak późno?

Odwróciła głowę jednym ruchem, zagryzając usta. Z jej piersi wydarło się westchnienie.

– Co się stało w domu pod lasem? Ty go... Rubin go spalił? Powiedz mi, teraz już możesz.

– Nie wiem – odparła, obejmując potłuczoną głowę, jeszcze ciężką od wódki. – Wściekłam się jak nigdy w życiu, przestraszyłam... Nagle wszystko stanęło w ogniu. Potem niewiele pamiętam.

Zamilkła na krótką chwilę.

– Spaliłam żywcem ludzi, Raladanie.

– Słuchaj teraz – powiedział. – Nie wyrzucam ci, że chowałaś wszystko w tajemnicy, parę dni temu pojąłem, że to nie twoja wina. Ten... ta rzecz chciała, by nikt o niej nie wiedział. Ale teraz chcę wyrzucić ją z ciebie i to zrobię, klnę się na wszystkie morza Szereru. Zrobię to, choćby nawet wbrew tobie, bo nikt na całym świecie nie zdoła poznać, gdzie kończysz się ty, a zaczyna Rubin.

– Niemożliwe – powiedziała głucho. – On zastąpił... Ja chyba umarłam... wiesz? To takie głupie, jeśli się... powie na głos.

– Wiem więcej niż ty. Jest sposób.

– Niemożliwe – powtórzyła, ale TO już wracało; w głosie brzmiała groźba.

Patrzył w milczeniu. Niewiele porozmawiali – a była to ostatnia ich rozmowa, przynajmniej na jakiś czas.

– Jutro jedziemy do Dorony. Przeprowadzamy się – skłamał.

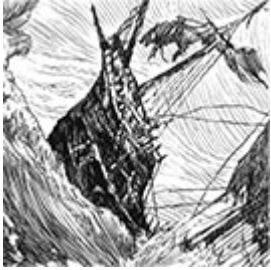
Usłyszała lub nie. Znów rzuciła się na niego z pięściami, ale tym razem już się z nią nie szarpał. Przytrzymał, odepchnął i wyszedł. Coś wrzeszczała, ale miał to gdzieś.

Wyjeżdżali. Sąsiedzi mogli gadać cokolwiek.

Wrócił, gdy się uspokoiła.

Wiedział, że za parę dni znowu będzie musiał ją uderzyć – i to tak, żeby straciła przytomność. Może chwilę wcześniej zdoła jej wytłumaczyć, dlaczego musi to zrobić.

## ROZDZIAŁ 42



**W**ciąż, gdy chodziło o sekretne spotkania, Brzeg Wisielców był miejscem najlepszym. Jednakże zimą, w nocy, droga tam nie była wcale łatwa. Cóż, Raladan miał za sobą długą podróż: z Bagby do Dorony. Ostatni odcinek tej podróży nie wydał mu się wcale najgorszy.

Zsiadł z konia i natychmiast został otoczony przez kilku orężnych drabów. Oddał broń, jeszcze zanim tego zażądali.

– Niech ktoś przypilnuje koni – polecił. – Nie rozjuczać! Czy wasza pani przybyła?

– Jej godność Semena czeka – odrzekł krótko tęgi mężczyzna, wyglądający na dowódcę pozostałych.

– Nie rozjuczać koni – powtórzył Raladan.

Dowódca skinął na swoich ludzi, respektując żądanie pilota.

Poprowadzono Raladana w stronę domu.

Ostatni raz widział ją w skarbcu Demona. I nie sądził, że jeszcze zobaczy. Los chciał jednak inaczej.

Siedziała przy stole. Gdy wszedł, spojrzała krótko, potrząsając włosami niesfornie spadającymi na oczy. Niemal się cofnął – jej uroda była równie płomienna jak uroda Ridarety. Nigdy jeszcze nie były do siebie podobne aż tak bardzo.

Dwaj mężczyźni, którzy go wprowadzili, obeszlą stół i stanęli za plecami kobiety. Dwaj inni zajęli miejsca przy drzwiach.

– Raladan – powiedziała z nieznacznym uśmiechem, leniwie. – Cóż to znowu za grę rozpoczynasz? Gdy mi doniesiono, że pragniesz się ze mną widzieć, zupełnie nie chciałam uwierzyć!

Uniosła głowę, znów potrząsając włosami. Spojrzał jej w oczy i zobaczył w nich radość, prawdziwą i szczerą.

– Na Szerń – powiedziała – ileż to nocy spędziłam bezsennie, myśląc, jak dostać twoją głowę! Czy nie mogłeś powiadomić mnie wcześniej, że przybędzie sama? I to wlokąc pod sobą całą resztę?

Posłała mu uśmiech, zalotny i czupurny. Wiedział, że nie będzie to zwykła rozmowa – ale tak się bawić, tak udawać, nie potrafił nikt. Wspomniał odległe w latach i milach Agary i jasnowłosą kobietę, którą miał za intrygantkę pierwszej próby. Gdzie tam! W spojrzeniu, z którym teraz zderzył swoje, nie było naprawdę nic prócz radości i serdeczności.

Odwrócił wzrok.

– Przyszedłem, bo chcę ci służyć, pani.

– O, wybornie, a zatem służ mi radą: nie wiem, czy cię upiec, czy obedrzeć ze skóry? Czy też poćwiartować? Albo chociaż powiedz, od czego mam zacząć? Bo zdecydowałam: będzie wszystko.

Podniósł wzrok. Już nie była serdeczna. Pytała – i to nie były żarty.

Poczuł, że jego rachuby mogą zawieść. Wszystko, co jej chciał ofiarować, oparte było na przekonaniu, że może być użyteczny dla jej celów. Znał swoją wartość i na pewno szacował dobrze. Wydawało się jednak, że jest gotowa prędzej wyrzec się wszystkich swoich planów, niż wypuścić go stąd w jednym kawałku. Może była to gra obliczona na zastraszenie. Jeśli tak, to grała znakomicie. Tak jak wcześniej widział serdeczność, teraz widział jej apetyt na krew. Jego krew.

Odwrótu jednak już nie miał.

– Mam dowody i gwarancje wiernej służby.

Odniósł wrażenie, że nie słuchała; skinęła na jednego ze swych ludzi, a gdy się pochylił, zaczęła mu coś szeptać.

– Każ przynieść, pani, mój bagaż! – rzekł głośnie i zabrzmiało to dobitniej, niż się spodziewał.

Nie przestając szeptać do ucha osiłka, skinęła na tamtych pod drzwiami. Potem oparła łokieć na stole, a podbródek na dłoni i patrzyła nad jego głową, bez wyrazu.

Raladan stał pozornie niewzruszony.

Tamci dwaj wrócili, niosąc wielki tłumok. Rozwinęli go i Raladan zobaczył, że tego jednak się nie spodziewała. Ridareta, dobrze

skrępowana, z kneblem w ustach, leżała nieruchomo na boku. Oczy miała zamknięte, oddychała z wysiłkiem.

W izbie trwała cisza.

– Naprawdę – powiedziała Semena, wstając i wychodząc z za stołu – muszę przyznać, że tej gry nie rozumiem...

– Bardzo łatwo ją pojąć – rzekł niegłośno. – Ta dziewczyna popadła w obłąd. Jest mi jak córka, nic się tu nie zmieniło, ale nie potrafię zabijać ludzi tak szybko, jak jest to konieczne, by utrzymać jej istnienie w tajemnicy. Nie mam srebra, by ją dobrze ukryć, nie mam też kiedy go zdobyć. Chciałem uciec do Dartanu, przyznaję, ale ona dobrowolnie nie pojedzie, a związaną i schowaną w worku mogę wieźć nocą przez dwie mile, jak z Dorony tutaj. Nic więcej. W jakim porcie przyjmą mnie na statek z wierzgającym tobołem na plecach?

Odetchnął głęboko.

– Więc oddaję ją tobie. Jeśli żądza zemsty jest u ciebie większa niż rozsądek, to ją zabij. Nie wiem, za co, ale... Tak czy owak, będziesz musiała zabić także mnie. Jeśli jednak uznasz, że mogę być przydatny, masz tu gwarancję mojej lojalności. Nic już więcej nie mam do zaoferowania. Teraz ty mów: przeliczyłem się czy nie?

Znowu była spokojna. I chłodna.

– To ciekawe – mruknęła. – Powiesz mi coś jeszcze? O powodach.

Skinął głową.

– Owszem. Nie jestem rzezimieszkiem. Nie jestem też jakimś nędznym złodziejaszkiem, a ostatnio musiałem być i jednym, i drugim, żeby zdobyć parę miedziaków na życie. Jestem zawsze żeglarzem, mogę być też piratem. Skarb już zdobyłaś, nie zdołałem go dla niej ocalić. Nie muszę już z tobą walczyć, nie mam o co. Może da się połączyć nasze cele? Chcę, by żyła, to mój warunek. Ale chcę też znowu służyć jakiejś sprawie. Czy nie trafia to do ciebie, pani?

– Zabrać to – rozkazała ponuro, wskazując półprzytomną kobietę.

Znów skinęła na drągała stojącego z boku. Szepnęła coś. Kiwnęła głową.

Ci przy drzwiach przystąpili do leżącej. Raladan obrócił się na pięcie i wyrznął jednego w szczękę, ale tak, że zbrojny walnął

plecami w drzwi i przysiadł pod nimi na miękkich nogach. Drugiemu wyrwał dobyty miecz z ręki i rozbrojonego zabił jednym pchnięciem. Wszystko rozegrało się tak szybko, że gdy przybocznicy Semeny wybiegli z za stołu, stał już gotów do walki.

– Stać! – wrzasnęła.

– Zabiję ją – ostrzegł Raladan, wskazując leżącą. – Potem zabiję siebie. Ale wcześniej jeszcze może tych dwóch zuchów. A możliwe, że i ty oberwiesz. Nie wiem... czy odrośnie ci ucięta ręka? Albo będziesz piękną bez nosa. Spróbujemy?... Nie pozwolę jej zabrać, bo nie wiem, czy dobiliśmy targu. Dobiliśmy?

– Mogę cię przecież okłamać – powiedziała.

– Możesz, ale nie zechcesz – odpowiedział ze spokojną pewnością. – Jesteś dziwką, ale to by było dla ciebie zbyt niskie, bo tchórzliwe. Znam cię trochę, nieprawdaż? Od dziecka. Od chwili gdy przyszłaś na świat. Odkupić ci pierwszą grzechotkę?

Podeszła blisko. Zagroził drogę mieczem, lecz bez lęku odsunęła ostrze.

– Nie mów o mnie „dziwka”. Nigdy więcej tak nie mów, Raladan.

Wyciągnęła rękę. Po krótkiej chwili oddał jej miecz.

– Zabrać to – rozkazała, wskazując Ridarete. – A ty na zewnątrz – zwróciła się do pilota. – Wyjdź na zewnątrz i rozbierz się do połowy. Dostaniesz dziesięć batów. Piętnaście, bo powiedziałeś na mnie „dziwka”. Może być?

Skrzywił usta.

– Nazwanie cię dziwką kosztuje pięć batów?

Nie uśmiechnęła się.

– Tylko raz. Potem coraz drożej.

Wyszedł przed dom i ściągnął kaftan.

Po dziesiątym smgnięciu przestał czuć cokolwiek. Potem, gdy go puszczono, upadł w błoto odwilży. Ci, co bili, teraz pomogli mu wstać.

– Czy to uczciwe? – zapytała.

Skinął głową, czując, jak od tego nieznacznego ruchu pęka posieczona skóra na plecach. Ból wrócił.

– Nie za bardzo. Miało być piętnaście – rzekł ochryple.

– Tyle było.

– Źle bili. Pięciu ostatnich nie czułem, niech poprawią. Chcę zrobić uczciwy interes.

Warto było! Cofnęła się o pół kroku, zbyt zdumiona, by to ukryć. Trzymający go ludzie mruknęli coś, było w tym zdziwienie i uznanie.

– Mam powtórzyć „dziwka”, żeby poprawili?

Tym razem parsknęła śmiechem.

– Warto by ująć ci kilka. Jesteś niebezpieczny, Raladanie. Chyba kręcę sznur na własną szyję, dogadując się z tobą.

Pokiwała mu palcem przed twarzą.

– Ale wiesz co? Dostaniesz te pięć, których żądasz. I odtąd już zawsze będziemy się traktować poważnie, żadne z nas nie rzuci słów na wiatr i nie będzie się popisywać... Zgoda?

Odwróciła się i odeszła.

Wlepiono mu jeszcze pięć.

Wsadzono go na siodło; niemal leżał na karku końskim. Jadący obok otyły dowódca wziął jego wierzchowca za wodze. Po krótkiej chwili Raladan poczuł dotyk żelaza. Podtykano mu rękojeść tkwiącego w pochwie miecza.

– Zdobyty – rzekł krótko mężczyzna. – Szkoda, że na naszym towarzyszu. Ale płacą nam za to, byśmy umierali.

Raladan drgnął, gdy narzucono mu płaszcz na nagie plecy.

Stępa zmierzali ku Doronie.



## ROZDZIAŁ 43



**N**owa, rozpoczęta właśnie gra niepokoiła ją, ale i fascynowała. Jaką partię tym razem rozgrywał ten człowiek? Do jakiego celu zmierzał, co pragnął osiągnąć? Gdyby chciał ją zgładzić, użyłby innych sposobów. Wierzyła, że Raladan naprawdę chce jej służyć. Ale dlaczego? Historia, którą opowiedział, była niewiarygodna.

Nie mógł wywieźć Ridarety do Dartanu? Niepoważne. Zupełnie śmieszne... Złoto mogło nie takie rzeczy załatwić; czyżby naprawdę nie potrafił zdobyć kilku złotych monet? Bzdura. Znała go zbyt dobrze.

Kłamał. Dobrze zresztą wiedząc, że mu nie uwierzy.

A zatem krył coś w zanadrzu. Coś, o czym nie chciał bądź nie mógł mówić. Może dlatego, że nie byli sami?

Czy usłyszy następne kłamstwo, tym razem przy rozmowie w cztery oczy? Zapewne. Była przekonana, że pilot rzeczywiście chce jej służyć, jednak musiał mieć w tym jakiś własny cel, może i częściowo zbieżny z jej celami... Co jednak mógł o nich wiedzieć?

Było jednak, musiało być coś, co uznał za warte swojej gry! Coś, o czym nie miała pojęcia. Skoro jednak Raladan uznał tę rzecz za istotną, warto było spróbować dowiedzieć się czegoś więcej. Ten człowiek nie zwykł nadstawiać głowy dla potrójnego miedziaka.

Wiele z tego, co mówił, było prawdą. Ridareta rzeczywiście oszalała. Niepodobna udawać tak dobrze. Jak długo zresztą mogłaby udawać? I po co?

Wreszcie to, co powiedział na końcu: że nie jest rzezimieszkiem, lecz piratem. „Czy nie trafia to do ciebie?” – zapytał. Trafiało. I to

bardziej niż cała reszta. Tak, to na pewno był powód. Dla tego człowieka – to był powód.

Niejedyny wszakże. Jeden z wielu.

„No, Raladanie?” – pomyślała. „Co masz dla mnie jeszcze? Cóż to za kłamstwo trzymasz doskonale, że nie wątpisz, iż je przyjmę? Mój wspaniały?”

Był w niej, na dnie duszy, jeden domysł... Ale tak naiwny i śmieszny, że wstydziła się go pokazać samej sobie.

– Głupia jesteś! – powiedziała na głos ze złością. – Bezdennie, bezdennie głupia!

Długo siedziała z przymkniętymi oczami, starając się myśleć o wszystkim, tylko nie o sojuszniku, którego właśnie zyskała. Próbowwała odnaleźć spokój.

Chciała iść do niego. Ale najpierw musiała się wyzbyć resztek złości.

Wreszcie wstała... i długo poprawiała włosy, patrząc w lustro. Uświadomiła sobie, po co i dla kogo to robi. Z trudem powściągnęła wracający gniew. Rozczochrała włosy i szybko ruszyła do drzwi.

Zawróciła. Uczesała się znowu.

Raladan był w izbie dla służby. Leżał na brzuchu, opierając podbródek na przedramionach. Nagie plecy miał pocięte długimi, szklącymi się od świeżych strupów ranami. Lekko unióśł głowę, gdy weszła.

Uśmiechnęła się.

– Jak minęła noc? – zapytała.

– Minęła w tej pozycji – rzekł ponuro.

Zwinęła w kłęb kawał płótna, który ze sobą przyniosła, i zmoczyła w okrągłym cynowym naczyniu.

– Co to? – zapytał.

Rozłożyła ścierkę, przykrywając mu plecy. Stęknął głucho.

– Wódka – szepnęła słodko. – Kiedyś... Lerena mi mówiła, że to dobry sposób. Żołnierski.

– Może... – syknął przez zęby. – Ale zaraz... po zranieniu. Chociaż wódka nigdy na nic nie zaszkodzi.

Odsłoniła plecy, znów zwinęła płótno, przytykając je jeszcze tu i ówdzie.

– Co zrobiłaś z Lereną? – zapytał z niezwykłym u niego wahaniem.

Odsunęła się.

– Nie twoja rzecz. Co cię może obchodzić Lereña?

– Nic. Nic, zupełnie. Przez rok z górą służyłem na jej okręcie. A kiedyś sadzałem ją sobie na plecach. Tak samo jak ciebie... Semeno.

Milczała.

– Nie twoja rzecz – powtórzyła wreszcie ze złością.

– Chcę wiedzieć, czy żyje.

– Nie twoja rzecz! – wrzasnęła, ciskając szmatę na podłogę.

Zwrócił ku niej twarz.

– Co jej zrobiłaś? – zapytał. – Wrzuciłaś ją, związaną łańcuchami, do morza? Spaliłaś? Zakopałaś gdzieś żywcem?

– Raladan – powiedziała z nagłym spokojem, choć głosem mocno stłumionym – nie pytaj mnie o Lerenę. Może kiedyś ci powiem. Ale teraz to ja będę pytać.

Patrzyli na siebie przez długą, długą chwilę.

– Dobrze, pani – rzekł.

Potrząsnął głową.

– Nie pytaj – powiedział od razu. – Tam, na Brzegu Wisielców, kłamałem.

– Oczywiście – przytaknęła. – Przecież wiem.

– Więc zanim powiem ci wszystko, chcę jeszcze zapytać: dlaczego? Dlaczego przyjechałaś mnie na służbę?

Myślała.

– Nie odpowiem – odparła po prostu. – Teraz słucham ciebie.

Wziął głęboki wdech.

– Jesteś nieśmiertelna – powiedział. – Nie, to nie znaczy, że nie można cię zabić. Owszem, można.

Usiadł na posłaniu, krzywiąc się boleśnie.

– Jesteś nieśmiertelna, bo nie umrzesz jak każdy. Dorastałaś szybciej niż inni, ale teraz już nie będziesz się starzeć.

Nie dotarło to do niej od razu. Ale potem, zupełnie nagle, chwyciła go za ramiona.

o o o

Chodziła po izbie, trzymając się za głowę.

– Nie, Raladanie. To nieprawda – mówiła.

– Prawda, pani.

– Nie. Nieprawda.

– No dobrze. Więc przyszedłem, bo nie mogłem jej wywieźć do Dartanu.

Nie słuchała.

– Nie. Nieprawda.

Mogli tak w kółko.

– Prawda, pani.

Rzuciła się nagle na niego.

– Przychodzisz i mówisz mi, że jestem jakimś Rubinem! Że nie żyję! Mam w to wierzyć?! Masz mnie za niespełna rozumu?!

Trzymał ją za nadgarstki, aż przestała się szarpać.

– Nie – powiedział spokojnie i dobitnie. – Jesteś zwykłą ośmioletnią dziewczynką, taką jak inne. Nie wyrwałaś z nieba Pasm Szerni. Nie zniszczyłaś zjawy „Węża Morskiego”. A twoja siostra bliźniaczka oddychała przez pępek, gdy ją chciałaś udusić. Nie, pani. Nie jesteś Rubinem.

Odepchnął ją mocno.

Stała, unosząc dłonie do skroni, to znów je opuszczając.

– Ale... jak to? – zapytała bezradnie.

Osiągnął przewagę. I naraz, niespodziewanie, zrobiło mu się żal.

– Uspokój się, pani – powiedział. – Domyślasz się chyba, że przyszedłem nie dlatego, by ci to powiedzieć i patrzeć, jak się zachowasz. Usiądź wreszcie. Jeśli nie potrafisz wziąć się w garść, to oznacza, że niepotrzebnie przyszedłem.

Jeszcze raz przycisnęła dłonie do twarzy. Zobaczył, że reprimenda podziałała.

– Właściwie domyślałam się czegoś podobnego – rzekła głosem nieco zmienionym, ale już spokojnie. – Nie potrafiłam tego nazwać, ale przecież od dawna wiem, że jesteśmy inne. Mów mi wszystko.

Pokiwał głową.

– Rubin będzie tobą rządził tak jak Ridaretą. Na razie jego siła jest uśpiona, ale spójrz na swoją matkę i pomyśl, co się stanie, gdy ta siła się obudzi. Są jednak sposoby, by ją kontrolować.

– Jakie?

– Czeką nas wyprawa do Złego Kraju, pani – rzekł krótko. – Do Bezimiennego Obszaru, gdzie narodził się Rubin. Powiedziano mi, że tylko tam znajdę odpowiedzi na wszystkie pytania.

Nie spuszczała wzroku z jego twarzy.

– Zapytasz pewnie, dlaczego nie płynę sam. A jak, pani? Wpław? Potrzebny jest okręt i załoga. Dysponujesz jednym i drugim. I masz powód, by zorganizować wyprawę.

– Jak mogę sprawdzić, czy nie kłamiesz? Gdzie dowody, Raladan?

– Dowody na co, pani? Że ty i Ridareta zostałyście opanowane przez tę samą siłę?

– Chcę człowieka, który powiedział ci to wszystko.

– A czy ja chcę czegoś innego? Mówię: płynmy do Złego Kraju.

– On tam jest?

– Tam się wybierał – gładko zełgał Raladan. – O ile wiem, to Zły Kraj jest ojczyzną Przyjętych, nie Garra.

– Czego szukał tutaj? Nieprawdopodobne to wasze spotkanie – zauważyła podejrzliwie.

Raladan rozłożył ręce.

– Czego szukał? Nie wiem! – powiedział. – Ale wiem, czego ty szukasz: dziury w całym! Czy naprawdę, pani, nie potrafisz myśleć? Cóż dzieliło nas dotąd? Jakaś wrogość płynąca prosto z serca? Przeciwnie, gdyby nie skarb twego ojca, który był ci potrzebny, a który ja chciałem zachować dla Ridarety, wszystko potoczyłoby się zupełnie inaczej. Byłbym twoim najgorliwszym pomocnikiem. A jeszcze chętniej służyłbym Lerenie. Doceń moją szczerłość. Twoich planów nie znam, ale ona... Zdobylibyśmy lepszy okręt i znów, jak za

Demona, stali się legendą Bezmiarów. Powiedz, czego mógłbyś chcieć jeszcze stary pirat kapitana Rapisa?

Odetchnął głęboko.

– Stało się jednak inaczej – podjął ciszej, spoglądając jej w oczy. – Ale czy to znaczy, że mamy być wrogami do końca? Po co, dlaczego? Że traktuję Ridaretę jak córkę, czy to znaczy, że mam siedzieć i patrzeć na nią? Chcę jej szczęścia, chcę, by miała złoto i stroje, by znalazła sobie mężczyznę. Ale chcę także władać własnym życiem...

– Czy to prawda? – przerwała mu.

– Co znowu „czy prawda”, pani?

– Czy to prawda, że ona... jest ci córką?

– A kim? Żoną, kochanką?

Badała wzrokiem jego twarz.

– Uwierz, pani – powiedział bezradnie. – Chcę pokonać jej obłąd. To dla mnie najważniejsze. Potem jednak chcę czegoś dla siebie, chcę znowu pływać po morzach, czy to trudno zrozumieć? Czemu miałbym kłamać? Czemu miałbym próbować cię zdradzić? Chętnie będę służył kobiecie, która potrafiła mnie pokonać, bo oznacza to po prostu, że nie jest byle kim. To chyba naturalne, że służy się lepszym od siebie, czy choćby równym sobie, nigdy zaś gorszym. Jedyne, co mnie męczy, to los Lereny. Nie mogę i nie chcę uwierzyć, żeś ją zabiła.

– Lereņa żyje. Tak wiele dla ciebie znaczyła?

Nie wiedział, co odrzec. Potwierdzenie mogła przyjąć za znak, że nie warto mu ufać, bo może szukać zemsty za krzywdę tamtej. Z drugiej znów strony zaprzeczenie wzięłaby niechybnie za próbę przypodobania się jej, za kłamstwo.

Powiedziała jednak, że Lereņa żyje. Jeśli tak, to znaczyło, że siostra nie była jej całkiem obojętna.

– Więcej, niż myślisz – powiedział, podejmując ryzyko.

Wypadło to szczerze. I wiedział dlaczego. Po prostu powiedział prawdę.

Wciąż patrzyła mu w twarz. Nie krył swego niepokoju; miał prawo być obecny i mogła to zauważyć.

– Wiesz, że ci ufam? – powiedziała cicho.

Zobaczył w jej spojrzeniu niemal ból, gdy poprosiła:

– Ufam ci, Raladan. Nie zdradź mnie, proszę... Nie zdradzisz?  
Jestem sama, bardziej sama, niż możesz sobie wyobrazić.

## ROZDZIAŁ 44



**W**stydziła się potem tej chwili słabości, dawała mu odczuć, że było to nieporozumienie. Ale zapamiętał wyraz jej twarzy i oczu.

Poruszyła go ta naiwna prośba o dochowanie wierności. Niespodziewanie ujrzał człowieka: samotną, pozbawioną bliskiej osoby dziewczynę, którą życie zaczynało przerastać. Wszystko musiała kupować: ochronę, przywiązanie, zaufanie. Nikt nie przyszedł i nie powiedział po prostu: „Jestem z tobą”.

Dopiero on.

Odkrył – po raz drugi w swym życiu – że jest słaby. Prośba była bronią, której nie umiał się przeciwstawić. Prawie nigdy nikt nie prosił go o nic; któż może prosić pirata i o co? Jednakże gdy mimo wszystko poproszono, czuł się bezbronny. Przed laty Demon, prosząc o opiekę nad swą córką, związał go bardziej, niż uczynić mógł za pomocą rozkazu albo złota.

Naprawdę, wolał sto razy powiedzieć sobie, że to była gra z jej strony, gra obliczona na uzyskanie takiego właśnie efektu.

Wszystko jednak najwyraźniej temu zaprzeczało.

Wyglądało na to, że istotnie ma nad tą dziewczyną jakąś władzę. O co jednak chodziło? Czy możliwe, żeby garbus miał rację?

Raladan starał się odsunąć emocje, myśleć zimno. Nie wierzył. Nie wierzył, by ta młoda kobieta czuła doń cokolwiek poza uśpionym, niemal zapomnianym sentymentem. Był w końcu jej opiekunem, kiedyś prawie zastępował ojca. Jednakże pomyśl, że ona albo Lereana... że któraś z nich mogłaby...

Niedorzeczność.



Zaczął przypominać sobie zdarzenia z okresu, gdy pływał pod komendą Lereny. Ileż to razy upokarzała go, próbowała...

Zasepił się. Potarł czoło.

Czuł się trochę jak chłopiec. W gruncie rzeczy słabo znał kobiety. Słabo? Wcale ich nie znał. Gdzie miał je poznać i kiedy? Podczas służby w straży morskiej? U Brorroka? U Rapisa? O kobietach wiedział tyle, że są. Czasem, jesienią, przebywając na lądzie, zdobywał je – dość łatwo. Częściej kupował. Nigdy jednak nie przyszło mu do głowy, że kobiety także mogą chcieć zdobywać... Bardzo mgliście wyobrażał sobie, jak takie zdobywanie mogłoby wyglądać. Co musiałaby uczynić kobieta pragnąca zainteresować go sobą? Rzucić wyzwanie oczywiście. Dać do zrozumienia, że zdobyć jej nie można.

Zdumiał się, odkrywszy tę prawdę. I zadziwił, że nikt przed nim tego nie ustalił. On, Raladan, odkrył nowy ląd.

Czyżby stary grajek miał rację? Zresztą, jeśli nawet Lerena... Ale nigdy ta.

„Dlaczego?” – zapytał sam siebie. „Dlaczego nie?”

„A dlatego, że jesteś za stary, przyjacielu” – odrzekł zaraz.

Siedział zadowolony z prostej odpowiedzi. Potem zaczął zdawać sobie sprawę, że tym razem jakiś ląd... zakrył.

Zmarszczył się i przestał rozmyślać o kobietach.

Lubił, gdy miały jasne włosy. I to było wszystko, co chciał o nich wiedzieć.

Wciąż zajmował tę samą izbę, w której go umieszczono po powrocie z Brzegu Wisielców. Wiedział już, że Semena-Riolata w tym domu nie mieszka; owszem, nocowała czasem, ale rzadko. Kamienica pełniła funkcję koszar, była kwaterą żołnierzy Semeny. Ze sposobu, w jaki się do niego odnosili, wywnioskował, że wcale nie jest więźniem. Ale było coś jeszcze. Nie traktowali go jak równego sobie. Nawet Davahoden, tęgi mężczyzna z Wysp Przybrzeżnych, ten sam, który podał mu miecz, gdy wracali z Brzegu do Dorony, tytułował go panem.

Czy w ten sposób Riolata chciała stępić jego czujność? A może mu zaufała i powinien być gotowy do objęcia jakiejś wysokiej funkcji

u jej boku? Niczego więcej nie pragnął.

Na razie jednak był głuchy i ślepy: nie wiedział nic o jej planach poza tym, co mógł wnioskować ze słów garbatego grajka; nie wiedział nic o zadaniach, jakie mu chciała powierzyć i czy w ogóle chciała.

Niedługo jednak pozostawał w niepewności.

Pewnego dnia zjawiała się u niego przed południem. Nie poznał jej w pierwszej chwili. Dopiero gdy zdjęła półzamknięty hełm, dostrzegł, kim jest przybysz w kolczudze i biało-zielonej tunice.

– Nigdy nie przychodzę tu za dnia – powiedziała, kładąc hełm na stole, a obok niego rulon map, które przyniosła pod pachą. – Stąd to przebranie. Podobno w Dartanie, w wielkich miastach, modne są maski i nikogo nie dziwi widok człowieka w masce. Tutaj ściągnęłabym tylko dodatkową uwagę. Na szczęście wszyscy wiedzą, że w tym domu mieszkają ludzie eskortujący towary szanownego Melara. To syn Litasa – wyjaśniła. – Oddałeś mi wielką przysługę, uwalniając mnie od starego, kiedyś ci to wyjaśnię. A może i wynagrodzę.

– Czemu służą te wszystkie środki ostrożności? – zapytał. – To miasto nie wie nawet o twoim istnieniu. Mogłabyś przecież otwarcie prowadzić swoje interesy. O ile wiem, są uczciwe?

– Do czasu. – Przekrzywiła głowę z niejakim rozbawieniem. – I pozornie. W każdej chwili mogą pojawić się kłopoty. Ci wszyscy kupcy, którymi się zasłaniam, to tarcza. Przyjmą na siebie pierwszy cios. No dobrze. – Odwróciła się do stołu, rozwinęła jedną z map i przycisnęła jej krawędź hełmem. – Chodź tu, Raładanie, czas, bym ci powiedziała to i owo. Tu jest Garra. – Zaśmiała się, gdy zrobił minę, jakby pierwszy raz usłyszał o podobnym lądzie. – A tu są Agary. Tu będzie powstanie, a tu moja wojna.

o o o

– To tyle – zakończyła, zwijając mapy.

Jej plany robiły wrażenie, musiał przyznać. Coś go jednak niepokoiło. Uznał, że może powiedzieć o tym wprost.

– Widzę dwie możliwości – rzekł w zamyśleniu. – Albo to wszystko jest prawdą... albo też częściowym kłamstwem, niecałą prawdą lub kłamstwem od początku do końca.

– Coś jest prawdą... albo kłamstwem? Też mi odkrycie. Co chcesz przez to powiedzieć? – zapytała zdumiona.

– Wierzę, że usłyszałem prawdę. Ale taką prawdę, pani, ujawnić może tylko szalencie. Chyba że uważa rozmówcę za człowieka całkowicie godnego zaufania lub ma pewność, że ten człowiek nie zdradzi, choćby nawet bardzo tego pragnął.

Patrzyła wyczekująco.

– Czy to wszystko? Teraz też nic nowego mi nie powiedziałaś – mruknęła z sarkazmem. – Ile razy chcesz usłyszeć, że ci ufam? Dałam to już chyba do zrozumienia, i bardzo wyraźnie?

Skinął głową.

– Zostawmy to. Z tego, co powiedziałaś, pani, wynika, że wyprawę do Złego Kraju planowałaś od dawna.

– Oczywiście – potwierdziła. – Z wielu powodów. Po pierwsze, miałam nadzieję, że mędrzy-Przyjęci z Grombelardu wyjaśnią mi, kim właściwie jestem. Zrobiłeś to ty. Potrzebuję jednak potwierdzenia. Ale przede wszystkim, jak słusznie zauważyłeś, nie leży w ludzkiej mocy uczynienie z Aheli fortecy w ciągu roku. Dlatego potrzebna mi jest moc nadludzka. Potrzebuję Porzuconych Przedmiotów. Niezbędny jest także ktoś, kto potrafi je właściwie wykorzystać. Nie wiem, co może skusić mędrca z Obszaru. Jeśli złoto, to je ofiaruj. Jeśli władza, to ją obiecaj. A jeśli nic, to go zmuś.

– Czy to znaczy?...

– Okręt czeka, kapitanie Raladan. Posłuchaj teraz uważnie, bo to, co powiem, będzie po części odpowiedzią na twoje pytanie, dlaczego ci zaufałam. Będę z tobą zupełnie szczerą: spadłeś mi jak z nieba. Służy mi wielu ludzi, lecz żaden nie nadaje się do pokierowania podobną wyprawą. Jeszcze tydzień temu uważałam, że będę musiała płynąć sama. Jednak tu, w Doronie, zbiegają się nitki stu spraw. Trzymam je w ręku i nie bardzo mogę wypuścić. Odkładałam tę

wyprawę z tygodnia na tydzień, z miesiąca na miesiąc. Zmarnowałam całą zimę i pół wiosny. Dłużej czekać nie mogę. Grombelard jest daleko, a w Złym Kraju, sam wiesz, czas płynie inaczej. Jutro wyruszasz, Raladanie.

Uśmiechnęła się, pokazując białe zęby.

– Wszystko, co powiedziałeś i zrobiłeś, żeby udowodnić swą szczerość – dorzuciła po chwili – ma oczywiście duże znaczenie. Musisz jednak wiedzieć, że jeszcze pół roku temu nie znalazłbyś dowodu wystarczającego, by mnie przekonać. Od tamtego czasu wiele się zmieniło, lepiej poznałam i zrozumiałam siebie. Od paru miesięcy już wiem, że ważne jest, co myślę, ale jeszcze ważniejsze, co czuję. Myślenie zawodziło mnie czasem, ale czucie nigdy, odkąd mu zawierzyłam. Czuję, że jesteś szczery wobec mnie. Co prawda chyba nie do końca. Wydaje mi się, że chcesz znaleźć w Złym Kraju coś, o czym nie powiedziałeś. Jednocześnie jednak widzę, że pragniesz spełnienia moich planów. To wystarczy. Jeśli przy tym upieczesz jakąś własną pieczeń, nie zamierzam przeszkadzać. Ale może mogłabym pomóc? Zastanów się nad tym. Jeśli twój cel w Złym Kraju mógłby stać się naszym wspólnym celem, może tylko byś na tym zyskał?

– Przyjęci – odrzekł krótko. – Chcę wiedzieć, kiedy ustąpi obłąd Ridarety. I czy w ogóle ustąpi. Może potrzebne jest jakieś lekarstwo.

– Coś jeszcze?

Pokręcił głową.

– Nie nalegam. – Wzruszyła ramionami. – Wstąpiłeś na moją służbę, ale wolno ci mieć swoje sprawy, o ile nie przeszkadzają moim. Ta chyba nie przeszkadza. Jednak bardzo mnie zaciekawia; może jestem Rubinem, ale bardziej kobietą. – Znów się uśmiechnęła. Nigdy chyba nie widział jej w tak świetnym humorze i zastanawiał się, co było owego humoru przyczyną. – Posłuchaj, Raladanie, po raz dziesiąty zaznaczam, że ci wierzę. Chcę jednak, żebyś wiedział, że do Kraju wyruszają dwie wyprawy. Muszę przecież liczyć się z tym, że z jakichś przyczyn poniesiesz klęskę. Co prawda nie bardzo wierzę, by załoga drugiego okrętu osiągnęła to, co nie uda się tobie. Tym bardziej że mają zbadać tylko obrzeża Obszaru, nakazałam im

uniknąć nadmiernego ryzyka. Posyłam ich raczej dlatego, że nie chcę, by wybuch powstania zastał którykolwiek z moich statków w Doronie. Musiałabym go oddać rebeliantom.

Patrzyła wyczekująco.

– Teraz mów, czego potrzebujesz. Statek jest gotowy do drogi. To „Seila”, myślę, że potrafisz ocenić jej zalety. Załoga kompletna. Sprawdzona i bardzo dobra.

Zmarszczył brwi.

– Muszę to przemyśleć – powiedział. – Na razie wiem tylko, że chciałbym mieć na pokładzie Davahodena i jego żołnierzy.

– To moi najlepsi ludzie – powiedziała.

– Myślałaś, że poproszę o najgorszych?

Pokazała mu język. Jej beztroski, niemal figlarny nastrój w pewnej mierze udzielił się i jemu. Czuł się wybornie, nareszcie otrzymał zadanie! Trudne, ale jasno postawione. Mógł je po prostu wykonać, bez żadnych intryg, podstępów i kłamstw. Jakże mu było potrzebne takie właśnie działanie! Z zalem pomyślał, że chętnie poświęciłby się planom tej niezwykłej dziewczyny całej i bez reszty. Imponowały mu. Był w nich rozmach, jakiego nie miał nawet Demon.

Dobry nastrój zakłócała tylko jedna niedokończona sprawa. Najważniejsza.

– Chcę jeszcze zobaczyć Ridaretę – powiedział.

– Niemożliwe – odrzekła zwięźle.

Dobry nastrój prysł.

– Dlaczego?

– Dlatego że nie wiem, gdzie jest.

Patrzył osłupiały.

– Wyznaczyłam kilku pewnych ludzi – mówiła powoli, patrząc mu w oczy. – Zabrali ją trzy dni temu. Otrzymali wszystko, co potrzebne, by ją ukryć.

– Gdzie?

– W miejscu, o którym nawet ja nie będę wiedziała. Zwłaszcza ja. Mógłbyś znaleźć sposób, żeby to ze mnie wydobyć, bo skąd mam wiedzieć, jakie cuda przywieziesz ze Złego Kraju i czego się tam nauczysz. Zabiorą ją do Armektu, do Dartanu, a może na jakąś

wyspę... Jej opiekunowie – nie powiedziała „strażnicy” – będą jej pilnować jak największego skarbu, masz moje słowo. Jeśli moje plany się powiodą, zimą wrócą z nią na Agary. Do tego czasu nie będziemy wiedzieli, gdzie jest.

– Rozliczę cię z tego – powiedział.

– Raladanie – odrzekła łagodnie – przecież sam mi ją oddałeś jako zakładniczkę. Będąc na moim miejscu, postąpiłbyś tak samo. Ponadto pozwól sobie powiedzieć, że za kilka miesięcy Garra nie będzie krajem bezpiecznym dla nikogo. Tylko pomyśl: powstanie. Miałam trzymać ją w jakiejś piwnicy całymi miesiącami? Tego chciałeś? Myśl sobie, co chcesz, ale polecając jej ukrycie, uczyniłam gest przyjaźni wobec ciebie. Wiedz, że zabrali ją ludzie naprawdę godni zaufania, nie jakieś zbiry. I nie wydałam rozkazu zabicia jej, gdyby moje plany upadły. Będzie żyła. Tyle tylko, że jeśli ja zginę, nie zobaczysz jej więcej. Zaufaj mi, Raladanie. Tak jak ja zaufałam tobie.

– Zaufałaś... – Już wiedział, skąd wzięła swój dobry humor. – Po co było tyle mówić o zaufaniu, czuciu i podobnych bzdurach? Nie mogłaś powiedzieć od razu, że po prostu trzymasz mnie za gardło?

Spojrzała z odrobiną goryczki.

– Tak to widzisz. Oczywiście, byłam głupia i jestem. Ale już nie będę. Naprawdę, sama nie wiem, skąd wzięłam pomysł, że może warto raz w życiu po prostu komuś uwierzyć.

Odwróciła się nagle.

– Oczekiwałeś – rzuciła – że padnę ci w ramiona i powiem: „Najdroższy, oto wszystkie moje plany, nie potrzebuję żadnych gwarancji, żadnej zakładniczki, rób co chcesz!”. Raladanie, czy to ja muszę udowadniać ci swą lojalność? Czego ty chcesz ode mnie? Dziwi cię i niepokoi, że ujawniam śmiało swoje plany, jednocześnie zaś żądasz, bym nie zapewniła sobie żadnych gwarancji? Powiedz, że wtedy nie miałbyś żadnych podejrzeń. No, powiedz, a cię wyśmieję. Dopiero wówczas nie spałbyś po nocach, rozważając, jaką właściwie grę prowadzę. Czy nie tak?

Znowu spojrzała mu w twarz.

– I jeszcze jedno – podjęła. – Ciągłe masz mnie za tę samą dziewczynę, którą zostawiłeś w jaskini, związaną i upokorzoną. Nie

jestem nią, Raładanie. Przed tygodniem nazwałeś po imieniu źródło mojej siły, ale nic ponadto. Potrafię posługiwać się nią od dawna. Nie muszę cię okłamywać. Gdybym nie ufała, powiedziałabym: nie ufam. Dziś już nie dałabym się związać.

Uśmiechnęła się chłodno, zabrała swój hełm i wyszła.

## ROZDZIAŁ 45



**N**igdy dotąd nie dowodził okrętem. Teraz, obserwując krzątanicę majtków, zuchów marynarzy jakich mało, poczuł, że rośnie mu serce. Dotąd nie zdawał sobie sprawy, jak bardzo chce mieć własny okręt.

Własny okręt!

„Posłuchaj” – powiedziała mu rano, na pożegnanie. „Zapomnijmy o wczorajszej rozmowie...”

Urwała na chwilę; była prawdziwie zmieszana.

„Traktuj to, jak chcesz” – rzekła wreszcie. „Jako upominek lub zachętę do wierności albo... no, jak chcesz. »Seila« jest twoja. Daję ci ją wraz z załogą; tutaj masz dokument, z którego wynika, że kupiłeś ją od kupca Melara. Załoga jest opłacona za rok z góry. Nowe żagle powinny już być na pokładzie, wybrałam oznaczenie za ciebie”.

„Dlaczego to robisz?” – zapytał, nie potrafiąc zapanować nad zdumieniem.

Przesłała mu spojrzenie tak dziwne, że jego znaczenia wolał się nie domyślać.

„Traktuj to, jak chcesz” – powtórzyła.

Teraz był na pokładzie własnego żaglowca. Własnego. Na wszystkie Smugi i Pasma Szerni, w całym swoim życiu nie stał na pokładzie piękniejszego statku!

Właściwie wszystko już zdążył sprawdzić minionego dnia wieczorem. Miał dowodzić „Seilą”, więc zajrzał w każdy kąt, był w dziobówce, w kajutach oficerskich i w ładowni, zamoczył się w zęzach. Sprawdził stan żagli i olinowania, wlaźł na każdy z masztów, żeby zaraz znowu znaleźć się pod pokładem. Obejrzał tam, obmacał i opukał niemal każdą belkę i deskę, od następki



poprzez kolumny i wręgi po węzłówki. Stan pokładu, wolnej burty, nadburcia i listew odbojowych sprawdził już wcześniej. Deski pokładu wyszorowane były niemal do białości, pyszniła się nowa lina kotwiczna...

Wlazł do łódki, kazał się obwieźć dookoła statku. Odnotował lekki trym na dziób – większość karawel lubiła takie przegłębienie.

Od pierwszego oficera pełniącego tymczasowo funkcję dowódcy okrętu dowiedział się, że „Seila”, będąca w ogóle statkiem nowym, była jesienią poddana przeglądowi, uzupełniono wtedy wyposażenie do najdrobniejszych szczegółów. Zaledwie trzy dni temu dostarczono zapasy żywności, starannie skontrolowano stan solonego mięsa, mąki, fasoli i grochu, sucharów. Raladan sprawdził raz jeszcze. Bez zastrzeżeń.

Nigdy nie widział żaglowca lepiej przygotowanego do wyjścia w morze.

W kajucie kapitańskiej znalazł komplet map morskich; przeglądając je, dostrzegł na kilku naniesione poprawki, które mówiły coś tylko jednej osobie na świecie: właśnie jemu.

Skąd wiedziała? Od Lereny?... Nie wierzył własnym oczom.

Teraz się dowiedział, że to morskie cudo jest jego własnością.

Kupiła go! Kupiła sobie pilota Raladana.

Kapitana Raladana.

Przekonywał się usilnie, że to nic innego jak tylko łapówka. Wyrachowane działanie, mające na celu przywiązanie go do niej. Cóż to? Nagle stała się chodzącą dobrocią? Chciała go podkupić i tyle.

Ale... jeśli nawet?...

Pomyślał o ukryciu Ridarety. To mogła być przyczyna. Dostał prezent, który miał złagodzić jego gniew.

Wrócił myślami do swojej, najtrudniejszej w życiu, decyzji: czy dobrze zrobił, oddając Ridarete? Był to jedyny sposób, w jaki mógł przełamać nieufność jej córki, a jednak czuł się jak zdrajca. Tym bardziej że stracił podopieczną z oczu i nie miał żadnej pewności, czy kiedykolwiek jeszcze ją zobaczy. Cóż wobec tego znaczyła jakaś „Seila”?

Jednakże Semena w gruncie rzeczy postąpiła uczciwie. Musiał rozstać się z Ridaretą tak czy owak, przewidywał przecież, że popłynie do Złego Kraju, chciał tego. Mogła pozwolić mu zobaczyć Ridaretę i dopiero po wypłynięciu odesłać ją gdzieś bez jego wiedzy.

Czy naprawdę nie wiedziała o miejscu jej pobytu? Wierzył w to. Wierzył, bo takie posunięcie miało więcej sensu, niż mogłoby się zdawać. Naprawdę zabezpieczało ją przed każdym atakiem z jego strony. Nie było po co atakować.

Wyszedł z kajuty na pokład. I znów poczuł, że ma własny żaglowiec.

Był rozdarty. Jak miał pogodzić dobro Ridarety ze szczerą służbą u jej córki? Na razie było to możliwe. Ale później? Musiałby godzić rzeczy nie do pogodzenia.

„Seila” była gotowa do drogi, ale nowy kapitan zwlekał z wydaniem rozkazu. Znów poszedł na dziób, potem na rufę. I na śródokręciu. Majtkowie widzieli, jak pogładził ręką grotmaszt i zaraz rozejrzał się dokoła, jakby sprawdzając, czy nikt tego nie dostrzegł.

Dobro Ridarety – czy dobro Raladana? Bo tym była szczerza służba u boku nowej pani. Dobrem Raladana.

Miał tylko jedno serce.

Spojrzał na zwinięte jeszcze białe żagle w błękitne pasy. Nie mógł doczekać się chwili, gdy zobaczy, jak wypełniają się wiatrem.

Musiał płynąć pod tymi żaglami, bo stare zabrano.

Zresztą... jakie to miało znaczenie?

Poszedł do kajuty. Wkrótce znowu był na nabrzeżu i odszukał człowieka, który nadzorował załadunek towarów jej godności Semeny na zacumowaną niedaleko kogę; statek, własność dalonorskiej kompanii kupieckiej, płynął chyba do Dartanu.

– Jak skończysz, oddaj to pani – powiedział, wyciągając rękę z dokumentem. – I powiedz, że misję wypełnię.

Wkrótce potem „Seila” wyszła w morze.

## ROZDZIAŁ 46



**W** głębokich piwnicach mieścił się skład win. Kiedyś. Teraz olbrzymie beczki były puste, zaś w niektórych znajdowały się przedmioty niemające nic wspólnego z trunkiem. Część barył usunięto, by starczyło miejsca dla solidnych skrzyń, których całe piramidy piętrzyły się pod ścianami. W największych spoczywały kolczugi, starannie przełożone tłustymi szmatami; znaczną liczbę tych pancerzy sprowadzono niedawno z Grombelardu, dobra setka zaś pochodziła ze skarbcza Demona Walki. Dalej, w skrzyniach krótszych nieco, ale głębszych, schowane były kirysy dla ciężkiej piechoty, jeszcze dalej tarcze, potem hełmy: kapaliny dla kuszników i piechoty ognistej, półzamknięte łebki dla toporników i otwarte dla konnych zwiadowców. Za skrzyniami, oparte o ścianę, stały włócznie, powiązane po dziesięć, o tęczowych od oliwy grotach. Wreszcie skrzynie z toporami i dalsze, kryjące kusze. A na koniec sto kozłów pod hakownice, hakownice zaś w kufrach pod nimi.

W tej niezwykłej winiarni-zbrojowni było niemal słyhać odległy, ale już wyraźny bitewny zgiełk powstania.

– Muszę przyznać, że to widok naprawdę imponujący – powiedziała kobieta skryta w cieniu podpory piwnicznego stropu. Dwa łuczywa na ścianach dawały bardzo niewiele światła; dwa następne oddalone były o dobre trzydzieści kroków.

– To kompletne uzbrojenie dla tysiąca ludzi – wyjaśnił Askar. – Uważam, szlachetny – zwrócił się do stojącego obok, odzianego w czerń mężczyzny o dość bladej, surowej twarzy – że żadne powstanie dotąd nie było tak dobrze przygotowane pod względem wojskowym.

– To okaże się wkrótce – rzekła Kahela Alida, wdowa po szlachetnym Kahelu Dogonorze; nieszczęśnica bardzo krótko się cieszyła miłością dobrego męża, biedak zmarł niedługo po ślubie.

Wychodząc z cienia, dodała:

– Ilość żelaza o niczym jeszcze nie świadczy.

– Zapewniam, pani – dobiegł głos z tyłu – że samą tylko intrygą nie da się wyzwolić Garry. Nie podzielałam twej pogardy dla oręża.

Cała trójka zwróciła się ku nowo przybyłej.

– Proszę mi przebaczyć spóźnienie.

– Pozwól, panie – rzekł Askar do mężczyzny w czerni – oto ta, która tutaj, w Doronie, jest duszą wszystkich przygotowań: jej godność Semena.

Dostojny mężczyzna chyba nie zauważył, że po tytule wymieniono tylko imię, bez inicjałów Czystej Krwi. Nie dał nic poznać po sobie.

Ubrana w wojskową tunikę kobieta weszła w krąg światła. Pod pachą trzymała hełm. Alida skrzyżowała z nią krótkie spojrzenie.

Szczerze się nie znosiły.

– Jestem Mefed Ganedorr. – Mężczyzna skłonił się lekko, nie mogąc wszakże oderwać wzroku od twarzy przybyłej; blask pochodni obramował krwawo związane w kilka węzłów ciemne włosy. – Pani, nie poczytaj tego za zuchwalstwo, moja młodość to zamierzchnia historia. Ale samo jej wspomnienie każe oddać cześć tak niewiarygodnie doskonałej urodzie. Zwróciłaś mi uczucia, które miałem za umarłe.

Uśmiechnęła się lekko.

– Moja uroda gaśnie przy urodzie pani Alidy. Pewna jestem, że za dwadzieścia lat nikomu nie będę się podobać.

Była to zwykła, ordynarna impertynencja, nawet nie maskowana. Mężczyźni poczuli się zagubieni – uczucie zwyczajne wobec kobiet rozpoczynających jedną z tych żałośnie niesmacznych bitew bez oręża. Dołożyli starań, by nie wymienić zgorszonych spojrzeń. Za to Alida wyglądała na ubawioną; nie zamierzała bynajmniej przerywać ciszy, która trwała, coraz bardziej niezręczna, zaświadczając ciężką obecnością, jak bardzo dorońska piękność zdołała się wygłupić.

Semena spłoszyła nagle, czego nie zdołał ukryć piwniczny półmrok. Dopiero wtedy blondynka przesłała jej dyskretne, przepełnione rozkoszą spojrzenie, ale tak, by nie dostrzegli go mężczyźni.

„Brawo” – mówił jej wzrok.

– Powiedziałem... – rzekł Askar, chrząknawszy. – Mówiłem...

– Oczywiście, panie – podtrzymał natychmiast tamten. – Z całą pewnością przygotowania są czynione należycie.

Podał ramię Alidzie.

– Czy tam dalej także jest oręż? – zapytał.

– Tak, panie – odrzekł Askar. – Myślę, że szkoda trudu dla podziwiania zbrojowni. Czas naszych gości jest zbyt cenny, by go trwonić. – Spojrzał na Semenę.

– Podobnie jak czas gospodarzy – zauważyła Alida. – Broń jeszcze przemówi; tymczasem sądzę, że... wybacz, pani, proszę – skinęła z uśmiechem ku Semenie – czekają na rozstrzygnięcie sprawy, w których miecze są niepotrzebne.

Tamta doszła do siebie.

– To prawda – odrzekła krótko.

– Chodźmy zatem. – Ganedorr zatarł dłonie. – Zimno tu... a ponadto takie mury nasuwają mi wspomnienia. Złe wspomnienia.

Niedługo potem znaleźli się w przestronnej izbie kilka pięter nad piwnicami. Stół pośrodku uginał się od potraw.

– Jeszcze raz proszę o wybaczenie, że kazałam na siebie czekać – powiedziała Semena. – Tym bardziej że znów chcę zniknąć. Na krótko, obiecuję. – Wskazała tunikę, którą miała na sobie, i ciężki hełm, wciąż trzymany pod pachą. – Jego godność Askar świetnie potrafi mnie zastąpić, wiem na pewno.

Dopiero trzy pokoje dalej pozwoliła sobie na grzotnięcie hełmem o ścianę.

Gdy wróciła, przebrana w szafirową suknię, drzwi były zamknięte, a służby ani śladu. Domyśliła się, że Askar zwolnił wszystkich na resztę dnia.

Otworzyła drzwi i zaraz zamknęła je za sobą. Ganedorr i Alida siedzieli przy stole; Askar ze zręcznością najbieglejszego sługi

osobiście nalewał miód do pucharów.

Usiadła naprzeciwko Alidy.

Ganedorr skosztował miodu i spojrzał po twarzach obecnych.

– A zatem – zagaił – sprawa pierwsza, ważna, choć nie najważniejsza: szlachetna Kahela Alida otrzymała potwierdzenie czasowej nominacji na stanowisko Drugiej Przedstawicielki Najwyższego Sędziego Trybunału. Nominację przekazał osobiście, w imieniu Imperatora, Książę Przedstawiciel w Doronie. Oto zresztą oficjalny powód pobytu pani Alidy tutaj – dorzucił.

Semena i Askar skinęli głowami. Trudno było wątpić, że tak właśnie się stanie. Pod rządami jego godności F.G.Nalweza Trybunał Imperialny w Dranie stał się istną ostoją sprawiedliwości. Ścigał, sądził, skazywał. Usunięto ludzi z wielu odpowiedzialnych stanowisk, wymieniając skorumpowanych na uczciwych, niepewnych na lojalnych...

– Jednakże pojawił się kłopot – mówił dalej Ganedorr. – Wraz z nominacją pani Alidy przybył z Kirlanu człowiek na stanowisko Pierwszego Przedstawiciela. To mężczyzna niezwykle rozumny. Pełni swą funkcję od niespełna tygodnia, a już zaczyna pojmować, że Nalwez to głupiec, który nigdy nie zdołałby osiągnąć dziesiątej części tych sukcesów, co osiągnął. Nim minie następny tydzień, jego godność B.A.Kiliven będzie orientował się świetnie, że to pani Alida kieruje Trybunałem, nie Nalwez.

– To jeszcze nie powód do niepokoju – zauważyła Semena. – Chyba dosyć często się zdarza, że podwładni przewyższają zwierzchników?

– Zapewne masz rację, wasza godność. Ale pani Alida podejrzewa, że Kiliven nie jest człowiekiem przypadkowym. Możliwe, że sukcesów było więcej, niż trzeba. Książę Przedstawiciel starzeje się, cesarz zaś nigdy nie miał serca do kontrolowania poczynań Trybunału. Lecz czyni to cesarzowa. To kobieta niezwykle spostrzegawcza i mądra. Nieprzerwane pasmo sukcesów w najtrudniejszej do kontrolowania prowincji mogło wzbudzić w stolicy... pewne niedowierzanie. A przecież zawieszenie Najwyższego Sędziego i Pierwszej Przedstawicielki zostało prawie

wymuszone przez Doronę; wątpliwe, by Kirlan uznał zgromadzone przeciw nim dowody za wystarczające.

– Tego się obawiam – potwierdziła Alida. – Nie proszę o radę, bo dość tu macie własnych kłopotów. Uporam się z problemem własnymi siłami. Apeluję jednak o ostrożność. Myślę, że nieprędko znów się zobaczymy, moje wyjazdy z Dranu to teraz zbyt duże ryzyko. Będę też musiała ograniczyć zakres pomocy udzielanej wam, jak i zresztą wszystkim innym naszym ośrodkom. Trzeba liczyć się... nawet z najgorszym. Jeśli moja rola stanie się jasna, większość ludzi, osadzonych przeze mnie na różnych stanowiskach, położy głowy wraz ze mną. Macie sporo takich ludzi w Doronie. Trzeba ograniczyć spotkania z nimi, najlepiej, żeby takich spotkań nie było wcale. I na koniec, jeśli jednak zostanę zdemaskowana, trzeba natychmiast być gotowym do wyrwania ogniów z łańcucha. Ludzie, którzy znają mnie i was, albo chociaż domyślają się takich powiązań, muszą wtedy zniknąć. Natychmiast.

Wymienili spojrzenia.

– Sprawa druga – rzekł Ganedorr. – Trzeba, byście przejęli kontrolę nad przygotowaniem w Bagbie. Działają tam ludzie mało energiczni.

Semena potwierdziła z pogardą.

o o o

– Co się z tobą dzieje? – zapytał Askar.

Był późny wieczór, dopiero teraz mogli pomówić w cztery oczy.

– Co się z tobą dzieje? – powtórzył. – Wiem, że nie cierpisz tej pyszałkowatej kobiety, ja również jej nie lubię. Ale czy to powód, by kompromitować się w oczach najlepiej urodzonego człowieka na tej wyspie? I to podczas pierwszego spotkania?

Prawie rzuciła się na niego.

– Znowu chcesz mi mówić, co źle, a co dobrze zrobiłam?!

Nie wycofał się. Nie tym razem.

– Mam tego dość – oświadczył spokojnie. – Jakim prawem traktujesz mnie jak niewolnika? Nie jestem niewolnikiem. Sama dopuściłaś mnie do udziału w swych planach, robię więc wszystko, żeby się powiodły. Robię to dla ciebie. Nie dla siebie. Moje ambicje są zaspokojone, jestem komendantem jednego z największych garnizonów imperium, z widokami na stanowisko głównodowodzącego Flotą Główną Garry i Wysp. Twoje powstanie nie pomaga mi w karierze. Żeby tylko nie pomagało... Zdradziłem cesarstwo i cesarza. Dla ciebie.

– Dość! – rzuciła. – Wynoś się, słyszałeś? Wynoś się stąd.

Pokręcił głową z goryczą.

– Trzeba było tak powiedzieć pół roku temu – powiedział. – Teraz jest za późno. Oczywiście dawno już przestałem wierzyć, że czujesz do mnie cokolwiek, zresztą nigdy chyba w to nie wierzyłem... Potrzebowałaś mnie, to wszystko. Kiedyś jednak zapewniałaś o czymś innym. Odkąd jednak przywiozłaś ten skarb... zmieniłaś się. Przez całą jesień szkoliłem twoich ludzi na tej przeklętej wysepce, wiesz dobrze, co jedliśmy przez ostatnie dwa tygodnie. Wróciłem i nie oczekiwałem niczego, może poza jakimś ciepłym słowem. Bo o wspólnych nocach zdążyłem już zapomnieć...

– I dobrze! – wrzasnęła. – Na wszystkie morza świata, czy uwolnisz mnie wreszcie od widoku swej twarzy?!

– Służba usłyszy – rzekł, nie pamiętając, że wszystkich odesłał.

– Niech słyszy, na wszystkie moce! Mam dosyć wszystkiego, wynoś się, mówię!

Spojrzał bacznie tknięty nagłą myślą.

– Co za dokument przyniósł ci ten człowiek? – zapytał. – Zła wiadomość? Czy ten twój statek, „Seila”, już odpłynął?

– Ooo! – zawyła, zaciskając pięści. – Po raz trzeci i ostatni: wynoś się!

Porwał leżący na stole pas z mieczem i zapiął na biodrach.

– Ale jeśli wyjdę – uprzedził, szarpnięciem zrywając pelerynę z oparcia wysokiego krzesła – to nie licz na to, że zostawię cię w spokoju, razem z twymi nieczystymi sprawami! Twoje powstanie skończy się, zanim w ogóle wybuchnie!



– Grozisz? – zapytała zdławionym szeptem. – Dobrze... – wycedziła powolutku. – Chodź ze mną.

Szybko ruszyła ku drzwiom, pchnęła je, po czym niemal pobiegła przez pokoje. Wpadła do sypialni, kopniakiem odrzuciła wieko skrzyni, wyjęła z niej pas z mieczem i potężny klucz. Pas zapięła na sukni.

Szybko zeszli do piwnic. Pojedyncza pochodnia płonęła przy schodach, pozostałe gaszono, gdy nie były potrzebne, bo w pomieszczeniu, mimo jego rozmiarów, gromadził się dym. Poprowadziła go obok skrzyń z orężem, w sam koniec lochu. Uniosła klapę w podłodze, ciągnąc za żelazny pierścień. Ukazały się strome schody.

– Dzieło mego życia – powiedziała, oddychając szybko.

Oddała mu pochodnię.

– Sam chciałeś, durniu... Ty! – cisnęła mu w twarz. – Ty byłeś największym problemem! Zmieniłam się? – Parsknęła niesamowitym śmiechem. – Zmieniłam...

Schodów nie było wiele. Króciutki korytarzyk wiódł do szerokich, masywnych drzwi. Odsunęła potężne zasuwki i otworzyła je. Za nimi były drugie. Te otworzyła kluczem. Z pomieszczenia buchnął straszliwy fetor. Przekroczyła próg i odebrała mężczyźnie pochodnię. Zatknęła ją w uchwycie na ścianie.

– No, chodź – powiedziała, dygocąc od wewnętrznego chichotu. – Chodź, chodź... Coś ci pokażę.

Nigdy w życiu nie widział czegoś równie straszego.

Na łańcuchu przyczepionym do sufitu wisiała jakaś... istota. Nogi nie sięgały ziemi, były bowiem ucięte na wysokości kolan. Światło pochodni odsłoniło szczegóły dowodzące, że łańcuch przytrzymywał kobietę. Potworna nagość ujawniała przerażające blizny po oderżniętych piersiach. Głowę pokrywały niezwykle bujne włosy, ale nie mogły zakryć wszystkiego. Kobieta miała wyłupione oczy i dziury w policzkach odsłaniające zęby. Szczątki nosa zrosły się w jakąś nieforemną bryłę.

Askar, zroszony potem, cofnął się i oparł o ścianę.

– Cóż to? – usłyszał głos z boku. – Boisz się swojej ukochanej? Ależ tak, to nie ja nią jestem... To ona!

Nie rozumiał, nie myślał.

– Bardzo mi pomogła! – Głos znów zadrżał od śmiechu. – Uwierz, mój drogi, działając odpowiednio, można znaleźć dostęp do wszystkich tajemnic, poznać wszystkie szczegóły, wiedzieć o twarzach, o imionach osób, które znać trzeba... Oczywiście sto błędów popełniłam, niektóre łatwo dało się naprawić, inne zaś... Pytałeś o Wantada, starego kapitana Wantada? Był zbyt spostrzegawczy, naprawdę.

– Nie wiem... – rzekł bezmyślnie i bez sensu. – O czym ty mówisz?

Łańcuch oplatający ramiona uwięzionej zakołysał się, gdy okaleczona głowa drgnęła. Dźwięku, jaki wydały usta, nie dało się zrozumieć.

– Nie podejdziesz? – zapytała Semena.

Szarpnięte ciało obróciło się na łańcuchu. Wskazała małe znamię na łopacie.

– Poznajesz, oblubieńcze mojej siostry?

Z kolei jednym szarpnięciem rozdarła górę sukni na sobie, ściągnęła do bioder i pokazała mu plecy.

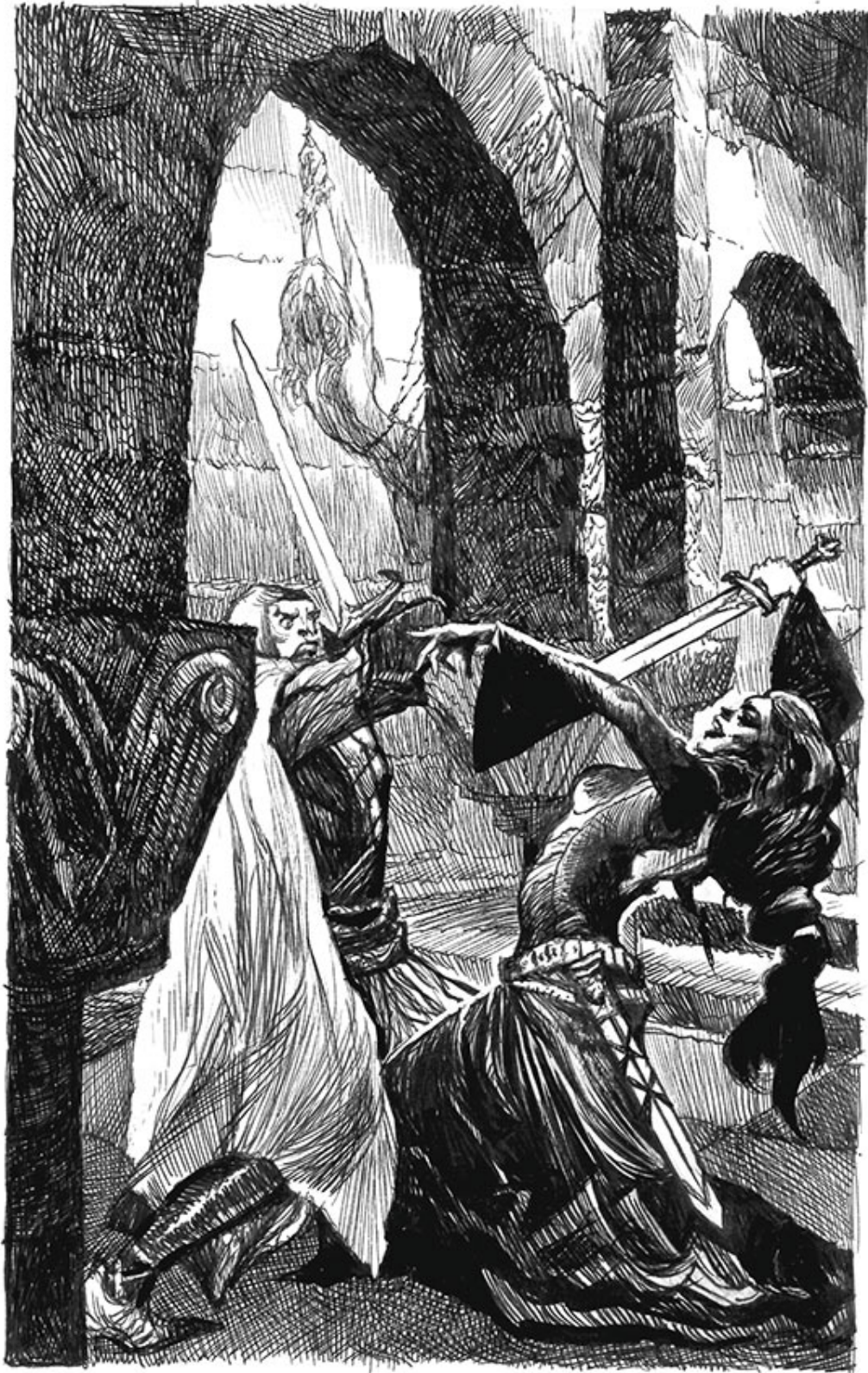
– Czy ja mam coś takiego?! – zapytała ze śmiechem, odgarniając włosy.

Wielki smok spojrział trójkątnymi ślepiami.

Askar zaniewidział na chwilę, po czym usłyszał własny, ochryply krzyk. Ramię dobyło miecza. Zasłona spowijająca głowę opadła, ujrzał błysk wrogiego ostrza i skrzyżował z nim swoje. Wściekłość, ból i nienawiść pozostały, ale szaleństwo uciekło. Oręż zderzony z innym przekazał dłoni zimno walki, dłoń i ramię zaś należały do żołnierza.

Rękojeść zadygotała mu w ręku, poznał, że ta półnaga, szczyrząca zęby wilczyca wie, co robić z mieczem. Odepchnęła go; wyzywająco, z wyrzuconym przez zwarte zęby śmiechem, puściła broń, pozwalając, by zawisa pionowo w powietrzu, po czym uchwyciła trzon rękojeści odwrotnie, kciukiem obejmując głowicę – i zaatakowała z bliska oszczędnym, płaskim cięciem.

Tak walczyli piraci z Wysp, w abordażowym tłoku, krótki miecz prowadząc blisko ciała, ukryty pod przedramieniem, to znów wiodąc głownie wierzchem, od lewej pachy. Taki sposób operowania bronią sprawdzał się w mętliku walki na noże i pięści, walki bardziej będącej zapasami, wymagał przy tym znacznej siły, ostrze bowiem chętnie uciekało ku ciału. Sparował cios. Nienawiść dusiła go. Ale nigdy dotąd nie myślał tak jasno. Wiedział, że ją zabije.



TRUST 21

Potrafiła walczyć, ale przed nim broń nie miała tajemnic. Kochał broń. Tak jak kochał dziewczynę, z której pozostał tylko strzęp ludzkiego mięsa wiszący na łańcuchu.

Otoczył kobietę z tatuażem kręgiem szybkich cięć, które wychwytywała z najwyższym trudem. Była zręczna i szybka, ale on górował siłą, a piracki sposób walki nie był wart nawet zwykłego wojskowego szkolenia. Skaleczył ją w ramię, zranił w brzuch, potem przebił gardło. Wrogi miecz upadł z brzękiem.

Objęła dłońmi szyję i ukłękła, wytrzeszczając oczy. Krew buchnęła strumieniem. Osunęła się na bok i znieruchomiała.

Oddychał ciężko, wreszcie upuścił broń. Nie potrafił spojrzeć w stronę kołyszącego się nad klepiskiem ciała.

Wreszcie to uczynił. I zapłakał.

Upadł na kolana, kryjąc twarz w dłoniach. Łzy ciekły między palcami, gdy pochylał się coraz niżej. Za chwilę miał zabić dziewczynę, którą kochał, bo nic więcej nie mógł dla niej uczynić.

Chciał ją najpierw przytulić, ale nie wiedział jak.

Z tyłu huknęły zamykane zasuwki. Poderwał się, ale już był w pułapce.

Wytatuowana kobieta, którą zabił... – bo przecież zabił! – zniknęła.

Usłyszał śmiech. Wisząca na łańcuchu nieszczęśnica wciąż potrafiła się śmiać.

## ROZDZIAŁ 47



**W** Złym Kraju czas płynął inaczej. Raladan stał na dziobie, z rękami zatkniętymi za pas, i marszczył brwi. Los mu nie sprzyjał, a wiatry były przejawem woli losu. Na początku podróży wiało od wschodu. Wiatr ze wschodu wiosną nie był niczym niezwykłym.

Niemniej „Seila” przez dwa tygodnie szła z mazołem ostrym bejdewindem, a potem na zmianę prawym i lewym halsem, gdy powiało z północnego wschodu, czyli prosto od dziobu. Załoga się nie nudziła, choć, lawirując pod wiatr, bardzo wolno zbliżali się do celu podróży. „Seila” radziła sobie świetnie, co z tego jednak?

Przeciwny wiatr był przeciwnym wiatrem.

A później wiatru zabrakło w ogóle.

Przekłęta cisza złapała ich u wschodnich wybrzeży Dartanu. Gdy się wreszcie skończyła, poszli dobrym półwiatrem, ale co z tego, skoro na Morzu Dartańskim znów dostali słabe podmuchy od dziobu?

Morze Puste, zwane niekiedy Martwym, leżące w granicach Bezimiennego Obszaru, osiągnęli późno, bardzo późno. Raladan wiedział, że czasu jest mało. Tym bardziej że w Złym Kraju czas płynął inaczej. Dużo wolniej.

– Wciąż nie widzę różnicy – powiedział Davahoden, podchodząc. – Czy to aby na pewno ten legendarny Zły Kraj, kapitanie?

Raladan spojrzał zamyślonym wzrokiem.

Dowódca kuszników okazał się dobrym towarzyszem. Nim wstąpił na służbę u Semeny, wiódł barwne życie: był żołnierzem straży morskiej, bosmanem na kupieckiej kodze, najemnikiem w służbie Wyspiarza Czystej Krwi, potem łowcą niedźwiedzi

w Dartanie i znów żołnierzem – w Grombelardzie, gdzie dochrapał się stopnia dziesiątnika. Przyznawał, że nigdzie nie wiodło mu się lepiej, jak pod rozkazami jej godności Semeny, sarkał jednak trochę na zbytnie – jego zdaniem – rozpieszczanie żołnierzy.

„Jej godność chce chyba, by żołnierze ją kochali” – rzekł kiedyś Raladanowi przy kubku gorzałki. „Widzę, panie, jakim jesteś kapitanem, dlatego powiem śmiało: żołnierz musi uszanować zwierzchnika i nic więcej. Kocha się wino i wódkę. A i to lepiej z umiarem”.

Ta uwaga przypomniała kapitanowi „Seili” Lerenę i jej rozwydrzoną załogę. Czyż Davahoden nie potwierdzał tego, co on sam mówił kiedyś? Nigdy jednak nie sądził, że obie bliźniaczki tak samo zabiegają o względy podwładnych. Okazywało się oto, że różnice między nimi były mniejsze, niż sądził.

Tak, podobne miały nie tylko twarze. Czemu jednak zawsze wołał Lerenę?...

Z Davahodenem zgadzali się w wielu sprawach, Raladan odkrył w nim bratnią naturę. Różnili się najbardziej tym, że on sam życie trwale związał z morzem, wykorzystując swój dar rozumienia słonych wód. Davahoden takiego daru nie miał, szukał więc miejsca dla siebie w różnym działaniu i na różnych polach. Łączyła ich jednak wspólna nienawiść do trwania w bezruchu.

– Nie widzę tu celu dla swych bełtów. – Gruby Wyspiarz oparł się o nadburcie. – Chyba pora przybić gdzieś do brzegu.

Raladan skinął głową, po raz kolejny konstatuując, że kusznik sporo się w życiu nauczył: jego mowa brzmiała daleko czyściej niż u większości ludzi urodzonych na Wyspach, rzadko wtrącał wyrazy gwarowe, a zdania budował na garyjski sposób. Ponadto znał trochę dartański i znośnie radził sobie z grombelardzkim, o kinenie nie wspominając (bez znajomości kinenu nie mógłby zostać funkcyjnym w imperialnych legiach).

Kapitan „Seili” znał tylko garyjski i kinen. Nigdy nie miał ucha do języków. Zauważył jednak, że w rozmowach z Ridaretą i jej córkami używa innych słów niż w rozmowach z marynarzami. Garyjska „księżniczka”, nawet jeśli wypędzono ją z domu, odebrała wcześniej

staranne wychowanie. Niechcący przejmował jej sposób mówienia, i to nie tylko słownictwo, bo – co gorsza – akcenty. Raz i drugi spojrzano z ukosa, gdy w obskurnej knajpie „udawał szlachetnego”...

– Może przybijemy, jeśli będzie trzeba – powiedział. – Ale tylko do wysp, blisko Czarnego Wybrzeża. To wprost przed nami. Wolę dotrzeć tam wodą niż lądem. Nawet jeśli ta woda to Morze Puste.

Kusznik popatrzył bacznie.

– Mówiłeś, kapitanie, że byłeś już kiedyś tutaj. Wiesz, co robić. Ale myślę, że skoro przyplłynęliśmy tu po Porzucone Przedmioty, to nie znajdziemy ich w wodzie.

– Nie?

– No, nie wiem... Chyba nie.

– A ja ci mówię, że znajdziemy. Oczywiście nie w samej wodzie. Ale właśnie na wysepkach, o których mówiłem. Tylko ludzie, którzy nigdy w Kraju nie byli, sądzą, że Przedmioty są wyłącznie na Czarnym Wybrzeżu. Tymczasem niektóre z tych wysepek przypominają skarbcce. Oczywiście skarbcce strzeżone.

Wyspiarz uniósł brwi.

– Przez strażniczki – uzupełnił tajemniczo Raladan.

– Kobiety?

– Nie, przyjacielu... Chciałbyś. Przez syreny.

Davahoden spojrział z niedowierzaniem.

– To nie bajki? Myślałem...

– Myślałeś jak każdy, kto tu nie był. Dziwna sprawa z tym czasem, mówi każdy, bo pływa się po Kraju trzy dni, a gdy go opuścić, okazuje się, że minął prawie miesiąc. Ale jakieś tam syreny czy ślepe nietoperze? A tymczasem, przyjacielu, to miejsce nie bez powodu nazwano Złym Krajem.

– Kilka razy wspomniałeś, kapitanie, żeś tu był – mruknął kusznik.

– Zawsze półgębkiem. Ja też nie lubię strzępić języka bez powodu. Ale może warto, byśmy usłyszeli wreszcie parę słów? Chcę wiedzieć, czego moi żołnierze mają się spodziewać. To nie zaszkodzi. Podobno tu się umiera.

Raladan skwitował wymówkę skinieniem głowy. Obejrzał się na pokładową wachtę: uznał, że wszystko w porządku, po czym oparł



łokcie o nadburcie, tak jak kusznik.

– Zanedbałem – przyznał. – Rzeczywiście nie lubię dużo gadać, gdy nie muszę. Ale jesteśmy w Złym Kraju, prawda. Słuchaj, Davahoden, i przekaz innym.

Przez chwilę zbierał myśli.

– Ładne parę lat temu – podjął – dwustu trzydziestu zuchów na najlepszym okręcie wszystkich mórz zapuściło się tutaj. Wróciliśmy bogaci. Ale wróciło nas czterdziestu kilku. Resztę spalił wiatr, zabiły fale z kamienia, utopili się w świetle albo zmiażdżyły ich cienie. No to wiesz już o Złym Kraju prawie tyle co ja.

Wyspiarz patrzył niepewnie.

– Czego się spodziewałeś? – zapytał Raladan, przepatrując widnokrąg. – Smoków? Żywych szkieletów? To właśnie są bajki. Połowa twoich żołnierzy, spośród tych, co wrócą, będzie rozpowiadać, że takie cuda tu były. No bo co powiedzą? Że jak dwaj położyli się w cieniu, to została z nich rozbryźnięta, śmierdząca kałuża? Co drugi przysięgnie potem, że widział olbrzyma, zupełnie niewidzialnego, który ich rozdeptał. Uwierz mi, przyjacielu, że ze wszystkiego, co nas tu wtedy zabijało, okaleczało, porywało i doprowadzało do obłędu, umiem nazwać i od biedy pojąć ledwie parę rzeczy. Na Czarnym Wybrzeżu opadły nas olbrzymie nietoperze, które mało działy, chociaż wszędzie było ich pełno. Strasznie wyglądają, ale jak przyłożysz się mieczem albo wycelujesz z kuszy, to zabijesz. Nasz bosman zadusił jednego. Gorsza sprawa z rogatym wilkiem, chyba większym od krowy. A najgorsza właśnie z syrenami. Mają ogony i płetwy, żebyś wiedział. Mają też wszystko inne, co musi mieć ryba. Bardzo piękna ryba, to prawda, żółta, czerwona i zielono-czarna. Wielka jak rekin. A śpiewa najcudniejszym kobiecym głosem, jaki w życiu słyszałeś. Trudno powiedzieć, dlaczego to właściwie jest głos, na dodatek kobiecy... Tak myślisz i tak to czujesz. Ale jeśli posłuchasz dobrą chwilę, toś trup. Ludzie rzygali krwią na moich oczach, skakali do morza albo przebijali się mieczami, bo tego, co robi ten śpiew, nie zrobią ci nawet w lochach Trybunału. Umierasz z bólu, czując, jak w środku wszystko pęka, serce, płuca i flaki... Zatkanie uszu wcale nie pomaga.

Dlatego właśnie mówię, że nie wiadomo, dlaczego to jest głos. Bo do słuchania uszy są niepotrzebne.

Raladan zamilkł, marszcząc brwi. Davahoden pokręcił głową.

– Jak się bronić? – zapytał.

Kapitan wskazał morze. Kuznik podążył spojrzeniem, zatrzymując je dobre pół mili od statku.

– Co to jest?

Czarne kształty wynurzały się, to znów znikwały pod falami.

– To są?...

– Orki – potwierdził Raladan. – Jak się bronić? One cię obronią. Jeśli zdążą. Wtedy też za nami płynęły. Nie wiem czemu. Trzeba tylko wytrzymać – dorzucił po chwili, pozdrawiając dłonią, chyba odruchowo, czarne grzbiety. – A wytrzymać wcale nie jest łatwo. Widziałem twardych, dzielnych chłopców, którzy nie wytrzymali. Zresztą nie wystarczy tylko zaciśnięcie zębów. Na jednych działa to szybciej, na innych wolniej. Byli tacy, co rzygali krwią już po krótkiej chwili, a inni doczekali. Stado orek, takie duże jak to, wymordowało syreny i zostało nas półtorej setki. Ale wielu jeszcze skonało. Bez obaw – dorzucił z lekko kpiącym uśmiechem – jeszcze nie czas. Zdaje mi się, że syreny są tylko przy wyspach.

– Może lepiej ominąć wyspy? – Davahoden nie taił niechęci do syren.

Raladan milczał.

– Na jednej z tych wysp – powiedział w końcu – widzieliśmy wtedy warownię. Właściwie wieżę. Myślę, że to dom Przyjętego. No bo czyj? Orki ciągle płyną za nami. Jeśli nas nie porzucą, przybijemy do tej wyspy. To najbezpieczniejsze z tego, co można zrobić.

– Nie rozumiem, kapitanie.

Raladan uczynił niejasny gest ręką.

– Śpiew syren jest zabójczy, ale – wskazał stado – mamy na to sposób. Jeśli jednak przyjdzie szukać Przedmiotów i Przyjętych na Czarnym Wybrzeżu, to nie wiem, co nas tam czeka. I orki nam nie pomogą.

Wyprostował się.

– Wtedy, na Czarnym Wybrzeżu – powiedział – pół mili od brzegu powiew wiatru spalił dziesięciu ludzi płynących szalupą w górę rzeki. Masz może na to sposób? Dlatego – zakończył, nie otrzymawszy odpowiedzi – wybieram niebezpieczeństwo duże, ale znane.

o o o

Powstanie miało wybuchnąć dwa, trzy tygodnie przed jesiennymi sztormami. Teraz był koniec wiosny. Ale łatwo dało się obliczyć, że chcąc zdążyć przed jesienią, choćby prosto na Agary, „Seila” nie może pozostać w Złym Kraju dłużej niż dziesięć dni.

Minęły już dwa. Raladan nie obawiał się, że wróci z pustymi rękami. Porzucone Przedmioty w jakiś sposób „lubiły” być znajdowane, leżały w najbardziej oczywistych miejscach. Gorzej wyglądała rzecz z Przyjętym. Kapitan nie bardzo chciał wierzyć, że legendarny lah’agar – człowiek usynowiony przez Szerń – połakomił się na złoto Riolaty. Ci ludzie nie pożąдали bogactwa; gdyby tylko zechcieli, mogliby wznosić całe domy ze srebra. Zły Kraj nie był dla nich miejscem groźnym, każdy Przyjęty mógł nazbierać sobie Przedmiotów, jakby to były grzyby, i wynieść je do Dartanu, gdzie za najzwyczajniejszy Listek Szczęścia płacono nieźle pieniądze.

W Morskiej Prowincji o Złym Kraju, mędracach-magach i Porzuconych Przedmiotach wiedziano niewiele, a to, co wiedziano, rzadko pokrywało się z prawdą. Raladan zdawał sobie sprawę, że jego wiedza o czyhających tam niebezpieczeństwach jest bardzo powierzchowna; zgodnie z tym, co powiedział dowódca kuszników, rozumiał niewiele, choć może i widział niejedno. Żałował, że nie ma więcej czasu. Mógłby udać się najpierw do Grombelardu, gdzie o Złym Kraju wiedziano tyle, co na Wyspach o Morzu Zwartym. Służąc pod Rapisem, poznał swego czasu człowieka, który w górach Grombelardu był tym, czym Demon Walki na morzach. Basergor-Kragdob, król Ciężkich Gór i górskich rozbójników.

Raladan przypomniał sobie tego olbrzymiego, potężniejszego nawet od Rapisa mężczyznę z jasną, równo przyciętą brodą. Spotkali się z Demonem w Londzie, grombelardzkim porcie u bram Wód Środkowych. Raladan przypomniał sobie, że jego kapitan rozumiał jasnowłosego herszta zbójców niemal w pół słowa – i na odwrót. Byli prawie jak bracia, ludzie o tej samej naturze...

Widzieli się tylko przez cztery dni. Kragdob, w Londzie właśnie, spadł im jak z nieba, proponując wspólną rozprawę z morskim konwojem, wiozącym kolczugi, miecze i hełmy do armektańskiej Rapy. Rozbójnik i jego podkomendni weszli na pokład „Węza”, a potem wzięli udział w walce z żołnierzami. Ci ludzie pierwszy raz bili się na morzu... a nawet teraz, po tylu latach, Raladan musiał przyznać, że nie widział nigdy doskonalszych kuszników i takiego rębajły jak wódz górali! Ramię w ramię z Rapisem bawili się, jeden dwoma mieczami, drugi toporem. Ze sto razy chciał potem Demon płynąć do Grombelardu, choćby po to tylko, by znów zobaczyć człowieka, który przez cztery dni był mu bratem. Surowy pirat, gardzący sentymentami, nigdy nie krył swej słabości do olbrzymiego górala.

Zresztą – rzecz niezwykła – bardzo wiele przyjaźni zawiązało się wtedy. „Wąż Morski” często sprzymierzał się przeciw z innymi pirackimi żaglowcami: kilka razy z „Kaszalotem” Brorroka, raz i drugi z „Północą” Alagery... Po zakończeniu zadania płynęli każdy w swoją stronę, bo też łączyło ich niewiele więcej niż właśnie owo zadanie. Tymczasem zdumiewające przyjaźnie żeglarzy z góralami przetrwały lata; bardziej gadatliwy od Rapisa Ehaden wielokrotnie wspominał Delena, młodego mistrza miecza z Grombelardu. A już chyba najdziwniejsza była sympatia żywiona przez pilota Raladana do zastępcy Kragdoba, sympatia zresztą wyraźnie odwzajemniana. Może u jej korzeni leżało to, że obaj byli przewodnikami: jeden po morzach, drugi – po górach.

Kot magnat, L.S.I.Rbit.

Raladan znał koty już wcześniej, widywał je w niektórych armektańskich portach, ale dopiero w Londzie ujrzał gadba: grombelardzkie koty olbrzymy.

Rbit był wielki nawet wśród gadba. Raladan zaczął wtedy wierzyć w zasłyszaną historię o oddziale Gwardii Grombelardzkiej złożonym wyłącznie z kotów. „Mordercy z Rahgaru” mogli być postrachem rozbójniczych band, mniejszych i gorzej zorganizowanych niż grupa Basergora-Kragdoba.

Raladan nigdy się nie zastanawiał, jak właściwie wyglądało współistnienie dwóch rozumnych gatunków. Nigdy ten problem go nie dotyczył. Jednakże w Londzie ujrzał kotów dziesiątki, jeśli zgoła nie setki. Spostrzegł, że były czymś zwyczajnym. Różniły się między sobą tak, jak różnią się ludzie. Poza barwą sierści drobne różnice w wyglądzie umykały mu oczywiście, dowiedział się jednak, że z drugiej strony wygląda to bardzo podobnie – rzadko przebywający pośród danej grupy ludzi kot łatwo dostrzegał różnice wzrostu, barwę włosów, jednak rysów twarzy musiał po prostu się uczyć.

Różnice nie dotyczyły oczywiście tylko wyglądu. Koty włóczyły się po porcie wraz z różnymi bandami rzezimieszków, lecz były i takie, które pracowały wespół z ludźmi. Niektóre zajęcia były w Londzie nieformalnie zastrzeżone dla kotów. Kupcy chętnie płacili im za pilnowanie towaru. Wszelkiego rodzaju kurierami, posłańcami i gońcami były zwykle koty. Legia Grombelardzka dawała kociemu zwiadowcy żołd dziesiątnika, zaś koci patrol na ulicach miasta, szczególnie w nocy, był niezastąpiony, pojawiając się wszędzie, gdzie było to potrzebne, jak wyczarowany z ciemności.

Najchętniej jednak czworonożni rozumni imali się zajęć dorywczych. Jedząc pięć razy mniej niż ludzie, nie gustując w przedmiotach zbytku, nie pojmując idei ubiorów ani stałych mieszkań, mogły sobie koty pozwolić na życie z drobnych, płatnych zleceń: przekaz wiadomość; sprawdź, czy statek zawinął do portu; odszukaj tego to a tego człowieka... Widok zażywnego mieszczanina, stojącego na progu domu i ryczącego wzdłuż ulicy: „Zlecenie!”, nikogo w Londzie nie dziwił. Zaraz zresztą pojawiała się jakaś nieduża, kosmata sylwetka – i dobijano targu; zarobiony grosz znikał w płaskiej kociej sakiewce przyczepionej pod brzuchem.

Nigdy jednak nikt nie widział kota w straży morskiej ani na kupieckim żaglowcu, zresztą nawet Rbit nie wszedł na pokład „Węza

Morskiego”, dając do zrozumienia, że uważa to miejsce za najgłupsze ze wszystkich, w jakich mógłby się znaleźć. Wielka szkoda, bo akurat Raladan łatwo mógł sobie wyobrazić pożytek z takiego „majtka” na oku, zwłaszcza w nocy. A w ładowni, gdzie między skrzyniami człowiek czasem nie mógł się precyzyjnie przemieszczać?... Kot żeglarz byłby niezastąpiony.

Co najbardziej Raladana zdumiało, to autorytet, jakim Rbit cieszył się u ludzi Kragdoba. Był niekwestionowanym zastępcą dowódcy, krótkie słowo kończyło każdy spór, rozstrzygało wszelkie wątpliwości. Zresztą sam wódz rozbójników bardzo liczył się ze zdaniem kocura. Łączyły ich wyraźnie widoczne przyjaźń i zażyłość, jakie trudno spotkać między dwojgiem ludzi.

Wszystkie te wspomnienia nasunęły się Raladanowi po rozmowie z Davahodenem. Bo wspomniawszy mimochodem, że warto by tutaj, w Złym Kraju, mieć takich ludzi jak górale, których spotkał w Londzie przed laty. Wymienił nazwisko: Basergor-Kragdob i zdziwił się, ujrawszy wyraz twarzy kusznika.

„Wiesz przecież, panie, że służyłem w Legii Grombelardzkiej” – rzekł wtedy Davahoden. „To nazwisko jest tam znane każdemu żołnierzowi lepiej niż nazwisko dowódcy jego garnizonu. Od pewnego czasu nikt nie widział tego człowieka, nie wiadomo, co się z nim stało. Ale mówi się, że trząśnięciem całego Grombelardu, miał dostęp do tajemnic, o jakich mało komu się śniło. Powiadają, że poprzedni Książę Przedstawiciel w Grombie stale czuł na gardle jego palce, stąd mnóstwo niezrozumiałych zarządzeń, wyglądających dzisiaj jak spis rozbójniczych przywilejów. Na Szerń, gdybym spotkał kiedyś tego człowieka legendę, od razu uciekłbym z legii, idąc za nim wszędzie, o ile, rzecz jasna, by mnie wziął... Czy wiesz, panie, co znaczy Basergor-Kragdob? Tyle tylko co: władca Ciężkich Gór”.

„Co znaczy zatem Basergor-Kobal?” – zapytał Raladan. „Może wiesz i to?”.

„L.S.I.Rbit!” Kusznik pokręcił głową zdumiony. „Więc znasz i jego? Kapitanie, urosłeś w moich oczach! Ten kot to książę gór, to właśnie znaczy jego miano. Najdziwniejsza i chyba najbardziej tajemnicza

istota Szereru, ród L.S.I. kierował ponoć słynnym Kocim Powstaniem. To najlepiej urodzony kocur, jakiego zna imperium, sam cesarz po zwycięstwie powstania nadał jego przodkom przywileje Czystej Krwi. Ten kocur ma przed imieniem monogramy przodków, jakimi niewielu ludzi może się poszczycić. Sahja! Kocia wojownicza. Patrz na mnie, panie: prosty kusznik wie, jakie imię się kryje za drugim inicjałem Basergora-Kobala!... Tamtych dwóch nie pamiętam, ale kto zna pełne imiona czyichkolwiek przodków? Chyba tylko Imperatora. Dartan, tak wrażliwy na tytuły i rangę urodzenia, dałby temu kotu stanowisko u boku Przedstawiciela”.

Zamilkli obaj. Zaraz przyszedł ktoś z jakąś sprawą, a jeszcze później brakło okazji do podjęcia tematu.

Jednakże to, co powiedział Davahoden, kazało Raladanowi jeszcze bardziej żałować, że los już nigdy nie pozwolił „Wężowi Morskiemu” na zawinięcie do Londu.

Tak czy inaczej, pomijając nawet zniknięcie Kragdoba, o którym mówił kusznik, teraz nie miałoby czasu na szukanie kogokolwiek w Grombelardzie. Wtedy, przed laty, doszło do niezwykłego zbiegu okoliczności: człowiek, do którego zgłosili się w Londzie, polecony Rapisowi przez starego Brorroka, był zarazem wywiadowcą Króla Gór...

Teraz Raladan musiał liczyć tylko na siebie, a jego największym problemem były wcale nie losy górskich rozbójników, lecz znalezienie Kuli Ferenu. Nie było żadnej pewności, że znajdzie ten Przedmiot w tak krótkim czasie, jakim dysponował.

I nie miałby cienia nadziei, gdyby nie pierwsza wyprawa, o której opowiadał dowódcy swoich żołnierzy. Od razu, bo już w izdebce garbatego grajka pomyślał o jedynej szansie – a była nią domniemana sadyba mędrca Szerni. Gdyby znalazł któregoś z tych legendarnych magów...

„Znajdę” – obiecał, wybiegając myślą ku dziewczynie, którą musiał oddać we wrogie ręce, a która znaczyła dlań więcej niż cokolwiek na świecie. „Znajdę, Ridareto, bądź pewna i zaufaj mi. Przebacz, że musiałem zostawić cię bez opieki. Ale nie na zawsze. Ty to wiesz”.

## ROZDZIAŁ 48



**T**a, do której kierował swoje zapewnienia, była znacznie bliżej, niż sądził. W Rollaynie, stolicy Dartanu, sto pięćdziesiąt mil od brzegów Morza Dartańskiego.

Największe, najpiękniejsze, najbogatsze miasto Szereru było jednocześnie miejscem niezmiernie zepsutym. Człowiek nigdzie nie znaczył mniej niż w Rollaynie. Tu wagę miały nazwiska, tytuły, pałace i pieniądze. Wokół dworu Księcia Przedstawiciela krążyły wszystkie inne dwory, wokół tych z kolei – Domy świetnych rodzin. Pławiono się w zbytku i bogactwie, handlując powszechnie tym, co w Rollaynie miało jakąś wartość: mężczyźni sprzedawali rodowe monogramy, biorąc za nie urodę kobiet; kobiety sprzedawały urodę za pałace; pałace oddawano za tytuły, te zaś za złoto. Cały Dartan pracował na łśnienie tego miasta; właściciele wsi rozrzuconych po całej prowincji najwspanialsze swe rezydencje mieli właśnie w Rollaynie.

Przybywali tu ludzie ze wszystkich krain Szereru. Mistrzowie miecza na turnieje; kupcy z towarem osiagającym tu ceny niesłychane; rozmaici nowobogaccy pragnący zbliżyć się do wielkich tego świata; najemnicy szukający okazji, by wstąpić do Gwardii Dartańskiej – najbardziej rozpróżnianej, najpiękniejszej i najlepiej opłacanej formacji imperium; wreszcie prostytutki i złodzieje.

W takim mieście znalazła się Ridareta. Nie przypadkiem.

Jej niezwykła uroda, połączona z widocznym kalectwem, nawet tu zwracała uwagę; mniej przecież niż w jakimkolwiek innym zakątku Wiecznego Cesarstwa. Pięknych kobiet w Rollaynie było dużo; nie bez powodu Dartanki słynęły z urody (choć także, niestety,



z przykrego usposobienia). Również obłęd dziewczyny nikogo specjalnie nie obchodził – trudno było czerpać z niego pieniędzy lub użyć do czegokolwiek.

Przedmieście dartańskiej stolicy nie miało nic wspólnego z przedmieściem takiej garyjskiej Dorony albo Bagby, nie mówiąc już o Dranie. Któż tu mógł dociekać, czy jednooka piękność to magnatka, która uciekła z kochankiem? Takich magnatek przedmieście widziało dziesięć każdej nocy. Gdzieś przecież musiały zdobywać stanowiska dla mężów. Miały może to robić we własnych komnatach?

Kupiec, właściciel domu, w którym Ridareta i jej opiekunowie zajęli całe piętro, nie miał wcale ochoty pytać o cokolwiek. Ot, kolejni przybysze chcący znaleźć szczęście w Rollaynie. Wziął pieniądze za pół roku z góry, a nie policzył tanio. Bardzo tych pieniędzy potrzebował, interesy zimą poszły gorzej.

Ridareta rzadko opuszczała swój pokój. Nie z powodu zakazu. Jej córka powiedziała Raladanowi prawdę: trzech mężczyzn bardziej byli opiekunami niżli strażnikami zakładniczki. Zawsze towarzyszył jej któryś, poza tym jednak niewola była bardzo łagodna. Dartańskim obyczajem mogła wygrzewać się na słońcu, korzystając z małego tarasu na dachu domu – w ciasnocie przeludnionej Rollayny mieszkańcy wykorzystywali każde wolne miejsce.

Ridareta nie opuszczała pokoju, bo wolała patrzeć w zwierciadło.

Była znowu piękniejsza. Ale też bez reszty już obłąkana.

Nie przemówiła od miesiąca. Czasem tylko szeptała coś swemu odbiciu w kryształowej tafli. Gdy nie patrzyła w lustro, leżała w łóżku, a jeszcze częściej na podłodze, gapiąc się na ścianę albo sufit.

Był to jednak spokój zwodniczy. W środku bowiem trwała wojna. Przegrana i mająca się ku końcowi.

Trzech mężczyzn, wiodący żywot zaiste próżniaczy, nie mogli o tym wiedzieć.

Dawno już przestali zwracać uwagę na swą podopieczną, która nic właściwie nie robiła. Dbali tylko, by nie zbywało jej na niczym. Przed wyjazdem z Dorony tak właśnie im przykazano.

o o o

Semena uniosła głowę, odwracając ją nieco w bok. Zwierciadło nie chciało zmienić zdania i mówiło to, co zawsze: blizna od sztychu miecza nadal była widoczna, choć minęły już trzy miesiące. Dobrze zagojona, ledwie dostrzegalna – była jednak i nie chciała zniknąć.

Dotknęła dłonią szyi i przygryzła wargę.

o o o

Wtedy, zatrzasnąwszy olbrzymie zasuwę, nie myślała o takich głupstwach. W rozdartym gardle mimo bólu rzeźił chlustający krwią śmiech. Wiedziała tylko jedno: ten człowiek umrze. Z głodu, pragnienia, a może z braku powietrza.

Przyciskając rękę do rany, zataczając się, weszła po schodach i z hukiem opuściła wielką klapę. Krew lała się na posadzkę. Trzeba będzie tu wrócić i posprzątać.

Z głodu... Po raz drugi chlusnęła krwawym śmiechem. Z głodu chyba nie. Zostawiła mu dość mięsa pod sufitem.

Osląbiona oparła się o ścianę i zsunęła po niej plecami. Taka rana nie była groźna. Ale kosztowała dużo bólu i nie zniknęła natychmiast.

Oddarła od sukni dość długi pas materiału, owinęła wokół szyi. Dlaczego nie miałyby pomóc swemu ciału? Zamknęła oczy i siedziała bez ruchu.

Taka rana nie była groźna... Sprawdziła. Odcinane członki umierały, jednak wszelkie inne skaleczenia czy zranienia goiły się szybko. W najgorszym wypadku trwało to parę dni. Wtedy gdy cios trafił w serce. Myślała nawet przez jakiś czas, że jej siostrzyczka skonała. Ale nie. Przytomność wróciła, choć trochę to trwało. Tylko ból, zdaje się, był niezwykle silny. Próbowwała trzy razy, zawsze z podobnym skutkiem: najpierw utrata przytomności, potem spazmy bólu i wyzdrowienie. Całkowite. Za każdym razem szybsze niż poprzednio.

Cokolwiek w nich siedziało – uczyło się. Teraz już wiedziała, że to Rubin.

Nie ważyła się tylko na uszkodzenie mózgu. Za duże ryzyko. Riolata ciągle była jej potrzebna, w żadnym razie nie mogła umrzeć.

To nie miało końca. Wciąż, jak wyczarowani, pojawiali się ludzie, których znać powinna, a nie знаła. Radziła sobie różnie: czasem dobrze, czasem całkiem źle. Nikt jednak nie odkrył prawdy. Była w tym ogromna zasługa Raladana... Poszukując Ridarety, zabił w Doronie niemal wszystkich tych, którzy znali ją naprawdę dobrze.

Poza kapitanem Wantadem i tym tutaj... Askarem.

Wantad musiał wiedzieć, że Riolata ma bliźniaczą siostrę. Na szczęście nie potrafił zamaskować swych podejrzeń. Zdołała go usunąć jeszcze na pokładzie „Seili”, zanim dotarli do Dorony. Próbował dostać się do zmasakrowanej, zakneblowanej kobiety w ładowni. Zniknięcie kapitana okrętu było dla załogi nie lada zagadką. Ale założono nieszczęśliwy wypadek. Starzec mógł zasłać.

Askara wrzucić do morza nie mogła. Na pokładzie „Seili” prawie nie wychodziła z kajuty, tak było najprościej. Tu, w Doronie, czekało sto spraw, przed którymi nie mogła się schować. Znała je z grubsza, miała dość czasu w skarbcu-jaskini, by wydobyć z Rioly niejedno. Ale o Askarze nie wiedziała.

Na co liczyła Riolata? Że ten człowiek ją zdemaskuje? Przeliczyła się. Ale brakowało niewiele. Raz i drugi chciała już rzucić tę zabawę, brać skarb i wszystko, co wziąć można, zostawić Doronę, powstanie, Agary...

Stawka jednak była zbyt duża. A siostra okazała się wspaniałą sojuszniczką – miała niską odporność na ból.

Wkrótce jednak wyszło na jaw, że ten ból nie odebrał jej zdolności myślenia. Łańcuch nie wystarczył. Tę wyjątkową moc miały przecież obie. Uczyła się jej używać, prawie na oślep, próbując, próbując, próbując... Ale próbowała i tamta.

Słowo potrafiło przywołać jakąś część siły Ciemnych Pasm. Z tym nie było kłopotu, po prostu odcięła Rioly koniuszek języka i wycięła dziury w policzkach. Ledwo zrozumiały, świszczący bełkot

niewiele mógł sprawić. Ale potem okazało się, że silniejsze od gestów i słów są spojrzenia.

Omali nie przyplącała tej wiedzy życiem. Gdyby Riolata poczekała jeszcze trochę, rozwinęła umiejętności w odosobnieniu swej celi... Pospieszyła się jednak. A i tak moc czerwonych źrenic omali nie urwała jej głowy.

Wylizała się jakoś.

Wylizę się i teraz.

Wciąż siedząc pod ścianą, dotknęła dłonią szmat okręconych wokół szyi. Były lepkie i mokre.

Wściekłość minęła. Rozumiała już, że popełniła wielki błąd. Askar był potrzebny. Nie tylko jej. Organizatorzy rebelii wiązali wielkie nadzieje z dowódcą dorońskiego garnizonu, żołnierzem z krwi i kości i najlepszym dowódcą, jakiego mieli. Ciężko będzie wytłumaczyć jego zniknięcie, należało liczyć się z dociekliwością Ganedorra, Alidy i całej tej reszty z Dranu. Oczywiście nikt jej nie będzie podejrzewał, ale samo zainteresowanie sprawą stanie się niezwykle kłopotliwe.

Nie żałowała jednak. Nie umiała dłużej znieść obecności tego człowieka, roszczonego sobie do niej jakieś... prawa. Prawa takie mógł mieć tylko jeden mężczyzna.

Ale ten mężczyzna odesłał jej właśnie akt własności „Seili”. Dar płynący z serca. Nigdy dotąd nikomu... niczego w ten sposób nie dała. Może kiedyś, gdy była dzieckiem.

o o o

Wynurzając się ze wspomnień, Lerena jeszcze raz zagryzła usta. Wróciła spojrzeniem do odbicia w lustrze. Była piękna. Tylko ta blizna... Na szczęście słabo widoczna.

– Dlaczego mnie nie chcesz, Raladanie? – zapytała z wyrzutem. – Znajdziesz gdzieś piękniejszą? I wierniejszą?

Musnęła palcem gładką tafelę i zwierciadło pękło.

Pękło także zwierciadło Ridarety. Rozbiła je pięścią.

Drzwi otwały się i z sąsiedniej izby weszli dwaj mężczyźni. Obrzuciła ich spojrzeniem. Zakrywająca wybite oko opaska była ciemnozielona jak suknia i przetykana srebrem.

Uwielbiała srebro. Srebrne bransolety, zausznice, pierścienie i naszyjniki. Kiedyś, gdy dowodziła „Wężem Morskim”, miała na sobie srebro, dużo srebra.

Pokazała dłoń.

– Skaleczyłam się – wyjaśniła spokojnie. – Nic się nie stało.

Mężczyźni wymienili spojrzenia. Były to pierwsze słowa, jakie wyrzekła od wielu tygodni.

– Przemineło... – odparła, przekrzywiając lekko głowę.

Można było odnieść wrażenie, że śledzi ich myśli.

– I nie wróci.

Wstała nagle. Cofnęli się odruchowo.

– Wasza godność... – rzekł jeden.

– Szlachetna – poprawiła. – W ostateczności: pani. Jestem córką Garyjki szlachetnego rodu. Mój ojciec był Armektańczykiem Czystej Krwi, ale nie umiem nawet słowa po armektańsku. W garyjskim domu wychowała mnie matka Garyjka.

Nie mieli pojęcia, co mają mówić albo robić.

– A teraz potrzebuję trochę bólu, ale nie swojego, bo tego mam już dość. – Uśmiechnęła się leciutko. – Muszę sprawdzić, czy nie zapomniałam, jak się roznieca ogień.

Obróciła głowę w bok, pochyliła trochę i spojrzała z ukosa swoim jedynym okiem.

Czerwonożłoty płomień z hukiem ogarnął odzienie obu mężczyzn. Marszcząc brwi, patrzyła, jak krzyczące żywe pochodnie miotają się po izbie.

– Na razie umiem tylko rozpalać – rzekła z żalem. – Może kiedyś nauczę się gasić?

Wyszła z izby. Wycie płonących ludzi wypełniało dom. Na schodach spotkała przerażonego gospodarza.

– Chcesz schudnąć, grubasku? – zapytała. – No to chodź, wytopię z ciebie trochę tłuszczu.

Rycząca kula ognia stoczyła się po schodach.

## ROZDZIAŁ 49



Nadciągał zmierzch.

Tamenath-lah'agar, jednoręki starzec, wielki jak góra, wciąż prosty w plecach i wysoko noszący łąsą głowę, podszedł do okna, ogarniając wzrokiem zamkowy dziedziniec, po którym niespokojnie biegały psy. Przywykł kpiąco nazywać swój dom zamkiem; była to jednak tylko krępa baszta otoczona murkiem. Na Czarnym Wybrzeżu taki dom by nie wystarczył. Ale tutaj, na wyspie, od dawna już nie było strażników Porzuconych Przedmiotów. Najwyżej w morzu. Geh-egy czasem wyłaziły na ląd, ale dla obrony przed nimi zupełnie wystarczały basogi, które trzymał. A już mur, choćby i niewysoki, gwarantował pełne bezpieczeństwo.

Przechylił głowę, nasłuchując, bo wydało mu się, że z dali dobiegł śpiew syren. Rzeczywiście – śpiewały. Lubił ich pieśni. Były bardzo smutne.

Jednakże zdawał sobie sprawę, że być może właśnie w tej chwili na jakimś żaglowcu giną poszukiwacze przygód. Syreny rzadko śpiewały bez powodu.

Prawdę powiedziawszy, nie słyszał ich od dawna.

Zadbał, by uczynić się niewrażliwym na ich śpiew, a nie było to trudne. Bolesne i nieprzyjemne, ale tylko tyle. Kto posłuchał śpiewu z daleka, ten mógł później słuchać częściej i z bliska, bo odporność nabywało się szybko. Mógłby teraz pływać w kręgu syren i nucić sobie albo pogwizdywać razem z nimi.

Śpiew umilkł i Przyjęty pomyślał, że oto kolejny okręt ze zdziesiątkowaną załogą będzie dryfować po morzu, aż garstka najtwardszych spośród ocalałych pozbiera się na tyle, by zapanować nad żaglami i sterem.

Bardzo krótko śpiewały. Może więc nie miały powodu, a tylko tak sobie... zawodziły. Z nudów?

Najstarszy z mędrców Szerni odwrócił się i poszedł ku środkowi komnaty. Błat stołu zasłany był drobno zapisanymi kartami.

Tamenath tworzył swój wkład do Księgi Całości.

Pora. Wiedział, że wkrótce umrze.

Przeciągnął stół bliżej światła, ale tak naprawdę bez potrzeby. Nużyła go monotonia; przemieszczanie stołu wokół fotela stwarzało namiastkę odmiany.

Zasiadł w obszernym siedzisku. Sam je wydrążył z pniaka wyrzuconego przez fale. A że stolarzem był bardzo marnym, to stale bolało go dupsko.

Wstał po krótkiej chwili i przyniósł Księgę... Pamięć. Pamięć mu nie dopisywała. Świetnie wiedział, jaką nosił czapkę przed półwiekiem, ale gdzie odłożył pióro – to już nie.

Czyli, krótko mówiąc, był dziadem.

Mrok powoli wypełniał komnatę, wreszcie pochłonął ją zupełnie.

Tamenath czytał. Był poirytowany, coś go niepokoiło.

Przed kilkanaście laty, gdy na Bezmiarach dwa miesiące jesieni przedzierzgnęły się w miesiące zimowe, doświadczał podobnego uczucia. Teraz, im bardziej dłużył we wzorach i liczbach, tym więcej znajdował prawidłowości. Wyglądało na to, że w tym roku równowaga zostanie przywrócona. Szykowała się długa jesień...

A Pasma to potwierdzały.

Zostawił matematykę i zajął się wpisami historyków. Coś znalazł. Spostrzeżenia żyjącego przed wiekami Przyjętego, którego imię widniało na początku stronicy, tak jak widnieć będzie imię jego, Tamenatha.

Przeczytał jeszcze raz. Rozważania o naturze pokoju i wojny, które nagle stały się szalenie wieloznaczne, dając dowód, że jego przypuszczenia zgodne są z treściami zawartymi w Pasmach.

Jeszcze tydzień temu nie potrafiłby uznać tego za Przepowiednię Całości – ale przed tygodniem nie wiedział, że szykuje się długa jesień.



Oczy zapiekły. Męczył się szybko. Pomyślał, że będzie musiał zapewnić sobie światło. Dotąd nie było mu potrzebne. Ostatnio jednak z coraz większym trudem przebijał wzrokiem ciemność.

„Klamra Szerni” – pomyślał. „Co zaczęło się przed dziewięciu laty, w tym roku się skończy. Klamra”.

Klamry Szerni były fenomenem, z którym nie radziła sobie matematyka, albo raczej matematycy. Łatwo było znaleźć prawidłowości – po fakcie. To były matematyczne Przepowiednie, zrozumiałe i oczywiste wtedy, gdy już się spełniły. Kpiący uśmiech wiszącej nad światem Potęgi, zimnej przecież i nieżywej jak skała.

W martwych mechanizmach Szerni było zawarte wszystko, co potem zyskało odbicie w jej świadomym awatarze – rozumie. Także nieobliczalny (bo czyż inny?) mechanizm poczucia humoru. Udowodnione, prawdziwe ponad wszelką wątpliwość wzory i twierdzenia nagle zawodziły. Obiektywnie istniejące, sprawdzalne zjawiska wymykały się teoretycznemu opisowi. Jak fenomen czasu w Obszarze. Przy zachowanej ciągłości przestrzeni nieciągłość czwartego wymiaru.

No, akurat upływ czasu w Obszarze nie był tylko figlem. Chyba nie.

Tamenath westchnął. Nie rozumiał. Był niewiele znaczącym Przyjętym. Śmiesznym mędrcom, jednym z tych, którzy wpisują do Księgi Całości przekształcone wzory; prędzej rachmistrzem niż matematykiem. Praca wyrobnika. Chłopca na posyłki przynoszącego mistrzom potrzebne narzędzia. Ktoś taki jak Dorlan dzięki znalezionym w Księdze gotowym przekształceniom oszczędził sobie kiedyś zbędnego wysiłku.

Niestety, w dziele poznania Szerni nie tylko rachmistrz, ale i prawdziwy matematyk był zaledwie pomocnikiem historyka-filozofa.

„Starcza gorycz” – rzekł sobie z przyganą. „Przecież to nieprawda”.

Przewrócił kartę.

– Przepowiednia – rzekł na głos.

To naprawdę była Przepowiednia. W roku spięcia Klamry.

Nie sądził, że dane mu będzie odkryć Przepowiednię.

Poruszył wargami, czytając o dwóch Ciemnych Pasmach wyklętych przez Szerń. Zrozumiał pomyłkę. To nie Klamra Szerni. To Klamra Odrzuconych Pasm. Sprzymierzonych tylko z Bezmiarami.

Odchylił się na oparcie fotela. Zamknął oczy zmęczone walką z mrokiem.

– Zabieram się stąd – powiedział znowu na głos. – Lubię piwo i mam rękę. Tylko jedną, ale wystarczy do klepania dziewczuch po tyłkach. Resztę życia spędzę w oberży.

Kpił i nie kpił. Bo naprawdę: trzeba wiedzieć, kiedy przestać. Po życiu wypełnionym ciężką pracą, jakakolwiek by ta praca była, na starość należy odpocząć. Tak po prostu.

I nosił się z tym zamiarem od dłuższego czasu.

„Ale dzisiaj chyba jeszcze się nie spakuję” – pomyślał.

Kiedyś Szerń toczyła wojnę z wrogą potęgą, podobną do niej mocą ponad światem – Alerem. Aler został pokonany, ale Szerń utraciła w tej wojnie kilka Ciemnych i Jasnych Pasm. Więcej Jasnych. By zachować równowagę swej istoty, Szerń musiała odrzucić dwa Ciemne Pasma, odgradzając je od innych Ferenem – murem zbudowanym z Jasnych Smug oddzielonych od Pasm. Wyklęte Pasma, odepchnięte za kopułę nieba, przenikały jednak do świata; nazwano takie wtargnięcia Pęknięciami Szerni, choć w istocie nimi nie były. Najłatwiej Wyklęte Pasma przenikały nad Bezmiary, bo tam nie było Ferenu.

Rzecz niezwykła. Niektórzy twierdzili, że wszelkie życie poczęło się w morzu. Pierwotny przestwór Bezmiarów, istniejący na długo przed tym, nim potęgi takie jak Szerń zaczęły obejmować swoje lądy, był wyraźnie wrogi i zabójczy dla Pasm. Bezmiary nigdy nie podlegały Szerni. Kilkaset mil od Szereru Szerni już nie było. Nikt nie wiedział, jakim sposobem Wyklęte Pasma mogą – do pewnego stopnia – współistnieć z Bezmiarami.

Potęga taka jak Szerń musiała być wewnętrznie zrównoważona. Prawo Równowagi – pierwsze i najważniejsze z Praw Całości. Dotyczące tak Szerni, jak i jej świata, Szereru. Tamenath sądził, że jest to nadrzędna reguła dla wszystkich potęg i światów, jakie

gdziekolwiek istnieją, istniały lub istnieć będą. Trwałe zaburzenie równowagi musi pociągnąć za sobą upadek. Bilans Potęgi, świata i w ogóle wszystkiego musi być zrównoważony.

Czasem zdawało mu się, że Bezmiary dążą do zachwiania równowagi Szerni – obcej dla ich przestworu siły sprawczej.

Dwa Wyklęte Pasma, będące pamiątką po największym w dziejach zachwianiu równowagi Szerni, w naturalny sposób dążyły do ponownego stopienia się z resztą macierzystej Potęgi. Feren – mur odgradzający je od pozostałych Pasm – nie został przecież stworzony bez powodu. Być może istniała możliwość zniszczenia Ferenu. Gdyby to się udało, Szerń ponownie zostałaby wytracona z równowagi. Nikt nie umiał powiedzieć, czy możliwe jest odbudowanie raz zburzonego Ferenu.

Ale mogło być też inaczej. Tamenath (i nie on jeden) zastanawiał się wielokrotnie, czemu Szerń po zwycięskiej wojnie z Alerem nie unicestwiła niepotrzebnych swoich Pasm. Wystarczyło rzucić je przeciw pokonanej, lecz wciąż jeszcze mającej moc niszczenia potędze Aleru. Być może z jakichś przyczyn nie było to możliwe. Tamenath sądził jednak, że raczej niepotrzebne i niewskazane. Szerń była ślepą, bezrozumną, a jednak w celowy sposób działającą potęgą. Może zbędne, więc i niebezpieczne Ciemne Pasma mogły spełnić pożyteczną rolę rzucone nie przeciw Alerowi, a przeciw Bezmiarom? Ich sojusz z wodnym przestworem mógł być sojuszem pozornym, gdy w rzeczywistości Wyklęte Pasma i Bezmiary szachowały się nawzajem, tworząc nową, swoistą równowagę.

A więc przymierze czy raczej zimna wojna?

Tamenath westchnął znowu. Nie wiedział. Nikt nie wiedział.

Nie sądził, by tym razem zdarzyło się coś, co pozwoli mu zrozumieć. Jednakże, choć nie mógł wiedzieć, co właściwie się dzieje, mógł chociaż dociekać – jak.

Znowu pochylił się nad Księgą.

## ROZDZIAŁ 50



**S**eila” trzymała kurs. Daleki śpiew syren dało się wytrzymać; Raladan pamiętał, że przed laty na „Wężu” działy się znacznie gorsze rzeczy. Wtedy jednak syreny otaczały okręt, płynęły wzdłuż burt i za rufą.

Czuł się tak, jakby ktoś go skopał po żebrach. Nic przyjemnego, ale jednak to nie był ból, od którego człowiek mógł umrzeć. Inna sprawa, że załoga wyglądała gorzej niż kapitan. Siedzący pod masztem marynarz jęczał i spluwał krwią. Dwaj inni leżeli nieprzytomni, a może nawet nieżywi.

Mignęło mu przed oczami wspomnienie sprzed lat: wielki okręt z żaglami w łopocie, przewalający się bezwładnie z fali na falę, ster zablokowany w przypadkowym położeniu, nieruchome ciała w wielkich kałużach krwi...

„Seila” miała znacznie więcej szczęścia.

Zmienił ludzi przy sterze i dał rozkazy przy żaglach. Majtkowie pozbierali się jakoś i ślamazarnie wykonywali komendy. Wkrótce potem zaszumiała lina w kluzie, kotwica poszła w dół.

Raladan ogarnął wzrokiem morze, szukając czarnych grzbietów i wysokich płetw tnących wodę jak miecze. Były! Ale bardzo daleko, w miejscu, skąd dobiegł śpiew. Oto całe wyjaśnienie tajemnicy: stado orek wykryło syreny i przechwyciło je w znacznej odległości od żaglowca.

Czy bitwa jeszcze trwała?

Bohed, jego świetny pierwszy oficer, stanął obok, wciąż cokolwiek skurczony, z przedramieniem przyciśniętym do brzucha, jakby ktoś mu przyłożył w żołądek.

– Jeden nie żyje – rzekł z wysiłkiem. – Ale z trzema dalszymi... bardzo kiepsko, kapitanie. Wciąż krwawią.

Raladan skinął głową.

– Zrobić im wygodne posłania, niech leżą i odpoczywają. Lepiej nie dawajcie im wódki, nie wiadomo, co im tam w środku popękało. Niech nie jedzą, piją jak najmniej. Wylizają się... albo nie.

Z drugiej strony przywłókł się Davahoden.

– Moi cali – powiedział. – Kapitanie, niektórzy założyli hełmy i mówią, że to pomogło. Tylko trochę, ale bardziej niż zakrywanie uszu.

– Dobrze. Ale zachowajcie to na razie dla siebie, dopilnuj. Nie mamy więcej hełmów – wytłumaczył – i gdyby syreny pojawiły się znowu, to nie chcę, żeby marynarz zabił żołnierza dla zdobycia żelaznego garnka.

Popatrzył na pokład. Majtkowie, wciąż niezgrabni i słabi, nieśli do dziobówki dwóch jęczących, krwawiących towarzyszy, dwaj inni próbowali ocucić nieprzytomnego. Bohed panował nad załogą, wydawał krótkie, jasne polecenia.

Kapitan skierował wzrok na wysepkę, oddaloną o parę mil. Czy to ta? Błądzili już dość długo, na próżno szukając lądu naznaczonego piętnem krępej wieży na wzgórzu. Byłby przysiągł, że tutaj. Może zobaczą z bliska? Może bardziej od północy?

Davahoden szarpnął go za ramię. Raladan odwrócił się i przez chwilę czerwone, zachodzące słońce, odbite w redlinach fal, oślepiało go. Zaraz potem krzyknął któryś z majtków. Rzucono się ku burcie.

Orki mknęły jak burza. Czarne płetwy grzbietowe cięły wodę, ogromne grzbiety wynurzały się, by zaraz zniknąć. Kilkadziesiąt prężnych, opływowych ciał przewaliło się wzdłuż burty „Seili”. Jedno z ostatnich zwierząt odłączyło od reszty, zawróciło. Marynarze wznieśli okrzyk, gdy czarno-biały kształt wyprysnął ponad fale, okręcił się w powietrzu i upadł z łomotem, wzbijając fontanny wody.

Nikt nie widział piękniejszych i wspanialszych stworzeń. I nie istniał na świecie taki okręt, który zdołałby je dogonić.

Orka wynurzyła się raz jeszcze, stając pionowo w wodzie; potężny ogon bił w głębinie. W otwartej paszczy widniały liczne zęby. Na pokładzie usłyszano niezwykły, ostry głos zwierzęcia – niepodobna było oprzeć się wrażeniu, że ta istota działa świadomie, dając ludziom coś do zrozumienia, może ostrzegając.

Zwierzę opadło pod fale, ale nie odpłynęło. Z niezwykłą szybkością zaczęło krążyć wokół statku.

– Tam! – wrzasnął jeden z żołnierzy.

Pośród morskich fal wrzała nowa bitwa. Raz i drugi przewaliło się nad powierzchnią czarno-białe cielsko, ujrzeli też inne, obce kształty rozbryzgujące wodę. Ale to nie były syreny.

– Uwaga na sterze! – huknął Raladan. – Bohed, przy tobie komenda! Kurs na zawietrzną, północny wschód ku wschodowi!

Oficer głośno potwierdził rozkazy, przejmując dowodzenie żaglowcem. Raladan chciał mieć ogólne baczenie na wszystko, zamiast zajmować się tylko żaglami.

– No, przyjacielu – zwrócił się do grubego kusznika. – Nic nie śpiewa, to na pewno nie są syreny. Bierz swoich ludzi, może kusze się na coś przydadzą.

Odwrócił się i przywołał kilku majtków, bez których Bohed mógł się obyć.

– Pod komendę dziesiątnika – poleciał. – Bierzcie najdłuższe bosaki.

Bohed już schodził z kotwicy. Ale jeszcze zanim poszła w górę, tuż przed dziobem, rozbryzgując fale, mignęła niezwykle wysoka i szeroka jak żagiel, postrzępiona płetwa. Niemal w tym samym momencie dostrzegli drugą, masywną i czarną. Potężne uderzenie wyrzuciło na powierzchnię wody dwudziestolokciową rybę, której boki wyglądały na dotknięte rozkładem, pełne jakichś dziur i narośli. Miała róg, podobny do miecza narwala.

Ryba skryła się z powrotem pod skotłowanymi falami. Widoczna tuż pod powierzchnią zatoczyła krąg, szukając wroga – i znowu potężne pchnięcie, tym razem wymierzone pionowo od dołu, wyrzuciło ją z wody, a tak blisko „Seili”, że bryzgi wody zalały krzyczących w podnieceniu ludzi. Wyginając się w powietrzu,

niesamowite zwierzę powtórnie spadło w fale i zniknęło gdzieś głęboko pod nimi, uderzając jeszcze w burtę ogonem.

Żaglowiec zadygotał.

Wzburzone fale silnie kołysały okrętem, jednak na powierzchni nic się nie ukazywało. Z mocno bijącymi sercami marynarze patrzyli po sobie, domyślając się, że gdzieś w dole, może kilkadziesiąt łokci pod kilem, toczy się niezwykła walka olbrzymów.

Sześćdziesiąt kroków od sterburty fale pękły i ujrzeni wyniesioną do góry, przebitą rogiem na wylot, miotającą się orkę. Na „Seili” rozbrzmiał okrzyk szczerej rozpacz.

W tej samej chwili róg potwora pękł u nasady. Zaraz potem odczuli zbijające z nóg uderzenie. Zielonożółta ryba nacierała raz za razem, uderzając tępym, ułamanym mieczem. „Seila”, wstrząsana ciosami, kołysała się mocno. Ale uderzenia były coraz słabsze. Nie ustawały jednak: wrogi stwór, niczym jakaś niszcząca machina, zawracał wciąż od nowa, atakując i atakując.

Po którymś z kolejnych wstrząsów Raladan i marynarze ujrzeni wreszcie kuszników Davahodena przypadających do nadburcia. Klęcząc, ślali pocisk za pociskiem, najszybciej jak potrafili.

Ataki nie ustały. Były już jednak niegroźne.

Ostatni nawrót wszyscy widzieli wyraźnie. Pośród wieczornej szarówki ohydna ryba, przewalając się ciężko z boku na bok, z grzbietem naszpikowanym bełtami, zmierzała ku burcie. Dopłynęła siłą rozpędu – już martwa. Lekki wstrząs... Cielsko obróciło się brzuchem do góry i wtedy zobaczyli, co było tego przyczyną: głębokie rany ociekały granatową, rozmywaną przez fale ciecżą, ogon ledwie trzymał się reszty. Czując dławienie w gardłach, spojrzeli tam, gdzie zginęła przebita mieczem orka, a potem dalej, na morskie pole bitwy.

Stado wracało, ale już mniej liczne.

Czarne grzbiety przesuwwały się wzdłuż burt, potem zakreśliły wielki łuk, wciąż niedaleko „Seili”. Ślad orki znaczył się ciemną wstęgą krwi.

Raladan powiedział jakieś słowo, którego nikt nie umiałby powtórzyć, bo było raczej dźwiękiem niż słowem.

– Tak się nazywała... Miała sześćdziesiąt cztery lata. Najmądrzejsza i najstarsza, ich przewodniczka. To stado wkrótce się rozpadnie.

Dotknął policzka i z niejakim zdziwieniem popatrzył na mokry ślad. Nikt nie wiedział, że kapitan potrafi uronić łzę.

On sam także nie wiedział.

o o o

Wieża stała na wzgórzu, niespełna pół mili od brzegu, obrysowana blaskiem porannego słońca.

Kusznicy podzielili się: dwaj szli przodem, dwaj po bokach, pozostali trzymali się blisko Raladana i Davahodena. Kapitan sądził, że te środki ostrożności w przypadku prawdziwego niebezpieczeństwa niewiele pomogą. Nie wtrącał się jednak w dowodzenie dziesiątnika. Ostrożność nie mogła zaszkodzić.

Posunęli się bez przeszkód aż do podnóża wzniesienia.

Psy pojawiły się nagle, bez głosu – olbrzymie jak cielaki. Raladan nigdy dotąd nie widział basogów, ale to mogły być tylko one. Sunęły w dół stoku susami o niebywalej długości. Kusznicy Davahodena sformowali szyk bez jednej komendy, w tempie, które zdumiało kapitana bardziej niż widok olbrzymich psów. Czterej uklękli, czterej pozostali wymierzili nad nimi. Davahoden stanął z boku, niczym na paradzie, z kuszą trzymaną pionowo oburącz.

Psy były o pięćdziesiąt kroków.

Dalej na stoku pojawił się jakiś człowiek. Zawołał i psy stanęły, jakby wrosły w ziemię. Było już jednak za późno, bo w tej samej chwili Davahoden rzucił spokojnie:

– *Rel.*

Bełty pomknęły posłuszne grombelardzkiej komendzie.

Jeden z psów rzucił się na ziemię, skowycząc, pozostałe dwa padły bez głosu. Żołnierze natychmiast założyli korby, napinając twarde cięciwy.



Nieznajomy, ogromny jak dąb męczyzna w obszernym, szarym płaszczu schodził powoli w dół stoku. Podążyli mu naprzeciw czujni, gotowi na niespodzianki. Zatrzymali się przy psach, ale nie za blisko, bo ostatnie zwierzę, choć z dwoma pociskami w grzbiecie, szczyrzyło zęby, próbując wstać. Davahoden pochylił kuszę, ale Raladan, powodowany jakimś odruchem, powstrzymał go gestem.

Dziesiątnik, nie spuszczając spojrzenia z nadchodzącego olbrzyma, zwrócił się do swoich ludzi.

– Źle – rzekł krótko, z przyganą.

– Hełmy, dziesiątniku – usprawiedliwił się jeden z żołnierzy. – I zbroje.

Dowódca skinął głową, przyjmując wytłumaczenie. Raladan też zrozumiał, o co chodzi. Zdaniem Davahodena, zamknięte hełmy dla kuszników były nieporozumieniem: wąska wizura utrudniała ocenę odległości. Łebki tego typu sprawdzały się w walce wręcz. Podobnie zresztą jak kirysy – raczej niewygodne dla kuszników. Wystarczyłyby solidne kolczugi, nakolanki i nałokietniki, a na głowach otwarte łebki. Jej godność Semena nie mogła się zdecydować: chce mieć rębajłów czy strzelców.

Mimo wszystko Raladan nie mógł nie docenić wyszkolenia tych żołnierzy. Bez żadnych dodatkowych rozkazów rozdzielili cele między siebie, do każdego psa poleciały trzy bełty i większość trafiła w cel.

Człowiek w szarym płaszczu, łysy jak kolano, niezwykle krzepki starzec, nawet nie popatrzył na gości. Najpierw pochylił się nad psami. Gestem uspokoił ranne zwierzę, przesunął dłonią nad jego łbem i uśpiony basog znieruchomiał. Starzec wyszarpnął bełty i dotknął ran. Dopiero potem wyprostował się ciężko.

– Niepotrzebnie – rzekł ze smutkiem, używając kinenu. – Pomóżcie mi go opatrzyć, zanim się wykrwawi i zdechnie. Nie obudzi się – zapewnił.

Zdjął płaszcz, ujawniając brak lewej ręki. Miał pas z mieczem. Rzucił płaszcz żołnierzowi i spokojnie wyjął broń.

– Przytrzymaj – polecił. – Muszę ciachnąć.

Ciachnął i uzyskał szmatę na opatrunki. Żołnierze przewiązali rany basoga.

Dopiero wówczas starzec uważnie przyjrzał się przybyłemu. Obrzucił spojrzeniem głowy kuszników skryte w hełmach po usta. Zatrzymał wzrok na twarzy Raladana.

– Nie żywię urazy, bo nie mogliście wiedzieć, że je zatrzymam. Starzeję się, już nie biegam tak szybko, jak kiedyś.

Raladan otworzył usta, ale starzec machnął dłonią.

– Pomówimy u mnie.

Davahoden skinął na żołnierzy. Wyrwali bełty z nieruchomych ciał, oczyścili groty, wbijając kilkakrotnie w ziemię, przetarli skrajami tunik. Wsunęli odzyskane pociski do woreczków przy pasach.

Starzec patrzył z uznaniem. Poruszył kikutem ramienia.

– Straciłem rękę, służąc w Gwardii Grombelardzkiej – powiedział. – Dowodziłem klinem kuszników – dorzucił, skinąwszy w stronę Davahodena. – Prawda, że przed bardzo wielu laty.

Gruby Wyspiarz spojrział przez szczelinę w hełmie na niego, a potem na Raladana. Gwardyjska kolumna, w której skład wchodził wymieniony oddział, była formacją elitarną co się zowie. Kaleki wielkolud dowodził najlepszymi kusznikami Szereru.

Starzec jeszcze raz pochylił się nad psem, po czym wyprostował plecy i zapytał, wskazując najpierw zwierzę, a potem połówkę płaszcza:

– Pomożecie mi?

Czterej ludzie za przyzwoleniem Davahodena oddali kusze kolegom i zbliżyli się do basoga. Wciąż spał. Z wysiłkiem ułożyli potężne cielsko na płaszczu i dźwignęli.

– Ostrożnie – poprosił Przyjęty.

Ruszył przodem, prowadząc w stronę obwiedzionej murem baszty.

Nie przypominała niczego, co dało się zobaczyć w krainach Szereru. Postawiona na boku skrzynka z kamienia, raczej brzydki piętrowy dom niż wieża. Nieopodal rozpościerał się spłachetek ziemi uprawnej, porastało go jakieś zielsko.

– Czym żywisz się tutaj, panie? – zapytał Raladan.

– Rybami. Kapustą, cebulą i rzepą – odpowiedział gospodarz, nie tając obrzydzenia, i ruchem głowy wskazał zagonek. – Z drugiej strony wieży mam fasolę. Nie mogę już na to patrzeć, ale umiem sprawić, żeby wyrosło w tydzień. Niczego innego wyhodować nie zdołałem. A jak smakuje mięso, nie pamiętam.

Drzwi w murze były otwarte. Davahoden bez słowa wskazał dwóch ludzi. Zostali na zewnątrz. Dwóch następnych rozmieścił za murem, przy wejściu do wieży. Na spojrzenie gospodarza znacząco skierował kuszę ku ziemi. Nie chciał go obrazić, po prostu wykonywał swoją pracę.

Tamten skinął głową na zgodę. Raladan zaczął podejrzewać, że ci dwaj dogadają się łatwiej niż on z załogą „Seili”.

Psa położono w komnatce na samym dole. Przyjęty, zdawało się, zapomniał o gościach. Szukał czegoś w dzbankach stojących pod ścianami, wyjął ze skrzyni zwoje dziwnego, śnieżnobiałego płótna. Zmienił opatrunki i namaścił pysk zwierzęcia jakąś ostro pachnącą, pianistą breją.

– To mój żołnierz – wyjaśnił krótko, gdy skończył. – Ostatni.

Skinęli głowami.

Po krętych, tonących w mroku schodach wspięli się na pierwsze piętro wieży. Starzec otworzył ciężkie drzwi.

Wnętrze kamiennej komnaty zdumiało przybyszów.

Pod ścianą stał duży stół zasłany zapisanymi kartami. Leżała też na nim księga o takich rozmiarach, że Raladan się zastanowił, czy zdołałby ruszyć ją z miejsca. Obok druga, mniejsza otwarta była na stronach wypełnionych samymi cyframi i niezrozumiałymi znakami – ale kapitan „Seili” miał trochę do czynienia z ową dziwną, piękną nauką i widok tablic matematycznych nie wprowadził go w osłupienie. Pobiegł spojrzeniem dalej. Tuż przy stole znajdował się fotel, a właściwie głębokie siedzisko wydrążone w poczerńiałym pniaku. Wzdłuż ścian stały ławy i wisiały półki zavalone plikami, zwojami, księgami...

Raladan nie przypuszczał, że na świecie może być tyle ksiąg.

W Armeckie i w ogóle całym Szererze najczęściej używano zwojów. Garyjczycy wymyślili pliki – stosy kart nawlekanych niczym obwarzanki na specjalne kołeczki czy jak tam to się nazywało. W kajucie miał dwa takie pliki: locje i tabele morskie oraz rejestr żaglowców, wiecznie uzupełniane. Księgi natomiast wywodziły się z Dartanu, tak słyszał. Były drogie i najmniej rozpowszechnione. W całym swoim życiu widział ledwie kilka.

Kapitan potrafił czytać (choć nie miał pojęcia, skąd się wzięła ta umiejętność), ale prawdę rzekłszy, głównie nazwy na mapach. Z pisaniem szło gorzej. Właściwie nigdy specjalnie nie próbował. Uzupełniał czasem mapy; nazwy wysp jakoś naskrobał, więcej nie było mu potrzebne. Wiedział jednak, że w Armeckie sztukę utrwalania słów poznaje każde dziecko. Ile jednak należało narysować liter, by zapełnić nimi chociaż jedną księgę albo plik? Tego, co tu leżało, nie przeczytałby przez dziesięć lat.

Żołnierze patrzyli z jeszcze większym zadziwieniem. Davahoden znał trochę, podobnie jak Raladan, sztukę pisma, bo bez tego nie sposób było zostać oficerem, a gruby kusznik miał kiedyś chrapkę na patent podsetnika legii. Teraz wymienili spojrzenia.

Były w komnacie jeszcze trzy mniejsze stoły, leżały na nich odłamki skał i kamieni, zasuszone liście i kwiaty, duże i małe kości oraz wiele innych przedmiotów, tworzących śmietnik nie do utrzymania na żaglowcu, bo wszystko przy pierwszym przechyle zjechałoby na podłogę. Pod każdą rzeczą znajdowała się ćwiartka pokrytego drobnym pismem pergaminu albo papieru. Czasem kartek było kilka, a nawet kilkanaście.

Gospodarz ulokował się w siedzisku.

– Wybaczcie, że zajmuję jedyne miejsce do siedzenia – powiedział, czyniąc lekki ruch ręką. – Wiek nadaje mi taki przywilej. Macie przed sobą – uśmiechnął się nagle – bez wątpienia najstarszego człowieka Szereru. Tu – zatoczył półkole ramieniem, co mogło oznaczać równie dobrze komnatę, wyspę albo cały Zły Kraj – nazywam się Tamenath-lah’agar. Tłumaczy się to zwykle: Przyjęty.

Wynikałoby z tego, że gdzie indziej nazywał się inaczej. Raladan postanowił się nie dziwić. Chciał coś rzec, ale starzec go uprzedził,

pytając:

– Żaden z was na pewno nie nazywa się Get-Khagdob. Ale może któryś z was słyszał kobiece imię: Riol'atae?

Raladan drgnął.

– Tak, panie, znam imię bardzo podobne... – zaczął i urwał; chciał mówić dalej, ale się powstrzymał. – Znam to imię i wiem, co oznacza – dodał tylko.

Starzec obserwował go bacznie.

– Postanowiłeś niczemu się nie dziwić, prawda, panie? Bardzo to mądre, a dowodzi tylko, żeś wiele w życiu doświadczył.

Westchnął.

– A zatem istotnie mamy Przepowiednię – rzekł na poły do siebie. – Wszystko wyjaśnię – zapewnił zaraz. – Jednak nie wiem, czy powinniśmy rozmawiać wobec tylu osób?

Raladan spojrzał na żołnierzy. Davahoden pokręcił głową, zdecydowanie odmownie.

– Ależ, żołnierzu – zauważył starzec, czyniąc gest w stronę dziesiątnika – podziwiam wyszkolenie twoich ludzi, i przecież jako znawca. Ale jesteście wszyscy w domu czarodzieja, maga Szerni. Jasne, że to bzdury, ale jeśli słowo „czarodziej” pomoże ci zrozumieć... Zdaj sobie sprawę, że tu kusza nie na wiele się przyda.

Davahoden chciał odpowiedzieć, Przyjęty jednak nie dopuścił go do głosu.

– Nie zamierzam z wami walczyć ani nawet się kłócić. Chcę rozmawiać. Ale z jednym, nie ze wszystkimi. Co to ma być, jakiś wiec? Będziecie klaskać, kiedy powiem coś mądrego, a kiedy indziej buczeć?

– Zabierz ludzi, Davahoden – rozkazał Raladan. – Poczekajcie na dziedzińcu.

– Po co więc wchodziłem po tych schodach?

– Davahoden. Ja tu rządę.

– A nawet jeszcze gorzej – zauważył Tamenath. – JA tu rządę. I powiadam: wojacy, wynocha.

Davahoden zdjął hełm, jakby po to tylko, by mogli sobie obejrzeć jego rozgniewane oczy. Spojrzał na kapitana i skinął na żołnierzy.

Odwrócił się jeszcze, wyciągając miecz z pochwy. Podał go Raladanowi.

– Weź to, panie – rzekł tonem nieznoszącym sprzeciwu. – Te twoje noże rozbawiają mnie do łez.

Raladan wziął oręż dla świętego spokoju. Gdy żołnierze opuścili komnatę, natychmiast odłożył miecz na stół.

– To doskonały żołnierz i przyjaciel.

– Widzę.

Raladan zatknął dłonie za pas.

– Ogromna większość ludzi, których w życiu spotkałem – powiedział Tamenath – patrzy na Przyjętych jak na dwugłowe byki. Widzę jednak, panie, że ty do tych ludzi nie należysz. Siedzę w wieży, czyli jestem czarodziejem, a ty nic?... Ogródek cię zaciekał? Nim zaczniemy rozmowę, chciałbym zapytać: czyś spotkał już człowieka takiego jak ja? Jeśli tak, to co powiedział? Może coś o Prawach Całości? Mnóstwo czasu oszczędzilibyśmy, gdyby się okazało, że wiesz trochę o Szerni i Pasmach. A szczególnie o dwóch Ciemnych Pasmach.

– Słyszałem o Prawach Całości, choć nie będę udawał, że wiele z tego rozumiem. O Szerni wiem tyle, co każdy. Ale rzeczywiście spotkałem... niezwykłego starca. Nie nazywał siebie Przyjętym, ale myślę, że był nim, panie, tak samo jak ty.

– Podał ci może swe imię?

– Nie.

Zmarszczył z namysłem brwi i dorzucił:

– To kaleki grajek-gawędziarz. Spotkaliśmy się w jednej z garyjskich tawern. Nosił dziwny instrument, nigdy takiego nie widziałem.

– To nie był Przyjęty – rzekł Tamenath.

Przez chwilę spozierał z namysłem.

– Nie wiem, czy cię to interesuje, panie, ale istota, o której mówisz, jest stara jak Szerer. W ciągu wieków pojawiała się wielokrotnie i zawsze tam, gdzie działy się dziwne rzeczy. Nietypowe dla Szerni i jej świata.

– Kim więc jest ten człowiek?

– Istota – podkreślił z naciskiem Tamenath. – Nikt tego nie wie... ale na pewno nie człowiekiem. Nazywamy go Strażnikiem Praw Całości, chociaż raczej kiepsko ich pilnuje.

Milczeli przez chwilę.

– No dobrze, panie. Teraz powiedz mi najpierw, co cię sprowadza do Romogo-Koor. Nienazwany Obszar – wyjaśnił, widząc zdziwienie kapitana. – Mówicie o nim Zły Kraj.

– Ty, panie – padła odpowiedź. – Mam misję. Polecono mi odnaleźć Przyjętego i poprosić go o pomoc.

– Pomoc w czym?

Raladan wyjaśnił.

W miarę jak mówił, starzec coraz szerzej rozchyłał pomarszczone powieki. Nagle – nieoczekiwanie – wybuchnął śmiechem, potężnym jak cała jego postać.

– Nie, na wszystkie Pasma – powiedział zaraz, jakby zawstydzony. – Daruj mi. Wiem przecież, że musi kryć się za tym coś więcej. Ale, panie, przyznaję, że pomysł proszenia człowieka takiego jak ja o pomoc przy budowie fortecy jest hm!... hm!... niezwykły. Podobnie – dodał zaraz – jak wykorzystanie do tego celu Porzuconych Przedmiotów. Prawda, że Przedmioty, tak jak wy je rozumiecie, mogą posłużyć choćby do budowy zamku i nawet kiedyś już posłużyły. Nie pochwalam wnoszenia ich poza granice Obszaru, ale było tak, jest i chyba będzie, nic na to nie poradzę. Jeśli mają służyć innym celom niż te, do których zostały stworzone, to może istotnie lepiej, by wzniesiono fortecę, niż fikano ucieszne koziółki w powietrzu, jak czynił niegdyś błazen dartańskiego króla, posługując się (nie uwierzysz, panie) Srebrnym Piórem. Teraz jednak muszę ci powiedzieć, że budowanie zamków nie jest przeznaczeniem Przyjętego, choćby nawet ów zamek miał odmienić losy wspaniałego Wiecznego Cesarstwa. Moje zadanie to zrozumienie istoty Pasm Szerni i zgłębianie Praw Całości. – Położył rękę na księdze.

– Pojmuję to, panie – rzekł Raladan. – Ale wiem też na pewno, że ten zamek i Prawa są ze sobą w jakiś sposób związane.

– I ja tak myślę – przyznał Tamenath. – Tylko dlatego wciąż jeszcze rozmawiamy... Wróćmy jednak do imienia Riol'atae. Czy mam rację, sądząc, że od niego wszystko bierze początek?

– Tak.

– Głodny jesteś? Spragniony?

– Nie...

– To opowiadaj.



## ROZDZIAŁ 51



Jego dostojność Kiliven, Pierwszy Przedstawiciel Sędziiego Trybunału, powoli zmieniał swe podejrzenia w pewność. Alida wiedziała, że powinna spodziewać się ciosu.

Czekała. Bierność była męcząca, ale – teraz – wskazana. Niedługo miała wybuchnąć rebelia. Gdyby udało się odwlec rozstrzygnięcie do tej chwili, kłopot przestałby istnieć. Miała nadzieję, że się uda. Nie chciała przedwcześnie podejmować działań o trudnych do przewidzenia skutkach.

Kim był ten człowiek? Nie potrafiła zasięgnąć o nim potrzebnych wiadomości. Dziwne. Armekt nie leżał blisko, ale imię kogoś, kto mógł objąć tak znaczne stanowisko, powinno być znane nawet tu, w Trzeciej Prowincji. Trudno przypuścić, by do kierowania garyjskim Trybunałem ściągnięto gdzieś z Północnej Granicy jakiegoś świetnie urodzonego pustelnika... Dwory przedstawicielskie w prowincjach orbitowały jednak wokół dworu w stolicy. Gdyby Kiliven wywodził się z otoczenia cesarza, wiedziano by tu o nim.

Było jednak inaczej.

Posłała zaufanych ludzi do Armektu, jednak podróż musiała potrwać. A przecież, gdy już tam dotarli, to raczej nie poszli prosto do Imperatora, by zapytać o jego dostojność B.A.Kilivena... Musieli działać ostrożnie.

Mimo wszystko trwało to za długo. Niecierpliwiła się.

Tego wieczoru chciała położyć się wcześniej. Wygodne apartamenty Trybunału kusily. Załatwiła sto spraw, beznadziejnie nudnych. Była zmęczona.

„Starzejesz się, kochanie” – pomyślała swoim zwyczajem. Tak naprawdę czuła się młodsza niż kiedykolwiek.

Miała władzę, i to tak ogromną, jakiej nie miał chyba nikt w całej prowincji. Kochała władzę i chętnie przyznawała się do tego przed sobą. Któż mógł tutaj z nią konkurować? Książę Przedstawiciel? Ten starzec nie potrafił rządzić nawet własną służbą. Miała go w ręku, bo miała Ganedorra. Oto mądry człowiek, dobry organizator i kandydat na wodza powstania, a po jego zwycięstwie – nawet na władcę Garry. Ale nic więcej. By rządzić naprawdę, brakowało mu wyobraźni. Miał ją, miał, oczywiście... Ale za mało.

Rozczesała włosy, upięła je starannie, nawet nie patrząc w lustro. Nie mogła już pozwolić sobie na warkocz. Musiała wyglądać... hm, dostojnie.

Zaśmiała się. Władza jej służyła. Nie tylko czuła się młodsza, ale i wyglądała młodziej. Lubiała się podobać (a która nie lubiła?). Inna rzecz, że ostatnio nie bardzo miała komu.

Niespodziewanie myśl uciekła w przeszłość, do Aheli. Dlaczego tak mocno tkwiły w sercu wspomnienia stamtąd? Chętnie by je wyrzuciła. Wspomnienia o największej przegranej.

Zauważyła, że ma na sobie błękitną suknię. Tak jak wtedy, przed laty...

Podobała mu się.

Po dziewięciu czy dziesięciu latach pamiętała, jaki kolor miała sukienka, bo ten kolor podobał się pewnemu mężczyźnie. Czyli to był bardzo ważny dzień.

„Głupia” – skonstatowała. „No tak, głupia, nic dodać. Powiedz, Alido, co mogłaś widzieć w tym człowieku? No, słucham? Ile ty właściwie masz lat? Czternaście? Śmieszne zadurzenie!”

Tylko że, oczywiście, to nie było śmieszne zadurzenie. Nie można durzyć się śmiesznie przez dekadę.

Wiedziała o mężczyznach wszystko, co da się wiedzieć. Nic trudnego, nie było tego dużo. Zamieniwszy z którymkolwiek dwa słowa, mogła pewnie powiedzieć więcej niż matka takiego.

A o Raladanie niewiele. Co miał takiego, czego inni nie mieli? Brzuch twardy jak z żelaza? Przecież nie zakochała się w brzuchu!

Co miał w sobie takiego? Pirat jeden!

Z zamyślenia wyrwała ją służąca, anonsując gościa. Alida oprzytomniała w jednej chwili. Ona, której trudno byłoby żyć bez ryzykownych gier, przecież poczuła mocniejsze uderzenie serca. B.A.Kiliven, Pierwszy Przedstawiciel Najwyższego Sędziego Trybunału.

Nigdy dotąd jej nie odwiedzał.

Przeszła do pokoju obok, gdzie zazwyczaj przyjmowała gości. Gdy wszedł, powitała go, siedząc, w pozie dość swobodnej.

– Czemu zawdzięczam...? – zapytała, nie próbując ukryć niechęci, przeciwnie: podkreślając ją nawet.

Wiedziała, że działa to drażniąco.

Skłonił się lekko.

– Proszę o wybaczenie, wasza dostojność, jeśli przeszkadzam. Jednak sprawa, w której przychodzę...

– Jest najwyższej wagi – dokończyła, tłumiąc ziewnięcie.

Milczał przez moment.

– Właśnie tak.

Stał wyczekująco. Nie poprosiła, by usiadł.

– Przed chwilą – powiedział, widząc, że nie warto bawić się we wstępy – zatrzymano, na mój rozkaz, jego dostojność sędziego F.G.Nalweza.

Kilka myśli naraz przemknęło jej przez głowę. Zaskoczył ją, ale mogła i powinna to okazać.

Wstała.

– Dlaczego? – zapytała z niepokojem.

– Wasza dostojność, przyszedłem po twoją szczerość.

Bardzo patetycznie.

Usiadł nieproszony.

– Nie rozumiem – powiedziała, blednąc.

– Nie udawaj, pani. Podziwiam waszą zręczność, ale gra skończona. Najpierw może wyjaśnię kilka spraw, zdaje się bowiem, że twoi wywiadowcy w Armekcie nie spełnili pokładanych w nich nadziei. Jestem specjalnym wysłannikiem Imperatora. Moje uprawnienia... są nieograniczone. Właśnie tak.

Dał jej chwilę.

– To znaczy – dodał – że mogę równie dobrze polecić, by ucięto ci zaraz głowę, jak kazać zatopić wszystkie żaglowce Floty Głównej albo zdjąć z urzędu Księcia Przedstawiciela. Mogę tyle, co cesarz. Ani trochę mniej.

Nie była tym zaskoczona aż tak, jak udawała. Jednakże te słowa miały swoją wagę. W Kirllanie potraktowano sprawę naprawdę bardzo poważnie.

Spostrzegła nagle, że stoi, podczas gdy on siedział. Dobrze. Tak powinno zostać. „Przyszedłem po twoją szczerłość” – powiedział. Bzdura. Przyszedł po swój sukces. Znała to. Każdy, docierając do celu, chce mieć chwilę radości. Satysfakcji.

„Mów, mów...” – pomyślała. „Pobawmy się trochę”.

Powinna bardziej zblednąć czy się zaczerwienić?... Ostatecznie mogła na zmianę.

– Wiem, że los Najwyższego Sędziego Nalweza niewiele cię, pani, obchodzi – rzekł, rozsiadając się wygodniej. – To płaszczyk, pod którym prowadzisz własną grę. Przejrzałem ją, zaręczam. Ale ciągle nie wiem, czego właściwie spodziewałaś się po powstaniu?

Nabrała ochoty, żeby mu o tym powiedzieć.

– Może chciałam zająć miejsce Nalweza? Po zwycięstwie powstania zmieni się wiele, ale instytucje takie jak ta zawsze będą potrzebne.

– Naprawdę wierzyłaś, pani, że rebelia może zakończyć się sukcesem?

– Wierzyłam? Nie, panie, po prostu umiem liczyć. Stary Książę Przedstawiciel dba o garnizon w Doronie, i o żaden inny. Jeszcze nigdy Legia Garyjska nie była tak nieliczna. Nie mówiąc o straży morskiej. Umiem liczyć, panie. I wiem, że jeśli z jednej strony postawić czterech ludzi, z drugiej zaś dwóch, to ci dwaj na pewno przegrają.

– Nie zawsze tak bywa – zauważył. – Ale, prawdę mówiąc, podzielam twą opinię. Zwłaszcza jeśli chodzi o stan wojsk i flot w tej prowincji. Mimo to jednak boję się, pani, że twoje obliczenia nie są ścisłe. To ja mam owych czterech ludzi, nie ty.

– Któraś z nas liczy źle – przyznała. – Myślę, że nie rozstrzygniemy tego sporu. A w każdym razie nie teraz.

– To prawda. Boję się jednak, szlachetna – nie powiedział „wasza dostojność”; już nie była urzędniczką imperium – że gdy czas rozstrzygnięcia nadejdzie, nie będziesz mogła przyznać mi racji. Chyba że... – Zawiesił głos.

– Chyba że co, wasza dostojność?

– Chyba że naprawisz wyrządzone zło.

– W jaki sposób?

– O, najprostszy w świecie. Wiem bardzo dużo, znam nawet prawdziwy termin wybuchu rebelii, właśnie tak. Ale przecież nie wiem wszystkiego. Przyznaję to otwarcie.

– Czego zaś nie wiesz, panie, sądzisz, że wiem ja?

– Właśnie tak.

Zamyśliła się. Uznała, że jeśli Kiliven jeszcze raz powie „właśnie tak”, trzeba będzie walnąć go w nos.

– Wasza dostojność – odezwała się, nie kryjąc zaciekawienia – proszę mi jeszcze powiedzieć, kim jesteś? Prywatnie przecież. Bo że wysłannikiem Kirlanu, to już wiem.

– Powiedzmy, że... człowiekiem poleconym kiedyś szczególnej opiece Księcia Przedstawiciela Cesarza w Rollaynie.

– Poleconym przez kogo?

– Przez jej godność B.L.T.Elenę. Czy to coś wyjaśnia?

– Nieślubny syn Bavatara i Eleny. – Popatrzyła nań z uśmiechem. – Powinnam się była domyślić!

Odrobinę spochmurniał.

– Nie doceniałem cię, pani.

– Oj nie – rzekła prawie wesoło. – Za to ja, panie, mocno cię przeceniłam.

– Błędem było przypuszczać – powiedział ostro – że w Kirlanie ktokolwiek da wiarę, że ich dostojności Elena i Bavatar kupczyli stanowiskami. Grubym błędem!

– Przyznaję – powiedziała. – Ale, ale... Przecież jesteś, panie, bastardem?

Ciągle stała, lecz okazało się nagle, że łatwo jej dzięki temu patrzeć z góry.

Zapłonął gniewem.

– A kimże ty jesteś? Chcesz może, żebym ci powiedział?

– Dziwką – powiedziała z lubością. – Ladaczną, zdzirą i kurwą... właśnie tak. Za pieniądze dam nawet psu.

Rozchyliła usta i przesunęła koniuszkiem języka po zębach. Parsknęła śmiechem, gdy zerwał się z krzesła.

– Ależ, panie... Jeszcze tylko o jedno chcę zapytać: jak to możliwe, że z Kirlanu przysyłają człowieka może i niegłupiego, może i lojalnego, niemającego wszakże pojęcia o sposobie rozgrywania takich gier jak ta? Czyżby w stolicy stracili poczucie rzeczywistości? Wy naprawdę gardzicie Garrą i Garyjczykami – zauważyła. – Prymitywne wyspiarskie dzikusy, nieprawdaż? Tu ma wybuchnąć powstanie, słyszysz, chłopcze? Wojna, rebelia, nie pijacka burda! Czy wiesz, ilu specjalnych zabiegów wymaga przygotowanie gruntu pod bunt całej prowincji? Zajmują się tym, i zajmować muszą, ludzie będący urodzonymi kłamcami. Zakochani w matactwach i intrygach.

– Nie jestem kłamcą zakochanym w intrygach – oznajmił. – To najważniejsza różnica między nami. Jednak swoją misję spełniłem. A teraz już chodźmy, pani. Żołnierze czekają za drzwiami, więc chyba nie będziesz uciekać?

Był żaloszny.

– Żołnierze? Gwardia Garyjska będzie eskortować kobietę?

– Nie kobietę, lecz zdrajczynię i prostytutkę.

Westchnęła.

– Nie kobietę? No dobrze. Ile ty masz lat, moje dziecko? Hej, dzielny strażniku – mruknęła, nie zmieniając barwy głosu. – Twardo śpisz?

– Nie śpię, pani – rzekł olbrzym, wychodząc zza kotary.

Uniósł kuszę.

– Będą kłopoty – rzekł szyderczo Kiliven. – Za drzwiami stoją...

– No właśnie, za drzwiami – przerwała. – Gdyby byli tutaj, za kotarą... Ale chyba ich nie ma. Błagam, nic już więcej nie mów,

panie, twoja naiwność staje się męcząca. Będą kłopoty? To mogę mieć większe, niż mam?

– Moje uprawnienia...

– Nic nie znaczą. – Podeszła do służącego, dotykając jego ramienia.

– To nie sługa – powiedziała. – To przyjaciel.

– Co z nim robisz, gdy nie powinien słyszeć rozmowy? – zapytał Kiliven, pragnąc chyba zyskać na czasie; już nie było lekkości w jego głosie.

– Może słyszeć i zobaczyć wszystko.

Powinien krzyknąć, wszcząć alarm. Ale to łatwo doradzić, gdy w zasięgu wzroku nie ma bełtu wymierzonego w pierś. Grubego jak męski palec, z ciężkim czworograniastym grotem, oddalonego o dwa łokcie. Ciężko zdecydować: „No, już dobrze, teraz umrę, a co tam”.

Nie dostrzegł żadnego znaku ani gestu z jej strony – bełt po prostu przebił mu gardło. Jeszcze nie przebrzmiał szczęk kuszy, gdy rzuciła się jak wilczyca i zakryła mu usta dłonią, tłumiąc chrapliwy okrzyk. Ostatnie, co zapamiętał, to jej rozszerzone źrenice i wyszczerzone zęby.

Sługa zaraz pospieszył z pomocą i przytrzymał mężczyznę, a gdy ustały drgawki, wolno złożył trupa na podłodze.

Stojąc nad ciałem, popatrzyła na sługę, on zaś na nią.

– Teraz słuchaj – powiedziała. – To wojsko sprzed drzwi musi zniknąć. I to szybko.

Ruchem głowy wskazał okno.

– Mhm – potwierdziła. – Tego tutaj na razie schowam za kotarę. Dam radę, idź już. Spiesz się.

Pochylił się, wyrwał pocisk z trupa, gołą ręką napiął cięciwę. Podał broń. Wzięła bez słowa.

Olbrzym podszedł do okna, wyjrzał przez nie i wyszedł w mrok letniej nocy.

Została sama.

Nameczyła się sporo, ale ciało było zbyt ciężkie. Zawołała służącą i wspólnie zawlokły trupa za zasłonę. Potem kazała przerażonej dziewczynie usunąć krew z posadzki.

– Dobrze – powiedziała, gdy plama zniknęła.

Wskazała drzwi.

– Teraz idź tam. Nie wychodź.

Służąca spełniła polecenie.

Była nowa. Do jakiego stopnia wierna?

Alida pomyślała, że służącą trzeba będzie usunąć. Nie, nie zabić, tylko zamknąć gdzieś na jakiś czas. Po wybuchu powstania przestanie mieć znaczenie to, co zobaczyła.

Usiadła. Czekwała niecierpliwie. Szybciej, szybciej! Ci wojacy zostawieni za drzwiami mogli wejść w każdej chwili.

Zresztą kłopoty nie kończyły się na tych kilku gwardzistach. O, kłopoty to dopiero będą! Nie wiedziała, jakie ruchy zdążył wykonać Kiliven. Z pewnością byli ludzie, których powiadamiał o wszystkim; niepodobna, by działał samotnie. O kilku jego pomocnikach wiedziała. Ale zdaje się, że o tych mniej ważnych...

Oczywiste było tylko jedno: powstanie musiało wybuchnąć jak najszybciej. Należało przesunąć termin. Nim zaczną się prawdziwe kłopoty.

Siedziała, skubiąc palcami włosy. Znowu bierność. Ale już niedługo.

„Dlaczego bastard służy sprawie swojej matki?” – zapytała się w myślach. „I ojca?”

Wzruszyła ramionami.

Oficer dowodzący gwardzistami w gmachu Trybunału był jej człowiekiem. Powinien już się zjawić i zabrać swoich ludzi. Ich zdziwienie nie ma znaczenia, zaraz wsadzi się ich na statek, do ochrony jakiegoś ładunku, i niech tam gadają, co chcą. Ale teraz szybciej, trochę szybciej... Czas naglił, musiała natychmiast widzieć się z Ganedorrem.

W drzwiach stanął olbrzymi mężczyzna. No, nareszcie!

– Droga wolna, pani.

Wstała.

– Obok jest ta mała – rzekła. – Przypilnuj jej. I raczej nie spuszczaaj z oka.

– Przyślij mi kogoś do pomocy, szlachetna. – Pokazał bezwładnie zwieszoną rękę. – Skręciłem ramię, nie nadaję się do łożenia po



gzymśach... Idź, pani. Zdaje się, że masz niewiele czasu?

Pociągnęła go za szyję i pocałowała w policzek. Prawie pobiegła przez pokój, ale jeszcze się zatrzymała.

– Dlaczego bastard służy sprawie swej matki? – zapytała, odwracając się do sługi. – I ojca? Ludzi, którzy się go wyrzekli z obawy o swą reputację?

Wskazał skąpym gestem kotarę.

– Bo uczciwy – odparł. – Dlatego go tu przysłano. Ilu jest uczciwych w Kirlanie?

Skinęła głową na zgodę.

## ROZDZIAŁ 52



**P**rzyjęty mocno pocierał powieki. Wyglądał na zmęczonego.

– Co mam ci powiedzieć, panie? – rzekł cokolwiek posepnie. – To, co mówił ów grajek, jak go nazywasz, to prawda i nieprawda, wszystko razem.

– Nie sędzę, żeby ten człowiek mógł się mylić.

– Bo nie mylił się, lecz opowiadał bajki. Zmyślał, kłamał...

– Kłamał?

– Łgał jak pies, a tak po żołniersku: pierdolił. Zło i dobro, dziura i pióra... Słuchaj mnie. Po pierwsze, każda z kobiet, o których mówisz, to istotnie tylko część Rubinu, ale część zupełnie niezależna i żadnego przepływu mocy między tymi częściami nie ma ani być nie może. To teraz trzy Rubiny. Treść Geerkoto w ogóle jest niepodzielna, a ten oto fenomen zaistniał dlatego, że wszystkie trzy kobiety były kiedyś jedną. Jednym ciałem. Po wtóre, Kula Ferenu nie odmieni twej córki. Nie jest Rubinem i nie może istnieć w innym kształcie, a to z tej przyczyny, że jest, aż i tylko, zwiniętą w kłębek Jasną Smugą Szerni i przestając być Smugą, przestaje być w ogóle.

Raladan słuchał. Odbierano mu nadzieję.

– Żaden Przedmiot nie może istnieć w oderwaniu od pierwotnej swojej formy, z wyjątkiem tylko Rubinu, czy też raczej Rubinów, jedyne to bowiem Przedmioty różniące się wielkością, kształtem i właściwościami. Otóż widzisz, panie, Rubiny i Kule Ferenu... Mówimy tu o dwóch Porzuconych Przedmiotach, które właściwie nimi nie są. Czy wiesz, czym są Porzucone Przedmioty? Narzędziami, które służyły do stworzenia rozumu, teraz zaś... jak by to powiedzieć... służą do naprawy samej Szerni. Są wzorcami, dzięki którym...

Zamilkł. I namyślał się długo, a Raladan nie przeszkadzał.

– Nie, w ten sposób niczego się nie dowiesz – orzekł wreszcie Przyjęty. – Chcę ci opowiedzieć o wszystkim, więc nie opowiem o niczym. Więc tylko najważniejsze, tak po łebkach. Uważaj.

Raladan uważał i bardziej już nie mógł.

– Przedmioty są odbiciem Pasm Szerni, każdy z nich symbolizuje jakieś Pasma albo kilka Pasm. Opisując Pierwszą Właściwość Przedmiotu za pomocą liczb, uzyskuje się matematyczny model Pasma lub kilku Pasm Szerni. Czasem model wierny, a czasem przybliżony... Nie zdołam wytłumaczyć wszystkiego w dwóch słowach, ale może wystarczy, jeśli powiem, że Kula nie jest żadnym symbolem, tylko wręcz samym Pasmem, a raczej drobną częścią Jasnego Pasma; jest Smugą, tworzywem, z którego został zbudowany Feren. Mur. Tama, zaporą mająca na celu tylko jedno: powstrzymanie Wyklętych Pasm przed powrotem do treści Szerni. A odbiciem Wyklętych Pasm jest właśnie Rubin, panie. Twój kaleki starzec doradził ci wybornie, jak masz zniszczyć Rubin, a tym samym zabić tę dziewczynę. Przypląnąłeś tu, by znaleźć tę jedną jedyną rzecz na świecie, która służy tylko i wyłącznie do niszczenia Odrzuconych Pasm Szerni. I do niczego więcej.

Raladan zrazu nie odzywał się. Myślał.

– Dlaczego? – zapytał po chwili, przygaszony. – Dlaczego mnie oszukano?

– Nie wiem, panie. Mogę tylko zgadywać. Myślę, że coś chce zaszkodzić Prawom, a ta istota jest, przypomnę ci, Strażnikiem Praw. Bezmiary toczą wojnę z Wyklętymi Pasmami albo może zawarły z nimi sojusz. Nikt tego nie oceni, nie umiemy odróżnić ich przymierza od wojny. Niemniej Bezmiary odgrywają tu ważną rolę.

– I co to ma wspólnego z Ridaretą?

– Prędkiej z tobą.

Starzec znów potarł powieki.

– Bezmiary, panie, są bytem tak złożonym jak Szerń. Nie, to nie jest po prostu dużo wody. Być może ocean jest potęgą sprawczą o innej niż Szerń naturze, lecz porównywalnej sile. W rozważaniach jednego z dawnych mędrców jest uwaga o Bezmiarach i Wyklętych

Pasmach – powiedział. – Wczoraj odkryłem w tej uwadze Przepowiednię. To niezmierna rzadkość. A nie wiem, czy kiedykolwiek Przepowiednia była aż tak jednoznaczna. Powiem ci, panie, że zdała mi się zgoła zbyt jednoznaczna. Padają w niej imiona, to się nigdy nie zdarza. Prawie nigdy. Mędrzy-Przyjęci to ludzie i jako ludzie właśnie mają prawo się mylić. Są w tej księdze uwagi – wskazał wielki tom – które uznać można czasem za zwyczajnie głupie czy też pozbawione większej treści. Fragment, o którym ci mówię, jeszcze przed tygodniem uznałbym za legendę, zwykle brednie i tyle.

Znów się zmitygował.

– Gadatliwy jestem. To starość i samotność. Od lat rozmawiam tylko z tymi księgami i moimi psami. Podaj mi ten dzbanek... nie, ten drugi, do tego czasem sikam. Imiona, panie – ciągnął, przysuwając kubek. Upewnił się, co jest w dzbanku, nalał wina i posunął kubek po blacie w kierunku Raladana, sam zaś pociągnął prosto z dzbanka. – Wymieniłem, pamiętasz, imię Get-Khagdob. Oznacza to w dawnej mowie Grombelardu: Król (Królowa) Rubinów. Dosłownie: Jedyna Pani. Riol'atae albo Rioll'atee to, wiesz przecież, imię tego Przedmiotu w starogrombelardzkim brzmieniu. Nie pytałem o trzecie imię, bo sam pomyślałem, że ktoś mógłby je nosić, wydał mi się niepoważny... Właśnie przez to imię wątpiłem w Przepowiednię. Jeśli jest prawdziwe, to znaczy, że Bezmiary dysponują mocą, której istnienia nikt dotąd nawet nie podejrzewał. Mocą sprawczą, być może świadomą.

– Co to za imię?

– Ghaladan.

Zaskoczony Raladan uniósł dłoń do czoła.

– Na Szerń... to moje imię, choć wymawia się je trochę inaczej...

Starzec kiwnął głową.

– Nie mogę już wątpić, że naprawdę znalazłem Przepowiednię, a jednak wciąż nie rozumiem. Powiedz, panie, i upewnij mnie: czy możliwe, byś był... synem władcy Bezmiarów? Albo nawet nim samym?

– Władca Bezmiarów?

– Może to świadomy... nie ma dobrego słowa w żadnym języku świata. ŚWIADOMA RZECZ, taka jak Rongoloa Kraf, a może tylko jedyna istota na świecie, której rozum nie jest dziełem Szerni ani żadnej podobnej potęgi. Istota rozumna w inny sposób niż my. Nikt nie twierdzi, że coś takiego w ogóle istnieje... Jak to wytłumaczyć? – Zafrasował się. – Tylko na zasadzie analogii można rozważać jej istnienie. Z nieożywionej i bezrozumnej Szerni wyłonił się żywy, a raczej tylko świadomy Kraf, mający moc stwarzania rozumu. Czy Bezmiary też wyłoniły coś takiego? To najczystsze gdybanie, te Potęgi mają różną naturę i nie muszą być w niczym podobne.

Raladan przecierał twarz, jakby chciał zetrzeć z niej sen.

– Co oznacza to imię? – rzekł głucho. – Raladan, Ghaladan... Czy coś znaczy?

– Tłumaczy się „wąż morski”, panie.

Raladan pochylił się jak uderzony, wciąż z dłońmi przy twarzy. Ujrzał nagle dzień swoich narodzin, gdy pytano go, kim jest... Znalazł źródło wiedzy o tysiącach skał podwodnych i mielizn, o sztormach i prądach. I pomyślał, że już wie, dlaczego tu, na Morzu Pustym, gdzie nie sięga władza Bezmiarów, zawsze go strzegą najwspanialsze stworzenia słonych wód – stuzębne, czarno-białe olbrzymy.

Wyprostował się.

– To za dużo dla mnie. Jestem... chcę być tylko żeglarzem – powiedział. – Ale rzeczywiście wyciągnięto mnie z wody, a rozumiem morza chyba lepiej niż ktokolwiek inny. Widziałem... widziałem węża morskiego. Zaraz po tym, jak mnie wyratowano. Skoro go widziałem, to chyba nim nie jestem. Stworzył mnie? To chcesz, panie, powiedzieć?

Starzec oparł na stole swą jedyną dłoń.

– O Szerni mogę gadać i gadać. Ale tutaj? Co ja „chcę powiedzieć”?...

Raladan podszedł do wąskiego okna i spoglądał na morze.

Bardzo długo obaj milczeli.

– Jakies dziesięć lat temu – powiedział kapitan przez ramię – wysłuchałbym tego wszystkiego jak żeglarskiej bajdy w tawernie.

A ty byłbyś dla mnie, panie, czarodziejem siedzącym w wieży. Każdy wie o Szerni, widział jakiś Przedmiot, Listek Szczęścia albo Latarnię, wiadomo, że są Srebrne Pióra. To wszystko jest takie... zwyczajne. No, może poza Złym Krajem, byłem już tutaj kiedyś i swoje przeżyłem. Ale reszta to bajki w tawernach. Potem jednak zobaczyłem, panie, spalony okręt taranujący żaglowce i byłem na jego pokładzie, mówił do mnie mój martwy kapitan, na własne oczy widziałem Ciemne Pasma i nieśmiertelną dziewczynę, która z niemowlęcia stała się kobietą w kilka lat... Teraz już uwierzę we wszystko.

Odwrócił się tyłem do okna i rozłożył ręce.

– Tylko co z tego dla mnie wynika? Stworzyły mnie Bezmiary? Bardzo pięknie, bo wielu zostało stworzonych przez pijanego głupka, który dorwał portową dziwkę, wąż morski nie jest taki najgorszy. Ale teraz chcę być człowiekiem, nikim i niczym ponadto.

– Chcesz, nie chcesz... – Przyjęty pokręcił głową. – Związałeś się z dziewczyną, która jest Rubinem. Tak wyszło. Jeśli ci wygodnie, to sobie powiedz: los tak zdarzył. Zostawisz ją?

– Nie zostawię.

– No to pilnuj Prawa Równowagi.

– Co mnie ono obchodzi?

– Prawa nie są dobre ani złe – powiedział starzec. – Opisują współistnienie Potęg i światów, tylko tyle.

– To niech opisują. Szerń, Wyklęte Pasma, a na koniec i sam Szerer... To wszystko, panie, jest mi najzupełniej obojętne. Odebrałeś mi nadzieję...

– Zaczynasz gadać głupstwa. Niczego nie odebrałem. Napij się wina, usiądź... no, nie bardzo masz gdzie – zauważył niezadowolony.

– Przecież ja dopiero zacząłem mówić, bo na razie ledwie zagailem.

Raladan spojrział z niedowierzaniem. Po chwili uśmiechnął się blade.

– Tak już lepiej – ocenił Tamenath. – Zobacysz wkrótce swoją córkę – dorzucił niespodziewanie. – Nic więcej ci nie powiem, bo nie wiem. Ale jest rok spięcia Klamry. Wiele zdarzeń rozgrzebanych

przed dziewięcioma laty powinno mieć teraz dalszy ciąg. I kres. Na pewno na Agarach, przynajmniej tak wynika z Przepowiedni.

– Skąd się biorą Przepowiednie?

– Są w tej księdze. Przepowiednia to niedobre słowo, bo przywołuje na myśl jakąś jarmarczną wróżbę. Właściwie to się powinno wyklądać: objaśnienie. Może: wytłumaczenie. Stary język Shergardów, zwany starogrombelardzkim, jest w zapisie bardzo wieloznaczny. Cokolwiek tu napiszę, może zostać jutro uznane za...

Wzruszył ramionami.

– Spróbujmy inaczej. Patrz: budujesz zamek z piasku na tej plaży, potem rzucasz w niego kamieniami. Co to będzie? Zabawa. Co znaczy? Że się nudzisz i tyle. Następnego dnia piorun rozwała moją wieżę. Zostaniesz okrzyknięty jasnowidzem. Przepowiednia!

Zamachał dłonią, uprzedzając kolejne pytanie.

– Na razie wystarczy, bo ochryplęm. Dzisiaj chyba jeszcze nie odpłyniesz?

– Dzisiaj nie, ale jutro już tak. Muszę jeszcze na Czarne Wybrzeże. Dobrze, panie, teraz już się zamknę. Ale jutro będę miał znowu wiele pytań.

– Odpowiem. Przynajmniej spróbuję.

Powodowany odruchem Raladan podszedł do siedziska, wyciągając dłoń; starzec wstał i podał mu swoją.

– Płyn, panie, ze mną – poprosił z głębi serca kapitan.

– Nie, żeglarzu. Rzeczywiście chcę się stąd zabrać, ale jeszcze nie teraz. Jeśli moje życie ma mieć sens, to muszę zapełnić kilka stron w tej księdze.

Niewysoki Raladan musiał zadrzeć głowę, by spojrzeć w oblicze ogromnego starca.

– Naprawdę, panie – rzekł, odpędzając na chwilę czarne myśli – mój dawny kapitan był bardzo wysoki, ale nie aż tak. Prawdę mówiąc, spotkałem w życiu tylko jednego człowieka równego ci wzrostem. Nie był może mędrcom, jak ty, ale jednak kimś bardzo niezwykłym. Tak jak jego koci przyjaciel.

Przyjęty znieruchomiał na chwilę.

– O kim mówisz? – zapytał ostro.

– O pewnym grombelardzkim góralu – odrzekł kapitan, nieprzyjemnie uderzony tonem gospodarza. – I o kocurze będącym ponoć magnatem.

Jednoręki olbrzym usiadł na swym pniu.

– Gdzie spotkałeś tego górala? To mój syn – powiedział niegłośno. Raladan odstąpił krok do tyłu.

o o o

– Może Davahoden wie coś więcej – zakończył opowieść kapitan. – Parę lat przesłużył w Ciężkich Górach.

– Dawaj go tutaj – zażądał prawdziwie uradowany starzec.

Wkrótce potem kusznik, cokolwiek zdezorientowany, zdawał sprawę ze swej służby w Legii Grombelardzkiej, a najbardziej ze wszystkiego, co dotyczyło Basergora-Kragdoba.

– Drań – orzekł z wielką dumą Tamenath. – I zawsze z dwoma mieczami, powiadasz?

– Tak mówili – potwierdził kusznik. – Jeden miał być zwykły, a drugi bardzo wąski. Nigdy nie widziałem, by ktoś nosił taki miecz, zdaje mi się, że tak długa i wąska głownia musi być dość słaba?

Raladan pokręcił głową; widział te miecze w walce.

Starzec wstał i wyszedł z komnaty. Słyszeli jego ciężkie kroki, gdy szedł na wyższe piętro wieży. Wrócił wkrótce, niosąc pod pachą mnóstwo oręża.

– To jest tarsan – powiedział, bezustannie promieniejąc.

Wyciągnął dłoń, w której lśniło wąskie srebrzyste ostrze.

– Wiesz, co znaczy „tarsan”, żołnierzu? – zagadnął. – To z języka Shergardów, ale znaczy to samo w grombelardzkim.

Kusznik skinął głową.

– Tyle co aha! Zabójca.

– Stara broń, od wieków nieużywana. To miecz tylko do kłucia, ale spójrz na zastawę. Zupełnie tępą, za to grubsza i mocniejsza niż reszta głowni. Przyjme cios każdej innej głowni mieczowej. Przede wszystkim jednak tego miecza zawsze używa się wespół z drugim,



krótkim, i do parowania ciosów służy właśnie tamten, trzymany w lewej ręce. Był kiedyś w Ciężkich Górach potężny naród Shergardów. Sztuka walki dwoma mieczami zaginęła wraz z nimi. Nie od razu jednak. I nie całkiem... Znałem jednego z ostatnich mistrzów tej broni. Lepiej nie pytajcie, kiedy to było. Powiem tylko, że ostatnie kilkanaście lat spędziłem, z krótkimi przerwami, właśnie tutaj. W Romogo-Koor.

Raladan i kusznik wymienili spojrzenia.

– Sto lat?... – obliczył Wyspiarz z podziwem.

– Znacznie więcej. I dołóż dwa razy tyle, bo wcześniej też tu siedziałem. Ale uciekłem, bo... no cóż, niełatwo wytrwać. Wielu Przyjętych uznało, że wzięli ciężar ponad siły. Zgłębianie istoty Pasm i natury Praw to zajęcie niezwykle, ciekawe... ale można je wykonywać właściwie tylko tutaj. Czyli trzeba bardzo, ale to naprawdę bardzo lubić rzepę. Był czas, gdy chciałem wrócić do świata. Byłem zupełnie taki jak ty dzisiaj – wycelował palec w Raladana – nie chciałem być dziwolągiem, tylko zwykłym grombelardzkim kusznikiem. Więc wróciłem, wyrzekłem się swej wiedzy, powiedziałem sobie, że nie jestem Przyjętym, tak jakby to ode mnie zależało. Właśnie kilkanaście lat temu. Moich lat. W Szererze był rok dwieście pięćdziesiąty szósty ES. Teraz mamy...

– Czterysta osiemnasty – odpowiedział Davahoden.

– Byłem innym człowiekiem. – Przyjęty zmarszczył czoło. – Obcowanie z Szernią pozwala długo zachować siły i zdrowie. Mając lat siedemdziesiąt, wyglądałem na czterdzieści. Zawsze jednak w końcu nadchodzi czas, gdy trzeba zwrócić Pasmom ich dar. Dla mnie ten czas nadszedł przed kilkanaście laty. Przez rok posunąłem się o lat dwadzieścia... – Machnął dłonią, odpędzając niepotrzebne myśli. – Ale wcześniej, wtedy, żyłem całą gębą, wyrzucając sobie tylko, że tak długo byłem głupcem. Kobieta, z którą chciałem przeżyć życie, zmarła jednak, wcześniej dając mi syna... – Cień starego smutku przemknął po twarzy olbrzyma. – Nigdy nie mówiłem o tym, i z nikim – podjął, obrzucając wzrokiem gości. – Prawdę rzekłszy, nie miałem komu mówić.

Sięgnął nagle do stołu, gdzie złożył przyniesiony oręż, wziął potężną kuszę i podał Wyspiarzowi.

– Masz, żołnierzu – rzekł szorstko. – Takiej nigdzie nie znajdziesz. I nie bocz się, że wyrzuciłem cię dziś za drzwi... ani że wyrzucam cię znowu. Mam jeszcze dwa słowa do twego kapitana.

Kusznik zważył dar w dłoniach.

– Za to cacko dam się wyrzucić dziesięć razy.

– Jutro znajdę korbę i bełty.

Davahoden uśmiechnął się i wyszedł.

– Dokończę opowieść, ale tylko dla twoich uszu, Raladanie. Mój syn nie zna swojego pochodzenia, tak jak ty nie znałeś. Nie zna swojego ojca, albo raczej: nie wie, kto nim jest. Raz zapytał... chociaż nie wprost... Więc okłamałem go. Jest podobny do matki, po mnie ma tylko posturę. Człowiek długo obcujący z Szernią – ciągnął – nie może bezkarnie płodzić potomstwa. Chciałem oszukać Pasma. Nic z tego. Nie spłodziłem niedojdy ani potwora, miałem więc naprawdę dużo szczęścia. Ale mój syn nie był zdolny do życia poza tym miejscem, poza Nienazwanym Obszarem. Zły Kraj, jak go nazywacie, był dla niego krajem dobrym i jedynym. Gdzie indziej chorował... umierał. Wychowywałem więc go tutaj, próbując znaleźć sposób, lekarstwo. I znalazłem. Ale chłopak musiał stracić pamięć. A ja właśnie wtedy zacząłem się starzeć, z dnia na dzień. Wyprowadziłem młodego mężczyznę, kilkunastoletniego, ale zrodzonego przed wiekiem, do Grombelardu, sam jednak musiałem tu wrócić, bo inaczej moja zaległa starość wtrąciłaby mnie do grobu w parę dni, podczas gdy w Romogo-Koor możliwe było przeczekanie, przeżycie. Odebrałem od Szerni należne mi lata, a potem... to właśnie krótkie przerwy, o których mówiłem. Opuszczałem Obszar. Wtedy w Grombelardzie młody, wielki mężczyzna spotykał czasem olbrzymiego jak on sam starca, który powiedział mu, czym jest tarsan, czym jest Szerń... ale nigdy nie powiedział, kim jest jego ojciec. Bo bałem się, że mnie przeklnie.

Zatrzasnął swoją księgę jak trumnę.

– To już druga przepowiednia tego dnia, tym razem dotycząca tylko mnie. Dostałem znak, żeglarzu. Do miejsca, gdzie nikt nigdy nie

bywa, trafia akurat człowiek znający mojego syna. Moja Klamra właśnie się spięła.

Odetchnął bardzo głęboko.

– Los przysłał po mnie statek, tylko popatrz – rzekł z nowym przebłyskiem humoru. – Jeśli nie skorzystam z tej okazji, to za rok lub półtora przekręcę się na tym siedzisku głupio i bez sensu, tak jak żyłem... Pomożecie mi jutro przenieść graty? Będzie pół ładowni. A, i jeszcze pies. Mogę być na statku za kucharza, bo w ogóle nie umiem gotować. Chyba że kapuśniak na rybie.

## ROZDZIAŁ 53



Po raz pierwszy spotkały się w cztery oczy. Semena chodziła po pokoju. Alida siedziała, spokojnie wybierając dartańskie rodzyнки z patery pełnej wszelkich owoców.

– Niemożliwe – powiedziała Semena.

– Konieczne – odparła równie zwięźle tamta.

– Posłuchaj, pani, powstanie miało wybuchnąć...

– Wiem, kiedy miało wybuchnąć. Ale wybuchnie wcześniej, i to będzie za tydzień. Jeśli utrzymamy stary termin, to będziemy mieć do czynienia z Wielką Flotą Armektu. Jedyne, co możemy zrobić, to przyspieszyć wszystko. Jest nadzieja, że pokonamy wojska prowincji, nim nadejdą posiłki. Wtedy stawimy czoło tamtym, o ile nie zawrócą. Doniesiono mi, że mają to być siły dość duże. Dość duże jednak dla wzmocnienia miejscowych garnizonów; zbyt małe, by samodzielnie prowadzić wojnę z całą Morską Prowincją. Jeśli zawrócą, zyskamy całą jesień, by okrzepnąć. Zgodnie z planem.

– A jeśli Kirlan zdoła wzmocnić Wielką Flotę jeszcze przed nadejściem jesieni? Na przykład eskadrami dartańskimi?

– No dobrze, pani. Czekam na twoje propozycje. Sytuacja jest jasna: Wielka Flota Armektu zbiera się w Banie, może już się zebrała, może już tu płynie. Co robimy? Podaj mi swój plan, przemyślimy go.

Semena zacisnęła usta.

Oczywiście... Cóż mogła odpowiedzieć? Jeśli powstanie miało mieć jakiegokolwiek szanse, należało zaczynać natychmiast.

Ale to musiało wpłynąć na jej plany. Oto miała uderzyć na Agary dobry miesiąc wcześniej, niż zamierzała. Dlaczego? Bo swój plan oparła właśnie na powstaniu. Oddziały buntowników zając miały

miasta i wszystkie porty Garry. Jej przypadło w udziale jedno z najtrudniejszych zadań: opanowanie Dorony, czyli uporanie się z najlepiej wyszkolonym wojskiem na wyspie, jeśli nie brać pod uwagę setki gwardzistów w Dranie. Zakładano do niedawna, że część wojska w Doronie pójdzie za Askarem, no ale...

Wierzyła, że poradzi sobie bez Askara. Potem zamierzała przy pomocy swoich najemników opanować zdobyte przez rebeliantów okręty cesarskie. Potrzebowała ich. Kupiła niedawno trzy stare holki (za złoto swego ojca), ale na jednym wciąż jeszcze wymieniano osprzęt; stał w Tarwelarze, nad Morzem Zamkniętym, a w najlepszym wypadku właśnie stamtąd wypływał. Powrotu drugiego, z Dartanu, oczekiwała najprędzej za miesiąc. Niezależnie jednak od tego, czy miałyby wszystkie swe okręty pod ręką, czy też nie – trzy holki oraz stara koga i „Seila” (te ostatnie mogły nie wrócić ze Złego Kraju) to była flota wystarczająca do zdobycia Agarów, ale nie do ich utrzymania! Rokowania z załogami pirackimi były trudne ze względu na szczególne, obustronne ostrożności. Poza tym udział piratów w wojnie o Agary przewidywała dopiero wiosną przyszłego roku. Przede wszystkim dlatego, że już nie miała złota.

Wydatki były gigantyczne, dopiero niedawno uświadomiła sobie, jakich właściwie kwot wymaga utrzymanie trzystu pięćdziesięciu ludzi, nie licząc nawet kosztów wyposażenia. A inne wydatki były jeszcze większe: szpiedzy, wywiadowcy... Łapówki. Riolata zostawiła jej pręźnie działające przedsiębiorstwa kupieckie, zrujnowane nieco przez Raladana. Do zysków czerpanych z handlu dochodził majątek Demona Walki i to, co zdołała zaoszczędzić dla siebie z powstańczej szkatuły. Wszystko mało! Dwie setki piechoty ognistej i setkę kuszników wyszkolił jej jeszcze Askar; niełatwo było utrzymać w tajemnicy istnienie takiej liczby gotowych do boju ludzi. Ale pięćdziesięciu toporników, których potrzebowała – brakowało. Chciała zebrać ich w ostatniej chwili, by zaoszczędzić chociaż na żołdzie. Uzbrojenie miała. Oczywiście, że banda łapserdaków w zbrojach nie mogła mieć dużej wartości. Ale złoto, złoto! Skąd je miała brać?! Nabycie trzech starych holków i przeciągający się remont jednego z nich pochłonęły ostatnie rezerwy.

Dlatego nie mogła nająć piratów. Zresztą, nawet gdyby mogła... własna flota i tak była niezbędna. Jeśli nie będzie jej miała, to kto obroni ją samą przed takimi sojusznikami jak Brorrok?

Musiała mieć okręty.

Tym bardziej że teraz nie miała do dyspozycji ani jednego. Rzeczą nierealną było sprowadzenie któregokolwiek z tych żaglowców na Garrę w czasie dostatecznie krótkim, by przydał się podczas powstania. Choćby do ucieczki, gdyby coś poszło nie tak.

Musiała zdobyć okręty.

I mogła je zdobyć. Ale tylko na początku rebelii, w panującym zamieszaniu. Potem sprawa będzie trudna albo po prostu niemożliwa do przeprowadzenia. Wszelka zwłoka oznaczała ponadto, że jej ludzie, których szkoliła i utrzymywała z myślą o Agarach, zostaną wciągnięci w walki z cesarskimi legiami, walki może długie, a na pewno krwawe. Ilu ich zostanie dla jej celów?

Najgorsze, że zdobywszy Agary, będzie musiała to utrzymać w tajemnicy przez miesiąc, nim jesienne sztormy zabezpieczą wyspy. Jakim cudem? W jaki sposób miała zwieść rebeliantów? Ludzi, którym porwie sprzed nosa tak potrzebne okręty? Których postawi w ciężkiej sytuacji, osłabiając siły przez zabranie kilkuset swoich żołnierzy? Przecież będzie pościg. Gdyby wszystko miało się rozegrać zgodnie z pierwotnym planem, a więc na dwa, trzy tygodnie przed sztormami, mogła być spokojna, że okręty ścigające jej eskadrę zawrócą albo też zapędzą się zbyt daleko i nie zdążą z powrotem na Garrę. Nawet gdyby odkryto, że jej celem są właśnie Agary, miałyby to niewielkie znaczenie.

Nowa sytuacja czyniła wszelkie rachuby bezwartościowymi. Jeśli wodzowie powstania dowiedzą się, gdzie poszły uprowadzone żaglowce, to zrobią wszystko, by usłyszał o tym Kirlan. Choćby już tylko po to, by odwrócić uwagę imperium od Garry. Jeśli powstanie uzyska znaczne sukcesy, w Armeckie ktoś rozsądny może dojść do wniosku, że pospieszna interwencja nic nie da. Przygotowania do wojny pójdą pełnym wiatrem, ale wojna zacznie się dopiero zimą. Wystarczy jednak Armektowi sił i czasu, by puścić na dno parę okrętów, jakie będzie miała na Agarach. Cesarz łatwo policzy, że

później, prowadząc zmagania z Garrą, nieprędko będzie mógł pozwolić sobie na agarską awanturę...

Tydzień! Ledwie tydzień na ułożenie nowego planu. A sto innych spraw? Należało natychmiast zakończyć wszystkie interesy, sprzedać to, co sprzedać można, bo potem, gdy wybuchnie rebelia, nikt nie da sztuki srebra za kamienicę w Doronie.

Alida ziewnęła.

– Przemyślałaś wszystko, pani? – zapytała. – Skąd te rozterki? O ile wiem, przygotowania ukończyłaś już dawno. Tak, tak, oczywiście, że nic nigdy nie jest naprawdę skończone, zawsze jeszcze można coś poprawić. Ale to drobiazgi, szczegóły. Przesunięcie terminu ma pewną zaletę, bo coraz trudniej jest utrzymać tajemnicę.

Semena skinęła głową. Tu się zgadzały. Jej strzelcy i kusznicy nie byli przecież trzymani w żadnych koszarach. Brali żołd, ale łazili, oczywiście bez uzbrojenia, po całej wyspie i robili, co chcieli. Mówili – też co chcieli... Krążyły jakieś plotki, a w garnizonie, podobno, zupełnie serio zaczęto się zastanawiać, co znaczą dziwne pogłoski o nowej broni, lepszej jakoby niż kusza. Miał się już w to wmieszać doroński Trybunał, ale Alida jakoś wytłumiła sprawę. Nie mogła jednak niczego narzucić wojsku. Znowu zabrakło Askara.

I znowu popłynął strumień złota na łapówki.

– Opanuj stolicę – rzekła Alida – a o resztę się nie martw.

– Oczywiście – odparła Semena. – Po prostu zmiana terminu zaskoczyła mnie. Wiesz, pani, że prowadzę interesy. Przyspieszenie powstania nie wyjdzie im na dobre. Ale trudno. Z głodu chyba nie umrę.

– Tym się nie przejmuj. Zajmij stolicę, a po wyzwoleniu Garry znajdą się ludzie, którzy zadbają o twój byt – zapewniła Alida.

„Ty naprawdę wierzysz w zwycięstwo?” – zapytała w myślach Semena. „Miałam cię za rozsądniejszą”.

– Miasto będzie opanowane.

– O, to rozumiem. – Alida wsypała do ust garść rodzynek. – Jeszcze jedno: czy kontrolujesz Bagbę?

– Oczywiście. Tak jak ustaliliśmy.

– Więc będziesz, pani, koordynować działania w Bagbie i w Doronie. Do pomocy dostaniesz dwóch ludzi: jednego tam, drugiego tu.

Semena podeszła do stołu, przy którym siedziała blondynka.

– Co to znaczy? – zapytała wrogo.

– Nic ponad to, co powiedziałam – rzekła ze zdumieniem Alida. – O co ci chodzi, Semeno?

Ależ słodko.

– Wiesz dobrze, o co mi chodzi! – Semena cofnęła się pod ścianę, jakby dla nabrania rozpędu. – Chcesz mnie kontrolować?

Alida z uśmiechem rozgniotła rodzinę. Oblizwała słodkie palce.

– Powiedz, pani, dlaczego tak mnie nie znosisz?

– Z wzajemnością, prawda? – stwierdziła raczej, niż zapytała Semena.

– O tak... – Blondynka spojrzała zalotnie. – Masz, pani, naturę dziwki. Nie znoszę tego u nikogo prócz siebie.

Semena przypadła do stołu i zmiotła paterę na podłogę. Owoce potoczyły się po deskach, rodzinę spadły jak deszcz.

– Nie wiem czemu – syknęła – ale gdy ktoś porównuje mnie z dziwką, mam ochotę dać jego serce psom.

Alida westchnęła. Nie wyglądała na przerażoną.

– Trzymasz psy?... Nie wiedziałam. Jesteśmy sobie potrzebne, prawda?

– Niestety. Oczywiście – zgodziła się tamta.

– A zatem omówmy szczegóły. Został nam tylko tydzień.



## ROZDZIAŁ 54



**W**racali.

„Seila” gładko szła półwiatrem na południe, lekko ku wschodowi. Mieli opłynąć półwysep Mały Dartan i pożeglować dalej, wzdłuż dartańskich brzegów, a potem na południowy zachód, w stronę Garry.

Trwała pełnia lata.

Pracy na okręcie nie było zbyt wiele; pierwszego dnia po opuszczeniu Złego Kraju majtkowie, nie mówiąc już o żołnierzach, znaleźli dość wolnych chwil, by roztrzasać dziwy tego miejsca. Rozprawiano o zagadce spowolnienia czasu, ale raczej niechętnie, bo nie dało się jej objąć umysłem i dlatego trochę przerażała. Każdy słyszał kiedyś o tym fenomenie, co innego wszakże słyszeć, a co innego sprawdzić, że to wcale nie bajka.

Piękna pogoda sprawiła, że mało kto tkwił pod pokładem. Niebezpieczeństwa dziwnej krainy zostały z tyłu, Morze Dartańskie wydawało się swojskie i bezpieczne.

Zauważono, że orki już im nie towarzyszą.

Tylko dwóch ludzi nie było tego dnia na pokładzie: kapitana i mędrca Szerni. Od chwili, gdy zapadła decyzja o powrocie, prawie nie opuszczali kajuty.

Obecność starca na okręcie sprawiała, że majtkowie czuli się niepewnie. W mocnej klatce w ładowni siedziało ogromne psisko. Ponadto wieźli całą masę Porzuconych Przedmiotów, o których nazwy i zastosowanie woleli nawet nie pytać. Wystarczyły przygody, jakie mieli, poszukując ich na Czarnym Wybrzeżu. Niestety, ubyło dwóch ludzi.

Raladan i Tamenath wiele rozmawiali. Kapitan chciał wiedzieć, co oznacza jego pochodzenie; pytał też o treść Przepowiedni, pragnął lepiej zrozumieć, czym właściwie są Prawa Całości. Przede wszystkim jednak pytał o Ridaretę.

Ale odpowiedzi, które mogłyby go zadowolić, nie uzyskał.

Tymczasem Przyjęty wiedział więcej, niż mówił. Już dziesięć razy chciał podzielić się przypuszczeniami, ale zawsze przypominał sobie jedną z wielkich życiowych mądrości: że niespełniona nadzieja może nawet zabić.

Chciał ustrzec Raladana, nie siebie. Dlatego gdy szło o Ridaretę, wykręcał się od jasnych odpowiedzi.

Gdy byli w Obszarze, stary olbrzym mógł czerpać z Pasm, które niemal dotykały wody i ziemi. Przyjęty – to słowo oddawało naturę współistnienia z Szernią. Wisząca nad światem Potęga przyjęła go, był niejako jej częścią albo wiernym odbiciem. Mógł prawdziwie wieszczyć, bo niektóre domysły, oparte na Prawach Całości, natychmiast zyskiwały potwierdzenie. Przypominało to zabawę w „ciepło-zimno”; od razu zyskiwał podpowiedzi, że idzie w dobrym kierunku – albo dowiadywał się, że błądzi.

A umiał szukać, czyli stawiać właściwe pytania, bo uczył się tego przez całe długie życie.

Opuścili Romogo-Koor, dni mijały i stary gaduła, który z braku towarzystwa dawno zapomniał, że nim jest, coraz mocniej i częściej musiał gryźć się w język. Był niemal pewien, że wkrótce coś się wydarzy.

o o o

Gong obwieścił zmianę wachty, ale Raladan nie zwrócił na to uwagi, chociaż zwykle lubił patrzeć na swoich marynarzy. Znał na wylot naturę tych ludzi, umiał poznać, czy któremuś coś dolega, obchodziło go też, czy wachta tworzy zgrany zespół. Pozornie nie zajmował się podobnymi sprawami, bo załoga nie powinna wiedzieć, że kapitan ma czas na głupstwa. A jednak jakimś cudem

wszystko było po jego myśli, chociaż o niczym nie słyszał, nikogo o nic nie pytał, nie pokazywał palcem...

Teraz jednak nie patrzył na majtków. Stał na dziobie, a upodobał sobie miejsce, w którym kiedyś stawała Riolata: dobre dwa kroki w lewo od dziobnicy, na wysokości kluzy. Wiatr zamierał, jego gorące podmuchy słabo lizały płótna. Niebo było czyste, lecz na wschodzie, tuż nad horyzontem trwała, jak przyklejona do błękitu, czarna chmurka.

– Wachtowy! – raczej powiedział, niż zawołał.

Majtek, łomocząc piętami o deski, przybiegł natychmiast.

– Cała załoga na pokład.

– Tak, panie!

Raladan poszedł na rufę. Wachtę trzymał jego zastępca.

– Bohed, będziemy mieli burzę. Też to widzisz? A jakże. Mocuj wszystko, daj sztormowe płótna na maszty, ale tak późno, jak tylko można. Teraz kurs na zawietrzną, uciekamy do Małego Dartanu.

– Tak, kapitanie.

– Wiem, co myślisz. Mamy blisko Alpe i Logoki, ale nie ufam tym wyspom, marne tam kotwicowiska, same skały. Na pewno zdążymy do Dartanu, tylko wszystko ma iść piorunem.

Chwilę później kapitan wszedł do swojej kajuty, dzielonej teraz z Przyjętym. Starzec spał; Raladan już wiedział, że olbrzym kiepsko czuje się na morzu.

– Będzie burza, panie – poinformował, gdy starzec przecierał twarz. – Chcę zapytać, czy trzeba jakoś szczególnie zabezpieczyć Porzucone Przedmioty? To na wypadek, gdybyśmy nie zdążyli do dartańskich brzegów.

– Płyniemy do Dartanu? – zapytał z nagłym ożywieniem Przyjęty.

– To najlepsze, co można zrobić. Sztorm idzie ze wschodu, jeśli nie znajdziemy bezpiecznej kryjówki, pogna nas właśnie w stronę dartańskich brzegów. Możesz tego, panie, nie wiedzieć, ale w czasie burzy ląd jest najgroźniejszym wrogiem dla każdego statku.

– Mimo to płyniemy ku niemu?

– Owszem, ale na razie z własnej woli, nie na skrzydłach burzy. Znajdziemy jakąś zatoczkę, osłoniętą dobrze od wiatru

i pełnomorskiej fali, staniemy tam na kotwicy i będziemy prawie bezpieczni. Co innego, jeśli to sztorm rzuci nas na brzegi.

Wziął ze stojącego w kącie stołu małą mapę i pokazał:

– Płyniemy tu... jesteśmy tu.

– Jeśli burza idzie od wschodu, to ląd nas nie zasłoni.

– To nie jest mapa morska, na tym maleństwie wszystko jest gładkie i równe. Na stole mam mapę samego małodartańskiego cypla, możesz sobie obejrzeć, wasza godność, jak postrzępiony jest ten brzeg i ile tam wysepek. Maleńkich, ale trudno znaleźć aż tak małą, żeby nie zasłoniła „Seili”...

– Morze na razie wydaje się spokojne – zauważył Tamenath.

– Czyżbyś nie słyszał, panie, jak mówi się czasem o ciszy przed burzą? – zdziwił się Raladan. – Spędziwszy pół życia na wyspie, chyba niewiele wiesz o kapryсах morza?

Starzec uśmiechnął się lekko.

– Zawsze bawiło mnie nazywanie Romogo-Koor Złym Krajem – powiedział. – A to dlatego, że jest mniej „zły” niż wszystko poza nim. Nie ma w Obszarze sztormów, huraganów ani powodzi, nie zdarzają się susze ani zabójcze mrozy. Już nie wspomnę, że nigdy nie było tam wojny, głodu, zarazy, pojawiają się wyłącznie wtedy, gdy przywloką je ludzie goszczący tam z własnej woli. Uwierz mi, kapitanie, że nigdy nie widziałem burzy na morzu. Nie mówiąc już o przeżyciu jej na pokładzie żaglowca.

Raladan przecież wiedział, że nie wszyscy ludzie są żeglarzami... Ale sam spędził na morzu całe życie i myśl, że ktoś mógł nie widzieć burzy, wydała mu się zabawna.

– Lepiej umocuj, panie – powiedział – wszystkie swoje rzeczy. Te luźne karty i pióra, a już najbardziej tę flaszkę z inkaustem! Może być, że pierwsze porywy sztormu dopadną nas w drodze. A jeśli nawet nie, to i tak „Seila” będzie myszkować na kotwicy jak panienka, która... Jeszcze raz zapytam o Przedmioty: czy nie trzeba jakichś specjalnych zabezpieczeń?

– Jeśli kufry są dobrze umocowane, to nie – rzekł Tamenath. – Niektóre Geerkoto nie powinny się stykać z Dor-Orego, to jedyne, czego trzeba dopilnować, jeśli nie chcemy mieć w ładowni małej

wojny Ciemnych Pasm z Jasnymi. Ale to już trzeba mieć pecha, żeby się zdarzyła kombinacja, która...

– Zrobiłem, jak kazałeś, rozmieściłem Przedmioty w dwóch ładowniach. Nawet gdyby jakaś skrzynia poszła w drzazgi, Ciemne nie mieszają się z Jasnymi. Ale sprawdzę wszystko raz jeszcze – obiecał Raladan. – Gdybyś, panie, czegoś potrzebował, znajdziesz mnie na pokładzie.

To powiedziawszy, wyszedł.

Szli ku brzegom Dartanu.

Zatoczka, którą znaleźli, nie była miejscem, jakiego szukał Raladan; raczej słabo osłaniała od wiatru i niewiele lepiej od fal – wyszło więc, że nieznający się na morzu Tamenath miał jednak trochę racji. Ale tak właśnie było, gdy ze szczurem lądowym gadało się o morzu na morzu – taki musiał zawsze przynieść pecha... „Seila”, mocno wczepiona w dno kotwicami, podrzucana była w górę i spadała w dół. Kadłub jednak dobrze pracował, wody w zęzach przybywało nie szybciej i nie wolniej, niż należało oczekiwać, pompa radziła sobie bez trudu. Woda uniosła jedną z umieszczonych na średnim pokładzie łodzi, na razie jednak większych szkód nie było. Zgrabny statek nonszalancko, niemal pogardliwie, stawiał czoło morzu. Załoga trwała na stanowiskach, a nastroje były bardzo dobre.

Wzmogoną chwiejność pokładu najdotkliwiej odczuwał Tamenath. Raladan zaglądał doń często. Po raz kolejny przekonywał się, że grombelardzki mędrzec-Przyjęty niekoniecznie jest przedziwną istotą, z której powaga, dostojność i siła promieniują nieustannie, w każdych warunkach. To po prostu był zwykły człowiek, nie zapalał świecy pstryknięciem ani nie unosił się nad posłaniem. Zwykle nieco żartobliwy, a nawet rubaszny, teraz ciężko doświadczany przez morską chorobę, na co dzień zaś poświęcający się wybranemu zajęciu, które było niemal takim samym zajęciem jak i każde inne. Pewnie, że rozumienie Szerni dawało dostęp do sił, które użyte być mogły w wielu okolicznościach; w końcu to Szerń rządziła światem.

Ale sztormem jednak nie rządziła.

– Czy nie możesz sprawić, panie – zapytał wreszcie, widząc okropną bladość na twarzy wielkoluda – by dolegliwości były trochę mniejsze?

Tamten uśmiechnął się półgębkiem.

– Mogę. Zaparz mi ziółek, wypiję.

Rozbawił kapitana.

– Niezupełnie o tym myślałem.

– Bardzo dużo mogę, kapitanie. Ale moja siła, podobnie jak siła każdego Przyjętego, płynie z rozumienia Szerni. Znamy naturę Pasm i dlatego właśnie wiemy, kiedy można użyć ich mocy. Wtedy kiedy one używają. Często widziałeś działanie Szerni podczas sztormu?

– Właściwie to...

– Nigdy. Czyli wiesz już, jak często może działać Przyjęty.

– Żartujesz sobie, panie?

– W żadnym razie. Mogę postawić twój okręt w samym środku Armektu, mogę zrobić prawie wszystko. A kiedy? Już powiedziałem: nigdy. Jeżeli to zrobię, przestanę być podobny do Szerni. Przecież ona niczego nie robi.

– I Pasma cię ponownie nie przyjmą?

Tamenath się nie przyznał, że już kiedyś został odrzucony.

Dziecko nie oddychało, żona umierała, ale on o tym nie wiedział... Uratował syna, a potem już tylko patrzył na śmierć jego matki.

– Pewnie przyjmą, może nawet dość szybko. Za kilka lat, a może za pięćdziesiąt?... Skąd mam wiedzieć?

Raladan nie mógł uwierzyć.

– Nie możecie nic robić?

– E, przesada. Jeśli zdarzy się coś niezwykłego, to i ja postąpię niezwykle. Nie wiem jak, ale wtedy będę wiedział.

– Sztorm na morzu to nic niezwykłego.

– Doskonale! – pochwalił Przyjęty. – A rzyganie od huśtania tym bardziej.

Raladan skinął głową na zgodę. Był rad, bo naprawdę zrozumiał, a gdy szło o sprawy dotyczące Szerni, nie zdarzało się to za często.

– Burza nie powinna trwać długo – powiedział. – O tej porze roku sztormy na Morzu Dartańskim są dosyć gwałtowne, ale krótkie.

– Oby! – mruknął Tamenath, już nie blady, bo całkiem zielony. Rozmowa pozwoliła mu zapomnieć o nudnościach, ale niestety, nie na długo. – Daj no tutaj, bracie, ten szaflik i wynoś się najlepiej, bo pomóc nie możesz, a po co masz oglądać uczonego, który rzyga... jakby był głupi...

o o o

Zgodnie z przewidywaniami kapitana nad ranem burza zaczęła przycichać, a koło południa pogoda poprawiła się na tyle, że można było kontynuować rejs. Raladan jednak zwlekał. Szkody, które można by naprawić już na otwartym morzu, postanowił usunąć natychmiast, bez podnoszenia kotwicy. Zapadła decyzja, że wyruszą dopiero następnego dnia rankiem. Dziwiło to trochę wszystkich, najbardziej zaś Davahodena i Boheda, którzy pamiętali, jak wcześniej naglił do pośpiechu. Prawda, że dzień zmarnowany w Złym Kraju znaczył bez porównania więcej niż dzień zmarnowany za jego granicami, niemniej jednak...

Tym bardziej że nie wybrali kotwicy także rankiem. Kapitan zażądał kolejno odszukania zabranej przez fale łodzi (z której mogła zostać co najwyżej telepiąca się gdzieś przy brzegu kupa połamanych desek), być może też uzupełnienia zapasów wody pitnej (której właściwie nie brakowało, chociaż oczywiście miała podły smak, jak każda woda trzymana zbyt długo w jednym naczyniu). Marynarze, mimo zdziwienia, przyjęli pomysł zejścia na ląd z dużym zadowoleniem; nie oni w końcu rządzą statkiem, a śpieszno im donikąd nie było. Jeszcze bardziej cieszył się Tamenath.

Łódź odbiła od burty „Seili” przed południem. Siedzieli w niej Raladan, Przyjęty i Davahoden, resztę obsady stanowili majtkowie.

Davahoden, który jakiś czas temu postanowił nie dziwić się niczemu i nie pytać o nic, z rzadka rzucał spojrzenia na milczącego, zamyślnego kapitana. Raladan, trzymając w dłoni rumpel, z głęboką zadumą patrzył na brzeg, unoszący się ponad dziób łodzi,

to znów znikający pod jego krawędzią, w miarę jak fale unosiły ich i opuszczały. Raz i drugi z troską obejrzał się na „Seilę”.

Dziesiątnik, uzbrojony jak zawsze, czyli z mieczem przy boku, kuszą pod pachą i hełmem pod drugą, nie był jedynym orężnym człowiekiem w szalupie: Tamenath, okryty brunatnozielonym płaszczem, miał zapięty na biodrach pas z mieczem. Ściągnięty pasem kaftan podkreślał szerokość barków Przyjętego; Davahoden pomyślał, że ten uczony mędrzec potrafiłby pewnie udusić dorosłego mężczyznę swoją jedyną dłonią, bez żadnych Formuł czy innych sztuczek z Szernią.

Majtkowie unieśli wiosła. Szalupa jeszcze przez chwilę płynęła siłą rozpędu, po czym zaszurała o dno. Wioślarze wyskoczyli i pociągnęli ją do samego brzegu. Raladan i Przyjęty ledwie zamoczyli stopy.

Marynarze zabezpieczyli łódź i ruszyli wzdłuż brzegu. Było dla nich oczywiste, że porwanej przez fale szalupy nie znajdą. Ale skoro kapitan chciał, by szukali...

– To Dartan, nie jakieś bezludzie – powiedział Raladan, rozglądając się. – Myślę, że gdzieś niedaleko powinna być wieś.

– Na pewno. – Davahoden skinął głową.

– Poszukamy?

Kapitan potwierdził.

Gdzieś niedaleko rozbrzmiał tętent końskich kopyt. Davahoden natychmiast włożył na głowę hełm i przygotował broń. Wkrótce potem spoza wydmy dobiegło parsknięcie wierzchowca, a w następnej chwili pojawiła się na garbatym, porośłym trawą barchanie sylwetka jeźdźca, wiodącego za uzdę luzaka. Raladan przybladł tak bardzo, że stojący obok dziesiątnik wziął to za nagłą słabość i gotów był go podtrzymać. Zaraz potem osłupiał – poznał bowiem jednooką dziewczynę, którą widział na Brzegu Wisielców, tak ładną podobną do Semeny, związaną i zakneblowaną.

Dziewczyna krzyknęła, zeskakując z siodła. Raladan rzucił się ku niej.

Biegli ku sobie: on w syrkim piachu wdrapywał się na wydmy, ona zsuwała się wprost ku niemu. Chwycił ją w objęcia, potoczyli się



na plażę, zerwali zaraz i klęcząc, trzymali się za ramiona. Sto uczuć targało sercem Raladana. Bał się wierzyć, że znów go znalazła; chciał prosić, by mu przebaczyła, że oddał ją w ręce tamtej; bał się, że znów usłyszy z jej ust wrogie słowa; szukał w spojrzeniu oznak szaleństwa, które tak niedawno było wszystkim, co ją wypełniało...

Zrozumiała te rozterki, bo – nie odpowiadając na żadne z niezadanych pytań – pocałowała go ze łzami prosto w twarz, gdzieś między nosem a szorstkim policzkiem, wtuliła jego dłonie w swe włosy i przytrzymała mocno.

Tamenath i Davahoden spojrzeli po sobie i znowu na tamtych dwoje. Kuznik poczuł dziwny ucisk w gardle. Odwrócił się i poszedł na brzeg morza, tam gdzie fale lizały piasek. Spojrzał w stronę „Seili”, a potem znowu zwrócił się ku kapitanowi i dziewczynie.

Rozmawiali.

Zaraz wstali z piasku i podeszli do łodzi.

– Wiedziała, że tu będziemy – rzekł zwięźle Raladan. Był już zupełnie spokojny. – Nie możemy tu zostać, bo ukradła konie i kogoś zabiła, jest ścigana. We wsi widziała legionistów, mogą tu przyjechać w każdej chwili.

Davahoden podał kuszę Przyjętemu i bez słowa pobiegł plażą śladem majtków.

– Czy jest coś przy koniach, czego potrzebujesz?

– Trochę żywności i dwa pledy. – Wzruszyła ramionami. – Można to zostawić cesarskim. Ale konie warto sprowadzić tu, na plażę. Mniej będą rzucały się w oczy.

Kapitan ponownie jął się wspinać na wydmę.

– Widzę, że Raladan nie próżnował przez ten cały czas, kiedy ja... – powiedziała, zwracając się do starca. – Już wiem, panie, kim jesteś. Nie mogę doczekać się wyjaśnień! Mam sto pytań.

– To bardzo niezwykle – skwitował. – Dawno nikt mnie o nic nie pytał.

Popatrzyła krótko i parsknęła śmiechem.

Raladan sprowadził konie. Wkrótce potem ujrzeli dziesiętnika biegnącego na czele marynarzy.

Do wieczora wiatr mieli niekorzystny, dopychający. „Seila” zeszła z kotwicy dopiero z nocną bryzą.

Nim zaszło słońce, widzieli na brzegu żołnierzy, ale mogli sobie z nich drwić.

## ROZDZIAŁ 55



**P**owstanie wybuchło.

Staranne, od dawna czynione przygotowania przynosiły efekty: okazało się naraz, że buntownicy mają swoich ludzi wszędzie. Dwór Księcia Przedstawiciela, próbujący koordynować działania sił cesarskich choćby w samej stolicy, został sparaliżowany niemal natychmiast – zarządzenia i rozkazy nie docierały w ogóle do miejsc przeznaczenia bądź trafiały do ludzi, którzy ich nie wykonywali, a to z tej przyczyny, że byli od dawna kontrolowani lub przekupieni przez rebeliantów. Walki rozgorzały w wielu miejscach naraz – w Doronie, Bagbie i Dranie...

W Dranie spośród obu eskadr Floty Głównej tylko dwa żaglowce przeszły na stronę powstańców, mimo że eskadrami dowodzili ludzie Ganedorra i Alidy. Na czterech okrętach żołnierze odmówili wykonania rozkazów dowódcy flotylli. Nie na wiele się to zdało, bowiem majtkowie, wszyscy co do jednego, natychmiast uciekli, częściowo przechodząc na stronę powstańców, częściowo zasilając bandy łapserdaków i rabusiów korzystających z zamieszania na swój sposób – w krótkim czasie każdy, kto miał cokolwiek do stracenia, umykał z przeklętego miasta na łeb na szyję, unosząc ze sobą tyle majątku, ile unieść zdołał. Tak czy inaczej, w Dranie powstańcom udało się pozyskać dwa holki z załogami, jeden zaś zdobyć. Pozostałe, niemogące wyjść w morze bez marynarzy, strażnicy morza spalili; podobny los spotkał kilka pomocniczych żaglowców. Walki w porcie były zażarte i krwawe.

Największym problemem stała się jednak, zgodnie z przewidywaniami, Stara Dzielnica. Stu gwardzistów nie uległo przeważającym siłom dobrze przygotowanych powstańców.

Bezpieczne i spokojne dotąd uliczki spłynęły krwią. Mimo że część oficerów zawdzięczała swe stanowiska Alidzie, ledwie kilku żołnierzy podporządkowało się nowej władzy. Większość poszła za głosem swoich dziesiątników, zlekceważonych przez przywódców rebelii – Ganedorr i Alida, prowadzący grę o najwyższe stanowiska i urzędy Garry, nie mieli czasu na zabawę w kontrolowanie niskich szarż, przy tym nie potrafili uwzględnić znaczenia, jakie mieli w cesarskich wojskach szarzy dziesiątnicy. Tymczasem, jak to zwykle bywa, setnicy i podsetnicy zmieniali się, odchodzili, awansowali, jedynym zaś przełożonym, którego żołnierz znał dobrze i widział stale, był stary dziesiątnik – dowódca, ale i towarzysz. Z Dranu pół setki doskonałych żołnierzy wyprowadził, a tym samym ocalił dla cesarza, pochodzący z rybackiej wioski Monatal, pięćdziesięcioparoletni poblížniony wiarus, pamiętający świetnie poprzednie powstanie. Monatal, nie znając sytuacji w innych okręgach i miastach, uznał za najważniejsze doraźnie zabezpieczyć swój oddział. Uchodząc przed pościgiem, poprowadził gwardzistów w Hareny, niewysokie, ale wcale nie łagodne góry, których łańcuch był jakby kręgosłupem wyspy biegnącym wzdłuż wschodniego wybrzeża.



TRUST 21

Jeszcze gorzej niż w Dranie działo się na południu, w Bagbie. Semena, od pewnego czasu sprawująca pieczę także nad tym miastem, nie podołała zadaniu. Zabrakło Askara. W Doronie powstanie odniosło pełny sukces, siły miejscowego garnizonu, dowodzone po zniknięciu Askara dosyć nieudolnie, udało się rozbić (ale i tu bardzo mało żołnierzy pozyskano dla sprawy powstania), zaś pałac Księcia Przedstawiciela splądrowano i spalono. Straty jednak były poważne, a sytuacja wystarczająco trudna, by w Bagbie dowodzenie spadło całkowicie na barki miejscowych wodzów, ludzi nieznających się na wojnie i niezdecydowanych – człowiek posłany do Bagby przez Alidę miał niespełna tydzień na zapoznanie się z sytuacją w tym mieście; zbyt mało. Żołnierze stacjonujących w Bagbie eskadr nie dość, że nie posłuchali wezwania do buntu, to jeszcze bez żadnych ceremonii powiesili podżegaczy, po czym, wraz z niewielkim oddziałem legionistów, uderzyli na niekarne bandy rebeliantów, wyrzucając je z miasta. Miejsce straconego komendanta garnizonu zajął młody, energiczny dowódca eskadry, Armeaktańczyk C.S.Elimer, przejmując dowodzenie całością sił cesarskich na południu. Małe szniki straży morskiej natychmiast wyruszyły po posiłki do Archipelagu Południowego i Dalonorów przy wschodnich wybrzeżach.

Silne patrole przyniosły wieści z Belonu, dla cesarstwa pomyślne. Powstanie w Belonie nie wybuchło, widać buntownicy liczyli, że opanowanie Bagby i Dorony pozwoli wziąć to miasto w kleszcze, a następnie zdusić niewielkie siły Legii Garyjskiej w drugiej kolejności i bez większego trudu. Elimer natychmiast wzmocnił obronę Belonu, po czym, niewielkimi siłami osłoniwszy Bagbę – ruszył na północ i północny zachód, paląc bez namysłu każdą wioskę, w której dostrzegł choć cień przychylności dla powstania, ale też ochraniając i zabezpieczając te wszystkie, które pozostały wierne imperium. Zbierał po drodze żołnierzy z miasteczek obwodowych.

W pięć dni po wybuchu wojny sytuacja się ustabilizowała: cała Garra, od północnych krańców aż do wysokości Belonu, była w rękach powstańców, a jedyny zwarty oddział cesarskich

stanowili przedzierający się przez góry gwardziści Monatala, ścigani zresztą zajadłe. Część południową, z Bagbą i Belonem, trzymały siły imperium. Do Bagby napływać zaczęły posiłki, najpierw z Dalonorów, później z Sary w Archipelagu Południowym. Oznaczało to wprawdzie wystawienie ogołoconych z wojska wysp na ciosy rebelii bądź łupieżcze napady korzystających z bezkarności piratów, wyspy owe jednak nie liczyły się na razie zupełnie i siłom cesarskim nie opłacało się ich trzymać, zupełnie tak samo jak siłom powstańczym – zdobywać.

Małe szniki Floty Głównej wciąż były na morzu, alarmując wyspy Morza Garyjskiego, potem Morza Zwartego, wreszcie Wyspy Przybrzeżne i sam Armekt. Pierwsze potwierdzone i sprawdzone wieści dotarły na kontynent.

Wcześniej jednak, bo już czwartego dnia po zajęciu Dorony, wojska powstańcze rozpoczęły przygotowania do uderzenia na Belon i Bagbę. Brakowało jednak dowódcy dla tych sił. Plan powstania nie przewidywał większych działań w polu; liczone, że szybkie, jednoczesne zajęcie wielkich miast i portów Garry uniemożliwi przeciwnikowi zebranie oddziałów dość licznych, by je nazwać aż wojskiem. Stało się inaczej.

Otwarta kwestia dowodzenia siłami polowymi doprowadziła do pierwszych rozdzwieńków w łonie rebelii.

o o o

Semena nie miała powodów do radości. Nic nie szło zgodnie z planem. Nie zdołała opanować dorońskich eskadr Floty Głównej, bo jej żołnierze beznadziejnie uwikłali się w przewlekłe walki ze skazanymi na przegraną, ale zawziętymi żołnierzami lądowych sił imperium. Holki Floty Głównej zajęli żołnierze Ahagadena, człowieka Alidy. Cztery stare okręty Floty Rezerwowej utracono w ogóle, bo na dwa dni przed wybuchem powstania zostały skierowane do Wysp Barrierowych.

Ahagaden nominalnie był podkomendnym Semeny, szybko okazało się jednak, że powodowany tajnymi instrukcjami z Dranu bądź też własną ambicją nie zamierza oddać zdobyczy, choć wydała mu wyraźny rozkaz. Chciała już użyć siły, ale podobna wojna nie wróżyła niczego dobrego. Siedzący na holkach topornicy Ahagadena byli dobrze uzbrojeni i nieźle dowodzeni, podczas gdy jej hakownice, na które tak bardzo liczyła, sprawdziły się raczej kiepsko. Może przyczyną był szczególny charakter walk ulicznych, dość, że nowa broń na razie nie wytrzymywała porównania z kuszą. Zawiniło też nieuchronne rozdrobnienie oddziałów na kilkunastoosobowe grupki. Tak czy owak, polegać mogła właściwie tylko na swoich kusznikach, których miała niecałą setkę, a po walkach z cesarskim garnizonem jeszcze mniej. Przeklinała teraz własną lekkomyślność, która kazała jej zaufać broni niesprawdzonej. Spośród trzystu pięćdziesięciu ciężko opłacanych ludzi aż dwustu stanowiło obsługę hakownic. I byli to najlepsi, najpewniejsi spośród najemników, których zebrała z myślą o Agarach.

Ahagaden zresztą, po pierwszych tarciach, nie dał jej nawet szansy: wyprowadził po prostu holki, zarekwirowane statki kupieckie z portu i dołączył do tych, które już kotwiczyły na redzie. Jeśli chciała je zdobyć, to chyba tylko wpływ.

Pewną pociechą był fakt, że zachowała własne okręty. Procentowały liczne zabezpieczenia, o które pytał swego czasu Raladan: o tym, kto stoi za Litasem, a później jego synem Melarem, wiedzieli tylko przywódcy powstania. Jednakże statki Melara, „Seila” i stara koga „Dalonor”, wyszły w morze jeszcze zimą – i zaginęły (a naprawdę były w Złym Kraju). Natomiast trzy zakupione niedawno holki należały do spadkobierców E.Zikona, prosperujących świetnie, ale niełączonych już przez nikogo, nawet przez powstańców, z jej godnością Semeną. Holków tych w Doronie nie było. Przekazała rozkazy, by późnym latem pojawiły się od razu na Agarach. Dzięki temu nikt nie mógł zarzucić jej nielojalności, jaką niewątpliwie byłoby pozbawienie powstańców wsparcia trzech, jakże potrzebnych, okrętów.



Miała więc żaglowce – i zarazem nie miała.

Plan walił się w gruzy.

Pojawiła się jednak szansa. Co prawda dość nikła, wymagająca wielu zabiegów i szczególnych działań. Powstańcze siły szykowały się do uderzenia na południe. Jednocześnie powstańcza Kwatera Główna w Dranie planowała bitwę morską u południowo-zachodnich wybrzeży. Semena liczyła, że bez względu na to, która strona wygra w owym boju, okręty zwycięzców zawiną niezwłocznie do Bagby, najważniejszego w tej chwili portu na wyspie, z zamiarem uporczywego trzymania lub zdobycia go.

Te okręty zamierzała opanować.

Najpierw jednak musiała otrzymać dowództwo armii polowej. Potem – pobić lądowe siły imperium. Tymczasem w żadnych planach nie przewidywano jej kandydatury na takie stanowisko. Jedyne atutem była niepodważalna racja, iż jej wojska jako jedyne osiągnęły bezsporny i całkowity sukces. Potrzebowała jednak dodatkowych, jeszcze silniejszych argumentów.

Zadziałała szybko: na pierwszą wieść o marszu gwardzistów Monatala przez góry posłała czterdziestu kuszników i sześć dziesiątek piechoty ognistej – tylko ludzi osłony, bez hakownic – na spotkanie ściganego oddziału.

o o o

Mijał ósmy dzień od wybuchu powstania. Oddziały rebeliantów zaległy pod Doroną. Siły okazały się niezwykle szczupłe: półtora tysiąca piechoty, w tym stu pięćdziesięciu łuczników i kuszników. Do tego dochodziło trzystu ludzi Semeny. Okazało się, że wodzowie powstania nie potrafili ocenić, jak duże siły pochłonie obsadzenie zdobytych portów i okrętów – łącznie kilkunastu holków i mniejszych żaglowców straży morskiej oraz wielu zarekwirowanych żaglowców kupieckich. Nieliczne przeciągnięte na stronę powstania załogi cesarskie trzeba było wzmocnić własnymi ludźmi lub zastąpić w ogóle, nikt bowiem nie mógł ręczyć za ich

postawę w walce z wiernymi cesarzowi okrętami. Utrzymanie portów jawiło się zadaniem równie istotnym, a nie można było przecież wykluczyć próby ich odbicia z morza. Silny oddział ścigał w Harenach gwardzistów, wielu ludzi pochłaniały patrole miejskie i oddziały eskortujące różnorakie transporty. W zestawieniu z wyższymi, niż zakładano stratami i nadspodziewanie powszechną dezercją (w Dranie okazało się, że niemal trzecia część żołnierzy woli rabować wraz z portową hołotą opuszczone kupieckie kantory, niż walczyć o świętą sprawę wyzwolenia Garry z nieznanymi się na żartach gwardzistami) ogólna liczba osiemnastu setek ludzi, gotowych do uderzenia na Belon, zdawała się i tak imponująca.

Po raz setny zabrakło Askara, przewidywanego nawet na naczelnego dowódcę sił morskich albo właśnie lądowych. Podczas układania wstępnych planów Askar jako jedyny dostrzegł możliwość działania w polu, uprzedzając, że gdyby nie dało się opanować od razu celów głównych, wojna stanie się niezwykle trudna, choćby już tylko z powodu małej liczby ludzi, których da się w pole wyprowadzić.

Jednakże Askar zaginął, a żaden z oficerów w powstańczym dowództwie nie miał doświadczenia w walkach na lądzie ani nie potrafił przewidzieć ich przebiegu. Trwały pokój, panujący w granicach Wiecznego Cesarstwa, nie sprzyjał nabywaniu wojennych doświadczeń. Tylko w Armeckie, na Północnej Granicy, stale toczyła się podjazdowa wojna z alerskimi półzwierzętami. Żaden z powstańczych oficerów nie był Armektańczykiem ani nie służył na północy Armektu. Teraz więc okazało się dodatkowo, że owych tysiąc ośmiuset ludzi jest bez dowódcy.

Semena, spotykając się wieczorem z Alidą, знаła sytuację doskonale. I była już niemal pewna, że wygra. Miała podstawy, by tak sądzić.

Spotkanie odbyło się przy trakcie wiodącym z Dorony do Dranu, mniej więcej w połowie drogi między miastami. Wybór miejsca wynikał z braku czasu. Mimo dochodzących z wielu stron uwag i nalegań, bardzo słusznych skądinąd, Kwatera Główna powstania wciąż mieściła się w Dranie, z jakichś powodów zwlekając

z przeniesieniem do Dorony, a więc bliżej pola przewidywanych walk.

Dorona, leżąca na zachodnim wybrzeżu, niemal w połowie długości wyspy, w ogóle była miejscem najlepszym do kierowania rebelią. Dziwne przywiązanie do Dranu, wykazywane przez powstańczą starszyznę, nie pozostawało bez wpływu na szybkość działań. Dość powiedzieć, że zarówno Semena, jak i Alida, by się spotkać, przebyć musiały po pięćdziesiąt mil każda, korzystając ze sprawnie, na szczęście, działających posterunków z rozstawnymi końmi przeznaczonymi dla gości.

Żadna z nich nie była żołnierką lekkiej jazdy. Cały dzień spędzony na grzbiecie kłusującego, to znów galopującego konia mógł przyprawić o chorobę każdego.

Semena przybyła pierwsza, wykończona i wściekła, ale humor poprawił jej się na widok delikatnej blondynki, jeszcze gorzej znającej arkana jazdy konnej. Alida twarz miała szarą od kurzu, włosy zlepione na czole potem, pleców zaś w ogóle nie mogła wyprostować. Semena, która zdążyła już nieco odpocząć i się umyć, prawie parsknęła śmiechem. Alida, z gardłem zdławionym przez furję, wyprawiła swoich ludzi po wodę, po czym, bez słowa huknąwszy drzwiami, zniknęła w jednej z izb gościnnych. Wkrótce dostarczono tam kilka stągwi wody.

Semena napełniła winem dwa kubki i bez zaproszenia weszła do izby. Tamta stała nago, pochylona nad szaflikiem z zimną wodą, patrząc na obtarte, odparzone uda. Uniosła wzrok.

– Ty też tak? – warknęła, nie bawiąc się w żadne tytuły.

Semena odstawiła kubki z winem. Stała przez chwilę, po czym odwróciła się i zadarła spódnicę, pokazując sine pośladki. Spojrzała przez ramię. Wymieniły spojrzenia, potem parsknęły śmiechem.

Zamilkły. Alida nabrała w dłonie wody i umyła twarz, po czym zwilżyła uda, sycząc przez zęby słówka, jakich nie znali chyba najstarsi majtkowie. Semena odwróciła spojrzenie, bo zdała sobie sprawę, że oglądała dotąd niewiele nagich kobiet, a żadna nie hołdowała dartańskim zwyczajom...

Poczuła się głupio zawstydzona.

– Będziemy rozmawiać bardzo uroczyście, w sali tronowej, czy może zaczniemy już tutaj? – zapytała na złość temu, co czuła. Wzięła swoje wino i oparła się o ścianę. – Trzeba było przenieść Kwaterę do Dorony – dorzuciła, widząc wracającą wściekłość tamtej.

– Myślisz, że ja tego nie chcę?! – wrzasnęła blondynka, rozchlapując pięścią wodę w szafliku, nad którym kucnęła okrakiem. – Rozmawiaj z tymi durniami ze szlacheckich rodów! „Stara Dzielnica to znak dawnych czasów. Tylko tu może odrodzić się Garra”. Dorona jest niedobra, wiesz dlaczego? Bo przebudowali ją Armektańczycy!

– Nie żartuj, nie wierzę – powiedziała Semena.

– Ja też nie uwierzyłam, choć słyszałam na własne uszy. Jak to powstanie można wygrać? Wiesz, dlaczego przyjechałam? Bo inaczej przybyłby jakiś setnik straży! Jeżdżący konno jeszcze gorzej ode mnie, a do tego głupi. Albo starzec, którego zdjęliby tutaj z konia i od razu zakopali. Jeśli w ogóle przyjechałby konno. Koń i siodło to cudactwa z Armektu, Garyjczyk podróżuje w lektyce. No, może w którymś z tych przeklętych furgonów czy jak tam ten pojazd nazwać. Jechałby cztery dni – oceniła, sikając do szaflika.

– Nie wierzę – powtórzyła Semena.

Alida zaczerpnęła tchu.

– A jednak tak tam jest – powiedziała prawie spokojnie. – Oni chcą zacząć wyzwolenie Garry od wyplenia wszystkich armektańskich chwastów. Nawet armia ma być jednym wielkim tłumem, bo podział na kliny, półsetki i kolumny wymyślili Armektańczycy. To nic, że dzięki temu wygrali wszystkie wojny. W Kwaterze Głównej spisują teraz nowe prawa dla Królestwa Garry, a o bitwach myślą tyle tylko, że komuś trzeba powierzyć całe to dowództwo. W Dranie upomina się o nie komendant gwardii, poczciwina, którego z wielkim trudem wyniosłam na to stanowisko. Ledwie zresztą podołał obowiązkowi. Drugim kandydatem jest stary i naprawdę doświadczony dowódca flotyli straży morskiej. Tyle tylko, że ten człowiek prawie nie umie chodzić, kiedy grunt mu się nie kiwa pod stopami niczym pokład. Bitwę zacznie chyba od wbicia w ziemię masztów i rozpięcia żagli, bo inaczej czegoś mu będzie brakowało. Teraz dalej: poważnymi

kandydatami są szlachetny Kahel Mohaben, starszy krewny mojego zmarłego ze starości małżonka, i wreszcie sam Ganedorr. Ten ostatni ma przynajmniej tyle rozumu, że wcale nie chce dowodzić armiami. Zgodzi się jednak, jeśli nie będzie można inaczej. Ktoś w końcu dowodzić musi.

– Więc czemu nie ja?

– A czemu nie mój kandydat, Ahagaden? Twój wróg śmiertelny skądinąd?

Mierzyły się wzrokiem.

Alida wstała z klęczek, podniosła z podłogi grubą spódnicę podróżną i wytarła się tyle o ile. Nagość wcale jej nie krępowała. Semena pomyślała, że to musi być kwesta przyzwyczajenia...

Blondynka z wyraźnym obrzydzeniem wciągnęła zakurzoną koszulę. Spódnicę cisnęła w kąt z niesłychaną pogardą. Wzięła od Semeny kubek z winem i również oparła się o ścianę. Stały, niczym jakieś wartowniczeki, po obu stronach drzwi. Żadnej nawet do głowy nie przyszło, żeby usiąść. Miały się jeszcze nasiedzieć, wracając.

– Posłuchaj – rzekła Alida. – Pomijając osobiste niechęci... Ci wojacy, o których mówiłam, to oczywiście żadni kandydaci. Ale szlachetnie urodzeni Garyjczycy to już inna sprawa. Są w końcu przywódcami tej ruchawki. A... tu nie Armekt. Już na mnie patrzą z niepokojem, bo co właściwie robi wśród nich coś, co nie ma kutasa? Gdy zaczynam mówić, to nie wiedzą, jak się zachować, słuchać baby po prostu nie wypada. Gdyby jego żona tak bezczelnie pytowała na jakikolwiek temat, toby ją zbił i tyle. A już o wojnie? Kobieta?... Ganedorr jest mądry i wie swoje, ale cała reszta to twardogłowi, o poglądach tak starych, jak kamienie ich pałaców. Jak mam im powiedzieć, że kobieta wygra dla nich powstanie? Żebyś jeszcze była Garyjką!

– Jestem nią.

– Akurat tak, jak i ja. W połowie. Hańba i tyle.

Matka była pół-Armecktanką, ojciec Armektańczykiem. Semena miała w żyłach nawet mniej garyjskiej krwi, niż uważała rozmówczyni.

– Co drugi człowiek pochodzi z mieszanego małżeństwa.

Alida spojrzała z ukosa.

– Nawet jeśli tylko co dziesiąty, to i tak mnóstwo. Zgoda. Ale w Kwaterze dodaliby jeszcze: niestety, hańba i hańba. Zresztą to właściwie nieważne. Z imieniem Semena nigdy nie będziesz dla nich Garyjką.

– A jeśli to imię fałszywe?

– Jeszcze gorzej. Nosisz je. To już chyba nawet Armektanka z garyjskim imieniem byłaby lepsza niż Garyjka z negaryjskim. Prawie zdrajczyni. Wybrałaś je, podoba ci się. Przypadek?... Trzeba było sobie wybrać fałszywe z dwoma „r”, trzema „g” i jednym „h”. Wtedy byłoby dobre. Gdyby brzmiało jak chrząknięcie po rzyganiu. Śmiej się, ale to właśnie takie sprawy mają dla nich największe znaczenie.

Semena, inaczej niż dwujęzyczna od dziecka Alida, znała wyłącznie garyjski. Nigdy dotąd nie rozmyślała nad brzmieniem swego języka; było chyba całkiem normalne... Teraz zdała sobie sprawę, że blondynka ma rację. To na pewno nie była ludzka mowa.

– Jakieś stare, piękne imię garyjskie – dorzuciła rozmarzona Alida.  
– Dlaczego nie jesteś Hegerthe? Albo, jeszcze lepiej, Ridarethe?

Semena przygryzła wargę.

Milczały.

– Czy masz wszystkie potrzebne pełnomocnictwa, żeby mianować dowódcę? – zapytała wreszcie Semena. – Bo o imionach na razie dosyć.

– Oczywiście, że mam pełnomocnictwa. Jaki sens miałyby inaczej to spotkanie? Ale wiedz, że jeśli... w co wątpię, ale jeśli mianowałabym ciebie, to ja im tej wieści nie zawiozę. Przysłano mnie tu właściwie tylko po to, bym udzieliła stanowczej odmowy. Powtarzam ci: jesteśmy niezbędne i tylko dlatego nas tolerują. Ale do czasu. No, w każdym razie, mam odmówić.

– Zrobisz to?

– Zamierzam. Ale najpierw chcę wysłuchać argumentów. Z twoich listów biła niezachwiana pewność, że powierzenie wojsk komukolwiek innemu jest zgoła niemożliwe. Chcą usłyszeć dlaczego.

– Tylko ja odniosłam sukcesy wojskowe. W Dranie poszło nie najlepiej, o ile wiem?

– W Dranie poszło wspaniale i nie próbuj z tym dyskutować. A w Doronie powodzenie należy zawdzięczać nie tobie, lecz Ahagadenowi. To on w krytycznej chwili przechylił szalę zwycięstwa.

Semena patrzyła zdumiona. Alida z satysfakcją pokazała jej koniuszek języka.

– Mam znów wytłumaczyć? Ahagaden zdobył pięć cesarskich i kilka kupieckich żaglowców; ty żadnego. Szlachetnie urodzony Garyjczyk niczego się z historii nie nauczył, dla niego siłę armii wciąż określa się liczbą okrętów. Wreszcie Ahagaden to mój człowiek. Prawie przyjaciel. A ciebie nie lubię. Pomogłam więc przyjacielowi, to proste. Zrobiłam wszystko, by w Kwaterze wierzone, iż zwycięstwo to jego zasługa.

W oczach Semeny zabłyśły kolejno zdumienie, niedowierzenie i gniew.

Alida z pełnym zadowolenia namysłem muskała przez szorstką koszulę swoje sutki, czując, jak sztywnieją. Nad budynkiem przetoczył się pomruk nadchodzącej burzy. Semena otarła pot z czoła i szyi, zdając sobie sprawę, że od jakiegoś już czasu powietrze jest bardzo parne.

– A może to i dobrze – rzekła całkiem spokojnie. – To miasto nie wygląda najlepiej, myślałam, że będę się gęsto tłumaczyć. Ale skoro zrobił to Ahagaden...

– Co to znaczy: nie wygląda najlepiej?

– Nic... Do rzeczy: moi ludzie dziś rano zagrodzili drogę gwardzistom w górach. Gwardziści są wyczerpani, a pościg tuż. Wiadomość dostałam, będąc w drodze tutaj.

– Piękny sukces. – Alida przestała męczyć cycki. Spojrzała badawczo. – Ale czy to wszystko?

Semena zmarszczyła brwi.

– Stu kuszników i topornicy Ahagadena, nie licząc tych na holkach. To dobre oddziały. Parudziesięciu konnych, kiepskich jeźdźców, ale pewnych ludzi. Trzy setki dobrze uzbrojonych i nieźle

dowodzonych ochotników. I może jeszcze dwie, trzy setki czegoś, co jeszcze nie jest wojskiem, ale już nie hołotą. Wszystkiego ponad osiem, ale nie więcej niż dziewięć setek żołnierzy. Reszta to zbieranina. Brakuje łuczników, w straży morskiej prawie każdy łucznik to Armektańczyk, a ci jakoś nie bardzo garnęli się do nas. Najemników i ochotników z łukami wzięliście na okręty. No, ale są trzy z górą setki moich żołnierzy. Dobrze wyszkolonych i świetnie uzbrojonych. Opłacanych przeze mnie. Ich nie obchodzi powstanie. Ich obchodzi srebro. I łupy.

– Do czego zmierzasz?

– Ilu ludzi na łądzie może mieć ten Armektańczyk? Elimer, zdaje się?

– Coś siedmiuset, najwyżej ośmiuset. Ale bitnych i dobrze wyszkolonych, nie mówiąc o uzbrojeniu.

– Właśnie.

– Co z tego wynika? – Alida patrzyła czujnie.

– To tylko, że moi kusznicy w górach zawarli z gwardią rozejm. Te niecałe dwie setki ludzi, których wysłaliście w pogoń, pewnie już doszły. Jeśli zechcą zaatakować gwardię, będą musieli i moich. I odwrotnie. Gwardia nie może się przebić, bo ma przeciw sobie waszych i moich ludzi. Jaki mam wydać rozkaz?

Alida zaczynała pojmować.

– To byłby tylko początek – zaznaczyła Semena. – Ci ludzie w Harenach niewiele zmieniają. Chociaż jego godność Elimer z pewnością ozłociłby mnie za parudziesięciu takich żołnierzy jak ci gwardziści. A jeszcze gdyby się okazało, że pomogłam im rozbić oddział buntowników...

– Nie zapanujesz nad tym. Intrygi z wojskami rzadko się udają – powiedziała poważnie Alida. – Zanim tam dotrze twój goniec, wszystko się rozstrzygnie bez ciebie, i to w sposób zupełnie przypadkowy. To nie są szachowe figury, tylko ludzie. Ktoś tam zaraz zrobi coś głupiego i ktoś kogoś wyrznie. Żadna z nas nie wie, kto kogo.

– Dobrze, wróćmy do wojsk pod Doroną. – Semena zbagatelizowała jej uwagę i Alida nagle odkryła, że... przeceniała tę



dorońską ślicznotkę. – Moi żołnierze staną po tej stronie, po której ich postawię. No więc, po której mają stanąć? Odpowiedz mądrze, bo jeśli odpowiedź będzie głupia, skończę to całe powstanie w trzy dni.

To już było trochę lepsze od awantury w Harenach. Alida nawinęła kosmyk włosów na palec.

– Śmiało powiedziane... – mruknęła, ale w głosie brzmiało raczej uznanie niż cokolwiek innego. – Umiesz liczyć, oceniać i wiesz, do czego służą wojska. Już to jedno wystarczy, by powierzyć ci dowództwo. Tyle tylko – spojrzała w zadumie – że jest to całkiem nie po mojej myśli.

Semena leciutko wzruszyła ramionami.

– Tobie nie chodzi o powstanie. I nigdy nie chodziło, oczywiście. – Alida pokręciła głową.

Burza zbliżyła się znacznie.

– Tobie zaś chodziło? O święty obowiązek wyzwolenia Garry? – zapytała szyderczo Semena. – Nikt nas nie słyszy, więc oszczędźmy sobie tego bełkotu o zdradzie, powinności, lojalności i tym wszystkim, co tak strasznie śmierdzi – poprosiła.

Popatrzyły sobie w oczy.

– Powstanie powstaniem... Mam swój własny cel – przyznała Alida.

– A ja swój.

– Czy zbieżne?

– Kto wie.

– Oj, wątpię. Naprawdę, naprawdę wątpię.

Semena uniosła brwi.

– Przecież chcesz wyzwolić Garre? Obojętnie, z jakich powodów. Pomogę ci w tym!

– Tak, zapewne. Pokonasz wojsko imperium, po czym powiesz: „Alido, teraz ty”. I usuniesz się w cień.

– Tak właśnie chcę zrobić. A nawet więcej: zamierzam zniknąć w ogóle.

– Mam w to wierzyć?

– Spróbuj. Moim celem nie jest żadne stanowisko na tej podłej wyspie. Zapewniam cię. Potrzebuję zwycięstwa powstania... ale dla

osłabienia Armektu.

Po długiej chwili blondynka zmrużyła oczy.

– Może mogłabym zacząć ci wierzyć?...

– Spróbuj – powtórzyła Semena.

– Co z tym Armektem?

– To, co powiedziałam.

– I nic więcej?

– Nic więcej.

Alida myślała. Stojące przed nią dziewczę naprawdę mogło mieć swoje plany. Ale na pewno grało za wysoko.

– Dlaczego tak pożądasz dowództwa? Skoro chodzi ci tylko o zwycięstwo powstania dla osłabienia Armektu, jak twierdzisz, dlaczego nie miałyby go zapewnić ktoś inny?

– Są powody. Przede wszystkim nikogo takiego nie widzę. Tylko ja mogę wygrać tę wojnę. Ahagaden tego nie zrobi, mimo że tak dzielnie zdobył Doronę, a nawet całą Flotę Główną.

To akurat było prawdą, niestety. Kogokolwiek by wybrano, nie byłby lepszy jako wódz. Starzec, marynarz czy polityk?

– Zauważyłaś pewnie, że ilekroć spojrzysz w zwierciadło, odbija się w nim żmija? – zagadnęła Alida.

– Hmm... – Semena uśmiechnęła się. – To, co w nim widzę, zupełnie mnie zadowala. Ale teraz pozwól, że powtórzę swoje pytanie: jaki mam wydać rozkaz? Przyznaję, że dyskusja, w której strona przeciwna nie ma żadnych argumentów, trochę mnie znużyła.

– A gdyby cię usunąć? – rozważała na głos Alida.

– Usunąć. Tylko usunąć – zaaprobowała tamta. – Dwustu ludzi w Harenach pójdzie pod miecze, gwardziści i moi połączą się z Elimerem, a powstańczą strategię podziwiać będą wszystkie krainy Szereru. Nie, naprawdę zdołałaś mnie zadziwić!

Po raz kolejny tej nocy mierzyły się spojrzeniami.

– Rzeczywiście, zdaje się, że to ty dzisiaj dyktujesz warunki – stwierdziła Alida, odrywając plecy od ściany. – Przy pierwszej okazji podstawię ci nogę – obiecała. – Przewrócisz się, a wtedy będę skakać ci po brzuchu.

Tym razem nie kłamała, była zupełnie szczerą. Już wiedziała, że cokolwiek się wydarzy, Semena nie zdoła jej zagrozić. Gdzie mieściły się zarozumiałstwo i nadmierna pewność siebie tej pannicy?

Zatrzymała spojrzenie na dużych, naprawdę dużych piersiach rozmówczyni i znacząco kiwnęła głową – ot tak sama do siebie.

– No to jesteś dowódcą – skwitowała.

Wokół gospody szalała burza.

## ROZDZIAŁ 56



**S**en był ogromną przyjemnością – Semena odkryła to dopiero wtedy, gdy nauczyła się obywać bez niego. Naprawdę, zaczynała marzyć o chwili, gdy wreszcie znajdzie dosyć czasu, by położyć się i leżeć, i spać, i nic nie robić...

Był ranek, gdy wojsko uszykowano do przeglądu.

Wciąż nie chciało jej się nawet myśleć o koniu, zresztą wiedziała, jak kiepsko siedzi w siodle. Nie miała ochoty robić z siebie pośmiewiska. Lustrowała szeregi, idąc pieszo, w asyście kilku najwyższych rangą oficerów i dwóch dostojników z Kwatery Głównej. Tym ostatnim nie dane było odpocząć po podróży; późnym wieczorem urządziła im odprawę, teraz pobudkę wczesnym rankiem. Gapili się na oddziały, oswojeni już nieco z jej kolczugą i grubą, męską spódnicą kryjącą cholewy skórzanych butów. Na kolczugę narzuconą miała granatową tunikę, z naszytym na lewej piersi niedużym jaskrawoczerwonym kręgiem. U prawego boku wisiał krótki gwardyjski miecz. Nie miała hełmu; gdy szła, ujęte w dwie potężne kiście, przerzucone na plecy włosy falowały w rytm kroków.

Była najpiękniejszym żołnierzem, jakiego kiedykolwiek widziały niebo i ziemia Szereru.

Minęła niepełną setkę konnych, dość rozmaicie uzbrojonych, na wierzchowcach różnej maści, wielkości i wartości; potem stało dwustu tarczowników Ahagadena, w nagich kirysach, z tarczami opartymi o ziemię i toporami na ramionach – piękna piechota. Dalej stu paru kuszników i pół setki łuczników, wszyscy w srebrzystych kapalinach, ale w różnych tunikach, często bez nich, w kolczugach, czasem tylko skórzanych kaftanach, żeglarskich hajdawerach lub

mieszkańskich nogawicach, obuwiu skórzanym, płóciennym, a nawet w kapciach uplecionych z łyka. To jeszcze przeżyła. Ale potem byli, podzieleni na półsetki, ludzie zbrojni w każdy oręż, jaki można sobie wyobrazić, w strojach ochronnych czasem wręcz przedziwnych: widziała człowieka w lamelkowej zbroi, od której odpadła połowa płytek, a parę kroków dalej jakiegoś kurdupła w kirysie z przymocowanym doń prawdziwym turniejowym „żabim pyskiem”, prosto z Dartanu... Kosztowny ten hełm był niestety rozwalony na pół, co uniemożliwiło wyzbycie się go i sprawienie w zamian innego. Semenie zrobiło się słabo, przyspieszyła kroku, bo bała się, że parsknie śmiechem albo zacznie zgrzytać zębami. Kochała pięknych żołnierzy, przywiązywała do ich prezencji taką samą wagę jak do wyszkolenia.

Nauczyła się tego od Riolaty. Musiała przejąć jej nawyki, naśladować ją możliwie wiernie we wszystkim. Gdy ujrzała efekty, zrozumiała niejedno. Teraz, gdyby zwrócono jej „Gwiazdę Zachodu”, prześcignęłaby szykiem Brorroka. Nauczyła się, że – w jakiś sposób – żołnierz tak się czuje, jak wygląda.

Doszła do linii, gdzie szpaler tworzyli jej ludzie.

Po prawej ręce miała piechotę ognistą: płot kozłów, a za nimi żołnierze osłony z włóczyniami, drugi szereg – strzelcy, z hakownicą na każdym ramieniu; trzeci szereg – znów osłona z kozłami, i jeszcze strzelcy. Z lewej strony kusznicy, w kapalinach zamiast otwartych łebek, a na końcu półsetka toporników. Wszyscy – strzelcy, kusznicy, topornicy – w granatowych tunikach ozdobionych czerwonymi kręgami.

To było całe jej prywatne wojsko, bo wbrew marudzeniu Alidy zdołała ściągnąć oddział z Harenów. Na wyposażenie, wyszkolenie i utrzymanie tych trzystu pięćdziesięciu zbrojnych wydała fortunę. A w ogóle nie liczyła oręża wyjątego ze skarbca ojca.

Ale warto było.

Przeszła powoli, gestem pozdrawiając swoich oficerów.

Na samym końcu stali spędzeni, czasem wręcz pod przymusem, chłopcy i rybacy z różnych wiosek. Omal nie zamknęła oczu. Powiodła spojrzeniem po bezładnych gromadach i zawróciła bez słowa. W tej

samej chwili ujrzała, że jeden z brudnych chłopów kiwa się, mocno oparty na widłach.

W pierwszym odruchu omal nie urwała mu łba... Powstrzymała się w ostatniej chwili. Podeszła szybkim krokiem, zostawiając świętę za plecami.

– Pijany? – rzuciła krótko, opierając dłoń na mieczu.

Woń morderczej gorzały powiedziała wszystko. Coś zgrzytnęło cicho, obróciła się na pięcie i dopiero wtedy podchodzący oficerowie ujrzeli miecz w jej ręce, trzymany głównią w dół. Zdążyła zrobić dwa kroki, nim wieśniak za jej plecami upadł, wierzgając. Krew sikała z tętnicy.

– Pojmać dowódcę tych ludzi – rozkazała. – Później zdecyduję, co z nim zrobić. To wszystko. Wymarsz natychmiast. W straży przedniej pójdą łucznicy, nie jazda. Wszyscy konni mają być do mojej wyłącznej dyspozycji, także w marszu. Ubezpieczenie taborów bez zmian, tak jak było ustalone.

Skinęła na jednego ze swoich setników.

– Dasz mi konia i pięciu ludzi, też w siodłach. Naszych ludzi – zaznaczyła.

Nie zwracając więcej uwagi na swych dowódców ani tym bardziej gości z Kwatery, poszła szybko z powrotem szpalerem.

o o o

Ulice Dorony wyglądały na wymarłe, choć był już późny ranek. Mieszczanie nie kwapili się zbyt do spotkań z wojakami, choćby nawet ci wojacy byli wyzwolicielami Garry.

A nawet: szczególnie jeśli byli wyzwolicielami Garry. Ci wyzwoliciele rabowali wszystko, co było potrzebne dla powstania lub dla nich samych. Nazywało się to: rekwizycje...

Stukot końskich kopyt pobrzmiwał echem. Semena, wyprzedzając swych ludzi o kilka końskich długości, zmierzała ku miejscu, które niemal od roku było jej domem.

Oddziałek minął splądrowany i częściowo spalony pałac Przedstawiciela (czy odczepiono już Księcia od powały?) i podążył dalej.

Właściwie zajęcie portów i okrętów przez Ahagadena miało też swoje dobre strony: pałac został dla niej. Do szkatuły powstania posłała nawet nie połowę zdobytego dobra. Reszta zasiliła jej prywatną kasę. Czas był najwyższy. Ostatnio czerpała już tylko z trzosu nabitego dzięki pośpiesznej sprzedaży przedsiębiorstw Melara i reszty. Kilku durniów oszukało się mocno, kupując towary i domy, które zaraz potem zabrało lub zniszczyło powstanie. Gdyby Ahagaden nie pilnował tak bardzo swoich holków, mógłby mocno utrudnić jej życie. I tak do Kwatery w Dranie dotarły różne pogłoski. A prawda była taka, że częściowo opłaciła służbę swych żołnierzy, pozwalając im na splądrowanie miasta. Oczywiście zdobyła też co nieco dla siebie.

Cóż, kilkunastu wojaków tak zasmakowało w rabunkach, że już ich nie ujrzała. Ale i tak dezercja była w granatowych oddziałach mniejsza niż w jakichkolwiek innych. Większość spośród jej zabijaków pojmowała świetnie, że pod wodzą „jej pięknej godności” łupów im nie zabraknie, a łatwiej je zdobyć kupą niżli w pojedynkę. I łatwiej potem obronić przed zawistnikami.

Alida była pierwszą osobą z Kwatery, która na własne oczy ujrzała, co zostało z Dorony po „rozbiciu cesarskich”.

„Ty... suko! Och, ty suko!” – powiedziała przerażona. „Na Szerń, zrobiłam błąd, oddając ci dowództwo... Jak ty wygrasz tę wojnę, to ja będę rządzić pustynią!”

Semena zaśmiała się wtedy.

„Czego chcesz?” – odparła ironicznie. „Co to, w Dranie nie było rabunków? A zresztą, przecież tu zwyciężał Ahagaden, nieprawdaż?”

Po ulicach walały się jakieś porozbijane sprzęty, szmaty, wszelkiego rodzaju śmieci. Część tego usunięto już przed paroma dniami, ale nie wszystko przecież. Samo wywiezienie i pogrzebanie trupów okazało się przedsięwzięciem tyleż gigantycznym, co niezwykle pilnym: groźba wybuchu zarazy była aż nadto realna.

Semena zatrzymała wierzchowca przed swym domem.

– Czekać tu – rzekła do żołnierzy.

Zeskoczyła z siodła.

Budynek był opuszczony, takie przynajmniej sprawiał wrażenie. Może służba gdzieś siedziała, ale Semena nie miała zamiaru sprawdzać. Znalazła kandelabr, zapaliła świecę, a od niej pozostałe.

Zeszła do piwnic.

Wielkie beczki trwały nieporuszenie. Ale skrzyń ubyło, a te, co zostały, ukazywały puste wnętrza. Semena poszła na sam koniec lochu. Uniosła klapę, zeszła niżej i odemknęła zasuwę. Nie była tu od dawna. Od dnia, gdy przyszła z Askarem.

Przerazający odór buchnął z pomieszczenia. Odczekała długą chwilę, bojąc się, że jeśli wejdzie za szybko, może braknąć powietrza dla świec. Potem przekroczyła zgniętego trupa przy samym progu i wstrzymując oddech, spojrzała na wiszące ciało.

– Od dzisiaj – powiedziała – nie jestem już tobą. Od dzisiaj znowu nazywam się Lerena. Ty zaś możesz być Semeną, Riolatą albo czymkolwiek i kimkolwiek zechcesz.

Podeszła blisko, delikatnie odgarnęła resztki włosów z pochylonego czoła siostry.

– Riolata – powiedziała cicho. – Rio-la-ta... Lubiałś, gdy mówiłam twoje imię.

Wyjęła miecz. Nie bacząc na zwierzęce wycia i podrygi tamtej, kilkoma ciosami przerąbała oplecione łańcuchem ręce. Dłonie i przedramiona zostały pod sufitem, reszta runęła na klepisko; obumarłe, krótkie kikuty słabo broczyły krwią.

– Idź do Dranu – powiedziała Lerena, chowając miecz. – Tam jest wielu Garyjczyków szlachetnego rodu. Może wyjdiesz za mąż?

Smród przyprawił ją w końcu o torsję; zwymiotowała na ścianę i stała przez długą chwilę oparta o nią ramieniem.

– Albo nie – powiedziała. – Zostawiłabym cię... ale lepiej coś sprawdzę. To jedyna okazja.

Odwróciła się, wyjęła miecz i oburącz wzniosła go nad głowę. Padła na kolana i rąbała charczącego potwora na posadzce, aż oddzieliła głowę od reszty, rozłupała czaszkę i zmasakrowała



wszystko, co w niej było. Zbryzgana krwią i materią oddychała z wysiłkiem, patrząc na to, co zostało z jej bliźniaczej siostry.

Dowiedziała się, że nie jest nieśmiertelna. Rubin musiał działać za pośrednictwem mózgu. Jeśli moc klejnotu przetrwała w tych strzępach, to była już mocą bezsilną.

Zdarła z siebie zachlapaną tunikę. Musiała gdzieś znaleźć odrobinę wody i obmyć się jako tako.

Odpoczęła, po czym poszła schodami i dalej przez piwnice, zostawiając otwarty loch.

## ROZDZIAŁ 57



Powstanie musiało upaść. Musiało upaść z tej samej przyczyny, dla której upadły wszystkie poprzednie. Musiało upaść prędzej czy później, bo wisiało w próżni.

Rzeczywiście – przygotowane było o wiele, wiele lepiej niż którekolwiek z wcześniejszych. Oparto się nie tylko na ochotnikach pragnących oddać życie za Garrę, ale także na oddziałach złożonych z najemników, gotowych bić się z każdym, byle im zapłacono. Przygotowanie i użycie oddziałów najemnych było z kolei możliwe dlatego, że spiskowcy zdołali przeniknąć w głąb instytucji mających na celu właśnie zapobieganie buntom, a zatem w szeregi wojsk cesarskich i między urzędników Trybunału Imperialnego.

Pożoga ogarnęła od razu całą wyspę i zdobycze terytorialne były znaczne. Ale wielu ochotników zginęło, wielu najemników porzuciło służbę... I widać już było, że – jak zawsze – całe powstanie to w istocie nic więcej jak gniewne wrzaski paru starych rodów. Tupnięcie nogą, od którego spaść może dzbanek ze stołu, robiąc wiele hałasu, ale na pewno nie zawali się dom.

Bo czy stał ktoś za tymi świętymi rodami?

Czy porwano może do walki kupców? Nie. Kupcy stracili na powstaniu majątki, zarekwirovano ich statki, towary, uniemożliwiono albo bardzo utrudniono prowadzenie wszelkich interesów. Co im mogło dać zwycięstwo powstania? Chyba załamanie handlu z cesarstwem, przynajmniej na długie lata.

Może więc skorzystali lub skorzystać mieli mieszczanie? Również nie. W stolicy mieszcuchy siedziały cicho w swoich norach, ciesząc się, jeśli nie obrabowano ich ze wszystkiego. W Dranie brak

cesarskich wojaków na ulicach rychło dał się odczuć: strach było wyjść z domu, po prostu. Wszędzie piekarze darmo lub półdarmo piekli chleb dla rebeliantów, a rzemieślnicy tak samo naprawiali powstańczy ekwipunek i słyszeli, że mają się cieszyć, bo pracują dla „wielkiej sprawy wyzwolenia Garry”. Tyle że, jakkolwiek wielka była ta sprawa, nie dało się nią wyżywić rodziny.

A czy gdyby powstanie zwyciężyło raz na zawsze, zmieniłoby się coś na lepsze? Co najwyżej byłoby tak samo jak pod rządami Kirlanu.

Rybacy i chłopci? Ci, prawdę powiedziawszy, powinni wyciągać ręce w stronę Kraju Równin, by przysłano stamtąd tysiące żołnierzy, którzy wyrzną i rozpędzą powstańcze zastępy. Chłop czy rybak przypisany do dóbr cesarskich był zgoła bogaczem w porównaniu z chłopem w dobrach garyjskiego wielmoży. Cesarscy poborcy żądali zwykle plonu z ćwierci łana, a ponadto wolny wieśniak miał swoje prawa. Chłop czy rybak żyjący w poddaństwie praw nie miał; jedynym prawem (oprócz najważniejszego, tego do sprzedania się w niewolę w jakiejś legalnej hodowli), i to narzuconym jego panu przez Kirlan, było prawo do służby w cesarskich legiach – przywilej różniący wieśniaka od niewolnika. Dość powiedzieć, że po każdym powstaniu, gdy cesarstwo konfiskowało majątki zamieszanych w bunt rodzin, chłopci w „wyzwolonych” przez cesarza wioskach tańczyli z radości.

A przecież „święta sprawa wyzwolenia Garry” wcale nie była biedocie obojętna. Może tylko w Armekcie poczucie narodowej przynależności było silniejsze. Garyjski rybak z pewną dumą mienił się Garyjczykiem i pamiętał stale, że Armekt, włączwszy jego kraj do Wiecznego Cesarstwa, wziął straszliwy odwet za dziesiątki potopionych w srogiej wojnie okrętów. Ale jednak interes Garry, pojmowany tak, jak chcieli tego szlachetni panowie w brunatnych pałacach, nie szedł w parze z interesem umiejącego w końcu liczyć poławiacza ryb. Jeśli wszystkim, co ten ostatni miał osiągnąć, byłaby zmiana nazwy z Morskiej Prowincji na Królestwo Garry – rybak pewnie biłby się o to. Wtedy wszakże, gdyby dano mu chociaż nadzieję, że w owym Królestwie Garry nie umrze potem z głodu. Że

nikt nie rozdzielił go z żoną, nie obciążył dodatkową pracą ponad siły... Że będzie trochę lepiej, nie gorzej.

Jednakże takich obietnic nikt składać nie zamierzał. Przeciwnie: trąbiono wszem wobec, że po zwycięstwie zapanuje „stary porządek”. Ach, stary porządek! Chłopu cesarskiemu chyba miłsza byłaby wizja pożaru w zagrodzie, chłop niewolny natomiast traciłby największy swój przywilej, a to możliwość zostania żołnierzem imperialnym, służącym za pieniądze, z własnej woli i chęci.

Tunika legionisty lub strażnika morza, święta dla Armekańczyka jak całe rzemiosło wojenne, stawiała nisko urodzonego na równi z człowiekiem Czystej Krwi. Żołd był bardzo skromny, ale stały i wystarczający, bo żołnierz nie musiał się trapić o wikt, kwaterę ani przyodziewek. Legionista imperium znał swoje obowiązki, ale miał też prawa. Za uchybienie w służbie mógł nawet zawisnąć, ale jeśli pełnił ją dobrze, mógł chociażby się ożenić, nikogo o zdanie nie pytając. Zostać żołnierzem nie było wcale łatwo, ale gdy już kandydat trafił do szeregów, otworem stała droga do dalszej kariery. W imperialnych legiach pochodzenie, przynajmniej formalnie, nie miało żadnego znaczenia. Każdy, kto spełniał określone wymagania – a więc wykazał się odpowiednim stażem służby, umiał pisać i czytać oraz spełnił kilka innych warunków – mógł po przystąpieniu do stosownych egzaminów zostać oficerem i awansować dalej. Łatwo zrozumieć, dlaczego żołnierze tak niechętnie przechodzili na stronę powstania: oznaczało to nic innego jak powrót pod „opiekę”, spod której wielu z nich właśnie uciekło. Także kres wszelkich ambicji i marzeń.

No, i było przecież jeszcze to drugie prawo: przywilej sprzedania się w niewolę. Nic w historii świata nie poprawiło chłopskiego losu aż tak, jak ten jeden mały zapis narzucony przez Armekt. Każdy właściciel ziemski w granicach Wiecznego Cesarstwa zdawał sobie sprawę, że istnieje granica wyzysku i ucisku, po której przekroczeniu w majestacie prawa zostanie bez poddanych. Którzy nie uciekną ani się nie zbuntują – a tylko zgodnie z prawem zrzekną się swego człowieczeństwa, wybierając w zamian status przedmiotu. Niewolnika. Bo to poprawi ich los.

Mężczyźni rzadko decydowali się na taki krok. Ale wystarczyło, by sprzedały się kobiety – i wioska wymierała. A uwolnieni od troski o najbliższych, samotni, niemający nic do stracenia mężczyźni bywali naprawdę niebezpieczni. W półwyludnionych wioskach owszem, dochodziło do buntów.

Wobec takiego stanu rzeczy dziwić się należało raczej neutralności garyjskich rybaków. Osobisty interes kazał im walczyć u boku żołnierzy cesarskich, i to walczyć zaciekle. Jeśli tak się nie działo, to naprawdę tylko dlatego, że ów rybak czuł się Garyjczykiem.

Lerena, obserwując zapal, z jakim szli do boju chłopci, siłą wcieleni do jej wojska, nie myślała oczywiście o tym wszystkim. Ale widziała wyraźnie, że ci ludzie w ogóle nie dojdą do pozycji nieprzyjaciela; potrzebny byłby cud. Nie zdziwiła się zbytnio, gdy cud nie nastąpił: gdy tylko w stronę nacierających pomknęły pierwsze strzały, natychmiast cały tłum zawrócił i pognął z powrotem ku jej własnym liniom.

Zgodnie z rozkazem – uciekających powitano pociskami z kusz. Ale ciężkie bełty, zabijając i raniąc, nie sprawiły nic ponad to, że pędząca dotąd kupą banda rozpiezchła się na wszystkie strony świata, rzucając widły, cepy i drągi. W ten sposób połowa jej wojska w jednej chwili przestała istnieć.

Prawdę mówiąc, Lerena poczuła pewną ulgę. Cała ta hołota ciążyła jej jak kula u nogi. Teraz przynajmniej wiedziała, jakimi siłami naprawdę dysponuje.

Zdążyła już, niestety, popełnić w tej bitwie błąd. Widząc szczupłość sił nieprzyjaciela, nakazała uderzenie z marszu. Do boju poszły najlepsze jej oddziały: piechota ognista i kusznicy ze wsparciem łuczników. Jednakże natarcie utknęło pod istną ulewą strzał słanych przez przeciwnika. Łuk nie miał tej siły przebicia co kusza, nie mówiąc już o hakownicy, ale był bronią szybkostrzelną. Mnogość pocisków zdeprymowała żołnierzy i ją samą; zatrzymała atak w połowie drogi, choć straty były właściwie niewielkie, i posłała chłopstwo, żeby osłoniło odwrót. Teraz całe jej wojsko stało już porządnie uszykowane do bitwy.

Przywołała jednego z oficerów.

– Prowadź tarczowników – rozkazała. – Wzmocnij ich czterema setkami tego. – Wskazała ochotników, którzy nie tak dawno prawie przyprawili ją o atak śmiechu.

– Tak, pani!

Znów zwróciła spojrzenie ku nieprzyjacielowi. Chłopi uciekli, to prawda. Ale bitwa się dopiero zaczynała. Nieprzyjaciel miał zaledwie kilkuset ludzi! Wprawdzie musiała nacierać pod górę, ale stok był bardzo łagodny. Miała taką przewagę, że wynik boju był przesądzony: mogła zgnieść cesarskich samą liczbą. Zamierzała posyłać piechotę falami, jedna po drugiej. Ciężko opancerzeni tarczownicy poszli przodem, bo nie musieli obawiać się strzał. Uznała, że utorują drogę reszcie.

Ciężkozbrojni ruszyli, mając za wzmocnienie kilka setek zbieraniny.

Przywołała kolejnego ze swych dowódców.

– Ruszaj za tarczownikami – powiedziała. – Wesprzyj ich. Weź wszystko, co zostało. Prócz moich ludzi i jazdy. Zostają w odwodzie.

– Tak, pani!

Oficer odszedł.

Tarczownicy pośród deszczu strzał mozolnie, lecz niezłomnie pięli się w górę. Obserwowała ich marsz. Straty w samej rzeczy nie wydawały się duże, a jednak poczuła ukłucie niepokoju. Coś było nie w porządku...

Z tyłu rozbrzmiał tętent. Obejrzała się. Ze zdumieniem patrzyła na ubraną w szarą koszulę i takąż spódnicę dziewczynę zeskakującą z siodła. Dopiero po chwili poznała... Alidę. Potargane złote włosy, związane z tyłu głowy w zwykły koński ogon i zaróżowione policzki ujęły jej dziesięć lat.

A właściwie ile lat mogła mieć ta kobieta?

– Co tu robisz, pani? – zapytała Lerena. – Zdaje się...

– Zdaje się, wodzu, że dostaliśmy w dupę na morzu – powiedziała tamta prawie wesoło, ale tak, by nie słyszeli oficerowie. – Przed chwilą do taborów dotarł goniec.

– Czemu nie do mnie? – rzuciła z gniewem Lerena.

– Bo koń mu padł. Dobre trzy mile stąd. Przyleciał pieszo, ledwie żywy. Wysłałam do ciebie innego gońca, to ja właśnie.

Głównodowodząca obejrzała się na swoich oficerów. Pilnie śledzili bitwę.

– Zupełna klęska?

– A czy ja jestem dowódcą floty, pani? – zapytała Alida kpiąco. – Nie wiem, jak się nazywa, kiedy dwie floty zatopią się i zdobędą nawzajem?

– Tak powiedział posłaniec?

– Tyle z tego wynikało.

– Kpisz sobie ze mnie?! – zawołała ze złością Lerena, po czym, przypomniawszy sobie o oficerach, dorzuciła: – Szlachetna?!

Od strony cesarskich pozycji doleciał straszliwy wrzask. Lerena natychmiast zapomniała o Alidzie. Tarczownicy doszli! Ale droga, którą przebyli, znaczyła się paroma dziesiątkami srebrzystych kirysów. Niewielu zabitych, ale sporo rannych, próbujących pełznąć w dół stoku. Na mniejszą odległość wyborni armektańscy łucznicy potrafili strzelać skutecznie.

Druga fala natarcia osiągnęła środek pola bitwy.

Lerena zauważyła, że oddziały posuwają się wolno, zbyt wolno. Stromizna, na pozór nieznaczną, mocno jednak spowalniała atak. Żołnierze dźwigali broje i oręż, a strzały wciąż śmigają w powietrzu, chociaż znacznie rzadziej; tarczownicy dość skutecznie zajęli łuczników. Jednakże linia imperialnych wojsk ustawionych na grzbiecie wzniesienia trwała nieporuszenie. Lerena zastanawiała się, jak to możliwe, że lekkobrojni łucznicy skutecznie stawiają opór ciężkiej piechocie. No, ale już niedługo... Zaraz miała dojść druga fala.

Musiała wygrać tę bitwę. I była przekonana, że ją wygra. Tym bardziej że flota została pobita. Bez względu na to, czy potopiono wiele okrętów, czy tylko kilka, posiłki z kontynentu miały drogę otwartą. Garra stała się pułapką. Należało zdobyć Bagbę i to, co stało w porcie, choćby to była szalupa wiosłowa. I zmykać.

Ale co? Miała wyrzec się wszystkich swoich planów?

– Nigdy! – powiedziała z mocą.

Alida spojrzała pytająco.

– Nigdy co, pani?

Wcale nie była taka beztraska, na jaką chciała wyglądać.

„Nigdy nie zrezygnuję z Agarów” – odpowiedziała w myślach Lerena. „Ale też nigdy nie zdołam ich utrzymać, jeśli powstanie upadnie jeszcze w tym roku” – dodała zaraz.

– Gavah – powiedziała przez ramię – weź strzelców i ruszaj w sukurs tym ciemięgom. Chcę mieć rozstrzygnięcie. Natychmiast.

– Kozły, pani...

– Kozły zostaw. Zostaw hakownice. Osłona z włóczniami, a strzelcy z mieczami w rękach. Czy to jasne?

– Pani... – rzekł niepewnie oficer.

Tumult bitwy wzmógł się nagle. Z prawdziwym przerażeniem ujrzała, jak zza wzniesienia, na którym mieli swe pozycje cesarscy, wyłaniają się dwa zwarte oddziały, zbieżnymi łukami wychodzące na tyły jej wojsk, zmagających się teraz z łucznikami. Kleszcze zwierały się szybko. Oddziały były niewielkie, ale wyraźnie widziała migdałowate tarcze z żółtym polem pośrodku, stanowiącym tło dla srebrnych czteroramiennych gwiazd Wiecznego Cesarstwa.

Topornicy Legii Garyjskiej.

Dowódczyni wojsk rebelianckich nagle zdała sobie sprawę, że przegra.

I w istocie – bitwa była przegrana. Od początku. Właściwie była przegrana, zanim Lerena ją rozpoczęła.

Zemścił się brak doświadczenia i zbyt duża pewność siebie. Walki uliczne w Doronie czy w Dranie, często zresztą zażarte, były jednak bardziej utarczkami, potyczkami niewielkich grup, bez żadnego zamysłu taktycznego, a braki w wyszkoleniu i dowodzeniu nie raz równoważył element zaskoczenia. Tymczasem dowodzenie wojskiem w polu, choćby nawet wojskiem niezbyt licznym, wymagało wielu szczególnych zabiegów, o których Lerena nawet nie słyszała. Jej siostra miała kochanka – bardzo dobrego żołnierza, z którym rozmawiała, od którego dużo się nauczyła.

Dla Lereny Askar był tylko kłopotem.



Pierwszą sprawą, zaniedbaną zupełnie, było rozpoznanie. Powstańcy nie mieli zielonego pojęcia, jakimi właściwie siłami dysponuje przeciwnik, zarówno w ogóle, jak i na samym polu bitwy. Tych dwustu pięćdziesięciu toporników, wyrosłych jak spod ziemi, mogło przeważać szalę tylko dlatego, że nikt o nich nie wiedział.

Dowódca wojsk cesarskich nie był żołnierzem szczególnie doświadczonym. Niemniej, jak większość oficerów imperium od setnika w górę, musiał odsłużyć swoje na północnym pograniczu Armektu, gdzie trwała niekończąca się szarpana wojna z alerskimi półzwierzętami, lub zdobyć doświadczenie w jakichś innych walkach. Dzięki temu wiedział świetnie, że odwód nie tylko trzeba mieć, ale jeszcze warto go ukryć przed wzrokiem przeciwnika. Lereña nawet przez chwilę nie podejrzewała, że to, co widzi przed sobą, to tylko część wrogiej armii. Słuchać zaś niczyich rad nie umiała i nie zamierzała.

Brak rozpoznania nie był, oczywiście, jedynym zaniedbaniem zadufanej w sobie dowódczyni rebeliantów. Każdy armektański dowódca wiedział dobrze, iż liczebną przewagę przeciwnika zniwelować może dobra pozycja. Chcąc uzyskać patent oficerski, trzeba było zdać egzaminy, a więc przebrnąć przez pewną liczbę zwojów z opisami historycznych bitew. Elimer wcale nie działał błyskotliwie; przeciwnie. Każdy naprawdę zdolny dowódca zarzuciłby mu natychmiast brak elastyczności, jeśli nie schematyzm.

Taktyka, jaką zastosował, była stara jak armektański łuk. Rozważała niegdyś jej zalety i wady Riolata; ale Riolata miała swoje własne koncepcje, których zabrakło Lerenie. Oto, przede wszystkim, piechota ognista przenigdy nie miała być użyta do działań zaczepnych. Obronnej taktyce Armektu Riolata chciała przeciwstawić szczególną taktykę zaczepno-obronną. W myśl jej założeń strzelcy z hakownicami, których granatowe kozły tworzyły niemal przenośną palisadę, zabezpieczającą przed pociskami wroga, stanowić mieli zawias, na którym obracałoby się prawe bądź lewe skrzydło, zachodzące wrogą pozycję z flanki; hakownice, broń o znacznej donośności, zapewnić miały wsparcie takiemu natarciu, jednocześnie zaś strzelcy, ubezpieczani przez żołnierzy osłony

z włóczyniami, stanowiliby odwód i oparcie dla ruchomych wojsk, odwód zdolny w decydującej chwili podtrzymać atak (zadanie żołnierzy osłony) lub będący ostoją dla cofających się, w przypadku niepowodzenia, oddziałów; w takiej sytuacji płot kozłów stanowiłby po prostu zasiek broniony przez ogień hakownic.

Dobra albo niedobra – była to jakaś koncepcja, z którą musiałyby sobie radzić przeciwnik.

Lerena nie wymyśliła niczego. Przyjęcie bitwy w terenie narzuconym przez wroga było błędem, a drugim i jeszcze większym – wyprowadzanie bezmyślnych w gruncie rzeczy ciosów na wprost, pod armektańskie łuki. Lekarstwo na takie ataki wynaleziono w Armekcie przed paroma setkami lat.

Nastąpiło to, co nastąpić musiało: ciężkozbrojna piechota, nacierająca mozolnie pod górę, poniosła znaczne straty od strzał i nie miało większego znaczenia, że były to straty liczone raczej w rannych niżli zabitych. Zdyszani żołnierze, po osiągnięciu wrogiej pozycji mieli przed sobą lekko uzbrojonych, lecz wypoczętych łuczników, których, co najwyżej, boleć mogły ramiona od pośpiesznego napinania cięciw. Ciężki topór, kirys, hełm i tarcza, zamiast zapewnić odpowiednią siłę uderzenia, stały się balastem obciążającym zmęczonych i pokaleczonych przez strzały ludzi. Gdy kocioł zamknięto, w jego wnętrzu nie było ani jednego oddziału, który byłby w stanie podjąć skuteczną próbę wyrwania się z okrążenia.

Pomoc mogła nadejść tylko z zewnątrz. Ale okazało się prędko, że chłopstwo, którego nie umiała użyć Lerena, może jednak działać skutecznie. Przede wszystkim Elimer spalił, oczywiście, kilka chałup w wioskach, w których kielkowały ziarna buntu, ale inne oszczędził. Nie zmusił też ani jednego chłopca do udziału w wojnie. Dla Armektańczyka coś podobnego było nie do pomyślenia. Niepojęta Arilora – Los Wojenny – pani każdego żołnierza i każdego konającego, wspierała tylko tych, którzy służyli jej dobrowolnie; armektańska tradycja była tu nieubłagana. Ale w imieniu cesarza Elimer obiecał chłopom i rybakom wyjęcie ich wsi spod władzy

szlachetnie urodzonych właścicieli. I kilkuset ludzi poszło za nim z własnej, nieprzymuszonej woli.

Mając ich, armeckański dowódca tym razem popisał się wyobraźnią. Gdy granatowe oddziały Lereny ruszyły okrążonym z odsieczą, wszędzie zaczęły pojawiać się grupy zbrojnego byle jak chłopstwa. Niektóre z tych oddziałów nawet nie weszły do walki, ale samą swą obecnością rozproszyły wysiłek rebeliantów i związały odwody na czas dostatecznie długi, by siły na wzgórzu pobito.

Elimer zresztą nie bawił się długo. Dysproporcja sił była znaczna; rozumiał świetnie, że gdy przestanie działać efekt zaskoczenia, okrążone oddziały stawić mogą rozpaczliwy opór, może nawet wystarczająco silny, by przeważać nacisk jego ludzi. Demonstracyjne ataki słabych chłopskich grup nie mogły trwać w nieskończoność. Armeckański dowódca poszarpał więc schwytanych w pułapkę tarczowników i ochotników, po czym otworzył im drogę ucieczki i odrzucił w dół stoku.

Objawiła się kolejna prawda wojny: dobrego żołnierza poznaje się nie po tym, jak naciera (by uzyskać pożądaną brawurę ataku, wystarczy spoić ludzi wódką), lecz po tym, jak się cofa. Każdy odwrót źle działa na żołnierzy, szczególnie zaś odwrót w ogniu walki. Zdyscyplinowany weteran potrafi cofać się w szyku, krok za krokiem, zadając straty nacierającym oddziałom. Źle wyszkolony rekrut potrafi tylko uciekać.

Bezładna, wstrząśnięta i zdemoralizowana banda, ścigana przez gęsto śmigające pociski, gnała ku pozycjom Lereny.

Głównodowodząca kompletnie straciła głowę. Pędziła konno od jednego oddziału do drugiego. W środku pola, między pozycjami, czterdziestoosobowy oddział jazdy cesarskiej wyrzynany był przez setkę jej konnych. Lecz co z tego?! Bezładne grupy uciekinierów opływały wyspę walczących, gnając na złamanie karku. Uwijając się na przedpolu, widziała przez chwilę dużą grupę srebrzystych tarczowników Ahagadena, jakimś cudem zebraną parędziesiąt kroków od niej... Gdzie tam! Nie panując nad sobą, zawyła ze wściekłości, gdy ujrzała dziki tłum ochotników rozpraszający oddział na powrót.

Na lewym skrzydle kusznicy rozpędzili bełtami ostatnią kupę chłopstwa, ale to nie mogło już niczego zmienić. Cała armia zmykała!

Skierowała konia ku grupie uciekinierów, wyciągnęła miecz, ale przewrócono ją razem z wierzchowcem. Niemal stratowana zerwała się na powrót, przywołując całą siłę swych źrenic. Kapryśna moc, nie zawsze przychodząca na zawołanie, tym razem była posłuszna: dwaj cudacznie ubrani powstańcy przewrócili się, jakby w pełnym biegu uderzyli w niewidzialny mur. Dwóch następnych odrzuciła do tyłu. Po raz pierwszy pomyślała, że całe to czerwone migotanie jej oczu nie jest warte więcej niż jarmarczne sztuczki.

Co właściwie dzięki temu zyskiwała? Potrafiła może wygrywać bitwy? Kpina! Poczowała się nagle śmieszna z tymi płomykami w źrenicach, bezsilna. Było jasne, że cała potęga, którą czerpać można z Pasm Szerni, ma się do praw rządzących światem jak pięść do nosa akurat! Tutaj nie było miejsca na głupkowate popisy, tutaj rządził rozum, doświadczenie, siła woli, miecz!

Reszta grupy minęła ją, pędząc.

Nieopodal ujrzała kilku swoich toporników. Uciekali z innymi.

Wiedziała już, na co się zanosi; zostanie na tym przeklętym polu bitwy sama!

W tej chwili jakiś jeździec przyskoczył z boku.

– Pani!

– Gavah! – wrzasnęła, poznając dowódcę swoich strzelców. – Gnaj do naszych! Płot! Salwa! W cokolwiek, we wszystko, co żyje!

Mężczyzna zawrócił wierzchowca.

Zgubiła hełm i miecz, spłoszony koń biegał w tę i z powrotem. Utykając, bo mocno się potłukła, podążyła w tył. Już wiedziała, że nie zdoła zapanować nad przebiegiem boju. Musiała wyprowadzić stąd swoich!

Jakaś strzała utkwiała w ziemi tuż obok. Obejrzała się. Cesarscy łucznicy niespiesznie szli w dół stoku, przystając co kilkanaście kroków, równo unosząc łuki i wypuszczając pociski. Powyżej tej linii stali topornicy – jak na paradzie, równo, oparci na tarczach. Kilkadziesiąt kroków przed nimi, na prawym skrzydle Elimera,

formowali się w krótki dwuszeręg cesarscy kusznicy. Ci z przodu przyklękli. Nie musieli podchodzić tak blisko jak łucznicy – ich broń miała podobny zasięg, ale większą siłę i skuteczniej raziła z daleka.

Zawyła jak wilczyca. Garść! Całe to wojsko mogła zmieścić pod hełmem! Na Szerń, wiedziała już, dlaczego topornicy nie gonią niedobitków... Było ich dwustu raptem! Kto miał gonić? Po co zresztą? Utrzymali port i wystarczy! Flota Armektu będzie tu niedługo, nowe oddziały żołnierzy zejdą na ląd i zrobią ze wszystkim porządek. Kto zatrzyma cesarskie okręty? Powstańcza flota nie istniała!

Nagle żółte tarcze ciężkiej piechoty uniosły się i potrójny szereg ruszył szybkim krokiem w dół stoku, jak taran. A więc Elimer uznał, że nic nie ryzykuje, kontynuując walkę. Osądził, że tak pobite wojsko nie zdoła mu już zagrozić. Chciało jej się płakać z upokorzenia. Przeciwnik nie czuł żadnego respektu.

– Na wszystkie morza – powiedziała z gniewem, ale też prawdziwym strachem i wstydem.

Odwróciła się, by biec do swoich, i w tej samej chwili stanęła jak wryta.

Potężny, przeciągły huk!

Najpierw ujrzała chmurę dymu. Zaraz potem rozległo się jeszcze kilka pojedynczych, spóźnionych wybuchów, chmura rozbłysła tu i ówdzie. Stała, nie pojmując, co zaszło. Wiatr zepchnął dym na bok i zobaczyła swoich strzelców, osłoniętych pochyłym, równym płótem. Wystrzelone hakownice wisiały przy kozłach zatknięte w specjalne uchwyty, strzelcy opierali na podporach zapasowe.

Przed zwartą granatową zaporą ujrzała coś, co było rozkopanym cmentarzem. Jacyś ludzie tarzali się we krwi, krzycząc; wiele ciał leżało nieruchomo. Żołnierze noszący kozły, teraz pełniący rolę osłony, stali na flankach strzelców z nastawionymi włóczniami. Byli prawdziwie wstrząśnięci. Podobnie jak sami strzelcy, sprawcy masakry.

Obejrzała się pośpiesznie. Na stoku szeregi cesarskich łuczników stały nieruchomo, podobnie jak kolumna srebrno-żółtych

toporników. Potem wrogie oddziały zaczęły odpływać pod górę, do tyłu.

– Na wszystkie morza... – powiedziała znowu.

Akcja piechoty ognistej zakończyła bitwę. Efekt był piorunujący: ostatnie uciekające grupki stały w miejscu, patrząc tam, gdzie wciąż trwał nieruchomy szereg granatowych żołnierzy. Podsetnicy i setnicy, otrząsnąwszy się, zaczęli skupiać owe grupki w oddziały. Chyba po raz pierwszy w historii wymordowanie własnych żołnierzy wstrzymało przeciwnika.

Panikę opanowano.

Jednakże bitwa była przegrana bez dwóch zdań. Kto nie uciekł, leżał zabity lub ranny, wielu trafiło do niewoli. Oprócz strzelców i kuszników zostało jej może dwustu, trzystu ludzi. A wiedziała świetnie, że ich wartość teraz jest akurat taka jak owego chłopstwa, które rzuciła do walki na początku.

Złamanie tych ośmiuset cesarskich już nie było możliwe.

Przegrała. Ale wciąż miała swoich żołnierzy.

Nie wszystkich. Po pierwszym ataku i ogólnej ucieczce pozostały najwyżej trzy setki. Ale pojęła nagle, że wobec klęski floty są to właściwie jedyne liczące się siły, jakimi dysponuje powstanie. Nie straciła możliwości działania.

Zaczynała odzyskiwać pewność siebie.

## ROZDZIAŁ 58



Pola bitwy jednak nie oddała. Z kilku powodów. Przede wszystkim po tym, co zobaczyła, zaczęła się domyślać, że odwrót wojska będzie jedną wielką dezercją. Nie tylko powstańców, także jej najemników. Kazała rozpowszechnić pogłoski o bardzo wysokich stratach wroga. Zabroniła mówić inaczej jak o „pierwszym dniu bitwy”. Zdawała sobie sprawę, że „drugiego dnia bitwy” nie będzie i być nie może, bo jej wojsko nie jest zdolne do natarcia. Ale równie dobrze wiedziała, że cesarscy też nie uderzą.

Nie musieli. Mieli nie dać się pobić i utrzymać Bagbę.

Wieczorem nadeszły pierwsze dokładne wieści o bitwie na morzu. Było tak, jak powiedziała Alida: poszło na dno kilka żaglowców z każdej strony, ponadto cesarscy zdobyli dwie kogi zarekwirowane kupcom, w tym jedną bardzo starą, i dwa holki, powstańcy zaś – holk, hogę i jakieś szniki. Ale brak rozstrzygnięcia oznaczał zwycięstwo sił cesarskich. Jasno zdawano sobie sprawę, że nie ma co marzyć o zatrzymaniu armektańskich eskadr, wobec osłabionej, ale wciąż istniejącej Floty Głównej Garry i Wysp.

Powstanie dogorywało. Te nierozstrzygnięte bitwy były tylko odroczeniem wyroku.

Lerena nie dbała o powstanie. Niemniej tak szybka jego klęska przekreślała niemal zupełnie jej plany i nadzieje.

Właśnie: niemal.

Bo ciągle była szansa. Mimo upadku powstania była szansa na zdobycie i utrzymanie Agarów. Sposób godny nazwania nie tyle ryzykownym, ile wręcz karkołomnym. Pomyślała o nim, gdy wyszło

na jaw, że jedna z dorońskich eskadr, trzy holki Ahagadena, spóźniła się na morski plac boju.

Alida i Ahagaden popadli w niełaskę.

Alida... Lerena wciąż była pod wrażeniem swego zwycięstwa nad blondynką w batalii o naczelne dowództwo. Łatwo przyszło. Może nawet zbyt łatwo... Ale widziała wyraźnie, że szlachetna Kahela Alida, od chwili gdy powstanie wybuchło, jest jak sparaliżowana. Swą siłę czerpała z armii szpiegów i donosicieli, jej potęga była, jak na ironię, proporcjonalna do potęgi Trybunału. Teraz gdy owa instytucja rozsypała się pod uderzeniem rebelii, Alida okazała się bezbronna. Jej talent przestał być potrzebny, została z pustymi rękami, niezdolna do wywierania wpływu na bieg wydarzeń. Przechytrzyła samą siebie.

Lerena była przekonana, że poradzi sobie z pyszałkowatą blondynką. Problem leżał gdzie indziej. Po prostu plan był bardzo ryzykowny. Garyjskie zamieszanie sprzyjało szalonym przedsięwzięciom, no i miała żołnierzy, dla których w powstańczych szeregach najwyraźniej nie było przeciwwagi. Ale jednak mogła zawieść się na swoich rachubach. Czy pomyślała o wszystkim?

Znalazła Alidę przy taborach.

Obserwatorzy z Kwatery odjechali, czy też raczej uciekli, gdy tylko stało się jasne, że wojsko poniosło klęskę. Alida została. Lerena rozumiała dlaczego. W Dranie zawsze patrzono na nią krzywo, a już od chwili, gdy oddała dowództwo kobiecie, i to pół-Armektance... Teraz okazało się na dodatek, że ta Armektanka była kiepskim wodzem. I na koniec czarę przepełniło spóźnienie Ahagadena.

Tabory rozłożono wokół małej wioski, której nazwy Lerena nie pamiętała. Alida nie zajęła żadnej z chat, brudnych i biednych jak rzadko, wolała namiot. Przed wejściem płonęło rozjaśniające noc ognisko. Dwie kobiety mierzyły się wzrokiem ponad skaczącymi płomieniami.

– Jeśli ktoś tu jest naprawdę przegrany, to my – rzekła w końcu Lerena. – A ty chyba nawet bardziej.

Alida nie odpowiedziała.

– Porozmawiajmy. Ale nie tutaj – zaproponowała Lerena.



– O czym?

– Nie tutaj.

– Więc gdzie?

– A gdziekolwiek. Tutaj bez przerwy ktoś się kręci. – Ruchem głowy wskazała wozy.

Alida, po krótkim wahaniu, weszła do namiotu. Wróciła po chwili w narzuconym na ramiona kaftanie. Minęły linię wozów, idąc dalej w mrok.

– Zdaje się – powiedziała lekko Lerena – że już po wszystkim.

– Podobno chcesz jutro wznowić bitwę?

Lerena aż przystanąła.

– Uwierzyłaś w to? – zapytała zdumiona.

Alida zmieszała się i mimo czarnego, kryjącego wszystko mroku Lerena mogłaby przysiąc, że się zaczerwieniła.

– Nie... nie wiem – zająknęła się. – Naprawdę nie znam się na wojsku.

Lerena nagle odkryła, że przegrana tamtej jest większa, niż mogłoby się wydawać. Jeśli czyjeś plany całkiem runęły, to właśnie plany Alidy. Dla imperium była zdrajczynią, dla powstania – w najlepszym wypadku osobą niewygodną i niepożądaną. Nawet gdyby jakimś cudem rebelianci w końcu wygrali, to ktoś musiał zostać kozłem ofiarnym, bo przecież nie wszystko poszło dobrze. Ona, Lerena, była teraz ostatnią nadzieją Alidy! Cóż za ironia losu... Szlachetna Alida wierzyła w drugi dzień bitwy, bo nic innego jej nie zostało. Gdyby Lerena mogła jeszcze zwyciężyć, potwierdziłoby to przynajmniej słuszność powierzenia jej dowództwa.

Lerena poczuła dreszcz prawdziwej rozkoszy, bo to było tak, jakby blondynka uklękła przed nią nagle i zaczęła prosić o pomoc. Naprawdę, warto było przegrać tę bitwę, by zobaczyć upokorzenie złotowłosej damy!

„Chciałaś powstania” – pomyślała szyderczo. „No, to masz! Co, nie wyszło? Jakże mi przykro, kochanie! Ale czy ktoś rozsądny stawia wszystko na jeden rzut kośćmi?”

Szły w milczeniu.

– Podobno twój Ahagaden nie stawił się do bitwy? – mruknęła niemal lubieżnie. – Co? Jak było?

Teraz przystanąła Alida.

– Przypadek – powiedziała z taką rezygnacją, że Lerena po prostu uwierzyła. – Przeklęty, przeklęty przypadek. Jakby mało było wszystkiego.

Poszły dalej.

– Teraz jednak – rzekła znów Lerena – wszystko skończone... Przegrałam tę bitwę. I nie mogę jej wznowić. Rozpuściłam plotki, żeby powstrzymać dezercję. Powiedz głośno, że wszystko przepadło, a jutro nawet moi najemnicy uciekną.

– Czyli te wysokie straty cesarskich...

– Niezwykle, niezwykle wysokie! Może stu paru ludzi, z tego mniej niż połowa zabitych. Reszta to ranni, niektórzy wkrótce wrócą do szeregów. Tak wygląda prawda. Jeśli zliczyć dezertersów, którzy przeszli albo jeszcze przejdą na stronę Elimera, to okaże się, że cesarscy wyszli z tej bitwy wzmocnieni. O morale nie wspomnę. Wystarczy?

Alida, okryta mrokiem, milczała.

– Naprawdę wszystkie swoje plany wiązałaś z wyzwoloną Garrą? To błąd – mruknęła Lerena.

– Dlaczego wciąż mówisz o mnie? Ty podobno chciałaś osłabić Armekt? I jak ci poszło?

– Może znajdę inny sposób. Mój cel wciąż jest w zasięgu.

– Zatem życzę szczęścia.

Lerena skinęła głową, choć blondynka nie mogła tego widzieć. Noc była ciemna jak smoła.

– Pamiętasz, na tydzień przed początkiem tej awantury powiedziałaś, że jesteśmy sobie potrzebne. Myślę, szlachetna Alido, że to się nie zmieniło.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– To, że jesteś w paskudnej sytuacji. Jeśli nie powiesz cię cesarscy, to usuną powstańcy... Winny zawsze musi być. Komu mam to tłumaczyć? Tobie?

– Poradzę sobie.

– Wątpię. Jeśli jednak tak sądzisz, to znaczy, że nie mamy o czym rozmawiać.

– Masz jakąś propozycję dla mnie? – zapytała po długiej chwili blondynka.

– Kto wie?

– No to do rzeczy.

– Masz statki. I ludzi.

– O, więc o to chodzi... Owszem, mam. Co z tego?

– Ja mam tylko ludzi. Żołnierzy, których zamierzam stąd zabrać, zanim będzie za późno.

– A dokąd?

– Tam gdzie zawsze chciałam. Czy poprawi ci humor wiadomość, że cały ten twój Ahagaden porwał mi smakołyk sprzed nosa? Wasze powstanie potrzebne mi było najpierw dlatego, że chciałam zdobyć te holki. Dopiero później do zajęcia uwagi cesarstwa.

Alida wyraźnie odzyskiwała zwykłą werwę.

– Śliczna panienko – powiedziała – chciałaś zwać stąd, osłabiając nas w decydującym momencie? I jeszcze kradnąc statki?

– No. Tak właśnie chciałam zrobić.

Alida odetchnęła głęboko.

– No proszę... Nie powiem „wredna zdzira”, bo rzucisz się na mnie.

– Odpowiedziałabym: suka. Zajęłam Doronę, by usłyszeć, że tak naprawdę zwyciężał Ahagaden, czego dowodem są zdobyte żaglowce.

– Hmm... – rzekła z zadowoleniem Alida. – Ale, ale... Odchodzimy od tematu?

– Najpierw mi powiedz, co za ludzi ma Ahagaden? Tylko szczerze, dzisiaj kłamstwa nie będą nam potrzebne.

– Zbieranina, jak i cała reszta: piraci, wyrzuceni z wojska żołnierze, portowi rabusie... Ale opłacani ze szkatuły powstania.

– Czyli z tego, co ukradłaś Trybunałowi, a więc cesarzowi.

– I z tego, co dali ci garyjscy durnie, tacy jak Ganedorr. „Święta sprawa wyzwolenia Garry”.

– Czekał: więc Ahagaden ma...

– Samych najemników. Ochotnicy zostali na łądzie. To ci, których dzisiaj pozwoliłaś wyrznać.

– Czyli topornicy Ahagadena pójdą wszędzie. Byle im płacono.

– Tak jak twoi.

– Ilu ich?

– Nie wiem dokładnie. Grubo ponad setka, ale na pewno nie dwie. Z tym że na tych statkach jest jeszcze trochę cesarskich, którzy przeszli do nas. No i majtkowie, rzecz jasna. Ale teraz, najśłodsza, chcę usłyszeć twoje odpowiedzi. Gdzie chcesz płynąć?

– Na Agary.

Alida stanęła jak wryta.

– Gdzie?!

– Krzycz głośniej. Na Agary.

– Po co? Znasz te lądy? To dwie wyspy na końcu świata! Co tam masz?

– Nic tam nie mam. A znam je wystarczająco. Może ty znasz lepiej?

– Lepiej? Na Szerń, gniłam tam przez pół życia!

Lerena zaniemówiła.

– Kpisz sobie ze mnie?

– Pracowałam dla Trybunału w Aheli. Ładne parę lat temu.

Lerena poczuła, że ociera się o coś.

– Parę lat... temu?

– Osiem, dziesięć... Dość dawno.

– I byłaś tam dziwką? Tak jak w Dranie?

– Oczywiście, moja ty cnotliwa.

Lerena wspomniała nagle swoją rozmowę z Raladanem, czy też raczej jego opowieść. Wkrótce po tym, jak dowiedziała się, podsłuchując, że Ridareta jest córką Rapisa. Powiedział coś w rodzaju: „Szlachetnie urodzona dziwka... z Aheli...”.

– Słyszałam – mruknęła – że w Aheli roi się od dziwek.

– Tak? Może. Chcesz tam płynąć na dziwki?

Lerena zrozumiała, że stara intrygantka za chwilę zmiarkuje, iż ją podpytują.

– Nie – powiedziała, odkładając sprawę na później. – Po co miałabym szukać tak daleko?

Po czym pokrótce przedstawiła blondynce swoje plany.

o o o

Siedziały na chłodnej murawie pod niewielkim laskiem.

– Sama widzisz – powiedziała Lerena. – Naprawdę cię potrzebuję.

– Owszem. Tylko jak długo?

– Oj, długo. Zauważ, że ani przez chwilę nie mówiłam, że będziemy tam sobie równe. Agary są za małe, byśmy mogły rządzić tam obie. Ale potrzebuję, i potrzebować będę, szpiegów. W Dartanie, w Armekcie, we wszystkich prowincjach. W samym Kirlanie. I na Agarach też. Ktoś musi tym kierować, i to sprawnie. Czemu nie ty?

– Chcesz tam stworzyć coś w rodzaju Trybunału?

– No oczywiście, że tak.

– Komendantka szpiegów. W pirackim księstwie. I to mam być ja?

– O ile wiem, po wyzwoleniu Garry zamierzałaś objąć funkcję bardzo podobną.

– Podobną?! No nie, zaczynam się szczerze bawić... Jeśli nie widzisz różnic, to przepraszam i gorąco współczuję! Po pierwsze, Garra to nie jakieś Agary. Po drugie, mam tu majątek po swym nieodżałowanym małżonku...

– Ten majątek przepadł, wiesz świetnie.

– No to przepadł, poślubiłabym inny majątek. Ale po trzecie i najważniejsze, tu miał rządzić Ganedorr albo ktoś do niego podobny. Czy mam ci wyjaśnić, kto rządziłby takim Ganedorrem? Ale na tych twoich Agarach... Chyba zdajesz sobie sprawę, jakie znaczenie ma dla mnie podrzędne stanowisko na takim... wygnaniu! Może ci pochlebi, jeśli przy tym powiem, że nie widzę, jak miałabym tobą kierować. Jesteś głupia, to rokuje dobrze, lecz poza tym niestety nieobliczalna. Może znalazłabym kiedyś sposób, tyle że raczej nie dostanę dość czasu, bo coś ci się wcześniej uwidzi i mnie zaszlachtujesz. Zresztą wiesz, czego się po mnie spodziewać, więc

nawet nie doczekam twoich złych humorów. Nie, moja ty dziewico. Oddam ci statki, oddam ci moich ludzi, pomogę zdobyć powstańczą szkatułę, czy też raczej to, co z niej zostało, a wszystko po to tylko, by wylądować w morzu, jak tylko zobaczymy agarskie brzegi? Albo nawet wcześniej?

– Masz lepszy pomysł? Wiesz dobrze, że musisz stąd uciekać.

– Ale nie pod stryczek.

– Może zaryzykuj.

– Ryzykować? Z rozkoszą. Ryzykuję przez całe życie. Ale tu nie widzę żadnego ryzyka. Widzę tylko stryczek. Równie pewny jak to, że słońce wschodzi i zachodzi.

Lerena milczała.

– Ale widzę wyjście – rzekła blondynka po namyśle. – Może jest sposób, byś mi udzieliła wystarczających gwarancji... Najpierw jednak chcę się upewnić, czy wiesz, co robisz. Jak ty widzisz to wszystko, najdroższa? Teraz? Rozumiem, że zaangażowanie imperium w wojnę z Garrą dałoby ci czas potrzebny do umocnienia Agarów. Bardzo kruche to wszystko, powiedzmy jednak, że możliwe. Ale teraz?

– Teraz, mając mniej czasu, mogłabym mieć większe siły. Razem z twoimi ludźmi pół tysiąca żołnierzy. No i jaką flotę! Jeśli, zgodnie z moim planem, Ahagaden opanowałby jeszcze kilka okrętów... Sama przyznałaś, że jest to możliwe. Dodać do tego trzy, a jak dobrze pójdzie, to pięć moich żaglowców... Teraz policzmy naszych ludzi. Pół tysiąca, tak? No, to zdobędziemy Dran i całe złoto, jakie jeszcze ma Ganedorr. Z tym złotem na wiosnę miałybyśmy piratów. Siedem, osiem okrętów. To razem prawie dwadzieścia. Skąd imperium weźmie flotę, która to przeważy? Cesarz będzie musiał w pierwszym rzędzie odbudować siły Garry. A potem? Agary muszą się tylko obronić. Wód przybrzeżnych strzec mogą liczne łodzie, które wesprą naszą flotę. Tanio i skutecznie. Na takich łodziach szakale morza atakują kupieckie uzbrojone kogi. A czy wiesz, jak się biją piraci? Mówię ci, że trzydziestu dużych żaglowców będzie trzeba, żeby odbić Agary! I to tylko wtedy, gdy przyplyną wszystkie naraz, bo jeśli najpierw pobijemy parę słabych eskadr... Myślisz, że imperium

uzna, że warto? Jedna wojna, zaraz potem druga? Mnóstwo wpływowych ludzi w samym Kirlanie zacznie kręcić nosami, trzeba będzie umiejętnie podsycić antywojenne nastroje, złotem, nie wiem, czym jeszcze. Oto właśnie zadanie dla ciebie! Miałabym wyrzucić cię do morza? Taki skarb? Najbardziej zdradliwą, kłamliwą i jadowitą żmiję Szereru?

– Lubię cię słuchać.

Pomimo zgryźliwej treści Lerena posłyszała w głosie tamtej szczególny ton. Alida była zaintrygowana. A więc jednak.

Ciemności skryły uśmiech. Lerena była pewna, że takie plany muszą podobać się Alidzie. Przegranej hazardzistce.

– Będą głosy sprzeciwu w Kirlanie – powtórzyła. – Tam przecież chcą żyć sobie wygodnie, bogacić się, a tu cesarz zwiększy podatki, bo bez tego... Każda wojna to pieniądze, wydatki i wydatki! A już wojna morska? Tym bardziej że co jest do zyskania? Dwie wyspy na końcu świata? Nawet zwycięstwo pociągnie za sobą straty w ludziach i okrętach, czyli nowe wydatki. A klęska?

– To porywające – rzekła z niejaką ironią Alida. – Ale jak długo zamierzasz opłacać swoich piratów? I wszystkich najemników. Skoro już o wydatkach mowa.

– Niedługo. Coś tam znajdziemy w Aheli, Trybunał i wojsko muszą mieć jakieś pieniądze. Bardzo szybko nadejdzie jesień, a wtedy ci sami piraci będą chętnie płacić za przywilej bezpiecznego kotwiczenia w Aheli przez czas sztormów. Będą mieli swój port, a w nim tawerny, dziwki i wszystko, czego marynarz może chcieć. Minie jesień i nasi piraci będą darmo bronić, pazurami, swoich wysp. Gdzie można naprawić nadwerężony przez sztorm osprzęt, przetrwać jesień, uciec przed obławą, tanio kupić wieści o cennych ładunkach i wszelkich nieczystych interesach, na których da się zarobić. Wielorybnicy po staremu wytopią tłuszcz z wielorybów, a ja go kupię i zawiozę na Garrę, gdzie sprzedam z dużym zyskiem. Tak samo miedź. Odkupię, tanio, każdy łup piracki i też sprzedam dalej. Czy to wiele trzeba, żeby otworzyć kupieckie przedstawicielstwa tu i tam? Poprowadzą je porządni ludzie o bardzo czystych rękach... Znam się na tym!

– Wiesz – mruknęła Alida – to wszystko chyba ma sens. Szkoda, że nie mogę wziąć udziału w zabawie... po twojej stronie.

– Mówiłaś o pewnych gwarancjach, które cię zadowolą.

– Zapomnij o tym.

Przez chwilę trwała cisza.

– Nie masz już wyboru. – Głos Lereny stał się zimny. – Myślisz, że opowiadam ci o wszystkich swoich planach tylko po to, by usłyszeć „nie”? Zrobisz, czego zażądam. Zgodzisz się na wszystko, tu i teraz, albo...

Lerena wyjęła miecz.

– Tak – powiedziała z entuzjazmem Alida. – Zgadzam się, oczywiście, że się zgadzam! Ręczę honorem i podam ci rękę. Załatwione?

– Teraz ja powiem, że chcę gwarancji.

– Jakich? Jakich to gwarancji mogę ci udzielić tu i teraz?

– Ty mi powiedz.

– Skąd biorą się na świecie takie głupie cipy? Czy ja zawsze muszę dostać dziecko za przeciwnika? To niesprawiedliwe! – orzekła Alida ze złością. – No, mała, wynocha stąd! Nic nikomu nie powiem, nie mam świadków i nikt mi nie uwierzy.

– Myślisz, że przyszedłam powiedzieć ci o wszystkim bez żadnej pewności, że dojdziemy do porozumienia?

– Tak. Tak właśnie myślę. Upierdzieliłaś sobie w tym ślicznym, pustym łbie, że jestem przyparta do muru i chwycę się czegokolwiek, bo nie mam innego wyjścia. Uważasz swoje plany za porywające, prawda? I teraz zupełnie nie wiesz, co robić, bo nie przewidziałaś odmowy. Zakłucie mnie mieczem tylko spiętrzy twoje kłopoty, ale niczego nie rozwiąże, i to ty, a nie ja, stracisz ostatnią szansę.

Lerena wyciągnęła broń przed siebie, odszukując w mroku kontur ciała rozmówczyni. Dotknęła sztychem jej szyi.

– Nie będę tu siedziała do rana.

– Ryzykuj. Ona nie żartuje – powiedziała trochę głośniejszą Alida.

Coś szcęknęło w ciemnościach. Siła uderzenia pocisku rzuciła Lerenę na ziemię. Krzyknęła, chwytając się za strzaskane ramię.



– Tu jestem! – zawyła Alida, przetaczając się po trawie.

Ogromna sylwetka zamajaczyła w mroku, zgrzytnął wyciągany z pochwy miecz. Lereña poderwała się z bezwładnym lewym ramieniem, ale w tej samej chwili załkało rozcinane powietrze. Ciałem targnął ból; ciemniejsze od nocy szczyty drzew przemknęły szybko szerokim łukiem i zniknęły, czarna plama ziemi skoczyła na spotkanie.

– Weź to... ze mnie! – jęknęła histerycznie Alida.

Olbrzym schował miecz, pochwycił bezgłowe, drgające ciało pod pachy i odrzucił na bok. Alida pozbierała się z trawy i przywarła do sługi, dygocząc.

– Już, pani – rzekł nieswoim głosem.

Obejmowała go kurczowo.

– Krew – powiedziała z chrypką. – Lepiej się od krwi.

– Nigdy więcej takich zadań, szlachetna. Najpierw stałe traciłem was z oczu, a teraz strzelałem na oślep – tłumaczył. – Byłem o parę kroków, ale prawie was nie widziałem. Gdybym... gdybym trafił ciebie... – Głos mu się załamał.

– Grevie, ja ci zawsze powierzę swoje życie. Jeszcze nie wiesz?

Pocałował ją niezdarnie w czubek głowy. Wyciągnęła rękę, wysoko, i dotknęła policzka sługi.

– Chodźmy stąd.

Zrobiła krok i krzyknęła, potrącając coś nogą. Mężczyzna schylił się, namacał owo COŚ, chwycił za włosy i ze wszystkich sił cisnął w las.

– Chcę, żebyś wiedziała – powiedział z gniewem – że nigdy nie zabiłem z większą przyjemnością! Klnę się, pani, że w tej kobiecie było coś obrzydliwego.

– Chodźmy stąd – powtórzyła, przyciskając dłonią łomoczące serce.

Sługa odszukał porzuconą kuszę. Wziął swoją panią za rękę i poprowadził jak dziecko.

Do świtu ciało pod lasem zdążyło zeszywnieć. Niepotrzebna, bezmyślna machina, którą nie pokieruje żadna siła, bez względu na to, czy nazywać ją życiem, mocą, czy też jeszcze inaczej. Po cóż uruchamiać ślepa, głuchą i bezmyślną rzecz?...

W lesie, dwadzieścia kroków za linią pierwszych drzew, pod gałęziami leszczyny widniało coś, co przywodziło na myśl kępę zeschłej trawy... Poszarpane ostrzem, zlepione krwią włosy kryły głowę niezwyklej dziewczyny, której nigdy nie dano życia. Pokaleczona twarz dotykała ziemi, a ubrudzone nią usta poruszały się czasem, jakby powtarzając jakieś słowo, które jednak nie mogło zabrzmieć, bo brakowało płuc udzielających krtani powietrza.

Lerena wciąż widziała, słyszała i czuła.

Ciało pochowano dwa dni później. Głowy nikt specjalnie nie szukał, choć wystarczyło podążać ku miejscu, gdzie zlatywały się kruki. Ale dość było trupów do grzebania i bez tego – toczono przecież wojnę.

Powstanie.

## ROZDZIAŁ 59



**J**a jednak ciągle nie rozumiem – przyznała się Ridareta. – Co z tą fortecą? Zupełnie się na tym nie znam, ale otoczenie całego portu murami, jakimiś basztami i tym wszystkim, no wiecie... To chyba musi potrwać wiele lat? Dziesięć, dwadzieścia?

Tamenath pochylił się nad stołem, opierając swe jedyne ramię na blacie.

– Czy wiecie, czym są Porzucone Przedmioty? Tak naprawdę? Raladan i dziewczyna wymienili spojrzenia.

– Dawno, dawno temu – z namaszczeniem, żartobliwie zaczął Przyjęty, przytrzymując sunący kubek z gorzałką – Szerń objęła w posiadanie Szerer. Czy stworzyła życie, rośliny i zwierzęta? Nie wiemy. Może tak, ale raczej nie. Chyba istniały już wcześniej. Zdaje się, że Szerń nie potrafi ich tworzyć, umie tylko zmieniać, przekształcać. Trzy zwierzęce gatunki, jak dotąd, zostały obdarzone rozumem. W innych światach, podobnych do naszego, może być ich więcej albo mniej. Znamy tylko jedną Potęgę podobną do Szerni. To Aler, za północną granicą Armektu. Tam są dwa rozumne gatunki.

Znowu przytrzymał kubek. Nie mógł się przyzwyczaić, że na statku niczego nie można odstawić, bo zaraz spadnie ze stołu.

– Rozum jest emanacją Pasm. Modelem Szerni, jakoś jej niezbędnym. Budowniczym tego modelu nie jest cała Szerń, lecz wydzielona z niej świadoma część, po równo będąca istotą, jak i czystą siłą sprawczą. Zwiemy ją Rongolo Rongoloa Kraf, czyli Wielki, Największy Uśpiony, albo lepiej: Nie-Czuwający. Wielki i Największy śpi sobie, albo raczej nie czuwa, gdzieś w Bezimiennym Obszarze. Nie wiadomo, pod jaką postacią. Pracowity niestety, a może na szczęście, to on nie jest: budzi się raz na kilkaset lat, i daje

rozum kolejnemu zwierzęcemu gatunkowi. Dał ludziom, kotom i sępom. Strach pomyśleć, że kiedyś może dać świniom albo czemuś innemu, co jest smaczne.

Przyjęty przepił do młodzieży i zagryzł suszoną kielbasą. Zęby miał mocne jak koń. Ridareta, krótko znająca olbrzyma, po raz dziesiąty tego dnia zerknęła na Raladana, jakby pytając, czy na pewno tak właśnie wygląda lah'agar, legendarny mędrzec-Przyjęty. Zawsze – podobnie jak tysiące innych ludzi – uważała, że to koniecznie musi być białobrody, czcigodny starzec, świecący potęgą, dostojny i mówiący o Szerni z głębokim szacunkiem, wielkim zrozumieniem i powagą. Ten tutaj trąbił berbeluchę.

– Jeszcze raz powiem: rozum jest tylko modelem. W Pasmach istnieją mechanizmy przywracające równowagę, to czyni układ stabilnym. My nie mamy takiego mechanizmu, zastępuje go świadomość. Matematyk określi potencjały Pasm, ale potencjał świadomości?... Jest niepoliczalna i nieobliczalna, bo rozdzielona na miliony istnień, zbiorowa, poddaje się najwyżej ujęciu statystycznemu. Wiem, za trudne – rzucił zniecierpliwiony. – Ale... o, właśnie. – Wycelował palec w Raladana. – To dlatego twój garbus w tawernie pier... opowiadał ci takie bzdury. Coś jest dobre lub złe, w ogóle zło i dobro, to jest dla człowieka zrozumiałe. Dla człowieka, bo już rozum kota działa nieco inaczej, bliższy jest mu podział na właściwe-niewłaściwe niżli dobre-złe. Pasma Szerni nie są złe ani dobre. Raczej aktywne i pasywne, choć i to nie jest prawdą do końca. Akcja i reakcja. – Tamenath uniósł swój kubek i wyciągnął w stronę Raladana. – Stuknij.

Naczynia zderzyły się lekko, jak kielichy w dartańskim toaście.

– Właśnie wam pokazałem, co dzieje się w łonie Szerni – wytłumaczył Przyjęty.

Kolejno wskazał kubki.

– Ciemne Pasma i Jasne, ty uderzyłeś, obaj odczuliśmy uderzenie, akcja i reakcja, kubki zostały w miejscu, równowaga – wyliczał. – O równowadze rozumu nie będę opowiadał, to was nie dotyczy – powiedział, lecz nie był pewien, czy zrozumieli żart. – Jest coś, co się mądrze nazywa Złamaniem Praw, a czasem Pęknięciem Szerni.

Zbiorowa świadomość modelu, a znacznie, znacznie rzadziej świadomość jakiejś jednostki, niekiedy oddziałuje na Pasma; one reagują i czasem zmieniają rzeczywistość, naginając ją do naszych wyobrażeń. Oczekiwań. Jakiś przykład? Proszę: „magiczne” Porzucone Przedmioty były niezrozumiałe. Oswoiliśmy niektóre ich właściwości, wymyślając Formuły. Tak, to nasz pomysł, Szerń nie potrzebuje żadnych Formuł. Ale powiedziała: „Niech wam będzie”. Prościej wytłumaczyć nie potrafię. Nic nie powiedziała, bo nie mówi; nic nie pomyślała, bo nie myśli, zadziałał tylko pewien mechanizm i doszło do Złamania Praw Całości.

Kiwnął głową.

– No to może jeszcze jeden przykład: twój garbaty grajek. – Popatrzył na Raladana. – A tak, niektórzy podejrzewają, że Strażnik Praw Całości jest efektem pierwszego ich złamania... Otóż, może największą potrzebą rozumu takiego jak ludzki jest uzyskanie odpowiedzi na pytanie: kim jesteśmy, dokąd zmierzamy, jaki jest cel i sens wszystkiego. Możliwe, że Pasma udzieliły odpowiedzi. Takiej właśnie, pokrętej i niezrozumiałej, kalekiej. Niemądrej... Tak, bo wydaje się, że Strażnik Praw słabo rozumie świat. Pojawiła się nieśmiertelna, doskonale pojmująca Szerń istota, będąca ucieleśnioną odpowiedzią na wszystkie wielkie pytania, ale tylko takie. Oto, co wyrwaliśmy z Pasm. Ja w to nie wierzę – zastrzegł. – To wymysł filozofów Szerni, nie matematyków. Czyste gdybanie, rzecz możliwa, ale wzięta z powietrza. Nie mam danych, więc wstrzymuję się od snucia domysłów.

Znów pokiwał głową.

– Rozum oddziałuje na Pasma. Dawno byśmy je zrujnowali, gdyby nie Porzucone Przedmioty. Służą do naprawy Pasm, to są ich wzorce przechowywane na zewnątrz, bo gdyby tkwiły w Szerni, popsułibyśmy je razem z całą resztą.

Zamilkł. Raladan – ten przynajmniej próbował nadażyć. Ale Ridareta wtykała sobie do nosa kosmyk włosów. Kichnęła.

– Na zdrowie – powiedział Tamenath.

Uśmiechnęła się, a była naprawdę urodziwa, więc nie umiał się na nią gniewać. Był mężczyzną; co z tego, że starym?

– Coś wam pokażę – powiedział. – Chcecie zobaczyć czary?

Od razu przestała się bawić. Będą czary!...

Raladan miał na szyi Listek Szczęścia. Nie za bardzo go potrzebował, ale kiedyś grał w kości, stawiając buty przeciw miedziakom, i płacił fularem za piwo... Uznał, że już zawsze będzie nosił coś, co łatwo wymienić na pieniądze.

– Daj to – powiedział Tamenath.

Położył Listek na stole... i nagle nabrał ochoty, by uczynić nad nim tajemnicze znaki, powiedzieć „abrakadabra”. Powstrzymał się i nawet nie spojrzał.

Powietrze nad kamykiem zgęstniało, zmieniło barwę, formując się w przezroczystry sześcian. W jego wnętrzu rodziły się figury geometryczne, zastygały proste i krzywe linie, delikatnie pulsowały świetlne punkty.

– To udaje się wyłącznie w Romogo-Koor, jutro lub pojutrze już tego nie zrobię. Teraz ten kamyk jest jeszcze... nasycony, można tak powiedzieć.

– Co to jest? – szepnęła Ridareta.

– Czysta matematyka. Pierwsza Właściwość Przedmiotu, wzorzec Pasma. Coś takiego mógłbym „wyczarować” i z ciebie, gdybyś była zwykłym Przedmiotem, Riolato Ridareto. Ale ty jesteś odbiciem czegoś, co zostało oderwane od całości i działa trochę inaczej. Właściwie nie jesteś Porzuconym Przedmiotem, tylko... czymś. I kimś.

Sześcian zgasł.

– Nawet nie wiem, co tam widzieliście, dla mnie to są ciągi wzorów i liczb. Efekt Złamania Praw, Szerń nie potrzebuje żadnych świecących kostek – wytłumaczył znowu. – To my, Przyjęci, samym swym istnieniem sprawiliśmy, że Pasma dokonały przekładu na zrozumiały dla nas język. Szerń powiedziała: „Niech wam będzie”.

Odchrząknął.

– A teraz posłuchajcie o zamku. Dolej wódki.

Raladan dolał.

– Pierwszą Właściwość Przedmiotu widzieliście. Trzecia Właściwość występuje rzadko, jest to oddziaływanie Przedmiotów,

ale tylko niektórych, na istoty żywe, rozumne. Tę akurat Właściwość najlepiej widać w Rubinach. Nas obchodzą teraz Drugie Właściwości, do których są potrzebne, a jakże, Formuły.

Wypił i mówił dalej:

– Wieziemy wiele Przedmiotów. Ich Drugie Właściwości mogą posłużyć choćby do budowy zamku. No cóż... domy Przyjętych na Czarnym Wybrzeżu, takie jak moja wieża, powstają w sposób bardzo podobny. W Romogo-Koor szalas się nie sprawdza, lepiej siedzieć w baszcie. Jeden człowiek tego nie zbuduje, przynajmniej nie w zwykły sposób. Ale w Nienazwanym Obszarze wisi stale... coś jakby łuna bijąca od Pasm. Kto wie, jak z niej korzystać, ten nie musi wcale biegać z kufrem Geerkoto pod pachą. W Obszarze mogą być naprawdę „czarodziejem”, działają tam stale siły Pasm, więc mogą działać i moje. Pamiętasz, co mówiłem o wtrącaniu się Szerni, a więc także Przyjętego, do świata? – Popatrzył na Raladana. – Tam mogę, więc hoduję sobie wielkie cebule... Kalafiora moja potęga nie sięga. Romogo-Koor to właściwie nie jest nasz świat. Jednak na Agarach tego, co nazwałem łuną, nie ma. Dlatego potrzebne będą Przedmioty. Są wśród nich takie, których Druga Właściwość potęguje siłę mięśni. Są takie, co tną skały, i takie, co przeniosą kamień powietrzem. Płaska, czerwona muszla z otworem pośrodku, zwana Pierścieniem Ułudy, wyczaruje wam pięćdziesiąt kroków muru tam, gdzie go zabraknie. Oczywiście będzie to mur z powietrza, ale nikt go nie odróżni od prawdziwego, dopóki nie dotknie. To półkoliste чудо, o które pytałeś – rzekł do Raladana – to Wachlarz. Przeciągnij jego brzegiem po powierzchni dwóch kamiennych bloków i zetknij potem, a już nie rozdzielisz. Potrzebna jest ostrożność, bo ten Przedmiot spaja trwale wszystko, czego dotknąć jego brzegiem, a co złączyć niedługo potem. Dajcie go głupcowi, a do końca życia będzie chodził ze złożonymi dłońmi. A może i nie?... – Przez chwilę się zastanawiał. – Nie pamiętam, czy to działa na istoty żywe, rzodkiewki do nosa chyba sobie nie przykleisz. Ale już cegłę, no... nie pamiętam. Sprawdzimy, spróbujemy przykleić cegłę do kurczaka, najwyżej pójdzie na rosół. W każdym razie człowiek uważny i mądry wzniesie za pomocą Wachlarza stołp do samego nieba, nie

używając zaprawy. Mógłbym wymieniać długo. Są Przedmioty, które przydadzą wam się bardzo, inne mniej, a niektóre wcale. Nie, co mówię?... – Zmitygował się. – „Nieprzydatne” przydadzą się bardzo, bo je można sprzedać, a za pomocą złota buduje się zamki równie szybko jak za pomocą Przedmiotów. Nim rok minie, jestem prawie pewien, powstanie warownia, której nikt łatwo nie zdobędzie. Potrzebujemy dużo robotników, no i jeszcze tego. – Przytknął palec do czoła, po czym uściślił: – Wiedzy. Żaden Przedmiot nie narysuje wam planów twierdzy, ktoś to musi zrobić, najlepszy byłby wojskowy architekt.

– Właściwie to nie ja buduję zamek – przypomniał Raladan. – Jestem u kogoś na służbie.

– No, już wiem. U drugiego Rubinka.

– Co z tym zrobić?

– A co zamierzasz robić?

– Jeszcze nie wiem.

– A ja chętnie popłynę z Dorony na Agary i podroczę się z drugą dziewczuchą. Dla mnie wszystkie Rubiny są ciekawe, a chcę zarobić trochę złota. Mogę budować zamek za pieniądze. Jakoś muszę przeżyć... do śmierci.

– Dlaczego można bezkarnie korzystać z Przedmiotów, a Przyjęty nie może korzystać z siły Pasm? – Raladan wrócił do przerwanej rozmowy.

– Mądre pytanie, żeglarzu. Odpowiadam: można z nich korzystać, bo są. Nie zostały „przyjęte” i nie będą „odtrącone”, nie działają świadomie i nie muszą być podobne do Szerni, żeby mieć Właściwości. Ja muszę. Ale za pomocą Przedmiotów zrobię więcej niż każdy z twoich majtków, kapitanie. Czarny Kamień; wieziemy go, a jakże. Wszyscy wiedzą, że silnie rzucony może na wylot przedziurawić okręt...

Urwał, bo nie wszyscy wiedzieli. Tych dwoje na pewno nie.

– Ale ma też inne możliwości, o których mało kto słyszał – dokończył. – Może zlikwidować potrzebę snu u ludzi, albo raczej bardzo skrócić odpoczynek senny. To się przyda, jeśli czas będzie naglił.



– Dlaczego nikt dotąd nie użył Porzuconych Przedmiotów w taki sposób? – zapytała trochę oszołomiona Ridareta.

– Zdaje się, że Srebrnych Piór i Wachlarzy używano przy budowie fortec na armektańskiej Północnej Granicy. Na pewno Rewinu, ale może i Toru. Z całą pewnością posłużyły też do wzniesienia dartańskiej Rollayny. Prawda jest taka, że Przedmiotów nie rozdają garściami. Trzeba po nie przyjść do Obszaru, znaleźć je i wynieść. Nie każdemu pomagają w tym orki. I znudzeni, zgorzkniali Przyjęci.

– Orki? – nie zrozumiała.

– A, to już nie mnie o to pytaj. – Tamenath znowu przepił do Raladana. – Tyle, ile wiezicie w ładowni, wszyscy poszukiwacze przygód nie wyniosą z Obszaru przez dwadzieścia albo i czterdzieści lat. Trzy skrzynie! Mam czyste sumienie – rzekł jakby do siebie – nie przyłożyłem do tego ręki. No, najwyżej troszeczkę.

Skrzywił się lekko.

– Jest tego pełno w Szererze. Ale używane pojedynczo nie mają żadnego znaczenia. Oświetlisz sobie sypialnię, bardzo ładnie, ale ile Latarni trzeba, żeby oświetlić miasto? I tak samo jeden Wachlarz może trochę pomóc przy budowie, ale nie rozwiąże wszystkich problemów. Poza tym poza Romogo-Koor Przedmioty się psują. Po jakimś czasie to śmieci.

– I ja też się... zepsuję?

– Kiedyś tak. Ale Rubin nie jest wzorcem Pasm Szerni, tylko dwóch Odrzuconych Pasm, które nie są naprawiane, no bo po co? Działa trochę inaczej... i nie męcz mnie za bardzo, bo ja też nie wiem jak. Coś sobie tylko wyobrażam.

– A dlaczego Szerń obdarzyła Przedmioty takimi właściwościami, jakby stworzonymi dla ludzi? – pytała Ridareta. – To jest to... Złamanie Praw?

Tamenath pokręcił głową.

– Każdy Przedmiot ma dziesiątki, o ile nie setki zastosowań. A z tej liczby jedno, a najwyżej kilka, ma znaczenie dla takiej istoty jak człowiek. Równie dobrze mogłabyś pytać, dlaczego kamień stworzono specjalnie po to, żeby rzucić nim w psa.

– Ta ogromna wiedza, panie – rzekł nagle Raladan, dowodząc, że robi użytek z rozumu – mogłaby przecież przydać się do czegoś. Wiem, co to jest matematyka. Nie taka, o której mówiłeś... – Zmarszczył brwi. – Ale liczby i proste wzory musi znać każdy dowódca okrętu. – Zrobił gest w kierunku małego stołu, gdzie leżały tabele morskie, kompas, kwadrant i astrolabium. – Wiem, że można użyć nauki do... bardzo wielu rzeczy.

– Można, ale po co?

– No... chyba...

– Po co miałbym to robić? – uściślił Tamenath. – Dla sławy? Czy dla pieniędzy? Naprawdę rzadko ich potrzebuję. A może dla uszczęśliwienia mieszkańców Szereru? Jak przed laty Lonard Davin, Garyjczyk, któremu obrzydła samotność Przyjętego? Plany statków powietrznych i okrętów podwodnych... – Skrzywił usta. – Powiesił się – podsumował – a jednego i drugiego, jak nie było, tak nie ma. Dobrze chociaż, że malował wspaniałe portrety.

– Dlaczego, panie, zostałeś Przyjętym? W imię czego właściwie zgłębia się tę, jak mówisz, naturę Pasm Szerni? Czemu to ma służyć? Starzec pokiwał głową.

– To nie ja, to Szerń uznała, że jestem taki jak ona. I przyjęła mnie.

– Ale nie musisz jej badać.

– Nie, nie muszę. A ty dlaczego pływasz po morzach? Mniejsza o twoje pochodzenie, kiedyś przecież o nim nie wiedziałeś. Dlaczego niektórzy ludzie zostają żeglarzami, chociaż mogliby robić coś innego? Czemu to ma służyć?

Popatrzyli na siebie.

– Powiedz teraz coś o mnie, panie – zażądała dziewczyna. – Już mi dużo powiedziałaś, ale ja... ciągle wielu rzeczy nie rozumiem. Powiedziałaś, że nie ma dobra i zła...

– Nie, nie powiedziałem. Pasma nie są dobre ani złe, w tych kategoriach nie można rozmawiać o Szerni. Ale o ludziach tak.

– Jestem człowiekiem?

– Tak uważam.

– Zwykłym, żywym człowiekiem?

– Wiesz, że nie.

– Jestem chodzącym trupem?

– Nie wyglądasz. I gdybym tak był trochę młodszy...

– Jestem zła?

– Jesteś aktywna. I będziesz miała kłopoty z kontrolowaniem tej aktywności. Masz rozum i wolną wolę, to są cechy ludzkie, żaden Przedmiot ich nie posiadał. Bo teraz jeden posiada. Jesteś jednym i drugim, człowiekiem i Rubinem. Siedzi w tobie coś, o czym bardzo niewiele wiadomo. Nie wiem, jak będzie na ciebie wpływało owo „coś”. Jesteś podobna do Wielkiego Krafa, otóż to. On jest częścią bezrozumnej Szerni, ale uzyskał świadomość, ty odwrotnie: jesteś świadomą istotą, którą wypełniła bezrozumna treść. Niemniej... – Popatrzył bezradnie. – W całej historii Szereru nie słyszano o świadomym Przedmiocie. Jesteś pierwsza, Riolato Ridareto.

## ROZDZIAŁ 60



**N**ie wiem, co widzę – rzekł zdumiony Raladan. Takiej eskadry nie oglądał nigdy dotąd. Może raz: wtedy, gdy Demon zdobywał Barirrę. Ale teraz? Tutaj?

– Co takiego? – zapytała Ridareta. – Zwykle żaglowce.

– Zwykle żaglowce? Ten pierwszy to „Kaszalot” Brorroka, a na nim dziadek wszystkich piratów. Drugiego nie znam... ale trzeci, ta karawela z rejowym płótnem na fokmaszcie, to „Kołysanka” Kitara. Młodziak, ale jaki! Brorrok nie pływa z byle kim, a Kitara już kiedyś wziął sobie do towarzystwa. To w tej chwili dwaj najbardziej znani po Demonie piraci Bezmiarów. I defilują sobie wzdłuż Wysp Barrierowych, gdzie siedzą cesarskie eskadry. Jak świat światem, pirat przemykał tędy chyłkiem i nocami. Pamiętasz? To tutaj, niedaleko, przy Barrierowych właśnie, złapali nas wtedy Wyspiarze.

Kręcąc głową, patrzył na idące półwiatrem ku „Seili” żaglowce.

– Może powstanie wybuchło wcześniej? – podsunęła.

– Jeśli nawet... taki chytrus jak Brorrok nie zaniedbałby ostrożności w żadnym razie.

– Ma trzy statki. Duża siła.

– Ale żeby się zaraz z nią obnosić?

– Co robimy? Czekamy na nich?

Raladan zmarszczył brwi.

Spotkanie na morzu, jak zawsze, wzbudziło zainteresowanie załogi. Niemal wszyscy byli na pokładzie; oglądano się na kapitana.

– Jest okazja dowiedzenia się czegoś. Ale z drugiej strony... wejść między trzy takie okręty, to już lepiej od razu się utopić – myślał głośno Raladan. – Bohed! – zawołał nagle, a gdy oficer podszedł,

zarządził: – Kufry z Przedmiotami wstaw głębiej między paki z prowiantem, te z sucharami, wiesz. Na skrzyniach z księgami też postaw jakieś żarcie. Nie mamy nic w ładowni, pamiętaj. Powiedz chłopcom, że byliśmy w Dartanie, w Nin Aye.

– Tak, kapitanie.

– Jeszcze jedno: statkiem dowodzi – wskazał Ridaretę – Piękna Lerena. Zapamiętaj to dobrze. Wszyscy mają o tym pamiętać.

Dziewczyna spojrzała pytająco.

– Pamiętasz twarze majtków, gdy cię zobaczyli? Wszystkie trzy jesteście takie same. Ty i twoje córki. Podobieństwo zawsze było duże, a odkąd Rubin zaczął bawić się waszą urodą, stałyście się niemal nie do odróżnienia. Brorrok zna Lerenę, ale jeśli wydasz mu się nawet trochę inna, pomyśli, że to ta opaska na oku. Straciłaś je niedawno, pamiętaj. Poradzisz sobie?

– Czy Brorrok nigdy nie słyszał o jednookiej córce Demona? – zagadnęła. – Swego czasu na Agarach było o tym głośno.

– Dziesięć lat... Już dawno włożono tę historię między bajki. Brorrok widział córkę Demona i miała dwoje oczu. Łatwiej uwierzy w to, że córka Rapisa straciła oko ostatnio, niż w to, że córek Rapisa jest kilka i do tego są takie same... Poradzisz sobie?

– Bez obaw. A jak nie, to podpalę te łajby.

Popatrzył pytająco.

– Umiem niejedno – powiedziała zarozumiale. – To nie zawsze jest proste i nie zawsze przychodzi łatwo. Bardzo męczy... Ale dzisiaj jest dobry dzień. Bez problemów spalę im żagle. Tylko muszą podpłynąć blisko.

Serce w nim urosło. Była taka, o jakiej zawsze marzył: beztroska, zadowolona, zuchowata. Mógłbym pływać z tą dziewczyną po morzach zawsze i do końca życia. Znow prowadzić żaglowiec przez nikomu nieznanne przesmyki, powierzać go prądom zdolnym przemóc wiatr, pojawiać się nagle na kupieckich szlakach i przepadać bez wieści na całe miesiące... Chciał tego. Niczego już więcej, tyle by mu wystarczyło. Całe jego życie było morzem.

A może morze życiem?

– Morze może – powiedział bardzo zadowolony.

Tą uwagą o spaleniu żagli wprawiała go w naprawdę dobry nastrój. Obserwując okręty zmierzające na przecięcie ich kursu, zaczął, niespodziewanie dla samego siebie, bardzo poważną rozmowę. Dotąd jakoś nie miał odwagi.

– Nie mówiliśmy o tym jeszcze... Co z twymi córkami, pani?

– A co ma z nimi być? I nie mów do mnie „pani”, bo się wreszcie wścieknę.

Uśmiechnął się.

– Nawyk. A teraz jednak „pani”. I nawet: kapitanie. Tak zwracałem się do Lereny. Nie obchodzą cię? Twoje córki?

– Raladanie – powiedziała poważnie – a widać, żebym tęskniła? Jeśli coś rzeczywiście zyskałam dzięki temu, że noszę w sobie tę czerwoną moc, to tyle, że przestałam się okłamywać. Musiałam sobie powiedzieć, kim jestem i jaka jestem, najpierw dotyczyło to Rubinu... a potem już myślałam o wszystkim. Stary mi wczoraj powiedział, że najpierw muszę znaleźć swoje własne dobro, żadne inne. I ma rację. Przecież ja powinnam być taka jak mój ojciec. Ale jego nie znałam, a wychowywała mnie matka. Kochałam ją. Ilekroć mówiłeś mi, że świat nie jest czarno-biały, a po prostu szary, odpowiadała ci ona, nie ja. Słyszałeś jej słowa, a jeszcze bardziej jej myśli i pragnienia. Mam tłumaczyć dalej?

– Nie musisz.

– Trzeba było długiej wojny i wielkiej potęgi, by uczynić mnie taką, jaką miałam być naprawdę. By pokruszyć przeklętą skorupę, w którą zakuto mnie wtedy, gdy nie mogłam i nie umiałam się bronić. Walczyłam z tym, co kazano mi widzieć czarne; wmówiono i nauczono, że czarne jest godne potępienia... Byłam jak wytresowany do walki niewolnik. Czy ci, którzy zabijają się nawzajem w Rollaynie ku uciesze dartańskiego tłumu, czują nawzajem do siebie nienawiść, są z natury wrogo do siebie usposobieni? Nie, po prostu nauczono ich walczyć z takimi, a nie z innymi przeciwnikami. Byłam niewolnicą przyuczoną do walki. Wyzwolono mnie jednak. Teraz mogę wybierać, z kim i dlaczego chcę walczyć. A nie jest to z całą pewnością to, z czym walczyłam dotąd. Wiem na pewno.

Odgarnęła włosy z czoła takim samym ruchem, jak zwykła to czynić Riolata.

– Ale walczyć w ogóle chcę i zamierzam! – dodała.

Z namysłem przytknęła mu palec do piersi.

– Szukam sojusznika – powiedziała ze śmiertelną powagą, podkreślając wagę słów energicznym kiwnięciem głowy.

Pokręcił tylko głową z uśmiechem. Może nie zjadła wszystkich rozumów, ale to i owo jednak przemyślała. Przynajmniej wiedziała, czego chce.

– Nie bez powodu – podjęła – wypytywałam tyle o Agary... Myślę, Raladanie, że to dobre. Na początek. A ty?

– Planujesz przymierze? Z nią?

– A czemuż by nie? Przynajmniej przez jakiś czas. Riolata zasiała, Lerena zbierze plony... a my je sprzedamy.

– Semena – poprawił.

– Co mnie obchodzi jej fałszywe imię? Chyba nie dla nas je przybrała.

– Tak, ale powiedziałaś: Lerena.

– No i co?

Spojrzał zdezorientowany.

– Lerena – rzekł z naciskiem raz jeszcze.

– No dobrze! – zirytowała się. – Źle wymawiam? Znam chyba imię własnej córki?

– Ale mówisz o jej siostrze, zdaje mi się, o Riolacie, tak? – też się zirytował. – Semena-Riolata!

Patrzyła przez chwilę.

– Poczekaj, czy ty myślisz... Ale... Raladan?... Nie wiedziałeś?

Ręce opadły mu bezwładnie, bo coś przeczuł.

– Czego? – rzekł tępo. – O czym?

– Oddałeś mnie w ręce Lereny! Nie Riolaty! Nawet przez chwilę nie myślałam, że nie wiesz! Fałszywe imię Semena służyło teraz Lerenie!

Oparł się o nadburcie.

– Nie mylisz się?

Spojrzała z prawdziwym zdumieniem i jeszcze – politowaniem.

– Kto je ma rozróżniać, jak nie ja? – zapytała. – Jestem mamą. A serduszko mamy zawsze powie prawdę.

– Byłaś wtedy... – zaczął.

– Obląkana? Bzdura i bzdura! Mówiłam ci już, że pamiętam wszystko! Mam powtórzyć? Pamiętam wszystko, Raladan, nawet lodowaty śnieg z wodą na twarzy... Każdy szczegół, jaki można pamiętać po kilku miesiącach! A czy mówimy o szczególe? Jeszcze raz powtarzam: Semena, którą widziałam, i Lerena to ta sama osoba! Gdzie jest Riolata? Nie wiem.

Wierzył. Oczywiście, że wierzył.

„Raladan, nie pytaj mnie o Lerenę. Może kiedyś ci powiem”.

„Cóż cię może obchodzić Lerena?”

„Tak wiele dla ciebie znaczyła?”

„Lerena żyje...”

„Wódka... Kiedyś Lerena mi mówiła, że to dobry sposób na rany”.

Naniesione na mapy poprawki. „Skąd wiedziała?...”

– Jak wiele – powiedział – jak wiele teraz rozumiem!

Pochylił głowę.

– I jak mało... – dorzucił.

Wskazała okręty.

– Pomówimy później – zauważyła przytomnie. – Teraz goście.

o o o

– „Seila” pod komendą Pięknej Lereny! – zawołał Raladan. – Piękna wita kapitana Brorroka!

Na dryfującym w odległości pięćdziesięciu kroków holku wszczął się ruch. Ktoś parł do nadburcia, rozsuwając zamasyście tłum majtków. Słaby, lecz słyszalny głos rozbrzmiał zgrzytliwie:

– Do stu kurew, niech mnie spalą! Ślepy, co robisz na tym cacku?! A gdzie to kapitanowa?

Ridareta machnęła ręką.

– Powiedz mu, że uprałaś koszulę – mruknął Raladan. – I że statek jest czystszy niż jego... Nie dziw się, tylko powiedz.



– Kapitanie! Uprałam koszulę! A statek mam czystszy od twojego!  
– Zaproś go...  
– Zapraszam!  
– Niech mnie...! Do... do jednej wielkiej kurwy! Płynę, córcia! Płynę to zobaczyć!

Na holku migiem opuszczono łódź.

– Jak wejdzie na pokład, poznasz go od razu – mówił Raladan. – Ma dobrze ponad dziewięć krzyżyków. Jeśli będzie z nim rudzielec, to też go już widziałas. Kiwnij mu głową. Brorrok pije mleko... No, mleko! – potwierdził, widząc otwarte usta dziewczyny. – Nigdy wódkę, mówi, że jest za stary. Możesz dać mu wodę, nie obrazi się. Powiedz mu, że nauczył cię, jak powinien wyglądać żaglowiec, tym go kupisz. Niewolników już nie wozisz. Zapamiętasz? Resztą zajmę się sam.

– Pije mleko... dać wodę... niewolników nie wożę – powtarzała trochę rozbawiona, a trochę oszołomiona Ridareta. – Aha, i pokazał mi, jak wygląda żaglowiec. Tak?

– Bardzo dobrze – pochwalił.

Przywołał gestem Davahodena.

– Nie pchaj się w oczy z bronią. Idź do Przyjętego. Niech pozbiera swoje klamoty i siedzi w kajucie Ridarety. Za bardzo zwraca uwagę.

– Tak, kapitanie.

– Nie „kapitanie”, do... Ona jest kapitanem, ja tylko pilotem!

Kusznik skinął głową.

Dowódca „Kaszalota” płynął ku „Seili”.

o o o

– O, córcia! – Brorrok wciąż nie mógł wyjść z podziwu. – O, córcia! Siedzieli w kapitańskiej kajucie. Ridareta wzruszyła ramionami.  
– Miałam piękny wzór do naśladowania. – Pokazała ręką Brorroka we własnej osobie. – Wspaniały statek... i godny tego statku kapitan. Starego jakby kto na sto koni wsadził.  
– O, córcia – powiedział raz jeszcze, krygując się niemal.

Rozgniewał się nieoczekiwanie.

– Kto ci to, do stu kurew?! – wrzasnął, pokazując opaskę na oku.

– Cesarscy – mruknął Raladan. – Któż by?

– Ślepy... i ślepa – rzekł Brorrok, bardzo rozgoryczony. – Ale statek jak złoto! Nie to, że lepiej jak u mnie... Ale jak złoto, mówię. Niech zdechnę w piwnicy!

– Cóż to się dzieje, kapitanie? – zagadnął Raladan. – Robicie piracką paradę wzdłuż Wysp Barrierowych?

– Piracką! Piracką, powiadasz! O, Ślepy... – obraził się Brorrok. – „Kaszalot”, do stu kurew, to okręt kaperski!

– Dlaczego Ślepy? – zdziwiła się Ridareta.

Zaległa krótka cisza.

– Nie mówiłem? – zastanowił się Brorrok.

– Mówiłeś, kapitanie – rzekł Raladan, nie kryjąc niezadowolenia. – Ale ona ciągle nie wierzy...

Ridareta pojęła, że palnęła głupstwo.

– O, do stu... To jej pokaż! Przez (ile to?) przez rok... czasu nie miałeś?

– Nikt mnie już tak nie nazywa. Niepotrzebnie przypominasz, kapitanie, to miano. A na popisy za stary już jestem – bronił się Raladan.

– Za stary! Mówi, że za stary. – Brorrok w osłupieniu patrzył na Rudego. – Ubliżył mi. Słyszałeś? On jest stary. To ja... chyba trup!

Raladan wyciągnął rękę. Rudy ściągnął z lekkim uśmiechem fular z głowy. Raladan zawiązał sobie oczy, po czym wyjął nóż z pochwy przy pasie i następne zza cholew. Cisnął dwa jednocześnie, potem trzeci.

– To dlatego Ślepy – wyjaśnił, odsłaniając oczy. – Wierzysz już, pani?

Noże tkwiły w drzwiach – prawie równo jeden obok drugiego, każdy pośrodku innej deski.

– Już wierzę – powiedziała z całkiem szczerym zdumieniem Ridareta. – Nauczysz mnie tak?...

Raladan bezradnie wzniósł oczy ku powale.

– Ba!... – zaczął Brorrok, ale Raladan wpadł mu w słowo:

– Jesteś kaprem, kapitanie?

Stary patrzył przez moment, chwytając wątek.

– Kaprem – potwierdził. – Z listem kaperskim... – uderzył dłońmi po udach – wystawionym przez jego godność komendanta flot Armektu!

Raladan zaczął rozumieć.

– Powstanie?

– Od miesiąca, niech mnie ugotują! – triumfował Brorrok. – Wszystko, co garyjskie, dozwolone! Imperator odkupi od starego Brorroka każdy przyz! Mogę zawijać – rozłożył ręce, trzęsąc się od chichotu – do portu na Barrierowych, do Talanty! Że też dożyłem takich dni! Teraz... teraz niech mnie utopią!

Palnął Rudego w plecy i byłby się przewrócił wraz z krzesłem, gdyby ten go nie przytrzymał. Stary pirat (kaper!) zaniósł się kaszlem.

– Niech mnie... utop...ią... – wycharczał, łapiąc powietrze.

– Co z tym powstaniem, kapitanie? – zapytał Raladan, gdy Brorrok wyparskał się i nieco uspokoił.

– Bili się na morzu, przy Garranach. Będzie dwa, trzy tygodnie nazad. Nikt, mówią, nie wygrał. Potem, mówią, buntownicy pobili się między sobą. Ktoś porwał jakieś okręty, poszedł z dymem port w Dranie. Cztery cesarskie eskadry płynęły do Bagby z Armektu. Wielka Flota. Sam widziałem trzy karaki gwardii. Takie jak ojczulka, niech mu morze... – Kiwnął ku dziewczynie. – No i, do stu kurew – Brorrok rozparł się wygodnie – Armektańczyki sprawdzili, że niby Bagba ciągle ich, i mieli tam płynąć. Wtedy doszły słuchy, że cała flota buntowników w rozsypce, ale specjalnie, w cztery strony świata niby poszła, zdobywać wyspy na Morzu Garyjskim, i Południowe, i Garrany... Ale inni gadali, że wcale nie, że płyną do La i nawet na Morze Zamknięte, spalić Lida Aye i Tarwelar, niby. Cesarscy zgłupieli: dwie eskadry poszły z powrotem, pilnować wejścia na Zamknięte i Llapmy, jedna na Morze Garyjskie, a gwardziści z tym, co zebrało się na Barrierowych, do Bagby! Znaczą wojny do jesieni nie skończą, bo to, widzi mi się, ciut mało, żeby odbić całą Garrę. Ale wcześniej szniki chodziły po morzu jak nigdy.

Szniki, szkuty przybrzeżne, wszystko, co ma żagiel, nawet dartańskie galery. Tylko, do stu kurew, na tratwach nie pływali. I zdybali mnie! Myślałem, że jakaś obława, ale, Ślepy, co za obława z samymi sznikami? Szybkie toto, ale chłopa na pokładzie trzydziestu! Dałem się dogonić; jak sami śmierci szukają?! A oni, do stu kurew, poddają mi się! Strażnik, żywy, był na moim „Kaszalocie”! – Brorrok przerwał, żeby patrzeć, jak bardzo się dziwią. – I żywy zlął z niego! Bo oni pływali, żeby łapać na morzu wszystko: kupca, żołnierza i starego Brorroka też! Dostałem list kaperski, podpisany przez dowódcę wszystkich ichnich flot, i życzenia szczęścia od cesarza! Jeszcze nie wierzyłem! Ale jak przy Barrierowych spotkałem Kitarą? Z tym tutaj kupcem, niech mnie zabatożą! Kitar sklecił eskadrę, szli we dwójkę do Garry! Kupczyna miał paru z żelastwem do pilnowania towaru, usłyszał, że płacą za zdobyte statki, a że się wcześniej zrujnował, no to wziął list kaperski, przyjął jeszcze paru nicponi... i pływa kupiec z Kitarem! Ścierwo! – powiedział nagle. – W gardle mi zaschło, do pół setki... Ale żem się nagadał. Mleka pewno nie macie, co, córcia? A to daj wodę... i doleję wódki. Ale kapkę! Takie rzeczy się dzieją, że kapka... kapeczka... nie zaszkodzi! – wyjaśnił.

Raladan i Ridareta w milczeniu przetrawali wieści. Stary ostrożnie sączył rozcieńczony trunek.

– I co kaper ma teraz zrobić, córcia? – chrypnął wreszcie. – Zabrać wam to cacko? Dobrze mi zapłacą. Was nie ruszę, jeszcze na pokład wezmę... Ale statek oddajcie.

– To nie jest statek powstańczy – powiedziała Ridareta.

Brorrok zarechotał.

– A kto niby wie o tym? Statek to statek, córcia! No, nie powiesz mi, że armektański!

– Kapitanie – przypomniała uprzejmie – wlałeś nam w ręce.

– Piękna grozi? Staremu? – zgorszył się Brorrok. – Córcia, ja bym nawet goły tu przyszedł, jakby było co pokazać, tobym przyszedł, niech mnie... Ja, córcia, długo żyję i się ciebie nie boję! Tak to już jest jakoś, że każdemu droższe własne życie niż cudza śmierć. Ślepy,

powiedz jej, o co chodzi staremu! Bo ja zem się już ozorem naklaskał.

Raladan skinął głową.

– Kitar będzie abordażował tak czy owak – wyjaśnił. – Choćbyśmy nawet wyrzucili naszych gości za burtę. Możemy grozić do woli, Kitar i tak robi swoje, załoga Brorroka też. Tylko że wtedy, no, to już nas wyrznią.

– O, widzisz. – Brorrok z zadowoleniem przyglądał się dziewczynie. – Dawajcie statek. Biorę.

Ridareta spojrzała na Raladana, ale ten skrzywił się tylko i wzruszył lekko ramionami.

– Nie warto, kapitanie – rzekł leniwie.

– A to czemu, co, Ślepy? Takiś pewny?

– Słyszałem – odparł wezwany – że na wiosnę jest robota.

Brorrok nadstawił ucha.

– Hę? A ty skąd wiesz, co? Hę?

– Słyszałem – rzekł jeszcze Raladan – że się opłaci.

Brorrok popatrzył na Rudego.

– Wiesz coś o tym? – Po czym znów do Raladana: – Bo ja wiem tylko, że chcą mi zapłacić za jakąś awanturę. Wcale nie wiem, czy się opłaci.

– Opłaci się – rzekł Raladan, spoglądając na Ridaretę. – Pamiętasz Barirę, kapitanie? Chodzi o to samo. Tylko teraz nie Demon ci zapłaci, a jego córka.

Pirat otworzył gębę.

– To ty, córcia, chciałaś dobić targu? Czemuś takich głupków słała po tawernach? Co? Córcia?

– Miałam głośno krzyczeć, że to ja? – zapytała Ridareta. – Jeszcze pokrzyczymy. Za pół roku.

– Za pół roku. – Brorrok zgiął się przytłoczony. – Ale, córcia, czy ja dożyję? A tu mam twój stateczek, i też mi się opłaci.

– Do podziału na trzech? Przecież teraz jeszcze tego kupca nie utopicie, dopiero potem, jak już nie będzie potrzebny – rzekł Raladan. – No to co? Opłaci się na trzech? Imperator nagle taki hojny?

Brorrok znowu popatrzył na Rudego.

– Ano, prawda...

Rudy pokiwał głową.

– Będziesz żył jeszcze sto lat, kapitanie – rzekł poważnie Raladan.

– Nie widzę, żebyś kładł się do grobu. A jak nawet nie sto, to jeszcze z tuzin na pewno. Zarobisz na wiosnę i opłaci się. Bardziej jak interes z cesarzem.

– Ano... może. – Kaper się zastanowił. – Ale, Ślepy, Kitar i ten kupczyk nie odpuszczą. Oni już liczą złoto, jakie za was dostaną.

– Powiedz im, kapitanie, jak jest. Też mogą zarobić. A złota... może trochę damy?

– Macie złoto? – zaciekawił się stary.

– Kapitanie! – Raladan pokiwał głową. – Czy ja dam sobie co zabrać? Sam mnie uczyłeś, a potem Demon. Rozbierz ten żaglowiec na kawałki, a nie znajdziesz! Ale jeśli się dogadamy...

– Dawajcie! – rozwścieczył się stary. – No, już.

Spojrzał chytrze.

– Tylko Kitar ma o tym nie wiedzieć. Co mu powiem, to powiem... Młody jest, jeszcze znajdzie dość złota dla siebie.

Ridareta skinęła głową z nieznacznym uśmiechem.

– Nie, do tysiąca brudnych... Niech mnie utopiają, nie ruszyłbym statku jego córki! – zapewnił najszczerzej Brorrok.

## ROZDZIAŁ 61



**P**ełnym wiatrem „Seila” szła ku Agarom.

Raladan raz jeszcze przedstawił rzecz Ridarecie i Tamenathowi. Dzięki wieściom uzyskanym od Brorroka było jasne, że powstanie wybuchło przed czasem, a plan Semeny (Lereny!) się powiódł. W Doronie nie mieli czego szukać, należało wręcz omijać brzegi Garry. I w ogóle wszystkie uczęszczane szlaki, jeśli nie chcieli uciekać przed każdym dostrzeżonym żaglem. Dla wszystkich byli łakomym kąskiem: dla rebeliantów, dla cesarskich, a nawet dla byle korsarza.

Lerena na pewno zdobyła Agary. Po pamiętnej zagładzie ahelskiej eskadry Raladanowi wydawało się mocno wątpliwe, by w Aheli siły Floty Rezerwowej mogły być większe niż wtedy. Co najwyżej je odbudowano. Dwa średnie żaglowce i może jakieś szniki... Dwustu ludzi, trzystu? Nie więcej, a z tego połowa na morzu. I legionieści w Arbie.

A zatem Lerena miała Agary. Należało płynąć prosto do Aheli.

Ridarete śmiertelnie nudziło snucie dalekosiężnych planów. Chciała działać, nie gadać bez końca. Było tak, jakby wszystkie zmarnowane lata żądały, by je odrobić. Zostawiła myślenie mężczyznom.

A w Przyjętym coraz wyraźniej budził się awanturnik, niespokojny duch, grombelardzki kusznik. Olbrzym zaniedbał swoje pisma, całymi dniami wiódł dysputy z Raladanem, kreślili jakieś szkice twierdz, palcami po mapach wodzili eskadry, których jeszcze nie mieli...

Wydawało się jej to wszystko co najmniej przedwcześnie.

Nuda.

Statek płynął i płynął, wachty zmieniały się regularnie, tamci dwaj gadali bez przerwy... Łaziła po pokładzie, raz i drugi wspięła się nawet na grotmaszt, była w ładowni i na dziobie, i na rufie...

Nuda.

Od chwili gdy uciekła z Rollayny, minęło sporo czasu; dość, by zdążyła zaobserwować u siebie szereg cech, których kiedyś nie było lub wydawało się jej, że ich nie ma. Przede wszystkim była aktywna (no tak, Tamenath uprzedzał), bierność męczyła ją i drażniła. Gdyby zapytała Raladana, ten odrzekłby bez wahania, że jest bardziej niż kiedyś podobna do swych córek, a szczególnie do Lereny. Cóż, pierwsza córka Rapisa rzeczywiście bardziej była teraz Lereną niżli tą Ridaretą, która latami beczynn timer tkwiła poza światem, w zapomnianym domu pod lasem.

Krótka męska spódnica, jaką dał jej Raladan, miała może pewne zalety; cóż, kiedy złościła ją! Podobnie koszula i ten potworny serdak... Dobrze czuła się tylko w sukni. Ale zielona suknia, w której przemierzyła pół Dartanu, była teraz zwykłą ścierką – dziurawą, postrzępioną i tak brudną, że pomóc nie mogło żadne pranie.

Raladan nie wozil sukienek na „Seili”. Ani żadnych klejnotów. Oto pirat... Miał złoto Lereny, to prawda; większą część zabrał Brorrok. Ale co można z tym zrobić? Wpiąć sobie potrójne sztuki złota w uszy? Czy zawiesić na szyi?

Piękna jednooka kapryśnica zaczynała mieć dosyć przaśnej wędrówki po morzu.

Zdawało się jednak, że Davahoden nie zauważyłby żadnych ozdób, nawet gdyby je miała i nosiła... Bardziej dla własnej satysfakcji niż z rzeczywistej potrzeby zadbała o włosy. Ułożyła je bez zwierciadła, bo na „Seili” niczego takiego nie mieli, ale zwierciadło nie było potrzebne. Oglądała swe odbicie przez rok, niemal bez przerwy, i znała na pamięć każdy kosmyk i każdy pukiel.

Podobała mu się. I jak jeszcze. Ale on też się jej podobał. Był tęgi, może zbyt, ale wysoki, silny, bardzo męski... Dowodził kusznikami z pewnością siebie i spokojem, jakby urodził się do tego i niczego więcej. Trafiało to do niej.

Oj, trafiało.



Miałyby ochotę podowodzić nim.

– Zawsze z mieczem – powiedziała, opierając się o nadburcie, dwa kroki od kusznika. – I zawsze w zbroi... Żołnierz jakich mało!

Spojrzał na nią, ogarnął wzrokiem mocny kok, z którego wypływała szeroka kita włosów, tańcząca za plecami w rytm podmuchów wiatru, i odparł, prawie zmieszany, niemal się tłumacząc:

– Służba, pani. Moja wachta trwa bez przerwy. Kto ma być zawsze gotowy jak nie dowódca pokładowych żołnierzy?

– Ale zbroja? – zapytała z uśmiechem. – Przecież gdybyś wypadł za burzę, pociągnęłaby cię od razu na dno!

– Tak myślisz, pani? – Teraz on się uśmiechnął. – A ja ci mówię, że pływałbym i w kolczudze, i w kirysie. Chyba niezbyt długo, ale gdybym wypadł na przykład teraz, to zdążyłabyś sprowadzić pomoc.

Popatrzyła z uznaniem. Uśmiechnęła się.

Odwróciła się ku morzu i patrzyła na czerwony zachód słońca.

– Kusznik – powiedziała wyraźnie, jakby smakując słowo. – Kusznik... Mieczem też dobrze władasz, Dav?

– Dav... – Spojrzał spod oka. – Moja żona tak do mnie mówiła.

– Masz żonę? – zapytała z tak wyraźnym zawodem, że aż uniósł brwi... i znów się nieco stropił. Na krótko.

– Miałem. Zwykła pomyłka. Oddała mi list rozwodowy.

Milczała wyczekująco, najwyraźniej zainteresowana.

– Nie mogę jej nic zarzucić – rzekł szczerze. – Myślę, że po prostu żołnierz obiężyświat nie był jej potrzebny. Nie takiego mężczyznę chciała.

– O? – zdziwiła się. – A ja myślałam... – Urwała i wzruszyła ramieniem.

– Tak, pani?

– Pani... Czemu nie: Ridareto? – zapytała, naprawdę zalotnie.

Bawiła się, widząc jego zakłopotanie.

– Myślę, że kapitan źle by widział taką poufałość.

– Kapitan! – oburzyła się. – Co ma kapitan do mężczyzn, którzy mi się...

Urwała.

Znowu rzucił krótkie spojrzenie.

– Wygadałam się – stwierdziła raczej, niżli zapytała. – Zupełnie... nic nie wiem o mężczyznach poza tym, że trzeba im się podobać – dodała naiwnie. – Wiem, głupie to uczesanie... – Spochmurniała, sięgając ku włosom.

– Zostaw, pani! – zaprotestował aż nazbyt pośpiesznie.

Przysunęła się całkiem blisko.

– Dav... – powiedziała spłoszona, opierając palce o przysłoniętą tuniką kirys. – Chodźmy do mnie.

Przez chwilę jakby nie rozumiał.

– Jestem prostym żołnierzem, pani – rzekł wreszcie pozornie bez związku.

– To niedobrze, bo ja jestem królową! – odparła z prawdziwą złością, odsuwając się i rozkładając ręce. – Co mówię, samą cesarzową! Znowu będę siedziała cały wieczór sama. A dlatego że temu tu, prostemu żołnierzowi, kapitan zabronił podobać się kobietom!

Oparła ręce o nadburcie i znów spojrzała na morze.

– Ale kogo obchodzi jednooka dziewczyna... – powiedziała niegłęboko do siebie.

– Nie mów tak – zaprotestował żywo. – Jesteś najpiękniejszą kobietą, jaką w życiu widziałem.

Popatrzyła bez słowa. Akurat.

Davahoden chciał jeszcze coś powiedzieć, ale się powstrzymał. Nie był dzieckiem, swoje lata miał. Jasno widział, że dziewczyna zastawiła na niego pułapkę. Ale właściwie pochlebiało mu to. Była naprawdę... no, piękna, ale z braku lepszego słowa. Wyzywająca? Lubieżna? Też nie to. Ale ręce same się do niej wyciągały.

Wiedział, że troszkę traci głowę, ale z drugiej strony, czy było w tym coś złego? Prawda, że wszystko odbywało się tak... pośpiesznie; nie przywykł do kobiet mówiących mu wprost: „Podobasz mi się...”.

– Uwodzisz mnie, pani? – zapytał.

– Zręcznie, prawda? – Prychnęła ze złością.

Zajmowała pomieszczenie, w którym wcześniej rezydował Bohed. Po jej przybyciu na pokład Raladan wziął oficera do siebie. Kajuta była taka jak wszystkie podobne pomieszczenia na „Seili”: niewielka i raczej dość ciemna. Ale dwie latarnie wiszące pod sufitem dawały dość światła. Dość, by mógł ocenić, że naprawdę ma przed sobą najwspanialej zbudowaną dziewczynę Szereru. W osłupieniu patrzył na piersi, których sutki były twarde jak kamień; okrągłe biodra; doskonałą linię nóg... Przebiegając do posłania, puknęła go pięścią w zbroję.

– Weźmiesz mnie w tej skorupie?

Położyła się, podkładając ramiona pod głowę.

– A może nadal masz służbę? To przyniesiesz jeszcze kuszę. Tylko nie nakładaj bełtu. Może i chcę być przebita... lecz nie bełtem.

Odpasując miecz, pomyślał, że byłoby dobrze, żeby Raladan nie dowiedział się o niczym. Miał jakieś... poczucie winy.

o o o

Była głęboka noc, gdy z powrotem dopinał rzemienie kirysu.

Leżała na brzuchu, z przedramionami pod brodą; skrzyżowane w kostkach nogi kołysały się lekko nad okrągłymi pośladkami. Czy myślała o tym samym co on?

Czuł się źle. To było niepotrzebne. Wyrzucał sobie brak opanowania. Mając lat czterdzieści, trzeba umieć myśleć.

Stary, a głupi – tak się czasem mawiało.

– Co było nie tak? – zapytała.

– Wszystko było nie tak – odpowiedział, zanim pomyślał, co właściwie mówi.

Zdał sobie natychmiast sprawę, że do licznych błędów popełnionych tego dnia dołożył następny. Ale w końcu czy miało to jeszcze jakieś znaczenie?

– Jesteś wspaniałą kobietą. Najpiękniejszą, jaką kiedykolwiek oglądałem... i miałem – dorzucił, ale czuł i słyszał, jak fałszywie to brzmi.

A przecież nie kłamał.

– Najpiękniejszą, jaką oglądałeś – powtórzyła za nim. – Chyba rozumiem. Najpiękniejszą, ale nic więcej. Tak?

Skinął głową, po prostu.

– Jestem zwyczajnym żołnierzem. – Obracał przez chwilę w dłoniach pas z mieczem. – Nie gwałci się marzeń – rzekł niespodziewanie.

Kiedy indziej zastanowiłaby się może, jak pięknie potrafi mówić ten „zwyczajny żołnierz”.

Patrzyli na siebie w milczeniu. Ciemnobrązowe włosy dokładnie kryły plecy dziewczyny, a na nich najbardziej ponury rysunek, jaki widział w życiu. Słyszał, że takie tatuaże robiono w Dartanie.

Wiedział, że była długo w Rollaynie.

Uniosła nagle dłonie i jednym ruchem zdjęła z twarzy opaskę. Cofnął się naprawdę przerażony. Ujrzał coś ohydneho.

– Taka jestem naprawdę – powiedziała. – Najpiękniejsza na świecie, tak?

Przełknął ślinę.

– Dlaczego mi to robisz? – zapytał.

– Co za różnica dlaczego? Może chcę mieć z tej nocy trochę przyjemności? Powiedziałeś mi, co czujesz, no to ja ci pokazuję, jaka jestem. Szczerłość za szczerłość i prawda za prawdę. Nie podoba ci się moja twarz?

Zerwała się nagle z posłania.

– Raladan nie może dowiedzieć się o tym – powiedziała. – Miałby do mnie żal.

– Nie dowie się – zapewnił.

– Nie dowie się – powtórzyła jak echo, nakładając na powrót opaskę. – Oczywiście, że się nie dowie.

o o o

Raladan, półnagi, zderzył się z Tamenathem w drzwiach kajuty, przez które chcieli wyjść obaj naraz. W dłoni Przyjętego lśnił miecz;

omal się nań nie nadział.

W głębi kajuty Bohed też chwycił miecz.

Krzyk nie ustawał. Wydostali się wszyscy na zewnątrz i skoczyli ku izdebce Ridarety.

Pokładową wachtę trzymał drugi oficer. Też nadbiegał.

Raladan i Tamenath wpadli do kajuty dziewczyny.

Płonący jak pochodnia człowiek rzucał się po izbie, rycząc jak zwierzę. Ogień trawił też ścianę, stół, pełgał po podłodze. Nim pojęli grozę sytuacji, Ridareta przebiegła wśród płomieni, wyrwała miecz z ręki Przyjętego, po czym rzuciła się ku żywej kuli ognia, uderzając ze wszystkich sił. Płomienisty tobół runął na podłogę, czerwonożłoty jęzor skoczył ku włosom dziewczyny...

Tamenath krzyknął coś gardłowo, gęsta czerń, zimna jak lód, wybuchła w pomieszczeniu – i tak już zostało.

Usłyszeli jęk Ridarety. Bohed przytomnie nie pchał się do środka, zawrócił do kajuty kapitańskiej. Przybiegł szybko, niosąc dwie latarnie. Dał je Przyjętemu, po czym posłał drugiego oficera z powrotem na wachtę. Złazili się już marynarze.

Raladan klęczał przy siedzącej na podłodze dziewczynie, którą zdążył odszukać w mroku. Przyjęty zawiesił latarnię i zamknął drzwi.

Nic nie mówił. Patrzył i czekał.

Zupełnie naga piękność przytuliła się do Raladana. Włosy miała mocno popalone, ale ogień chyba nie zrobił jej większej krzywdy. Jakieś zaczerwienienie tu i tam.

– Nic ci nie jest? – pytał Raladan.

Już drugi raz o to samo.

Tamenath zrobił dwa kroki i ciężko przyklęknął przy trupie. Twarz była straszliwie poparzona, tak samo ręce, zaś cała reszta... Mundurowa tunika spłonęła, pozostały kirys i kolczuga. Kusznik po prostu upiekł się w swojej zbroi.

W przypalonej szyi ziała rana od miecza.

– Chciał mnie... – powiedziała głucho Ridareta. – Próbował...

Wykrztusiła coś niewyraźnie.

– Davahoden – rzekł krótko Tamenath. – To Davahoden. Nie żyje, zarżnięty i upieczony.

Raladan mocniej objął dziewczynę.

– Niemożliwe – powiedział. – On? Nie mogę uwierzyć...

Ridareta, oddychając ciężko, opierała czoło o jego ramię.

– Kogo więc na tym świecie można być pewnym! – cisnął kapitan, odwracając głowę ku starcowi, ale nie wypuszczając z ramion dziewczyny. – Miałem go za przyjaciela! Miałem za...

Tamenath bez słowa zacisnął dłoń na kirysie kusznika. Mimo przenikliwego zimna, jakie zawierała sprowadzona do zgaszenia ognia ciemność, zbroja wciąż była ciepła.

Przyjęty wywlókł trupa na pokład na oczach rosnącego zbiegowiska załogi. Jednoręki – z niejakim trudem przerzucił ciało za burtę, po czym popatrzył na majtków i żołnierzy.

– Czy coś trzeba powiedzieć?

Po chwili jeden z marynarzy rzekł niegłęboko:

– Morze wzięło.

Starzec odwrócił się i popatrzył w mrok nocy. Stał tak przez jakiś czas. A potem zobaczył żołnierza, tuż obok. Żołnierz niósł kuszę swego dowódcy – dar od Przyjętego. Spojrzał krótko i rzucił ją w fale, odwracając głowę.

Tamenath wyprostował plecy i powoli wrócił do kajuty o ścianach osmalonych ogniem. Stał w drzwiach akurat w momencie, gdy Raladan obrócił dziewczynę plecami do siebie i odgarnął na bok przypalone włosy. Już nie siedzieli na podłodze.

– Co to jest? – zapytał ze zdumieniem.

Żółty, skrzydlaty wąż wychylał się ponad fale, unosząc na grzbiecie nagą kobietę o rubinowym spojrzeniu. Potwór miał wylupione oko, a rysunek wykonano w sposób tak mistrzowski, że Raladan odruchowo dotknął pleców dziewczyny, jakby chcąc się upewnić, czy krwawa rana nie jest rzeczywistą raną na ciele...

– Co to jest? – powtórzył, zniżając głos.

– Byłam w Rollaynie – odparła, jakby to wszystko tłumaczyło.

– Znajdź jej coś do ubrania, zamiast stać i gadać – rzekł surowo Tamenath. – Będziesz teraz oglądał obrazki? Widzisz przecież, że nic

jej nie jest, a o tym tatuażu zdążycie porozmawiać.

Raladan skinął głową i wyszedł.

Obejrzała się na Przyjętego.

– Chyba wiem, jak to było – powiedział prosto z mostu. – Panuj nad sobą.

Drobna czerwona iskierka zamigotała w jej jedynym oku.

– Spokojnie – ostrzegł. – Najpierw coś powiem. Nie rozśmieszaj mnie tymi płomykami, ślicznotko. Za pomocą Rubinów to ja mógłbym płoszyć mewy srające na dach mojej wieży. Pomyśl, co wyprawiasz! Oto najlepszy dowód, że nie umiesz nad sobą panować. To się ucz. Spalisz sobie kiedyś nie tylko włosy.

Pogroził jej palcem.

– Chcesz mnie zabić, to użyj miecza. Albo otruj, bo to może się udać. Ale nigdy, przenigdy, Ridareto, nie wypuszczaj na mnie Riolaty. Na każdego, byle nie na mnie. Jestem przyjęty przez Pasma, przyjęty nie na audiencji, tylko do ich treści, a lah'agar znaczy dosłownie „część odnaleziona”. Część Szerni, dziewczyno, tylko pomyśl! A tutaj – zakreślił przed sobą niewidzialną ścianę – nie ma Ferenu. Dwa Odrzucone Pasma uderzą prosto w Szerń. Symbolicznie. Ale ja urwę ci pusty łeb zupełnie niesymbolicznie i nie będę wiedział, jak to zrobiłem ani kiedy. To się stanie zupełnie samo. Usłyszałaś, rozumiesz? OBIE zrozumiałyście?

Kiwnęła wolno głową.

– Uznajmy, że nie wiem, co tu zaszło, ale przemyśl dobrze tę swoją historię, bo Raladan zaraz sam zacznie dumać, jak to było, że kusznik przyszedł cię gwałcić w kolczudze i kirysie. To raczej nie trzyma się kupy. A Raladan zrozumie, więc powiedz mu prawdę. No, może powykęcąj się trochę, że niby sama nie wiesz, jak do tego doszło.

Patrzyła z niedowierzaniem.

– Nie potępiasz mnie? – zapytała zdziwiona. – I nie masz żalu, że chciałam... to znaczy ja właściwie nie...

Machnął ręką.

– Ładna jesteś – powiedział, wychodząc.

Dotarło do niej, że wciąż stoi nago.

W kapitańskiej kajucie Przyjęty znalazł Raladana. Kapitan trzymał w rękach spódnicę i koszulę, i wpatrywał się w nie z namysłem.

– No widzisz, czasem coś mogę zrobić – rzekł Tamenath. – Bo to nie był pożar od świeczki. Wtedy bym biegał z ceberkiem.

Usiadł na posłaniu i przeciągnął się. Legł.

– Będziesz teraz spał, panie?

– No. Przecież chyba jest noc?



## ROZDZIAŁ 62



Z wpłynięciem do Aheli nie było żadnych problemów, chociaż kilka mil od wejścia do portu spotkali eskadrę holków kręcącą się po morzu. Jednakże samotny, niewielki żaglowiec nie wzbudził – przynajmniej na razie – większego zainteresowania. Łatwo było zgadnąć dlaczego.

Tamenath widział Ahelę po raz pierwszy. Ridareta była raz w porcie, ale krótko. Natomiast Raladan, znający przystań dobrze, był teraz jej widokiem prawdziwie oszołomiony. Ale właściwie czegoż innego mógł się spodziewać?...

To było niczym port wojenny na Wyspach Barrierowych. A, gdzie tam! W Talancie, na Barrierowych, stała eskadra Floty Głównej i druga Rezerwowej oraz parę małych okrętów. Tutaj niewielka przystań dosłownie zapchana była żaglowcami wszelkiego rodzaju. Kotwiczyły na redzie holki, w których wprawne oko poznało okręty Floty Głównej Garry i Wysp; nieco dalej dwie kogi, jedna stara jak świat, druga nowsza; jeszcze dalej małe szniki. Gdy „Seila” cumowała do nabrzeża, z portu wychodziła właśnie zgrabna karawela rejowa, z białymi płótnami na masztach głównych i jasnożółtym na bezanmaszcie. Możliwe, że był to okręt Małej Floty Wysp zdobyty tutaj, w Aheli.

Brak zainteresowania „Seilą” skończył się w momencie, gdy rzucono trap. Jak spod ziemi wyrósł oddział toporników w odsłoniętych kirysach, a za nimi mniejsza grupka kuszników w granatowych tunikach.

– To wszystko najemnicy Lereny? – mruknęła Ridareta. – Ładne wojsko.

Dziesięciu toporników zostało na brzegu, pozostali weszli na pokład. Zaraz za nimi pojawił się przystojny, szczupły i ogorzały mężczyzna bez hełmu, ale w kolczudze i barwnej tunice.

– Co to za okręt? – zapytał donośnym, energicznym głosem, rozglądając się dokoła. – Kapitan?

Raladan zszedł na średni pokład, Ridareta i Tamenath podążyli za nim.

– Jesteś kapitanem tego statku, panie? – zagadnął mężczyzna, mierząc Raladana spojrzeniem.

– Zdaje się, że już niedługo?

– Rekwiruję żaglowiec – potwierdził oficer, przyglądając się bacznie kapitanowi. Przeniósł wzrok na dziewczynę i zamarł.

– O, na wszystkie... – rzekł, cofając się odruchowo.

Raladan obejrzał się na Ridaretę.

– Podobieństwo? – zapytał. – Wszystko zrozumiesz, panie. Ale nie do ciebie mamy sprawę, a do jej godności.

– Nie wątpię... – Mężczyzna wciąż sprawiał wrażenie oszołomionego. – Skoro żyjesz... – Spojrzał w twarz Ridarecie i zaraz odwrócił wzrok.

Odgarnęła włosy z czoła.

– Znasz mnie, panie? – zapytała zdziwiona. – Kim właściwie jesteś?

Oficer milczał.

– Nie rozumiem tej gry – przyznał wreszcie.

Raladan i Ridareta także rozumieli coraz mniej.

– Kim jesteś, panie? – powtórzył za dziewczyną Raladan.

Mężczyzna wskazał na Ridaretę, jakby chciał powiedzieć, że ona wie to świetnie, ale nagle wzruszył ramionami i powiedział sucho:

– Komendant wojskowy Aheli Heren Ahagaden. Nic mi do waszej zabawy... Oczywiście, że zobaczycie się z jej wysokością. I to natychmiast.

„Jej wysokość”... Wyglądało na to, że staną przed obliczem co najmniej księżnej – chyba jednak nie królowej?... – Agarów.

Topornicy obsadzili już okręt. Zwrócił się ku nim i krzyknął jakieś imię. Jeden z żołnierzy podszedł niezwłocznie. Ahagaden zamienił

z nim cicho kilka słów. Żołnierz natychmiast zbiegł po trapie. Zauważyli, że – z dużym pośpiechem – zabrał gdzieś granatowych kuszników.

– Część przeszła do nas – rzekł z wyraźną kpiną oficer. – Ale lepiej, byś na razie nie widziała się z nimi, pani.

Raladan i Ridareta po raz dziesiąty wymienili spojrzenia.

– Czy możemy już iść? – zapytał kapitan, uznając, że najprostszym sposobem wyjaśnienia wszystkiego będzie rozmowa z Lereną.

– Oczywiście. Proszę za mną.

– Co z moją załogą?

– Pozostanie na statku.

– Bohed! – zawołał Raladan. – Rządzisz do mojego powrotu!

– Tak, kapitanie!

Było oczywiste, że komenda jest przy zastępcy. Kapitan chciał tylko dać coś komuś do zrozumienia.

Ahagaden uśmiechnął się półgębkiem, jakby na znak, że za wiele do rządzenia nie będzie, ale nie powiedział ani słowa. Gdy zeszli na ląd, skinął na oddziałek, który wcześniej zostawił na brzegu.

– Liczna eskorta – zauważył Raladan. Po czym, zwracając się do Ridarety i Tamenatha, dorzucił: – Czyżbym popadł w niełaskę?

Ahagaden szedł obok, co rusz oglądając się na Ridaretę, jakby w obawie, że ta wbije mu nóż w plecy. Raladan zastanawiał się, czy ten człowiek, którego nigdy nie widział, mógł ją znać. Kto wie. Przecież była zakładniczką, wielu ludzi Lereny mogło zetknąć się z pomyloną – taka wtedy była – dziewczyną. Ridareta jednak twierdziła, że pamięta wszystko z tamtego okresu.

Powinna więc znać Ahagadena tak samo dobrze, jak on ją. A nie znała z całą pewnością. Dziwne, bo zachowanie oficera dowodziło, że jego kontakt z jednooką nie był bynajmniej powierzchowny. I wcale nie serdeczny.

Co miało znaczyć to „skoro żyjesz”, rzucone przy powitaniu?...

„On ją bierze za Riolatę!” – pomyślał nagle, w natchnieniu, Raladan. „Bliźniaczki znowu, jakimś sposobem, weszły sobie w drogę i znów wodziły się za łby!”

Chciał o tym powiedzieć Ridarecie, ale zobaczył, że dziewczyna myśli o tym samym. Kiwnęła mu głową: „Już wiem!”.

Od portu szli najpierw w stronę koszar, ale potem skręcili ku budynkowi zajmowanemu w Aheli przez Trybunał Imperialny. Przed wejściem stali żołnierze: ciężkozbrojni w pełnym oporządzeniu, przy włóczniach, z tarczami u nogi.

Milczący przez całą drogę Ahagaden odezwał się teraz:

– Zaraz wrócę. Cierpliwości.

Znów spojrzał na Ridaretę. Kpiąco?...

Stali przy wejściu w asyście żołnierzy. Raladan i Ridareta wymienili uwagi. Tamenath tylko słuchał, nie wtrącając nic od siebie, ale łatwo pojmując, o co chodzi; przecież wcześniej Raladan opowiedział mu niemal całe swoje życie, a i Ridareta niejedno dorzuciła.

Po krótkiej wymianie zdań zamilkli.

Zamyślony Raladan spoglądał wokół. Wiele wspomnień łączyło go z tym miastem. Oto ulica, którą przed laty szedł w stronę koszar i z powrotem, czatując na Varda... Gdyby zaś wrócił do portu i skręcił wcześniej w lewo, znalazłby łatwo starą tawernę Pod Żaglami. A tam znowu, pośród najbogatszych domów miasta, stał ten, w którym spotkał jedyną szlachetnie urodzoną kobietę imperium, która umiała nosić warkocz... Złoty warkocz przy błękitnej sukni.

Pokręcił lekko głową. Sentymenty... Chyba się starzał.

Ale to nie były zwykłe wspomnienia. Na tych wyspach, w tym mieście podejmował najbardziej brzemiennie w skutki decyzje swego życia.

Pomyślał jeszcze o stu rzeczach: o cmentarzu zwanym Przeklętym, o wysokim wielorybniku (Bedal? Began? – jak też miał na imię?...), o skąpym kupcu z Arby, o Vardzie (wiedział już, jak zginął naiwny do ostatniej chwili kapitan, Ridareta mówiła; ciekawe, co robił w Dranie?), o szarym urzędniku Trybunału, którego rozgniół powoli i starannie, jak obrzydliwego robaka... Z zadumy wyrwał go dopiero powrót Ahagadena.

– Proszę o broń – powiedział krótko oficer.

Raladan wzruszył ramionami i oddał nóż (ale te w cholewach zostawił).

Tamenath wyjął miecz z pochwy i podał, trzymając za ostrze. Wyglądał zupełnie inaczej niż na swojej wyspie. Przede wszystkim odmłodniał. Nie nosił już długiego płaszcza i nijakiej szaty, ubrany był w wysokie buty, takie jakie nosił Raladan, grubą spódnicę do kolan i szorstki, wiązany pod szyją kaftan z niedźwiedziej skóry – największy, jaki Raladan mu wynalazł. Lewy rękaw kaftana zatknięty był za pas, a prawy podwinięty, bo sporo za krótki. Potężne bary starego olbrzyma wypełniały przyodziewek całkiem szczelnie. Wyglądał na mędrca Szerni tak samo, jak Ridareta na babinę.

Ahagaden poprowadził.

Przystanął przed dwuskrzydłowymi drzwiami strzeżonymi przez wartowników.

– Tylko ty, pani – rzekł krótko.

Nim Tamenath i Raladan zdążyli zareagować, otworzył drzwi i wprowadził dziewczynę do pokoju. Drzwi zaraz zamknął za sobą.

Alida stała zupełnie nieruchomo, patrząc na jednooką. Za jej plecami tkwili żołnierze z gotowymi do strzału kuszami. Ahagaden uprzedził, kogo prowadzi. Ale nie mogła uwierzyć.

Teraz jednak sama zobaczyła.

Pierwsze wrażenie było piorunujące. Ale zaraz potem... Wiele dało się zarzucić Alidzie, ale na pewno nie brak spostrzegawczości.

– Na Szerń – powiedziała po chwili. – Nie, to przecież nie ona!

Ahagaden osłupiał.

– Nie ona?...

Ale równie zdumiona była Ridareta.

– Kim jesteś? – zapytała, mierząc blondynkę wzrokiem. – Co tu się dzieje, na wszystkie moce świata?

– To raczej... kim ty jesteś? – Alida nie została dłużna. – Jej siostrą? Nie, to zupełnie nieprawdopodobne! Nie mogę uwierzyć!

W tym samym momencie za drzwiami ktoś krzyknął, skrzydła rozwarły się, przyjmując silne uderzenie. Do pokoju wpadł – właściwie wleciał! – żołnierz, którego wcześniej użyto jako tarana.

Raladan poczuł, że coś jest nie w porządku. Wiedział już, że Ridareta potrafi sobie radzić, ale nie zamierzał jej zostawić samej z ukochaną córeczką, która swego czasu potrafiła zatłuc marynarza, waląc jego głową o pokład. Wystarczyło, że raz oddał dziewczynę jako zakładniczkę. Więcej tego robić nie zamierzał.

Tamenath i kapitan „Seili” wtargnęli do pokoju uzbrojeni już w halabardy. Ujrzeni dwie nieruchome kobiety, ogłupiałego Ahagadena i trzech żołnierzy, którzy najwyraźniej zapomnieli o trzymany kuszach. Raladan spojrział na Ridaretę, a potem na tamtą.



TRUST 21

Niewysoka, ładna blondynka, z przerzuconym na gors błękitnej sukni warkoczem, cofnęła się o krok i oparła o stojącego za nią kusznika.

Raladan opuścił halabardę.

Alida, przekonana dotąd, że zemdlec z wrażenia nie sposób, przytrzymała się ramienia żołnierza. Odzyskawszy siły, ruszyła przed siebie. Raladan, zrobiwszy dwa kroki w tył, potknął się o wrzuconego do pokoju wartownika. W następnej chwili Alida dopadła kapitana „Seili” i pchnęła oburącz w pierś. Omal się nie przewrócił; przeskoczył, tyłem, nogę leżącego i wpadł na ścianę. Odrzucił pospiesznie halabardę, jakby się bał, że kobieta wyrwie mu ją i poczęstuje żelźcem.

– Gdzie byłeś? – zapytała bez sensu, wiedząc już, że zachowuje się jak głupia.

Grzmotnęła go pięścią w pierś jeszcze raz, po czym bezradnie tupnęła, nie wiedząc, ani co chce zrobić, ani co teraz zrobić powinna...

Raladan ochłonął. Ale niemądre pytanie kobiety wciąż brzmiało mu w uszach i... nie wiedział, jakim sposobem... było tak, jakby wrócił do domu.

Nigdy nie miał domu.

Czując jakieś nieznanne ciepło w piersi, wbrew sobie, nie wiadomo dlaczego, odpowiedział równie bez sensu:

– Wróciłem.

Alida patrzyła mu w twarz. Ridareta tak samo. Nagle spojrzały na siebie, potem znów na niego i jednocześnie zapytały podejrzliwie a nieufnie, wskazując się nawzajem:

– Kim jest ta kobieta?

– Kto to jest?

Raladan otworzył usta. Potem zaczął się śmiać.

Jak miał odpowiedzieć? Jednym słowem?...



## EPILOG



Kończył się piąty miesiąc jesieni.

Tamenath i Raladan spierali się o imiona.

– Mogę ją nazywać na zmianę Riolatą i Ridaretą, czemu nie? Już się przyzwyczailem – powiedział kapitan „Seili”. – Ale nie roztrąbię po całej wyspie, że jest Rubinem ani co to znaczy. A jeżeli nie roztrąbię, to za chwilę będę słuchał legend o przeklętym imieniu, od którego ludzie chorują... Zaraz potem będzie, że od tego umierają, w żadnym razie z jakichś innych przyczyn. A potem, że jak już umrą, to jeszcze zmieniają się w upiory.

– Ale gdy jesteście sami?

– Gdy jesteśmy sami, to mogę do niej mówić, jak chcę.

– Może lepiej: jak ona chce.

Raladan wzruszył ramionami.

– Zmieniłeś się – rzekł Przyjęty.

– Zmieniłem?

– Oczywiście, przyjacielu. Inaczej się z tobą rozmawia.

– Bo zmądrzałem. Jeśli została mi w głowie chociaż dziesiąta część tego, co usłyszałem od ciebie, panie, to jestem dwa razy mądrzejszy, niż byłem pół roku temu.

– To raczej wiedza niż mądrość.

– Jeśli nawet. Dziś niewiele może mnie zadziwić.

– Zobaczymy... – mruknął Tamenath. – Nigdy nawet nie zapytałeś, jaką siłą obdarzyły cię Bezmiary.

– Nie pytałem i nie zapytam.

– Chyba żadną. Podłubałem znowu w Przepowiedni... Posłuchaj, Raladanie: jesteś w wieku najlepszym dla mężczyzny, lat około czterdziestu...

– Chciałbym mieć tyle. Mam jednak... No cóż, nigdy chyba nie policzę, ile mam naprawdę. Na kilkanaście lat wyglądałem, gdy wyciągnęli mnie z morza. Trzeba by...

– Kiedy ty ostatnio widziałeś się w lustrze, przyjacielu? – zagadnął starzec, przerywając niemal w pół słowa.

– A co to ma do rzeczy?

– Mówię ci, że masz lat czterdzieści, bo na tyle wyglądasz. A zdaje się, że wszędzie, gdzie dochodzi słona morska bryza, życie nie jest ci potrzebne.

Raladan patrzył zdziwiony.

– Co to znaczy?

– To znaczy, że prawie na pewno jesteś bardzo, ale to bardzo długowieczny. Martwić się o starość zaczniesz może za sto lat.

Raladan osłupiał.

– A skąd to niby wiadomo? Mówiłeś, że o Bezmiarach...

– ...niewiele wiemy, tak. Ale pogrzebałem w Księdze Całości, a ponieważ wiedziałem, czego szukam, to dosyć łatwo znalazłem. Chyba nie jesteś pierwszy.

– Nie pierwszy?...

– Był już ktoś taki jak ty. Grube setki lat temu. I żył długo. Niezwykle długo. Wygląda na to, że ty i twoja córka nieprędko położycie się do grobu. Lecz pamiętaj! – Uniósł znacząco palec. – Miecz jest mieczem, a ogień ogniem... Nic nie ożywi tego, czego nie ma. Znamy przykłady, nieprawdaż?

Raladan milczał, zupełnie nie wiedząc, co powiedzieć.

– Ten, co się niczemu nie dziwi! – Tamenath kiwnął łysą głową.

– Bo nie mogę tego pojąć. Mówisz, że jestem wieczny?

– Tylko długowieczny.

– Od jak dawna, panie, to wiesz?

– Od miesiąca. Mniej więcej. O nic mnie nie pytałeś – przypomniał Przyjęty. – Podobno chcesz być zwyczajnym człowiekiem. Nie pchałem się z wiedzą, której nie chcesz. Ale w końcu uznałem, że powinieneś wiedzieć.

Raladan podszedł do wąskiego okna i wsparł się rękami o mur po obu jego stronach.

Patrzył na Ahełę.

Z małej forteczki nadbrzeżnej, w której siedzieli, dobrze było widać mur obejmujący port i część miasta, łączący się dalej ze starym murem miejskim, wciąż jeszcze naprawianym. Dwie osobne, bardzo niskie baszty strzegły wejścia do portu. Przyjęty nazwał je bastejami – miały stanowić platformy dla potężnych dział, których jeszcze niestety nie mieli.

Wszędzie krzątali się ludzie, trwały prace. Tej jesieni mieszkańcom Agarów się zdawało, że świat stanął na głowie. Runął porządek rzeczy: zamiast beczynn timer siedzieć i patrzeć na topniejące zapasy, rybacy ciułali pieniądze zarobiony na placach budów.

Oczywiście nie wszystkim przypadło to do gustu. Bo jakże tak?... Jesienią przecie się nie pracowało.

A jednak zgłosiły się setki. Nowi władcy Agarów płacili wprowadzić niedużo, ale za to rzetelnie. Uczciwie.

– Jest ład, daleko na wschodzie – powiedział Raladan. – Zawsze chciałem tam płynąć. Ale wciąż życie wydawało mi się za krótkie, by pomieścić w nim wszystkie plany.

– Narwaniec – ocenił Tamenath. – Dołożyć mu parę lat życia, to będzie zwiedzał Bezmiary.

Po czym dorzucił spokojnie, ale i przekornie:

– A ja wkrótce umrę.

– O, na wszystkie morza! – powiedział Raladan. – Wciąż to słyszę.

– Ponadto, hm, twoja żona...

– Ech, to dziwka... – sarknął tamten. – Rogi już w drzwiach mi się nie mieszczą.

– Więcej w tym gadania niż prawdy. Droczy się z tobą i tyle.

– Ale raz droczyła się tak bardzo, że musiałem rozwalić skrzynię czymś łbem.

– Aż tak masz jej to za złe? – Dla Tamenatha lekkie obyczaje „pięknej pani Alidy” od dawna nie były tajemnicą.

Bo dla nikogo nie były. Ku zgorszeniu mieszkańców Aheli – a Wyspiarze w sprawach obyczajów przypominali Garyjczyków – nowa władczyni Agarów wprost roztrąbiła, kim jest i czym się przez pół życia zajmowała; zresztą wciąż jeszcze żyli w Aheli ludzie

pamiętający twarz jednej z najlepiej urodzonych kobiet na wyspie. Pierwszą plotkę, jaką usłyszała na swój temat, kazała wyryczeć na rynku miejskiemu obwoływaczowi, a powtarzał ją tak długo, aż mieszkańcy zaczęli prosić, żeby przestał.

Naprawdę wiedziała, co robi, bo, o dziwo, więcej plotek nie było. Raczej podśmiewano się z każdego, kto zaczynał snuć kolejną opowieść. Księżna? – też mi nowina...

Raladan milczał przez chwilę, po czym rzekł przez ramię, z uśmiechem:

– Może to i dziwne... ale nie. Rzeczywiście: więcej w tym gadania niż... Poza tą jedną sprawą jest cała moja. Wolę tak niż odwrotnie. A zresztą: jaka ma być żona pirata?

– Naprawdę jesteś mądry – stwierdził z uznaniem starzec.

Pogłaskał psa, który wylazł z kąta, zakręcił się i znowu poszedł spać. Stare, łagodne bydlę dożywało swych dni.

Mimo pochwały Raladan spochmurniał.

– Miałbym żyć dłużej niż ona?

Kochał żonę i wszyscy o tym wiedzieli. On jeden sądził, że to tajemnica.

– Zatłuką cię gdzieś wcześniej. Nie martw się.

Skrzypnęły drzwi. Obejrzeni się. Ridareta rzuciła na stół rękawice, odpięła od pasa miecz i też położyła na blacie. Zdjęła hełm, uwalniając burzę włosów.

Odrośły jej błyskawicznie. Szkody wyrządzone przez ogień zniknęły niemal od razu. Wielka grzywa z trudem mieściła się pod hełmem.

– Jak szkolenie? – zagadnął Tamenath.

– Szkolenie... – mruknęła. – Te miejscowe cherlaki ledwie dźwigają kozły od hakownic. Ale znów doszło paru chętnych.

– W mieście drożyzna, a w wioskach głód – skwitował Raladan. – Na budowach też coraz więcej ludzi. Oszczędzamy, bo pracują za samo wyżywienie. Naprawdę długa ta jesień.

Ostatnio dokonał wyczynu, jakiego chyba nie znała historia Bezmiarów: popłynął przez sztormy do Dartanu. I wrócił. Ze zbożem, kaszą, fasolą. Twierdza Ahela żywiła teraz całą wyspę.

Wciąż jednak martwili się o Małą Agarę. Tylko raz popłynęły tam szniki, w pogodny dzień. Ale dotąd nie wróciły. Czy jedzenie dotarło?

– Ahagaden – powiedziała Ridareta. – Ten to zna się na rzeczy. Ale żołnierz! – dorzuciła takim tonem, że mężczyźni wymienili znaczące spojrzenia. – Muszę przyznać, że jakby tak postawić moich strzelców przeciw jego tarczownikom i kusznikom, jeden na jednego, to po walce nawet zbroje moich nie przydałyby się już na nic. A jeszcze ktoś mu pomaga! – Spojrzała oskarżycielsko na olbrzyma. – Kusznicy używają grombelardzkich komend!

– Więcej strzelaj – doradził Tamenath, powściągając uśmiech. – W końcu to ty dowodzisz całym wojskiem, nie Ahagaden. Zabierz mu paru dobrych dziesiętników. Jeśli chcesz mieć z piechoty ognistej doborowe wojsko...

– Więcej strzelać?... Mamy mało prochu. Nie mogę pukać tak sobie. Kto wie co będzie, kiedy jesień się skończy? Imperium dalej jest tam, gdzie było. Miałeś zbudować prochowy młyn. Tak to się nazywa? Saletra jest, węgiel drzewny też...

– Proszę. Zapamiętała, z czego robi się proch. To jeszcze zapamiętaj, że nie zrobię wszystkiego jednocześnie.

Pokręciła głową.

– Przyznaj się, mędrco Szerni, że po prostu zapomniałeś. A twoja śliczna? – dorzuciła po chwili, patrząc na Raladana. – Jak zwykle nikt nie wie gdzie?

– Bardzo blisko – rzekła Alida, stając w drzwiach. – Znowu kazałaś tłuc batem żołnierza... Hamuj się! Za bardzo cię to podnieca.

– Jej Wysokość Księżna Alida, pani na Agarach – rzekła Ridareta, zrazu ignorując wymówkę. Dopiero po chwili dodała: – Zasłużył.

Nieprzesadnie się lubiły, ale za to kochały drażnić nawzajem.

– Nie zasłużył.

– Zasłużył.

Raladan popatrzył w sufit i znów odwrócił się ku oknu, zatykając dłonie za pas.

– Nasz przyjaciel – rzekł po chwili – kładzie się do grobu. Można już wybierać miejsce na Przeklętym.

Spojrzały na starca z niepokojem.

– Wcale nie – zaprzeczył. – Tak tylko straszę... Postanowiłem jeszcze nie umierać.

Raladan wzruszył ramionami. Kobiety wymieniły spojrzenia.

– Zrobiłem swoje – ciągnął starzec, znacząco spoglądając przez okno na basteje – pora pomówić o zapłacie.

Raladan odwrócił się znowu.

– Przecież już się rozliczyliśmy... – Nie zawsze umiał poznać, kiedy Przyjęty żartuje.

Teraz akurat nie żartował.

– Mało – oznajmił. – Bo mam jeszcze... prośbę.

Patrzyli wyczekująco.

Przyjęty podszedł do Raladana i położył mu dłoń na ramieniu.

– Mam syna, księżę, przecież wiesz. W pewien sposób przywróciliście mnie światu – wyznał zakłopotany. – Chcę wrócić do Grombelardu. Gdybym potrzebował pomocy, to czy znajdę ją tutaj, na Agarach? Chcę odnaleźć swego syna – wyjaśnił. – Dla starego człowieka może to być zadanie zbyt trudne. Gdybym potrzebował pomocy? W zupełnie prywatnej sprawie? – zapytał raz jeszcze.

– Masz moje słowo, panie – rzekł z wielką powagą Raladan. – Powinieneś żądać, nie pytać. Któreś z nas zawsze cię wesprze. Oboje naraz... z tym może być trudniej, bo trzeba obronić Agary. Ale któreś z nas zawsze.

– Skoro tak, to pobędę tu z wami jeszcze trochę. Ale nie bez powodu tyle gadam o umieraniu. Jeśli czegoś nie zrobię, to wkrótce się przekręcę i tyle.

Tamenath położył na stole rubin.

– Geerkoto – rzekł krótko. – Kiepski ze mnie lah'agar, ale poradzę sobie chyba z tym kamykiem. Będzie musiał wesprzeć moje stare życie.

– Co to znaczy? – zapytała Ridareta. – Można sprawić to celowo? Rozmyślnie?

– Zostać Rubinem? Chyba nie. Ani mi w głowie próbować. Lecz można po prostu mieć Rubin. Oznacza to dłuższe życie, ale i kłopoty. Demon Walki mógłby zaświadczyć.

– Nie boisz się, panie?

Tamenath westchnął.

– Skoro wiem, że najdalej za pół roku umrę... dużo mam do stracenia?

– Co za stary osioł! – rozzłościła się Ridareta. – Nic, tylko umrze i umrze!

– Człowiek nie jest istotą powołaną do długowieczności.

– A do czego jest powołany?

– Ja na przykład – odparł po namyśle Tamenath – jestem powołany do tego, żeby zaraz coś zjeść. I popić kubkiem miodu. Ależ dobry macie tutaj miód!

Ridareta parsknęła śmiechem.

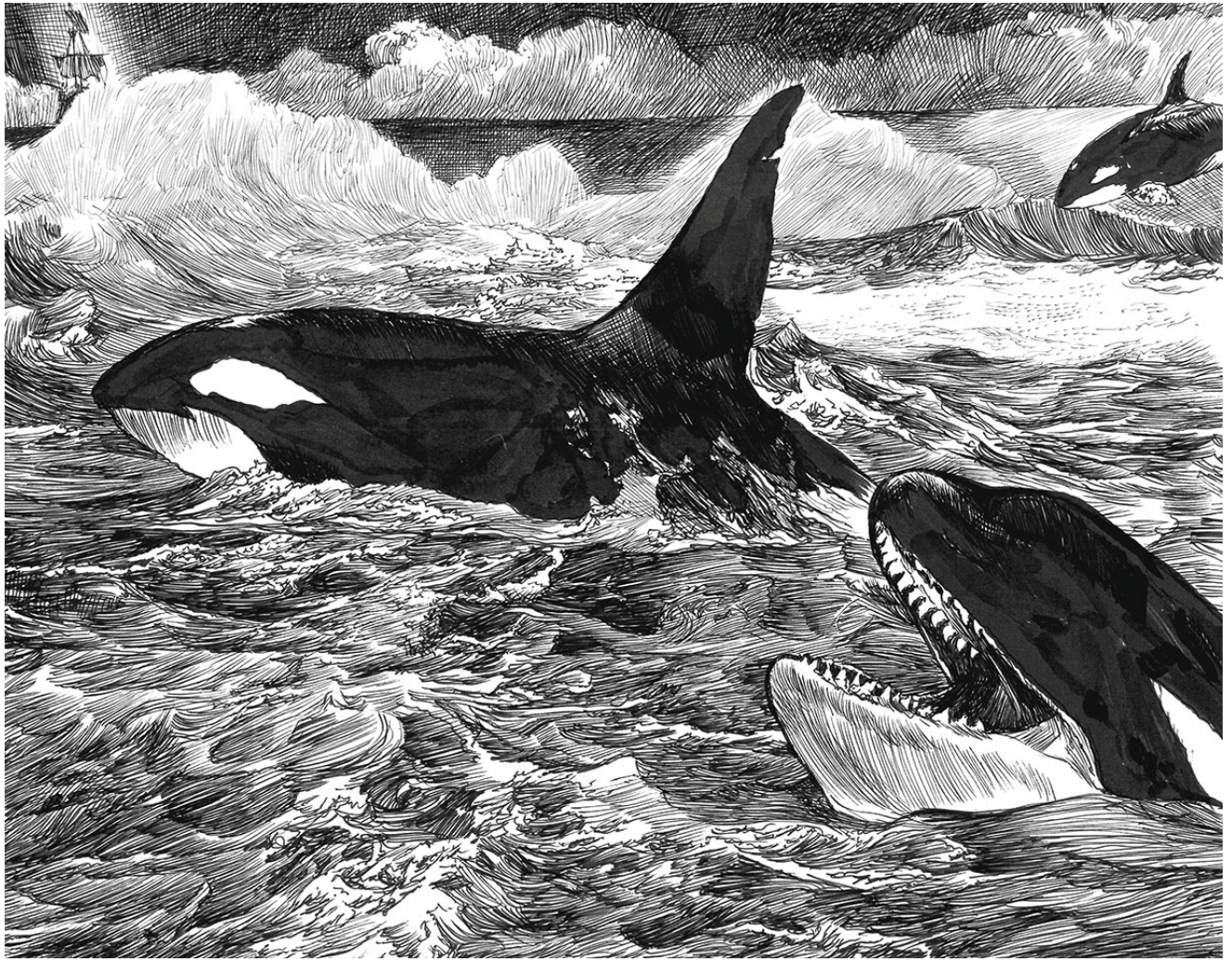
– Czy to wszystko zdarzyło się, bo znowu pękły Prawa Całości? – zapytała po chwili, już poważnie.

Przyjęty pomilczał, pomyślał.

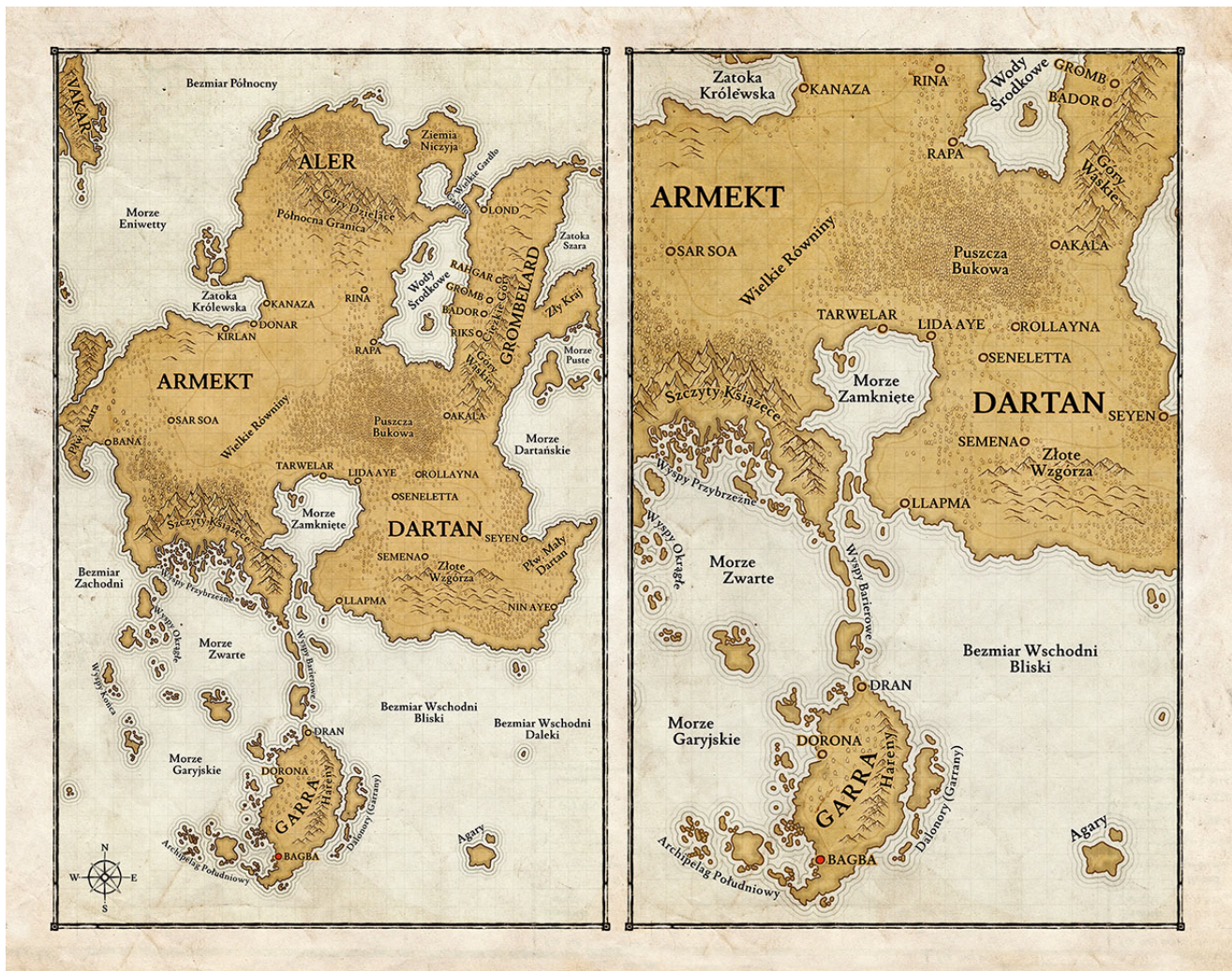
– Nie wiem. Na pewno nie. A ma to dla was jakieś znaczenie?

KONIEC













## Feliks W. Kres

Urodzony 1 czerwca 1966 r. w Łodzi.

Debiutował w 1983 r. opowiadaniem „Mag” nadesłanym na konkurs miesięcznika „Fantastyka”.

Od tego czasu opublikował kilkadziesiąt opowiadań i 13 dłuższych form, zyskując oddane grono wiernych wielbicieli.

Czytelnicy pokochali jego opowiadania i powieści o Szererze, ale zanim doczekali się ukończenia Księgi Całości, autor ogłosił w 2010, że zawiesza działalność na czas nieokreślony. Był to długi urlop, niemniej właśnie się skończył i niebawem autor powróci z dwiema zupełnie nowymi książkami, które zamkną cykl, a Księga Całości wreszcie stanie się kompletna!

Wieszczymy, że przyniesie to autorowi wiele satysfakcji, gdyż jak sam o sobie mówi, jest porządnym rzemieślniczym majstrem i tak też podchodzi do swojej twórczości: „Byłem uczniem, potem czeladnikiem, teraz, po dwudziestu latach, mam już własny warsztat. Gdybym był krawcem, to na ścianie domu wisiłby szyld o treści: Krawiectwo lekkie. Mistrz Feliks W. Kres”. Taki profesjonalizm został wielokrotnie doceniony przez krytyków i czytelników, przynosząc autorowi szereg nagród, w tym Nagrodę im. Janusza A. Zajdla dla Najlepszej Powieści Roku za powieść „Król Bezmiarów” (1992).

A co później? Może kolejny tom z serii Piekło i Szpada, którą Feliks stworzył z tęsknoty za klasyczną powieścią awanturniczą? Może kolejny tom znakomitych felietonów nonfiction?

Tego jeszcze nie wiemy, ale wiemy jedno – już nie możemy się doczekać!

# KSIĘGA CAŁOŚCI

W CAŁOŚCI



1. PÓLNOCNA GRANICA
2. KRÓL BEZMIARÓW
3. GROMBELARDZKA LEGENDA
4. PANI DOBREGO ZNAKU - KSIĘGA 1
5. PANI DOBREGO ZNAKU - KSIĘGA 2
6. PORZUCONE KRÓLESTWO
7. ŻEGLARZE I JEŹDZCY
8. TARCZA SZERNI
9. SZERŃ I SZERER

COPYRIGHT © BY Feliks W. Kres  
COPYRIGHT © BY Fabryka Słów sp. z o.o., LUBLIN 2021

WYDANIE I  
ISBN 978-83-7964-661-6

Wszelkie prawa zastrzeżone  
All rights reserved

Książka ani żadna jej część nie może być przedrukowywana ani w jakikolwiek inny sposób reprodukowana czy powielana mechanicznie, fotooptycznie, zapisywana elektronicznie lub magnetycznie, ani odczytywana w środkach publicznego przekazu bez pisemnej zgody wydawcy.

PROJEKT I ADIUSTACJA AUTORSKA WYDANIA

Eryk Górski  
Robert Łakuta

GRAFIKA NA OKŁADCE  
Vladislav Shikin

PROJEKT OKŁADKI  
Szymon Wójciak

ILUSTRACJE  
Przemysław Truściński

MAPY  
Paweł Zaręba

REDAKCJA  
Joanna Figlewska

KOREKTA  
Joanna Figlewska, Agnieszka Pawlikowska

SKŁAD WERSJI ELEKTRONICZNEJ  
pan@drewnianyrower.com

SPRZEDAŻ INTERNETOWA



swiatksiazki.pl



Zamówienia hurtowe  
Dressler Dublin sp. z o.o.  
ul. Poznańska 91  
05-850 Ożarów Mazowiecki  
tel. (+ 48 22) 733 50 31/32  
www.dressler.com.pl  
e-mail: dystrybucja@dressler.com.pl



fabryka słów  
WYDAWNICTWO

WYDAWNICTWO  
Fabryka Słów sp. z o.o.  
20-834 Lublin, ul. Irysowa 25a  
tel.: 81 524 08 88, faks: 81 524 08 91  
www.fabrykaslow.com.pl  
e-mail: biuro@fabrykaslow.com.pl  
www.facebook.com/fabryka  
instagram.com/fabrykaslow

FELIKS W.

# KRES

KRÓL

BEZMIARÓW



Istnieją na świecie dwie równoważne Potęgi: Szerń i Aler. Potęgi zdolne obdarzyć inteligencją dowolny gatunek, zmienić bieg czasu, a nawet tchnąć życie w przedmioty. I istnieją Bezmiary. Bezmiary, przed którymi te Potęgi drżą.

Spotkanie pirackiego kapitana Rapisa z kobietą schwytaną w osadzie garyjskich rybaków to tylko początek wielkiej historii. Historii, w której jeden akt przemocy zdecydował o życiu i śmierci tysięcy ludzi. Historii, w której nienawiść nierozzerwalnie splata się z miłością, prawda z kłamstwem, a zdrada z lojalnością przekraczającą nawet granice śmierci.

Oto świat, w którym ludzie na wskroś uczciwi gniją w kopalniach, a kanale robią błyskotliwe kariery. Świat, który nie zna pojęcia litości, bo też i nigdy jej nie doświadczył.

Przychodzi czas zapłaty.  
Garra spłynie krwią.

2

KSIĘGA  
CAŁOŚCI



fabrykaslow.com.pl